

**Lion Feuchtwanger**

\*

**Żydówka**

**z**

**Toledo**

TŁUMACZYŁ JACEK FRUHLING

CZYTELNIK • WARSZAWA • 1987

*Marcie i Hildzie poświęcam*

## CZĘŚĆ PIERWSZA

*Król rozmiłował się był wielce  
w żydówce pewnej, która Ferosa — Piękna — się zwała,  
i żonę swoją przepomniał.*

ALFONSO EL SABIO, CRONICA GENERAL OKOŁO 1270

*Szedł Alfonso do Toledo  
Wraz z królową młodocianą,  
Urodziwą. Lecz zaślepia  
Miłość. Więc go odmieniła;  
Jął się skłaniać ku żydówce,  
Która zwała się Ferosa.  
„Pięknej” mianem ją darzono,  
A nie bez kozery przecie.*

*U jej boku król przepomniał Swą królową.*

### PRZYPADKI MIŁOSNE

ALFONSA OSMEGO Z PIĘKNĄ ŻYDÓWKĄ

ROMANCA LORENZA DE SEPULVEDA 1551

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Osiemdziesiąt lat po śmierci swego proroka Mahometa muzułmanie zbudowali mocarstwo światowe, rozciągające się od granicy indyjskiej poprzez Azję, Afrykę i południowe wybrzeże Morza Śródziemnego aż po Ocean Atlantycki. W osiemdziesiątym roku swego zwycięskiego pochodu przeprawili się przez wąską cieśninę Morza Śródziemnego do Andaluzji, do Hiszpanii; zniszczyli państwo, utworzone tam przed trzystu laty przez chrześcijańskich Gotów zachodnich, podbili potężnym atakiem półwysep aż do Pirenejów.

Nowi władcy przynieśli ze sobą wysoką kulturę, uczynili kraj najpiękniejszym, najlepiej uporządkowanym, najgęściej zaludnionym zakątkiem Europy. Zaplanowane przez doświadczonych architektów i mądrą policję budowlaną, powstały wielkie, wspaniałe miasta, jakich ta półkula ziemską nie znała od czasów Rzymian. Kordoba, rezydencja zachodniego kalifa, uchodziła za stolicę całego Zachodu. Muzułmanie podnieśli na wysoki poziom zaniedbaną gospodarkę rolną i przez mądre nawadnianie wydobyli z ziemi płody, jakich nikt nie przeczuwał. Przy pomocy nowej, świetnie rozwiniętej techniki podnieśli górnictwo. Tkacze ich sporządzali cenne dywany i wyborowe sukna, cieśle i rzeźbiarze delikatne wyroby z drzewa, kuśnierze wszelkiego rodzaju futra. Rusznikarze ich wykuwali przedmioty skończenie doskonałe, przydatne zarówno dla celów pokojowych, jak wojennych. Wyrabiano miecze, szpady i sztylety, ostrzejsze i piękniejsze niż u ludów niemuzuł-mańskich, zbroje o wielkiej odporności, dalekosiężne działa, tajną broń, o której całe chrześcijaństwo mówiło z niechęcią. Wytwarzano również coś innego, niesamowitego, bardzo niebezpiecznego: substancję wybuchową, zwaną płynnym ogniem.

Żegluga muzułmanów hiszpańskich, kierowana przez wypróbowanych matematyków i astronomów, odznaczała się szybkością i pewnością, mogła więc uprawiać rozgałęziony handel i zaopatrywać swoje rynki we wszystkie wyroby islamskie mocarstwa światowego.

Sztuki i nauki kwitły pod tym niebem jak nigdy dotąd. W ozdobach domów elementy wzniosłe i delikatne stapiały się ze sobą tworząc całość o bardzo swoistym charakterze. Kunsztownie rozgałęziony system wychowawczy pozwalał każdemu na kształcenie się. Miasto Kordoba miało trzy tysiące szkół, każde większe miasto posiadało uniwersytet, liczba bibliotek była taka, jak za czasów rozkwitu helleńskiej Aleksandrii. Wielcy myśliciele poszerzali granice Koranu, przekładali wedle swego sposobu myślenia grecką filozofię, przekształcali ją od nowa. Barwna, kwitnąca sztuka opowiadania otwierała fantazji nie znane dotychczas horyzonty. Wielcy pisarze cyzelowali bogaty, dźwięczny język arabski, by potrafił oddać każde drgnienie uczucia.

Podbitym muzułmanie okazywali tolerancję. Dla swoich chrześcijan przetłumaczyli ewangelie na język arabski. Licznym żydom, wobec których chrześcijańscy Gotowie stosowali surowe prawa wyjątkowe, dali społeczne równouprawnienie. Tak, pod panowaniem islamu żydzi hiszpańscy pędzili żywot tak szczęśliwy, jak nigdy od czasu upadku swego własnego państwa. Dostarczali kalifów i ministrów, i lekarzy nadwornych, zakładali fabryki, szeroko zakrojone przedsiębiorstwa handlowe, wysyłali swe okręty na siedem mórz. Nie zapominając o własnym piśmiennictwie hebrajskim, rozwijali systemy filozoficzne w języku arabskim, tłumaczyli Arystotelesa, stapiali jego nauki z naukami swojej Wielkiej Księgi i doktrynami arabskiej filozofii. Stworzyli swobodną, śmiałą krytykę Biblii. Odnowili hebrajską sztukę rymowania.

Rozkwit ten trwał przeszło trzy stulecia. Potem przysła wielka burza i zniszczyła go.

Kiedy muzułmanie zawojowali półwysep, rozproszone oddziały Gotów zachodnich, chrześcijan, uciekły w góry na północy Hiszpanii, utworzyły na niedostępnych terenach małe, niezależne hrabstwa i stamtąd dalej prowadziły z pokolenia na pokolenie wojnę z muzułmanami.

Była to wojna band, zwana guerillą. Długo walczyli sami. Potem jednak papież w Rzymie ogłosił krucjatę i wielcy kaznodzieje zaczęli wzywać w płomiennych słowach do wypędzenia islamu z krajów, które wydarł chrześcijanom. Krzyżowcy ze wszystkich stron świata zjednoczyli się z wojowniczymi potomkami dawnych chrześcijańskich panów Hiszpanii. Prawie cztery stulecia musieli czekać ostatni Gotowie zachodni, aż wreszcie wdarli się na południe. Zniewieściali, przerafinowani muzułmanie nie umieli przeciwstawić się ich wojowniczości; w ciągu niewielu dziesięcioleci chrześcijanie odbili całą północną część półwyspu aż po rzekę Tag.

Muzułmanie, coraz ostrzej naciskani przez armie chrześcijańskie, zwrócili się o pomoc do swoich współbraci z Afryki, dzikich, żarliwych w swej wierze wojowników; wielu z nich pochodziło z wielkiej pustyni południowej, Sahary. Powstrzymali oni pochód chrześcijan. Ale równocześnie przepędzili precz kulturalnych, wol-nomyślnych książąt muzułmańskich, którzy dotychczas rządili w Andaluzji, przestali tolerować rozprężenie w sprawach wiary. Kalif afrykański Jussuf objął również panowanie w Andaluzji. By oczyścić kraj od wszelkiej niewiary, wezwał on do swej kwatery głównej w Lucenie przedstawicieli żydostwa i oświadczył im: „W imieniu najmiłościwszego Boga prorok zapewnił waszym ojcom tolerancję w krajach wiernych, ale pod jednym warunkiem, uwidocznionym w starych księgach. Jeżeli Mesjasz wasz nie zjawi się w ciągu pierwszej połowy tysiąclecia, wtedy — na to zgodzili się wasi ojcowie — uznacie jego, Mahometa, za proroka proroków, w którego cieniu pozostają wasi kapłani. Pięćset lat minęło. Wy-pełnijcież więc umowę, opowiedzcie się za prorokiem, zostańcie muzułmanami! Albo opuśćcie moją Andaluzję”.

Bardzo wielu żydów, choć nie wolno im było zabrać nic ze swego dobytku, wywędrowało. Większość udała się do Hiszpanii północnej, chrześcijanie bowiem, którzy tam znowu sprawowali rządy, potrzebowali dla odbudowy kraju, zniszczonego przez wojnę, wybitnego zmysłu ekonomicznego, wiedzy w sprawach przemysłu oraz innych licznych umiejętności, które posiadali żydzi. Ofiarowali im obywatelską równość, której odmówili ich ojcowie, a ponadto wyposażyli ich w liczne przywileje.

Jednak niektórzy żydzi pozostali w muzułmańskiej Hiszpanii i opowiedzieli się za islamem: chcieli, w ten sposób ratować swój majątek, by później, w bardziej sprzyjających okolicznościach, pójść na obczyznę i wrócić do starej wiary. Ale ojczyzna pełna była słodyczy, życie w uroczym kraju Andaluzji było pełne słodyczy, więc odkładali swój wyjazd. A kiedy po śmierci kalifa Jus-sufa doszedł do władzy książę mniej surowy, ociągali się w dalszym ciągu. Wreszcie przestali już o wywędrowaniu myśleć. Pobyt w Andaluzji pozostawał wprawdzie dla wszystkich niewiernych wzbroniony, ale wystarczyło jako dowód wiary pokazać się od czasu do czasu w meczecie i pięć razy w ciągu dnia wypowiedzieć słowa: Allach jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem. Tajemnie mogli żydzi dalej trzymać się swych obrządków i w Andaluzji, wolnej od żydów, istniały tajemne żydowskie domy modlitwy. Ci ukrywający swe żydostwo żydzi wiedzieli, że to, co ukrywają, jest wielu znane, i wiedzieli, że w wypadku wybuchu nowej wojny kacerstwo ich będzie musiało wyjść na jaw. Wiedzieli, że w wypadku nowej wojny świętej będą zgubieni. Jeżeli więc, jak głosi ich przepis, modlili się codziennie o utrzymanie pokoju, czynili to nie tylko wargami.

Kiedy Ibrahim usiadł na stopniach zrujnowanej fontanny wewnętrznego dziedzińca, poczuł zmęczenie. Chodził pełną godzinę po tym chylącym się ku upadkowi domu.

A naprawdę nie miał czasu do stracenia. Był teraz w Toledo całe dziesięć dni, rady królewskie domagały się słusznie decyzji, czy obejmie generalną dzierżawę podatków, czy nie.

Kupiec Ibrahim z muzułmańskiego królestwa Sewilli robił nieraz interesy z książętami chrześcijańskimi Hiszpanii, ale przedsięwzięcia o podobnie olbrzymiej skali nigdy się jeszcze nie podejmował. Z finansami królestwa Kastylii było od lat niedobrze, a odkąd król Alfonso — stało

się to przed piętnastoma miesiącami — przegrał swą lekkomyślną wyprawę przeciw Sewilli, gospodarka jego załamała się całkowicie. Don Alfonso potrzebował pieniędzy, i to natychmiast.

Kupiec Ibrahim z Sewilli był bogaty. Miał okręty, dobra i kredyt w wielu miastach muzułmańskich oraz w centrach handlowych Włoch i Flandrii. Gdyby się jednak wdał w ten kastylski interes, musiałby zainwestować cały swój majątek, a nawet największy mędrzec nie był w stanie przewidzieć, czy Kastylia przetrwa chaos, który przyniesie muszą najbliższe lata.

Z drugiej strony król Alfonso był gotów do olbrzymich świadczeń. Jako zastaw ofiarowywano Ibrahimowi podatki i cła oraz dochody z kopalń; był przekonany, że jeżeli tylko dostarczy pieniędzy, uzyska jeszcze o wiele korzystniejsze warunki, że zostanie mu powierzona kontrola nad wszystkimi dochodami. To prawda, że odkąd chrześcijanie przejęli kraj od muzułmanów, handel i przemysł bardzo podupadły, ale Kastylia, największy z krajów hiszpańskich, była żyzna, miała dóbr ziemskich pod dostatkiem. Ibrahim wierzył, iż wystarczy mu sił, by znowu wzniesić kraj na wyżyny.

Nie można jednak kierować takim przedsięwzięciem z odległości. Musiałby pilnować na miejscu realizacji sprawy, musiałby opuścić muzułmańską Sewillę i przenieść się tutaj, do chrześcijańskiego Toledo.

Miał teraz lat pięćdziesiąt pięć. Osiągnął to, czego zawsze pragnął. Człowiekowi w jego wieku, o jego pozycji nie wolno było nawet brać pod uwagę przedsięwzięcia tak zawikłanego.

Ibrahim siedział na zrujnowanych stopniach nieczynnej od dawna fontanny, wsparłszy głowę rękami. Nagle uświadomił sobie; gdyby nawet awanturniczość przedsięwzięcia była dla niego jasna od samego początku, mimo to osiadłby w Toledo, w tym tutaj domu.

Śmieszny, chylący się ku ruinie dom pociągał go.

Istniało między nim a tym domem stare, dziwne powiązanie. Ibrahim, wielki finansista dumnej Sewilli, przyjaciel i doradca emira, wyznawał od młodych lat wiarę proroka Mahometa. Nie urodził się jednak muzułmaninem, lecz przyszedł na świat jako żyd i ten oto gmach, castillo de Castro, należał, dopóki w Toledo rządili muzułmanie, do jego ojców, do rodziny Ibn Esrów. Kiedy jednak sto lat temu Alfonso, szósty z kolei władca tego imienia, wydarł miasto muzułmanom, domem zawładnęli baronowie de Castro. Ibrahim bywał niejednokrotnie w Toledo i za każdym razem stawał z pożądaniem w oczach pod ponurymi murami zamku. Teraz, kiedy król przepędził ród de Castro z Toledo i zabrał im domostwo, Ibrahim mógł wreszcie obejrzeć wnętrze i zastanowić się, czyby nie objąć znowu w posiadanie starej własności ojców.

Bez pośpiechu, rozglądając się pożądliwie i badawczo dokoła, przemierzył liczne schody, sale, komnaty, korytarze, dziedzińce. Był to gmach odludny i brzydki, raczej zamek niż pałac. Z zewnątrz nie wyglądał chyba inaczej i wtedy, kiedy zamieszkiwali w nim przodkowie Ibrahima Ibn Esry. Ale wyposażyli oni wnętrze w wygodny arabski sprzęt domowy, a dziedzińce przypominały ciche ogrody. Było rzeczą pociągającą urządzić na nowo dom ojców i z niezgrabnego, zrujnowanego castillo de Castro zrobić piękny, uroczy castillo Ibn Esra.

Jakież nierozsądne plany. W Sewilli był księciem kupców, mile widzianym na dworze emira, wśród poetów, artystów, uczonych, których emir zgromadził dookoła siebie z całego świata. Czuł się tam beztroski i szczęśliwy, beztroskie i szczęśliwe były tam również jego drogie dzieci, dziewczynka Rechia i chłopiec Achmed. Czy samo igranie myślą zamiany szlachetnej, dostojnej Sewilli na barbarzyńskie Toledo nie było grzechem i szaleństwem?

Nie było szaleństwem, a na pewno nie było grzechem. Ród Ibn Esrów, najdumniejszy spośród rodów półwyspu, doznawał w -ostatnich stu latach licznych wstrząsów. Klęski, które Afrykanie przez swe wtargnięcie do Andaluzji ściągnęli na głowy żydów, przeżył Ibrahim jako chłopię. Nazywał się wtedy jeszcze Jehuda Ibn Esra. Podobnie jak pozostali żydzi królestwa Sewilli ród Ibn Esrów zbiegł wtedy również do północnej, chrześcijańskiej Hiszpanii. Ale jemu,

chłopięciu, rodzina poleciła pozostać i opowiedzieć się za islamem. Był zaprzyjaźniony z synem księcia, Abdullahem, wierzono, że w ten sposób ocali resztki dobytku. Kiedy Abdullah objął panowanie, zwrócił też Ibrahimowi jego bogactwa. Książę wiedział, że przyjaciel jego w głębi serca w dalszym ciągu łączył się ze starą wiarą, wielu o tym wiedziało, ale godzono się z tym. Teraz jednak zagrażała nowa wojna chrześcijan przeciw wyznawcom Mahometa i w takiej świętej wojnie emir Abdullah nie będzie już w stanie chronić kacerza Ibrahima. Jak jego ojcowie, Ibrahim będzie musiał uciekać do chrześcijańskiej Hiszpanii, pozostawiając swój dobytek i stając się żebrakiem. Czy nie było mądrzej przenieść się teraz do Toledo dobrowolnie, w bogactwie i chwale.

Jeżeli bowiem zechce, będzie tu w Toledo nie mniej poważany niż w Sewilli. Już na mglistą aluzję ofiarowano mu urząd Ibn Szoszana, żydowskiego ministra finansów, który zmarł przed trzema laty. Nie ulega wątpliwości, że tu, w Sewilli, gdyby nawet jawnie wrócił do żydostwa, mógłby otrzymać każde stanowisko, jakiego by zapragnął.

Przez szparę w murze spojrzął na dziedziniec kasztelan. Obcy przebywa tu już dwie godziny; cóż takiego widzi w tych murach, chylących się ku ruinie? Tkwi tu ten niewierny, jak u siebie w domu i jakby chciał tu pozostać na zawsze. Ludzie z orszaku obcego, czekający na niego na dziedzińcu zewnętrznym, opowiadali, że w domu swym w Sewilli ma piętnaście szlachetnej krwi rumaków i osiemdziesięciu służebników, wśród nich trzydziestu czarnych. Tak, ci niewierni byli bogaci, mieli obfitość wszystkiego. Choć ostatnio król, pan nasz, doznał porażki, przyjdzie czas, kiedy Dziewica Święta i Święty Jerzy staną się dla nas łaskawi i rozbijemy muzułmanów na miazgę zabierając ich skarby.

Ciągle jeszcze nic nie wskazywało na to, że obcy chce odejść.

Tak, kupiec Ibrahim z Sewilli siedział i marzył dalej. Nigdy w swoim życiu nie musiał powziąć decyzji tak zawikłanej. Wówczas bowiem, kiedy Afrykanie wtargnęli do Andaluzji i przeszedł na wiarę islamu, nie miał jeszcze skończonych lat trzynastu, nie był odpowiedzialny przed Bogiem i ludźmi, rozstrzygnęła za niego rodzina. Teraz musiał sam dokonać wyboru.

Sewilla lśniła wspaniale w dojrzałości swej i dosycie. Ale była to przejrzalność, mawiał jego stary przyjaciel Muza; słońce zachodniego islamu przekroczyło swój zenit, zachodziło. Tu, w chrześcijańskiej Hiszpanii, wszystko się dopiero zaczynało, rozkwitało, było jeszcze prymitywne. Zniszczono, co zbudował islam, i marnie połatano. Gospodarka rolna była uboga, przestarzała, przemysł toczyła zgnilizna. Państwo było ogołocone z ludzi, ci, którzy tu siedzieli, znali się na wojnie, ale nie na sprawie pokoju. Ibrahim ściągnie ludzi, którzy się nauczyli dawać coś ze siebie, umieją wydobywać na światło dzienne to, co bezpłodnie leży w ziemi.

Tchnięcie powietrza i życia w zrujnowaną gospodarczo Kastalię będzie wymagało wielkiego wysiłku. Ale to właśnie stanowiło pokusę.

Potrzebował oczywiście czasu, długich, niezmaconych lat pokoju.

I nagle poczuł: było to wołanie Boga, które usłyszał już wtedy, przed piętnastoma miesiącami, kiedy don Alfonso po odniesionej klęsce poprosił emira Sewilli o zawieszenie broni. Wojowniczy Alfonso był gotów do niejednego ustępstwa, do odstąpienia terytorium, do wysokiego odszkodowania wojennego. Ale na żądanie emira, by zawieszenie broni trwało lat osiem, zgodzić się nie chciał. Ibrahim nalegał jednak gwałtownie na swego przyjaciela emira, żeby się przy tym upierał i w zamian za to zadowolił się mniejszą zdobyczą terytorialną i niższym odszkodowaniem. Wreszcie dopiął swego: zawieszenie broni na osiem dobrych, długich lat zostało podpisane i przypieczętowane. Tak, sam Bóg popychał go wtedy i upominał: „Walcz o pokój! Nie popuszczaj, walcz o pokój!”

Ten sam głos wewnętrzny popychał go tutaj, do Toledo. Jeżeli przyjdzie nowa święta wojna — a przyjdzie niewątpliwie — wtedy szukający zwady don Alfonso zostanie wystawiony

na próbę złamania zawieszenia broni z Sewillą. Ale wtedy on, Ibrahim, będzie na miejscu i spróbuje wpływać na króla chytrą, groźbą i rozsądkiem. Jeżeli nie potrafi przeszkodzić temu, by Alfonso wmieszał się do wojny, to w każdym razie odwlecze ją.

A dla żydów, dla jego żydów, będzie błogosławieństwem, jeżeli w razie wybuchu wojny w radzie królewskiej zasiadać będzie on, Ibrahim. Żydzi będą jak i dawniej pierwszymi, na których krzyżowcy napadną, ale on otoczy ich swą opieką.

Był przecież ich bratem.

Kupiec Ibrahim nie kłamał nazywając się islamitą. Czczył Allacha i proroka, rozkoszował się arabską poezją i uczonością. Obyczaje muzułmańskie weszły mu w krew; automatycznie dokonywał pięć razy dziennie przepisanych ablucyj, padał pięć razy na ziemię w kierunku Mekki, by mówić słowa modlitwy, a kiedy stał przed wielką decyzją lub przed ważnym posunięciem, przywoływał z potrzeby wewnętrznej Allacha i wypowiadał pierwszą strofę Koranu. Kiedy jednak w sabat zbierał się wraz z innymi żydami Sewilli w dolnych komnatach swego domu, w swoim ukrytym domu modlitwy, żeby czcić Boga Izraela i czytać z Wielkiej Księgi, serce jego ogarniał radosny spokój. Wiedział, że było to wielkie opowiedzenie się i przez to opowiedzenie się za najprawdziwszą prawdą oczyszczał się z półprawd tygodnia.

To Adonai, stary Bóg jego ojców, zapalił go gorzkim, błogim pragnieniem powrotu do Toledo.

Już raz, kiedy na żydów Andaluzji spadło wielkie nieszczęście, jeden z rodu Ibn Esrów, stryj jego, Jehuda Ibn Esra, mógł z Kastylii udzielić swemu narodowi niemałej pomocy. Ów Jehuda, generał ówczesnego Alfonsa Siódmego, utrzymał twierdzę graniczną Calatrava przed naporem muzułmanów i tysiącom, dziesiątkom tysięcy żydów, znajdujących się w opresji, umożliwił ucieczkę i pewne schronienie. Teraz on, były kupiec Ibrahim, będzie miał podobne posłannictwo.

Wróci do tego domu.

Szybka jego, mocna fantazja wskazywała, jaki ten dom będzie. Już tryskała fontanna, już na dziedzińcu wszystko kwitło bujnie. Ciche, barwne życie panowało w komnatach odzwyczajonych od ludzi, noga, zamiast po kamiennym chropawym gruncie, stąpała po kobiercach. Na ścianach widniały hebrajskie i arabskie napisy, wiersze Wielkiej Księgi i poetów muzułmańskich. Wszędzie sączyła się chłodna, kojąca woda, nadając marzeniom i myślom bieg i rytm.

Taki będzie dom i wprowadzi się do niego jako ten, kim jest, jako Jehuda Ibn Esra.

Bez potrzeby przywoływania ich napłynęły wersety błogosławieństwa, mające zdobić jego dom. Wersety z Wielkiej Księgi ojców, która mu odtąd zastąpi Koran. „Albowiem góry się poruszą i pagórki zatrzęsą, lecz miłosierdzie moje nie odstąpi od ciebie i przymierze pokoju mego nie zachwieje się.”

Na twarzy jego pojawił się pusty, błogi uśmiech. Okiem wewnętrznym ujrzał dumne strofy boskiej obietnicy; czarne, niebieskie, czerwone i złote ciągnąć się będą wzdłuż fryzu, zdobiąc ścianę sypialnej komnaty. Wdrażą mu się w serce wieczorem, zanim zaśnie, będą go witać rankiem, kiedy się obudzi.

Podniósł się, wyprostował członki. Będzie mieszkać tu, w Toledo, w starym, nowo urządzonym domu swych ojców, tchnie w biedną, ogołoconą Kastylię nowego ducha, będzie zabiegał o utrzymanie pokoju i udzielenie schronienia uciemżonemu Izraelowi.

Manrique de Lara, pierwszy minister, wyjaśniał królowi don Alfonsowi istotę traktatów, których treść uzgodniono z kupcem Ibrahimem z Sewilli i które wymagały jeszcze jedynie podpisu. Królowa była przy tym obecna. Księżniczki chrześcijańskiej Hiszpanii od dawna współuczestniczyły w pełnieniu władzy; miały przywilej brania udziału w sprawach



państwowych.

Trzy dokumenty sporządzone w języku arabskim leżały na stole. Traktaty były obszerne, don Manrique potrzebował sporo czasu na wyjaśnienie szczegółów.

Król słuchał tylko jednym uchem. Doña Leonor i pierwszy minister musieli go długo namawiać, nim dał się skłonić do przyjęcia niewiernego w poczet tych, którzy mu służą. Przecież to on ponosił główną winę za twarde traktat pokojowy, który wtedy, piętnaście miesięcy temu, musiał podpisać.

Ten traktat pokojowy! Panowie jego wytłumaczyli mu, że jest korzystny. Don Alfonso nie musiał, jak się tego obawiał, wydać twierdzy Alarcos, ukochanego miasta, które zdobył na nieprzyjaciela w swej pierwszej wyprawie i włączył do swego państwa, również wyznaczona suma odszkodowania nie była zbyt wysoka. Ale osiem lat zawieszenia broni! Młody, porywczy, żołnierz w każdym calu, nie wyobrażał sobie, żeby mu starczyło cierpliwości na przyglądanie się, jak to w ciągu nieskończonej długich lat ośmiu niewierni będą chęłpić się swym zwyczajem. I z tym człowiekiem, który wymusił na nim haniebną traktat, ma teraz zawrzeć drugą umowę, brzemienną w skutki! Człowieka tego ma mieć teraz zawsze koło siebie, ma ciągle słuchać jego podejrzanych projektów! Z drugiej strony rozumiał powody, na które powoływali się jego mądra królowa i wypróbowany przyjaciel, Manrique: odkąd zmarł Ibn Szoszan, jego poczciwy, bogaty Hebrajczyk, coraz trudniej było zdobywać od wielkich handlarzy i bankierów świata pieniądze; nie pozostawał nikt poza tym Ibrahimem w Sewilli, kto by mógł mu dopomóc w pieniężnych kłopotach.

Zamyślony, słuchając ospale słów Manriquego, przyglądał się donii Leonor.

Nieczęsto widywano ją na zamku królewskim w Toledo. Urodziła się w księstwie Akwitanii, w łagodnej południowej Francji, gdzie panowały dworskie wytworne obyczaje. Życie w Toledo, choć to miasto już od stu lat pozostawało w rękach królów Kastylii, ciągle jeszcze wydawało jej się nieokrzesane jak w obozie polowym. Rozumiejąc, że don Alfonso musi spędzać większą część czasu w swojej stolicy, w pobliżu odwiecznego wroga, sama wolała przebywać ze swym dworem w Kastylii północnej, w Burgos, blisko ojczyzny.

Alfonso, który z nikim o tym nie mówił, wiedział dokładnie, dlaczego doña Leonor przybyła tym razem do Toledo. Stało się to z pewnością na prośbę don Manriquego. Ten jego minister i drogi sercu przyjaciel uznał niewątpliwie, że bez jej pomocy nie skłoni go do mianowania niewiernego kanclerzem. Zorientował się przy tym szybko w konieczności tego kroku, który by uczynił i bez pomocy donii Leonor. Ale był zadowolony, że się wzbraniał tak długo; miło mu było mieć koło siebie donię Leonor.

Jak starannie się ubrała, a przecież chodziło tylko o raport poczciwego Manriquego. Zawsze przywiązywała wagę do tego, żeby wyglądać uroczo i równocześnie po książęcemu. Śmieszyło go to trochę, ale i napełniało zadowoleniem. Była jeszcze prawie dzieckiem, kiedy przed piętnastu laty opuściła dwór swego ojca, Henryka angielskiego, by mu zostać oddaną za żonę. Ale przez wszystkie te lata zachowała w jego ubogiej, surowej Kastylii, gdzie wskutek ciągłych wojen niewiele pozostawało czasu na kurtuazję, pociąg do tego, co dworskie i wytworne.

Ciągle jeszcze mimo lat dwudziestu dziewięciu dziecinna, siedziała tu teraz w ciężkiej, wspaniałej sukni. Choć niewysokiego wzrostu, wyglądała postawnie dzięki diademowi, który podtrzymywał jej gęste, jasne włosy. Spod wysoko, szlachetnie sklepionego czoła patrzyły wielkie, mądre zielone oczy może nieco chłodno i badawczo; ale lekki, nieokreślony uśmiech czynił spokojną twarz ciepłą i miłą.

Łatwo było jego ukochanej donii Leonor podrwiwać sobie z niego. Bóg dał mu rozum, rozumiał równie dobrze jak ona i ojciec jej, król angielski, że gospodarka kraju jest nie mniej

ważna od wojaczki. Ale wymyślne ścieżki, choćby nawet pewniej prowadziły do celu niż miecz, były dlań za powolne i zbyt nudne. Był żołnierzem, nie rachmistrzem, żołnierzem i tylko żołnierzem. Było to w czasach, w których Bóg nakazał księżętom chrześcijańskim niezmordowaną walkę z niewiernymi, rzeczą dobrą.

Również i doña Leonor pozwoliła wędrować swym myślom. Widziała na twarzy swego Alfonsa sprzeczności, które się w nim rozgrywały: jak rozumie i poddaje się, jak zgrzyta zębami i buntuje się. Mężem stanu nie był. Nikt nie wiedział tego lepiej od niej, córki króla i królowej, których śmiała i podstępna polityka od dziesięcioleci trzymała w napięciu cały świat. Był bardzo mądry, kiedy tylko chciał, ale jego dzikie usposobienie uderzało raz po raz w mur jego rozsądku. I właśnie z powodu tej gwałtownej jego, radosnej energii kochała go.

— Widzisz, miłościwy królu, i ty, donio Leonor — kończył swój wywód don Manrique — że nie odstąpił od żadnego ze swych warunków. Ale też daje więcej, niż mógłby to uczynić ktokolwiek inny.

Don Alfonso powiedział gniewnie:

— A na dodatek bierze sobie castillo. Jako alboroque!

Alboroque nazywano zwyczajowy dar, przypieczętowany zawarcie układu.

— Nie, panie — odrzekł don Manrique. — Wybacz, że zapomniałem powiedzieć ci to. Nie chce, żeby castillo został mu darowany. Chce go kupić. Za tysiąc złotych maravedi.

Była to olbrzymia suma, o wiele większa niż wartość starej ruiny. Taki szeroki gest, taka hojność godne były wielkiego pana; kiedy jednak pozwalał sobie na to jakiś kupiec Ibrahim, czy nie należało uznać tego za czelność? Alfonso podniósł się, zaczął chodzić po komnacie.

Doña Leonor przyglądała mu się. Ten Ibrahim będzie się musiał niemało natrudzić, żeby mu dogodzić. Był rycerzem, kastylskim rycerzem. Jak dobrze wyglądał! Prawdziwy mężczyzna i równocześnie mimo swoich lat trzydziestu jakże chłopięcy! Leonor spędziła część swego dzieciństwa na zamku Domfront. Stał tam wyrzeźbiony w drzewie wielki, młody i groźny święty Jerzy, który potężnie strzegł zamku. To oblicze przypominała jej raz po raz śmiała, zdecydowana, nieco wychudła twarz Alfonsa. Kochała w nim wszystko. Ognście jasne włosy, krótką brodę, wygoloną dokoła warg tak, by duże wąskie usta mogły się wyraźnie rysować. Najbardziej jednak kochała jego szare, gwałtowne oczy, od których, kiedy go coś poruszało, bił jasny, burzliwy blask. Teraz właśnie tak było.

— Prosi o jeden tylko przywilej — ciągnął Manrique. — Prosi, by wolno mu było zjawić się przed twoim majestatem, panie, i otrzymać dokumenty i podpis z twoich rąk. Emir jego — dodał Manrique — uczynił go rycerzem, Ibrahim przywiązuje wagę do godności. Przypomnij sobie, don Alfonso, że w krajach zamieszkałych przez niewiernych kupiec poważany jest na równi z rycerzem, bo przecież ich prorok sam był kupcem.

Alfonso roześmiał się, nagle odzyskał dobry humor. Kiedy się śmiał, miał wygląd promienny i młodzieńczy.

— Ale nie będę z nim musiał mówić po hebrajsku? — zawołał.

— Posługuje się dobrze rozumiałą łaciną — odrzekł rzeczowo Manrique. — Mówi też nieźle po kastylsku.

Don Alfonso znowu nagle spoważniał.

— Nie mam nic przeciw żydowskiemu alfakimowi — powiedział — ale musicie zrozumieć, że wzdragam się przed zrobieniem z waszego żyda escrivano mayor.

Don Manrique przeszedł znowu do tego, co w ostatnich tygodniach wielokrotnie królowi wyjaśniał: — W ciągu stulecia musieliśmy wojować i zwyciężać, nie mieliśmy czasu zająć się gospodarką. Muzułmanie mieli na to czas. Jeżeli chcemy się im przeciwstawić, potrzebujemy żydowskiej mądrości, ich umiejętności wysławiania się, ich stosunków handlowych. To, że

muzułmanie z Andaluzji przepędzili swych żydów, było dla książąt chrześcijańskich szczęściem. Teraz stryj twój w Aragonii ma swego don Józefa Ibn Esrę, a król Nawarry swego Ben Loracha.

— Również ojciec mój — dodała doña Leonor — ma swego Aarona z Lincoln. Zamyka go od czasu do czasu, ale ciągle wypuszcza i obdarza go ziemią i godnościami.

Don Manrique zakończył:

— Lepiej byłoby dla Kastylii, gdyby nasz żyd Ibn Szoszan nie umarł.

Don Alfonso zasępił się. Przypomnienie rozgniewało go. Już cztery lata temu chciał przedsięwziąć wyprawę przeciw emirowi Sewilli, która się tak źle skończyła, ale stary Ibn Szoszan powstrzymał go od tego. Teraz miejsce jego miał zająć ten Ibrahim z Sewilli — oczekiwali tego doña Leonor i Manrique — by go powstrzymać w szybkich decyzjach. Może dlatego, bardziej jeszcze niż ze względu na stan gospodarki, namawiali go tak żarliwie, by tego żyda zamianował. Uważali go za zbyt porywczego, wojowniczego, nie ufali, że zdobędzie się na chytrą, mizerną cierpliwość, którą musiał mieć król w tych kramarskich czasach.

— W dodatku sporządzone są w języku arabskim! — powiedział z niechęcią, uderzając dłonią w dokumenty. — Nawet nie mogę porządnie przeczytać tego, co tu mam podpisać.

Don Manrique odgadł, o co mu chodziło — chciał odwlec podpisanie.

— Jeśli taki jest twój rozkaz, królu — odpowiedział skwapliwie — każę wygotować traktaty po łacinie...

— Dobrze — odrzekł Alfonso. — Nie zamawiajcie mi więc żyda przed środą.

Audiencja, podczas której miały zostać położone podpisy, odbyła się w małej sali zamkowej. Doña Leonor wyraziła chęć uczestniczenia w ceremonii; i ona była również żyda ciekawa.

Don Manrique był w stroju urzędowym; na złotym łańcuchu, okręconym dokoła szyi, nosił oznakę familiara, tajnego radcy króla, medalion z trzema wieżami — herbem Kastylii.

Również doña Leonor miała na sobie strój uroczysty. Natomiast Alfonso ubrany był po domowemu, w żadnym razie nie tak, jak przystało na akt państwowy; nosił rodzaj kaftana z szerokimi, luźnymi rękawami i wygodne buty.

Wszyscy oczekiwali, że Ibrahim, zgodnie z obyczajem, padnie w obliczu majestatu na kolana. Nie był jednak jeszcze poddanym królewskim, lecz wielkim panem muzułmańskiego mocarstwa światowego. Toteż zjawił się w stroju islamskiej Hiszpanii. Na strój ten narzucony miał niebieski, podbity futrem płaszcz dostojnika, który, zaopatrzony w glejt, udaje się na dwór chrześcijańskiego króla. Poprzestał na powitaniu donii Leonor, don Alfonsa i don Manriquego głębokim ukłonem.

Pierwsza zabrała głos królowa.

— Pokój niechaj będzie z tobą, Ibrahimie z Sewilli — powiedziała po arabsku.

Koła oświecone posługiwały się w chrześcijańskich królestwach Hiszpanii obok łaciny językiem arabskim.

Uprzejmość wobec gościa wymagała, by również i Alfonso zwrócił się do niego po arabsku, co też zamierzał. Jednak arogancja tego człowieka, który nie ukląkł, skłoniła go do posłużenia się łaciną.

— Salve, domine Ibrahim — powitał go mruklawie.

Don Manrique wyjaśnił w paru ogólnikowych zdaniach, w jakim celu przybył kupiec Ibrahim. Tymczasem doña Leonor ze spokojnym, ceremonialnym uśmiechem na ustach przypatrywała się temu człowiekowi z miną wielkiej damy. Był średniego wzrostu, ale wysokie buty i wyprostowana postawa sprawiały, że wydawał się wysoki. Z matowej, brązowej twarzy, okolonej niewielką brodą,

patrzyły spokojne oczy o kształcie migdałów. Była w nich mądrość i odrobina pychy. Z

ramion jego spływał długi, dobrze skrojony niebieski płaszcz. Doña Leonor przypatrywała się z radością kosztownej materii; w świecie chrześcijańskim trudno było o takie gatunki. Kiedy jednak człowiek ten znajdzie się u niej na służbie, może będzie mógł postarać się dla niej o taki materiał, jak również o pewne, wprost cudotwórcze perfumy, o których dużo słyszała.

Król usiadł na czymś w rodzaju kanapy; siedział na pół leżąc, podkreślając swą niedbałą postawę.

— Mam tylko nadzieję — powiedział, kiedy don Manrique skończył — że o te dwadzieścia tysięcy maravedí w złocie, do których wpłacenia się zobowiązujesz, na czas się postarasz.

— Dwadzieścia tysięcy maravedí to dużo pieniędzy — odpowiedział Ibrahim — a pięć miesięcy to czasu niewiele. Ale pieniądze będą w ciągu pięciu miesięcy dostarczone, zakładając, że pełnomocnictwa, które mi przyznaje umowa, nie pozostaną na pergaminie.

— Wątpliwości twoje, Ibrahimie z Sewilli, są zrozumiałe — powiedział król. — Zastrzegłeś sobie pełnomocnictwa wprost niesłychane. Panowie moi wyjaśnili mi, że chcesz położyć rękę na wszystko, czym obdarzyła mnie łaska boża, na moje podatki, moje pieniądze państwowe, moje cła, na moje huty żelaza i saliny. Zdaje się, że nienasycony z ciebie człowiek, Ibrahimie z Sewilli.

Kupiec odpowiedział ze spokojem:

— Ciężko mnie zaspokoić, bo mam ciebie do zaspokojenia, panie. Wyglodniały jesteś ty, ja płacę na razie dwadzieścia tysięcy maravedí w złocie. Ile z tych sum, od których należy mi się mały odsetek, będzie można ściągnąć, pozostaje wątpliwe. Grandowie i ricoshombres to panowie uciążliwi i skorzy do gwałtu. Niechaj królowa wybaczy kupcowi — skłonił się głęboko donii Leonor, posługując się teraz mową arabską — że w jej księżycowej obecności mówi o tak przyziemnych, nudnych sprawach.

Ale don Alfonso nalegał:

— Uważałbym za słuszne, gdybyś, tak jak żyd mój Ibn Szo-szan, poprzestał na godności alfakima. Był to dobry żyd, ubolewam, że odszedł.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, miłościwy królu — odpowie dział Ibrahim — że mi powierzasz spuściznę po tym mądrym człowieku, który pełnił swój urząd z takim powodzeniem. Chcąc jednak służyć ci tak, jak to jest moim gorącym pragnieniem, nie mogłem poprzestać na pełnomocnictwach szlachetnego Ibn Szo-szana — niechaj Allah zgotuje mu wszystkie radości rajju.

Tymczasem król, jak gdyby tamten nic nie powiedział, mówił dalej. Przeszedł teraz na język ojczysty, na poślednią łacinę, na narzecze kastylskie:

— Aleś ty zażądał władania moją pieczęcią, i to, łagodnie mówiąc, uważam za niestosowne.

— Nie mógłbym ściągnąć twoich podatków, panie — odpowiedział kupiec spokojnie i powoli, z trudem posługując się narzeczem kastylskim — gdybym był tylko twoim alfakimem. Musiałem domagać się, żeby zostać twoim escrivano. Gdybym bowiem nie miał twojej pieczęci, nie słuchaliby mnie twoi grandowie.

— Głos twój i dobór twoich słów — odparł don Alfonso — jest skromny, jak przystało. Ale mnie nie zwiedziesz. To, co myślisz, jest bardzo dumne i powiedziałbym — użył mocnego słowa w pośledniej łacinie — że jesteś bezwstydnym.

Tu wtrącił się szybko Manrique:

— Król uważa, że znasz swoją wartość.

— Tak — powiedziała jasnym głosem i bardzo dobrą łaciną doña Leonor — to właśnie ma król na myśli.

Kupiec znowu pokłonił się głęboko, naprzód królowej, potem don Alfonsowi.

— Znam swoją wartość — powiedział — tak samo, jak wartość królewskich podatków. Nie chcecie mnie źle rozumieć — ciągnął dalej — ani ty, pani, ani ty, wielki i dumny królu, ani ty, szlachetny don Manrique. Bóg pobłogosławił tę piękną krainę kastylską licznymi skarbami i możliwościami wprost nieskończonymi. Ale wojny, które twój majestat i jego poprzednicy zmuszeni byli prowadzić, nie dały nam czasu na wykorzystanie tych błogosławieństw. Teraz, królu, postanowiłeś zapewnić twojemu krajowi osiem lat pokoju. Ileż to w ciągu tych ośmiu lat można wydobyć bogactw z twoich gór, z twojej żyznej ziemi i z twoich rzek. Znam ludzi, którzy nauczyć mogą twoich parobków, jak uczynić ich pola wydajniejszymi, zwiększyć liczbę ich bydła. Widzę żelazo, kryjące się w twoich górach w nieskończonych ilościach. Widzę miedź,

lapis lazuli, rtęć, srebro, sprowadzę zręczne ręce, które wszystko to będą wydobywać, przygotowywać, mieszać, gromadzić i kuć. Sprowadzę z krajów islamskich, o królu, ludzi, którzy twoje wytwórnie broni zrównają z poziomem takich wytwórni w Sewilli i Kordobie. Istnieje poza tym materiał, o którym w tych krajach ledwieście słyszeli, materiał zwany papierem, na którym pisze się łatwiej niż na pergaminie i który, kiedy się pozna tajemnicę jego wytwarzania, jest piętnastokrotnie tańszy od pergaminu; nad rzeką twoją Tagiem rośnie wszystko, potrzebne do wytwarzania tego materiału. Wtedy, królowo i królu, wiedza, myślenie, sztuka rymotwórcza staną się w waszych krajach bogatsze i głębsze.

Mówił z rozmachem i przekonywająco, kierował spojrzenie lśniących, łagodnie natarczywych oczu to na króla, to na donię Leonor, którzy słuchali wymownego męża z zainteresowaniem, niemal z przejęciem. Don Alfonso uważał, że to, co ten Ibrahim mówi, jest odrobinę śmieszne, nawet podejrzanę; dóbr nie zdobywało się wysiłkiem i potem, zdohywało się je mieczem. Ale Alfonso posiadał fantazję, widział skarby i kwitnienie, które ten człowiek odmalowywał. Twarz jego opromienił szeroki, radosny uśmiech. Był znowu zupełnie młody, doña Leonor uważała, że jest niezwykle uroczy.

Otworzył usta i powiedział z uznaniem:

— Mówisz dobrze, Ibrahimie z Sewilli, i może będziesz mógł dokonać części tego, co obiecujesz. Wydaje się, że z ciebie mądry, doświadczony człowiek.

Jak gdyby ubolewając, że dał się unieść kramarskiej gadaninie i zdobył się na wyrazy uznania, zmienił gwałtownie ton i powiedział szyderczo:

— Słyszałem, żeś zapłacił wysoką cenę za moje castillo de Castro. Czy masz liczną rodzinę, że potrzebny ci jest tak wielki dom?

— Mam syna i córkę — odparł kupiec. — Ale chętnie otaczam się przyjaciółmi, by zasięgać ich rady i prowadzić z nimi rozmowy. Wielu wzywa również mej pomocy, a udzielanie schronienia tym, którzy go potrzebują, miłe jest Bogu.

— Wydajesz niemało — powiedział król — na służenie swemu Bogu. Wolałbym przekazać ci castillo dożywotnio bez opłaty, jako alboroque.

— Dom — odpowiedział uprzejmie kupiec — nie zawsze zwał się castillo de Castro. Dawniej nazywał się Kasr Ibn Esra i dlatego zależało mi na tym, by go mieć na własność. Panowie rady twojej, o królu, powiedzieli ci chyba, że mimo mego arabskiego nazwiska jestem członkiem rodziny Ibn Esrów, a my, Ibn Esrowie, niechętnie mieszkamy w domach, które do nas nie należą. To nie zuchwalstwo, królu — ciągnął dalej i głos jego brzmiał teraz poufale, pokornie i ciepło — skłoniło mnie do poproszenia o inne alboroque.

Doña Leonor zapytała ze zdumieniem:

— Inne alboroque?

— Pan escrivano mayor — wyjaśnił don Manrique — zażądał i otrzymał od nas prawo, by codziennie z trzód należących do dóbr królewskich dostarczano mu dla jego kuchni baranka.

— Zależy mi na tym przywileju — dodał Ibrahim zwracając się do króla — gdyż podobny przyznał memu stryjowi dostojny cesarz Alfonso. Kiedy bowiem przeniosę się do Toledo i obejmę u ciebie służbę, wrócę przed całym światem do wiary ojców moich, odrzucę imię Ibrahim i znowu Ijędę się nazywał Jehuda Ibn Esra, jak ów stryj mój, który dla twego dziadka utrzymał twierdzę Calatrava. Niech mi wolno będzie, królu i królowo, powiedzieć niemądre, ale szczere słowo: gdybym to mógł uczynić w Sewilli, nie opuszczałbym mojej pięknej ojczyzny.

— Cieszy nas, że szanujesz naszą cierpliwość — powiedziała doña Leonor.

Ale Alfonso zapytał bez ogródek:

— A nie będziesz miał trudności, opuszczając Sewillę?

— Jeżeli zlikwiduję tam swoje interesy — odparł Jehuda — będę miał straty. Innych trudności się nie obawiam. Bóg okazał mi łaskę i zwrócił ku mnie serce emira. Jest to człowiek o wybitnym, szerokim umyśle i gdyby od niego zależało, wolno by mi było i w Sewilli opowiedzieć się otwarcie za wiarą ojców. Zrozumie moje powody i nie będzie mi stał na przeszkodzie.

Alfonso spojrział na człowieka, który stał przed nim w uprzejmej, uniżonej pozie i rozmawiał z nim tak otwarcie i czelnie. Wydawał mu się piekielnie mądry i nie mniej niebezpieczny. Jeżeli zdradził swego przyjaciela emira, to czy dotrzyma wierności jemu, obcemu chrześcijaninowi? Jehuda, jakby zgadując jego myśli, powiedział niemal wesoło:

— Jeżeli opuszczę Sewillę, nie będę mógł oczywiście do niej powrócić. Widzisz, królu, jeżeli nie będę ci dobrze służyć, będziesz mnie miał w swoim ręku.

Don Alfonso odpowiedział krótko, prawie opryskliwie:

— A więc teraz podpisuję.

Dawniej zwykł był kłaść swój podpis po łacinie: „Alfonsus Rex Castiliae”, albo „Ego Rex”; w ostatnich czasach sygnował coraz częściej w języku ludowym, poślednią łaciną, po romańsku, po kastylsku. — Chyba wystarczy ci — powiedział szydlerczo — jeżeli napiszę tylko „Yo el Rey”?

Jehuda odrzekł żartobliwie:

— Wystarczyłyby mi twoje inicjały, wystarczyłyby sam twój podpis, o królu.

Don Manrique podał królowi pióro. Król podpisał trzy dokumenty z ponurą miną, szybko, zuchwale, jak gdyby to była niemila, ale nieuchronna przygoda. Jehuda przyglądał się. Napęniało go zadowolenie z tego, co osiągnął, czuł radosne napięcie w związku z tym, co przyjdzie. Był wdzięczny losowi, swemu Bogu Allachowi, swemu Bogu Adonai. Czuł, jak opada z niego powłoka islamska, odruchowo przypomniła mu się modlitwa dziękczynna, którą musiał odmawiać jako dziecko, ilekroć udało mu się coś osiągnąć: „Pochwalony bądź, Adonai, Boże nasz, któryś pozwolił na to, żem osiągnął ten dzień i żem go przeżył”. Potem i on podpisał dokumenty i podał je królowi pokornie, ale nie bez odrobiny przebiegłego oczekiwania. Ujrzawszy podpis, Alfonso zdziwił się też, podniósł wysoko brwi i zmarszczył czoło; były to obce litery.

— Co to znaczy? — zawołał. — Przecież to nie po arabsku!

— Pozwoliłem sobie, o królu — odświadczył Jehuda uprzejmie — złożyć swój podpis po hebrajsku. — Dodał czołobitnie: — Stryj mój, którego łaska twego dostojnego dziadka podniosła do godności księcia, podpisywał się zawsze tylko po hebrajsku: „Jehuda Ibn Esra Ha-Nassi, Książę”.

Alfonso wzruszył ramionami i zwrócił się ku donii Leonor: był to znak, że uważa audiencję za skończoną.

Ale Jehuda powiedział:

— Proszę o łaskę rękawiczki. — Rękawiczka była symbolem ważnego polecenia, które rycerz dawał rycerzowi; po szczęśliwym wykonaniu polecenia należało rękawiczkę zwrócić.

Alfonso uznał, że w ciągu tej godziny przełknął wystarczającą ilość czelności, i gotował się już do gwałtownej odpowiedzi. Ale powstrzymało go ostrzegawcze spojrzenie donii Leonor. Powiedział więc:

— No dobrze.

Jehuda ukląkł teraz. I Alfonso dał mu rękawiczkę.

Potem jednak, jak gdyby się wstydził tego, co zaszło, i chciał związek swój z tamtym sprowadzić do tego, czym w istocie był, do interesu, powiedział:

— Tak, a teraz postaraj mi się prędko o dwadzieścia tysięcy maravedi.

Za to doña Leonor, skierowawszy na Jehudę badawcze, nieco łobuzerskie spojrzenie swych dużych, zielonych oczu, powiedziała miłym głosem:

— Cieszymy się z poznania ciebie, panie escrivano.

Zanim Jehuda opuścił miasto Toledo, by zlikwidować swoje interesy w Sewilli, odwiedził don Efraima Bar Abbę, przewodniczącego gminy żydowskiej, aliamy.

Don Efraim był niskim, szczupłym panem, dochodzącym do sześćdziesiątki, niepozornym z postawy i stroju; nikt nie poznałby po nim, ile w swym ręku skupiał władzy. Przewodniczący bowiem gminy żydowskiej Toledo był równy księciu. Gmina żydowska, aliama, miała własną jurysdykcję, żaden urząd nie mógł się do niej wtrącać, nie podlegała nikomu z wyjątkiem swego parnasa, don Efraima, i króla.

Don Efraim siedział skulony i przemarznięty w komnacie, zapchanej sprzętami domowymi i książkami. Mimo względnie ciepłej pogody był opatulony w futro; obok niego stał garnek z jarzącym się węglem. O tym, co się rozgrywało na zamku, był dobrze poinformowany i choć nominacja kupca Ibrahima miała być dopiero ogłoszona po jego ostatecznym przeniesieniu się do Toledo, don Efraim wiedział, że kupiec z Sewilli przejął generalną dzierżawę podatków oraz dziedzictwo po alfakimie Ibn Szoszanie. Dzierżawę i stanowisko proponowano jemu samemu, ale interes wydawał mu się zbyt ryzykowny, a stanowisko alfakima właściwie, ze względu na blask, który go otaczał, zbyt niebezpieczne. Znał historię życia kupca Ibrahima, wiedział, że Ibrahim był żydem, ukrywającym swe żydostwo, rozumiał przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne, które go skłaniały do przeniesienia się do Kastylji. Efraim robił nieraz wielkie interesy z nim, nieraz także nie mniejsze interesy przeciw niemu. Było mu niemiło, że teraz ten dwulicowy syn pokolenia Ibn Esra przeniósł główną siedzibę swego przedsiębiorstwa do jego rodzinnego Toledo.

Don Efraim siedział, pocierając grzbiet jednej ręki paznokciem drugiej, i czekał, co mu gość powie. Don Jehuda prowadził rozmowę po hebrajsku; hebrajszczyzna jego była wyszukana i bardzo wytworna. Poinformował na wstępie Efraima, że wydzierżawił dochody skarbu królewskiego w Toledo i Kastylji.

— Jak słyszałem, odrzuciłeś propozycję dzierżawy generalnej — powiedział przyjaźnie.

— Tak — odrzekł Efraim. — Ważyłem, liczyłem i odrzuciłem. Odrzuciłem również dziedzictwo naszego alfakima Ibn Szoszana — niechaj błogosławiona będzie jego pamięć. Stanowisko to wydawało mi się dla skromnego człowieka zbyt błyskotliwe.

— A ja przyjąłem — powiedział prosto don Jehuda.

Don Efraim wstał i skłonił się.

— Sługa twój życzy ci szczęścia, panie alfakimie — powiedział. A ponieważ na twarzy Jehudy pojawił się tylko milczący uśmiech, ciągnął dalej: — A może wolno mi powiedzieć: panie alfakimie mayor?

— Majestat królewski — powiedział don Jehuda, z trudem trzymając w cuglach swój triumf — raczył podnieść mnie do godności jednego ze swoich familiarów. Tak, don Efraimie, będę jednym z czterech tajnych radców, będę zasiadał w Kurii. Będę zarządzał interesami króla, naszego pana, jako jego *escrivano mayor*.

Don Efraim słuchał tego z uczuciem, na które składały się podziw i niechęć, radość i niezadowolony. Myślał sobie: Ile ten śmiałek i gracz musiał za to zapłacić! Dokąd pcha tego durnia jego pycha! Niechaj Wszechmocny broni nas przed tym, by ten człowiek ściągnął na Izrael nieszczęście.

Don Efraim był bardzo zamożny. Pogłoski mówiły o szalonych bogactwach kupca Ibrahima z Sewilli, ale don Efraim wiedział w skrytości ducha, że jeżeli chodzi o dobytek, nie pozostaje w tyle za tym odszczepieńcem i pyszałkiem. Efraim ukrywał swe bogactwo, pozostawał niepozorny. Tymczasem Ibrahim z Sewilli, prawdziwy Ibn Esra, starał się zawsze o to, by dokoła swoich bogactw robić dużo hałasu; a co dopiero czynić będzie ten człowiek, obdarzony zdolnościami, dwulicowy, niebezpieczny, teraz, kiedy wyzywając Boga sięgnął zuchwale po najwyższe godności miasta Toledo.

Efraim powiedział ostrożnie:

— Aliama zawsze pozostawała w bardzo dobrych stosunkach z Ibn Szoszanem.

— Boisz się, don Efraimie? — odparł uprzejmie Jehuda. — Nie obawiaj się. Daleki jestem od tego, by gminę Toledo dotknąć czymkolwiek. Przecież sam będę jej członkiem. Przyszedłem tutaj po to, żeby ci to powiedzieć. Wiesz o tym, że w sercu moim zawsze uważałem wiarę synów Hagar za niezupełnie prawą latorośl naszej starej wiary. Kiedy obejmę tu mój urząd, wrócę do związku Abrahama i wobec całego świata będę nosił imię, dane mi przez ojców: Jehuda Ibn Esra.

Don Efraim usiłował przybrać wygląd radośnie zaskoczonego, ale troska jego wzrosła. Chciał, by jego aliama nie wpadała w oko, tak jak on sam. W tych czasach, kiedy groziła wyprawa krzyżowa, która z pewnością pociągnie za sobą nowe prześladowania żydów, ta rozsądna powściągliwość była podwójnie potrzebna. A teraz ten Ibrahim z Sewilli przez przejście swoje skieruje oczy całego świata na żydostwo w Toledo! Ibn Esrowie od dawna lubili się przechwalać. Puszyli się jak kuglarze na jarmarku. Dotychczas jednak siedzieli przynajmniej tylko w Saragossie, w Lon-groño, w Tuluzie, Toledo Efraima pozostało wolne od nich. A teraz miał na karku tego oto najpotężniejszego i najniebezpieczniejszego ze wszystkich.

Pobożny i bardzo mądry Efraim nie chciał być niesprawiedliwy. Ibn Esrowie ze swoim przepychem i swoją żądzą wielkości byli jego duszy obcy, ale, przyznawał to bez zastrzeżeń, byli pierwszym rodem wśród Sefardyjczyków, żydów hiszpańskich; wydali spośród siebie uczonych, poetów, żołnierzy, kupców i dyplomatów, których nazwiska nie tylko lśniły blaskiem w świecie żydowskim, lecz również wśród muzułmanów i chrześcijan. Przede wszystkim jednak w tym stuleciu pomogli wspaniałomyślnie żydom w ich udręce, wykupili tysiące z niewoli pogańskiej, tysiącom dali schronienie w Sefarad i w Prowansji. Również i siedzący przed nim Ibn Esra odznaczał się licznymi wysokimi zaletami, w trudnych

warunkach wyrósł na pierwszego kupca w Sewilli. Czy jednak człowiek o takiej żądzy sławy jak on i o takiej zbrodniczej bucie mimo to nie był dla Izraela raczej niebezpieczeństwem niż błogosławieństwem?

O wszystkim tym myślał Efraim w ciągu trzech sekund, które nastąpiły po oświadczeniu don Jehudy. W czwartej powiedział pokornie:

— Wielki to dla nas zaszczyt, don Jehudo, że do nas przychodzisz. Bóg posłał aliamie w Toledo w odpowiedniej chwili odpowiedniego człowieka, by nią kierował. Musisz mi bowiem pozwolić, bym do twoich ciężarów dołączył nowy i złożył w twoje ręce mój urząd.



W skrytości ducha myślał: Boże wszechmogący, nie karz Izraela za surowo! Zmieniłeś serce tego meszummada, tego odszczepieńca, by powrócił do nas. Nie pozwól mu, żeby tu, w Toledo, rozwinął zbyt wiele przepychu i dumy, nie dopuść, by wzrosła niechęć i nienawiść gojów do Izraela!

Tymczasem Jehuda powiedział:

— Ależ nie, don Efraimie. Któż lepiej od ciebie mógłby kierować sprawami aliamy? Ale będę dumny, jeżeli kiedyś W sabat wezwiecie mnie do odczytania rozdziału z Pisma, jak każdego innego dobrego żyda. Już dziś, don Efraimie, musisz mi pozwolić na to, bym nieco polepszył los waszych biednych. Pozwól, żebym ci przekazał niedużą sumę, powiedzmy, pięćset maravedi w złocie.

Był to dar, jakiego gmina Toledo nigdy jeszcze nie otrzymała; zuchwała, kuglarska, grzeszna zarozumiałość Jehudy przeraziła don Efraima i oburzyła go. Nie, jeśli ten człowiek będzie chodził po Toledo w swej czelnej glorii, Efraim nie będzie mógł pozostawać dłużej parnasem aliamy.

— Zastanówcie się jeszcze nad tym, don Jehudo — prosił. — Aliama nie powinna bowiem zadowolić się i nie zadowoli się Efraimem, kiedy w Toledo zamieszka Jehuda Ibn Esra.

— Nie szydź ze mnie — odrzekł Jehuda ze spokojem. — Nikt nie wie lepiej od ciebie, że aliama nie chce mieć za swego przywódcę człowieka, który przez lat czterdzieści pozostawał przy wierze synów Hagar i codziennie pięciokrotnie opowiadał się za Mahometem. Ty sam nie chciałbyś, żeby przewodniczącym gminy w Toledo był meszummad. Przyznaj to.

Efraim poczuł znowu niechęć i podziw zarazem. Sam nie poruszył ani słowem skazy Jehudy, ale ten człowiek mówi o tym z bezwstydną szczerością, ba, z dumą, z przekłątą dumą Ibn Esrów.

— Nie mam prawa sądzić cię — powiedział.

— Pomyśl o tym, panie mój i nauczycielu, Efraimie — powiedział don Jehuda i spojrzał tamtemu prosto w twarz — że synowie Hagar od czasu owej pierwszej okrutnej zniewagi nie zrobili mi żadnej krzywdy. Przeciwnie, byli w stosunku do mnie łagodni jak woda różana, karmili mnie tłuszczem swego kraju. Polubiłem ich obyczaje i choć serce moje wzdraga się przy tym, niektóre ich zwyczaje przyrosły do mnie. Może się zdarzyć, że stojąc przed ważną decyzją z przyzwyczajenia serca zawołam Boga Mahometa

i wypowiem pierwsze strofy modlitwy Koranu. Czy nie przyznasz, don Efraimie, że gdyby coś takiego doszło do twoich uszu, uległbyś pokusie rzucenia na mnie wielkiej klątwy, cheremu?

Don Efraim poczuł rozgoryczenie, wywołane tym, że tamten znowu odgadł go dokładnie. Mimo swej wspaniałomyślnej decyzji ten Jehuda był z pewnością zuchwalcem i wolnomyślicielem; istotnie, Efraima urzekła na chwilę wizja, jak to z almemosu synagogi przy dźwięku szofaru, baraniego rogu, obwieści klątwę na tamtego. Były to jednak płonne marzenia: równie dobrze mógł rzucić klątwę na wielkiego kalifa albo na władcę swego, króla.

— Żaden inny ród nie uczynił tyle dla Izraela, co rodzina Ibn Esrów — odpowiedział uprzejmie i wymijająco. — Wiadomo jest również, że ojciec przeznaczył cię na odszczepieńca, zanim miałeś lat trzynaście.

— Czy czytałeś pismo okrężne — zapytał Jehuda — w którym pan nasz i nauczyciel, Mojżesz Ben Maimon, broni tych, którzy pod przymusem opowiedzieli się za Mahometem?

— Prosty ze mnie człowiek — odrzekł niechętnie don Efraim — nie mieszam się w dysputy, które prowadzą rabini.

— Nie sądz, don Efraimie — powiedział ciepło Jehuda — że minął choćby dzień, w którym nie myślałbym o nauce. W suterrenach mego domu w Sewilli mieści się synagoga; w

wielkie święta zbieraliśmy się razem w dziesięciu i odprawialiśmy modły zgodnie z przepisami. Postaram się o to, by synagoga moja w Sewilli pozostała, nawet kiedy się tutaj osiedlę. Emir Abdullah ma szeroki gest i jest moim przyjacielem; przymknij na to oczy.

— Kiedy masz zamiar przybyć do Toledo? — dopytywał się don Efraim.

— Myślę, że za jakieś trzy miesiące — odparł Jehuda.

— Czy mogę prosić, żebyś był wtedy moim gościem? — zaproponował Efraim. —

Dom mój jest oczywiście skromny.

— Dziękuję ci — odrzekł Jehuda — postarałem się już o pomieszczenie. Nabyłem u króla, pana naszego, castillo de Castro. Każę go przebudować dla siebie, dla moich dzieci, przyjaciół i dla mojej służby.

Don Efraim nie potrafił ukryć głębokiego przerażenia.

— Castrowie — ostrzegał — są jeszcze bardziej mściwi i brutalni niż inni ricoshombres. Gdy król zabrał im domostwo, odpowiedzieli dzikimi groźbami. "Jeżeli jakiś żyd tam zamieszka, będą to uważali za bezprzykładną zniewagę. Namyśl się nad tym dobrze, don Jehudo. Castrowie są bardzo potężni i mają licznych zwolenników... Podniosą pół państwa przeciw tobie i przeciw Izraelowi.

— Dziękuję ci za ostrzeżenie, don Efraimie — powiedział Jehuda. — Wszechmocny dał mi nieustraszone serce.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W Toledo zjawił się z listami gwarancyjnymi króla intendent i sekretarz don Jehudy, Ibn Omar. Wraz z nim przybyli muzułmańscy architekci i rzemieślnicy. W castillo de Castro zapanował wielki ruch: energia i rozrzutność, z jaką dokonywano przebudowy, poruszyły miasto. Potem przybyła do Sewilli różnego rodzaju służba, a następnie sprowadzono trzydzieści mułów i tuzin koni oraz na licznych wozach różnorodny sprzęt domowy: coraz nowe pogłoski krążyły dookoła tego, który miał przybyć.

Wreszcie zjawił się. Z córką Rachelą, synem Alazarem i zaufanym swoim przyjacielem, lekarzem Mużą Ibn Daudem.

Jehuda kochał swoje dzieci i zastanawiał się nad tym, czy wychowane w przerafinowanej Sewilli będą się umiały dostosować do surowego trybu życia Kastylii.

Żadnemu czynów czternastoletniemu Alazarowi surowy, rycerski świat oczywiście się spodoba; ale jak będzie z Rachelą, jego ukochaną Rechią?

Patrzył na jadącą obok niego konno córkę czule i nie bez troski. Jechała, jak to było w zwyczaju, w stroju męskim. Siedziała w siodle młodzieńcza, nieco kanciasta, odważna i dziecinna. Czapka z trudem utrzymywała w porządku bujne, czarne włosy. Dużymi, niebieskoszarymi oczyma przyglądała się uważnie mieszkańcom i domom miasta, które miało stać się teraz jej ojczyzną.

Jehuda wiedział, że nie będzie szczędziła wysiłków, by uczynić Toledo swoją ojczyzną. Zaraz po powrocie do Sewilli wyłożył jej, co go stamtąd wypędza. Mówił z siedemnastolatką z taką swobodą i szczerością, jak gdyby była mu równa wiekiem i doświadczeniem. Czuł, że jego Rachelą, choć czasami taka dziecinna, rozumie go siłą uczucia. Należała do niego, była — dowiodła tego właśnie owa rozmowa — z rodu Ibn Esrów, dzielna, rozsądna, podatna na wszystko, co nowe, pełna uczucia i fantazji.

Czy jednak zżyje się tutaj z chrześcijanami i żołnierzami? Czy w ogołoconym, zimnym Toledo nie będzie musiała odczuwać braku swojej Sewilli? Tam wszyscy ją lubili. Miała nie tylko przyjaciółki wśród rówieśnic, ale również panowie z otoczenia emira, ci wykształceni dyplomaci, poeci i artyści, znajdowali przyjemność w naiwnych, dziwnych pytaniach i spostrzeżeniach tej Racheli, która była jeszcze dzieckiem.

Tak czy inaczej byli teraz w Toledo, a to było castillo de Castro; wzięli je w posiadanie i teraz będzie to castillo Ibn Esra.

Jehuda był radośnie zaskoczony tym, co jego wypróbowani pomocnicy zrobili w tak krótkim czasie z nieprzydatnego domu. Kamienne posadzki, na których dawniej służyła się każdy krok, były pokryte miękkimi, grubymi dywanami. Pod ścianami stały kanapy z wygodnymi poduszkami i oparciami. Dookoła biegły czerwone, niebieskie i złote fryzy; napisy arabskie i hebrajskie, ozdobione artystycznymi ornamentami, przyciągały oczy. Małe fontanny, wprawione w ruch przez mądre pomyślany system rur, dawały ochłodę. Obszerne pomieszczenie zajmowały księgi Jehudy; niektóre leżały otwarte na pulpitych, ukazując kunsztowne, barwne inicjały i marginesy.

A oto patio, ów dziedziniec, na którym powziął wówczas wielką decyzję, oto fontanna, na której brzegu siedział. Dokładnie tak, jak umyślił, struga wznosiła się i opadała z równomiernym spokojem. Ciemna gęstwina drzew pogłębiała ciszę; poprzez liście widać było jaskrawożółte pomarańcze i matowożółte cytryny. Drzewa były przystrzyżone, barwne, kunsztowne, grządki uporządkowane, wszędzie cicho szemrała woda.

Doña Rachelą obejrzała nowy dom wraz z innymi uważnie, niewiele mówiąc,

zadowolona w głębi duszy. Potem objęła w posiadanie dwie przeznaczone dla niej komnaty, zdjęła ciasny, szorstki strój męski, zabrała się do obmywania ciała z potu i kurzu drogi.

Obok jej sypialni mieściła się łazienka. W kamienną podłogę wmurowany został głęboki basen, zaopatrzony w rury na ciepłą i zimną wodę. Doña Rachel, której usługiwały piastunka Saad i pokojowa Fatima, wzięła kąpiel. Rozkoszując się ciepłą wodą słuchała jednym uchem paplaniny piastunki i służebnej.

Po chwili przestała słuchać i zatoneła w rozmyślaniach.

Wszystko było jak w Sewilli, nawet wanna, w której leżała. Ale ona sama nie była Rechią, była donią Rachelą.

W podróży pod wpływem coraz nowych wrażeń ani razu nie uświadomiła sobie w całej pełni, co to oznacza. Teraz, kiedy przybyła na miejsce i leżała spokojnie w kąpieli, po raz pierwszy opadła ją z całą mocą świadomość zmiany. Gdyby była jeszcze w Sewilli, pobiegłaby do swej przyjaciółki Layli, żeby się przed nią wygadać. Layla była niemądrą dziewczyną, nic nie rozumiała i nie mogła jej pomóc, ale była jej przyjaciółką. Tu przyjaciółki nie miała, otaczali ją sami obcy, wszystko było obce. Nie było tu meczetu Azhar. Wołanie muezina z meczetu Azhar, wzywające do modlitwy i ablucji, było krzykliwe, ale Rachel, poznała zawsze, który to muezin woła. Nie było tu również chatiba, który by jej wytłumaczył trudne miejsca Koranu. Z niewieloma tylko mogła tu gawędzić po arabsku, posługiwać się tym językiem, który lubiła i dobrze знаła. Będzie musiała uciekać się do mowy twardej, śmiesznej, będą ją otaczali ludzie o brutalnych głosach i ruchach,

o nieokrzesanych myślach. Kastyljczycy, chrześcijanie, barbarzyńcy.

W jasnej, cudownej Sewilli czuła się szczęśliwa. Ojciec jej należał tam do pierwszych, wszyscy lubili ją już choćby dlatego, że była córką tego ojca. Jak będzie tutaj? Czy ci chrześcijanie rozumieją, jak wielkim człowiekiem jest jej ojciec? Czy będą mieli zrozumienie dla jej istoty i sposobu życia? Czy nie będzie się im wydawała równie obca i śmieszna, jak jej wydają się obcy i śmieszni chrześcijanie? A poza tym zaszła inna, jeszcze większa odmiana: teraz była w obliczu całego świata żydówką.

Wyrosła w wierze muzułmańskiej. Kiedy jednak była jeszcze zupełnie mała — było to zaraz po śmierci matki, mogła mieć lat pięć — ojciec wziął ją na bok i powiedział szeptem, ale dobitnie, że należy do rodziny Ibn Esrów, że jest to coś wyjątkowego, bardzo wielkiego, ale i tajemniczego, coś, o czym nie wolno mówić. Później, kiedy podrosła, wtajemniczył ją, że jest muzułmaninem, ale i żydem, i opowiadał jej o żydowskich naukach i obyczajach. Nie kazał jednak stosować tych zwyczajów. Pewnego razu zapytała go, w co ma wierzyć i co czynić. Odpowiedział serdecznie, że nie ma tu przymusu; kiedy będzie dorosła, wtedy niech sama rozstrzygnie, czy zaszczytną, lecz nie pozbawioną niebezpieczeństwa tajemną przynależność do żydostwa chce wziąć na siebie.

Napełniło ją dumą, że ojciec pozostawiał jej decyzję.

Pewnego razu nie potrafiła panować już dłużej nad sobą i wbrew swej woli zwierzyła się przyjaciółce, że właściwie należy do rodziny Ibn Esrów. Rzecz dziwna, Layla odpowiedziała:

— Wiedziałam to. — A po chwili dodała: — Biedactwo.

Odtąd Rachel nigdy już nie mówiła z Laylą o swej tajemnicy.

Kiedy jednak były po raz ostatni razem, Layla, cała we łzach, powiedziała:

— Przeczuwałam, że tak będzie.

Ta zuchwała, głupia litość Layli skłoniła wtedy Rachelę do dokładniejszego zgłębienia, kim właściwie byli ci żydzi, do których należeli i ona, i ojciec? Muzułmanie nazywali ich „narodem Księgi”; musiała więc przede wszystkim Księgę tę przeczytać.

Poprosiła Muzę Ibn Dauda, wujaszka Muzę, który mieszkał w domu jej ojca, był bardzo

uczony i znał wiele języków, by ją wtajemniczył w język hebrajski. Nauczyła się go łatwo i po niedługim czasie mogła czytać Wielką Księgę.

Od najwcześniejszych lat czuła pociąg do wuja Muzy, ale poznała go dobrze właściwie dopiero podczas godzin nauki. Ten najbliższy przyjaciel jej ojca był wysokim, szczupłym panem, starszym od jej ojca; czasami wydawał się wprost prastary, to znowu robił wrażenie uderzająco młodego. Ze szczupłej twarzy sterczał mięsisty, mocno zakrzywiony nos, a nad nim lśniły wielkie, piękne oczy, które umiały przejrzeć każdego na wskroś. Wiele przeżył; ojciec opowiadał, że swą olbrzymią wiedzę i wolność ducha okupić musiał wieloma cierpieniami. Ale nie mówił o tym. Za to opowiadał czasami dziecku o dalekich krajach i dziwnych ludziach. Było to jeszcze bardziej ciekawe niż wszystkie bajki i historie, których Rachelę często słuchała i wyczytywała, gdyż tu siedział przed nią jej przyjaciel i wujaszek Muza i sam miał z tym wszystkim do czynienia.

Muza był muzułmaninem i trzymał się starych obyczajów. Ale należał w sprawach wiary do sceptyków i nie ukrywał niemałych wątpliwości w stosunku do wszystkiego, co nie było wiedzą. Raz, kiedy czytał z nią proroka Izajasza, powiedział:

— Był to wielki pisarz, może większy od proroka Mahometa i od proroka chrześcijan.

Wywołało to zawrót głowy. Czy w ogóle wolno było jej, która wyznawała wiarę proroka, rozczytywać się w Wielkiej Księdze żydów? Jak wszyscy muzułmanie odmawiała co dzień werset wstępny Koranu; w strofie siódmej, ostatniej, była mowa o tym, żeby Allah trzymał swych wiernych z dala od tych, na których się gniewał. Przyjaciel jej, chatib z meczetu Azhar, powiedział jej, że słowa o odepchniętych od łaski mają się odnosić do żydów, to bowiem, że Allah gniewa się na nich, wynika z rozmiarów nieszczęścia, jakie na nich sprowadził. Czy nie szła więc po fałszywej drodze, rozczytując się w Wielkiej Księdze? Odważyła się zapytać o to Muzę. Ten patrzył na nią długo i przyjaźnie, po czym dał wyraz pogładowi, że do nich, do rodu Ibn Esrów, Allah wyraźnie nie czuje gniewu.

To przekonało Rachelę. Czyż nie było to dla każdego oczywiste, że Allah był dla jej ojca łaskawy? Nie tylko dał mu wszelaką mądrość i najłagodniejsze serce; pobłogosławił go również wszystkimi dobrami doczesnymi i wielką sławą.

Rachelę kochała swego ojca. Był w jej oczach wcieleniem wszystkich bohaterów barwnych, pełnych przepychu bajek i opowiadań, których tak chętnie słuchała, dostojnych władców, mądrych wezyrów, uczonych lekarzy, panów ze świt dworskich i czarodziejów oraz płonących miłością młodzieńców, do których lgną kobiety. Poza tym ojca otaczała wielka, niebezpieczna tajemnica: był Ibn Esrą.

Ze wszystkich przeżyć najgłębiej wżarła się jej w serce owa prowadzona szeptem rozmowa, w której ojciec objawił dziecku, że należy do rodu Ibn Esrów. Potem jednak rozmowa zeszała w cień pod wpływem jeszcze ważniejszej. Kiedy mianowicie ojciec powrócił ze swej wielkiej podróży do północnego Sefarad, do chrześcijańskiej Hiszpanii, wziął ją na bok i półgłosem, jak wówczas, mówił z nią o niebezpieczeństwach, które na wypadek wojny grożą tu w Sewilli żydom, ukrywającym swe pochodzenie. Potem, jakby opowiadał bajki, żartobliwie ciągnął dalej:

— I tu, o wierni, zaczyna się historia o trzecim bracie, który z jasnego, spokojnego dnia powędrował w matowo lśniący mrok piekła.

Rachelę pojęła od razu i zapytała tonem tych, którzy słuchają bajek:

— I cóż się z tym człowiekiem stało?

— Aby się o tym dowiedzieć — odrzekł ojciec — pójdę do mrocznego piekła.

Mówiąc to nie spuszczał z niej wzroku. Zostawił jej chwilę czasu na zorientowanie się w tym, co jej objawił, potem ciągnął dalej:

— Kiedy, córko moja, byłaś dzieckiem, powiedziałem ci, że będziesz musiała wybierać. Teraz przyszła na to pora. Ani ci odradzam, żebyś poszła w moje ślady, ani cię namawiam. Jest tu wielu mężów młodych, mądrych, wykształconych, wybitnych, którzy radzi by mieć cię za żonę. Jeżeli chcesz tego, dam ci jednego z nich i nie będziesz musiała wstydzić się swego posagu. Namyśl się dobrze, za tydzień zapytam cię, jak postanowiłaś.

Ale ona odrzekła bez wahania:

— Czy ojciec mój chce mi wyświadczyć tę łaskę i zapytać mnie już dzisiaj, teraz?

— A więc zapytuję cię teraz — odpowiedział ojciec, a ona odrzekła:

— To, co czyni ojciec mój, jest słuszne. Chcę postąpić tak jak on.

Był rozczulony, że czuje się taka z nim wewnętrznie związana, na twarzy jego pojawił się wyraz wielkiej radości.

Potem opowiedział jej o pełnym przygód świecie żydów. Zawsze musieli żyć wśród niebezpieczeństw, i teraz zagrażali im muzułmanie i chrześcijanie; była to wielka próba ze strony Boga, która uczyniła ich jedynymi i wybranymi. W narodzie tym, powołanym i długo doświadczanym, było pokolenie wybrane: ród Ibn Esrów. To Bóg nałożył jemu, jednemu z tych Ibn Esrów, posłannictwo. Usłyszał on głos Boga i odpowiedział: Oto jestem. Dotychczas żył na skraju żydowskiego świata, teraz musi wejść w środek tego świata. Przez to, że ojciec pozwolił jej spojrzeć w swe wnętrze, że ufał jej tak, jak ona jemu, uczynił z niej część siebie.

Teraz, dotarłszy do miejsca swego przeznaczenia, odprężywszy się w kąpieli, słyszała w duchu wszystkie jego słowa. W słowa te wkładało się ledwie dosłyszalne gwałtowne łkanie jej przyjaciółki, Layli. Ale Layla była małą dziewczynką, nic nie wiedziała i niczego nie rozumiała i Rachela czuła wdzięczność wobec losu, że ją uczynił Ibn Esrą, była teraz szczęśliwa i pełna oczekiwania.

Obudziła się ze swych marzeń i znowu słuchała gadaniny swojej drogiej, głupiej starej piastunki Saad i ruchliwej Fatimy. Kobiety biegały z łazienki do sypialni i z powrotem, nie mogły się oswoić z nowym otoczeniem. Rachelę śmieszyło to, zachowywała się teraz dziecinnie i naiwnie. Podniosła się, spojrzała na siebie. Ta naga, ociekająca wodą, jasnobrązowa dziewczyna nie była już Rechią, lecz donią Rachelą Ibn Esrą.

Śmiejąc się swawolnie zapytała starą:

— Czy jestem teraz inna? Widzisz, że jestem inna? Powiedz prędko! — Ponieważ stara nie od razu zrozumiała, zaczęła nalegać, ciągle się śmiejąc: — Przecież jestem teraz Kastylijką, tole-danką, żydówką!

Zbita z tropu piastunka Saad paplała dyszkantem:

— Nie obwiniajże się, Rechio, ty moje oczko w głowie, moja córeczko. Przecież wierzysz w proroka.

Rachela odpowiedziała, wciąż się śmiejąc:

— Na brodę proroka, piastunko moja, nie wiem dobrze, jak dalece tu w Toledo wierzę w proroka.

Stara, głęboko przerażona, cofnęła się.

— Niechaj Allah czuwa nad twym językiem, Rechio, córko moja — powiedziała. — Nie powinnaś robić takich żartów.

Ale Rachela odrzekła:

— Masz mnie nazywać Rachelą! Będziesz mnie odtąd nazywać Rachelą! — I zawołała: — Rachelo, Rachelo! — Potem dodała: — Powtórz!

Powiedziawszy to opadła znowu w wodę, obryzgując starą.

Kiedy Jehuda zameldował się na królewskim zamku, don Al-fonso przyjął go natychmiast.

— A więc — zapytał z suchą uprzejmością — cóżeś, mój escri-vano, osiągnął?

Jehuda złożył sprawozdanie. Jego repositari, znawcy prawa, zajęci byli rewidowaniem i uzupełnianiem list podatków i opłat; w ciągu kilku tygodni przedłoży dokładne cyfry. Stu trzydziestu rzeczoznawców wezwanych zostało do kraju, przeważnie z obszarów muzułmańskich, ale również i z Prowansji, Włoch, nawet z Anglii. Zadaniem ich było poprawienie stanu gospodarki rolnej, górnictwa, przemysłu i sieci dróg. Jehuda przytaczał szczegóły, cyfry wymieniał z pamięci.

Zdawało się, że król słucha nieuważnie. Kiedy jednak Jehuda skończył, powiedział:

— Czy nie było kiedyś mowy o nowych, wielkich stadninach, które mi miałeś założyć? W sprawozdaniu twoim nic o tym nie słyszałem. Zapowiadałeś również, że urządzisz warsztaty złotnicze, w których można by toczyć złote monety. Czy przedsięwziąłeś coś w tym kierunku?

W licznych swych memorandach Jehuda wymienił jeden jedyny raz sprawę hodowli koni, jeden jedyny raz sprawę urządzenia warsztatów, które by tłoczyły złote monety. Był zdziwiony dobrą pamięcią don Alfonsa.

— Z pomocą bożą i twoją, królu — odpowiedział — może będzie możliwe nadrobić w ciągu stu miesięcy to, co zostało zaniedbane w ciągu stu lat. Nie wydaje mi się, żeby to, co zostało zrobione w ciągu tych trzech miesięcy, było złym początkiem.

— Tak, dokonane zostało niejedno — przyznał król. — Ale nie mam wprawy w sztuce czekania. Mówię ci to otwarcie, don Jehudo, że szkoda, którą mi wyrządzasz, wydaje mi się większa od korzyści. Dawniej baronowie moi, acz niechętnie i z zastrzeżeniami, płacili podatki dodatkowe na cele wojenne; były to, jak mi mówiono, główne dochody mego skarbcza. Teraz, kiedyś został moim escrivano, powołują się na długi pokój, który się przed nami otwiera, i nic więcej nie płacą.

Jehuda był dotknięty, że król z taką niewdzięcznością przyjmował to, co zostało osiągnięte, że robił mu wyrzuty. Ubolewał, że doña Leonor wróciła do Burgos. Jej świetlana, pogodna obecność nadałaby rozmowie obrót serdeczniejszy. Ale przełknął swą niechęć i odpowiedział z uniżoną ironią:

— Pod tym względem grandowie twoi podobni są do twoich nieuprzywilejowanych poddanych. Kiedy chodzi o cyfry, wszyscy szukają wybiegów. Ale argumenty twoich baronów są wątle i moi wyszkoleni repositari mogą je bez trudu obalić. Wkrótce poproszę cię z całą pokorą o podpisanie upomnienia, skierowanego do twoich ricoshombres.

Jakkolwiek bezwstyd i pycha grandów napełniały króla goryczą, gniewało go, że żyd mówi o nich bez szacunku. Nalegał:

— To ty narzuciłeś mi te piekielne osiem lat pokoju. Teraz muszę radzić sobie przy pomocy kramarskich i pisarskich kruczków.

Jehuda opanował się.

— Panowie twojej rady — odparł — przyznali wówczas, że długi pokój jest dla ciebie równie korzystny jak dla emira Sewilli. Rolnictwo i przemysł są wielce zaniedbane. Baronowie twoi uciskają mieszczan i chłopów. Potrzebujesz pokoju, żeby to zmienić.

— Tak — powiedział Alfonso z goryczą — muszę wojnę z niewiernymi pozostawić innym, a ty działasz i robisz interesy.

— Nie chodzi o interesy, królu — pouczał swego pana Jehuda, nie tracąc cierpliwości. — Grandowie twoi rozzuchwalili się, ponieważ potrzebowaleś ich podczas wojny; chodzi o nauczenie ich, że jesteś królem.

Alfonso podszedł bardzo blisko do Jehudy i patrzył mu w twarz swymi szarymi oczami, od których szło mocne lśnienie.

— Jakież kręte drogi sobie wymyśliłeś, mój chytry escrivano — zapytał — żeby z

procentami wydobyć swoje pieniądze od moich baronów?

Jehuda nie ustępował.

— Mam wielki kredyt, królu — powiedział — a więc dużo czasu. Dlatego mogę waszej królewskiej mości pożyczać wielkie sumy i nie potrzebuję się obawiać, nawet gdybym musiał długo czekać na zwrot. Na takich rozważaniach plan mój jest oparty. Zażądamy od twoich grandów, by w zasadzie uznali twoje prawo do podatków, ale nie będziemy od nich żądali szybkiej zapłaty. Będziemy im raz po raz odkładać terminy płatności. Za to zażądamy świadczeń, które niewiele ich będą kosztowały. Zażądamy, by przyznali swoim miastom i wsiom fueros, przywileje, które tym osadom dadzą pewną niezależność. Osiągniemy to, że coraz więcej miast i wsi nie będzie podlegać twoim baronom; będą posłuszne tylko tobie i tylko przed tobą odpowiedzialne. Mieszczanie twoi będą płacić daniny chętniej i punktualniej niż twoi grandowie i daniny te będą wyższe. Praca twoich chłopów oraz gorliwość przemysłowa i handlowa twoich miast to twoja siła, królu. Zwiększaj ich prawa, a potęga twoich opornych grandów stanie się mniejsza.

Alfonso był za mądry, by nie rozumieć, że to jedynie skuteczna droga do złamania bezwstydnych baronów. Również i w innych krajach hiszpańskich, w Aragonii, Nawarze, León, próbowano popierać mieszczan i chłopów przeciw grandom. Ale było to robione w sposób bardzo ostrożny. Królowie sami należeli do grandów, nie do pospólstwa, byli rycerzami, nawet przed sobą nie chcieli przyznawać się do tego, że się sprzymierzali z tą hołotą, i nikt jeszcze nigdy nie odważył się zaproponować Alfonsowi czegoś podobnego bez jakichkolwiek ogródek. Ten obcy, który nie miał pojęcia o rycerstwie i szlacheckich manierach, zdobył się na tę odwagę. Pospolitą prawdę o tym, co się było zmuszonym zrobić, wypowiedział w pospolitych słowach. Alfonso był mu wdzięczny i nienawidził go.

— Sądziś serio — sztychł — że pisaniną i paplaniną potrafisz skłonić jakiegoś Nuñeza czy Arenasa do zrezygnowania z miast i chłopów? Baronowie moi, mój ty najchytrzejszy, są rycerzami, a nie handlarzami i adwokatami.

Jehuda znowu przełknął ten docinek.

— Ci twoi panowie rycerze — odpowiedział — nauczą się, że prawo, ustawa i umowa to coś równie silnego i rzeczywistego jak ich zamki i miecze. Jestem pewien, że potrafię ich tego nauczyć, jeżeli będzie mi wolno liczyć na łaskawą pomoc waszej królewskiej mości.

Król bronił się przed wrażeniem, jakie na nim wywierały spokój i pewność siebie don Jehudy. Upierał się dalej:

— Jeżeli nawet dadzą jakiejś dziurze wolność rynku, nie będą mi składali danin, przewiduję to z góry. I mają rację, gdyż w czasach pokojowych nie powinni płacić podatków. Przysięgałem na to, podpisałem i przypieczętowałem, kiedy mnie zrobili królem, „Yo, el Rey”. A przecież teraz dzięki twojej mądrości przez długie lata nie będzie wojny. Na to się powołują, przy tym obstają.

— Niech mi wasza miłość wybaczy — ciągnął niezłomnie Jehuda — że bronię króla przeciw królowi. Baronowie twoi nie mają racji, argument ich nie da się utrzymać. Wierzę głęboko, że przez osiem lat nie będzie wojny, ale później, świat zna cię przecież, będzie znowu wojna. A panowie mają obowiązek udzielania ci wojennej pomocy. Jest moim obowiązkiem jako twego escrivano myśleć zawczasu o wojnie, to znaczy, dziś już rozpocząć jej finansowanie. Byłoby sprzeczne z rozsądkiem, gdybym chciał zbierać pieniądze na wojnę w pośpiechu, kiedy będzie ona już faktem dokonanym. Zażądamy jedynie małego podatku rocznego na razie od twoich miast. Zagwarantujemy im pewne swobody, za które chętnie udzielą pomocy zbrojnej. Baronowie twoi nie mogą być tak nierycerscy, żeby ci wzbraniać tego, co dają ci twoi mieszczanie.



Don Jehuda pozostawił Alfonsowi czas na przemyślenie. Potem ciągnął zwycięskim tonem:

— Tą drogą, o królu, zmusisz swoich grandów przez akt najwyższej rycerskiej wspaniałomyślności do zgody na niewielki podatek.

— To jeszcze nie wszystko, coś sobie wymarzył? — zapytał don Alfonso nieufnie.

— Od czasu owej nieszczęsnej wyprawy — powiedział Jehuda — ciągle jeszcze bardzo wielka ilość jeńców znajduje się w rękach emira Sewilli. Baronowie twoi bardzo opieszale, z ociąganiem się spełniali swe zobowiązanie wykupienia tych jeńców.

Don Alfonso zaczerwienił się. Było prawem i obowiązkiem, że wasal wykupywał swego żołdaka, baron swego wasala, jeżeli ten, pozostając na służbie jego, dostał się do niewoli. Baronowie nie wzdrali się z uznaniem tego obowiązku, ale tym razem spełniali go z wyjątkową niechęcią; zarzucali królowi, że jego pośpiech doprowadził do wyprawy i klęski. Don Alfonso byłby najchętniej z dumą oświadczył: — Biorę wykupienie wszystkich jeńców na siebie, wy sknery. — Ale chodziło o olbrzymią sumę i nie mógł sobie na ten gest pozwolić.

Stał teraz przed nim Jehuda Ibn Esra, który powiedział:

— Proponuję więc pokornie, żebyś z pieniędzy twego skarbcza wykupił jeńców. A panom, którzy na tym skorzystają, nałożymy jako jedyną odpłatę to, że w zasadzie uznają za swój obowiązek teraz już płacić podatki na twoją wojnę.

— Czy skarb mój może temu podostać? — zapytał Alfonso od niechcenia.

— Postaram się o to, mój królu — odpowiedział Jehuda takim samym tonem.

Twarz Alfonsa rozjaśniła się.

— To plan wspaniały — powiedział z uznaniem. Podszedł do swego familiara, zaczął bawić się medalionem, wiszącym na piersi Jehudy. — Znasz się na swoim interesie, don Jehudo — pochwalił swego escrivano.

Zaraz jednak wmieszała się do wdzięcznej radości świadomość, że coraz bardziej uzależnia się od mądrego, budzącego w nim odrazę handlarza.

— Szkoda tylko — powiedział złośliwie — że w ten sposób nie możemy zawstydić również rodu de Castrów i ich przyjaciół. — Potem dodał: — Tu nawarzyłeś mi niedobrego piwa.

To przekręcenie faktów oburzyło Jehudę. Wrogość między królem i rodem de Castro datowała się od dzieciennych lat don Alfonsa, zaostrzyła się zaś z chwilą, kiedy im odebrał ich zamek w Toledo. I teraz król chciał całą odpowiedzialność za tę wrogość przerzucić na jego barki.

— Wiem — odrzekł — baronowie de Castro robią ci zarzut, że obrzezany pies kała ich zamek. Ale chyba jest ci wiadome, o królu, że już od lat miotają na twój majestat obelgi.

Don Alfonso przełknął ślinę i nic nie odpowiedział.

— No, dobrze — rzekł po chwili, wzruszając ramionami. — Spróbuj swoich kruczków i środeczków. Ale moi grandowie to twardzi wojownicy, zobaczysz! Ród de Castro sprawi nam jeszcze niejednego kłopot.

— Wielka to łaska, królu, że zgadzasz się na mój plan — odparł Jehuda. Padł na kolana i ucałował królewską rękę. Była to ręka męska, mocna, obsypana rudymi włosami, palce jej leżały w palcach don Jehudy i nie dziękowały.

Następnego dnia zjawił się w castillo Ibn Esra don Manrique de Lara, by złożyć wizytę nowemu escrivano; ministrowi towarzyszył syn jego Garceran, bliski przyjaciel don Alfonsa. Don Manrique, który zdawał się być dobrze poinformowany o przebiegu wczorajszej audiencji, oświadczył:

— Byłem zaskoczony, że chcesz królowi, naszemu panu, pozostawić do dyspozycji olbrzymią sumę na wykupienie jeńców. To trochę niebezpieczne — przestrzegał żartobliwie — kiedy potężny król winien jest tyle pieniędzy.

Don Jehuda pozostał małomówny. Nie przewyciężył gniewu z powodu pychy i nieufności króla. Wiedział wprawdzie, że tu, na barbarzyńskiej północy, tylko wojak ma znaczenie, że o mężach, dbających o dobrobyt kraju, mówiono z głupim lekceważeniem, ale nie przypuszczał, że będą mu tak utrudniać dostosowanie się do nowych warunków.

Don Manrique odgadł jego myśli i jakby chcąc przeprosić za nieociesanie króla, oświadczył, że nie można brać za złe młodemu, zuchwałemu monarsze, że woli rozbijać trudności mieczem, niż rozwiązywać je przez traktat. Od najwcześniejszego dzieciństwa don Alfonso wędrował z jednego wojennego obozu do drugiego; w polu czuje się bardziej u siebie niż za stołem obrad. Ale, przerwał don Manrique, nie po to przyszedł, żeby mówić o interesach, lecz po to, żeby przywitać kolegę. Powiedziawszy to poprosił Jehudę, żeby jemu i jego synowi pokazał dom, o którego cudach mówi całe miasto.

Jehuda chętnie przystał na to. Mijając cichych, zgiętych w głębokich ukłonach służących, przeszli przez wyłożone dywanami komnaty, korytarze i schody. Don Manrique chwalił jak znawca, don Garceran naiwnie i z podziwem.

W ogrodzie spotkali dzieci Jehudy.

— Oto don Manrique de Lara — przedstawił Jehuda — pierwszy radca króla, pana naszego, i jego czcigodny syn, rycerz don Garceran.

Rachela przyglądała się gościom z dzieciinną ciekawością, bez zakłopotania brała udział w rozmowie. Ale jej łacina, choć się tak gorliwie uczyła, okazała się jeszcze niedoskonała. Śmiejąc się ze swych błędów prosiła panów, żeby wolno jej było mówić po arabsku. Rozmowa stała się ożywiona. Obaj goście chwalili dowcip i wdzięk donii Racheli w modnych zwrotach, które w języku arabskim brzmiały jeszcze bardziej ceremonialnie. Doña Rachela śmiała się, goście również.

Czternastoletni Alazar, chłopiec nader bystry, rozpytywał don Garcerana o konie i ćwiczenia rycerskie. Młody pan nie mógł nie ulec świeżości i żywości chłopca i gorliwie odpowiadał. Don Manrique doradzał po przyjacielsku, by Jehuda powierzył chłopca jakiemuś wielkiemu domowi jako pazia. Don Jehuda odrzekł, że sam myślał już o tym; przemilczał swą cichą nadzieję, że król weźmie chłopca na służbę u siebie.

Inni grandowie, przede wszystkim przyjaciele domu de Larów, poszli w ślady don Manriquego i złożyli nowemu escrivano wizyty.

Najchętniej przychodzili młodszy panowie. Szukali towarzystwa donii Racheli. Córki szlacheckie bowiem pokazywały się tylko na wielkich uroczystościach dworskich i kościelnych, nigdy nie widziało się ich samych, można było jedynie prowadzić z nimi ogólną, pustą konwersację. Rozmowa więc z córką żydowskiego ministra, która, choć chroniona przez mniejszy ceremoniał, była w pewnym stopniu damą, stanowiła miłą odmianę. Stosownie do wymagań kurtuazji odnosili się do niej z przesadną, gadatliwą galanterią. Chwilami przeczuwała, że kryje się za tym prostactwo i żądza, i stawała się wtedy zalękniona i zamknięta w sobie.

Obcowanie z rycerzami chrześcijańskimi było jej miłe już choćby dlatego, że w rozmowie z nimi ćwiczyła się w ich języku, w poprawnej łacinie dworu i towarzystwa oraz pośledniej, kastylskiej dnia codziennego.

Panowie ci byli również dla niej usłużnymi przewodnikami, kiedy się udawała na poznanie miasta.

Siedziała wtedy w swej lektyce, po jednej stronie jechał konno don Garceran de Lara albo jakiś don Esteban Ulan, po drugiej brat jej, don Alazar. W następnej lektyce towarzyszyła jej

piastunka Saad. Giermkowie torowali orszakowi drogę, czarni służący zamykali go. Tak zwiedzała miasto Toledo.

W ciągu stu lat pozostawania w rękach chrześcijańskich straciło ono część wielkości i przepychu ze swoich czasów islamskich. Nie było tak duże jak Sewilla, ale mieszkało w nim jednak przeszło sto tysięcy ludzi, prawie dwieście tysięcy. Było więc Toledo największym miastem chrześcijańskiej Hiszpanii, większym niż Paryż, o wiele większym niż Londyn.

W owych wojowniczych czasach wszystkie wielkie miasta były twierdzami, nawet pogodna Sewilla. Ale w Toledo każda dzielnica była jeszcze dodatkowo otoczona murami i wieżami, a wiele domów szlachty stanowiło twierdze. Wszystkie bramy były umocnione, tak samo jak kościoły i mosty prowadzące od podnóża ponurego, potężnego wzgórza miejskiego poprzez rzekę Tag w głąb kraju. Wewnątrz jednak miasta stał ciasno dom przy domu, jeden wyżej, drugi niżej, schody były ciemne i wąskie, przeważnie bardzo strome, doña Rachela miała wrażenie, że to jakieś podejrzane wąwozy; wszędzie było pełno zakątków, zakrętów, murów, ciągle napotykało się na ciężkie, olbrzymie, okute żelazem bramy.

Prawie wszystkie wielkie, solidne budowle pochodziły z czasów muzułmańskich, były utrzymywane w stanie ledwie możliwym, mało zmienione.

Doña Rachela uważała w skrytości duszy, że wszystko to było o wiele piękniejsze, kiedy pozostawało pod opieką muzułmanów. Za to radowała ją pstra ciżba ludzka, wypełniająca miasto od wczesnego rana do zmierzchu, przede wszystkim pociągał ją główny plac, zwany Zocodover, będący prastarym rynkiem. Ludzie hałasowali, konie rżały, osły ryczały, wszystko tłoczyło się i przeszkadzało sobie, raz po raz tworzyły się zatory, ulice były pełne śmieci. Ale Rachela nie tęskniła za pięknym porządkiem, panującym w Sewilli, taką radość sprawiało jej bujne życie Toledo.

Uderzyło ją, jakie lękliwe i powściągliwe były te muzułmańskie kobiety. Wszystkie chodziły gęsto zawoalowane. W Sewilli kobiety z ludu przy pracy albo idąc na rynek odrzucały krępującą zasłonę, w domach światłych panów jedynie kobiety zamężne nosiły zasłony, i to bardzo cenne, kosztowne, będące raczej częścią stroju niż osłoną. Ale tutaj, widocznie żeby uniknąć spojrzeń niewiernych, wszystkie kobiety muzułmańskie zawsze nosiły długie gęste zasłony.

Młodzi grandowie, dumni ze swego miasta, zaznajamiali Rachelę z historią Toledo. Bóg w czwartym dniu stwarzania świata zawiesił słońce nad Toledo, wskutek czego miasto było starsze od pozostałych miejsc na ziemi. Istniały liczne dowody, że było prastare. Sprawowali w nim rządy Kartagińczycy, potem przez lat sześćset Rzymianie, przez lat trzysta chrześcijanie goccy, przez lat czterysta Arabowie. Teraz, od lat stu, od czasu okrytego sławą cesarza Alfonsa, znowu panowali tu chrześcijanie i zostaną tutaj już do dnia Sądu Ostatecznego.

Najlepsze i największe swe czasy, opowiadali młodzi grandowie, przeżywało miasto pod panowaniem chrześcijańskich, zachodnio-gockich władców, których potomkami byli oni, rycerze. Toledo było wówczas najbogatszym i najcudowniejszym miastem świata. Król Athanagild dał swej córce Brunhildzie w posagu skarby wartości trzy tysiące razy większej od tysiąca maravedi w złocie. Król Reccared posiadał stół króla żydowskiego Salomona, który się składał z jednego olbrzymiego szmaragdu i był obramowany złotem; król Reccared miał również cudowne lustro, w którym można było zobaczyć cały świat. Wszystko to zrabowali, zniszczyli i roztrwonili muzułmanie, te psy niewierne, ci barbarzyńcy.

Szczególnie dumni byli młodzi panowie ze swych kościołów.

Rachela oglądała te potężne budowle z zaciekawieniem i onieśmieleniem; wyglądały jak twierdze. Rachela wyobrażała .sobie, jak szlachetnie musiały wyglądać, kiedy były jeszcze meczetami, otoczone drzewami, fontannami, arkadami, domami nauki. Teraz wszystko było gołe

i ponure.

U wejścia do kościoła świętej Leokadii napotkała na studnię o wyjątkowo pięknym obramowaniu, na którym widniał arabski napis. Dumna, że potrafi odczytać wryte starożytne znaki, odcyfrowała z na pół zamazanych liter: „W imieniu wszechlitościwego Boga. Zwycięski kalif Abd er Rahman — oby Bóg przedłużył jego dni — kazał zbudować tę studnię w meczecie miasta Toleitola — niechaj go Bóg strzeże — w siedemnastym tygodniu roku 323”. Minęło więc od tego czasu lat dwieście pięćdziesiąt.

— To dawno — powiedział oprowadzający ją don Esteban Illan i uśmiechnął się.

Młodzi panowie chcieli niejednokrotnie pokazać jej wnętrze jakiegoś kościoła. W Sewilli dużo się mówiło o tych „kościółach” jako o miejscach grozy i oddawania czci bożkom, w które barbarzyńcy północy zmienili piękne, stare meazety. Rachela miała wielką ochotę zajrzeć do któregoś z tych wnętrz, równocześnie jednak odczuwała lęk i uprzejmie pod jakimś pozorem odmawiała. Wreszcie jednak przewyciężyła się i w towarzystwie don Garce-rana i don Estebana przekroczyła próg kościoła świętego Marcina.

W mrocznym wnętrzu płonęły świece. Unosiła się woń kadzidła. Tu było to, co pragnęła ujrzeć i czego się bała: obrazy, wizerunki bożków, najsurowiej zakazane. Islam zachodni swobodnie interpretował ten lub ów zakaz proroka, dopuszczał picie wina, a kobiety ukazywały tam swe oblicza bez zasłony, tu jednak trzymał się kurczowo przepisu proroka, że nie wolno malować ani Allacha, ani żadnego żywego stworzenia, obojętne, czy będzie to człowiek, czy zwierzę; nawet jeżeli chodziło o roślinę czy owoc, wolno było jedynie zaznaczyć ich formę. Tutaj zaś stali dokoła ludzie, stworzeni z kamienia i drzewa, a inni ludzie i inne zwierzęta namalowane były barwnie na drewnianych tablicach. To więc były wizerunki bożków, postrach Allacha i jego proroków.

Każdy, kogo Bóg pobłogosławił rozumem, uczuciem i obyczajnością, bez względu na to, czy był to żyd, czy muzułmanin, musi czuć do takich wizerunków odrazę. Były też głęboko wstrętne, dziwne, nieruchome, a jednak żywe, dziwnie nierzeczywiste, na pół umarłe, trupie jak ryby na targu. Ci barbarzyńcy mieli odwagę mierzyć się z Allachem, tworzyli ludzi wedle jego obrazu i w głupocie swej zginali kolana przed tymi przedmiotami z kamienia i z drzewa, które sami zrobili, dawali im do wachania kadzidło. Ale w dniu Sądu Ostatecznego Allach wezwie tych, którzy takie rzeczy stworzyli, każe im tchnąć w nie życie, a kiedy nie zdołają, wrzuci ich na wieki w otchłań potępienia.

Mimo to Rachela czuła się dziwnie urzeczona. Oszalała ją umiejętność utrwalenia człowieka, jego kruchego ciała, przelotnego wyrazu twarzy, gestu, który zniknął, zanim się pojawił. Fakt, że potrafią to ludzie śmiertelni, napępiał ją i dumą, i grozą.

Panowie, którzy ją oprowadzali, tłumaczyli pokornie i gorliwie wizerunki bożków. Oto człowiek z drzewa, w płaszczu, trzymający gęś. Był to święty Marcin, któremu kościół został poświęcony. Poszedł jako oficer w pole, uzbrojony tylko w krzyż, żeby stawiać czoło całej wrogiej armii. Kiedyś, w bardzo wielki mróz, oddał własny płaszcz biedakowi, za co niebo narzuciło mu drugi na ramiona. Innym znów razem, kiedy cesarz przed nim nie powstał, zapalił się jego tron i ogień zmusił go do okazania świętemu czci. Wszystko to można było zobaczyć namalowane na drewnianych tablicach. Doña Rachela kiwała głową — ten człowiek musiał być derwiszem.

Na drugim obrazie widać było dziewczynę muzułmańską z koszem, wypełnionym różami; stał przed nią zdumiony Arab w książęcym stroju. Z lekką uszczypliwością opowiadał don Garceran, że to księżniczka Casilda i ojciec jej, król Toledo, Al-Menon. Casilda, tajemnie wychowywana przez swoją aję w wierze chrześcijańskiej, narażając się na liczne niebezpieczeństwa zaopatrywała w żywność jeńców chrześcijańskich, którzy głodowali w

królewskich lochach. Król dowiedział się o tym przez denuncjanta i zaskoczył ją. Zapytał surowo, co ma w koszu. Był tam chleb. Ale ona odpowiedziała: „Róże”. Gniewny, podniósł pokrywę kosza i oto chleb zamienił się w róże. Rachela pojęła to. Podobną treść miała jedna z jej bajek. — Ach — powiedziała — księżniczka była czarodziejką.

Don Garceran przywołał ją surowo do porządku: — Była świętą.

Don Esteban Illan zwierzył jej się, że do gałki jego szpady wkuta została kosteczka świętego Ildefonsa; relikwia ta dwukrotnie podczas walki uratowała mu życie. Ilu czarodziejów mają ci chrześcijanie, myślała sobie doña Rachela i odpowiedziała z ożywieniem, że przed bitwą doskonale jest pozwolić pielgrzymowi wędrującemu do Mekki, najlepiej derwiszowi, żeby napluł do porannego napoju; wypróbowany to środek ochronny. — Wielu naszych wojowników to czyni — oświadczyła.

Wśród wszystkich tych nowych rzeczy, które Rachela widziała, słyszała i przeżywała w Toledo, zaskakująco szybko zapadła się islamska przeszłość. Już ciężko jej było przywołać dokładnie z pamięci rysy twarzy przyjaciółki Layli oraz donośny, przenikliwy głos, którym muezin meczetu Azhar wzywał do modlitwy. Starła się nie zapomnieć, dalej czytywała po arabsku i ćwiczyła się w wytwornej, trudnej kaligrafii arabskiej. Choć czuła się żydówką, dalej trzymała się muzułmańskich obyczajów, dokonywała przepisowych ablucyj, odmawiała modlitwy. Ojciec nie sprzeciwiał się temu.

Stałe przebywanie w towarzystwie piastunki Saad ułatwiało jej więź z przeszłością. Wieczorami, kiedy piastunka pomagała jej przy rozbieraniu, gawędziły o tym, co widziały, i porównywały to z życiem Sewilli.

— Nie zadawaj się zbyt z niewiernymi, Rechio, jagniątko moje — upominała ją piastunka. — Wszyscy będą się smażyć w piekle, bo są bezwstydni i wiedzą o tym, i dlatego tak się pyszną na tej ziemi. Sułtanka ich jest pełna pychy wyjątkowej. Ta niewierna żyje z dala od haremu swego małżonka, sułtana Alfonsa, w północnym mieście, które, jak opowiadają, jest równie zimne i dumne jak ona.

Tak, ci niewierni byli zarozumiałcami, piastunka ma rację. Doña Rachela ani razu nie widziała dotychczas króla. Nawet ojciec, który przecież należał do jego rady, widywał go rzadko.

Od swego intendenta i sekretarza, Ibn Omara, który zorganizował dobrą służbę informacyjną, dowiedział się don Jehuda, jak gwałtowna była nienawiść wielkich panów do jego osoby. Od czasu śmierci mądrego Ibn Szoszana rozszerzyli swoje przywileje, a po klęsce króla zdobyli sobie dalsze prawa specjalne. Byli oburzeni, że się zjawił nowy Hebrajczyk, jeszcze chytrzejszy i chciwszy od poprzedniego, żeby im znowu wszystko odebrać. Wymyślali, wrzeszczeli, intrygowali. Jehuda wysłuchał sprawozdania z nieruchomą twarzą. Polecił swemu Ibn Omarowi, by rozszerzał wieści, że nowy escrivano broni uciśnionego ludu przeciw zbójckim baronom i pragnie dobrobytu mieszczan i chłopów.

Przywódcą oporu przeciw don Jehudzie był arcybiskup Toledo, wojowniczy don Martin de Cardona, bliski przyjaciel króla. Odkąd chrześcijanie znowu zawojowali kraj, Kościół prowadził zacieklą walkę z gminami żydowskimi. Żydzi nie płacili na rzecz Kościoła, jak to czyniła reszta ludności, swojej dziesięciny, wpłacali podatki bezpośrednio królowi. Żaden edykt papieski, żadna decyzja kolegium kardynałów nie zmieniły tego. Arcybiskup don Martin był oburzony, że nominacja chytrzego Ibn Esry uczyniła żydów jeszcze bardziej zaciekłymi w ich zuchwałym dążeniu do uniezależnienia się od Kościoła. Wszelkimi środkami zwalczał nowego escrivano. Tym dziwniejsze było, że wkrótce po przybyciu don Jehudy zjawił się, i to wyraźnie z przyjaznymi zamiarami, w castillo Ibn Esra sekretarz arcybiskupa, kanonik don Rodrigue, spowiednik króla.

Cichy, uprzejmy pan ogromnie interesował się książkami. Mówił, czytał i pisał po łacinie

i arabsku, czytał również po hebrajsku. Rozumiał się dobrze z Jehudą, jeszcze lepiej z mądrym przyjacielem Jehudy, Muzą Ibn Daudem.

Komnaty Muzy były urządzone wygodnie. Stary pan, który dwa razy musiał iść na poniewierkę i wygnanie, dał dowód, że potrafi znosić nędzę bez biadań. Właśnie dlatego lubił wygodę. Nie bez pewnej dumy pokazywał kanonikowi liczne rury doprowadzające ciepło oraz powłokę filcową na murach, którą można było przy pomocy przemysłnego systemu zwilżać, co w gorących dniach zapewniało miły chłód. Liczne książki Muzy były poręcznie umieszczone, jego wielki ukochany pulpit do pisania miał dobre oświetlenie. Piękna, okrągła sala, nadająca się do cichych kontem-placyj, wychodziła na ogród.

Żadny wiedzy kanonik nie mógł się napatrzeć bibliotece Jehudy i Muzy. Podziwiał różnorodność książek, które obejmowały różne dziedziny wiedzy, ich wytworną kaligrafię, ich inicjały i barwne marginesy, pięknie wykonane i ozdobione futerały do zwojów oraz wytworną, a równocześnie trwałą szatę książek oprawnych. Przed wszystkim jednak podziwiał materiał, na którym większość tych książek była pisana. Był to ów materiał, którego chrześcijaństwo prawie nie znało: papier.

Ach, uczeni państw chrześcijańskich musieli pisać na pergaminie, na zwierzęcej skórze; nie tylko wysiłek pisania był większy, ale i materiał drogi i niełatwy do zdobycia. Często pisarze musieli brać pergamin już zapisany, musieli to, co ich poprzednicy z wielkim trudem wypisali, zmazywać lub wyskrobywać, by swe własne myśli przelać na stary materiał; kto mógł wiedzieć, czy pisarz dnia dzisiejszego w dobrej wierze nie niszczył najszlachetniejszej mądrości swego poprzednika, by przekazać potomności własne myśli, może bardzo niemądre.

Don Jehuda tłumaczył kanonikowi, jak się ten papier wytwarza. Młyny robiły z białawej substancji roślinnej, zwanej kata-nem, papkę, którą się później czerpało i suszyło; cała rzecz nie była droga. Najlepszy papier, gruboziarnisty, sporządzany w miejscowości Jativa, nazywano jatvi. Don Rodrigue pieścił delikatnymi rękami taką książkę, wypisaną na jatvi, dziwiąc się jak dziecko, jak mało miejsca zajmuje taka substancja duchowa i jak niewiele waży. Jehuda opowiadał, że poczynił przygotowania do założenia fabryk papieru również i w Toledo; jest tu dostateczna ilość wody, grunt nadaje się dla potrzebnych do tego roślin. Don Rodrigue był zachwycony. Jehuda przyrzekł, że już teraz dostarczy mu papieru.

Potem don Rodrigue i stary Muza usiedli sami w małej, otwartej, okrągłej sali i wszczęli powolną rozmowę. Don Rodrigue opowiadał, że również i do krajów chrześcijańskich dotarły wieści o działalności naukowej Muzy, przede wszystkim o wielkim dziele historycznym, które pisze, a także o prześladowaniach, jakie musiał wycierpieć. Muza podziękował uprzejmym skinieniem głowy. Wysoki pan siedział wygodnie na swych poduszkach, trochę pochylony naprzód, wielkie, łagodne oczy miały wyraz spokojny i mądry. Mówił niewiele, ale to, co mówił, płynęło z wielkiej wiedzy, bogatego doświadczenia i głębokiego namysłu, brzmiało świeżo i pobudzająco, chwilami oczywiście nieco podstępnie.

Niejedno wydawało się w tym castillo Ibn Esra podstępne. Niektóre z napisów, lśniących ze ściennych fryzów, były hebrajskie.

Wśród licznych zawijasów i ornamentów, które je otaczały, odczytanie ich nie było najłatwiejsze. Ale kanonik, dumny ze swej znajomości hebrajskiego, poznał, że wzięte są z Pisma Świętego, z Księgi Koheleta, że są to słowa kaznodziei Salomona. Tak, potwierdził Muza, tak było. Wziął kij, pokazał kanonikowi, jak zdania biegły wśród krętych arabesek, gubiły się, znowu się odnajdywały, czytał je i tłumaczył na łacinę. Zdania brzmiały następująco: „Przetóż jednakie jest dokończenie człowieka i bydła, i równy stan obojga: jako umiera człowiek, tak i one umierają: i jednako tchną wszystkie, i nie ma człowiek nic więcej nad bydło: wszystko podległo marności. I wszystko idzie na jedno miejsce. Z ziemi są uczynione i w ziemię się jednak

obracają. Któż wie, jeśli duch synów Adamowych wstępuje w górę, a jeśli duch bydlęcy zstępuje na dół”. Don Rodrigue śledził oczyma hebrajskie znaki na ścianie, patrzył i słyszał, że Muza tłumaczy wiernie. Czy jednak słowa, które pamiętał z przekładu świętego Hieronima, nie brzmiały inaczej? Czy w ustach tego mądrego i dobrotliwego Muzy nawet słowo Boże nie nabierało lekkiego zapachu siarki?

Tak czy inaczej, człowiek, który miał pieczę nad biblioteką castillo Ibñ Esra, pociągał kanonika prawie więcej jeszcze niż sama wspaniała biblioteka. Miał wrażenie, że do tego Muzy, siedzącego spokojnie na poduszkach, tak jak do mądrości, nie odnosi się pojęcie czasu. Chwilami wydawało się, że Muza nie jest o wiele starszy od niego, który liczył lat pięćdziesiąt, chwilami wydawał mu się sędziwym patriarchą. Był oczarowany i zmieszany lśnieniem spokojnych, nieco szyderczych oczu Muzy, a mimo to czuł, że może z tym człowiekiem rozmawiać swobodniej niż z większością bogobojnych chrześcijan.

Opowiadał mu o akademii, którą kierował. Oczywiście skromnej tej instytucji nie można porównywać z podobnymi zakładami muzułmanów, ale bądź co bądź rozprzestrzenia się stąd na kraje zachodnie mądrość Arabów oraz starożytnych pogan.

— Nie myśl, o mądry Muzo — oświadczył z zapalem — że jestem małoduszny. Nawet Koran kazałem przetłumaczyć na łacinę. W akademii mojej pracują również niewierni, zarówno żydzi, jak muzułmanie. Jeżeli pozwolisz, przyprowadzę ci kiedyś jednego z moich uczniów, żeby dostąpił zaszczytu rozmawiania z tobą.

— Uczynź to, dostojny don Rodrigue — odpowiedział uprzejmie Muza. — Przyprowadź mi jednego ze swoich uczniów. Ale przestrzeż go, żeby był ostrożny. I bądź nim sam! — Wskazał miejsce na ścianie — było to znowu zdanie z Pisma świętego, tym razem z Piątej Księgi Mojżesza: „Przeklęty, który czyni, że ślepy błądzi w drodze”.

Kiedy don Rodrigue zaczął wreszcie żegnać się z panem domu, o wiele później, niż zamierzał — bawił tu istotnie nieprzyzwoicie długo — powiedział żartobliwie:

— Powinienem gniewać się na ciebie, Jehudo. O mały włos nie skłoniłeś mnie do przekroczenia dziesiątego przykazania. Nie pożądam wprowadzić twego domu ani twoich mułów, ani sług i służebnic twoich, ale obawiam się, że pożądam twoich ksiązek.

Przewodniczący gminy don Efraim odwiedził Jehudę, żeby z nim pomówić o sprawach aliamy.

— Jak należało oczekiwać — rozpoczął — sława twoja i blask twój przyniosły gminie liczne błogosławieństwa, ale także i nowe kłopoty. Zazdrość, wywołana przez twoją potęgę, podnieciła nienawiść arcybiskupa, tego łotra Edomity.

Don Martin wyciągnął zapyłony pergamin, owo zarządzenie kolegium kardynałów sprzed lat sześciu, że nie tylko synowie Ezawa, ale i potomkowie Abrahama mają uiszczać dziesięcinę na rzecz Kościoła. Szlachetny alfakim Ibn Szoszan — niechaj pamięć tego sprawiedliwego męża będzie błogosławiona — odparł wtedy atak ludzi z łysinami. Teraz jednak ten łotr sądzi, że nadeszła jego pora. Pismo jego do aliamy pełne jest pogróżek.

Don Jehuda wiedział, że przy domaganiu się dziesięciny chodziło o coś znacznie ważniejszego niż pieniądze. Jeżeli zwycięży Kościół, zachwiany zostanie zasadniczy przywilej żydów; nie będą wówczas podlegali bezpośrednio królowi, arcybiskup będzie mógł wśliznąć się między nich i króla. Don Jehuda musiał przyznać w duchu, że obawa don Efraima, iż tym razem arcybiskup mógłby cel swój osiągnąć, nie była bez podstawy. Don Martin był bliskim przyjacielem króla; niewątpliwie brzęczy mu nad uchem, żeby za grzech wywyższenia żyda Ibn Esry zmusił wreszcie żydostwo do opłacania kościelnej dziesięciny.

Na zewnątrz jednak zachowywał Jehuda niezachwianą pewnością siebie.

— Łotrowi nie uda się to tak samo, jak się nie udawało dotychczas — powiedział. I dodał: — Czy zresztą wszystko, co dotyczy podatków, nie jest moją dziedziną? Pozwól, żebym ja odpowiedział na pismo arcybiskupa.

Było to całkowicie nie po myśli don Efraima — nie chciał żadnej ze swoich spraw pozostawić temu Jehudzie.

— Daleki jestem od tego — odparł uprzejmie — by cię obarczać nowymi ciężarami, panie mój i nauczycielu, Jehudo. Na coś innego chciałbym ci pokornie zwrócić w imieniu aliamy uwagę. Przepych twego domostwa, obfitość dóbr, którymi cię Pan pobłogosławił, sława, którą cię otoczył przez łaskawość króla, są wszystkim, nienawidzącym Izraela, solą w oku i żądłem w czarnym sercu arcybiskupa. Dlatego dałem aliamie ostre zlecenie, by się zachowywała niepozornie i przez blask i przepych nie drażniła złoczyńców. Zechciej i ty, Jehudo, nie drażnić ich.

— Rozumiem twą troskę, panie mój i nauczycielu, don Efraimie — odparł Jehuda — ale nie podzielam jej. Wedle moich doświadczeń widok potęgi odstrasza. Gdybym okazał słabość lub sknerstwo, arcybiskup stałby się jeszcze zuchwalszy i wobec mnie, i wobec was.

Następnego sabatu poszedł don Jehuda do synagogi.

Był zdumiony, jak goło i ubogo wygląda wnętrze tego pierwszego świętego miejsca hiszpańskiego żydostwa; i tutaj don Efraim nie tolerował przepychu. Inna sprawa, że kiedy otworzyła się skrzynia z Torą, arka przymierza i aron-kodesz, zabłysły w nich święte sprzęty, ozdabiające zwoje Pisma, kosztownie przetykane płaszcze, złote, błyszczące od klejnotów płyty i korony.

Don Jehuda został wezwany do odczytania wersetu z Pisma. Opowiadał on, jak to prorok pogański, Balaam, ruszył z przekleństwami na żydów. Ale Bóg zmusił go, by lud jego pobłogosławił. I prorok pogański obwieścił: „Jako piękne przybytki twoje, Jakubie, i namioty twoje, Izraelu! Jako niżyny gaiste, jako sady przy rzekach wilgotne, jako namioty, które postawił Pan, jako cedry przy wodach... Pożrą narody, nieprzyjaciele jego, a kości ich połamią i podziurawią strzałami”.

Jehuda odczytywał te strofy z przepisany, prastarym przy-śpiewem, czytał nie bez wysiłku, akcent jego mógł brzmieć dla tego i owego obco, nawet nieco śmiesznie. Ale nie śmieszył nikogo. Przeciwnie, żydowskie kobiety i żydowscy mężowie Toledo słuchali ze czcią, żarliwość Jehudy ogarnęła i ich. Potężny ten mąż, którego los w wczesnej młodości uczynił meszummadem, wrócił dobrowolnie i pokornie do związku Abrahama; będzie pomocny w tym, żeby błogosławięstwa, o których czytał, spłynęły także i na nich.

Odkąd Racheli wolno było opowiedzieć się otwarcie za żydo-stwem, trudniej niż przedtem przychodziło jej czuć się żydówką. Rozczytywała się często w Wielkiej Księdze, godzinami, zatopiona w sobie, oddawała się marzeniom o zawartych w niej opowiadaniach, o czynach ojców, królów i proroków. To, co było tam potężne, wzniosłe, głęboko pobożne, jak i wydobyte również na światło, wszystko słabe, małe, do głębi złe, stało się jej bliskie; była dumna i szczęśliwa, że pochodzi od takich praojców.

Ale z żydami, którzy ją tutaj w Toledo otaczali, nie czuła się ściśle związana, choć pragnęła mocno i uczciwie należeć do nich.

Często, żeby lepiej poznać swój naród, chodziła do żydowskiej części miasta, do juderii.

W wyprawach tych towarzyszył jej don Benjamin Bar Abbu, młody krewniak przewodniczącego gminy. Kanonik Rodrigue wprowadził Beniamina do castillo Ibn Esra; był to jeden z jego uczniów, tłumacz z jego akademii.

Don Benjamin, młodzieniec, który jeszcze nie ukończył dwudziestu trzech lat, miał w sobie przy całym swoim bystrym rozumie i całej gruntownej wiedzy coś chłopięcego,



filuternego, łobuzerskiego, co Rachelę pociągało. Po niedługim czasie stali się dobrymi kolegami. Śmiali się chętnie z rzeczy, których komizmu ktoś inny nie potrafiłby zrozumieć, były sprawy, o które doña Rachela nie pytała ojca, a nawet wuja Muzy, lecz swego przyjaciela Beniamina.

A on ze swej strony opowiadał jej z całą swobodą o swoich sprawach najbardziej osobistych. Między innymi o tym, że nie podoba mu się krewny jego, parnas, don Efraim; jest dla niego za chytry; gdyby Beniamin nie był taki biedny, nie wytrzymałby w domu Efraima. Doña Rachela nigdy jeszcze dotąd nie miała przyjaciela, który by był ubogi. Przyglądała mu się ze zdziwieniem i ciekawością.

Beniamin trzymał się żydowskiego rytuału, ale tylko dlatego, żeby nie wywoływać niezadowolenia don Efraima; nie przywiązywał do żydowskich obyczajów religijnych żadnej wagi. Natomiast podziwiał arabską mądrość, mówił chętnie o wielkich, starych zaginionych narodach, zwłaszcza o Grekach, których nazywał Jończykami. Jednego z tych Jończyków, niejakiego Arystoteles, stawiał na równi z naszym nauczycielem Muzą. Przy tym wszystkim był dumny, że należy do żydów, ponieważ byli narodem Księgi i w ciągu tysiącleci wiernie tej Księgi strzegli.

Ten to Beniamin był przewodnikiem Racheli po juderii. W Toledo mieszkało ponad dwadzieścia tysięcy żydów, pięć tysięcy żyło poza murami; choć żadne prawo nie zmuszało do tego, większość mieszkała we własnej części miasta, chronionej przez mury i warowne bramy.

Żydzi, opowiadał Beniamin, siedzieli w Toledo od pradawnych czasów; nawet nazwa miasta pochodziła od słowa toledot — następstwo pokoleń. Pierwsi przybyli tutaj jako wysłannicy króla Salomona, żeby ściągnąć od barbarzyńców trybut. Przez długi czas wiodło się im dobrze. Ale pod panowaniem zachodnich Gotów chrześcijańskich doznali strasznych prześladowań. Najokrutniej prześladował ich niejaki Julian, pochodzący z ich własnego plemienia, który przeszedł do chrześcijan i został u nich arcybiskupem. Ogłaszał coraz ostrzejsze przepisy przeciw swym dawnym braciom, wreszcie doprowadził do wydania ustawy, w myśl której ci, którzy nie przejdą na wiarę chrześcijańską, mają być sprzedani w niewolę. Wtedy żydzy wezwali zza morza Arabów i dopomogli im do zdobycia kraju. Arabowie utworzyli w miastach żydowskie garnizony i postawili na ich czele żydowskich komendantów.

— Wyobraź sobie, donio Rachelo — mówił Beniamin — jak to musiało wyglądać, kiedy uciskani nagle stali się panami, a dawni ciemiężcy niewolnikami.

Beniamin opowiadał z entuzjazmem o książkach, pełnych poezji i mądrości, napisanych w następnych stuleciach pod panowaniem muzułmanów przez żydów sefardyjskich. Recytował z pamięci płomienne wiersze Salomona Ibn Gabirola i Jehudy Halewiego.

Opowiadał jej o matematycznych, astronomicznych i filozoficznych dziełach Abrahama Bar Chija.

— Wszystko, co jest w tym sefardyjskim kraju wielkie, czy to z ducha, czy z kamienia — powiedział z przekonaniem — zbudowane zostało przy udziale żydów.

Kiedyś Rachela opowiedziała o zmieszaniu, w jakie ją wprawił widok bożków w kościele Świętego Marcina. Słuchał z niewyraźną miną. Potem, uśmiechając się, wyciągnął niewielką książkę i pokazał Racheli z tajemniczą miną. Były w tej książce, którą nazwał notatnikiem, rysunki i podobizny ludzi. Niektóre miały w sobie coś złowrogo śmiesznego na niektórych twarzach ludzkich stawały się po prostu zwierzęcymi. Doña Rachela była zdziwiona, przerażona, rozbawiona. Cóż za niesłychane zuchwalstwo! Don Beniamin robił nie tylko rysunki ogólnego rodzaju, na podobieństwo owych obrazów bożków w kościele, ale formował wyraźnie ludzi, których można było rozpoznać. Tak, chciał się równać z Bogiem, zmieniał ich wedle swej zuchwałej woli, zeszpecał ich dusze. Jak mogła nie zapaść się ta ziemia, by pochłonąć

zuchwalca? A ona sama, Rachela, czy nie uczestniczyła w tym zuchwalstwie oglądając rysunki? Nie mogła jednak poradzić sobie z tym, patrzyła w dalszym ciągu. Oto miała przed sobą wizerunek zwierzęcia, lisa, a zdawało się jej, że to wcale nie lis — z chytrej twarzy patrzyły bogobojne oczy don Efraima. I Rachela przy całym swym przerażeniu i zwątpieniu musiała się roześmiać.

Najściślej związana z Beniaminem czuła się wtedy, kiedy opowiadał jej historie i godne uwagi wydarzenia, które się przytrafiły wielkiemu żydowskiemu miastu Toledo.

Jedno z opowiadań mówiło o rabbim Chananie Ben Rabui. Skonstruował on przedziwny zegar wodny. Składał się z dwóch studni, z dwóch cystern, wykonanych tak kunsztownie i z takim wyrachowaniem, że z narastającą pełnią księżyca jedna powoli napełniała się wodą, druga zaś opróżniała się; kiedy księżyc zaczął ubywać, działało się odwrotnie. Z cystern można było odczytać dokładnie dzień miesiąca, co więcej, godzinę dnia. Zawistni rywale obwinili rabiego Chanana o czarnoksiężstwo.

— Wiedza budzi zawsze nieufność — powiedział z arcymądrą miną don Beniamin — i alkad wtrącił rabiego Chanana do więzienia. I oto cysterny przestały napełniać się i opróżniać, jak należało. Przypuszczano, że rabbi, zanim go wtrącono do więzienia, uszkodził kunsztowny zegar wodny, nad którym pracował przeszło lat dwadzieścia, i chciano go zmusić, żeby zegar ten naprawił. Ale on zepsuł go całkowicie. Wtedy spalono go. Wieża, do której został wtrącony — zakończył Beniamin — stoi do dziś. Można również zobaczyć jeszcze owe cysterny przy Huerta del Rey, obok ruin pałacu La Galiana.

Wieczorem Rachela opowiedziała piastunce Saad o biednym, bardzo uzdolnionym uczonym rabbim Chananie, którego źli ludzie torturowali z powodu jego umiejętności i wiedzy. Opowiadała szczegółowo o zegarze wodnym i więzieniu oraz o śmierci rabiego w płomieniach. Ale piastunka Saad powiedziała:

— Tu w Toledo są źli ludzie. Chciałabym, Rechio, moje jag-niątko, żebyśmy wróciły do miasta Sewilli, oby Allah miał je w swojej opiece.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Bracia Fernán i Gutierre de Castro nie poprzestali na pustych pogroźkach przeciw człowiekowi, który wprowadził do ich castillo obrzezanego. Wdarli się zbrojnie w rejony, którymi władał don Alfonso, raz nawet do miasta Cuenca. Napadali na podróżujących obywateli i uprowadzali ich jako jeńców do swoich zamków. Wieśniakom kastylskim rabowali trzody, łupy przechowywali w niedostępnej górskiej części kraju Albarracin.

Don Alfonso szalał. Od czasu, kiedy nauczył się myśleć, nienawidził rodu de Castrów. Kiedy został królem, mając lat trzy, rządy sprawował za niego Castro; traktował chłopca srogo i źle i Alfonso szalał z radości, gdy wreszcie Manrique de Lara go obalił. De Castrowie pozostali jednak w swym hrabstwie potężni i mieli wielu zwolenników wśród grandów kastylskich.

Nowe ich zuchwałe czyny rozdrażniły Alfonsa do ostateczności. Tak dalej być nie może. Zniszczy, zrówna z ziemią ich zamki, każe ich ogolić i wtrąci ich do klasztoru, nie, pościna im głowy.

W głębi ducha wiedział, że taka ekspedycja wojenna musi doprowadzić do niebezpiecznej awantury z jego stryjcem, królem Aragonii.

Aragonia mianowicie, tak samo jak Kastylia, od dawna zgłaszała pretensje do zwierzchnictwa nad hrabstwem de Castro, wyżyną Albarracin, położoną między Kastylią i Aragonią. Tymczasem po śmierci ostatniego panującego księcia synowie jego, bracia Fernán i Gutierre de Castro, wzdragali się uznać czyjekolwiek zwierzchnictwo. Jeżeli teraz Alfonso wedrze się na ich ziemię, zwrócą się do Aragonii o ochronę i stryj jego, Raimundez, nie pominie okazji, żeby ich przyjął jako wasali i bronić przeciw napadom Alfonsa. Oznaczałoby to wojnę z Aragonią.

Ale Alfonso przepędził te zastrzeżenia, zanim zdążyły stać się myślami. Wyruszy przeciw braciom de Castro! Wezwie Jehudę. Jehuda musi mu dostarczyć pieniędzy.

Jehuda udawał się na zamek królewski w pogodnym nastroju.

Nie wiedział, czego Alfonso, którego dawno nie widział, chce od niego, cieszył się na to, że mu złoży sprawozdanie. Mógł tylko zdawać sprawę z sukcesów, miał przy sobie namacalny dowód sukcesu, drobiazg, który z pewnością don Alfonsa ubawi i ucieszy.

Stał przed królem i zdawał sprawę. Kilku ricoshombres, dokładnie mówiąc dziesięciu, którzy zalegali z opłatami, potwierdziło podpisami i pieczęcią, że odstąpią na rzecz króla prawa do zwierzchnictwa nad kilkoma miastami. Mógł też Jehuda zawiadomić swego króla o dziewięciu dalszych gospodarstwach pokazowych, o stacji doświadczalnej dla hodowli jedwabiu w pobliżu Talavery, o nowych wielkich warsztatach tutaj, w Toledo, i w Burgos, jak również w Avili, Segovii i Valladolid.

Potem wystąpił ze swoją wielką niespodzianką.

— Wyraziłeś mi, królu — rzekł — swoje niezadowolenie z tego, że nie sprowadziłem jeszcze do kraju złotników i mistrzów w tłoczeniu monet. Pozwól mi wręczyć ci dziś pokornie pierwszy wytwór twoich złotników. — I uśmiechnięty, dumny, wręczył don Alfonsowi to coś, co ze sobą przyniósł.

Alfonso wziął do ręki, spojrzał, rozpromienił się. Dotychczas w krajach chrześcijańskich półwyspu były w obiegu jedynie monety arabskie. To, co trzymał teraz w ręku, było pierwszą złotą monetą chrześcijańskiej Hiszpanii i w dodatku kastylską. Na lśniącej, czerwonej żółcźnie widniał jego profil, a dokoła niego odczytać było można bez trudu wyryte po łacinie słowa: „Alfonsus, z łaski Boga król Kastylii”. Na drugiej stronie ujrzeć było można patrona Hiszpanii, apostoła Jakuba; siedział na koniu z podniesionym mieczem, w tej samej pozie, w

której niejednokrotnie pomagał z obłoków zastępom chrześcijańskim zdruzgotać niewiernych.

Don Alfonso oglądał i obmacywał chciwie, po dziecinnemu, piękny przedmiot. A więc odtąd jego twarz w złocie wędrować będzie po krajach chrześcijańskich i muzułmańskich i przypominać, że Kastylia znajduje się pod dobrą ochroną świętego apostoła i jego, don Alfonsa.

— Wspaniale to zrobiłeś, Jehudo — pochwalił. W jego jasnej twarzy i jasnych oczach tyle było radości, że Jehuda zapomniał o wszystkich krzywdach, które mu ten człowiek wyrządził.

Potem jednak podobizna wojowniczego świętego przypomniawszy królowi jego zamiary oraz powód, dla którego wezwał swego escri-vano. Lekko, bez przekonania, powiedział:

— Kiedy mamy pieniądze, mogę właściwie zacząć kroki przeciw de Castrom. Sądysz, że sześć tysięcy złotych maravedí wystarczy na ekspedycję?

Don Jehuda, brutalnie wyrwany ze swego radosnego nastroju, odpowiedział, że de Castrowie niewątpliwie wezwą pomocy króla Aragonii, a ten przyjmie ich w poczet swoich wasali.

— Twój dostojny stryj Raimundez wmisza się do sprawy — wyjaśniał dalej. — Ma w pogotowiu niemałą potęgę wojskową, którą dla wykonania swego przedsięwzięcia zgromadził w Prowansji, i skarbiec jego jest pełny. Uwikłasz się, don Alfonso, w wojnę z Aragonią w jak najbardziej niepomyślnych okolicznościach.

Don Alfonso nie chciał o tym nic słyszeć.

— Przestańże ze swoimi marnymi wątpliwościami! — zawołał. — Kilkaset dobrych lanc wystarczy, żeby się uporać z braćmi de Castro, znam się na szybkim ataku, będzie to wypad i nic ponadto. Kiedy jednak zdobędę już Albarracin albo nawet tylko Santa Maria, mój ospały stryj z Aragonii zadowoli się wymyślaniem i przestanie mieszać się do sprawy. Postaraj mi się o te sześć tysięcy maravedí w złocie, don Jehudo! — nalegał.

Jehuda wiedział, że to, co król usiłuje tu wmówić w niego i w samego siebie, jest czczą uludą. Don Raimundez, człowiek, z którym doskonale można dojść do porozumienia, mając teraz dobry pretekst, będzie prowadzić wojnę przeciw don Alfonsowi.

Król Raimundez czuł do swego bratanka głęboką niechęć. I nie bez powodu. Kastylia, opierając się o stare papiery, żądała zwierzchnictwa lennego nad krajem Aragonii. Takie „zwierzchnictwo” było wyłącznie sprawą prestiżu. Bardzo potężny król Anglii uznawał na przykład, będąc zwierzchnikiem wielu posiadłości frankońskich, zwierzchnictwo króla Francji, choć ten władał o wiele mniejszą częścią Francji, niż on sam. W gruncie rzeczy było dla starego króla Aragonii Raimundeza obojętne, czy posiadał nieco więcej, czy mniej „prestiżu”. Widział jednak w swoim nieposkromionym bratanku wcielenie pustego, przestarzałego ideału rycerskiego i był niezadowolony, że wielu, wśród nich jego własny syn, Ignęło do tego dalekiego od rzeczywistości rycerstwa i patrzyło na Alfonsa jak na bohatera. Dlatego uważał postulat don Alfonsa, by uznał go swym zwierzchnikiem, za przestarzały nonsens. Alfonso zaś ze swej strony ponawiał to żądanie przy każdej okoliczności i pysznił się tym, że nadejdzie dzień, w którym bezwstydnym Aragończyk uklęknie przed nim jak przed zwierzchnikiem z woli Boga.

Gdyby więc Alfonso podjął wyprawę, wkroczenie Aragonii stałoby się nieuchronne. Don Jehuda zastanawiał się, jak by to królowi w ostrożnych słowach wytłumaczyć. Ale Alfonso przeczuł z góry zastrzeżenia Jehudy. Nie chcąc o nich wiedzieć, uprzedził go.

— Ostatecznie to ty jesteś wszystkiemu winien — powiedział gniewnie — boś się rozsiadł w domu de Castrów.

W ciągu tych twardych miesięcy Jehuda wyhodował sobie drugie oblicze — wyraz cichej uprzejmości. Ale nie potrafił opanować swego głosu. Głos ten przy podnieceniu zacinął się i seplenił. Było tak i teraz, kiedy odpowiedział:

— Wyprawa przeciw braciom de Castro będzie kosztowała dwieście tysięcy maravedí w złocie, a nie sześć. Niechaj mi wasza wysokość wierzy, że Aragonia w żadnym wypadku nie przyjmie tego ze spokojem, jeżeli wystąpisz, królu, przeciw de Castrom. — Zdecydował się poinformować króla o swoim ostatnim zastrzeżeniu, które uważał za nie do odparcia. — Wiesz o tym, że kuzyn mój, don Józef Ibn Esra, jest alfakimem na aragońskim dworze, wtajemniczonym w królewski plan. Twój dostojny stryj myślał już niejednokrotnie o tym, by rodowi de Castrów udzielić pomocy zbrojnej. Kuzyn mój i ja wymieniliśmy między sobą listy i rady i don Józefowi udało się powstrzymać swego króla. Ostrzegł mnie jednak. Panowie de Castro mają wiążącą obietnicę, że w razie zaatakowania ich przez ciebie Aragonia dopomoże im.

Na młodzieńczym czole Alfonsa pojawiły się zmarszczki.

— Mam wrażenie, że wraz ze swym kuzynem zawzięcie kon-spirujesz.

— Powiedziałbym ci, panie, o ostrzeżeniu don Józefa już kilka dni temu — odrzekł Jehuda — ale nie byłeś łaskaw ukazać mi swego oblicza.

Król chodził gwałtownymi krokami tam i z powrotem. Don Jehuda przedkładał:

— Rozumiem, że wasza wysokość pała żądzą ukarania zuchwa-łych baronów. I ja — niechaj mi wolno wypowiedzieć tę pokorną uwagę — pałam nią również. Ale okaż tę łaskę i zaczekaj jeszcze trochę. Kiedy się rzecz rozważy spokojnie, szkoda, wyrządzona przez de Castrów, nie jest wielka.

— Trzymają w zamknięciu moich poddanych — zawołał Alfonso.

— Daj polecenie — zaproponował Jehuda — a wykupię pojmanych. To ludzie o małym znaczeniu. Chodziłoby o kilkaset maravedí.

— Milcz! — wybuchnął Alfonso. — Król nie wykupuje swoich podwładnych od wasala! A ty, kramarzu, nie rozumiesz tego.

Jehuda zbladł. Przecież spór toczył się właśnie o to, czy de Castrowie są wasalami don Alfonsa. Ale ci wyniośli panowie uważali, że różnice zdań dadzą się załatwić jedynie przez rabunki i morderstwa. Najchętniej byłby mu powiedział: „Rób sobie tę swoją wyprawę, ty rycerzu i błaznie. Rzucę ci te sześć tysięcy maravedí w złocie pod nogi”. Gdyby jednak doszło do wojny z Aragonią, zawaliłyby się wszystkie jego plany. Musi tej wyprawie zapobiec.

— Może — podsunął królowi — dałoby się oswobodzić pojmanych bez narażania na szwank królewskiej godności. Może da się osiągnąć to, żeby de Castrowie wydali ich Aragonii. Pozwól mi wszcząć na ten temat pertraktacje. Może, jeżeli mi pozwolisz, udam się sam do Saragossy, by się naradzić z don Józefem. Proszę, przyrzeknij mi jedno, królu: że nie nakazesz ekspedycji przeciw de Castrom, zanim mi pozwolisz jeszcze raz pomówić z tobą o tym.

— Na co ty sobie pozwalasz! — wybuchnął gniewnie Alfonso. Ale rozumiał, że zamiar jego jest nonsensem. Niestety, żyd miał rację.

Wziął monetę, ważył ją na ręce, oglądał. Rozpromienił się.

— Nic nie obiecuję — powiedział. — Ale rozważę twoje słowa.

Jehuda zorientował się, że nic więcej osiągnąć nie potrafi. Wziął urlop i pojechał do Aragonii.

Mimo nieobecności Jehudy kanonik Rodrigue zjawiał się często w castillo Ibn Esra. Szukał towarzystwa Muzy.

Siadali w małym przedsionku sali, patrzyli w ciszę ogrodu, słuchali cichego, równomiernego, wciąż takiego samego wzbijania się i opadania wód fontanny i prowadzili ciche rozmowy. Wzdłuż ścian widniały lśniące czerwienią, błękitem i złotem fryzy z mądrymi sentencjami. Kędzierzawe litery nowszego pisma arabskiego, spojone ze sobą, otoczone ornamentami, podobnymi do kwiatów, przeistaczały się w arabeski, tworzyły barwną tkaninę, która pokrywała ściany jak dywanem. Nad bazgraniną unosiły się znaki staroarabskie, „kufickie”,

kanciaste, oraz hebrajskie, podobne do bloków, układały się w przysłowia, mieszały z innymi i znowu wracały, dziwnie niespokojne i zawile.

Rodrigue, przedarłszy się przez ornamenty i arabeski, dotarł do owej sentencji hebrajskiej, którą mu wtedy, podczas piwszej wizyty, przetłumaczył Muza: „Przetóż jednakie jest dokończenie człowieka i bydła... jednakie tchną wszystkie... Któż wie, jeśli duch synów Adamowych wstępuje w górę, a jeśli duch bydłocy zstępuje na dół?”. Już wtedy niepokoiło kanonika, że strofy te, które mu Muza odczytał, brzmiały inaczej niż w znanej mu wersji łacińskiej. Teraz odczuwał nieodpartą potrzebę podyskutowania o tym z Muzą. Ale ten przestrzegał przyjaźnie:

— Nie powinieneś, dostojny przyjacielu, oddawać się tego rodzaju obserwacjom. Wiesz, że kiedy Hieronimus tłumaczył Biblię, inspirował go sam Duch Święty, a więc słowa, które Bóg zamienia z Mojżeszem w języku łacińskim, nie są mniej boskie od hebrajskich. Nie staraj się być zbyt mądrym, czcigodny don Rodrigue. Pies zwątpienia śpi cicho. Mógłby się obudzić, zacząć szczekać na twoje przekonanie i byłbyś zgubiony. I tak liczni twoi bracia po fachu w innych krajach chrześcijańskich nazywają nasze Toledo miastem czarnej magii, a nasze kędzierzawe arabskie i hebrajskie znaki bazgraniną szatana. Jeżeli będziesz taki ciekawy, nazwą cię jeszcze kacierzem.

Mimo to spokojne oczy don Rodriga nie mogły oderwać się od powodujących zamęt napisów. Bardziej jednak od nich niepokoił kanonika człowiek, który je kazał umieścić. Stary Muza — don Rodrigue uświadomił to sobie prędko — był całkowitym bezbożnikiem, nie wierzył nawet w Allacha i Mahometa. Mimo to poganin ten był dobrotliwy, cierpliwy, uprzejmy. Ale przede wszystkim był uczony. Rodrigue studiował wszystko, czego nauczyć mogła wiedza chrześcijańska — trivium i quadrivium, gramatykę, dialektykę i retorykę, arytmetykę, muzykę, geometrię i astronomię, ponadto całą dozwoloną wiedzę arabską oraz wiedzę o Bogu; Muza wiedział jednak o wiele więcej, wiedział wszystko, nad wszystkim się zastanawiał, możliwość prowadzenia rozmowy z tym bezbożnikiem była jedną z najpiękniejszych łask bożych.

— Ja kacierzem? — odpowiedział teraz z uprzejmą melancholią na przestrożę tamtego. — Obawiam się, mój drogi, mądry Muzo, że to ty jesteś kacierzem. I lękam się, że z ciebie nie tylko kacierz, ale i poganin, który nie wierzy nawet w prawdy swojej własnej wiary.

— Tego się obawiasz? — zapytał stary uczony o potwornie brzydkiej twarzy i skierował mocne, przenikliwe spojrzenie na spokojną twarz Rodriga.

— Obawiam się — odparł tamten — ponieważ jestem ci przychylny i żał mi, że będziesz się smażył w piekle.

— Czy nie smażyłbym się w nim — zapytał Muza — już za to, że muzułmanin?

— Niekoniecznie, drogi Muzo — pouczał go Rodrigue — a na pewno ogień nie byłby wtedy tak gorący.

Po krótkiej chwili Muza odparł z namysłem i dwuznacznie:

— Masz rację twierdząc, że nie czynię wielkiej różnicy między trzema prorokami. Dla mnie Mojżesz oznacza tyleż, co Chrystus, a ten tyle, co Mahomet.

— Tego nie wolno mi wcale słuchać — rzekł kanonik i odsunął się nieco. — Musiałbym wystąpić przeciw tobie.

Muza w grzeczny sposób porzucił ten temat:

— W takim razie nic nie powiedziałem.

W trakcie dyskusji Muza wstawał od czasu do czasu, podchodził do pulpitu i nie przerywając rozmowy kreślił koła i arabeski. Rodrigue patrzył z zazdrością i wyrzutem, w jaki sposób tamten marnotrawi kosztowny papier.

Kanonik chętnie odczytywał Muzie fragmenty swej kroniki, by uzyskać od niego

uzupełnienia i sprostowania. W kronice tej mówiło się wiele o nieżyjących świętych. Walcząc w przestworzach, niejednokrotnie pobili niewiernych; również ich relikwie, które zabierano do walki, przyczyniły się do niejednego zwycięstwa chrześcijan. Muza wtrącił, że te święte szczątki były chyba również świadkami niejednej klęski chrześcijan; uczynił to jednak łagodnie i rzeczowo, uważając za rzecz zrozumiałą, iż Rodrigue nic o tym nie mówi. W ogóle słuchał kanonika z uwagą i umacniał go w wierze w wagę jego dzieła.

Kiedy potem Muza zaczął odczytywać fragmenty ze swej własnej „Historii muzułmanów w Hiszpanii”, biednemu uszczęśliwionemu Rodrigowi wydało się to, co sam pisał, beznadziejnie prymitywne. Podczas słuchania tego jedyne w swoim rodzaju, śmiałego historycznego dzieła robiło mu się na przemian gorąco i zimno.

— „Państwa — czytał Muza — nie są instytucjami boskimi, powstają z naturalnych sił życia. Społeczna więź jest potrzebna dla utrzymania rodzaju ludzkiego i kultury, a władza państwowa, żeby się ludzie nawzajem nie wymordowali, gdyż są źli z natury. Siłą czyniącą z państwa twór jednolity jest asabidża, więź wewnętrzna poprzez wolę, historię i krew. Państwa, narody, kultury mają, jak wszystko, co zostało stworzone, swój przez naturę określony okres trwania, podobnie jak jednostka przechodzą przez pięć faz: powstawanie, rozwój, kwitnienie, upadek, kres. Cywilizacja staje się raz po raz zniewieściała, wolność przechodzi w zwątpienie; państwa, narody, kultury następują po sobie według surowych, zawsze tych samych praw, zawsze niestałe na podobieństwo wędrujących wydm piaszczystych”.

— Jeżeli cię dobrze rozumiem, przyjacielu mój, Muzo — powiedział kiedyś po wysłuchaniu jakiegoś fragmentu don Rodrigue — nie wierzysz w Boga, lecz jedynie w „Kadar”, w przeznaczenie.

— Bóg jest przeznaczeniem — odparł Muza. — To suma poznania zarówno Wielkiej Księgi żydowskiej, jak i Koranu.

Idąc za wzrokiem Muzy Rodrigue spojrzął na wypisane na ścianie słowa kaznodziei Salomona: „Wszystkie rzeczy mają swój czas, a swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem. Czas rodzenia i czas umierania, czas szczepienia i czas wyrwania tego, co szczepiono. Czas zabijania i czas leczenia... Czas narzekania i czas tańcowania... Czas miłowania i czas nienawidzenia. Czas wojny i czas pokoju. Cóż więc ma człowiek z pracy swej?” Kiedy Muza zauważył, że kanonik trafił na te słowa, ciągnął dalej:

— W osiemdziesiątej surze Koranu, w tej, która mówi o kresie, powiada prorok: „To, co obwieszczam, jest dla chcących iść słuszną drogą ostrzeżeniem. Ale nie będziecie mogli chcieć tego, jeżeli nie zechce Bóg wszechmogący”. — Widzisz, mój dostojny przyjacielu, że zarówno Salomon, jak i Mahomet dochodzą do wniosku: Bóg i przeznaczenie to jedno albo, wyrażając się filozoficznie: Bóg to suma wszystkich przypadków.

Słuchając słów takich don Rodrigue wpadał w zakłopotanie i postanawiał sobie nie przychodzić już więcej do castillo Ibn Esra. W dwa dni później jednak siedział znowu w otwartej sali między niepokojącymi napisami. Czasem przyproceedzał nawet któregoś ze swoich uczniów, najczęściej młodego Beniamina. Od czasu do czasu przychodziła również do okrągłej sali doña Rachel i słuchała, jak uczeni panowie przy cichym szmerze fontanny powoli wymieniają ze sobą zdania.

Pewnego razu, kiedy kanonik przyproceedził z sobą Beniamina, przypomniała sobie jego opowiadanie i zapytała don Rodriga, co mu jest wiadome o owym rabbim Chananie Ben Rabui i o jego maszynie do mierzenia czasu. Uczyniła to, gdyż relacja don Beniamina, jak to owego uczonego rabiego prześladowano i jak musiał niweczyć swe własne dzieło, jak go później torturowano i wreszcie spalono, nie wychodziła jej z głowy. Don Rodrigue nie chciał wiedzieć o tym, że się dręczyło uczonych z powodu ich nauki, i nie uwzględnił w swej kronice historii o

rabbim Chananie.

— Obejrzałem sobie owe cysterny w La Galianie — oświadczył — są to najzwyczajniejsze cysterny i nie sądzę, żeby kiedykolwiek służyły do mierzenia czasu. Poza tym uważam za niewiarygodne, żeby tego rabbiego poddawano torturom i uśmiercono. W dokumentach nic takiego nie znajduję.

Młody don Beniamin, dotknięty, że kanonik ma na temat jego opowiadania o rabbim Chananie wątpliwości, powiedział skromnie, ale z zapałem:

— To jednak, że był wybitnym uczonym, z pewnością przyznasz i ty, najdostojniejszy don Rodrigue. Nie tylko sporządził wspaniały astrolab, ale przełożył również na język arabski i łaciński dzieła Galenusa i w ten sposób uratował wiedzę medyczną starożytnych dla naszych czasów.

Don Rodrigue nie dał się w to wciągnąć, ale zaczął opowiadać o wielkich lekarzach wczesnego chrześcijaństwa. Byli wśród nich święty Kosma i Damian, nawiasem mówiąc pochodzenia arabskiego, którzy w czasach Galenusa leczyli nie mniej wspaniale niż on sam. Konkurenci ich donieśli, że byli chrześcijanami. Sędziowie wydali wyrok i rzucono ich do morza, ale zjawiły się anioły i uratowały ich. Wrzucono świętych do ognia, lecz płomienie nie miały się ich. Ciskano w nich kamieniami, ale kamienie zmieniały kierunek i kamienowały ich wrogów. Jeszcze jako nieboszczycy dokonywali cudów w dziedzinie kuracji. Był oto człowiek, który miał ciężką ranę na udzie. Modlił się przed obrazami obu świętych. Zapadł w głęboki sen, śniło mu się, że święci ucieli mu chorą nogę i zastąpili ją przez kończynę pewnego zmarłego Araba. I istotnie, przebudził się ze zdrową nogą. Znalaziono również nieżywego Araba, którego nogę przyprawili mu święci.

— Musieli to być wielcy czarodzieje — powiedziała z uznaniem doña Rachela.

A Muza oświadczył:

— Wielcy lekarze muzułmańscy osiągnęli najwyższe sukcesy lecznicze jeszcze za swego życia. Znam również chrześcijan, którzy zapadłszy na poważną chorobę chętnie zasięgają rady lekarza żydowskiego lub muzułmańskiego.

Don Rodrigue odpowiedział mniej pokojowo niż zazwyczaj:

— My, chrześcijanie, nauczamy, że skromność jest cnotą.

Muza chętnie to przyznał:

— Tak, nauczacie tego, mój dostojny przyjacielu.

Don Rodrigue odparł z uśmiechem:

— Gdybym miał zachorować, będę szczęśliwy, jeżeli mnie zechcesz leczyć, o mądry Muzo.

Don Beniamin szkicował coś potajemnie w swoim notatniku. Pokazał donii Racheli, co zrobił. Oto siedzi na drzewie kruk i ma twarz Muzy. Był to niewątpliwie portret, a więc rzecz podwójnie zabroniona. Ale był to portret wesoły, radosny; Racheli podobał się rysunek i ten, który go zrobił.

Ponieważ król nic przeciw braciom de Castro nie przedsięwziął, zwolennicy ich stawali się coraz zuchwalsi. Jak swego czasu ludzie z Burgos bronili bohatera narodowego, Cyda Compeadora, przed Alfonsem Szóstym, tak zbuntowani baronowie bronili teraz braci de Castro przed Alfonsem Ósmym: „Jacy dobrzy byłiby z nich wasale, gdyby tylko mieli lepszego króla”. Ponieważ król domagał się zaległych opłat, panowie de Nuñez i de Arenas szydzili:

— Chodźże, don Alfonso, zabierz od nas swoje pieniądze, tak samo jak zabierasz swych poddanych z zamków de Castrów.

Don Alfonso szalał. Jeżeli nie chciał wywołać przeciw sobie oburzenia wszystkich baronów, nie mógł pozwolić, żeby mu reprezentanci rodu de Castrów dłużej tańczyli po głowie.



Zwołał swoich zaufanych na radę koronną. Byli tu i don Manrique de Lara, i jego syn Garceran, arcybiskup don Martin de Cardona i kanonik don Rodrigue: *escrivano mayor* bawił jeszcze w Aragonii.

Don Alfonso w obliczu przyjaciół dał upust swemu bezsilnemu gniewowi. Bracia de Castro nie szczędzili mu zniewag, a jego *escrivano* pertraktował z podejrzanym królem Raimundezem

i chciał załatwić spór rycerski w sposób kramarski. A przy tym głównym winowajcą był właśnie ten żyd, który się rozsiadł w siedzibie de Castrów.

— Najchętniej — zakończył Alfonso gwałtownie — wyrzuciłbym go.

Don Manrique łagodził.

— Bądź sprawiedliwy, królu. Nasz żyd zasłużył sobie na *castillo*. Dotrzymał więcej, niż obiecał. Grandowie płacą ci w czasach pokoju podatki. Siedemnaście miast, które należały do grandów, podlega dziś tobie. Jeżeli nawet bracia de Castro trzymają w zamknięciu kilku twoich poddanych, to odzyskały wolność setki twoich rycerzy i niewolników, więzionych dotychczas w Sewilli.

Arcybiskup don Martin, o czerwonej, okrągłej, szorstkiej twarzy pod siwiejącą czupryną, oponował. Siedział z zaczepną miną — na pół duchowny, na pół rycerz. Szata, świadcząca o jego godności, nie ukrywała zbroi, uważał bowiem, że tu w Toledo, tak blisko muzułmanów, jest się stale na świętej wojnie.

— Masz wiele słów uznania dla twego żyda, szlachetny don Manrique — powiedział grzmiącym głosem. — Przyznaję, że ten nowy Ibn Esra wyczarował z tego kraju setki tysięcy *maravedí* w złocie i nieco również dla króla, pana naszego. Za to jednak przyniósł Kościołowi tym większą szkodę. Nie zamykajcie na ten fakt oczu, panowie! Żydostwo Toledo było zawsze zuchwałe, już za czasów naszych gockich ojców. To, żeś raczył, królu, osadzić tego Jehudę na urządzie, uczyniło bezwstyd aliamy czymś nie do zniesienia. Nie tylko przywódca ich, ten Efraim Bar Abba, nie chce mi płacić mojej dziesięciny, przy czym może się niestety powoływać na ciebie, królu, ale w sposób prowokacyjny ośmiela się obwieszczać z synagogi owo błogosławieństwo Jakuba: „Nie będzie odjęty scepter od Judy ani wódz z biodr jego...” A przecież wyjaśniłem temu człowiekowi na podstawie pism Ojców Kościoła, że błogosławieństwo Jakuba było ważne do przybycia Mesjasza i wraz ze zjawieniem się Zbawiciela straciło swą wagę. Ale tylko my, chrześcijanie, rozumiemy tajemniczy sens wewnętrzny Pisma. Ci żydzi podobni są do niemądrego bydła i tkwią na powierzchni.

— Nie należałoby może — powiedział łagodnie kanonik — traktować tak surowo aliamy Toledo. Kiedy wówczas ślepi, grzeszni i zarozumiali żydzi jerozolimscy zawlekli Pana naszego Jezusa Chrystusa przed swój trybunał, gmina żydowska w Toledo wystosowała do arcykapłana Kaifasza orędzie i przestrzegała go, by Zbawiciela nie rozpiął na krzyżu. Tak napisane jest wyraźnie w starych księgach.

Arcybiskup zmierzył don Rodriga niechętnym spojrzeniem, ale wstrzymał się z odpowiedzią. Istniał bowiem dziwny związek między nim i jego sekretarzem. Arcybiskup był pobożny, z gruntu uczciwy i świadomy tego, że jego wojowniczy temperament popycha go czasami do słów i czynów, które jemu, prymasowi Hiszpanii, następcy świętego Eugeniusza i świętego Ildefonsa, nie przy-stoją; aby odpokutować za grzechy, do których mogłoby go skłonić jego kłótlive usposobienie, obarczał się stałą obecnością łagodnego jak baranek don Rodriga. Myślał o powołaniu się na to, gdyby mu na Sądzie Ostatecznym wytknięto, że chwilami żołnierz był w nim potężniejszy od kapłana.

Zamiast więc do don Rodriga zwrócił się do króla:

— Kiedyś tedy, dając posłuch konieczności i swoim doradcom, zawezwał żyda,

ostrzegałem cię, don Alfonso, i przepowiadałem: nadejdzie dzień, w którym tego wezwania pożałujesz. Święty sobór miał swoje słuszne powody, wzbraniając królom chrześcijańskim powierzania niewiernym wysokich urzędów.

Don Manrique odrzekł:

— Królowie Anglii i Nawarry, jak również i królowie Leonu, Portugalii i Aragonii zatrzymali swych żydowskich ministrów na przekór uchwałom soboru laterańskiego. Zadowolili się wyrażeniem Ojcu Świętemu swego ubolewania. Uczynił tak król, pan nasz. Mógł się ponadto powołać na przykład swoich dostojnych przodków. Alfonso Szósty, cesarz hiszpański, miał dwóch żydowskich ministrów, Alfonso Siódmy pięciu. Nie wyobrażam sobie, żeby Kastylia bez pomocy żydów mogła zbudować te liczne kościoły dla świętych i wznieść liczne twierdze przeciw muzułmanom.

— Pozwól mi ponadto, mój przewielebny ojciec — uzupełnił kanonik — przypomnieć ci w pokorze przyjaciela naszego, wielbego biskupa w Valladolid. I on nie mógł wydestakować swych podatków i musiał ściągnięcie ich powierzyć naszemu Jehudzie.

Tym razem don Martin nie potrafił powstrzymać gniewu.

— Masz «wiele cnót, don Rodrigue — zagrział — jesteś niemal święty i dlatego cię znoszę. Ale pozwól mi powiedzieć w całej pokorze: chwilami łagodność twoja i cierpliwość graniczą z bezwstydem.

Król słuchał tych kłótni. Siedział zatopiony w rozmyślaniach, wreszcie wypowiedział to, co go pochłaniało:

— Już nie raz pytałem samego siebie, dlaczego Bóg dał niewiernym tyle sił, a nam ich odmówił. Myślę, że wygląda to tak: Właśnie dlatego, że potępił ich na wieki, wyposażył ich w swej łaskawości na ten krótki okres czasu, który spędzają na ziemi, w wielką mądrość i błyskotliwy sposób wyrażania się, w zdolność gromadzenia skarbów.

Pozostali, nieco zakłopotani, milczeli. Było rzeczą dziwną, a raczej niewłaściwą, że król tak odważnie dzielił się swymi najskrytszymi myślami. Ale król miał królewskie prawo do beztroskiego wypowiedzania tego, co mu leżało na duszy.

Młodzińczy don Garceran wrócił do tematu narady.

— Jedno mógłbyś zrobić, królu — zaproponował. — Jeżeli już nie występujesz zbrojnie przeciw braciom de Castro, to załóż przynajmniej na ich granicy garnizon. Wyślij żołnierzy najemnych do miasta Cuenca.

— To dobra rada! — zawołał grzmiącym głosem arcybiskup. — Tak, umieść żołnierzy najemnych w Cuence, tylko nie za mało, żeby panom de Castro odeszła chętka napadania na twoich poddanych.

Alfonso sam myślał już o tym. Ale był zadowolony, że inni wystąpili z tą propozycją.

— Tak, uczynią to — obwieścił. I dodał gniewnie, a zarazem wesoło: — Przeciw temu nawet nasz żyd nie będzie miał nic do powiedzenia.

Don Manrique uważał, że wystarczy trzy chorągwie, żeby zabezpieczyć miasto Cuenca przed rodem de Castrów. Don Alfonso wskazał na to, że pod wpływem gwałtów braci de Castro mógłby na miasto przyjść apetyt również emirowi Walencji; woli więc posłać do Cuenki więcej żołnierzy, jakieś dwieście lanc. Arcybiskup, uchodzący za doświadczonego w sztuce wojennej, zwrócił uwagę, że niektórzy z żołnierzy muszą być ustawicznie w drodze, by bronić zagrożonych folwarków chłopskich albo eskortować poróżujących mieszczan.

— Wyślij trzysta lanc, Alfonso — zażądał.

Don Alfonso wysłał pięćset lanc.

Dowództwo nad tymi wojskami przekazał swemu przyjacielowi, don Estebanowi Illan, młodemu, chwackiemu, odważnemu panu. Nim don Esteban wyruszył, król położył mu na sercu:

— Nie dopuść, by mnie na nowo znieważano, don Esteban. Nie toleruj najmniejszego wykroczenia. Gdyby ludzie de Castrów skradli na naszym terytorium choćby jedną kurę, nie puść tego płazem. Ścigaj ich aż do ich Santa Maria i odbierz im kurę! Gdyby to nawet miało kosztować dziesięciu najemnych żołnierzy! — Dał mu rękawiczkę, jako oznakę rycerskiego zlecenia.

Don Esteban ucałował jego rękę i powiedział:

— Nie będziesz miał powodu do uskarżania się, don Alfonso.

Żołnierze wkroczyli do małego miasta Cuenca i okolicznych wsi.

Grasowali po bardzo nieprzejrzystej granicy górskiej krainy Albar-racin. Ale żaden z żołdaków de Castrów nie pokazał się. Minął tydzień, po nim jeszcze jeden. Żołnierze don Estebana złorzeczyli na nudną służbę, ludność Cuenki wymyślała na uciążliwą obecność wojska.

Tymczasem Jehuda przebywał w Saragossie i pertraktował ze swym kuzynem, don Józefem Ibn Esrą. Ten inteligentny pan, gru-bawy, jowialny, łatwy w obejściu, sceptyczny, dał do poznania, że przejrzał motywy, którymi się Jehuda kieruje. Ponieważ zaś jemu samemu zależało na utrzymaniu pokoju, więc działał życzliwie na jego korzyść. Jehuda chciał, żeby Aragonia wykupiła kastylskich jeńców de Castrów i zwróciła ich don Alfonsowi; ten w zamian za to zrezygnowałby ze swych roszczeń do miasta Daroca.

Propozycja Jehudy wydawała się don Józefowi słuszna, wierzył również, że potrafi uczynić ją swemu panu strawną. Oczywiście nie wolno było postępować zbyt pośpiesznie. Król Raimundez znajdował się w obozie wojennym, pochłonięty pomyślnym zakończeniem wojny z hrabią Tuluzy, i don Józef musiał poczekać na odpowiednią chwilę, zanim nadarzy się okazja do poruszenia tak drobnej sprawy. W ciągu jakichś dwóch tygodni pojedzie do don Raimundeza, do obozu wojennego. Niechaj Jehuda zachowa przez ten okres cierpliwość. Po upływie tego czasu niech się również znajdzie u don Raimundeza.

Jehuda wykorzystał te dwa tygodnie. Pojechał do Perpignan i doprowadził do pomyślnego końca pewien zawikłany interes. Pojechał do Tuluzy, żeby odwiedzić krewnego, Meira Ibn Esrę, żydowskiego bailliego tego miasta. Potem udał się do obozu króla Raimundeza. Don Józef pomógł stosownie do obietnicy, don Raimundez słuchał go łaskawie.

Ale król był człowiekiem powolnym i gruntownym, więc minął dalszy tydzień, zanim się zdecydował wyrazić swą zgodę.

Jehuda odetchnął. Najgorsza z głupich przeszkód, które zagrażały jego dziełu pokoju, była usunięta. Wysłał do don Alfonsa kuriera z wiadomością, że korzystna umowa została podpisana i przypieczętowana, a on sam wróci za kilka dni.

Zanim wiadomość ta dotarła do Toledo, don Alfonso otrzymał z Cuenki długie, zawile pismo od swego przyjaciela Estebana Illana.

Zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Uzbrojeni żołdacy braci de Castro postanowili na terytorium kastylskim zrabować stado owiec. Ludzie don Estebana, puściwszy się za nimi w pogoń, wdarli się na terytorium rodu de Castrów. Tam natrafili na zastęp rycerzy i giermków. Doszło do zniewag słownych i utarczek. Zginął przy tym jeden z rycerzy, na nieszczęście jeden z braci de Castro, hrabia Fernan. Nie da się zaprzeczyć, pisał don Esteban, że Fernan de Castro, kiedy weń ugodziła kastylska strzała, nie był uzbrojony do walki, lecz raczej przygotowany do łowów, trzymał bowiem na rękawicze swego ulubionego sokoła. Dlaczego żołdak kastylski wypuścił swą strzałę, nie da się ustalić; w każdym razie Esteban kazał z miejsca powiesić winnego.

Don Alfonso czytał i serce mu zamierało. Gorzej całe to przedsięwzięcie wypaść nie mogło. Zwyczajny żołdak haniebnie zamordował pana z najwyższej szlachty, na jego, don Alfonsa, polecenie. Cała Hiszpania będzie to królowi Kastylii poczytywała za hańbę.

Drugi Castro, Gutierre, miał teraz słuszny, rycerski powód do pomszczenia swego brata. Zwróci się do Aragonii i król Raimun-dez, zwycięzca w Prowansji, otrzyma pożądaną pretekst do napadnięcia na swego znienawidzonego bratanka Alfonsa. Bezsensowna wojna z Aragonią, której nie chciał, przed którą wszyscy go przestrzegali, stała się rzeczywistością.

Alfonsowi wstyd było przed Jehudą. Wstyd mu było przed całą radą. Przed całym chrześcijaństwem. A przecież zrobił tylko to, co na jego miejscu byłby uczynił każdy rycerz. Było jego królewskim obowiązkiem chronić swoje wierne miasto Cuenca i wysłać wojska. Nikt nie mógł mu również robić wyrzutów, że powierzył dowództwo don Estebanowi Illanowi. Don Esteban był jego przyjacielem, zasłużonym rycerzem, poza tym nosił w swej szabli kosteczkę świętego Ildefonsa. Ach, dostojna relikwia nie powstrzymała szatana. To, że się tak stało, było bowiem piekielnym nieszczęściem. Szatan uparł się po prostu i nikt nie ponosił tu winy, ani on, ani don Esteban, ani Fernan de Castro, ani nawet żyd. Ale całe chrześcijaństwo obarczy winą jego, Alfonsa.

Tak, ten Jehuda nie przyniósł mu szczęścia. A teraz, kiedy potrzebował jego rady, nie było go!

Dobrze, że go nie było. Teraz nie mógłby patrzeć na niego. Nie zniósłby jego pełnej wyrzutów, mądrej gadaniny. Musi mieć człowieka, który go rozumie całkowicie, rozumie jego brak winy, jego niesłychane nieszczęście. Człowieka bardzo bliskiego, kogoś, kto do niego należy.

Nie czekając na Jehudę ruszył konno z małym orszakiem do Burgos, do swej królowej, donii Leonor.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Doña Leonor powitała króla radośnie. Nie potrzebował wtajemniczać jej w to, co zaszło. Rozumiała go. Czuła tak samo jak on. Wszystko było złym zrządzeniem, jej Alfonso nie był obciążony żadną przewiną.

Przy tym perspektywa wojny z Aragonią przygnębiła ją jeszcze bardziej niż jego. Marzyła o zjednoczeniu obu krajów, a tymczasem ta wojna burzyła jego nadzieje. Ukrywała jednak swoje przygnębienie, była spokojna jak zwykle. Zgodnie ze swoimi nadziejami Alfonso znalazł w niej pociechę i pokrzepienie.

Na ogół wołał Toledo od Burgos. W Toledo, jeszcze jako chłopak, dokonał swego pierwszego wielkiego czynu, stamtąd zawojował swe państwo. Toledo znajdowało się również w pobliżu prawdziwych, odwiecznych wrogów, muzułmanów, i król-żołnierz winien był właśnie tam przebywać. Tym razem jednak chętnie bawił w starym, prachrześcijańskim Burgos, liczne wspomnienia dodawały mu siły i otuchy. Od castillo tego miasta Burgos pochodzi nazwa jego Kastylii, stąd przodek jego Fernán González uczynił hrabstwo kastylskie niezależnym, wielkim i potężnym.

I tutaj, w Burgos, pradziad jego, Alfonso Szósty, dał dowód, że król nie cofa się nawet przed najwybitniejszym mężem Hiszpanii. Ów Alfonso wypędził z miasta najdzielniejszego bohatera kraju, Cyda Compeadora, ponieważ był niezadowolony z jego sposobu prowadzenia wojny; król Kastylii nie przebaczał nieposłuszeństwa nawet Cydowi, nawet potomkowi rodu Castrów.

Teraz jednak Cyd Compeador nie żył. Królowie od dawna przebaczyli najdzielniejszemu rycerzowi i bojownikowi Hiszpanii, miasto Burgos było dumne z licznych pamiątek po bohaterze. Ponury, ale rozbawiony stał don Alfonso przed pewną skrzynią, zawieszoną w kościele klasztoru Huelga. Skrzynię tę ofiarował Cyd dwom żydowskim bogaczom jako zastaw, rzekomo pełno w niej było bogatych skarbów. Później okazało się, że zawierała wyłącznie piasek. Bohater wychodził z założenia, że słowo jego wystarczy.

W ten sposób Cyd dał swą skrzynią naoczny przykład, jak rycerz postępuje z żydowskimi kramarzami.

Don Raimundezowi Aragońskiemu nieśpieszno było z rozpoczynaniem wyprawy; od dawna uchodził za człowieka niezdecydowanego. Za to króla Alfonsa czekanie dręczyło i mówił z donią Leonor o tym, że chciałby uderzyć pierwszy.

Doña Leonor nie mogła dłużej milczeć. Powiedziała jasno, wyraźnie, że kraj nie zapomniał klęski pod Sewillą. Nawet gdyby został napadnięty, będą szemrać przeciw nowej wojnie. Atakowanie w tych warunkach to szaleństwo. Don Alfonso przełknął te cierpkie słowa.

Po jakimś czasie zjawił się w Burgos don Jehuda. Z miejsca zrozumiał wagę wiadomości o śmierci Fernana de Castro. Zrozpaczony przypisywał winę samemu sobie. Obliczenie jego okazało się fałszywe. Powinien był pozostać w Toledo i powstrzymać króla. Intuicja zawiodła go.

Czynny z natury, mimo to nie utracił nadziei, że wojny da się uniknąć. Ruszył z miejsca do Toledo. Tam dowiedział się, że Alfonso jest w Burgos. Zawrócił więc, ruszył konno do Burgos.

Zameldował się u don Alfonsa. Ten nie przyjął go pod różnego rodzaju pozorami. Ale posłała po niego doña Leonor.

Jehuda stanąwszy przed obliczem tej mądrej kobiety nabrał na nowo otuchy.

— Jeżeli wasza wysokość pozwoli — zaproponował — pojedę do Saragossy i spróbuję

ułagodzić króla. Kiedy byłem teraz w jego obozie polowym, słuchał mnie chętnie.

— Od tego czasu sprawy zmieniły się — powiedziała doña Leonor.

Ale Jehuda odrzekł ostrożnie:

— Nie mógłbym oczywiście przyjść z pustymi rękami.

— A cóżbyś takiego mógł zawieźć? — zapytała doña Leonor.

— Może byłoby do pomyślenia — ciągnął Jehuda jeszcze ostrożniej — żeby don Alfonso zrezygnował z tej spornej zwierzchności lennej Kastylii.

— Zwierzchność lenna Kastylii nie jest sporna — odparła chłodno doña Leonor i dodała po chwili: — Lepiej już wojna!

Zmierzyła przy tym don Jehudę obcym, pogardliwym spojrzeniem. Uświadomił sobie w związku z tym spojrzeniem, że była taka sama jak król. I ona za nic na świecie nie chciała oddać tego pustego, rycerskiego, śmiesznego tytułu, nie chciała zrezygnować z praw do niego. I ona uważała rozsądne rozważania i planowanie za coś kramarskiego.

Gdy Jehuda dotarł wreszcie przed jego oblicze, don Alfonso rzekł drwiąco:

— Oto z zapalem i wysiłkiem namotałeś, mój *escrivano*, w Sa-ragossie i pod Tulużą wiele chytrych umów. Teraz widzisz, ile są warte. Nie przyniosłeś mi szczęścia, don Jehudo. Okaż się teraz przynajmniej na coś przydatnym i postaraj mi się o pieniądze. Obawiam się, że będziemy potrzebowali dużo pieniędzy.

Don Alfonso odbył naradę ze swoimi oficerami. Znał swoje rzemiosło wojenne i był zdecydowany nie ułatwiać Aragonii sprawy. Uświadamiał sobie dokładnie, że wszystkie korzyści są po stronie przeciwnika, ale trwał niezłomnie przy swej ufności. Jako rycerz chrześcijański kładł swój los w ręce Wszechpotężnego, który nie dopuści, by jego Alfonso z Kastylii został zgubiony.

Bóg wynagrodził jego otuchę. Don Raimundez z Aragonii zmarł nagle, dożywszy zaledwie lat pięćdziesięciu siedmiu. W kwiecie wieku, w trakcie zwycięstw w Prowansji, ugodzony został przez Boga w serce i opuścił grono żyjących, nie zdążywszy wyrządzić szkody swemu bratankowi z Kastylii.

Sytuacja Alfonsa uległa raptownej i szczęśliwej zmianie. Aragoński następca tronu, siedemnastoletni infant don Pedro, nie był taki, jak jego ojciec. Don Raimundez powiększył swój kraj przez mądrość stanu, dzięki przebiegłości zdobył w Prowansji tytuły i ziemie, posługiwał się siłą wojskową tylko wtedy, kiedy był pewny zwycięstw; nie lękał się upokarzać przed swoimi grandami, kiedy mógł tą drogą osiągnąć pieniądze i świadczenia.

Młody Pedro uważał takie „pokątne” pociągnięcia za niegodne rycerza. Jak tylu innych widział w swym kuzynie z Kastylii arcywzór chrześcijańskiego rycerza. Niebezpieczeństwo narzucenia don Alfonsowi wojny było niewielkie.

— Bóg jest ze mną — triumfował Alfonso wobec swojej królowej. A przed Jehudą pysznił się: — No widzisz!

Doña Leonor, uśmiechając się milcząco, brała udział w jego nieposkromionej radości. Od dawna zależało jej bardzo na ścisłym aliansie między Kastylią i Aragonią. Nie myśląc o zrezygnowaniu przez Kastylię z przywilejów zwierzchniczych, pragnęła przeszkodzić wszelkimi środkami temu, by z tych pretensyj powstały nowe zatargi.

Odziedziczyła po ojcu i matce dosyć mądrości politycznej, żeby wiedzieć, że Kastylia sama nigdy nie może być wielkim państwem, jak Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, jak państwa angielskie i frankońskie. Dawniej Kastylia i Aragonia były zjednoczone, ten, który nosił obie korony, miał prawo nazywać się cesarzem Hiszpanii. W ciągu wszystkich tych lat doña Leonor cierpiała z powodu waśni między Raimundezem i Alfonsem. Chciała teraz zakończyć ten spór, mocno związać ze sobą na nowo oba kraje.

Istniał ku temu dobry środek. Doña Leonor nie urodziła następcy tronu, ale za to trzy infantki. Ten, który brał za żonę najstarszą, trzynastoletnią Berengarię, miał widoki na otrzymanie w spadku Kastylii. Zawsze najbliższa jej była myśl zaręczyć infantkę z następcą tronu aragońskiego, by kiedyś później jeden władca nosił koronę obu krajów. Jeżeli do tego nie doszło, to przyczyną była wyłącznie głęboka wzajemna niechęć obu królów. Przeszkoda znikła teraz. Można było zaręczyć infantkę z młodym Pedrem. Ten, będąc i tak wielbicielem Alfonsa, da się łatwo skłonić do uznania zwierzchnictwa swego teścia, którego przecież kiedyś zostanie dziedzicem.

Królowa wyłożyła to wszystko swemu królowi. Alfonso słuchał uprzejmie, z lekką niecierpliwością.

— Dobrze i rozsądnie, moja mądra Leonor. Ale mamy przecież czas. Młodzieniec nie został jeszcze przyjęty do stanu rycerskiego. Stryj Raimundez nie potrafił zdobyć się na to, żeby

o tę przysługę poprosić. Sądzę, że przede wszystkim należałoby zaprosić don Pedra, by z mojej ręki wziął miecz i godność. Reszta przyjdzie sama.

Po tej rozmowie para królewska, której towarzyszyła bogato przyodziana świta, ruszyła do Saragossy na uroczysty pogrzeb don Raimundeza.

Młody król, don Pedro, okazał Alfonsowi ów radosny szacunek, jakiego oczekiwano. Płonął z podziwu dla donii Leonor. Była wielką damą, opiewaną przez poetów, ubóstwianą pięknnością, dla której rycerze spalali się czystą miłością, która łaskawie na tę miłość pozwalała. Doña Leonor wzięła pod uwagę słowa Alfonsa, że nie należy postępować zbyt pochopnie. Zaznaczyła tylko ogólnie i mgliście, że wraz z don Alfonsem myśli o jeszcze ściślejszym związaniu z kuzynem z Aragonii. Ale uderzyła w poufały, koleżeński, a równocześnie odrobinę macierzyński ton i wysmukły młody książe, zrozumiał w lot, o co chodzi, zarumienił się po uszy. Nie tylko pociągała go myśl, że złączy się tak blisko ze starszym, doświadczonym rycerzem; widział również przed swymi oczyma czarowne lśnienie korony cesarskiej zjednoczonych krajów hiszpańskich. Ucałował rękę donii Leonor i odpowiedział:

— Nie ma poety, o pani, który znalazłby słowa, zdolne wyrazić moje szczęście.

Poza tym nie rozmawiano o sprawach państwowych, ani o stosunkach między Kastylią i Aragonią. Mówiono natomiast o przyjęciu Pedra do stanu rycerskiego. Miał lat siedemnaście, znajdował się w odpowiednim wieku, było wskazane, żeby ceremonia dokonana została przed koronacją. Alfonso zaprosił księcia, żeby dla złożenia przysięgi na miecz przybył do jego miasta Burgos. Będzie go tam sam pasował na rycerza wśród uroczystości, należnych obu największym księżętom Hiszpanii.

Uszczęśliwiony don Pedro przyjął zaproszenie.

W Burgos przystąpiono do wielkich przygotowań. Don Alfonso wysłał tam cały swój dwór. Doña Leonor uważała, że należy zaprosić również dzieci escrivano; król wyraził po pewnym ociąganiu się swą zgodę.

Kiedy Jehuda został zawiadomiony przez herolda o zaproszeniu wszystkich trojga Ibn Esrów, ogarnęło go uczucie triumfu. Otoczony przepychem, z pokaźną eskortą ruszył wraz ze swoimi do Burgos.

Don Garceran i pewien młodzieniec ze świty donii Leonor z wielką radością oprowadzali donię Rachelę i jej brata po prastarym mieście. Chłopak Alazar, wrażliwy na wszystko, co rycerskie, oglądał chciwie różnorodne pamiątki po Cydzie Compeadorze, jego grobowiec, broń, ryszczunek, jego rumaka.

Chłopiec entuzjazmował się jeszcze bardziej przygotowaniami do gier. Wywieszono już tarcze herbowe rycerzy, którzy się zgłosili do wielkiego turnieju. Miały się również odbyć

zawody w strzelaniu z kuszy. Alazar, dumny ze swojej wspaniałej kuszy muzułmańskiej, postanowił z miejsca wziąć w nich udział. Przyglądał się również z dziecinnym podziwem ogrodzeniu, za którym trzymano byki, przeznaczone do wielkiej walki.

Uczta ku czci don Pedra odbyła się w zamku królewskim, w owym castillo, od którego Kastylija wzięła swą nazwę. Była to stara, surowa budowla. Podłogi wyłożono dywanami, schody zasypane były różami. Na ścianach wisiały gobeliny, przedstawiające sceny wojenne i myśliwskie; doña Leonor sprowadziła je ze swej francuskiej ojczyzny. Wszystkie te jednak wysiłki dały ponurej budowli tylko cienki pokost wesołości.

W salach głównych zamku i na zamkowym dziedzińcu poustawiano obok wielkich stołów dużą ilość małych. Książę Aragonii zabrał ze sobą swego alfakima, don Józefa Ibn Esrę. Posadzono go wraz z Jehudą na dziedzińcu. Nie było to miejsce zbyt honorowe, ale porządek stołu przy uroczystościach tego rodzaju nie należał do rzeczy łatwych.

Miasto Burgos było sławne ze swego klimatu. I teraz, w czerwcu, panował na dziedzińcu zamkowym niemiły chłód, garnki z węglem nie dawały dostatecznego ciepła; ten nieprzytulny nastrój przypominał obu żydowskim panom przez cały czas trwania uczty, że w zamku siedzieli się przyjemniej. Ale nie dawali po sobie poznać, że czują się dotknięci, nie przyznawali się do tego nawet przed sobą, rozmawiali z ożywieniem o radosnych skutkach, jakie musi wywołać porozumienie między Kastylią i Aragonią, o ułatwieniu w wymianie towarów, o ogólnym ożywieniu życia gospodarczego.

Podczas tej rozmowy Jehuda wielokrotnie spoglądał w stronę swej córki. Mądra dziewczyna zauważyła zapewne, że aragoński pan z drugorzędnego szlacheckiego rodu, przeznaczony jej na sąsiada przy stole, nie należy do towarzystwa najbardziej wyborowego; sądząc jednak po pozorach gawędziło jej się z nim nie najgorzej. Alazar ze swej strony prowadził ożywioną rozmowę z wyrostkami, których posadzono przy stole razem z pełną wesołości starszą młodzieżą.

Po zakończonej uczcie goście zebrali się w murach zamku. Wzdłuż ścian były wzniesione estrady. Siedziały na nich za niskimi balustradami damy, stojący niżej panowie musieli podczas konwersacji zadzierać ku nim głowy.

Doña Rachela zajęła miejsce w drugim rzędzie; raz po raz zasłaniali ją siedzący przed nią. Don Garceran zwrócił na jej osobę uwagę króla. Również i inni jego młodzi panowie mówili mu o dziwnej, wyposażonej w wielkie zalety umysłu córce jego żyda, był więc jej ciekaw. Kiedy don Garceran mu ją wskazał, stał dosyć daleko od niej; mimo to, choć spojrział na nią przelotnie, mógł swym bystrym okiem zobaczyć jej rysy. Chuda, ciemno-błada twarz o wielkich oczach, obramowana surowo szeroką czapką, wyglądała dziecinnie, sponad mocno wygiętego, obszytego futrem stanika ukazywały się zarysy piersi i delikatnej, młodzieńczej szyi.

— No tak — powiedział Alfonso — zupełnie ładna.

Doña Leonor, troskliwa pani domu, zauważyła, że Jehuda nie jest traktowany z szacunkiem, należnym escrivano. Poprosiła go więc do siebie przez pazia i zgodnie z nakazami etykiety zapytała go, jak się bawił, czy nie odczuł braku czegośkolwiek. Potem poprosiła go, aby jej przedstawił swoje dzieci.

Doña Rachela patrzyła jej w twarz z nieukrywaną, ciekawością. Donię Leonor złościło nieco, że żydówka nie odczuwa wobec swej królowej żadnego zmieszania. Również koronki jej stanika i zielony adamaszek sukni wydawały jej się u młodej dziewczyny za kosztowne. Ale donię Leonor obowiązywały jako panią domu przepisy kurtuazji. Pozostała więc uprzejma, a nawet dała don Alfonsowi do zrozumienia, że mogłaby powiedzieć dzieciom swego ministra parę grzecznych słów.

Młodziutki Alazar oblał się rumieńcem, kiedy król do niego przemówił. Widział w nim



odzwierciedlenie bohaterskich cnót. Czołobitnie i naiwnie zapytał, czy don Alfonso weźmie udział w grach, i wyznał, że się zgłosił do turnieju w strzelaniu z kuszy.

— Kuszę moją wykonał własnoręcznie Ibn Ichad, głośny snycerz kusz w Sewilli — powiedział z dumą. — Zobaczysz, królu, że panowie twoi niełatwo dadzą sobie z tym radę.

Alfonso, którego to szczerze ubawiło, poznał w chłopcu syna swego wyniosłego *escrivano*.

Nie tak prosty przebieg miała jego rozmowa z donią Rachelą. Zamienili po łacinie kilka zdawkowych zdań. Przyglądała mu się przy tym wielkimi, ciemnobrązowymi badawczymi oczyma. I jemu nie podobała się jej beztroska. Szukając tematu, zapytał:

— Czy rozumiesz, co śpiewają moi *joglares*?

*Joglares*, jego trefnisie, śpiewali po kastylsku. Doña Rachelę odpowiedziała szczerze i ściśle:

— Wiele rozumiem. Ale całkowicie nie mogę ich pośledniej łacinie nadążyć.

„Poślednia łacina” była określeniem dla języka ludowego, obca dziewczyna nie chciała prawdopodobnie powiedzieć nic obraźliwego. Ale Alfonso nie chciał dopuścić do zniewagi języka swego kraju i przywołał ją do porządku:

— Nazywamy ten język kastylskim. Setki tysięcy zacnych ludzi, moich poddanych, posługują się nim. — Ledwie to wypowiedział, wydał się sobie niepotrzebnie szkolarski i surowy, więc dodał łagodząco: — Nazwa Kastylii pochodzi zresztą od tego zamku. Zawojował ją stąd hrabia Fernán González. Podoba ci się ten zamek? — Ponieważ doña Rachelę zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią, dodał po arabsku: — Jest bardzo stary i pełen wspomnień.

Doña Rachelę, przyzwyczajoną do wypowiedzania tego, co jej przychodziło na myśl, odpowiedziała:

— Teraz, o królu, rozumiem, że ci się ten zamek podoba.

Dotknęło to don Alfonsa. Czy uważała, że słynny od wieków zamek może się podobać tylko temu, którego wiąże z nim względy natury osobistej? Chciał odpowiedzieć jakąś złośliwością. Ale ostatecznie ta doña Rachelę była jego gościem i nie miał obowiązku uczyć córki żyda kurtuazji. Zaczął więc mówić o czym innym.

Bez interwencji don Manriquego z trudem dopuszczono by chłopca żydowskiego don Alazara do turnieju w strzelaniu z kuszy, mimo że był synem *escrivano*. Dzięki temu mógł uczestniczyć w turnieju i udało mu się zdobyć drugą nagrodę. Swoboda i pełna wdzięku bezpośredniość chłopca, radość z powodu zdobycia nagrody, zawstydzenie, że to tylko druga, duma ze swej kuszy, która istotnie nie miała w Burgos równej sobie, wszystko to zjednało mu sympatię otoczenia nawet wbrew jego woli.

Król złożył mu gratulacje. Alazar stał rozradowany, ale wyraźnie dręczony ciężkimi wątpliwościami. Potem zdobywszy się na decyzję podał don Alfonsowi swą kuszę ze słowami:

— Oto ją masz, mój królu. Jeśli ci się podoba, daruję ci ją.

Alfonso był zaskoczony. Chłopak w niczym nie przypominał ojca; nie przywiązywał wagi do pieniędzy i dobytku, posiadał jedną z wielkich rycerskich zalet: hojność, szeroki gest.

— Dzielnym z ciebie chłopiec, don Alazarze — pochwalił go.

Chłopiec odpowiedział poufale:

— Musisz wiedzieć, królu, że wygranie nie było dla mnie żadną sztuką. Już od piątego roku życia ćwiczę się w strzelaniu z kuszy. Ten, kto nie jest dobrym strzelcem, nie może być przyjęty u muzułmanów do zakonu rycerskiego.

— Naprawdę żądają tego? — zapytał don Alfonso.

— Ależ oczywiście, mój królu — odrzekł Alazar i biegł po arabsku, tak jak się tego

musiał nauczyć, wyliczył dziesięć cnót muzułmańskiego rycerza: dobroć, odwaga, uprzejmość i takt, talent poetycki i retoryczny, siła i zdrowie fizyczne. Umiejętność jazdy konnej, rzucania lancą, fechtunku, strzelania z kuszy. Don Alfonso pomyślał przelotnie, że przy swoich niewielkich zdolnościach poetyckich i retorycznych miałby małe widoki na przyjęcie do muzułmańskiego stanu rycerskiego.

Trzeciego dnia odbyły się walki byków. W zabawie tej wolno było brać udział jedynie najdostojniejszym spośród grandów. Od czasu kiedy biskup Taragony Euzebiusz został w walce byków ciężko ranny, prałatom udział w niej był wzbroniony; bardzo cierpiał z tego powodu arcybiskup don Martin, który chętnie wziąłby udział w tej rycerskiej zaprawie.

Z jednej z trybun, otoczeni pierwszymi w kraju, przyglądali się walkom Alfonso i królowa. Alfonso był w dobrym humorze. Przyglądanie się walkom mężów i byków przypadało mu do serca.

Na innych trybunach oraz na balkonach domów rozsiadły się dookoła strojnie odziane damy, wśród nich doña Rachel. Znowu siedziała za innymi, na pół ukryta, ale bystry wzrok don Alfonsa dojrzał ją; Alfonso zauważył również, że spojrzenie jej nie przez cały czas śledziło walkę, lecz od czasu do czasu kierowało się ku niemu. Przypomniawszy sobie, jak to młode stworzenie, chyba nie mniej zuchwale niż ojciec, powiedziało mu w twarz, że jej się jego królewski zamek nie podoba. I nagle przysłała mu ochota wziąć udział w turnieju. Nie wolno mu było sprawić zawodu uroczemu chłopcu, który mu darował swą kuszę, powinien wobec kuzyna, który go podziwiał, utrzymać się na piedestale. Rzecz jasna, że musi sam sprowokować byka i stawić mu czoła.

Don Manrique błagał, by w bezmyślnej igraszce nie narażał swego świętego życia. Doña Leonor prosiła go, by dał temu spokój. Don Rodrigue prosił o pomyślenie o tym, że od czasu Alfonsa Szóstego żaden król hiszpański nie brał udziału w walce byków. Arcybiskup don Martin wskazywał na to, jak się sam umie opanować. Ale don Alfonso, żartując, pełen młodzieńczej radości, był głuchy na wszystkie zastrzeżenia.

Odrzucił królewski płaszcz, już przybierano go w kolczugę o szerokich oczkach. Zabrzmiały trąby, herold zawołał:

— Naprzeciw następnego byka stanie don Alfonso, z łaski Boga król Toledo i Kastylii.

Stanąwszy konno w szrankach wyglądał bardzo dobrze w swej lekkiej kolczudze zamiast ciężkiej zbroi; szyję i głowę miał swobodną, jasnoczerwone włosy trzymała mocno czapka z żelaza. Był znakomitym jeźdźcem, rozumiał każde poruszenie swego wierzchowca. Mimo jednak całego znanstwa trzy pierwsze pchnięcia nie udały się; za trzecim sprawa wyglądała tak groźnie, że wszyscy krzyknęli. Ale szybko zapanował nad sobą i rumakiem. Zawołał potężnym głosem: — Dla ciebie, donio Leonor! — i czwarte pchnięcie udało się.

Wieczorem w kąpielni doña Rachel opowiadała piastunce Saad:

— Ten Alfonso jest dzielny. Było to jak z kupcem Achmedem, głośnym podróżnikiem, który wszedł do kryjówki potwora. Nie lubię takich walk byków, to dobrze, że u nas w Sewilli zostały zniesione. Ale dla tych chrześcijan są może właśnie odpowiednie, widok króla, który pędził na rozjuszonego byka, był wspaniały. Przed ostatnim pchnięciem poruszył wargami, widziałam to zupełnie wyraźnie. Kupiec Achmed modlił się przed wejściem do pieczary, recytując pierwszą surę. Zapewne i ten król wypowiedział jakieś święte zaklęcie. Pomogło mu, wyglądał jak młody poranek, był bardzo szczęśliwy, kiedy zwierzę zważyło się z nóg. To bohater. Ale prawdziwym rycerzem nie jest. Brak mu do tego prawdziwych cnót. Jest niezgrabny w mowie, nie ma zrozumienia dla poezji. Gdyby było inaczej, nie mógłby mu się tak podobać jego stary, ponury zamek.

Don Alfonso i doña Leonor nie uważali za wskazane macić uroczystości owych dni przez

rozmowy, w których trzeba byłoby dotknąć punktów spornych i uregulować je. Tak więc sprawa zaręczyn i przysięgi lennej pozostała w zawieszeniu.

Tydzień świąteczny minął. Nadszedł wielki dzień, dzień przysięgi na miecz, w którym don Pedro miał być pasowany na rycerza.

Rankiem młody książę wziął uroczystą kąpiel oczyszczającą. Ubierało go dwóch kapłanów. Ubiór był czerwony jak krew, którą rycerz ma przelewać w obronie Kościoła i boskiego porządku, buty miał brązowe jak ziemia, w której kiedyś spocznie, pas biały jak czyste sumienie, którego zachowanie miał zaprzysiąc.

Kiedy młodego pana prowadzono przez pokryte różami ulice do kościoła Santiago, dzwoniły wszystkie dzwony. Tu, w otoczeniu grandów oraz dam Kastylii i Aragonii, oczekiwał go don Alfonso. Paziowie nałożyli wzruszonemu don Pedrowi hełm, przybrali go w kolczugę, podali mu trójkątną tarczę; miał teraz oręż do obrony. Przypasali mu miecz; był to oręż do natarcia. Dwie damy dworu przypięły mu złote ostrogi; mógł teraz dosiadać konia w imię prawa i cnoty.

Tak przyodziany don Pedro ukląkł, a arcybiskup don Martin zaczął modlić się grzmiącym głosem:

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie, któryś rozkazał używać na ziemi miecza, żeby karać zło, któryś stworzył chrześcijańskie rycerstwo, żeby chronić prawo, uczyni, by ten twój sługa nigdy nie użył swego miecza na utrapienie niewinnego, by posługiwał się nim zawsze w obronie Twego prawa i Twego porządku.

Don Alfonso myślał o tym, jak będąc jeszcze zupełnie młodym, po krwawej rozprawie z rebeliantami na ulicach Toledo, przyjęty został do stanu rycerskiego. Było to w katedrze w Toledo przed posągiem świętego Jakuba; sam apostoł pasował go na rycerza. Być może, jak przypuszczali sceptycy, posąg uderzył go mieczem przy pomocy sztucznie zautomatyzowanego mechanizmu. A może, jak go zapewniał arcybiskup, w owym podniosłym momencie święty Jakub wcielił się w swój posąg. Dlaczegoż nie miałby przybyć sam, żeby królewskiego młodzieńca Kastylii pasować na rycerza?

Patrzył współczująco i pogardliwie na młodego, klęczącego przed nim w pokorze kuzyna. Czego to nie dokonał sam, nie będąc od tego tutaj starszy wiekiem. Zbuntowani ricoshombres zażądali od niego zaprzysiężonych zapewnień, do których rzekomo mieli prawo. Ale on, z łaski bożej król Toledo i Kastylii, krzyknął do nich wysokim, chłopięcym jeszcze głosem: „Nie, nie, na kolana, niegodni grandowie!” Grozili mu mieczami, raz po raz wysyłali przeciw niemu wojska. Prawdziwym nieprzyjaciołom wymierzył wielką ilość bardzo prawdziwych pchnięć i uderzeń. Ale ten, który tu przed nim klęczał, jego młody kuzyn, był tylko nędznym królem Aragonii; ten głupi chłopiec będzie składał tę służalczą przysięgę swoim czelnym grandom, którą ci aragońscy baronowie wymusili na swoich tak zwanych królach: „My, których jest więcej od ciebie, obieramy cię na króla pod warunkiem, że pozostawisz w mocy nasze prawa i wolność. Wybierzemy między tobą i nami rozjemcę, który ma mieć więcej władzy od ciebie. Jeżeli nie, to nie. Si no, no!” Było wielką łaską, że takiego „króla” brał na przyszłego męża swej infantki i na swego następcę. Żądanie, by w zamian za to on, Alfonso, dożywotnio sprawował władzę zwierzchnią nad Hiszpanią, zaiste należało do bardzo skromnych. Don Pedro, wypełniony głęboką, rycerską pokorą, wypowiedział słowa przysięgi: „Przysięgam, że nigdy nie użyję mego miecza dla utrapienia niewinnego, zawsze będę się nim posługiwał w obronie prawa i świętego porządku bożego”. Pochylił głowę i czekał na upokarzające i wzniosłe uderzenie miecza, które mu jego rycerską przysięgę miało utrwalić na zawsze.

Uderzenie to nastąpiło. Don Alfonso uderzył go w plecy płaską stroną klingi nie za bardzo gwałtownie, lecz dostatecznie mocno, by uderzenie mimo kolczugi było bolesne.

Don Pedrowi mimo woli zadrżały ramiona. Uniósł głowę i chciał się podnieść. Ale don Alfonso powstrzymał go.

— Ależ nie, kuzynie, jeszcze nie — powiedział. — Połączmy przysięgę na miecz z przysięgą na lenno. — Rozkazał: — Dajcie mi chorągiew! — Czekając na nią zdjął z prawej ręki rękawiczkę. Potem z chorągwią Kastylii w ręku powiedział: — Ponieważ życzysz sobie tego, mój kuzynie, don Pedro z Aragonii, biorę cię na swego dobrego wasala i przyrzekam wiernie chronić cię w razie potrzeby. Tak mi dopomóż Bóg. — Nie mówił głośno, ale jego władczy głos wypełnił kościół.

Młody Pedro jeszcze pod wrażeniem wzruszeń, upokorzeń, wznoszenia miecza i pasowania na rycerza, nie wiedział, co się z nim dzieje. Doña Leonor ukazała mu perspektywę zaręczyn z infantką i dziedzictwa Kastylii. A może uczyniła więcej, może dała mu obietnicę? A jak wygląda sprawa drugiej przysięgi: lennej? Czy swymi niewprawnymi słowy już się zobowiązał? Czy w ogóle wolno mu było snuć takie pełne nieufności rozważania? Przecież dopiero przed chwilą zaprzysiął rycerskie posłannictwo i miałby już zawieść przy pierwszej próbie?

Kłęczał oto młodszy rycerz przed starszym, a ten żądał męskim, donośnym głosem:

— A ty, Pedro, na znak, że chcesz służyć mi w wierności i bojaźni bożej, kiedykolwiek cię potrzebował lub zawołał, ucałuj mą rękę!

Po tych słowach wyciągnął ku kłęczącemu dłoń. W przepelnionym kościele zapanowała namacalna, rzekłbyś, cisza. Aragońscy wielmoże stali porażeni. Więcej niż przez pokolenie państwo aragońskie było wolne od ciężarów lennych. Dlaczego ich młody król złożył Kastylijczykowi tę haniebną przysięgę? Czy papiery zaręczynowe zostały wymienione?

Ciągle jeszcze kłęczał don Pedro przed dłonią, żądającą pocałunku. Stojący z tyłu napierali, żeby zobaczyć, co się teraz stanie.

I stało się. Młody król Aragonii ucałował prawą rękę człowieka, trzymającego w lewej chorągiew Kastylii. Człowiek ten dał mu rękawiczkę i Aragończyk wziął ją.

Niedługo potem, wkraczając z mroku kościoła w jasność, na swobodne powietrze, otoczony swą ponurą świtą, obudził się don Pedro ze snów i marzeń i uświadomił sobie, co zaszło, czego dokonał.

Czy to on dokonał? Tamten zaskoczył go, zwabił w zuchwałą pułapkę. Czcigodny mąż, zwierciadło wszelkiego rycerstwa, nadużył łajdacko świętego obrzędu przysięgi na miecz i pasowania na rycerza.

Po uroczystości kościelnej miało nastąpić święto ludowe. Już czekał orszak honorowy baronów kastylskich. Ale don Pedro rozkazał swoim:

— Ruszamy, panowie, i to natychmiast! W stolicy naszej zdecydujemy, co się ma stać dalej.

I nie zaszczyciwszy Kastylijczyków ani wzrokiem, ani pozdrowieniem, młody król dzwoniąc głośno ostrogami opuścił ze swą świtą miasto Burgos.

Tym razem nawet królowa straciła równowagę. Teraz rozbił się więc alians, który jej tak leżał na sercu. Nie jest bohaterstwem, lecz dziecinną swawolą, kiedy się chce gwałtem wymusić to, co można niewątpliwie osiągnąć przez dobrotliwą perswazję.

Ale gniew jej nic nie pomógł. Alfonso nie był człowiekiem, stworzonym do długotrwałych pertraktacji. Zamiast żmudnie wspinać się, chciał latać. Nawet ojciec jej, władca Anglii, największy król i najmądrzejszy mąż stanu, miewał takie napady gniewu; nie zapanował nad gniewnymi słowami, które rycerzy jego popchnęły do zamordowania arcybiskupa Canterbury, co przecież musiało doprowadzić do największego nieszczęścia.

Don Manrique i don Jehuda prosili o posłuchanie. Kazała im się zjawić.

Jehuda był pełen zżerającej go złości; znowu to, co zbudował z takim nakładem pracy i cierpliwości, rozbite zostało przez żoldackie, bezmyślne zachowanie się króla. Don Manrique był również oburzony. Ale doña Leonor odrzuciła z godnością próby zganienia Alfonsa. Wszystkiemu był winien młody Pedro, który tak brutalnie i wbrew wszelkim regułom kurtuazji uciekł po prostu, zanim można było wyjaśnić niewątpliwe nieporozumienie.

Don Manrique dał wyraz pogładowi, że byłoby oczywiście grzeczniej, gdyby młody pan pozostał w Burgos. Ale ten nieokrzesany awanturник jest jednak aragońskim królem. Przyjmie teraz niewątpliwie jako wasala Gutierrez de Castro i wojna, którą łaskawe nieba odwróciły, jednak wybuchnie.

Jehuda wtrącił ostrożnie:

— A może należałoby spróbować jeszcze teraz wyjaśnić nieporozumienie? —  
Ponieważ doña Leonor milczała, ciągnął dalej:— Jeżeli ktoś potrafiłby zwrócić uwagę młodzieńcowi z Aragonii na jego błąd i wyrwać z niego gniew, to tylko ty, pani nasza i królowo.

Doña Leonor odparła po namyśle:

— Czy pomożecie mi opracować orędzie do niego?

Don Jehuda odparł jeszcze ostrożniej:

— Obawiam się, że orędzie nie wystarczy.

Doña Leonor podniosła brwi.

— Mam sama pojechać do Saragossy? — zapytała.

Don Manrique pośpieszył Jehudzie z pomocą.

— Chyba nie ma innego środka — powiedział.

Doña Leonor, wyniośle zamknięta w sobie, milczała. Don Jehuda obawiał się już, że duma weźmie w niej górę nad rozsądkiem. Ale doña Leonor przyrzekła po chwili:

— Namyślę się, co będę mogła zrobić, nie narażając na szwank godności Kastylii.

Przemilczała sprawę przed don Alfonsem, nie robiła mu wyrzutów, czekała, aż się sam odezwie. Wkrótce też przyszedł i zaczął się żalić:

— Nie wiem, co ich wszystkich napadło. Chodzą koło mnie jak koło chorego.

Ostatecznie nie moja to wina, że ten wszarz po prostu uciekł. Ojciec powinien był dać mu lepsze wychowanie.

— Właśnie dlatego, że jest taki młody — odrzekła doña Leonor — nie należy jego braku kurtuazji brać zbyt poważnie.

— Jesteś jak zawsze łagodna, donio Leonor — odpowiedział.

— Trochę winy jest może i po mojej stronie — ciągnęła dalej. — Powinnam była mówić z nim o przysiędze lennej przedtem. Co by było, gdybym naprawiła zaniedbanie? Gdybym pojechała do Saragossy i wyjaśniła nieporozumienie?

Alfonso podniósł brwi.

— Czy to nie za wielki zaszczyt dla tego młokosa? — zapytał.

— Jest bądź co bądź królem Aragonii — odpowiedziała — i myśleliśmy o tym, żeby go zaręczyć z naszą infantką.

Alfonso odczuwał małe niezadowolenie i wielką ulgę. Jak to dobrze, że ma swoją Leonor. Skromnie posługując się wielkimi słowami, chce skierować sprawę na właściwe tory.

Odpowiedział:

— Jesteś właściwą królową dla czasów, które wymagają tylu wykrętów i podstępów. Ja jestem i pozostanę rycerzem, który nie ma cierpliwości. Nie zawsze łatwo ci ze mną, donio Leonor.

Mocniej od wypowiedzianych słów świadczyło o jego radosnej wdzięczności wielkie, jasne, młodzieńcze lśnienie twarzy.

Przed udaniem się do Aragonii doña Leonor odbyła naradę z Jehudą i Manriquem de Larą. Ustalano na niej, żeby wystąpiła w Saragossie z propozycją następującą: Kastylija wycofa swój garnizon z Cuenki i zobowiąże się w ciągu dwóch lat nie wysyłać wojska na granicę hrabstwa de Castrów; Aragonia ze swej strony musi powstrzymać dalsze działania zbrojne rodu de Castrów. Jeżeli Gutieire de Castro zdeklaruje się jako wasal Aragonii, Kastylija pogodzi się z tym, nie rezygnując jednak ze swoich pre-tensyj. Co się tyczy zwierzchnictwa Kastylii nad Aragonią, to niechaj sprawa ta zostanie w zawieszeniu; owa ceremonia niczego tu nie zmieniła, pod względem prawnym bowiem zobowiązanie Kastylii do udzielenia pomocy wchodzi w życie dopiero wtedy, kiedy Aragonia zapłaci za to należne sto maravedi w złocie, a zapłaty tej Kastylija żądać nie będzie.

W Saragossie młody król przyjął donię Leonor z najwyższą kurtuazją, nie ukrywając jednak wściekłego rozczarowania z powodu tego, co zaszło w Burgos. Nie tłumaczyła swego Alfonsa, wywodziła jednak, jak bardzo cierpi z powodu długiego zawieszenia broni z Sewillą, do którego namówili go jego arcyostrożni ministrowie. Pragnęłyby z całego serca zatrzeć skutki klęski pod Sewillą i wywalczyć dla chrześcijaństwa nowe zwycięstwa nad niewiernymi. Szczęśliwe złączenie się z Aragonią, które wydawało się tak bliskie, umożliwiłoby mu to. Oto dlaczego działał w swej rycerskiej niecierpliwości zbyt pochopnie. Rozumie obu książąt — don Alfonsa i don Pedra.

Patrzyła na niego otwarcie, serdecznie, po macierzyńsku i po kobiecemu.

Z trudem zachowywał don Pedro wobec wielkodusznej, uroczej damy odporne dostojęństwo obrażonego rycerza. Oświadczył:

— Łagodzisz, o pani, zniewagę, którą mi wyrządził. Dzięki ci za to. Niechaj rady twoje rozpoczną rokowania z moimi.

Przy pożegnaniu doña Leonor zaczęła mówić równie słodko i uroczo, jak to już raz miało miejsce, o połączeniu domów Kastylii i Aragonii. Don Pedro zarumienił się.

— Żywię dla ciebie najwyższą cześć, o pani — powiedział — kiedyś się do mnie po raz pierwszy łaskawie uśmiechnęła, zakwitło me serce. Ale teraz przyszła zima i wszystko stężało. — Dodał jeszcze z wysiłkiem: — Dam radom moim polecenie przyjęcia propozycji Kastylii, o pani. Będę utrzymywać z don Alfonsem pokój. Ale alians rozbił, nie chcę zostać jego zięciem, nie chcę iść w pole razem z nim.

Doña Leonor powróciła do Burgos. Don Alfonso musiał przyznać, że wiele osiągnęła: wojna była zażegnana.

— Mądra z ciebie kobieta, Leonor — pochwalił ją. — Jesteś moją królową i żoną.

Owej nocy don Alfonso kochał kobietę, która mu urodziła trzy córki, jak pierwszej nocy, kiedy ją poznał.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Po blisko pięćsetletnim panowaniu muzułmanów w Jerozolimie Gotfryd de Bouillon odwojował miasto dla chrześcijan i założył tam „Królestwo Jerozolimskie”. Ale panowanie chrześcijan trwało zaledwie lat osiemdziesiąt osiem, po czym muzułmanie na nowo zawładnęli miastem.

Mężem, który tym razem wprowadził muzułmanów do Jerozolimy, był Jussuf, zwany Saladynem, „zbawieniem wiary”, sułtan Syrii i Egiptu. Bitwa, w której odniósł decydujące zwycięstwo, została stoczona w okolicy góry Hattin, na zachód od Tyberiady. Jej świadkiem naocznym był historyk muzułmański Imad ad-Din. Należał do przyjaciół Muzy Ibn Dauda i opisał mu wydarzenia w obszernym liście.

„Nieprzyjacielscy rycerze pancerni — pisał — byli nie do zranienia, dopóki siedzieli w siodle, chroniły ich bowiem od stóp do głowy przetykane żelazem kolczugi. Kiedy jednak padł koń, jeździec był zgubiony. Na początku bitwy podobni byli do lwów, przy końcu jej do rozproszonych baranów. Nikt z niewiernych nie uszedł. Było ich czterdzieści pięć tysięcy; z pozostałych przy życiu niespełna piętnastu tysięcy wszyscy zostali wzięci do niewoli. Wszyscy wpadli w nasze ręce — król Jerozolimy, wszyscy jego książęta i wielmoże. Nie starczyło w namiotach postronków. Widziałem na jednym stryczku po trzydziestu, czterdziestu, na setkę jeńców przypadał jeden pilnujący. Widziałem to na własne oczy, błogosławione oczy. Około trzydziestu tysięcy poległo, ale ciągle jeszcze jeńców było takie mnóstwo, że nasi sprzedawali pojmanego rycerza za parę sandałów. Od setek lat nie było jeńców tak tanich.

Jeszcze przed kilkoma godzinami ci chrześcijańscy panowie byli pełni dumy i godności. Teraz książęta i baronowie stali się łupem myśliwych, rycerze pożywieniem dla lwów, a pełni dumy szlachcice zakuci zostali w kajdany. Allah jest wielki. Nazywali prawdę kłamstwem, Koran oszustwem. Teraz tkwili na ziemi,

na pół nadzy, z pochylonymi twarzami, pobici ręką prawdy.

Ci ślepi głupcy zabrali do bitwy to, co mieli najświętszego: krzyż, na którym zginął prorok ich, Chrystus. Krzyż ten również wpadł w nasze ręce.

Kiedy bitwa została zakończona, wszedłem na górę Hattin. Jest to góra, na której ich prorok Chrystus wygłosił słynne kazanie. Spojrzałem na pole bitwy. Zobaczyłem, co naród, mający za sobą błogosławieństwo Allacha, potrafi uczynić narodowi, nad którym ciąży jego przekleństwo. Zobaczyłem poobcinane głowy, poćwiartowane zwłoki, zmiażdżone członki. Umierający i zabici, okryci krwią i pyłem, zalegali pole bitwy. Wspomniałem słowa Koranu: «Niewierni rzekną: prochem jesteśmy»”.

Wiele jeszcze podobnych zdań napisał pod wpływem swych przeżyć historyk Imad ad-Din, kończąc następująco: „O słodki, słodki zapachu zwycięstwa”.

Muza przeczytał list i opadła go troska. Na ścianie widniała jako przestroga, wypisana kufickimi literami, stara prawda: „Uncja pokoju więcej jest warta niż tona zwycięstwa”. W imię tej zasady w czasach wojny świętej niejedyn muzułmanin zginął jako rycerz. Mimo to liczni mądrzy mężowie powoływali się na nią. Również przyjaciel jego Imad, autor listu, cytował ją chętnie; raz omal nie został z tego powodu zabity przez pewnego derwisza--fanatyka. A teraz napisał ten list!

Tak, było tak, jak napisane jest w Wielkiej Księdze żydów: Jezer Hara, opętanie złem, włada ludźmi od samej młodości. Ludzie chcieli polować i bić, walić i zabijać, nawet człowiek tak mądry, jak przyjaciel jego Imad, upajał się „winem zwycięstwa”.

Ach, w bardzo niedalekiej przyszłości wielu będzie się upajało winem wojny. Teraz,

kiedy Jerozolima znalazła się znowu w rękach muzułmanów, najwyższy kapłan chrześcijan nie omieszka nawoływać do świętej wojny: wiele będzie takich pól bitew, jakie opisał Imad z ową przerażającą wyrazistością. Tak się też stało.

Wiadomość o upadku Jezorolimy, którą rycerze krzyżowi przed niespełną dziewięćdziesięciu laty zdobyli za cenę olbrzymich ofiar, napełniła chrześcijaństwo szalonym bólem. Wszędzie poszczono, odprawiano modły. Książęta Kościoła znieśli całą zewnętrzną pompę, by surowym trybem życia świecić przykładem innym. Nawet kardynałowie poprzysięgli nie dosiąść konia, dopóki ziemia, po której wędrował Zbawiciel, będzie bezczeszczona nogami pogan; wyrazili gotowość życia z żebraniny i pielgrzymowania po chrześcijańskich krajach dla głoszenia pokuty i zemsty.

Ojciec Święty nawoływał do nowej wyprawy krzyżowej, do oswobodzenia Jerozolimy, pępka świata, drugiego raj. Każdemu, kto chwycił za krzyż, przyrzekał zapłatę na ziemi i w niebie. Ogłosił pokój światowy na przeciąg lat siedmiu — *treuga Dei*.

Sam dał szlachetny przykład, kładąc kres długiemu sporowi z władcą Niemiec, cesarzem rzymskim Fryderykiem. Wysłał legata w osobie arcybiskupa Tyrusa do królów Francji i Anglii, zaklinając ich, żeby zakończyli waśnie. Zwrócił się z płomiennymi orędziami do królów Portugalii, Leónu, Kastylii, Nawarry i Aragonii, wzywając ich do pogrzebania kłótni i braterskiego zjednoczenia się celem wzięcia udziału w wyprawie krzyżowej. Mieli uderzyć na muzułmanów swego półwyspu oraz na Antychrysta zachodu, kalifa Jakuba Almansura w Afryce.

Don Alfonso, powiadomiony o orędziu papieskim przez arcybiskupa, zwołał radę koronną, swoją kurię. Don Jehuda, zasłaniając się rzekomą chorobą, powodowany rozsądkiem nie wziął w niej udziału.

Arcybiskup wskazał w mocnych słowach na to, że tu, w Hiszpanii, wyprawy krzyżowe rozpoczęły się wcześniej niż we wszystkich innych krajach jakieś kilkaset lat temu. Bezpośrednio po tym, jak na kraj spadła muzułmańska zaraza, Gotowie chrześcijańscy, przodkowie obradujących tu panów, zorganizowali opór.

— Mamy obowiązek — wołał z emfazą — kontynuować wielką, uświęconą tradycję. — Przemówienie swe zakończył zawołaniem bojowym rycerzy krzyżowych: — *Deus vult!* — Bóg tak chce!

Jakże chętnie panowie poszliby za tym zawołaniem. Wszyscy, nawet usposobiony pokojowo don Rodrigue, palili się do tego. Wiedzieli jednak, że mają przeciw sobie przeszkody nie do przewyciężenia. Siedzieli w ponurym milczeniu.

— Sam byłem świadkiem — odezwał się wreszcie sędziwy don Manrique — jakieśmy w Andaluzji dotarli aż do morza. Byłem również przy tym, kiedy król, nasz pan, odebrał muzułmanom miasto Cuenca oraz twierdzę Alarcos. Pragnąłem zawsze tego, by danym mi jeszcze było, zanim spocznię w ziemi, ruszyć przeciw niewiernym. Ale mamy to zawieszenie broni z Sewillą; zostało podpisane przez króla, pana naszego, i przypieczętowane jego herbem.

— Żałosny ten dokument — oświadczył arcybiskup — nie ma teraz żadnej wagi i nie można by było zganić króla, pana naszego, gdyby go oddał katowi na spalenie. Nie jesteś tą umową związany, królu — zwrócił się do Alfonsa. — „*Juramentum contra utilitatem ecclesiasticam prestitutum non tenet et — przysięga przeciw dobru Kościoła jest nieważna*”. Tak napisane jest w zbiorze de-kretaliów Gratianusa.

— Zgadza się — powiedział kanonik i skłonił pokornie głowę. — Ale ei niewierni nic sobie z tego nie robią. Nalegają, żeby układy były dotrzymywane. Sułtan Saladyn utrzymywał przy życiu większość jeńców. Kiedy jednak margrabia de Châtillon powołał się na to, że zgodnie z prawem zerwał zawieszenie broni, gdyż przysięga jego była wobec Boga i Kościoła nieważna, wtedy — przypomnijcie to sobie, panowie! — wtedy sułtan kazał mu ściąć głowę. Kalif



niewiernych z Zachodu myśli i postępuje dokładnie tak samo jak Saladyn: jeżeli nie utrzymamy zawieszenia broni z Sewillą, przybędzie tu przez morze ze swej Afryki. Żołnierzy ma tylu, ile w pustyni piasku, nie pomoże tu żadna onota ani dzielność. Gdyby więc król, pan nasz, powołując się na boskie prawo Kościoła, ogłosił traktat za nieważny, nie przyniosłoby to Kościołowi pożytku, przeciwnie, przyniosłoby szkodę.

Don Martin spojnął gniewnie na swego sekretarza — zawsze posługiwał się on takimi zawilosciami. Don Rodrigue ciągnął jednak dalej:

— Bóg, który spogląda w serce, wie, jak gorąco pragniemy pomścić pohańbienie świętego miasta. Ale Bóg dał nam również rozum, byśmy przez przedwczesną gorliwość nie zwiększyli nieszczęścia chrześcijaństwa.

Don Alfonso rozmyślał z gniewną miną.

— Afrykanie przyjdą Sewilli z pomocą — powiedział po chwili — to prawda. Ale i ja nie będę sam. Rycerze krzyżowi, lądujący w tym kraju, dopomogą mi, kiedy uderzę na muzułmanów. Pomagali nam i dawniej.

— Rycerze krzyżowi — odpowiedział sceptycznie Manrique — rozbici na oddzielne grupy, nie potrafią stawić czoła zdyscyplinowanej, dobrze zorganizowanej armii kalifa.

Ponieważ król nie chciał się dać przekonać, don Manrique musiał podać mu istotną przyczynę, zmuszającą Kastylię do bezczynności. Patrząc mu w twarz powiedział wolno i wyraźnie:

— Tylko wtedy możesz mieć, królu, widoki powodzenia, kiedy zapewnisz sobie pomoc kuzyna twego z Aragonii. Musiałaby to być pomoc pełna, płynąca z głębi serca. Don Pedro musiałby ci pozostawić dobrowolnie dowództwo naczelne. Bez jednolitego dowództwa wojska chrześcijańskie naszego półwyspu nie sprostają kalifowi.

Alfonso wiedział w swym sercu, że tak było. Nie odpowiedział. Zakończył radę koronną.

Kiedy znalazł się sam, ogarnęła go niepohamowana wściekłość. Miał teraz lat prawie trzydzieści trzy, przeżył całe pokolenie i nie było mu dane dokonać naprawdę wielkich czynów. W jego wieku Aleksander zdobył świat. Teraz trafiła 9ię wielka, jednorazowa okazja w postaci wyprawy krzyżowej, a oi przeszkadzają mu w zdobyciu chwały przy pomocy chytrych, nie dających się odeprzeć wybiegów, nie pozwalają mu zostać nowym Cydem Com-peadorem.

Ale nie pozwoli zabronić sobie tego. Jeżeli ten młokos i szczeniak z Aragonii nie uzna go za najwyższego dowódcę, wyruszy bez niego. Był przeznaczony przez Boga w swojej zachodniej części świata na przywódcę, nie pozwoli sobie tego świętego urzędu wyrwać z rąk. Może i bez Aragonii uzyskać dostateczną ilość wojsk pomocniczych. Rycerze krzyżowi, którzy się do niego przyłączą, potrzebni mu są tylko na niewiele miesięcy, później niech sobie dokonują wyprawy do Ziemi Świętej. Jeżeli obok własnego wojska będzie miał tylko dwadzieścia tysięcy ludzi, zawładnie całym południem Andaluzji i dotrze do Afryki, zanim wojska kalifa znajdą się w pogotowiu. Wtedy ten Jakub Almansur będzie musiał dobrze się zastanowić, nim ogołoci swą wschodnią granicę.

Tylko musi mieć pieniądze, pieniądze na wyprawę na przeciąg najmniej pół roku, pieniądze na opłacenie wojsk pomocniczych.

Wezwał do siebie Jehudę.

Kiedy wojna święta została obwołana, Jehuda odczuł głęboką troskę, a równocześnie ogarnął go podniosły nastrój. Oto przyszła ta wielka wojna, której się wszyscy tak bali, granice między isła-mem i chrześcijaństwem stały się na nowo niepewne, zadanie Jehudy sięgało teraz nieba. Escrivano bowiem króla Kastylii mógł uczynić dla utrzymania na półwyspie pokoju więcej, niż ktokolwiek inny.

Znowu uświadomił sobie, jak mądry był jego przyjaciel Muza. Zawsze powtarzał:

Zachowuj się spokojnie, nie czyń wiele, nie obliczaj zbyttnio, poddawaj się losowi, wobec którego wszelkie planowanie to pycha. Ale nie mógł przestać planować i działać. Kiedy król wywołał wojnę z Aragonią, chwycił się podstępów i objeżdżał kraj od północy do południa i z powrotem, pertraktował i spierał się. To samo uczynił po raz drugi, a kiedy całe jego planowanie okazało się daremne, zaciekle prawował się z Bogiem. Los jednak mądry i żartobliwy, jak przyjaciel jego Muza, to właśnie, co mu się wydawało największym złem, uczynił załączkiem błogosławieństwa. Właśnie ta zwada z Aragonią, którą tak energicznie chciał załagodzić, zmusiła don Alfonsa do trzymania się z dala od wojny. Szczęście i pokój na półwyspie nie płynęło z mądrych obliczeń i rozważań Jehudy, lecz z zuchwałych, bezmózgich czynów Alfonsa.

Z Sewilli przybył księgarz i wydawca Chakam. Był największym księgarzem zachodniego świata, zatrudniał w swym biurze czterdziestu pisarzy, miał w swoim pięknym domu dla książek poświęcanych poszczególnym gałęziom wiedzy osobne pomieszczenie. Przywiózł Jehudzie w darze od emira Abdullaha „Autobiografię” Persa Ibn Siny w oryginale. Ibn Sina, zmarły sto pięćdziesiąt lat temu, uchodził za największego myśliciela świata islamskiego. Również uczeni chrześcijańscy, znający go pod nazwiskiem Avicenna, cenili go wysoko. O rękopis, który przywiózł wydawca Chakam, toczyły się gwałtowne walki; pewien kalif z Kardoby zgładził właściciela rękopisu i cały jego ród, żeby wejść w jego posiadanie. Jehuda szalał z radości z powodu cennego podarku emira, pobiegł od razu do Muzy. Czule i ze wzruszeniem patrzył na dokument, napisany przez najmądrzejszego spośród śmiertelnych.

Wraz z podarkiem wydawca Chakam przywiózł Jehudzie poufne, ustne orędzie emira. Książę zlecił powiadomić swego przyjaciela, że kalif Jakub Almansur czyni już dziś przygotowania do tego, żeby przy pierwszym meldunku o ataku na Sewillę przeprowadzić się na półwysep na ozele swych wojsk; w tym celu wrócił ze wschodu do Marrakeszu. Emir Abdullah jest przekonany, że przyjacielowi jego Ibrahimowi zależy na utrzymaniu pokoju niemniej niż jemu samemu; może więc uczyniłby dobrze ostrzegając królów niewiernych.

O tym wszystkim myślał teraz Jehuda stanąwszy przed obliczem don Alfonsa.

— No, jesteś nareszcie, mój escrivano — powitał go król ze złośliwą uprzejmością. — Wróciłeś już do zdrowia, biedny mój chory? Szkoda, że nie mogłeś wziąć udziału w mojej radzie koronnej.

— Nie mógłbym — odrzekł Jehuda — wyrazić innego zdania, niż twoi familiares. Jako twój escrivano muszę jeszcze żarliwiej opowiadać się za twoją neutralnością niż oni. Bo pomyśl, królu: jeżeli weźmiesz teraz krzyż, pójdzie za tobą wielu, których nie chciałbyś mieć jako swoich wojaków. Bardzo wielu podległych ci chłopów dałoby się wcielić do wojska i zrobiłoby użytek z przywilejów, należnych rycerzom krzyżowym. Strząsnęliiby ze siebie swoją twardą, codzienną pracę, daliby się przez ciebie żywić, zamiast żywić ciebie i twoich baronów. Byłoby to szkodliwe dla twojej gospodarki.

— Dla mojej gospodarki! — zawołał szyderczo Alfonso. — Zrozumże, ty smutny rachmistrzu, że to nie chodzi o gospodarkę, lecz o honor Boga oraz króla Kastylii.

Don Jehuda trwał przy swoim, choć orientował się, że Alfonso może być w swej dzikości niebezpieczny.

— Proszę cię pokornie, królu — powiedział — żebyś mnie źle nie rozumiał. W żadnym razie nie odradzam wojny. Przeciwnie, radzę ci przygotowywać ją. Nawet proszę, żebyś już teraz ściągnął wojenne podatki, te właśnie dodatkowe opłaty, które zarządził papież. Opracowuję memorandum dowodzące, że masz prawo do pobierania tych podatków, nawet nie prowadząc wojny.

Dał królowi czas do namysłu nad tą propozycją, potem ciągnął dalej:

— Do skarbu twego wpłyną jeszcze inne sumy, jeśli nie będziesz brał udziału w wojnie. Handel z krajami wschodniego islamu przestał istnieć. Wielcy armatorzy i kupcy chrześcijańscy, weneccjanie, pizańczycy, handlarze Flandrii nie mogą już nic sprowadzać ze Wschodu. Produkty bogatej połowy świata mogą być teraz nabywane jedynie przy pomocy kupców twoich krajów. Kto chce mieć zboże świata islamskiego, jego bydło, jego kanie szlachetnej krwi, musi się zwracać do ciebie. Kto chce mieć jakiś przedmiot, wytwarzany przy pomocy kunsztu muzułmańskich rusznikarzy, ich wspaniałą broń, ich cudowne wyroby metalowe, kto pragnie mieć w świecie chrześcijańskim muzułmański jedwab, futra, kość sjoniovą i złoty pył, korale i perły, różnorodne korzenie, farby i szkła, ten musi zwracać się o pośrednictwo do twoich poddanych. Pomyśl o tym, królu. Podczas trwania tej wojny skarbiec innych ksiąząt opróżnia się, twój rośnie. Kiedy będą wyczerpani, wtedy, królu Kastylii, uderz i zadaj cios decydujący.

Żyd mówił przekonywająco. Słowa jego pociągały króla. Ale jeszcze bardziej rozdrażniały.

— Dostarcz mi pieniędzy! — krzyknął na Jehudę. — Na razie dwieście tysięcy! Chcę uderzyć teraz! teraz! Zastaw, co chcesz! Dostarcz mi pieniądze!

Jehuda, blady, odpowiedział:

— Nie mogę, królu. I nikt tego nie potrafi.

Cała wściekłość Alfonsa na siebie samego i na nieprzychylny los, który go okradał z najszlachetniejszej sławy, obróciła się przeciw Jehudzie.

— Toś ty ściągnął na mnie tę hańbę — szalał. — Ty ze swoim haniebnym zawieszeniem hroni i innymi swoimi hebrajskimi chy-trościami. Jesteś zdrajcą! Działasz w obronie Sewilli i twoich obrzezanych przyjaciół, żebym na nich nie napadł i nie przywrócił sobie swego honoru. Ty zdrajco!

Jehuda, jeszcze bledszy niż poprzednio, milczał.

— Odejdź! — krzyknął król. — Zejdź mi wreszcie z oczu!

Podatkiem nadzwyczajnym, o którym mówił Jehuda z królem, była tak zwana dziesięcina saladyńska. Papież zarządził mianowicie, żeby w krajach chrześcijańskich każdy, nie biorący udziału w wielkiej wyprawie wojennej przeciw sułtanowi Saladynowi, dał przynajmniej pieniądze; miała to być dziesiąta część jego dochodów i ruchomego mienia.

Escrivano króla Kastylii był z tego edyktu zadowolony. Wraz ze swymi jurystami, swymi repositarii, uważał, że dziesięcina sala-dyńska winna być również pobierana w państwach króla Alfonsa. Bo choć zgodnie z wolą Boga konieczności zmuszały króla do tego, by zachowywał na razie neutralność, neutralność ta była ograniczona w czasie, a więc król miał obowiązek zbroić się na świętą wojnę. Jehuda wyłożył to w obszernym memorandum.

Don Manrique wręczył królowi to pismo. Alfonso przeczytał je.

— Jest sprytny — powiedział półgłosem i gniewnie — sprytny z niego pies, sprytny handlarz i pies. Gdyby ten pies chciał, mógłby mi dostarczyć pieniędzy. Dlaczego zresztą sam się nie zjawia? — zapytał.

Don Manrique odrzekł:

— Myślę, że nie chce narażać się na twój gniew.

— Taki jest wrażliwy? — szydził Alfonso.

— Potraktowałeś go, królu, bardzo twardo — odparł don Manrique.

Król był dostatecznie rozsądny, by uznać, że żyd miał rację, czując się dotknięty; złościł się za to na siebie samego. Ale chrześcijaństwo ciągnęło na świętą wojnę, a Alfonsa nieszczęsny los skazał na bezczynność. Czy nie miał prawa być rozdrażniony i niezadowolony to okazać niewinnemu? Człowiek tak mądry, jak ten żyd, powinien to zrozumieć.

Zaczął szukać pretekstu do ponownej rozmowy z Jehudą. Już dawno myślał o rozbudowaniu twierdzy Alarcos, którą sam włączył do swego państwa. Po tym wszystkim, co ten Ibn Esra opowiadał, muszą się teraz znaleźć na to pieniądze. Kazał Jehudzie zjawić się.

Jehuda nie zapomniał o zniewadze. Wezwanie króla było dla niego złowrogą satysfakcją. A więc król szybko zauważył, że sobie bez niego nie da rady. Ale Jehuda nie chciał okazać się zbyt tanim, nie chciał narazić się na nową zniewagę. Wymówił się więc czołobitnie chorobą.

Opanowawszy wściekłość don Alfonso zażądał pieniędzy na Alarcos przez don Manriquego. Była to duża suma — cztery tysiące maravedi w złocie. Escrivano postawił ją do dyspozycji z miejsca, bez zastrzeżeń i w pokornym piśmie dał wyraz swej radości, wywołanej królewską decyzją okazania światu przy pomocy rozbudowy twierdzy, że się przygotowuje do wojny. Król nie wiedział, co zrobić z tym żydem.

Ciągnęło go do Burgos, gdzie mógłby zasięgnąć rady królowej. Już dawno powinien był tam pojechać. Doña Leonor była w ciąży, prawdopodobnie po owej nocy, kiedy to wróciła szczęśliwie z Sa-ragossy. Ale Burgos pełne teraz było niewygodnych gości. Miasto leżało przy wielkiej szosie wojennej do Santiago de Compostela, najświętszej świętości Europy. Szosa ta była zawsze zawałona pielgrzymami, teraz roiło się na niej od wielkich panów, którzy jadąc na wyprawę na Wschód pragnęli otrzymać błogosławieństwo świętego Jakuba. Wszyscy przejeżdżali przez Burgos, odwiedzali donię Leonor. Siedzący za piecem Alfonso wzdrygał się na myśl o spotkaniu z tymi bojownikami. Nie umiał siedzieć beczynnym i smętnym w swym królewskim zamku. Wynajdywał sobie zajęcia, jeździł to tu, to tam. Pojechał do Calatravy do rycerzy Zakonu, by przeprowadzić inspekcję tego swego głównego wojennego zastępu. Ruszył konno do Alarcos, żeby obejrzeć obwarowanie twierdzy. Omawiał z przyjaciółmi czełe plany wojenne.

Kiedy już nie mógł nic znaleźć do roboty, jechał na polowanie.

Wracając z Garceranem de Larą i Estebanem Illanem z jednej z takich wypraw myśliwskich, postanowił ze względu na panujący skwar popasać w swej posiadłości La Huerta del Rey.

Huerta del Rey, położona nad wijącą się rzeką Tag, od której szedł chłód, była obszerną posiadłością, otoczoną ruinami murów. Samotnie wznosiła się tam brama, na której wryte było barwnymi, starożytnymi literami powitanie arabskie: alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo. Rosły tu krzewy, był niewielki las, były różnego rodzaju grządki. Ale wszędzie tam, gdzie dawniej sztucznie hodowano egzotyczne kwiaty, ogrodnik zasadził jarzyny, kapustę, buraki. Pośród tego wszystkiego wznosił się zaniedbany zamek, przy którym stał wytworny pawilon. Na brzegu rzeki niszczała przystań dla łodzi i kabina kąpielowa.

Panowie siedzieli pod drzewem naprzeciw zamku. Zamek, typowo islamski, wyglądał obco. Od dawien dawna na tym miejscu, z którego w chłodzie, płynącym od rzeki, roztaczał się piękny widok na miasto, stało domostwo. Rzymianie zbudowali tu willę, Gotowie postawili dwór wiejski. Było rzeczą stwierdzoną, że zamek, znajdujący się obecnie w takim zaniedbaniu, kazał wznieść król arabski Galafre dla córki swej, infantki Galiany; jeszcze teraz nazywano zamek palacio de Galiana.

Dziś nawet tutaj było gorąco, nad rzeką i ogrodem roztaczała się dręcząca cisza, rozmowa, którą panowie prowadzili, zamierała.

— Huerta jest właściwie większa, niż sobie wyobrażałem — powiedział don Alfonso.

I nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Ojcowie jego, tak samo jak i on, musieli wiele zniszczyć i mieli mało czasu na stworzenie czegoś nowego, ale odznaczali się wrodzoną pasją budowania. Jego Leonor budowała kościoły, klasztory, szpitale, on sam wznosił kościoły, zamki, twierdze. Dlaczego raz nie miałyby zbudować czegoś dla siebie i swoich? Odnowienie Galiany,

doprowadzenie jej do takiego stanu, żeby można w niej wygodnie mieszkać, nie będzie rzeczą trudną. Mieszkałoby się tu dobrze w lecie, może w okresie największych upałów przyjechałaby doña Leonor.

— Jak panowie sądzą? — zapytał. — Odbudować Galianę? — Po chwili oświadczył rzeško: — Obejrzyjmy te ruiny raz jeszcze.

Ruszyli w kierunku zamku. Wyszedł im naprzeciw kasztelan Belardo, podniecony, żarliwy, bardzo uniżony. Wskazując na grzędy z jarzynami, tłumaczył szczegółowo, czego to nie wydobył z jałowego gruntu. Potem wskazał wewnątrz zamku na liczne zniszczenia i opowiadał kwieście o tym, jakie piękne musiało być to wszystko, te mozaiki, podłogi, ściany, sufity. Zawsze jednak rzeka Tag występowała i wszystko zalewała. Boli go serce, że pałac znajduje się w takim zaniedbaniu, ale jeden człowiek nic tu nie poradzi. Zwracał się niejednokrotnie do panów z rady królewskiej, żeby zamek odrestaurować, a rzekę uregulować, ale zawsze odpowiadano mu brutalnie, że nie ma na to pieniędzy.

— Gaduła ma rację — powiedział Esteban po łacinie do don Alfonsa. — Palacio musiał być istotnie niezwykle piękny. Stary obrzezany król wysilił się dla swej córki.

Ostrogi świty królewskiej dźwięczały potężnie na delikatnej, popękanej mozaice podłóg, od pustych murów głosy odbijały się echem.

Don Alfonso patrzył w milczeniu przed siebie. Istotnie nie powinien pozwolić, żeby Galiana niszczała w dalszym ciągu, myślał sobie. Don Garceran powiedział:

— Kosztowałyby to wiele pracy i pieniędzy, sądzą jednak, don Alfonso, że potrafiłbyś zrobić z Galiany coś bardzo pięknego. Pomyśl tylko, co zrobił twój żyd ze starego, paskudnego castillo de Castro.

Alfonso przypomniał sobie zuchwałe zdziwienie córki żyda z powodu jego zamku w Burgos, który wydał się jej staroświecki i niezgrabny. Tymczasem Esteban, podchwytując słowa don Garcerana, radził:

— Jeżeli poważnie nosisz się z zamiarem odrestaurowania Galiany, musisz przedtem obejrzeć sobie dom twego żyda.

Istotnie potraktowałem żyda zbyt szorstko, pomyślał sobie Alfonso. Don Manrique jest również tego zdania. Naprawię to i obejrzę sobie jego dom.

— Może macie rację — odparł nieobowiązująco.

Stosownie do przepowiedni Jehudy Kastylia rozkwitała, podczas gdy pozostały świat chrześcijański ruszył na świętą wojnę. Karawany i statki przywoziły towary ze Wschodu do muzułmańskich krajów Hiszpanii; stamtąd szły do Kastylii, z Kastylii zaś do wszystkich państw chrześcijańskich.

Kiedy wyprawa krzyżowa została ogłoszona, baronowie narzekali i złorzeczyli, że żyd przeszkadza w braniu w niej udziału. Należy go przepędzić. Wkrótce jednak okazało się, jak olbrzymie korzyści przynosi krajowi neutralność. Pomruki przycichły, strach przed żydem, połączony z ukrywaną czcią, wzrósł. Szlachta coraz bardziej ubiegała się o jego łaski. Już niejaki de Guzman i niejaki de Lara, ubogi kuzyn potężnego don Manriquego, prosili żydowskiego escrivano, by przyjął ich synów do swego castillo jako paziów.

Kiedy Jehuda z dumą opowiedział Muzie, jak rozszerza się krąg interesów kraju i jego własnych, ten spojrział na przyjaciela z szyderczym uznaniem, litościwie i z rozbawieniem. Musi się wiercić, pomyślał. Musi załatwiać równocześnie setki interesów, nie czuje się dobrze, kiedy nie wprawia w ruch ludzi i spraw, kiedy coraz więcej piór nie skrzypi w jego sprawach w kancelariach królewskich; musi wysyłać na morza coraz więcej statków, na lądy coraz większą ilość karawan. Udaje przed sobą, że czyni to dla pokoju i swego ludu; tak też jest, ale robi to przede wszystkim dlatego, że władza i działanie sprawiają mu przyjemność.

— Czy to ważne — zapytał — czy zgromadzisz jeszcze więcej władzy, czy będziesz miał dwieście tysięcy maravedi w złocie, czy dwieście pięćdziesiąt tysięcy? Przy tym siedząc tutaj i popijając swój napój, zaprawiony korzeniami, nie wiesz nawet, czy huragan nie zmiecie z powierzchni jednej z twoich karawan, czy morze nie pochłonie któregoś z twoich statków.

— Nie lękam się ani huraganu, ani morza — odparł Jehuda. — Lękam się czegoś innego. — Otworzył przed przyjacielem duszę, zdradził mu swą tajemną troskę. — Boję się — mówił dalej — dzikich humorów i kaprysów tego rycerza i króla, don Alfonsa. Ponownie dotknął mnie bezmyślnie; teraz, kiedy mnie do siebie woła, oświadczam, że jestem niezdrów, i nie chcę mu się pokazać na oczy. Wiem, oczywiście, że certując się tak, uprawiam grę niebezpieczną.

Muza podszedł do swego pulpitu, zaczął kreślić koła i arabeski.

— Czy certując się, mój Jehudo — zapytał poprzez ramię — czynisz to dla pokoju, czy z powodu pychy?

— Jestem dumny — odparł Jehuda — sądzę jednak, że tym razem pycha moja jest cnotą i słusznym wyrachowaniem. W tym Alfonsie tak przedziwnie pomieszane są szaleństwo i rozsądek, że nikt nie potrafi przewidzieć, jak w rezultacie zareaguje.

W dalszym ciągu trzymał się z dala od króla, który poprzednio przesyłał mu krótkich, stanowczych orędzi. Troska Jehudy wzrastała. Był przygotowany na to, że porywczy władca wyrzuci go z godziny na godzinę z castillo i z kraju, że może nawet podniesie na niego rękę i osadzi go w lochach swego zamku. Potem znowu miał nadzieję, że Alfonso spróbuje pojednać się z nim, że da mu przed całym światem dowód swego uznania. Było to gorzkie oczekiwanie. Pewnego razu zapytał go z naiwnym smutkiem syn jego, Alazar:

— Czy don Alfonso nigdy się o mnie nie dowiaduje? Dlaczego nie przychodzi do ciebie w odwiedziny?

Jehuda musiał odpowiedzieć z ciężkim sercem:

— Nie ma tutaj takiego zwyczaju, mój synu.

Odetchnął, kiedy wysłaniec z królewskiego zamku zapowiedział odwiedziny don Alfonsa. Król przybył z Garceranem, Estebanem i małym orszakiem.

Próbował ukryć swe lekkie zakłopotanie pod maską nieco protekcyjnego, przyjaznego ożywienia.

Dom wydał mu się obcy, niemal wrogi, jak jego właściciel. Równocześnie zorientował się doskonale, że był w swoim rodzaju czymś skończonym. Jakiś tajemniczo porządkujący duch złączył w jedno mnóstwo rzeczy bardzo różnych. Wszędzie było rozsiane ogromne bogactwo, nie został pominięty żaden kącik. Kręciła się liczna służba; nie widziało się jej niemal, ale czuło się jej obecność. Wszędzie dywany tłumiły hałas, cisza domu stawała się dzięki pluskającej wodzie jeszcze większa. I coś podobnego stało w jego głośnym Toledo! Coś podobnego zrobiono z castillo! Czuł się tu jak obcy, jak gość, którzy przeszkadza.

Spojrzał na książki i rulony w językach arabskim, hebrajskim, łacińskim.

— Masz czas na czytanie tego wszystkiego? — zapytał.

— Czytam niemało — odrzekł Jehuda.

W pokoju, przeznaczonym dla gości, oświadczył królowi, że Muza Ibn Daud to najmądrzejszy lekarz wśród wyznawców trzech religii. Muza skłonił się przed królem i przyglądał mu się nieubłaganym wzrokiem. Don Alfonso zażądał, żeby mu przetłumaczono jedną z sentencji, umieszczonych na ścianach w barwnych, złotych ramach. I Muza przetłumaczył tak samo, jak to uczynił kiedyś wobec don Rodriga: „Przetóż jednakie jest dokończenie człowieka i bydła... jednakie tchną wszystkie... Któż wie, jeżeli duch synów Adamowych wstępuje w górę, a jeżeli duch bydłą zstępuje na dół?” Don Alfonso zamyślił się.

— Przecież to mądrości kacerza — rzekł surowo.

— To z Biblii — pouczył go Muza uprzejmie. — To zdania kaznodziei Salomona, króla Salomona.

— Uważam taką mądrość za bardzo niekrólewską — rzekł don Alfonso. — Król nie ginie pod ziemią, jak bydło.

Przerwał, zażądał od Jehudy:

— Pokaż mi zbrojownię.

— Jeżeli pozwolisz, królu — odparł Jehuda — pokaże ci ją syn mój, Alazar; będzie to najpiękniejszy dzień jego życia.

Don Alfonso przypomniał sobie z przyjemnością miłego chłopca.

— Masz bystrego, rycerskiego syna, don Jehudo — powiedział. — Chciałbym również zobaczyć twoją córkę, jeżeli sobie tego życzysz — dodał. Łaskawie, ze znawstwem gawędził z chłopcem Alazarem o broni, o koniach i mułach.

Potem poszedł do ogrodu, w którym spotkał Rachelę.

Była to ta sama Rachel, która mu w Burgos odpowiedziała w sposób niezupełnie właściwy, a mimo to inna. Miała na sobie suknię skrojoną wedle zagranicznych wzorów, była panią domu, przyjmującą dostojnego gościa. W Burgos było w niej coś obcego, całkowicie nie harmonizującego z otoczeniem, tutaj i kunsztowny ogród, i fontanny, i egzotyczne nieznane rośliny tworzyły dla niej ramy, a Alfonso był kimś obcym, nieprzynależnym.

Skłonił się, zgodnie z wymaganiami kurtuazji, zdjął rękawiczkę, ujął jej rękę i ucałował ją.

— Cieszę się, że cię znowu widzę, o pani — powiedział tak głośno, że wszyscy mogli go słyszeć. — Wtedy w Burgos nie mogłem dokończyć z tobą rozmowy.

Byli w większym towarzystwie. Do króla i jego panów przyłączyli się obok Alazara szlachecy giermkowie Jehudy. Kiedy ruszyli na obchód pałacu, Alfonso pozostał z donią Rachelą nieco w tyle.

— Widząc ten dom, o pani — powiedział po kastylsku — rozumiem, dlaczego mój zamek w Burgos niezbyt ci się podoba.

Zarumieniła się. Wprawilo ją w zakłopotanie, że go dotknęła, pochlebiało jej, że jeszcze pamięta jej słowa. Milczała, dookoła jej warg błąkał się lekki, trudny do wytłumaczenia uśmiech.

— Rozumiesz moją poślednią łacinę? — ciągnął Alfonso dalej.

Zarumieniła się jeszcze bardziej: zapamiętał sobie każde słowo.

— Przez ten czas nauczyłam się lepiej kastylskiego, panie — odpowiedziała.

Na to on:

— Chętnie, o pani, mówiłbym z tobą po arabsku, ale w moich ustach zabrzmiałoby to zawile i twardo. I mogłoby urazić twoje ucho.

— Mów spokojnie po kastylsku, panie — powiedziała szczerze doña Rachel. — Przecież to język twego kraju.

Słowa te dotknęły go. Powinna była powiedzieć: brzmi miło w moim uchu, albo coś podobnego — wymagała tego kurtuazja. Zamiast tego powiedziała wyniośle, co jej wpadło do głowy, i dotknęła jego Kastylię.

— Moja Kastylia — powiedział zaczepnie — jest chyba dla was ciągle jeszcze obcym krajem. Dobrze czujesz się tylko tutaj, w naszym domu.

— Ależ nie — zaprzeczyła Rachel. — Panowie twego kraju są dla nas uprzejmi i starają się, żebyśmy się tu czuli jak u siebie.

Don Alfonso powinien był powiedzieć teraz kilka szablonowych, dwornych słów, na przykład: „Nietrudno być uprzejmym dla takiej damy jak ty”. Ale nagle dosyć miał tej wymuszonej, modnej paplaniny. Poza tym ta Rachel na pewno uważa ten dworny sposób wyrażania się za komiczny. Jak w ogóle z nią rozmawiać? Nie należała do dam, oczekujących

przesadnej, nic nie mówiącej, pełnej uwielbienia konwersacji, nie była również kobietą, wobec której można by uderzyć w brutalny, żołnierski ton. Był przyzwyczajony do tego, że każdy zajmował wyraźne, określone miejsce, wiedział zawsze dokładnie, z kim ma do czynienia. Nie wiedział, za kogo uważać Rachelę i jak się ma wobec niej zachowywać. Wszystko, co pozostawało w związku z jego żydem, traciło od razu mocne kontury i stawało się niewyraźne. Czego chciał od tej donii Racheli? Co chce z nią począć? Czy chce — w myślach użył bardzo brutalnego określenia w swojej „pośledniej łacinie” — przespać się z nią? Nie wiedział.

Kiedy się spowiadał, mógł zapewnić z czystym sumieniem, że poza donią Leonor nigdy nie kochał żadnej kobiety. Nie znajdował zadowolenia w miłości rycerskiej. Ponieważ niezamężne córki szlacheckie widywało się rzadko i zawsze wyłącznie w wielkim towarzystwie, kurtuazja zalecała miłość do mężatek, kierowanie ku nim sztucznych, zimnych wierszy. Sypiał więc z kobietami ze swoich taborów oraz z pojmanymi kobietami muzułmańskimi; można było rozmawiać z nimi i obchodzić się tak, jak się człowiekowi podobało. Raz łączyło go coś z żoną pewnego rycerza z Nawarry, ale była to niemiła afera i powróciwszy do ojczystego kraju doznał uczucia ulgi. Również krótki związek z donią Blanką, damą dworu Leonor, był uciążliwy; Blanka poszła wreszcie na pół dobrowolnie, na pół pod przymusem do klasztoru. Tak, szczęśliwy był tylko ze swoją Leonor.

Don Alfonso myślał o tym dosyć mgliście i złościł się, że się wdał w tę rozmowę z córką żyda. W dodatku nawet mu się nie podobała. Nie miała w sobie nic łagodnego, odznaczała się przemądrzałością, pozwałała sobie na własny sąd, mimo że właściwie

była jeszcze dzieckiem. Nie było w niej nic z owych chłodnych, postawnych blondynek ze świata chrześcijańskiego, żaden rycerz nie tworzyłby dla niej wierszy, których by zresztą nie rozumiała.

Nie chciał mówić z nią dłużej, chciał opuścić ten dom. Cichy ogród z równomiernie szemrzącymi fontannami, z ciężką, słodką wonią kwiatów pomarańczowych działał mu na nerwy. Nie będzie dłużej robił z siebie durnia, nie będzie spacerował dłużej z żydówką i gawędził z nią. Zostawi ją teraz na zawsze.

Zamiast tego powiedział:

— Mam tu za miastem posiadłość, zwaną La Galiana. Kazał ją zbudować pewien król muzułmański. Zamek jest bardzo stary, krąży o nim wiele opowiadań. — Doña Rachela nastawiła uszu. Słyszała o La Galianie; czy to nie to samo miejsce, w którym stał ów zegar wodny rabiego Chanana? — Chcę odrestaurować ten pałac — ciągnął Alfonso — ale tak, żeby nowe nie odbijało zbyt od starego. Chętnie wysłuchałbym twoich rad, o pani.

Doña Rachela spojrzała na niego zmieszana, niemal gniewna. Muzułmański wielmoża nigdy nie odważyłby się zwrócić do kobiety tak niezgrabnie i podstępnie. Ale z miejsca powiedziała sobie, że u rycerzy chrześcijańskich musi to wyglądać inaczej, kurtuazja każe mówić słowa pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Spojrzała z boku na Alfonsa i przeraziła się. Twarz jego miała wyraz pełen napięcia i pożądania. To, co powiedział, było czymś więcej niż kurtuazją.

Przełknięta, dotknięta, zamknęła się w sobie, stała się tylko i wyłącznie panią domu. Odpowiedziała uprzejmie po arabsku:

— Ojciec mój będzie z pewnością rad służyć ci swoją pomocą.

Na czole Alfonsa ukazały się głębokie zmarszczki. Co uczynił!

Zasłużył na odmowę, powinien był oczekiwać jej. Od początku trzeba było być ostrożnym — dziewczyna należała do przeklętego narodu. To wina tego przeklętego ogrodu, tego całego przeklętego domostwa, że wypowiedział te słowa. Opanował się, przyspieszył nieco kroku, po chwili zrównał się z resztą towarzystwa.

Od razu zwrócił się do niego Alazar. Opowiadał o zbroi, której przyłbica była we



wszystkich częściach ruchoma, tak że można było dowolnie przesuwac żelazną osłonę oczu, nosa i ust. Paziowie królewscy nie wierzyli mu.

— Ależ widziałem taką zbroję — gorączkował się. — Wytwarza je ludwisarz Abdullah w Kordobie, ojciec obiecał, że mi taką daruje, kiedy zostanę pasowany na rycerza. Sam masz z pewnością taką zbroję, królu, prawda?

Don Alfonso odpowiedział, że słyszał o takich zbrojach.

— Sam takiej nie posiadam — zakończył oschle.

— W takim razie ojciec mój musi ci ją dostarczyć — powiedział chłopiec z zapalem. — Będiesz miał z niej pociechę, królu — zapewniał. — Pozwól memu ojcu, żeby ci ją ofiarował.

Don Alfonso rozpogodził się. Nie wolno mu karać chłopca za to, że siostra jego jest zarozumiała i przeczulona.

— Widzisz, don Jehudo — powiedział — ja i twój chłopiec dobrze się rozumiemy. Czy nie chcesz mi go przysłać do zamku jako pazia?

Doña Rachela wyglądała na zmieszaną. Pozostali z trudem ukrywali zdumienie. Alazar, jękając się z radości, wybuchnął:

— Mówisz serio, don Alfonso? Chcesz być moim łaskawym władcą?

Don Jehuda, którego marzenie tak niespodziewanie się spełniło, skłonił się nisko i powiedział:

— Wasza wysokość jest bardzo łaskawy.

— Pan nasz, król — powiedział tego samego dnia wieczorem do Racheli — jak mi się zdaje, gawędził z tobą uprzejmie, moja córko.

Doña Rachela odpowiedziała szczerze:

— Wydaje mi się, że król był zbyt uprzejmy. Napędził mi strachu. — I dodała: — Chce odrestaurować swój zamek La Ga-lianę, prosił mnie o radę. Czy nie jest to, mój ojczu, niezwykle?

— Tak, niezwykle — odparł Jehuda.

Istotnie po kilku dniach Jehuda i doña Rachela zostali zaproszeni do wzięcia udziału w wycieczce króla do La Galiany. Tym razem don Alfonso zaprosił dużo osób i przy obchodzie zamku prawie się do donii Racheli nie odzywał. Dla rozbawienia swych gości stawiał za to głupkowatemu, gadatliwemu ogrodnikowi Be-lardo liczne pytania.

Po obchodzie zamku odbyła się nad brzegami Tagu uczta. Przed jej zakończeniem król, siedzący na pniu, obwieścił z ironiczną wyniosłością:

— Niemal od stuleci władamy w tym Toledo. Uczyniliśmy je stolicą, dobrze, mocno i pewnie zabezpieczoną przed atakami niewiernych. Sprawy honoru, wiary i wojny nie zostawiły nam czasu na inne rzeczy, które mogą być zbyteczne, ale przystoją królowi. Mam na myśli piękno i przepych. Na przykład nasi przyjaciele z południa, nasz escrivano i jego córka, oglądający nasze miasta i domy obcymi, nieuprzedzonymi oczyma, uważają nasz zamek w Burgos za goły i niewygodny. W chwili odpoczynku nawiedził nas kaprys odbudowania naszego zrujnowanego palacio La Galiana, żeby był piękniejszy niż dawniej, żeby świat widział: nie jesteśmy już żebrakami, potrafimy również budować z przepychem, jeżeli tylko zechcemy.

Była to mowa długa i dumna, w rodzaju tych, które don Alfonso wygłaszał jedynie przy okazji aktów państwowych. Panowie, siedzący jeszcze przy resztkach uczty, nie posiadali się ze zdumienia.

Król spuścił z wysokiego tonu i zwrócił się do Jehudy:

— Jak sądzisz, mój escrivano? — zapytał. — Jesteś przecież w tych sprawach rzeczoznawcą.

— Twój zamek La Galiana — odpowiedział Jehuda z namysłem — jest cudownie położony ze względu na chłód idący od rzeki i na wspaniały widok na twoje wielce sławne miasto. Odrestaurowanie takiego zamku jest warte zachodu.

— A więc odrestaurowujemy go — zdecydował król, jakby od niechcenia.

— Jedna jest tylko trudność — rzekł czołobitnie Jehuda. — Masz, królu, dobrych żołnierzy i dzielnych rzemieślników. Ale artyści twoi i rzemieślnicy nie są jeszcze tak zręczni, żeby mogli odbudować ten zamek w sposób odpowiadający twojej godności i twoim życzeniom.

Król zasepił się.

— Czy sam — zapytał — w ciągu bardzo krótkiego czasu nie odbudowałeś wspaniale swego domostwa?

— Sprowadziłem muzułmańskich budowniczych i rzemieślników, królu — odparł ze spokojem, rzeczowo Jehuda.

Zapanowało sztywne milczenie. Chrześcijaństwo prowadziło świętą wojnę z niewiernymi. Czy wypadało, żeby król chrześcijański wzywał muzułmańskich artystów? Czy muzułmanie będą gotowi zbudować chrześcijańskiemu królowi pałac?

Don Alfonso spojrział po twarzach otaczających go. Widniało na nich oczekiwanie, nie było szyderstwa. Nie było go również na twarzy żydówki. Czy w głębi duszy nie będzie jednak myślała krnąbnie i złośliwie, że potrafi wznosić tylko swoje stare, ponure zamki? Czy król Toledo i Kastylii nie powinien przeprowadzić takiej bagatelki, jak budowa luksusowego pałacyku?

— Zamów mi więc muzułmańskich budowniczych — polecił jakby mimochodem. — Chcę odbudować La Galianę — zakończył niecierpliwie.

— Skoro taki jest twój rozkaz, panie — odrzekł Jehuda — polecę memu Ibn Omarowi przysłać ci właściwych ludzi. Zręczny z niego człowiek.

— Pięknie — oświadczył król. — Przypilnuj, żeby wszystko poszło szybko. — Po chwili dał rozkaz: — No, moi panowie, ruszamy.

Ani podczas obchodu, ani w czasie uczty nie skierował do donii Racheli jednego choćby słowa.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Don Alfonso tęsknił coraz bardziej za kojącą obecnością Leonor. Poza tym w ciągu sześciu, siedmiu tygodni należało oczekiwać rozwiązania i nie powinien był pozostawiać jej dłużej samej. Zawiadomił ją, że przybędzie do Burgos.

Doña Leonor nie brała mu za złe, że tak długo przebywał z daleka od niej. Wyczuwała jego udrękę z powodu narzuconej beczynności, rozumiała, że chciał uniknąć spotkania na jej dworze ludzi, znajdujących się w drodze do Ziemi Świętej, i kiedy się mimo wszystko zjawił, potrafiła to wysoko ocenić.

Okazała mu, jak głęboko go rozumie. Choć bardzo ją to bolało, rozumiała, że Kastylia musi pozostać neutralna. Sama widziała, jak bardzo obelga gryzła don Pedra. Wiedziała, że nawet gdyby wbrew oczekiwaniu doszło do jakiegoś mizernego aliansu z Aragonią, gorzka chęć odpłaty musiałaby prowadzić do stałych, gorszących sporów na temat naczelnego dowództwa; klęska była z góry nieuchronna.

Zapewniała Alfonsa, dobierając łagodnych słów, że jego przewycięzenie siebie samego jest dzielniejsze od nie wiedzieć jak śmiałego czynu zbrojnego. Wszyscy rozumieją niepomyślną konstelację, zmuszającą go do beczynności.

— Jesteś tak, jak byłeś dotychczas, pierwszym rycerzem i bohaterem Hiszpanii, mój Alfonso — powiedziała. — Całe chrześcijaństwo wie o tym.

Kiedy tak mówiła, tajało mu serce. Była jego panią i królową. Jak mógł wytrzymać tak długo w Toledo bez jej pociechy, rady i troskliwości.

Starał się zrozumieć ją lepiej.

To, że wolała swoje Burgos od jego Toledo, uważał dotychczas za kobiecy kaprys; teraz rozumiał, że płynie to z jej istoty. Wychowana na dworach ojca swego Henryka angielskiego i matki Ellinor de Guyenne, gdzie baczono na edukację i najdelikatniejsze obyczaje, musiała się czuć w jego odległym Toledo zagubiona. Ze swego Burgos, leżącego przy wielkiej drodze pielgrzymek do Santiago de Compostela, łatwo jej było utrzymać kontakt z wytwornymi dworami chrześcijaństwa; przybywali stale w odwiedziny rycerze i poeci z dworu jej ojca i jej mlecznej siostry, największej damy spośród dam chrześcijaństwa, księżniczki Marii de Troyes.

Alfonso przyglądał się teraz miastu Burgos bardziej świadomymi oczyma. Widział surowe piękno prastarego grodu, który strząsnął ze siebie nalot arabski i stał się teraz majestatyczny, strzelisty, nieprzystępny, chrześcijański. Był głupcem, że przez gadaninę niemądrej dziewczyny dał sobie na chwilę obrzydzić swoje dostojne, rycerskie Burgos.

Złościło go, że kazał odbudować La Galianę w jej muzułmańskim przepychu, i nic o tym Leonor nie opowiedział. Początkowo myślał o tym, że po odrestaurowaniu pięknego zamku, dającego chłód, będzie mógł skłonić ją, żeby kiedyś spędziła w Toledo parę letnich tygodni. Teraz wiedział, że La Galiana nie spodoba się jej. Lubiła wszystko, co ma mocne podstawy, co poważne, nie lubiła tego, co miękkie, obfite, przemijające.

W ciągu tych tygodni starał się dogadzać donii Leonor.

Ponieważ stan jej wykluczał wycieczki konne i polowanie, i on odmawiał sobie tych przyjemności, spędzając większą część wolnego czasu w obrębie zamku. Ponadto bardziej niż dawniej zajmował się swoimi dziećmi, przede wszystkim infantką Berengarią. Była to wysoka dziewczyna o nieładnej, ale śmiałej twarzy. Po matce odziedziczyła ciekawość świata i ludzi oraz ambicję. Dużo czytała i uczyła się. Cieszyło ją wyraźnie, że ojciec więcej się nią teraz zajmuje, ale pozostawała małomówna i zamknięta w sobie. Alfonso nie zbliżył się do swej córki.

Doña Leonor pogodziła się z tym, że nie urodzi potomka płci męskiej. Ale, powiedziała z

uśmiechem, urodzenie czwartej z kolei córki może mieć swoje dobre strony. Wtedy bowiem przyszedł małżonek jej Berengarii będzie miał zupełnie pewne widoki na kastylską koronę i stanie się uczciwym sprzymierzeńcem tego państwa. Mimo wszystko nie porzuciła nadziei zdobycia don Pedra dla szczerego aliansu, zamierzała zaraz po rozwiązaniu pojechać do Saragossy, by dalej zajmować się sprawą zaręczyn. Również i w tej trzeciej wyprawie krzyżowej wojska chrześcijańskie maszerowały bardzo wolno, wielka wyprawa na Wschód dotarła dopiero do Sycylii. Jeżeli więc pojednanie z Aragonią dojdzie do skutku, Alfonso będzie jeszcze mógł wziąć udział w świętej wojnie.

Na razie doña Leonor wymyślała różne zajęcia, dzięki którym łatwiej by mu było przetrwać okres nudnego czekania.

Skierowała więc jego zainteresowanie na sprawę zakonu Cala-trava. Ten trzon wojsk kastylskich podlegał w czasie wojny królowi; w okresie pokoju wielki mistrz był właściwie samodzielny. Święta wojna dawała don Alfonsowi uzasadnione podstawy do nalegania na zmianę tego stanu rzeczy. Doña Leonor zaproponowała, by pojechał do Calatravy, dopomógł zakonowi w budowie wałów i uzbrojeniu rycerzy, a równocześnie porozumiał się z wielkim mistrzem don Ñuño Perezem, zakonikiem bardzo biegłym w sprawach wojennych, na temat reguł i rygorów.

Była poza tym sprawa jeńców, którzy wpadli w ręce sułtana Saladyndy podczas walki o Święte Miasto. Papież upominał i wzywał całe chrześcijaństwo do wykupienia ich. Ale święta wojna pochłaniała olbrzymie sumy, zwlekano, obiecywano, wreszcie termin wykupu minął. Sułtan ustalił następujące ceny wykupu: za mężczyznę dziesięć złotych koron, za kobietę pięć, za dziecko jedną. Były to ceny wysokie, ale nie nadmierne. Doña Leonor radziła, żeby Alfonso wykupił znaczną ilość jeńców. Tą drogą będzie mógł okazać światu, że jest opanowany tym samym świętym zapałem, co inni. Projekty te natrafiły u Alfonsa na grunt podatny. Dla realizacji ich potrzebował jednak pieniędzy.

Wezwał więc do Burgos Jehudę.

Tymczasem Jehuda siedział sobie w swym pięknym castillo Ibn Esra w Toledo. Kiedy na całym świecie toczyła się wojna, zażywał pokoju. Interesy kraju i jego własne kwitły.

Ale skradała się nowa, ciężka troska. Troska o żydostwo Toledo i całej Kastylii.

W myśl niedwuznacznego edyktu papieskiego wszyscy, a więc i żydzi, nie biorący udziału w wyprawie krzyżowej, mieli opłacać saladyńską dziesięcinę. Powołując się na to zarządzenie arcybiskup don Martin zażądał od aliamy, żeby mu tę opłatę uiszczala.

Don Efraim przyniósł Jehudzie pismo arcybiskupa. Było ostre, naszpikowane pogrozkami. Jehuda czytał. Od dawna oczekiwał żądania don Martina.

— Aliama — powiedział ciekawym głosem don Efraim — załamię się, jeżeli oprócz innych podatków płacić będzie musiała saladyńską dziesięcinę.

— Jeżeli macie zamiar wykręcać się od płacenia — odparł Jehuda bez ogródek — nie liczcie na moją pomoc.

Na twarzy przełożonego gminy pojawił się wyraz gniewu i przerażenia. Tego Jehudy, myślał z goryczą, nic nie obchodzi, ile my płacimy innym. Ten lichwiarz inkasuje swoje procenty, a my możemy zdychać.

Don Jehuda odgadł myśli tamtego.

— Nie skamłaj o pieniądze, panie mój i nauczycielu — oświadczył. — Zarabiacie na neutralności Kastylii wystarczająco; już dawno powinienem był żądać od was saladyńskiej dziesięciny. Chodzi o coś ważniejszego niż pieniądze.

Wysokość sumy, którą miała zapłacić aliama, w pierwszej chwili zamąciła parnasowi Efraimowi spojrzenie na inne troski. Teraz, kiedy Jehuda obudził go tak brutalnie, nie mógł już

dłużej udawać ślepego na niebezpieczeństwo o wiele większe. Dziesięcina sala-dyńska była podatkiem nie należącym się królowi, lecz Kościołowi. Już kiedy chodziło o ściąganie tego podatku od chrześcijan, arcybiskup uważał, że ma do tego prawo, i korona musiała pójść na pewne ustępstwa. W stosunku do żydów don Martin będzie obstawał przy tym swoim przywileju jeszcze gwałtowniej. Jeżeli uda mu się to przeprzeć, skończy się niezależność aliamy.

Jehuda wyjaśnił to teraz tamtemu w brutalnych słowach.

— Wiesz przecież doskonale, o co chodzi — powiedział. — Żadne ogniwo pośrednie nie może się dostać między nas i króla. Musimy pozostać niezależni, jak to jest napisane w starych księgach. Musimy, jak grandowie, utrzymać własną administrację i własne sądownictwo. Chodzi o to, żeby prawo do ściągania tych podatków otrzymał król, żebym ja je otrzymał, a nie don Martin. W tym kierunku będą szły moje wysiłki, tylko w tym. Jeżeli mi się to uda, jeżeli będzie to was kosztowało tylko pieniądze, śpiewajcie: alleluja!

Tak ostro zaatakowany don Efraim przyznał Jehudzie w głębi duszy rację. Był nawet pełen podziwu, jak szybko i jasno Jehuda zrozumiał, o co chodzi. Ale nie chciał okazywać swego mimowolnego respektu. Za głęboko dotykała go troska z powodu pieniędzy.

Siedział niezadowolony, trząsał się z zimna, ocierał paznokcie prawej ręki o kiść lewej i ciągnął dalej:

— Kuzyn twój, don Józef, doprowadził do tego, że żydzi Sara-gossy mają odplacać tylko połowę dziesięciny.

— Może kuzyn mój, don Józef, jest zręczniejszy ode mnie — odparł sucho Jehuda. — To pewne, że nie ma za przeciwnika arcybiskupa don Martina. — Gorączkował się: — Ciągłe jeszcze nie chcesz widzieć rzeczy we właściwym świetle? Będę zadowolony, jeżeli tym razem arcybiskup nas nie ujarzmi. W zamian za to chętnie zapłacę dziesięcinę królowi. Będzie to tłusta dziesięcina, zapewniam cię, don Efraimie. Autonomia aliamy jest dla mnie tego warta. — Mówił nieoczekiwanie gwałtownie, zacinał się i seplenił.

— Wiem, że jesteś naszym przyjacielem — pośpieszył z zapewnieniem Efraim. — Ale surowy z ciebie przyjaciel.

Na odmowną odpowiedź Efraima, utrzymaną w czołobitnym tonie, arcybiskup nie ponowił żądania. Pojechał za to do Burgos, by wymóc na królu zgodę na udzielenie mu pełnomocnictwa wobec żydów.

Jehuda obawiał się, że mu się to może udać. Alfonso i Leonor byli nabożni, neutralność Kastylii dręczyła ich sumienia, don Martin mógł się powoływać na niedwuznaczny edykt papieski i wzywać, żeby nie mnożyli grzechów. Jehuda zapytywał samego siebie, czy nie powinien pojechać do Burgos. Ale wątpliwości starego Muzy, czy przez „działanie” nie popsuje wszystkiego, powstrzymywały go.

Kiedy król kazał mu przybyć do Burgos, uznał to za znak dany z nieba.

Istotnie arcybiskup ostro zabrał się do Alfonsa. Powołał się na liczne edykty Watykanu oraz na pisma najwyższych autorytetów kościelnych. Czy żydzi nie odpowiedzieli Piłatowi: „Krew Jego na nas i na syny nasze”, i w ten sposób sami nie wydali na siebie wyroku? Bóg skazał ich wtedy na wieczną niewolę i było obowiązkiem chrześcijańskiego księcia trzymać karki tych przeklętych zgięte.

— Ale ty, Alfonso — zawołał — przez cały czas swego panowania forytowałeś i rozpieszczaleś żydów. A teraz, w tych ciężkich czasach, kiedy grób Zbawiciela znowu dostał się w ręce obrzezanego Antychrysta i edykt papieski niedwuznacznie zobowiązuje do uiszczenia saladyńskiej dziesięciny wszystkich, a więc i żydów, wahasz się wprowadzić go w życie i forytujesz niewiernych na niekorzyść twoich wiernych poddanych.

Napomnienia arcybiskupa zmiękczyły króla. Odpowiedział:

— Dobrze, don Martinie. Moi żydzi będą również płacili sala-dyńską dziesięcinę.  
Don Martin zawołał triumfalnie:

— Natychmiast rozpiszę podatki.

Ale Alfonso nie tak to rozumiał. Papież mógł żądać, żeby król domagał się dziesięciny i użył jej na cele, związane z wojną. Ściąganie jednak pieniędzy i rozstrzygnięcie o ich rozdziale należało do jego królewskich przywilejów. Był to stary spór, który ożył już przy pierwszym rozpisaniu dziesięciny. Więc choć Alfonso bardzo cenił arcybiskupa jako wiernego, rycerskiego przyjaciela, nie miał zamiaru ustąpić mu.

— Wybacz, don Martinie — powiedział — ale to nie należy do zakresu twego urzędu.  
— Widząc, że arcybiskup zaperzył się, dodał łagodząco: — Nie jesteś chciwy na pieniądze, tak samo jak ja. Jesteśmy chrześcijańskimi rycerzami. Ściągamy łupy wojenne, ale nie spieramy się z przyjaciółmi o sprawy pieniężne. Niechaj i tym razem prawnicy i repositarii zadecydują.

— Czy znaczy to — zapytał gniewnie i zaczepnie don Martin — że chcesz, by twój żyd decydował o edyktach Ojca Świętego?

— Dobrze się składa — odparł Alfonso — że Jehuda znajduje się w drodze tutaj. Oczywiście zasięgnę jego opinii.

Teraz arcybiskup wybuchnął:

— Chcesz zasięgnąć opinii podwójnie niewiernego? Wysłańca szatana? Sądzisz, że udzieli ci dobrej rady przeciw swemu przyjacielowi, emirowi Sewilli? Kto ci zareczy, że dziś nie spiskuje z nim jeszcze? Już faraon powiedział: „Jeżeli spadnie na nas wojna, żydzi będą po stronie naszych wrogów”.

Don Alfonso usiłował zachować spokój.

— Ten escrivano wyświadczył mi wiele usług — powiedział — lepszych i ważniejszych, niż ktokolwiek przed nim. W gospodarce mego kraju panuje większy porządek, mniej jest ucisku. Krzywdzisz tego człowieka, don Martinie.

Ciepły ton Alfonsa w obronie hebrajczyka przeraził don Martina.

— Teraz okazuje się — powiedział, raczej zmartwiony niż gniewny — że Ojciec Święty słusznie przestrzegał książąt chrześcijańskich przed żydowskimi doradcami. — Zacytował pismo okrężne papieża: — „Strzeżcie się, książęta chrześcijańscy. Jeżeli litościwie dopuścicie żydów za blisko, podziękują wam, jak w przysłowiu: mus in pera, serpens in gremio et ignis in sinu — jak mysz w worku, żmija w kaftanie, a ogień w rękawie”. Dopuściłeś tego człowieka straszliwie blisko, wżarł ci się w serce jak robak — zakończył zmartwiony.

Króla wzruszył smutek przyjaciela.

— Nie myśl — powiedział — że chcę odmówić Kościołowi tego, co mu się należy. Rozważę twoje motywy, wysłucham również tego, co on mi powie. Jeżeli nie będzie to nic zasadniczego, nic bardzo ważnego, pójdę za twoją radą.

Arcybiskup pozostawał w dalszym ciągu ponury i zatroskany.

— Czy to nie dosyć — ostrzegął — że Pan skazał cię na wylegiwanie się, kiedy całe chrześcijaństwo walczy? Nie dorzucaj do starych grzechów nowych! Nie dopuść, zaklinam cię, by niewierni w krajach, które ci podlegają, poniewierali papieskim edyktom.

Don Alfonso ujął jego rękę.

— Dziękuję ci za twoją przestrożę — powiedział. — Będę o niej myślał, kiedy tamten zechce mnie zagadać.

W trakcie czekania na Jehudę nie mógł oderwać myśli od słów Martina. Arcybiskup miał rację: zapuścił się z żydem za daleko. Nie traktował go jak człowieka, z którym się robi interesy z musu, lecz jak przyjaciela. Odwiedził go w jego domu, wziął jego syna na pazia, gawędził z jego

córką, dał się uwieść szyderstwu i pysze dziewczyny, żeby odbudować islamski zamek. Kiedy się następuje na zmiję, kąsa. Może już ukąsiła.

Żyd nie będzie go już dłużej czarować. Musi się wytłumaczyć, dlaczego jeszcze nie zażądał od aliamy saladyńskiej dziesięciny. Jeżeli nie znajdzie trafnych i przekonujących argumentów, don Alfonso przekaże go don Martinowi. Niechaj niewierni zbyt zuchwale nie podnoszą głowy.

Czy jednak wolno mu odstąpić swe prawo do żyda i owo patri-monio real przepisać na Kościół? Żaden z jego przodków nie tykał tego.

Wziął sprawozdania o sytuacji finansowej kraju. Były korzystne, więcej niż korzystne. Nie można zaprzeczyć, że ten człowiek dobrze go obsługuje. Ale będzie nosił w sercu przestrozę arcybiskupa, nikt go nie wyprowadzi w pole.

Przed wszystkim zażąda od żyda olbrzymiej sumy dla zakonu Calatrava i na wykupienie jeńców. Już odpowiedź żyda pokaże, czy stawia on na pierwszym miejscu interes korony i państwa, czy też swój własny i swego żydostwa.

Przyjął żyda pełen oczekiwania.

Jehuda odczuwał niespokojne napięcie. Nieskończenie wiele zależy od tej rozmowy z królem, musi więc być ostrożny.

Naprzód złożył obszerny raport o sytuacji gospodarczej. Opowiadał o wybitnych sukcesach nie zapominając o małych zdobyczach, które, jak mu się wydawało, sprawią królowi przyjemność. Oto na przykład wielka stadnina: sześćdziesiąt rasowych koni z muzułmańskiej Andaluzji i Afryki znajdowało się w drodze do Kastylii, pozyskani zostali trzej hodowcy koni o wybitnych zdolnościach i wiedzy fachowej. Potem sprawa kastylskiej monety; tłoczono coraz więcej złotych maravedi i chociaż podobizna Alfonsa, jak każdy konterfekt, wywoływała u wyznawców proroka gniew, złote monety ukazujące oblicze Alfonsa i jego herb rozchodziły się również w krajach islamu. A królowa może znaleźć radość w tym, że w niezbyt dalekiej przyszłości będzie mogła nosić szaty, utkane z kastylskiego jedwabiu.

Król słuchał uważnie i wyglądał na zadowolonego. Ale przypomniał sobie swe postanowienie niedopuszczenia do tego, żeby żyd stał się buńczuczny.

— To brzmi zadowolająco — powiedział i ciągnął dalej ze złośliwą uprzejmością: — Chyba będziemy wreszcie mieli pieniądze, by móc uderzyć na muzułmanów.

Don Jehuda był rozczarowany skromnym podziękowaniem, ale odpowiedział spokojnie:

— Zbliżamy się do celu prędzej, niż miałem nadzieję. Im dłużej będziesz utrzymywał pokój, o królu, tym większe będą twoje widoki na wystawienie wojska dostatecznie wielkiego i mocnego dla zapewnienia ci zwycięstwa.

Don Alfonso pytał dalej z tą samą podstępą serdecznością:

— Jeżeli uważasz, że ciągle jeszcze musisz mi wzbraniać świętej wojny, to czy dasz mi przynajmniej pieniądze, bym mógł okazać chrześcijaństwu swą dobrą wolę?

— Racz, o królu, twemu słudze, który cię niezupełnie dobrze rozumie, wyjaśnić wyraźnie, o co ci chodzi.

— Postanowiłem wraz z donią Leonor — wtajemniczył go Alfonso — wykupić jeńców Saladyna, i to znaczną ich liczbę. — Wymienił jeszcze większą cyfrę, niż chciał żądać: tysiąc mężczyzn, tysiąc kobiet, tysiąc dzieci. Jehuda robił wrażenie zmieszanego. Alfonso myślał sobie: Tu go złapałem, teraz ten lis pokaże swoje prawdziwe oblicze.

Nagle Jehuda odrzekł:

— Szesnaście tysięcy maravedi w złocie to bardzo dużo pieniędzy. Żaden książę półwyspu nie mógłby ofiarować tak wysokiej sumy na bezinteresowny, zbożny cel. Ty możesz, królu.

Nie wiedząc, czy się cieszyć, czy martwić, Alfonso ciągnął dalej:

— Chciałbym założyć fundację dla zakonu Calatrava, i to nie byle jaką.

Teraz Jehuda był naprawdę wstrząśnięty. Ale zaraz powiedział sobie, że zapewne król chce za swą neutralność w świętej wojnie kupić przebaczenie niebios i woli to zrobić w ten sposób, by pozostawić arcybiskupowi saladyńską dziesięcinę.

— O jakiej sumie myślałeś, królu? — zapytał.

— Chciałbym usłyszeć twoje zdanie — zażądał Alfonso.

Jehuda zaproponował:

— A gdybyś przekazał Calatravie tę samą sumę, co Alarcos: cztery tysiące maravedí w złocie?

— Żartujesz chyba, mój drogi — powiedział król uprzejmie. — Przecież nie potraktuję moich najlepszych rycerzy jak żebraków. Daj mi na ten cel osiem tysięcy maravedí.

Tym razem Jehuda nie potrafił zapanować nad drżeniem twarzy. Skłonił się jednak bez protestu i powiedział:

— Darowałeś w tej godzinie dwadzieścia cztery tysiące maravedí na święte cele. Bóg ci to z pewnością wynagrodzi. — Opanowawszy się ciągnął rześko dalej: — I tak liczyłem, że łaska Boża będzie z tobą i poczyniłem przygotowania wstępne. — Król spojrział ze zdziwieniem. — Licząc się z tym, że Bóg w uznaniu zasług obdarzy cię synem, poleciłem moim repositarii zrewidować rejestr z okazji chrztu. — W starych księgach było mianowicie ustalone, że z okazji urodzin pierwszego syna król ma prawo żądać od każdego wasala dodatkowego podatku na godne wychowanie następcy tronu.

Były to sumy niemałe.

Podobnie jak doña Leonor, don Alfonso zrezygnował z nadziei na syna; to, że escrivano liczył na jego szczęście, ucieszyło go.

Uśmiechając się z pewnym zakłopotaniem powiedział:

— Jesteś naprawdę zapobiegliwym człowiekiem.

I wobec tego, że żyd bez wahania postawił mu do dyspozycji żadaną sumę, już chciał zgodnie ze swym zamiarem jemu, a nie don Martinowi, powierzyć ściąganie dziesięciny.

Czy jednak nie wykręcał się od dziesięciny, którą by miała płacić aliamia, i czy powiedział o niej choćby słowo?

— Jakże to właściwie jest z waszą saladyńską dziesięciną? — ciągnął dalej. — Mówiono mi, że chcecie oszukać Kościoła. Nie zniosę tego, źleście trafili.

Ten gwałtowny atak wyprowadził Jehudę z równowagi. Ale uświadomiwszy sobie, że los żydów sefardyjskich zależy teraz od jego słów, zapanował nad sobą, nakazał sobie chłodną rozwagę i cierpliwość.

— Oczerniono nas, królu — odpowiedział. — Od dawna wstawiam do mego rachunku saladyńską dziesięcinę aliamy; inaczej nie byłoby pieniędzy, których dziś zażądałeś. Ale, rzecz oczywista, twoi żydowscy poddani chcą uiszczać ten podatek tylko tobie, królu, a nie komuś, kto mógłby się tego domagać albo się domaga.

Don Alfonso, choć zadowolony, że żyd bez wysiłku obalił obwinienie Martina, przywołał go do porządku.

— Nie bądź mi zbyt zuchwały, Jehudo! „Ktoś”, o kim mówisz, to arcybiskup Toledo.

— Statut — rzekł Jehuda — zagwarantowany aliamie przez twych ojców i potwierdzony przez twój majestat przewiduje, że gmina ma uiszczać podatki tylko tobie, nikomu innemu. Jeżeli rozkażesz, dziesięcina będzie oczywiście wpłacona panu arcybiskupowi. Ale będzie to dziesięcina, nie sueldo, dziesięcina bardzo chuda; trudna to bowiem sprawa strzyc opornego kozła. Jeżeli natomiast dziesięcina będzie należała do ciebie, będzie tłusta i bogata,



gdyż ciebie, królu, aliam Toledo kocha i poważa.

Ciągnął dalej półgłosem:

— To, co powiem teraz, powinienem może zachować w swym sercu. Ale jestem twoim wiernym sługą i nie mogę tego przed tobą zamilczeć. Byłoby źle dla nas i odczuwalibyśmy wyrzuty sumienia, gdybyśmy mieli dawać pieniądze na zdobycie miasta, które od prastarych czasów jest dla nas święte i które Bóg nam przeznaczył w dziedzictwie. Ty, królu, nie będziesz używał naszych pieniędzy na wojnę ze Wschodem, lecz na powiększenie godności i potęgi twojej Kastylii, która nas ochrania i daje nam dobrobyt i bezpieczeństwo. Wiemy, że potrzebujesz pieniędzy dla naszego dobra. Na co potrzebuje ich pan arcybiskup, nie wiemy.

Król wierzył temu, co mówił żyd. Mniejsza o to, z jakich niesamowitych powodów żyd chodził tymi samymi drogami, co i on; był jego przyjacielem, Alfonso czuł to. Ale właśnie dlatego tak być nie mogło. Mysz w worku, żmija w kaftanie, a ogień w rękawie — brzmiały mu w uszach słowa Ojca Świętego. Nie wolno mu było dopuścić żyda zbyt blisko. Byłoby to grzechem, teraz, w czasie świętej wojny, grzechem podwójnym.

— Nie odbieraj nam praw, które mamy od stu lat — zaklinał go Jehuda. — Nie wydawaj twoich najwierniejszych poddanych w ręce ich wroga. Jesteśmy twoją własnością, a nie arcybiskupa. Pozwól mnie ściągać saladyńską dziesięcinę, o królu.

Słowa Jehudy poruszyły Alfonsa. Ale ten, który je wypowiedział, należał do niewiernych, za tym zaś, który go ostrzegął, stał Kościół.

— Rozważę twoje argumenty, don Jehudo — powiedział bez zapału.

Twarz Jehudy jak gdyby zagasła. Jeżeli teraz nie przekonał tego człowieka, nie potrafi zrobić tego nigdy. Bóg odmówił jego słowom łaski, Jehuda zawiódł.

Alfonso zorientował się w straszliwym rozczarowaniu żyda. Ten Ibn Esra wyświadczał mu usługi jak nikt inny. Było mu przykro, że go zmartwił.

— Nie sądz — powiedział — że nie doceniam twych usług: Dobrze spełniłeś moje zlecenie, don Jehudo. — I dodał ciepło: — Zaproszę moich panów, żeby zobaczyli, jak mi na znak dobrze spełnionego zlecenia zwracasz rękawiczkę.

Doña Leonor również nie była pewna, czy ściągnięcie saladyńskie dziesięciny należy pozostawić arcybiskupowi. Jako królowa nie chciała zrezygnować z tego ważnego przywileju korony. Jako chrześcijanka czuła się grzeszna, ciągnąc zyski z wątpliwej neutralności kraju, i nie chciała lekceważyć przestrogi arcybiskupa. Niemiła brzemienność zwiększała wątpliwości. Nie umiała udzielić swemu Alfonsowi rady.

Szukał znaku bożego. Postanowił czekać do rozwiązania donii Leonor. Jeżeli urodzi chłopca, będzie to znak. Wtedy każe ściągnąć dziesięcinę na rzecz królewskiego skarbcza, gdyż nie ma prawa umniejszać dziedzictwa syna.

Na razie, stosownie do obietnicy, świadczył swemu escrivano honory. Jehudzie wolno było na wielkim zgromadzeniu zwrócić rękawiczkę na znak spełnienia rycerskiego zlecenia. Alfonso ujął gołą rękę swego wasala, podziękował mu w łaskawych słowach, objął go i ucałował w oba policzki.

Arcybiskup był do głębi oburzony. Jego duchowna przestroga wstrząsnęła powietrzem, a wysłannik Antychrysta omotywał króla coraz gęściej. Ale don Martin nie miał zamiaru dać sobie wyrwać z rąk zwycięstwa Kościoła nad synagogą. Postanowił nie lękać się nawet środków nikczemnych i zwalczać podstęp podstępem.

Oświadczył królowi, że nic nie jest mu dalsze od prawowania się o pieniądze. Na dowód tego wysuwa propozycję, której z wielkim trudem będzie mógł bronić przed stolicą apostolską. Opierając się na tym, że don Alfonso zużywać będzie dziesięcinę saladyńską wyłącznie na zbrojenia, pozostawia mu dysponowanie pieniędzmi. Sobie i Kościołowi zastrzega jedynie prawo

ściągnięcia dziesięciny; wpływające sumy będą natychmiast wpłacane do koronnego skarbcza.

Don Alfonso widział po wiernej, chytrej twarzy przyjaciela, jak ciężko mu było zdobyć się na ten kompromis. Zdawał sobie jasno sprawę, że chodzi o zasadę. Odparł więc:

— Wiem, że pragniesz mego dobra. Wydaje mi się jednak, że i mój *escrivano* jest uczciwy ostrzegając mnie, żebym nie rezygnował z ważnego prawa mej korony.

Don Martin zawołał gniewnie:

— Znowu ten niewierny! Ten zdrajca!

— Nie jest zdrajcą — bronił Alfonso swego ministra. — Wyciągnie od swoich żydów dziesięcinę do ostatniego *sueldo*. Przyrzekł mi z tej dziesięciny olbrzymią sumę na naszą krzyżową wyprawę: dwadzieścia cztery tysiące *maravedi* w złocie.

Cyfra ta zrobiła na arcybiskupie wrażenie. Ale nie chciał tego dać poznać po sobie i powiedział szyderczo:

— Zawsze wiele obiecywał.

— Dotrzymywał każdej obietnicy — odrzekł don Alfonso.

W duszy don Martina zabrzmiały zdania z orędzi papieskich i zarządzeń: „Za to, że są winni ukrzyżowania, żydzi skazani są na wieczną niewolę, wypalony mają na sobie znak Kaina, muszą jak on błędzić dookoła i prowadzić koczownicze życie”. A oto don Alfonso, chrześcijański książę, wielki rycerz i bohater, zamiast pobić żydów na głowę, żeby się wreszcie ukorzyli, nie miał nic prócz słów szacunku i przyjaźni dla tego szatana, który mu się wżarł w serce. Don Martin był zdecydowany zachować chytrość, łagodność i umiarkowanie. Ale nie umiał się dłużej poskromić.

— Czy nie widzisz — gorączkował się — zaślepiony przez piekło, dokąd on cię popycha? Powiadasz, że doprowadził do rozkwitu twój kraj. Czy nie widzisz, że rozkwit to zatruty? Wyrzeka się z grzechu. Tuczysz się na zuchwalstwie twej neutralności. Kiedy książęta chrześcijańscy dla oswobodzenia świętego grobu narażają się na wyrzeczenia, niebezpieczeństwa i śmierć, budujesz sobie wspaniały, pogański, luksusowy zamek! A Kościołowi żałujesz dziesięciny, którą mu przeznaczył Ojciec Święty.

Właśnie dlatego, że Alfonso sam żałował, iż zabrał się do odbudowy Galiany, nie mógł znieść zuchwałej nagany duchownego.

— Zabraniam ci tak mówić! — zagrzemiał, z trudem zmuszając się do spokoju. — Jesteś, don Martinie — ciągnął dalej — dobrym żołnierzem i wiernym przyjacielem. Gdybym tego nie miał na względzie, musiałbym poprosić cię teraz, byś mi na miesiąc zniknął z oczu.

Jeszcze tego samego dnia wezwał do siebie Jehudę.

— Nie pozostawię żydów Kościołowi — obwieścił — zatrzymuję ich jako moją własność. Niechaj płacą dziesięcinę mnie, a ty ją ściągasz. Niechaj będzie tłusta, stosownie do twojej obietnicy.

W kilka dni później doña Leonor urodziła chłopca. Radość don Alfonsa była bezgraniczna. Błogosławieństwo boskie potwierdzało w całej chwale jego postępowanie. Miał rację, że idąc za głosem sumienia nie odstąpił Kościołowi żadnego ze swych praw koronnych. Postąpił słusznie i wtedy, kiedy zmusił młodego Pedra do wasalskiego pocałunku ręki. Gdyby czekał, gdyby przedtem zaręczył młodą infantkę z chłopakiem z Aragonii, odpłynęłoby mu teraz spodziewane dziedzictwo i wybuchłby spór o wiele gorszy.

Alfonso klęczał w kaplicy swego zamku pełen błogiej wdzięczności, że oto Kastylia ma dziedzica z jego krwi. Mimo wszystko będzie prowadził swoją wielką wojnę i ku chwale Boga podbije Sewillę, Kordobę i Grenadę. Powiększy swe państwo, poszerzy potężne jego granice w kierunku południowym. Jeżeli nie podbije całego półwyspu, to Bóg użyje jego synowi tej łaski,

by dokończył rozpoczęte dzieło.

Również i don Jehuda był do głębi uszczęśliwiony. Mimo pewności siebie na zewnątrz, był pełen troski, że królowa znowu urodzi córkę; wtedy zjednałaby don Pedra przez zaręczyny z infantką Berengarią i doszłoby do aliansu i wielkiej wojny. Teraz niebezpieczeństwo to było usunięte.

Don Jehuda oczekiwał, że wszyscy będą podzielać jego radość, przede wszystkim zaś przyjazny, rozsądny polityk don Manrique. Ale ten osadził go ostro:

— Pamiętaj o tym, że mówisz z chrześcijańskim rycerzem! Cieszę się, że król, pan nasz, ma dziedzica, ale prawie cała moja radość niknie, ponieważ teraz nasza wojna w imię dobrej sprawy zostaje odłożona, kto wie, czy nie na zawsze. Myślisz, że chcę znaleźć się w ziemi, zanim jeszcze raz wyruszę w pole przeciw niewiernym? Myślisz, iż rycerz kastylski widzi chętnie swego króla, siedzącego pod piecem, kiedy cały świat chrześcijański bierze udział w świętej wojnie? Słowa twoje zmartwiły mnie, żydzie.

Jehuda, zawstydzony, odszedł. Ale uświadomił sobie z wdzięcznością, z jak okropnego niebezpieczeństwa Wszechmocny przez przyjście na świat tego infanta uratował półwysep Sefarad i lud Izraela.

Alfonso przygotowywał się do wspaniałego uczczenia chrzcin swego syna. Zaprosił do Burgos cały dwór. Nie zaprosił jednak donii Racheli.

Za to wyjątkowe zainteresowanie okazywał swemu paziowi, don Alazarowi. Przywoływał go często do siebie, wyróżniał go wyraźnie wśród innych paziów. Raz uderzyło go, jak świeża, piękna twarz Alazara mało jest podobna do twarzy siostry. Dziwił się, że go to uderzyło, odpędził od siebie tę myśl.

Z okazji ceremonii chrztu Jehuda przesłał królowi i donii Leonor wyszukane dary. Pomyślał również o infantce Berengarii. Zauważył, że była rozczarowana i zatroskana. Zapewne nie zrezygnowała z nadziei poślubienia don Pedra, widziała przed sobą koronę Kastylii i Aragonii — zjednoczonej Hiszpanii. Teraz wszystko przepadło.

Infanta ochrzczono wśród wielkiego przepychu imionami Fernán Enrique.  
Potem Jehuda wrócił do Toledo.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Już podczas pierwszej wyprawy krzyżowej wojownicy chrześcijańscy zaatakowali w ojczyźnie przede wszystkim niewiernych żydów.

Przywódcy wyprawy nie chcieli tego. Celem ich było wyzwolenie Ziemi Świętej spod jarzma niewiernych — oto wszystko. Ale do rycerzy krzyżowych dołączyło się wielu, kierujących się nie tylko względami religijnymi; entuzjazm dla sprawy boskiej łączyli oni z chęcią przygód i z myślami o własnej korzyści. Rycerze, których żądza czynu krępowana była w ojczyźnie ustawami, oczekiwali, że w krajach islamu znajdą i łupy, i sławę wojenną. Chłopi poszli pod znak krzyża, żeby pozbyć się ciężaru pańszczyzny i podatków. „Ogromna ilość hołoty — pisze bogobojny kronikarz ówczesny, Albertus Aąuentis — przyłączyła się do wojsk krzyżowych raczej po to, by się dopuszczać grzechów, niż pokutować za nie.”

Niejaki Guillaume le Carpentier z miejscowości Troyes, gwałtowny mówca i zabijaka, zebrał liczny zastęp wojowniczych pielgrzymów i ruszył z nimi w stronę Renu. Coraz większa ilość ludzi dołączała się do niego, Franków i Niemców, wkrótce liczba ich doszła do stu tysięcy. W krajach położonych nad Renem nazywano te podejrzane hufce, towarzyszące rycerzom krzyżowym, „pątniczą bracią”.

„Podniosła się — notuje żydowski kronikarz współczesny — dzika, nieopanowana, okrutna masa ludzka, mieszanina składająca się z Franków i Niemców, żeby ruszyć na święte miasto i przepędzić stamtąd synów Ismaela. Każdy z zuchwalców miał przyszyty do swej szaty znak krzyża. Zbierały się razem wielkie gromady mężczyzn, kobiet i dzieci. Jeden spośród nich, cieśla Wilhelm — imię jego niechaj będzie przeklęte — podburzał ich słowami: Ruszamy, by się zemścić na synach Ismaela. Ale czy nie mamy już tutaj pod ręką owych żydów, których ojcowie ukrzyżowali naszego Boga? Zemścimy się naprzód na nich. Wymazane niechaj będzie imię Judy, jeżeli w dalszym ciągu będą się opierali uznać Jezusa za Mesjasza.

Słuchali go, jeden mówił do drugiego: Róbmy, jak mówi. I rzucili się na lud Świętego Przymierza”.

A więc szóstego Ijara, w sabat, wybili żydów miasta Speyer. Po trzech dniach przyszła kolej na żydów miasta Wormacja. Potem ruszyli na Kolonię. Biskup Herman próbował tu ochronić swoich żydów. „Ale bramy miłosierdzia były zaryglowane — informuje kronikarz — zuchwalcy pozabijali żołdaków i dopuścili się gwałtu wobec żydów. Wielka liczba mężczyzn, kobiet i dzieci, nie chcąc dać się ochrzcić święconą wodą, rzuciła się do Renu, obciążając szyje kamieniami i wołając: Słuchaj, Izraelu, Adonai, nasz Bóg, jest jedyny”.

Podobnie działo się w Trewirze i w Moguncji. Kronikarz opowiada o wydarzeniach w Moguncji: „Trzeciego dnia Siwanu, o którym kiedyś nauczyciel nasz Mojżesz powiedział: bądźcie gotowi na trzeci dzień, kiedy wrócę z góry Synai, otóż tego trzeciego dnia Siwanu, w południe, Emicho von Leiningen — niechaj imię zuchwalców będzie przeklęte — ruszył na czele swego całego zastępu i obywatele otworzyli mu bramy. Zuchwalcy powiedzieli sobie: Teraz zemścimy się za krew Ukrzyżowanego. Synowie Świętego Przymierza chwycili za oręż, żeby się bronić. Ale osłabieni troską i długim postem, nie mogli oprzeć się wrogowi. W twierdzy arcybiskupiej trzymali przez czas jakiś przeciw bandytom mocną bramę wewnętrznego dziedzińca; z powodu jednak licznych naszych grzechów nie sprostali im. Kiedy zobaczyli, że los ich jest przypieczętowany, zaczęli dodawać sobie otuchy słowami: Teraz, za chwilę, zabiją nas wrogowie, ale dusze nasze wejdą nietknięte do jasnego Edenu. Szczęśliwy ten, kto w imię Boga Jedynego ponosi śmierć. — I postanowili: ■— Ponieśmy tę ofiarę ku czci Boga. Kiedy wrogowie wtargnęli na dziedziniec, ujrzeli nieruchomo siedzących mężów owiniętych w modlitewne

płaszcz. Zuchwalcy sądzili, że to podstęp. Obrzucili ich kamieniami, ostrzelali strzałami z łuku. Przyodziani w modlitewne płaszcze nie ruszyli się. Napastnicy pozabijali ich swoimi mieczami. A ci, którzy się schronili do wnętrza zamku, pozabijali się nawzajem. Zaiste żydzi Moguncji doświadczyli owego trzeciego dnia miesiąca Siwan próby podobnej, jakiej kiedyś Bóg poddał naszego praojca Abrahama.

Jak on, powiedziawszy: Owom ja, gotów był ofiarować syna swego Izaaka, tak i oni przynieśli w ofierze swe dzieci i swoich najbliższych. Ojciec poświęcił syna, brat siostrę, narzeczony narzeczoną, sąsiad sąsiada. Czy widziano kiedy w ciągu jednego dnia tyle poświęcenia? Ponad tysiąc sto dało się zabić lub zabiło się samo dla uświęcenia jedyne go, podniosłego, straszliwego imienia”.

W Regensburgu „pątnicy” zamordowali siedmiuset czterdziestu dziewięciu żydów, których nazwiska widnieją w księdze męczenników. Stu ośmiu było gotowych przyjąć chrzest. „Pątnicy” spędzili ich nad Dunaj, rzucili na fale rzeki krzyż, puścili żydów na dno i śmiali się wołając: „Jesteście teraz chrześcijanami, nie upierajcie się już przy swoich żydowskich przesądach”. Spalili synagogę, a ze zwojów pergaminu z Pismem Świętym porobili sobie wkładki do butów.

W krajach nadreńskich zginęło w ciągu miesiący Ijar, Siwan i Tamus dwanaście tysięcy żydów, a około czterech tysięcy w Szwabii i Bawarii.

Większość książąt świeckich i duchownych potępiała okrucieństwa „pątników” oraz przymusowe chrzty. Cesarz niemiecki Henryk Czwarty dał w uroczystej mowie wyraz swemu obrzydzeniu do dokonywanych aktów gwałtu i pozwolił gwałtem ochrzczonego na powrót do żydostwa. Wszczął również przeciw arcybiskupowi Moguncji dochodzenie za to, że w dostateczny sposób nie chronił żydów i wzbogacił się ich dobytkiem. Arcybiskup musiał uciekać, cesarz zawładnął jego dochodami i dał odszkodowanie żydom.

Większość „pątników” skończyła załóżnie, zanim jeszcze dotarli do Ziemi Świętej. Tysiące zamordowano na Węgrzech, przywódcy, Guillaume le Carpentier i Emicho von Leiningen, musieli ze swymi bandami, odziani w łachmany, przystąpić do odwrotu. Pewien kronikarz opowiada, że Guillaume przed wyruszeniem na wyprawę zapytał rabina miasta Troyes, jak się ona skończy. Rabin odpowiedział: „Będziesz czas jakiś żył w blasku, potem jednak zostaniesz pobity, będziesz szukał ratunku w ucieczce i wrócisz tutaj z trzema rumakami”. Guillaume zawołał groźnie: „Jeżeli przyprowadzę z powrotem o jednego rumaka więcej, zamorduję cię razem z wszystkimi innymi żydami Francji”. Wrócił z trzema konnymi towarzyszami, a więc z czterema rumakami i cieszył się na to, że zabije rabina. Kiedy jednak przejeżdżał na koniu przez bramę, spadł kamień i zabił jednego z towarzyszy oraz jego konia. Guillaume zrezygnował wobec tego ze swego zamierzenia i wstąpił do klasztoru.

Kiedy więc doszło do nowej wyprawy krzyżowej, żydzi wrócili myślami do cierpień, doznanych przez ich ojców, które opisane są w księdze „Dolina łez”. I byli pełni strachu.

Wkrótce powtórzyło się to, co ich spotkało dawniej. Tym razem ciemieżcami byli książęta.

Książę Wratysław z Czech zmuszał żydów do chrztu, a kiedy chcieli potem emigrować, niezawodnie po to, by powrócić do swego żydostwa, konfiskował całe ich mienie. Szambelan jego, człowiek wykształcony, wygłosił do emigrantów z polecenia księcia mowę w łacińskich heksametrach. Oto jej treść: „Nie przynieśliście do Czech żadnych skarbów z Jerozolimy, przyszlście tutaj jako nadzy i bosi żebracy, odchodźcie więc nadzy”.

Największych cierpień doznali żydzi w królestwie francuskim. W czasie poprzedniej wyprawy ujęli się za nimi Ludwik Siódmy i Ellinor de Guyenne. Obecny jednak władca Francji, Filip August, sam stanął na czele tych, którzy „ten przekłety rodzaj” mordowali i rabowali.

„Żydzi — oświadczył król — zawładnęli drogą podstępu większością domów w mojej stolicy, w Paryżu. Obrabowali nas podobnie, jak ich przodkowie Egipcjan”. Aby ten rabunek pomścić, kazał pewnej soboty obstarwić swymi żołdakami synagogi Paryża i Orleanu i nie wypuścić żydów dopóty, dopóki nie splądrował ich domów. Musieli również zdjąć szaty, które nałożyli na siebie z okazji sabatu; wrócili do swych domostw półnaczy. Potem wydał rozkaz, zmuszający ich do opuszczenia kraju w ciągu trzech miesięcy z równoczesnym pozostawieniem całego dobytku.

Większość wygnanych znalazła schronienie w sąsiednich hrabstwach, które tytułarnie stanowiły królewskie lenno, w istocie rzeczy jednak były samodzielne.

Ale ręka króla Filipa Augusta dosięgła ich i tam.

Margiabina Szampanii, Blanche, była starszą damą o niezależnym umyśle i czułym sercu. Przyjęła wielu wygnańców. Na obszarach należących do Francji istniał stary obyczaj, by w Wielki Piątek na placu publicznym ku pamięci Męki Pańskiej policzkować reprezentanta żydów, którym był bądź przewodniczący gminy, bądź rabin. Margrabina pozwoliła swoim żydom wykupić się od tego opłatą na rzecz Kościoła. Król Filip August rozdrażniony tym, że jego wygnańcy znaleźli schronienie u margrabiny Blanche, zażądał od swej wasalki, by swe zarządzenie cofnęła. Powołał się przy tym na świętą wojnę i margrabina musiała ustąpić.

Los oszczędził jednak żydom zniewagi, ale w sposób żaloszny. Nawet tragiczny. Zanim nadszedł Wielki Piątek, pewien uczestnik wyprawy krzyżowej, poddany króla Filipa Augusta, na terenie, należącym do margrabiny, w mieście Bray-sur-Seine zamordował żyda. Margrabina skazała mordercę na śmierć i poleciła dokonać egzekucji w dniu święta Purim, podczas którego żydzi święcą obalenie ich wroga Amana przez królową Esterę i jej opiekuna Mardocheusza. Żydzi miasta Bray byli świadkami egzekucji, z pewnością przyglądali się jej nie bez zadowolenia. Król Filip August otrzymał meldunek, że mordercy, jego poddanemu, związane ręce, że mu włożono na skronie koronę cierniową, że sztydono z drogi krzyżowej Zbawiciela. Królewski złoczyńca, jak go nazywa kronikarz, zażądał w związku z tym od margrabiny, żeby kazała uwięzić wszystkich żydów miasta Bray. Oparła się temu. Wtedy król wysłał do Bray żołnierzy, żydzi zostali ujęci i postawieni przed wyborem: chrzest lub życie. Czterech dało się ochrzcić, dziewiętnaścioro dzieci poniżej lat trzynastu umieszczono w klasztorze, resztę żydów spalono na dwudziestu siedmiu stosach. Filip August oświadczył Blanche: „Teraz twoi żydzi są wolni od swego wielkopiątkowego policzka”. Powiedziawszy to, ruszył na świętą wojnę.

Żydzi całej północnej Francji nie czuli się już bezpieczni i wysyłali gońców do swych braci w szczęśliwszych krajach, w Prowansji i Hiszpanii, prosząc o pomoc. Największe nadzieje pokładali w potężnej gminie Toledo. Posłali tam człowieka, uchodzącego za najwybitniejszego i najbardziej nabożnego żyda Francji, rabiego Tobię Ben Simona.

Ledwie don Jehuda zdążył wrócić, już odwiedził go rabbi Tobia.

Nasz pan i nauczyciel Tobia Ben Simon, zwany Ha-Chasid, pełen pobożności episcopus Judaeorum Francorum, głowa żydów francuskich, był uczonym w sprawach wiary, głośnym w Izraelu i nierzadko atakowanym. Wygląd miał niepozorny, sposób bycia skromny. Pochodził ze starej, uczonej rodziny żydowskiej, która sto lat temu uciekła przed krzyżowcami z Niemiec do północnej Francji.

Mówił wolno, niezbyt czystym językiem hebrajskim żydów niemieckich, zwanych aszkenazi; narzecze to brzmiało zupełnie inaczej aniżeli dostojna, klasyczna hebrajszczyzna, do której przywykł don Jehuda. Wkrótce jednak, pochłonięty tym, co tamten opowiadał, zapomniał o błędach wymowy rabiego Tobii. Rabbi opowiadał o niezliczonych, przemyślnych, okrutnych szykanach króla Filipa Augusta, o potwornych, krwawych wydarzeniach w Paryżu, Orleanie, Bray-sur-Seine, Nemours i Sens. Opowiadał również szczegółowo o mniejszych krzywdach wyrządzonych żydom, jak i o straszliwych rzeziach; drobiazgi wydawały się czymś wielkim, to,

co wielkie, stawało się w jego ustach ogniwem nieskończonego łańcucha. Raz po raz powtarzał się refren: I 'wołali: „Słuchaj, Izraelu, Bóg nasz jest jedyny”, po czym ginęli.

Słowa niepozornego rabbiego o potwornych wydarzeniach robiły w cichym, wspaniałym, bezpiecznym domu dziwne wrażenie. Rabbi Tobia mówił wolno i dobitnie. Ale don Jehuda słuchał z uwagą. Jego żywa wyobraźnia widziała wyraźnie to wszystko, o czym rabbi opowiadał. Obudziły się w nim własne, ponure wspomnienia. Wtedy, kilkadziesiąt lat temu, muzułmanie zachowywali się w jego Sewilli zupełnie tak samo, jak teraz chrześcijanie we Francji. I oni z początku napadali na „niewiernych”, na żydów, dawali im do wyboru albo przejść na ich wiarę, albo zginąć. Jehuda wiedział doskonale, co się dzieje w duszach tych, którzy są ofiarami napaści.

— Na razie — powiedział rabbi Tobia — pomagają nam jeszcze hrabiowie i baronowie niezależnych połaci kraju. Ale namaszczony zuchwalec naciska na nich i nie będą mogli długo mu się opierać. Serca ich nie są złe, ale nie są również dobre. Nie będą wojować z królem Francji w obronie sprawiedliwości i żydów. Niedługi jest czas, kiedy będziemy musieli rozpocząć wędrówkę, i nie będzie to łatwe. Niczego bowiem nie uratowaliśmy poza własną skórą i kilkoma zwojami Tory.

W pięknym domu panował spokój, przepych i cisza. Pluskały łagodnie fontanny, ze ścian lśniły złociście, niebiesko i czerwono litery wzniosłych wierszy. Z cienkich, bladych warg na martwej twarzy rabbiego słowa sączyły się w równomiernym rytmie. Ale don Jehuda widział przed sobą ogromne ilości żydów, wędrujących na zmęczonych nogach, widział, jak odpoczywają na skraju dróg, rozglądając się trwożliwie, czy nie grozi im nowe niebezpieczeństwo, widział, jak sięgają po długie kije, zrobione z ułamanych gałęzi, opierają się na nich i wędrują dalej.

Już w Burgos los żydów z Francji przejmował Jehudę troską; mając bystry umysł, rozważał niejeden projekt przyjscia im z pomocą. A teraz, kiedy słuchał słów rabbiego Tobii, uformował się w nim nowy plan. Akcja będzie śmiała, trudna. Ale nie było innej, która by naprawdę pomogła. Widok niepozornego rabbiego, który o nic nie prosił, przed niczym nie ostrzegwał, niczego nie żądał, był dla Jehudy podniętą.

Kiedy następnego dnia Efraim Bar Abba przybył do castillo Ibn Esra, don Jehuda był zdecydowany. Don Efraim poruszony opowiadaniem rabbiego Tobii chciał stworzyć na rzecz prześladowanych we Francji fundusz w wysokości dziesięciu tysięcy maravedi w złocie. Sam miał zamiar ofiarować tysiąc maravedi i prosił don Jehudę, by on również wyasygnował jakąś sumę.

Ale Jehuda odpowiedział:

— Niewiele to pomoże wygnańcom, jeżeli nakarmimy ich pieniędzmi na przeciąg kilku miesięcy, a nawet roku. Hrabiowie i baronowie, w których miastach przebywają, ulegną królowi i znowu ich przepędzą. Będą bez celu przepędzani dalej po świecie, wpadając w ręce coraz to nowych wrogów, przeznaczeni na ostateczną zagładę. Istnieje tylko jedna pomoc: osiedlić ich w bezpiecznym miejscu, na którym mogliby pozostać.

Parnas aliamy był niemile zaskoczony. Jeżeli się teraz, podczas wojny świętej, ściągnie do kraju chmary ubogich żydów, będzie to musiało przynieść złe następstwa. Arcybiskup zacznie wygłaszać podburzające kazania i cały kraj przyzna mu rację.

Żydzi Toledo byli wykształceni, zamożni, cywilizowani, zdobyli sobie szacunek u innych. Jeżeli teraz wpuści się setki, może tysiące żydów z Francji, żebrzących, nieobeznanych ani z językiem, ani ze zwyczajami kraju, wpadających w oczy swym ubiorem i obcymi, złymi manierami, w niczym się im nie pomoże, ale za to można zaszkodzić sobie samemu.

Efraim obawiał się, że tego rodzaju zastrzeżenia umocnią tylko zuchwałego Ibn Esrę w jego zamiarze. Użył więc innego argumentu.

— Czy żydzi z Francji — rozpoczął — będą się tutaj czuli kiedykolwiek jak w domu? To mali ludzie, zajmowali się sprzedażą wina, robili drobne interesy, znają jedynie nędzne bytowanie w swojej Francji, mają ograniczony sposób myślenia, nie wiedzą nic o przedsięwzięciach na wielką skalę. Nie potępiam ich za to. Mieli ciasne, surowe życie, wielu z nich to synowie wygnańców z Niemiec, wielu poznało prześladowanie na własnej skórze. Nie wyobrażam sobie, żeby ci ponurzy, zastraszeni ludzie potrafili znaleźć sobie miejsce w naszym świecie. — Don Jehuda milczał. Parnasowi wydawało się, że się leciutko uśmiecha. Ciągnął dalej z większą energią: — Nasz wielki gość to człowiek nabożny, uczony, słusznie zażywający sławy. Ale książki jego mimo swej głębi i wspaniałości nie przekonały mnie. O moralności i trzymaniu się przykazań myślę surowiej od ciebie, don Jehudo, ale ten nasz pan i nauczyciel Tobia robi z życia tylko i jedynie jakieś pokutnicze ćwiczenia. Jego kryteria, jak również kryteria jego zwolenników, nie są naszymi. Myślę, że nasi bracia z Francji nie zżyliby się z nami, a my nie znaleźlibyśmy z nimi wspólnego języka.

Don Efraim nie powiedział tego, co chciał temu don Jehudzie, temu meszummadowi, temu odszczepieńcowi przypomnieć: że rabbi Tobia najostrzej potępił takich właśnie jak on, jak ci, którzy odpadli od wiary. Nie miał wyrozumiałości nawet dla sa-nussim, dla tych, którzy dali się zmusić do chrztu pod grozą śmierci, nawet kiedy później do żydostwa do wracali. Don Jehuda, który tak długo służył obcemu Bogu z własnej woli i nie w obliczu niebezpieczeństwa, musi wiedzieć, że w oczach tego rabiego Tobii i jego zwolenników zasługiwał na karę unicestwienia, na to, by dusza jego została starta w proch tak samo jak ciało. Czy naprawdę chciałby ściągnąć na kark aliamy i swój własny ludzi, którzy tak o nim myśleli?

— Oczywiście — odparł zdumiewający don Jehuda — ten wielki człowiek jest inny niż my. Ludzie naszego pokroju są zapewne jego duchowi obcy, ludzie mego pokroju może nawet wstrętni. Nie mało jego zwolenników myśli równie ponuro jak on. Ale prześladowani bracia, których wtedy wpuścił do kraju stryj mój, książę don Jehuda Ibn Esra Ha-Nassi, byli również całkowicie inni i nie było pewności, czy się tutaj potrafią zadomowić. A jednak zadomowili się. I dobrze im się wiedzie. Sądzę, że przy uczciwych wysiłkach z naszej strony zdołamy wchłonąć naszych braci z Francji.

Don Efraim, drobny w swoich obszernych szatach, zatroskany, obliczał coś sobie. Potem powiedział:

— Byłem dumny z tego, że wyrzuciłem dziesięć tysięcy maravedí w złocie na uchodźców z Francji. Jeżeli ich tutaj przeniesiemy w warunki, w których nie potrafią zarobić na utrzymanie, będziemy musieli wspierać ich przez lata, może zawsze. Dziesięć tysięcy maravedí nie starczy wtedy na długo. Musimy poza tym płacić saladyńską dziesięcinę. Istnieje ponadto sprawa funduszu na wykup jeńców. Fundusz ten bardzo zmalał, nadweręża się go — bardziej niż kiedykolwiek. Na całym świecie święta wojna daje synom Edom i synom Hagar wygodny pretekst do tego, by więzić żydów i wymuszać, od nich wysoki okup. Pismo nakazuje oswobodzenie więzionych. Wypełnianie tego nakazu wydaje mi się rzeczą niezmiernie doniosłą. Natomiast uważam za sprawę mniej ważną sprowadzenie tysięcy twoich frankońskich nędzarzy. Byłoby to litościwe, ale, wybac mi szczerłość, lekkomyślne i nieodpowiedzialne.

Don Jehuda nie wyglądał na dotkniętego.

— Nie jestem uczony w Piśmie — odpowiedział — ale w uszach moich i w moim sercu dźwięczy nakaz naszego nauczyciela Mojżesza: „Jeżeli zubożeje brat twój, a osłabieje ręka jego i przyjmiesz go jako przychodnia i gościa, a będzie żył z tobą”. Sądzę poza tym, że możemy pozwolić sobie na to, żeby spełnić jedno zobowiązanie, nie zaniedbując drugiego. Dopóki uda mi się — mówił teraz uprzejmie, ale i nie bez pychy — trzymać Kastylię z dala od wojny, dopóty aliamy Toledo będzie zarabiała tyle, że nie zajdzie potrzeba naruszenia funduszu na wykup



jeńców, by paru tysiącom żydów z Francji dać chleb i dach nad głową.

Don Efraima ogarniał lęk coraz większy. Ten pyszałek nie chce wiedzieć, jak ryzykowne są jego zamiary, a może naprawdę nie widzi tego. Efraim nie umiał panować dłużej nad sobą, musiał dać wyraz swemu wielkiemu lękowi.

— Czy pomyślałeś również i o tym, mój bracie don Jehudo

— powiedział — jaką potężną broń dajesz arcybiskupowi realizując swój zamiar?

Poruszy moce piekielne, zanim dopuści, by twoi żydzi z Francji przybyli do kraju. Zwróci się do tego grzesznego francuskiego króla. Zwróci się również do papieża. Będzie wygłaszał kazania i podburzał lud, że w czasie trwania świętej wojny ściągamy do Kastylii masy żebraków i niewiernych. Cieszysz się łaskami króla, pana naszego. Ale don Alfonso daje również posłuch arcybiskupowi, a czas razem z wojną świętą pracuje dla niego, przeciw nam. Zdobyłeś sobie wiekopomną zasługę, don Jehudo, przez to, żeś obronił nasze fueros i swobody przed wrogiem. Czy jednak uda ci się to po raz drugi?

Słowa Efraima poruszyły Jehudę. Znowu uświadomił sobie wszystkie trudności swego przedsięwzięcia. Może poszedł za daleko. Ale ukrył swoje wątpliwości, przybrał znowu, jak tego oczekiwał don Efraim, wyniosły wyraz twarzy i powiedział sucho:

— Widzę, że mój projekt nie znalazł u ciebie uznania. Zawrzyjmy taką umowę: Zbieraj sobie te swoje dziesięć tysięcy maravedi w złocie. A ja wpłynę na króla, żeby się zgodził na wpuszczenie prześladowanych i przyznanie im praw i swobód, których potrzebują. Zrobię to bez wielkiego hałasu, bez poparcia ze strony aliamy, bez błagalnych modłów w synagodze, bez skarg i jęków, bez uroczystych delegacyj do króla. Pozostaw to wyłącznie mnie.

Zobaczył, jak to tamtego przygnębiło. Ponieważ nie było to jego zamiarem, ciągnął ciepło dalej:

— Ale jeżeli mi się uda, jeżeli król wyrazi swoją zgodę, wtedy, musisz mi to przyrzec, zrezygnujesz z oporu, pomożesz mi przeprowadzić moje dzieło przy pomocy całej potęgi rozumu, w który cię Bóg wyposażył. — Po tych słowach wyciągnął do don Efraima rękę.

Don Efraim, porwany jego słowami wbrew swej woli, ciągle jeszcze ociągając się, ujął wyciągniętą prawicę i powiedział:

— Niechaj i tak będzie.

Tymczasem król zapomniał w towarzystwie donii Leonor o Toledo i wszystkim, co miało z tym miastem związek. Rozkoszował się spokojem i pewnością, jaką dawał zamek w Burgos. Miał syna i dziedzica. Był szczerze szczęśliwy.

Ponieważ jednak nieobecność jego w stolicy trwała całe miesiące, członkowie rady zaczęli nalegać, by powrócił. Ledwie pozostawił za sobą mury Burgos, znowu wróciły niepokój i męka, że musi czekać, że nie może rozszerzyć granic swego państwa. Alfonso Szósty i Alfonso Siódmy nosili korony cesarskie, byli opiewani w pieśniach. O tym, czego on dopiął, szeptało kilka mizernych piosenek.

Kiedy skała, na której wznosiło się Toledo, zarysowała się przed jego oczami, opadła go szalona niecierpliwość. Już pierwszego dnia po powrocie wezwał do siebie swego escrivano, tego człowieka, z którym musiał walczyć o to, by móc spełnić swą rycerską powinność i wyruszyć na wojnę.

Jehuda czekał chciwie na powrót króla. Chciał przy pierwszej okazji przedłożyć mu swój wielki projekt i wymóc na nim edykt, przyjmujący żydów z Francji do Kastylii. Przygotował sobie logiczne motywy. Kraj rozwijał się i rósł, rosła potrzeba nowych rąk, trzeba, jak za czasów Alfonsa Szóstego i Siódmego, osiedlić nowych ludzi.

Stanął wręszcie przed królem i zaczął mu składać raport. Znowu mógł opowiadać o nowych sukcesach, o wysokich wpływach, o trzech dalszych miastach wyrwanych z rąk

opornych grandów, pozostających obecnie w zasięgu władzy Alfonsa. Nowe, wielce obiecujące przedsiębiorstwa powstały zarówno w całym kraju, jak i w Toledo i najbliższej okolicy. A więc huta szklana, wielkie zakłady garbarskie, warsztat garncarski, fabryka papieru, nie mówiąc o rozszerzeniu mennicy i stadniny królewskiej.

Opowiadając o tym wszystkim w szybkim tempie, Jehuda zastanawiał się, czy już w tej pierwszej godzinie dobrze będzie przedłożyć królowi swoją wielką sprawę. Don Alfonso milczał i trudno było wyczytać coś z jego twarzy.

Jehuda mówił dalej. Zapytał czołobitnie, czy król w drodze powrotnej nie zauważył w okolicy Avili wielkich trzód bydła: hodowla bydła została jednolicie uregulowana, można racjonalnie wykorzystywać pastwiska. Czy don Alfonso znalazł w drodze powrotnej czas na obejrzenie kokonów, z których wyrabiany jest jedwab?

Król otworzył wreszcie usta.

— Tak — powiedział — widziałem hodowlę kokonów i trzody, i to, i owo, świadczące o zapobiegliwości mego escrivano.

— Potem zmienił nagle ton, stał się zaczepny i niemiły: — Nie zanudzaj mnie więc tymi sprawami. Usługi twoje są znane i uznane. Interesuje mnie teraz tylko jedno: Kiedy wreszcie będę mógł uwolnić się od hańby i przystąpić do świętej wojny?

Jehuda nie przypuszczał, że łaska królewska tak gwałtownie przejdzie znów we wrogość. Z goryczą i troską musiał się zdecydować na odsunięcie rozmowy na temat osiedlenia wygnanych żydów. Ale nie mógł sobie odmówić odparcia niemądrego wyrzutu Alfonsa.

— Czas, w którym będziesz mógł przystąpić do wojny, królu

— powiedział — nie jest zależny jedynie od finansów twego kraju. Te są w porządku. — Potem dodał zaczepnie: — Jeżeli tylko inni książęta hiszpańscy, a zwłaszcza książę Aragonii, zechcą wraz z tobą wystawić przeciw kalifowi jednolicie kierowaną armię, będziesz mógł, królu, dać więcej niż swój udział. Gdyby to nawet miało się stać jutro. Tego możesz być pewny.

Alfonso zmarszczył czoło. Ten żyd zbywa go zawsze zuchwałym, szyderczym słówkiem: jeżeli. Zaczął chodzić po pokoju. Po chwili zapytał nagle, jakby od niechcenia:

— Powiedz mi, jak właściwie wygląda sprawa z pałacykiem La Galiana? Przebudowa powinna by chyba być wkrótce skończona.

— Jest skończona — odparł z dumą Jehuda. — Mój Ibn Omar zrobił ze starej budowli coś zdumiewającego. Jeżeli chcesz, królu, możesz tam zamieszkać za dziesięć dni, najdalej za trzy tygodnie.

— Może zechcę — odparł od niechcenia Alfonso. — W każdym razie chciałbym zobaczyć, coście zrobili. Zaprowadzisz mnie i udzielisz wyjaśnień. Przyrowadź znowu donię Rachelę — zakończył z wymuszoną beztroską.

Jehudę zdjął straszliwy lęk. Znowu opadła go troska, jak wtedy, po niezwykle zaprosinach don Alfonsa.

— Jak każesz, królu — powiedział.

O ustalonej godzinie Jehuda i Rachelę oczekiwali króla przed bramą Huerta del Rey. Don Alfonso przybył punktualnie. Skłonił się głęboko Racheli z zachowaniem należnych form, powitał serdecznie swego escrivano.

— Pokaż mi więc, coście zrobili — powiedział ze sztucznym nieco ożywieniem.

Przeszli wolnym krokiem przez park. Nie było tu już grządek z jarzynami; zastąpiły je utrzymane we wzorowym porządku barwne rośliny, drzewa i kwitnące krzewy.

Mały lasek pozostał

w tym samym stanie, co przedtem. Natomiast z cichego stawu zrobiono wąski

strumień, spływający do rzeki Tag; wznosiły się nad nim liczne mostki. Dookoła stały pomarańczowe krzewy oraz drzewa, z których zwisały pięknie wyhodowane, olbrzymie cytryny, nie znane dotychczas w chrześcijańskich krajach. Jehuda pokazywał królowi te owoce nie bez dumy. Muzułmanie nazywali je „owocami Adama”, dla skosztowania bowiem tego owocu Adam przekroczył zakaz Pana.

Udali się teraz do zamku szeroką drogą, wysypaną żwirem.

I tutaj witał ich nad bramą napis, sporządzony arabskimi literami: Alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo. Obejrzeni wewnątrz. Wzdłuż ścian stały kanapy, z niewielkich galeryjek zwisały gobeliny, piękne dywany pokrywały posadzki, bieżąca woda ochładzała wszędzie powietrze. Mozaiki na fryzach i sufitach nie były jeszcze wykończone.

— Nie mieliśmy odwagi — powiedział Jehuda — wybrać wierszy i sentencji bez twoich wskazań. Oczekujemy twoich rozkazów, królu.

Choć wszystko to zrobiło na królu wrażenie, mówił niewiele. Na ogół mało się troszczył o wygląd zamków czy domów. Tym razem miał spojrzenie bardziej świadome i wyostrome. Żydówka miała rację: zamek w Burgos był piekielnie ponury, nowa La Galiana była piękna i wygodna. Mimo to zamek w Burgos odpowiadał mu bardziej; czuł się w tym zniewieściałym przepychu niedobrze. Wypowiadał uprzejme, wymuszone zdania, myśli jego wędrowały, stawał się coraz bardziej oszczędny w słowach. Doña Rachela mówiła również niewiele, stopniowo stał się milczący i don Jehuda.

Patio było bardziej ogrodem niż dziedzińcem. I tu znajdował się wielki basen z fontanną. Dookoła biegły arkady, matowe lustra sprawiały, że ogród zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Król podziwiał z niechętnym uznaniem osiągnięcia tylu ludzi w tak krótkim czasie.

— Nigdy nie byłaś tutaj, pani — zwrócił się nagle do Racheli

— podczas odbudowy?

— Nie, panie — odpowiedziała dziewczyna.

— Nie było to zbyt uprzejmie z twojej strony — odrzekł — przecież prosiłem cię o radę.

— Ojciec mój i Ibn Omar — odrzekła Rachela — znają się na sztuce budowania i urządzania wewnątrz o wiele lepiej ode mnie.

— Czy La Galiana w obecnym stanie podoba ci się? — zapytał don Alfonso.

— Zbudowali ci wspaniały zamek — odpowiedziała Rachela z szczerym zachwytem.

— Wygląda jak zaczarowany pałac z naszych bajek.

Z n a s z y c h bajek, powiada, pomyślał sobie król. Zawsze jest obca, zawsze daje mi do zrozumienia, że jestem dla niej obcy.

— Czy wszystko wygląda tak, jak sobie wyobrażałaś? — zapytał. — Będziesz chyba miała to i owo do zarzucenia. Nie chcesz mi dać żadnej rady, nawet najmniejszej?

Rachela spojrzała na niecierpliwego Alfonsa z lekkim zdumieniem, ale bez zakłopotania.

— Skoro rozkazujesz, królu — odpowiedziała — powiem. Nie podobają mi się w tych krużgankach lustra. Jest mi niemiło oglądać ciągle mój obraz, oglądanie ciebie, ojca, drzew i fontann w rzeczywistości i w lustrze ma dla mnie coś odrobinę niesamowitego.

— Zabierzmy więc lustra — zdecydował król. Nastąpiło trochę nieprzyjemne milczenie.

Siedzieli na kamiennej ławce. Don Alfonso nie patrzył na Rachelę, ale widział ją w lustrach, ustawionych wzdłuż arkad. Spoglądał badawczo. Widział ją właściwie po raz pierwszy. Była krnąbrna i myśląca, świadoma i naiwna, o wiele młodsza od niego i zarazem o wiele starsza. Gdyby go zapytano dwa tygodnie temu, czy przez cały czas, spędzony w Burgos, myślał o niej, zaprzeczyłby z czystym sumieniem. Byłoby to kłamstwem, gdyż wewnątrz nie oswoił się od niej.

Wzrok jego badał ją w lustrze w dalszym ciągu. Jej chuda twarz o wielkich, szaroniebieskich oczach pod koroną ciemnych włosów miała wygląd dziecinny, ale nie ulegało wątpliwości, że za niezbyt wysokim czołem kryje się coś niepokojącego.

To niedobrze, że nawet w Burgos dusza jego nie pozostała całkowicie od niej swobodna. „Alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo”, oto słowa powitania, widniejące nad bramą jego nowego zamku, ale niedobrze się stało, że kazał go odnowić. Słusznie karmił go don Martin; muzułmański przepych nie nadawał się dla chrześcijańskiego rycerza, zwłaszcza w okresie wyprawy krzyżowej.

Don Martin powiedział mu kiedyś, że to wielki grzech spać z kobietą z taboru wojennego; mniej grzeszne było spanie z porwaną gwałtem muzułmanką, jeszcze mniej grzeszne spanie z damą szlacheckiego rodu. Spanie z żydówką byłoby niewątpliwie grzechem najcięższym.

Aby przełamać niedobre milczenie, doña Rachel, usiłując pozostać ożywioną, powiedziała:

— Jestem ciekawa, królu, jakie wiersze przeznaczysz na fryzy. Dopiero one nadadzą domowi twemu właściwy charakter. Czy rozkażesz, żeby były wypisane pismem łacińskim, czy też arabskim?

Don Alfonso pomyślał sobie: Jaka jest zuchwała i zarozumiała, jak się pyszni swą mądrością i smakiem. Ale wezmę nad nią górę. Niech sobie don Martin gada, co chce, wyruszę na świętą wojnę i grzechy moje zostaną mi przebaczone.

Powiedział:

— Zdaje mi się, że nie wybiorę żadnych wierszy, pani, i nie zadecyduję, czy litery mają być łacińskie, arabskie czy hebrajskie. — Zwrócił się do Jehudy: — Pozwól, żebym był z tobą, mój escrivano, tak szczerzy, jak szczerą była ze mną w Burgos doña Rachel. To, coście tu zrobili, jest bardzo piękne i z pewnością spotka się z pochwałami artystów i znawców. Ale mnie się to nie podoba. Nie ma to być, broń Boże, jakiś zarzut. Przeciwnie, jestem pełen podziwu, jakście dobrze i prędko wszystko zrobili. Jeżeli mi powiesz: dałeś mi zlecenie, które jedynie posłusznie wypełniłem, będziesz miał rację. Powiem ci, jak sprawa wygląda: wtedy, kiedy ci dawałem zlecenie, chciałem dokładnie tego, co zostało zrobione. Ale w międzyczasie byłem w Burgos, w moim starym surowym zamku, w którym nasza doña Rachel czuje się tak nieswojo. Teraz ja czuję się nieswojo tutaj i wydaje mi się, że również po usunięciu luster i umieszczeniu na ścianach najpiękniejszych wierszy nie będę się czuł inaczej.

— Przykro mi bardzo, królu — odpowiedział don Jehuda ze sztucznym spokojem. — Budowla ta pochłonęła wiele trudu i pieniędzy; jestem zmartwiony, że bezmyślne słowo mojej córki skłoniło cię do wzniesienia domu, który ci się nie podoba.

Król pomyślał, że chęć zabronienia mu budowy zamku była ze strony don Martina zuchwalstwem. Niechaj mu również nie zakazuje przespać się z żydówką.

— Prędko się zniechęcasz, don Jehudo Ibn Esra — powiedział. — Trudno mi zaprzeczyć, że dumny z siebie człowiek. Kiedy ci wtedy chciałem ofiarować castillo de Castro jako alboroque, odmówiłeś przyjęcia. A nasza transakcja była wielkim interesem i wymagała wysokiej zapłaty. Masz coś do wyrównania, mój escrivano. Ten zamek — mówiłem już, że to moja wina

— nie nadaje się dla mnie, jest dla żołnierza za wygodny. Ale wam się podoba. Pozwól więc, żebym wam go podarował.

Jehuda zbladł, jeszcze gwałtowniej pobladła doña Rachel.

— Wiem już — ciągnął król — że nie mogłeś sobie wymarzyć piękniejszego domu od tego, który posiadasz. Może jednak ten nadałby się dla twojej córki. Czy La Galiana nie była kiedyś pałacem muzułmańskiej księżniczki? Córka twoja będzie się tutaj dobrze czuła, to dom

dla niej odpowiedni.

Słowa brzmiały uprzejmie, ale twarz miał Alfonso ponurą; czoło jego było poorane zmarszczkami, lśniąco oczy patrzyły na donię Rachelę z wyraźną wrogością.

Oderwał od niej wzrok, podszedł do Jehudy, rzucił mu w twarz półgłosem, ale twardo i bardzo dobitnie, tak że Rachelę musiała usłyszeć:

— Zrozum mnie, chcę, żeby córka twoja zamieszkała tutaj.

Don Jehuda stał przed nim uprzejmy, pokorny, ale nie spuścił oczu, pełnych gniewu, pychy i nienawiści. Alfonso nie posiadał daru czytania w ludzkich duszach. Tym razem jednak, stojąc oko w oko ze swym escrivano, przeczuł, jakie burze w nim szaleją, i na chwilę zrobiło mu się żal, że go sprowokował.

Zapadło głębokie milczenie. Potem Jehuda powiedział z wielkim wysiłkiem:

— Okazałeś mi, królu, wiele łaskowości. Nie grzeb mnie w jej nadmiarze.

— Przebaczyłem ci wtedy — odrzekł don Alfonso — kiedyś odrzucił moje alboroque. Nie wywołuj mego gniewu po raz drugi. Chcę tobie i twojej córce darować ten zamek. Sic volo — powiedział ostro, twardo i dodał po kastylsku: — Chcę tego! — Potem zwrócił się do dziewczyny z wyzywającą uprzejmością: — Nie podziękujesz mi, donio Rachelo?

Rachela odpowiedziała:

— Tu stoi don Jehuda Ibn Esra. Jest twoim wiernym sługą i moim ojcem. Pozwól, że go poproszę, by ci odpowiedział.

Król, wściekły, bezradny, spoglądał to na Jehudę, to na donię Rachelę. Na co sobie tych dwoje pozwala? Czy nie stoi przed nimi jak natrętny żebrak?

Jehuda przerwał milczenie oświadczając:

— Daj nam czas, królu, żebyśmy mogli znaleźć słowa dla godnej odpowiedzi i czołobitnej podziękki.

Drogę powrotną odbywała Rachela w lektyce. Jehuda jechał na koniu obok niej. Czekala, co ojciec o tym wszystkim powie. Słowa jego i decyzje będą obowiązujące i słuszne.

Była poruszona, kiedy wówczas w castillo Ibn Esra król zaprosił ją w sposób tak niezwykle. To, że nic później nie nastąpiło, przywróciło jej spokój; była również oczywiście nieco rozczarowana. Nowe zaprosiny don Alfonsa napełniły ją nowym oczekiwaniem, nową troską, której nie mogła nazwać niemiłą. To, co się jednak teraz rozegrało, jego czelne, nieposkromione, władcze żądanie, odczuła jako cios. Nie było już tutaj śladu kurtuazji. Ten człowiek chce ją objąć, całować swymi zuchwałymi wargami, spać z nią. Nie prosił, domagał się: sic volo!

W Sewilli muzułmańscy rycerze i poeci prowadzili nieraz z Rachelą dworne rozmowy. Kiedy jednak słowa zaczynały być ryzykowne, Rachelę ogarniał lęk i zamykała się w sobie. Również kiedy damy gawędziły ze sobą o miłosnych rozkoszach, słuchała z zakłopotaniem i niechętnie. Nawet ze swą przyjaciółką Laylą mówiła o takich sprawach niewiele. Inaczej to wyglądało, kiedy wiersze poetów mówiły o tym, jak kobiety i mężczyźni na skutek namiętnej miłości tracili rozum, kiedy opowiadali o tym z zamkniętymi oczyma i zachwytem opowiadacze bajek. Rachela widziała oczyma wyobraźni płomienne obrazy, powodujące zawroty głowy.

Rycerze chrześcijańscy również mówili wiele o miłości, o „uwielbieniu”. Ale były to puste, przesadne słowa, dyktowane przez kurtuazję; ich wiersze miłosne miały w sobie coś sztywnego, zakrzepłego, nierzeczywistego. Czasami wyobrażała sobie jednak, jak by to było, gdyby jeden z tych rycerzy, zakuty w stal, przybranych w ciężki brokat, zrzucił szatę i objął ją. Pod wpływem takich wizyj ciężko jej było oddychać, ale już po chwili wszystko wydawało jej się śmieszne i w tej śmieszności rozplątywało się to, co wywoływało zamęt i łaskotało.

Teraz wypłynął na powierzchnię ten król. Widziała jego wygolone dokoła wargi w

gąszczy rudawej brody, jego jasne, nieposkromione oczy. Słyszała, jak powiedział, półgłosem wprawdzie, ale tak, że zdrząły od tego uszy i serce: Chcę tego! Nie była tchórzliwa, ale głos jego napełnił ją strachem. Nie tylko strachem. Jego głos przeszywał ją na wskroś. Rozkazywał, był to właściwy mu rodzaju kurtuazji, może nie delikatny i dostojny, ale bardzo męski i z pewnością daleki od śmieszności.

Teraz rozkazał jej: Kochaj mnie, i była wstrząśnięta do głębi serca. Była trzecim bratem, stojącym przed pieczarą i nie wiedzącym, czy z jasnego, bezpiecznego dnia ma zejść w złote, matowe ciemności. W pieczarze przebywał król dobrych duchów, ale była tam i śmierć, niszczycielka wszystkiego; kogo znajdzie tam trzeci brat?

Ojciec jechał obok na koniu ze spokojnym wyrazem twarzy. Jak to dobrze, że ma ojca. Słowa króla sprawiają, że obecnie będzie musiała po raz drugi gruntownie zmienić swe życie. Rozstrzygał o tym ojciec. Jego bliskość fizyczna i przyjazne, baczne spojrzenia dodawały jej pewności siebie.

Mimo spokojnego na pozór wyglądu był don Jehuda kłębkim sprzecznych myśli i doznań.

Miał oddać swoją Rachelę, swoją córkę Rachelę, delikatną jak kwiat, mądrą, na pastwę tego człowieka!

Don Jehuda wyrósł w kraju, w którym zwyczaj i prawo pozwalały mężczyźnie mieć większą ilość żon. Nałożnica korzystała z licznych praw i przywilejów, nałożnica wielkiego pana zażywała nawet szacunku. Nikomu jednak nie przyszłoby na myśl, żeby człowiek o randze i znaczeniu kupca Ibrahima mógł komuś dać swoją córkę za nałożnicę, nawet gdyby tym kimś był emir.

Sam don Jehuda nigdy nie kochał żadnej kobiety oprócz matki Racheli, która zginęła w nieszczęśliwym wypadku wkrótce po urodzeniu chłopca Alazara. Ale Jehuda był człowiekiem pożądanym, miewał za jej życia inne kobiety, po jej śmierci liczba tych kobiet była niemała; Rachelę i Alazara trzymał od tych kobiet z daleka.

Zabawiał się z tancerkami z Kairu i z Bagdadu, z prostytutkami z Kadyksu, głośnymi ze swoich metod i sztuczek miłosnych. Często odczuwał po tym wstręt, zawsze kąpał się w bieżącej wodzie, zanim znowu stanął przed czystym obliczem swej córki. Nie może dopuścić do tego, by brutalny, rudowłosy barbarzyńca spał z jego Rachelą.

Ibn Esrowie szczylicili się tym, że zrobili dla dobra swego narodu więcej niż którykolwiek ród żydów sefardyjskich; kiedy chodziło o dobro Izraela, ci wyniosli panowie potrafili nawet narażać się na upokorzenia. Co innego jednak poniżać siebie samego, co innego zaś córkę.

Jehuda wiedział, że ten Alfonso nie znosi oporu. Miał do wyboru albo wydać córkę na jego pastwę, albo uciec. Uciec bardzo daleko, ze wszystkich chrześcijańskich krajów, namiętność bowiem Alfonsa dosięgnęłaby wszędzie jego i jego dziecko. Musi szukać schronienia w dalekim, wschodnim kraju muzułmańskim, gdzie pod opieką Saladyńca żydzi żyli jeszcze bezpiecznie. Musi zabrać swe dzieci i uciekać, goły i bosi, okryty jedynie długami, to bowiem, co posiadał, mieściło się w krajach rządzonych przez don Alfonsa. Nędzny, gnany z miejsca na miejsce, podobnie jak rabbi Tobia, przybędzie do Kasr-esz-Szama, do bogatych i potężnych żydów Kairu.

Czy jednak wolno mu to uczynić, nawet jeżeli wyrwie z serca pychę i weźmie na siebie brzemię klęski, nędzy i wygnania? Jeżeli uratuje od hańby swe dziecko, gniew Alfonsa zwróci się przeciw wszystkim żydom. Żydzi Toleda nie będą mogli pomóc ani swym braciom we Francji, ani sobie samym. Alfonso przekaze dziesięcinę saladyńską arcybiskupowi i pozbawi aliamę jej praw. Będą mówili: „Ten meszummad Jehuda zniszczył nas. Jeden Ibn Esra uratował nas, drugi doprowadził do ruiny”.

Co ma uczynić?

Rachela czekała. Czuł, jak czeka w swej lektyce. Wypowiadał w swym sercu słowa modlitwy: „Allachu, w nieszczęściu i rozpaczyszukam twojej pomocy. Uratuj mnie od mojej słabości i niezdecydowania. Pomóż mi w moim tchórzostwie, w mojej nikczemności. Pomóż mi w moim położeniu”.

Po chwili powiedział:

— Córko moja, nałożona na nas została trudna decyzja. Zanim z tobą pomówię, muszę naradzić się z samym sobą.

Rachela odparła:

— Jak rozkażesz, mój ojciec. — Sobie samej zaś powiedziała: Dobrze będzie, jeżeli zdecydujesz odejść, dobrze również, jeżeli postanowisz pozostać.

Wczesną nocą siedział Jehuda sam w swej bibliotece w łagodnym świetle lampy, zagłębiając się w Piśmie Świętym.

Czytał historię o ofiarowaniu Izaaka. Bóg zawołał: „Abrahamie!” Abraham odpowiedział: „Owom ja”, i zaczął się przygotowywać do zarżnięcia na ofiarę swego jedyne syna.

Jehuda myślał o tym, jak syn jego Alazar stawał mu się coraz bardziej obcy. Pociągał go rycerski tryb życia w królewskim zamku, odwrócił się od żydowskiej i arabskiej mądrości i obyczajów. Inni paziowie dawali odczuć żydowskiemu chłopcu, że jest intruzem, ale wydawało się, że jego chęć zrównania się z nimi rośnie jeszcze wskutek ich oporu; poza tym czuł oparcie w wyrażnie okazywanej mu królewskiej łasce.

Wystarczy, że ten Alfonso zabrał mu syna. Niechaj mu nie odbiera również i córki. Jehuda nie mógł sobie wyobrazić swego domu bez obecności rozsądnej, pogodnej Racheli.

Otworzył inną księgę Pisma, zaczął czytać o Jefcie, który był synem nałożnicy i zbójcem, którego jednak synowie Izraela w nieszczęściu, jakie na nich spadło, zrobili najwyższym sędzią. Zanim ruszył przeciw wrogom, synom Ammon, uczynił ślubowanie i powiedział: „Jeżeli dasz syny Ammon w ręce moje: Ktokolwiek pierwszy wynijdzie ze drzwi domu mego, a zabieży mi wracającemu się w pokoju od synów Ammon, tego ofiaruję całopalenie Panu”. A gdy zwyciężył synów Ammon i wrócił do domu swego, „wybiegła przeciw jemu jedyna córka jego z bębnami i z tańcy; bo nie miał innych dzieci. Którą ujrzawszy, rozdarł szaty swe i rzekł: Ach, córko moja, oszukałaś mnie i samaś oszukana jest; bom otworzył usta moje do Pana, a inaczej uczynić nie będę mógł”.

Jehuda zobaczył przed sobą wychudzoną, ponurą, zgaszoną twarz rabiego Tobii, usłyszał go opowiadającego słabym, ale przekonującym głosem, jak to w gminach żydowskich we Francji w imię dostojnego imienia ojciec poświęcał w ofierze syna, narzeczony narzeczoną.

To, czego od niego wymagano, wyglądało zupełnie inaczej. Było rzeczą i łatwiejszą, i trudniejszą wydać córkę na pastwę żądzy tego chrześcijańskiego króla.

Następnego dnia don Jehuda poszedł do swego przyjaciela Muzy i powiedział mu bez ogródek:

— Ten chrześcijański król chce mieć moją córkę, żeby z nią spać. Chciałby jej darować zamek La Galiana, który sobie kazał przeze mnie zbudować. Muszę albo uciekać, albo wydać mu ją. Jeżeli ucieknę, będzie prześladować wszystkich żydów pozostających w jego mocy i liczni żydzi prześladowani w krajach króla Francji pozbawieni zostaną schronienia.

Muza spojrział na twarz tamtego i zobaczył na niej rozpacz, Jehuda zdjął bowiem przed przyjacielem swą maskę. Powiedział sobie: Ma rację. Jeżeli się nie podporządkuje, nie tylko on będzie zagrożony wraz ze swym dzieckiem, ale i ja, zagrożeni również będą żydzi Toledo i ten nabożny, przygłupi rabbi Tobia, i wszyscy ci, których broni, a jest ich bardzo wielu. Kiedy Jehudy nie

będzie wśród królewskich doradców, może również wybuchnąć przedwcześnie wielka

wojna.

Muza powiedział więc sobie: Kocha swoją córkę, nie chciałby udzielić jej rady, która nie wyszłaby jej na dobre, a przede wszystkim nie chciałby jej przymuszać. Ale chce, by pozostała i była temu człowiekowi powolna. Udaje przed sobą samym, że stoi przed trudnym wyborem, ale w gruncie rzeczy dawno się zdecydował, chce pozostać, nie chce biedy i nędzy. Gdyby nie chciał pozostać, powiedziałby od razu: musimy uciekać. I ja chciałbym pozostać, nie wracać po raz drugi do biedy i wygnania.

Muza podzielał poglądy muzułmanów na miłość i rozkosz. Przesubtelnione, preintelektualizowane pieśni chrześcijańskich rycerzy i śpiewaków wydawały mu się wytworem fantazji, obłudą, uważał miłość poetów arabskich za coś uchwytnego, istotnego. Również i ich młodzieńcy umierali z miłości, i ich dziewczęta ginęły z tęsknoty za ukochanym, ale nie było nieszczęściem, jeżeli mężczyzna spał również z inną kobietą. Miłość była sprawą zmysłów, a nie ducha. Wielkie były rozkosze miłości, ale płytkie, nie do porównania z jasną błogością badań i świadomości.

W głębi ducha przyjaciel jego Jehuda wiedział chyba również, że ofiara, której od Racheli wymagano, nie była taka olbrzymia. Ale jeżeli Muza nie udzieli mu mądrej rady, będzie przed sobą samym i przed innymi puszyć się swą duszą i swym posłannictwem i wreszcie zrobi fałszywy krok i dla „zbawienia” córki opuści Toledo. Prawdopodobnie nie byłoby to dla niej zbawieniem. Cóż ją bowiem czeka, jeżeli się nie stanie nałożnicą królewską? W najlepszym razie Jehuda wyda ją za syna jakiegoś poborcy podatków albo bogacza. Czy nie lepiej, żeby miała mocne radości i cierpienia, żeby ją spotkał wielki los zamiast przeciętnego, bezbarwnego? Ze ściany przestrzegało arabskie powiedzenie: „Nie szukaj przygody, ale nie unikaj jej też”. Rachela była dzieckiem swego ojca; mając do wyboru między losem solidnym, bezbarwnym i nieznanym a pociągającym, błyskotliwym, wybrałaby pociągający.

Muza powiedział:

— Zapytaj ją, Jehudo. Zapytaj swoje dziecko.

Jehuda odpowiedział z niedowierzaniem:

— Mam podsunąć dziewczynie decyzję? Jest mądra, ale co ona wie o świecie? Jakże może rozstrzygać o losie licznych tysięcy?

Muza odparł jasno i rzeczowo:

— Zapytaj jej, czy czuje do tego człowieka wstręt. Jeżeli nie czuje, pozostań. Sam powiedziałeś, że jeżeli z nią uciekniesz, nieszczęście spadnie na bardzo wielu.

Jehuda odparł gniewnie i ponuro:

— Mam opłacić spokój i dosyt tych wielu nierządem mej córki?

Muza powiedział do siebie: Oto stoi szczerze oburzony i chce, żebym mu to oburzenie wyperswadował i obalił jego moralność. W głębi duszy jest zdecydowany na pozostanie. Musi to zrobić, coś go pcha, beczynność nie wychodzi mu na dobre. A poruszać się tak, jak chce, może tylko wtedy, kiedy ma władzę. Władzę zaś będzie miał tylko wtedy, kiedy pozostanie. Może nawet, ale do tego się nie przyznaje, uważa za szczęście, że ten król pożąda jego dziecka, i śni już o tym, że pożądlivość tego człowieka przyniesie błogosławione skutki Kastylii i jej żydom, rozszerzy zakres jego władzy. Muza przyglądał się przyjacielowi z gorzką ironią.

— Dlaczego tak szalejesz — odpowiedział — dlaczego mówisz o nierządzie? Gdyby król chciał zrobić z naszej Racheli nierządnicę, spotykałby się z nią potajemnie. Tymczasem ten chrześcijański władca chce teraz, w czasie trwania świętej wojny, osiedlić ją w La Galianie.

Słowa przyjaciela poruszyły Jehudę. Kiedy stał oko w oko z królem, odczuwał nienawiść i gniew w obliczu gwałtowności i brutalności tego człowieka, ale też wrogi szacunek dla jego pychy i niezwykle mocnej woli. Muza miał rację: taka przerażająco mocna wola była czymś



więcej niż namiętą żądzą.

— Trzymanie nałożnic nie jest w tym kraju zwyczajem — powiedział Jehuda bez przekonania.

— W takim razie król wprowadzi ten zwyczaj — odparł Muza.

— Nie chcę, żeby córka moja była czyjąkolwiek nałożnicą, nawet królewską — rzekł Jehuda.

Muza odparł:

— Nałożnice praocjów stały się matkami waszych rodów. Jakże to jest z Hagar, nałożnicą Abrahama? Urodziła syna, który się stał praocjem najpotężniejszego narodu świata. Nazywał się Ismael. — Ponieważ Jehuda milczał, powtórzył raz jeszcze: — Spytaj swego dziecka, czy ten człowiek budzi w nim obrzydzenie.

Jehuda podziękował przyjacielowi i opuścił go.

Przyszedłszy do domu, wezwał swą córkę i powiedział:

Zbadaj swe serce, moje dziecko, i mów ze mną otwarcie. Czy czułabyś wstręt do tego króla, gdyby przyszedł do ciebie do La Galiany? Jeżeli powiesz: „czuję do tego człowieka wstręt”, wezmę cię za rękę, wezwę twego brata Alazara, puścimy się w drogę przez północne wzgórza do kraju hrabiego de Toulouse, a stamtąd przez liczne kraje do państwa sułtana Saladyna. Niechaj sobie wtedy ten człowiek tutaj szaleje, niechaj nieszczęście spadnie na głowy tysięcy.

Rachela czuła w sobie dumną pokorę i nieposkromioną ciekawość. Była szczęśliwa, że została wybrana, jak jej ojciec, że jest narzędziem Allacha. Oczekiwanie stawało się dla niej udręką \_nie do zniesienia.

Powiedziała:

— Nde czuję do tego króla wstrętu, mój ojcze.

Jehuda wystąpił z przestroją:

— Namysł się dobrze, moja córko. Może w związku z twoimi słowami spadnie na twą głowę wiele smutku.

— Nie, mój ojcze, nie czuję wstrętu do tego króla.

Powiedziawszy to zemdląca.

Jehuda przeraził się. Zaczął szeptać jej do ucha strofy Koranu, wezwał piastunkę Saad i służebną Fatimę, kazał im zanieść ją do łóżka, zawołał Muzę, który przecież był lekarzem.

Kiedy Muza się zjawił, leżała pogrążona w spokojnym, głębokim, wyraźnie zdrowym śnie.

Kiedy już decyzja zapadła, Jehudę opuściły wątpliwości. Odczuwał pewność, że teraz będzie mógł przeprowadzić wszystkie swoje plany. Twarz jego promieniała tak radosnym ożywieniem, że rabbi Tobia spoglądał na niego z wyrzutem i troską. Jak syn Izraela mógł być w tych czasach cierpień tak radosny! Ale Jehuda powiedział mu:

— Hartuj swe serce, nauczycielu mój i panie, już wkrótce obwieszczę ci dobrą nowinę o naszych braciach.

Doña Rachela chodziła z twarzą raz promienną, to znowu zamyśloną i zamkniętą w sobie, wciąż pełna oczekiwania. Piastunka Saad nalegała, by jej powiedziała, co się dzieje, ale nie mówiła ani słowa i stara czuła się dotknięta.

Rachela sypiała w owym okresie dobrze, trudno jej tylko było zasnąć. W oczekiwaniu snu brzmiały jej z pewnością w uszach słowa przyjaciółki Layli: „Biedactwo ty moje”, oraz słowa Alfonsa, wypowiedziane w tonie rozkazu: „Chcę tego”. Ale Layla była głupią dziewczyną, don Alfonso zaś zażywającym sławy księciem i panem.

Trzeciego dnia don Jehuda powiedział:

- Zamelduję teraz królowi, córko moja, naszą odpowiedź.
- Czy wolno mi wypowiedzieć przed tobą, ojczu, jedno życzenie? — zapytała

Rachela.

- Wypowiedz je — odparł Jehuda.

— Życzę więc sobie — powiedziała — żeby przed moim udaniem się do La Galiany umieszczone zostały na ścianach napisy wzywające mnie do właściwego zachowywania się we właściwym czasie. Proszę cię, mój ojczu, wybierz ich treść.

Życzenie Racheli poruszyło Jehudę.

- Musiałby minąć miesiąc — powiedział — nim napisy na fryzach byłyby gotowe.

Doña Rachela odpowiedziała z uśmiechem na pół smętnym, na pół radosnym:

— Właśnie to miałam na myśli, mój ojczu. Pozwól mi, proszę, pozostać przez ten czas przy tobie.

Don Jehuda wziął ją w ramiona, przycisnął jej twarz do swojej piersi. Spoglądając na nią stwierdził, o dziwo, że była pełna tego samego rozpaczliwego i błędnego napięcia, co i on.

Uroczysty orszak, prowadzony przez Ibn Omara, przyjaciela don Jehudy, opuścił castillo Ibn Esra. Ludzie i muły dźwigali cudownie wykonane miecze i sztylety, najszlachetniejsze korzenie.

Orszakowi towarzyszyły również dwa pełnokrwiste rumaki. Niesiono ponadto trzy dzbany napełnione złotymi monetami.

Orszak przeszedł przez rynek i skierował się ku królewskiemu zamkowi. Gapiący się ludzie zorientowali się, że mają przed sobą karawanę wiozącą dary.

W zamku pełniący służbę dworzanin zameldował królowi:

- Karawana z darami przybyła.

Zdumiony Alfonso zapytał:

- Jaka karawana?

Patrzył z miną niemal ogłupiałą ze zdziwienia, jak wnoszono do zamku skarby. Dary Ibn Esry były niewątpliwie odpowiedzią na jego żądanie. Żyd, jak to chętnie czynili niewierni, dawał ją w formie namacalnej. Ale pozostawał, jak się to często zdarzało, nieodgadniony, forma była zbyt subtelna, don Alfonso nie rozumiał jej. Kazał wezwać Ibn Esrę.

— Po co przysyłasz mi te pozłacane graty — ofuknął go. — Chcesz mnie przekupić dla swoich obrzezańców? Chcesz się wykupić od świętej wojny? Uważasz, że byłbym zdolny do podstępnej zdrady? Cóż za piekielne zuchwalstwo!

— Wybacz swemu słudze, don Alfonso — odpowiedział ze spokojem Jehuda — jeżeli nie rozumie twego gniewu. Chciałeś uczynić mnie, niegodnemu, i mojej córce przebogaty podarek. Jest u nas w zwyczaju odpowiadać na dar darem. Staralem się wybrać, to co najpiękniejsze, by zasłużyć w twoich oczach na łaskę.

Alfonso odpowiedział niecierpliwie:

— Dlaczego, człowieku, wyrażasz się tak mgliście i sztucznie? Powiedz tak, żeby zrozumiał chrześcijanin i rycerz: czy córka twoja przybędzie do La Galiany?

Stał zupełnie blisko żyda, rzucił mu te słowa prosto w twarz: Jehudę dławiliło poczucie hańby. Jeszcze mam w prostych słowach wyrazić swą zgodę na to, by dziecko moje dzieliło z tym człowiekiem łożo, podczas gdy jego nieosiągalna królowa przebywać będzie w swym zimnym Burgos. Ja, Jehuda Ibn Esra, mam wypowiedzieć własnymi wargami plugawe, poniżające słowa. Ale ten nieposkromiony człowiek będzie musiał dobrze mi za to zapłacić! Niech płaci wbrew swej woli dobrymi uczynkami!

Alfonso myślał sobie: płonę, ginę.' Kiedy ten pies zacznie wreszcie mówić? Jak on na mnie patrzy! Pod wpływem tego spojrzenia strach mógłby człowieka oblecieć!



## CZĘŚĆ DRUGA

*I zamknął się wraz z żydówką ową  
na siedem lat niemal, o sobie samym nie myślący  
ni o bogactwach swoich, próżen wszelkiej troski.*

ALFONSO EL SABIO, CRONICA GENERAL OKOŁO 1270

*Przez lat siedem król przebywał  
Wraz z żydówką swą zamkniony,  
Nie zaznawszy z nią rozłąki.  
I tak król ją umiłował,  
Że o państwie nie pamiętał,  
Jako też o sobie samym.*

Z ROMANCY SEPULVEDY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Alfonso otworzył oczy i natychmiast oprzytomniał. Nigdzie i nigdy nie musiał wracać do rzeczywistości od snu i marzenia. I teraz oswoił się od razu z komnatą arabską, do której nie był przyzwyczajony, z przyćmionym światłem porannym, wdzierającym się przez ciemną kotarę, zawieszoną nad małym oknem.

Leżał na obszernym łożu nagi, szczupły, jasnorudy, rozleniwiony i zaspokojony.

Spał sam. Rachelę odesłała go po kilku godzinach, tak samo jak podczas trzech nocy poprzednich.

Chciała budzić się sama. Wieczorem i rano, zanim się pokazała, zwykła była czynić przygotowania, kąpała się w wodzie różanej, przystrajała się pieczołowicie.

Wstał, przeciągnął się, zaczął chodzić nago po niewielkiej komnacie, wyłożonej dywanikami. Nucił pod nosem, a ponieważ wszystko dokoła było takie ciche i przytłumione, śpiewał coraz głośniej i głośniej pieśń rycerską, wyrzucał ją z pełnej zadowolonej piersi.

Od czasu przebywania w La Galianie nie widział prócz ogrodnika Belarda żadnej chrześcijańskiej duszy. Odprawił nawet przyjaciela swego Garcerana, który zjawiał się codziennie rano, by zapytać o jego życzenia i rozkazy. Dawniej każda godzina wypełniona była ludźmi i działalnością, ożywieniem i rozmowami. Teraz nie robił po raz pierwszy nic i był sam. Zapadły się Toledo, Bur-gos, święta wojna, cała Hiszpania. Nie było nic, tylko on i Rachelę.

Zdumiony rozkoszował się zupełnie nową sytuacją.

To, co tutaj przeżywał, było życiem, wszystko dotychczasowe półsnem.

Przestał śpiewać, przeciągnął się, ziewnął potężnie, roześmiał się bez powodu.

Potem znów był razem z Rachelą. Zjedli śniadanie, on rosół z kury z pasztecikiem, ona jajko, trochę słodczy i owoców; pił

mocne wino korzenne, rozcieńczone wodą, Rachelę zadowalała się mocno słodzonym sokiem z cytryny. Patrzył na nią z dumą i zadowoleniem. Była przybrana w suknię z lekkiego jedwabiu; miała również na pół odchylony welon, jak przystoi .mężatkom, Zeby się nie wiedzieć jak okrywała i chowała, znał każdy najdrobniejszy szczegół jej ciała.

Gawędzili z ożywieniem. Musiała tłumaczyć i opowiadać. Tak wiele z tego, co jej dotyczyło, było mu obce. Chciał wiedzieć wszystko, rozumiał ją, niezależnie od tego, czy mówiła po arabsku, czy po łacinie, czy po kastylsku. I jemu ciągle przychodziło do głowy coś nowego, co ją z pewnością interesowało, czym się z nią natychmiast musiał dzielić. Każde wypowiedane przez nich słowo było ważne, niezależnie od tego, czy brzmiało tak, jak gdyby nie posiadało znaczenia. Będąc sam na sam ze sobą, przywoływali te słowa, wspominali je i uśmiechali się. Cudowne było, że się wzajemnie tak dobrze rozumieli, choć tak bardzo byli różni. W głębi swych uczuć byli tacy sami. Jakież to nieskończone szczęście, że jedno wiedziało dokładnie, co odczuwa drugie.

O błogości, kiedy stapiali się ze sobą! Czuli zbliżanie się tego stopienia, było zupełnie blisko. Przychodziło w mgnieniu oka, tęsknili za tym, starali się odwlekać je, tęsknota bowiem była równie cudowna jak zaspokojenie.

La Galiana miała wielki park. Wśród otaczających ją szczerlnie białych murów zawsze odkrywało się coś nowego; ze wszystkim, z małym laskiem, z pawilonem, ze stawem, z samym domem łączyły się przedziwne historie i wspomnienia.

Były tutaj dwie na pół zrujnowane cysterny; pozostawiono tę prastarą maszynę rabiego Chanana w takim stanie, w jakim się znajdowała. Rachelę opowiadała Alfonsowi o żyoiu i śmieci rabiego. Alfonso słuchał, nie mówił nic, nie wiedząc, co z tym począć.

Oboje mówili chętnie o znanej im przygodzie księżniczki Galiany, której imię nosiła posiadłość. Ojciec, Galafre, król Toledo, zbudował jej ten zamek. Przyciągani wieściami o jej piękności zjawiali się tu liczni starający się o jej rękę. Znalazł się wśród nich Bradamante, król sąsiedniej Guadalajary, odznaczający się olbrzymim wzrostem. Król Galafre przyrzekł mu swoją córkę. Ale również i do króla francuskiego Karola Wielkiego doszła wieść o piękności księżniczki; przybył do Toledo pod przybranym

nazwiskiem Maineta, zaciągnął się pod chorągwie króla Galafre, pokonał jego najpotężniejszego wroga, kalifa Kordoby. Galiana zakochała się w bohaterskim Karolu, wdzięczny król Galaire oddał mu jej rękę. W odpowiedzi na to zawiedziony olbrzym Bradamante napadł na Toledo i wyzwiał Maineta-Karola na pojedynek. Ten przyjął wyzwanie i położył olbrzymia trupem. Wspaniały triumf Karola przysporzył mu licznych wrogów, zaczęli wmawiać w króla Galafre, że Mainet dąży do zawładnięcia jego koroną, i Galafre postanowił kazać go zamordować. Tymczasem księżniczka Galiana ostrzegła swego ukochanego, uciekła z nim do Akwizgranu, przyjęła chrzest i została jego królową.

Rachela była skłonna uwierzyć, że Galiana zakochała się w królu Franków i uciekła z nim. Nie wierzyła jednak, żeby Karol pokonał olbrzymia, oraz to, żeby się stała chrześcijanką. Alfonso powiedział na to:

— Znalazł to w starych księgach don Rodrigue, a człowiek z niego bardzo uczony.

— Zapytam kiedyś wuja Muzę — zdecydowała Rachela.

Alfonso, nieco rozdrażniony, powiedział:

— Pałac Galiany został zniszczony w czasie zdobywania Toledo przez mego pradziadka. Nie odbudowano go, ponieważ Toledo leży bezpośrednio nad granicą. Teraz mocno trzymam w rękach Cala-trawę i Alarcos i Toledo jest bezpieczne. Mogłem więc bez obawy odbudować La Galianę.

Rachela uśmiechnęła się łagodnie. Nie potrzebował jej mówić, jakim był bohaterem, rycerzem i wielkim królem; każdemu było to wiadome.

Alfonso prosił, żeby mu Rachela wytłumaczyła sentencje umieszczone wzdłuż ścian. Większość ich była wypisana starożytnymi kufickimi literami, które Rachela odczytywała bez wysiłku. Opowiedziała mu, jak posiadała sztukę pisania i czytania. Z początku nauczyła się dziewięćdziesięciu wierszy Koranu oraz dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allacha, wypisanych nowym pismem, później zaznajomiła się z pismem Neszi, ostatnio zaś przy pomocy wuja Muzy z hebrajskim. Alfonso przebaczał jej tę obfitość zbędnej wiedzy, ponieważ była Rachelą.

Wśród sentencji na ścianie widniała owa arabska, którą tak lubił wuj Muza: „Piórkowa waga pokoju jest lepsza od ciężkiej wagi zwycięstwa”. Przeczytała mu tę sentencję; dziwaczne słowa spływały poważnie i majestatycznie z jej dziecinnych warg. Widząc, że nie rozumie, przetłumaczyła mu dziwne słowa na łacinę: „Uncja pokoju jest więcej warta niż tona zwycięstwa”.

— To bzdura — oświadczył Alfonso władcym głosem. — To dobre dla chłopów i mieszczuchów, nie dla rycerzy. — Nie chcąc Racheli urazić dodał łagodząco: — W ustach damy może ująć.

— I ja stworzyłem kiedyś przysłowie — opowiadał jej później. — Było to podczas zdobywania Alarcos. Obsadziłem pasmo górskie na południe od Nahr el Abiad, zabezpieczyłem je mocnymi posterunkami, których dowództwo powierzyłem niejakiemu Diego, lennikowi moich baronów de Haro. Człowiek ten dopuścił do tego, że posterunki zostały zniemacka napadnięte; omal nie utraciłem przy tej okazji Alarcos. Ten Diego zasnął sobie po prostu. Kazałem go związać i przytwierdzić do słupa jednego z namiotów. Wtedy to stworzyłem moje przysłowie.

Spróbuję je sobie przypomnieć. „Kto chce mieć głowę wroga i jego tarczę, musi *czuwać*. Śpiący wilk *niczego* nie pochwyci. Śpiący człowiek nie zwycięży”. Kazałem to wypisać ogromnymi literami. Diego musiał odczytać moje słowa pierwszego ranka, drugiego i trzeciego. Dopiero później kazałem wypalić oczy, które niczego nie dojrzały. Potem zdobyłem Alarcos.

Rachela przez cały dzień prawie się nie odzywała.

Upalne godziny spędzała zwykle w zacisznym mroku swojej komnaty; ochładzał ją obłożony filcem rezerwuar, napełniony wodą. Don Alfonso wypoczywał w parku w cieniu drzew; lubił znajdować się w pobliżu ogrodnika Belarda, który nie ustawał w pracy również i podczas upałów albo przynajmniej udawał, że pracuje. Za pierwszym razem chciał się Belardo ulotnić, ale Alfonso przywołał go, lubił bowiem gawędzić z ludźmi nisko urodzonymi. Mówił ich językiem, posługiwał się ich gwarą. Budziło to ich zaufanie, przy całym szacunku mówili mu prawdę. Króla bawiła okrągła, tłusta, chytra twarz Belarda, bawił go również jego prosty, a przy tym chytry sposób bycia. Przywoływał go często skinieniem ręki i gawędził z nim chętnie.

Belardo miał miły głos, Alfonso słuchał chętnie jego śpiewu, zwłaszcza kiedy były to romance. Najbardziej lubił romancę o damie Floryndzie, zwanej również la Cava. Florynda, głosiła romanca, i jej przyjaciółka, w przekonaniu, że nikt dch nie widzi, obnażyły razu pewnego swe kształtne nogi i zaczęły mierzyć ich obwód przy pomocy żółtej jedwabnej wstążki. Florynda miała nogi bielsze i piękniejsze. Ukryty przy oknie za zasłoną przyglądał się zabawie król Rodrigo: serce płonęło mu przy tym tajemniczym ogniem. Przywołał do siebie Floryndę i powiedział: „Floryndo, kwiecie mój, jestem ślepy i chory z miłości. Ulecz mnie, a odpłacę ci mym berłem i moją koroną”. Podobno nie odpowiedziała mu w pierwszej chwili i poczuła się dotknięta. W końcu stało się, jak tego pragnął, i kwiat stracił swą świeżość. Wkrótce król musiał pokutować za występłą żądę, a wraz z nim cała Hiszpania. Kiedy padają pytania, które z tych dwojga było bardziej winne, mężczyźni odpowiadają: Florynda, kobiety: Rodrigo.

Tak śpiewał ogrodnik Belardo. Alfonso słuchał; po chwili zrodziło się w nim podejrzenie, że ten człowiek w zuchwałych zamiarach przypominał mu los owego Rodriga, ostatniego króla Gotów. Ojciec bowiem uwiedzionej Floryndy, hrabia Julian, sprzymierzył się, jak opowiadają inne romance, z Arabami, ściągnął ich do Hiszpanii i wskutek tego grzeszna namiętność króla Rodriga doprowadziła państwo Gotów chrześcijańskich do zagłady. Ale niewinnie głupkowaty, wzruszony wyraz twarzy Belarda świadczył o tym, że nie miał on nic złego na myśli.

Po południu Rachela zwykła była kąpać się w stawie. Często zwracała się do Alfonsa, żeby z nią popływał. Rozbierał się w jej obecności z lękiem, uważał za niestosowne, że Rachela rozbiera się na jego oczach. Opadły go stare przesady. Mahomet przepisał swoim wiernym trzykrotne, nawet pięciokrotne ablucje, również u żydów najbardziej skrupulatna czystość była nakazem, więc Kościół patrzył z niechęcią na tych, którzy się często myli.

Z lekkim radosnym okrzykiem zanurzyła Rachela nogę w wodzie, potem wskoczyła do niej zdecydowanym ruchem i popłynęła. Poszedł w jej ślady — lubił pływać i nurkować.

Siedzieli nadzy na brzegu, suszyli się na słońcu. Było upalnie, powietrze lśniło, od grządek z kwiatami i drzew pomarańczowych płynęła rozkoszna woń, ptaki świergotały. Zapytał nagle:

— Znasz historię Rodriga i Floryndy?

Rachela знаła ją. Oświadczyła z miną mędrca:

— Ale to, by z powodu jej miłości zginęło państwo Gotów, jest bajką. Wuj Muza dokładnie mi to wytłumaczył. Państwo chrześcijańskie positarzało się, goccy królowie i żołnierze ulegli znie-wieśeieniu. I dlatego nasi pokonali ich po krótkiej walce, choć byli w liczebnej mniejszości.

Alfonsa rozgniewało, że powiedziała „nasi”. Ale interpretacja tego podejrzanego Muzy

spodobała mu się.

— W tym wypadku — oświadczył — twój stary wujek Muza ma wyjątkowo rację. Król Rodrigo był kiepskim żołnierzem i dlatego został pobity. Ale tymczasem nauczyliśmy się sztuki wojennej — dodał wyprostowując się — i zniewieściami są teraz twoi muzułmanie ze wszystkimi swoimi dywanami, wierszami i dziewięćdziesięciu dziewięcioma imionami Boga, których cię chcieli nauczyć. Zburzymy ich mury i wieże, zetrzemy na proch ich książąt, zrównamy z ziemią ich miasta i posypimy je solą. Wrzucimy twoich muzułmanów do morza, o pani. Dożyjesz tego. — Wstał, stanął w słońcu nagi, krnąbrny, radosny.

Skuliła się w poczuciu swej obcości. Cudowny był ten jej Al-fonso, kiedy tak stał przed nią mocny, radosny, dumny, męski, bardzo wart tego, żeby go kochała. Był mądrzejszy, niż się wydawało. Był wspaniały, urodzony na pana i władcę Kastylii, a może i całej otoczonej morzami Andaluzji. Ale to, co pod niebem i w niebie najlepsze, było przed nim zamknięte. Nie wiedział o najważniejszym, o duchu. Ona zaś wiedziała, ponieważ miała swego ojca i Mużę i należała do tych, których dziedzictwem była Wielka Księża.

Czuł, co się w niej rozgrywa. Wiedział, że całą duszą kocha go, że kocha w nim jego cnoty i siłę, i przerost tej siły, który był może błędem. To jednak, co było w nim najlepsze, jego rycerskość, mogła co najwyżej kochać, natomiast nie mogła tego rozumieć. Nikt nie był w stanie wytłumaczyć jej, kim był rycerz, a co dopiero król. Psy moje wiedzą to lepiej, myślał brutalnie i żałował w tej chwili, że swoich wielkich psów nie zabrał ze sobą do Galiany. Czuł jednak równocześnie, wiedziony głuchym instynktem, że w duszy tej Racheli istnieją miejsca przed nim zamknięte. Nigdy nie mógł zrozumieć arabskości, żydostwa, mógł je najwyżej zniszczyć. Jeszcze mętniej poczuł na chwilę, że podobnie wyglądała sprawa z całą Hiszpanią. Kraj należał do niego, posiadał go. Bóg dał mu go, był królem, kochał go. Ale w tej Hiszpanii istniały wielkie, ogromne połacie arabskie i żydowskie; były mu podległe, ale zamknięte przed nim. Spojrzał na Rachelę, siedzącą w skulonej pozycji, należąca do niego całkowicie, zdana na jego łaskę i niełaskę, i przypomniał sobie o swych rycerskich obowiązkach wobec bezbronnej damy.

— Nie wrzucę twoich muzułmanów do morza, ani jutro, ani pojutrze — pocieszył ją. — Nie chciałem ci sprawić przykrości.

Już po niewielu dniach mieli wrażenie, że są tu od początku swego istnienia. Mimo to nie odczuwali ani zmęczenia, ani jedno-stajności, dnie i noce były za krótkie, ciągle mieli sobie do powiedzenia coś nowego, ciągle nowe nasuwały im się tematy do rozmowy.

Rachela siedziała w patio u fontanny, której wody unosiły się i opadały, i opowiadała bajki. Tuziny, setki bajek, łączących się ze sobą jak szafiry na ścianach. Opowiadała mu bajkę o zaklinaczu węzów, o wspaniałomyślnym psie, o śmierci kochanków z plemienia Usra i o smutnym bakalarzu. Opowiadała bajkę o jednozębie i dwuzębie, o dostojnym panu, który zaszedł w ciążę. Opowiadała bajkę o ptasim jajku i o pomarańczy, która się otworzyła, kiedy chciał ją zjeść poeta; rozkroił ją i oto okazała się wielkim miastem, w którym przytrafiły mu się najbardziej dziwaczne przygody.

Siedziała na skraju fontanny z głową opartą o rękę i opowiadała; raz po raz zamykała oczy, żeby widzieć to, o czym opowiada. Posługiwała się współczesnym językiem arabskim, mówiła: — Następnego ranka, dobrego ranka, drogi słuchaczu i królu, poszła tedy nasza wdowa do kupca. — Od czasu do czasu przerywała tok opowiadania i pytała: — I cóż, drogi słuchaczu i królu, zrobiłbyś na miejscu lekarza?

Słuchał i dziwił się, że świat jest pełen dziwów, uświadamiał sobie nagle, jak przedziwne są jego własne dzieje, które przyjmował jako coś zrozumiałego samo przez się. To bowiem, co sam przeżył, było nie mniej barwne od jej bajek. Mając lat trzynaście został królem. Grandowie spierali się o prawo opieki nad nim, ciągnęli go za sobą do obozu warownego, od



miasta do miasta. Jako czternastolatek, głosem załamującym się jeszcze w górnych rejestrach, z wieży kościoła San Roman w Toledo wzywał obywateli, żeby stanęli po stronie króla i uratowali go z rąk baronów. W bardzo młodym wieku zaczął starać się o księżniczkę angielską, która była jeszcze dzieckiem. Zanim doszło do małżeństwa, księżniczka musiała uciekać się do wybiegów, ponieważ ojczyzna Alfonsa znajdowała się z jej ojczyzną w stanie wojny. Przez całe swe młode życie wojował. Z niewiernymi, z buntowniczymi grandami, z królami Aragonii, Leonu, Nawarry, Portugalii oraz, przy całej swej pobożności, z Ojcem Świętym. Budował kościoły, klasztory i twierdze, odbudował pyszny zamek La Galiana. A teraz siedzi tutaj, znalazłszy sens życia: tę kobietę i owe bajki, z których jedną było jego życie.

Wymyślała coraz to nowe zabawy. Ukazywała się w szatach chłopięcych, które zwykła była nosić w czasie podróży. Czasami przypasywała sobie miecz i paradowała z nim niezgrabnie, delikatna i piękna. Darowała mu bogato wyszywany szlafrok z ciężkiego jedwabiu oraz przetykane perłami pantofle. Włożył szlafrok niechętnie; kiedy chciała, żeby skrzyżowawszy kolana usiadł na ziemi, odmówił niegrzecznym tonem.

W zamian za przykrość, wyrządzoną przez zlekceważenie, ukazał się jej w zbroi. Był to lekki srebrny rynsztunek, który nosił przy uroczystych okazjach. Była szczerze zachwycona, wyglądał zgrabnie, dzielnie i wytwornie. Opowiedziała mu, jak bardzo drżała o niego wtedy, kiedy walczył z bykiem. Kiedy go poprosiła, by się jej pokazał w rynsztunku, który miewał na sobie w czasie bitwy, zaczął się wykręcać; na jej zapytanie, dotyczące jego sławnej szabli Fulmen Dei, błyskawicy Boga, dał nieokreśloną odpowiedź.

Wychwalała go przed piastunką Saad. Wobec jej milczenia powiedziała gniewnie:

— Nie cierpisz go, nie cierpisz!

— Jakże mogłabym nie cierpieć czegoś, co się podoba mojej owieczce! — zaprzeczyła Saad. Ale potem przyznała się: — Przykro mi, że nie robi cię swoją sułtanką. Nawet na jego sułtankę byłabyś dla niego za dobra.

Piastunka pozostała zatroskana i nieszczęśliwa. Pewnego razu wyciągnęła spod potężnych piersi najlepsze, co miała — srebrny amulet z pięcioma promieniami przypominającymi palce ręki. Była to „ręka Fatimy” — amulet zabroniony, ale bardzo skuteczny. Zaklinała Rachelę, żeby go nosiła; Rachelę, wzruszona, przyjęła go.

Kiedy piastunka Saad potrzebowała czegoś z miasta, musiała zwracać się do Belarda. Porozumiewali się ze sobą z wysiłkiem; opasły niewierny był jej równie wstrętny, jak ona jemu. Oboje odczuwali jednak potrzebę gawędzenia. Siadywali więc ze sobą na ławce w cieniu drzewa — piastunka szczelnie zasłonięta — i wymyślali sobie. Saad, przekonana, że Belardo jej nie rozumie, wypowiadała po arabsku bardzo ujemne opinie o panu naszym, królu; Belardo, posługujący się gminnym narzeczem kastylskim, ganił i oskarżał wstrętną zbrodnię chrześcijańskiego króla, który w okresie świętej wojny spał z żydówką. Nie rozumieli się, ale kiwali porozumiewawczo głowami.

Tymczasem Alfonso kazał sprowadzić swoje psy; były ogromne. Rachelę nie cierpiały ich. Przebywał dużo z nimi, rzucał im podczas jedzenia kawały mięsa. Odpychało to Rachelę, przyzwyczajoną do spokojnego, wytwornego zachowania się przy stole. Widząc jej niezadowolenie przestawał droczyć się z psami i karmić je, ale po chwili znowu zaczynał. Pewnego dnia grali w szachy. Grała dobrze, z zainteresowaniem, zanim zrobiła ruch, długo się namyślała. Niecierpliwiło go to, popędzał ją, żeby się prędzej decydowała. Spojrzała na niego ze zdumieniem, w krajach islamskich tonu tego nie używano. Pośpieszywszy się zbyt, chciał raz cofnąć swój ruch. Była zaskoczona — skoro się raz dotknęło figury, trzeba ją posunąć. Uprzejmie zwróciła mu na ten przepis uwagę. Odpowiedział: — Au nas jest inaczej. — I cofnął swoją figurę. Pozostała do końca partii milcząca, robiła wszystko, żeby się dać pobić.

Łowili ryby, wiosłowali. Jeździli łódką po rzece Tag. Prosiła go, by zwracał uwagę na błędy jej łaciny i języka kastylskiego, próbowała poprawiać jego arabszczyznę. Pojmował w lot, ale nie przywiązywał do tego wagi.

Były w La Galianie klepsydry oraz zegary słoneczne i wodne. Rachela nie spoglądała na nie. Jedynym jej zegarem były kwiaty. Róże z Szirasu otwierały się w południe, tulipany z Kon ja dopiero pod wieczór, jaśmin zaś roztaczał swe wonie tylko o północy.

Pewnego ranka dotarł do Alfonsa Garcera z meldunkiem:

— Ojciec mój jest tutaj.

Na szerokim, jasnym czole don Alfonsa pojawiły się groźne zmarszczki.

— Nie chcę nikogo widzieć — zawołał — nie chcę!

Po chwili milczenia Garcera odpowiedział:

— Ojciec mój, pierwszy minister, każe ci powiedzieć, że ma tyle spraw, ile siwych włosów na głowie.

Alfonso, w pantoflach domowych na nogach, chodził tam i z powrotem. Garcera śledził go wzrokiem, było mu przyjaciele prawie żal. Wreszcie Alfonso powiedział gniewnie:

— Poproś twego ojca o chwilę cierpliwości. Zobaczę się z nim.

Don Manrique nie wypowiedział słowa zarzutu, mówił tak, jak gdyby król wczoraj przestał zajmować się sprawami państwowymi. Mistrz zakonu Calatrava żądał audiencji w pilnej sprawie. Biskup Cuenki był w Toledo i prosił, by wolno mu było przedłożyć królowi sprawę jego miasta. Taką samą prośbę miała delegacja miasta Logroño i Villanueva. Niepokojono się, że król nie pozwala mówić ze sobą. Alfonso odpowiedział gwałtownym tonem:

— Czy muszę tu tkwić i czekać na czyjeś bezwstydne prośby? Nie minęły jeszcze dwa miesiące od przekazania przeze mnie biskupowi Cuenki tysiąca maravedi. Nie chcę widzieć jego pobożnej, chciwej gęby.

Udając, że Alfonso nic nie powiedział, don Manrique ciągnął dalej:

— Villanueva czeka na spełnienie obietnic. Przywileje czekają na twój podpis, sprawa z Lopem de Haro musi być rozstrzygnięta. Mistrz zakonu nie może bez twojej decyzji kontynuować rozbudowy Calatravy. Obywatele twego miasta Cuenca czekają w kazamatach Castrów.

Alfonso odpowiedział ponuro:

— Sam wiesz, don Manrique, że musiałem niemało czekać. Będę jutro w Toledo — zakończył ostro.

Poszedł do Racheli. Brutalnie — ból i gniew czyniły go niezręcznym — zakomunikował jej:

— Muszę udać się jutro do Toledo.

Pobladła śmiertelnie.

— Jutro? — zapytała bezmyślnie.

— Ale pozostanę tam krótko — zapewnił śpiesznie — na trzeci dzień wrócę.

— Na trzeci dzień — powtórzyła jak dziecko, żałośnie, jak gdyby nie rozumiała, o co chodzi. — Nie odjeżdżaj jeszcze — prosiła. — Jeszcze nie — powtórzyła kilkakrotnie.

Wczesnym rankiem odjechał konno, Rachela pozostała sama.

Ranek był nieskończenie długi. Taki sam będzie drugi, trzeci, zanim on nie powróci.

Poszła do ogrodu, nad rzekę Tag, wróciła do domu, wyszła znowu do ogrodu, rzuciła okiem na ponure Toledo. Róża Szirasu była jeszcze ciągle zamknięta i ciągle jeszcze nie nadchodziło południe. Kiedy róża się otworzyła, godziny wlokły się jeszcze wolniej.

Wczesnym popołudniem leżała Rachela w mroku swej komnaty. Było bardzo gorąco. Czy nigdy nie nadejdzie wieczór? Poszła do ogrodu, ale tulipany były jeszcze zamknięte, a cienie

niewiele się wydłużyły. Nareszcie zapadła ciemność, ale to było jeszcze bardziej dręczące.

Po nocy, która zdawała się trwać wiecznie, zaświtał czarnoszary poranek, zaczął przedzierać się przez kotary. Wstała, kazała przyrządzić kąpiel, namaścić się olejkami i ubrać. Marudziła, ociągała się. Przyniesiono śniadanie, ale owoce wydawały się jej za mało soczyste, wyszukane łakocie za mało słodkie. Przymknęła oczy i zobaczyła Alfonsa chciwie jedzącego i pijącego. Zaczęła z nim mówić, posługiwała się wobec urojonej wizji miłosnymi słowami, zachwycała się jego szczupłą, męską twarzą, rudawymi włosami, dużymi, ostrymi zębami. Ręce jej błądziły po jego łędźwiach i biodrach, mówiła bezwstydnymi słowami, których wobec Alfonsa z krwi i ciała nie mogłaby wypowiedzieć, rumieniała się i śmiała.

Opowiadała bajki samej sobie. O olbrzymich potworach, które wszystko dokoła unicestwiały i wysysały szpik z kości wrogów. Wypowiadały zdania, jakie wypowiadał Alfonso, ale Rachela nadawała im przesadzony, niesamowity sens. Alfonso był jednym z dzikusów, nie wiedziała tylko, którym. I on nie był sobą, był przemienionym, zaczarowanym Alfonsem, czekającym na ukochaną, mającą go wyzwolić z postaci, którą musiał przybrać. I ona wyzwoliła go.

Myślała o tym, jak to po raz pierwszy rozmawiała z nim w Bur-gos i powiedziała mu, że się jej jego ponury zamek nie podoba. Myślała o jego sułtance, donii Leonor, jak ją mierzyła łaskawie chłodnym, lekceważącym spojrzeniem. Ogarnęło ją niemiłe uczucie, z którego się otrząsnęła.

Napisała do Alfonsa list; nie po to, żeby go przeczytał: musiała dać wyraz temu, jak bardzo i dlaczego go kochała. Pisała z głębi serca: „Jesteś cudowny, jesteś największym rycerzem i bohaterem Hiszpanii, narażasz życie w obronie błahych spraw, ponieważ tak winien czynić rycerz, jest to bezsensowne i porywające i dlatego cię kocham. Drogi mój, niecierpliwy, wojowniczy, jesteś głośny, burzliwy, nieujarzmiony, jak dziki ptak, chciałabym mieć cię na swoim łonie”. Z poważnym, dzikim wyrazem twarzy odczytała, co napisała.

Dla zapoznania się z językiem przeczytała tomik francuskich wierszy; jeden z tych wierszy spodobał się jej specjalnie. Odszukała ten tomik i nauczyła się wiersza na pamięć. „Rzekła dama: Dla ciebie gotowa na wszelkie zaklęcia, przyjacielu mój serdeczny, mon ami et mon vrai désir. Rycerz odparł: Czym zasłużyłem na twą miłość, pani? Rzekła dama: Tym, że spełniasz moje sny, mon ami et mon vrai désir”.

Poszła do parku. Ogrodnik Belardo zrywał brzoskwinie. Poprosiła go, żeby, jak to czyniono w Sewilli, zostawił na drzewie parę owoców; niechaj nie będą smutne. Belardo przestał zrywać. Rachela wyczuła za jego gotowością wrogość.

Siedziała na brzegu Tagu, patrzyła w stronę Toledo i marzyła. Myślała o Alfonsie w jego srebrnej zbroi. Daruje mu zbroję na wzór tych, które sporządza płatnerz Abdullah w Kordobie, czarno-niebieską, o wielu ruchomych częściach, bardzo wytworną, a jednak dającą lepszą ochronę niż kolczugi chrześcijan. Ojciec musi się dla niej o taką zbroję postarać.

Nagle przypomniała sobie, że przyrzekła ojcu przyjść od czasu do czasu w wilię sabatu, by spędzić z nim razem cały święty dzień. Nie żądał tego od niej, sama wysunęła tę propozycję, a tymczasem zapomniała o przyrzeczeniu! Stwierdziła z przerażeniem, na jak daleki plan zszedł ojciec w jej życiu.

W ten piątek pójdzie do niego. Nie, w piątek wraca Alfonso. Ale pójdzie w następny piątek. Nic jej nie powstrzyma.

W Toledo żaden z członków rady nie wypowiedział słowa zarzutu lub choćby zdziwienia, ale Alfonso czuł ich dezaprobatę. Nic sobie z tego nie robił. Niemiły byłby mu tylko widok jednego człowieka: Jehudy. Ale Jehuda nie zjawił się.

Dnie Alfonsa wypełniały sprawy, przyjęcia, narady, studiowanie dokumentów. Mówił,

debatował, rozważał argumenty i kontrargumenty, podpisywał. Modlił się, by i sprawy, i ludzi widzieć w nieodzownym ostrym świetle, ale raz po raz zaczarowanie Galianą przesłaniało to spojrzenie mgłą. Mówiąc, pracując, podpisując, myślał: Co ona teraz robi? Czy jest na miradorze, czy na patio? Czy ma na sobie zieloną suknię?

Nocami gorzał z żądz. Chciał myśleć o zburzeniu twierdzy Calatrava i swoim sporze z biskupem miasta Cuenca. Zamiast tego nawiedzały go arabskie strofy, które mu deklamowała Rachel; próbował odtworzyć cały wiersz, ale mimo dobrej pamięci nie mógł odnaleźć wszystkich rymów i to go gniewało. Widział wyraźnie wargi Racheli, z których spływały wiersze, nie rozumiał ich, starała się pomóc mu, czekała na niego z otwartymi ramionami. Ogarniał go żar, krew pulsowała mu w skroniach, nie był w stanie leżeć dłużej.

Nareszcie minęły trzy dni, wlokące się jak wieczność, był znowu w La Galianie, oboje napelniała ta sama bezgraniczna, rozsadzająca piersi radość.

Ofiarowała mu, czego tylko pożądał, ale było to niewystarczające. Nie wystarczały dotknięcia, pocałunki, nie wystarczały objęcia ani zbliżenia. Pożądał jej coraz głębiej, szalał, że nie mógł tego pożądanego nasycić.

Był z nią zespoleony bardziej, niż ze sobą samym. Mógł jej mówić słowa, których nie wypowiadał przed nikim, nawet przed sobą samym, dumne, dziecinne, królewskie, niemądre. Kiedy mu się zdawało, że odsłonił przed nią sprawy najbardziej tajemne, bliskość jej odsłaniała coś jeszcze tajemniejszego. Lubił odpowiedzi Racheli. Prawie zawsze bowiem wypowiadała coś nieoczekiwanego, co mimo to w mig pojmował. Lubił również, kiedy milczała, któż bowiem potrafił tak wymownie milczeć, zgadzać się, zaprzeczać, radować się, narzekać, ganić.

Znowu nie istniał dla nich czas, nie było ani dnia wczorajszego, ani jutrzejszego, był tylko wypełniony po brzegi dzień dzisiejszy.

Nagle Rachel rozcięła tę błogość, pozostającą poza czasem.

— Dziś po południu — oświadczyła — jadę do Toledo, do mego ojca.

Spojrzał na nią zbity z tropu. Czy oszalała? A może on oszalał? Nie, nie mogła tego powiedzieć. Zle ją zrozumiał. Zaczął pytać jękając się. Obstawała przy swoim:

— Dziś po południu udam się do ojca. W niedzielę będę z powrotem.

Ogarnął go szal.

— Nie kochasz mnie! — zawołał z oburzeniem. — Ledwie się znamy, a już cię coś gna. Czuję się śmiertelnie urażony, nie kochasz mnie!

Kiedy tak miotał coraz twardsze słowa, myślała sobie: Straszliwie samotny jest ten dumny król. Nie ma oprócz mnie nikogo. A ja mam jego i ojca. Całe to poczucie triumfu nie potrafiło uśmierzyć fizycznego niemal bólu, jaki odczuwała na myśl o tym, że nie będzie z nim ani dziś wieczorem, ani dziś w nocy, ani przez cały następny długi dzień i przez całą następną długą noc.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Don Jehuda odczuwał brak Racheli jeszcze boleśniej, niż przypuszczał. Chwilami dławiała go zazdrość o Alfonsa. Potem wyobrażał sobie, jak mu ten znienawidzony człowiek odeśle pod wpływem nieobliczalnego kaprysu jego Rachelę zdruzgotaną i zniszczoną.

Również Alazar był przedmiotem jego trosk. Dwuznaczna sytuacja Racheli, przynosząca sławę hańba siostry i ojca, czyniły życie chłopca na zamku coraz trudniejszym. Ale nie szukał rady u ojca, jak się tego Jehuda obawiał i czego się spodziewał; przeciwnie, zamykał się coraz bardziej w sobie, pokazywał się coraz rzadziej i podczas rzadkich odwiedzin siedział milczący, zgnębiony.

Nadszedł pierwszy sabat od odejścia Racheli. Sabat był dla Jehudy zawsze, już w Sewilli, wielkim dniem. Ten siódmy dzień wypoczynku darował Bóg swemu ludowi, by się Izrael w czasach ucisku czuł wtedy wolny i wyniesiony ponad inne ludy. Ruchliwy Jehuda zwykł był naprawdę święcić sabat; odcinał się od świata interesów, cieszył się, że naród jego jest narodem wybranym, on zaś wybrańcem.

Wbrew rozsądkowi miał nadzieję, że Rachela przyjdzie już w pierwszy sabat. Kiedy się to nie stało, rozsądek odniósł zwycięstwo nad zawodem. W następny sabat ani rozsądek, ani silna wola nie potrafiły już zagłuszyć zżerającej go troski. Wyszukiwał setki powodów, które przeszkodziły Racheli, ale drażyła go nieustannie myśl: co się dzieje z moim dzieckiem, dlaczego dziecko moje opuszcza mnie?

Potem przybył do Toledo Alfonso. Jehudę kusila chęć odwiedzenia go pod pozorem spraw niecierpiących zwłoki. Ale czuł lęk przed sobą samym i przed swoim sercem i nie poszedł do Alfonsa. Cekał, by go Alfonso wezwał. Cekał pierwszego dnia, drugiego, trzeciego i był rad, że król go nie wzywał, ale szalał, kiedy król opuścił Toledo i nie zawołał go do siebie.

Przyszedł trzeci sabat bez Racheli. Złączyli się — chrześcijanin, żołnierz, człowiek bez duszy i sumienia i jego niegdyś tak urocza córka — postanowili wspólnie dręczyć go przy pomocy milczenia, rwać mu serce w kawały. Utracił Rachelę.

Ale potem nadeszła wiadomość. I Rachela zjawiła się w wilię sabatu.

Jehuda odczuwał lęk przed cielesnym zetknięciem, mimo to objął Rachelę ruchem niemal gwałtownym, schylił głowę, wchłaniał ją w siebie. Odpoczywała w jego objęciach, miała oczy zamknięte, nie mógł zorientować się, co przeżywa. Jedno było pewne: nie była złamana, była jego Rachelą, stała się jeszcze piękniejsza.

Poprosił, by zapaliła światła, co było wedle starego zwyczaju przywilejem kobiet — zapłonęły w zapadającej nocy sabatu. Był to dobry wieczór. Zaśpiewał pieśń sabatową Jehudy Halewiego: „Przyjdź, ukochany, wyjdź, o sabat, na spotkanie oblubienicy”, i triumfalny psalm Dawida: „Niech się weselą niebiosa, a niech się raduje ziemia: niech się wzruszy morze i pełność jego. Rozradują się pola i wszystko, co jest na nich: tedy skakać będą wszystkie drzewa leśne przed Panem, że przyszedł”.

Siedli wraz z Muzą do stołu. Rachela, choć skupiona w sobie, była wesoła. Wbrew swym zwyczajom Muza gładził jej rękę i powiedział: — Jak piękna jesteś, moja córko! — Mówiło się podczas wieczery o różnych rzeczach, tylko nie o tym, o czym wszyscy milczeli.

Tej nocy Rachela spała dobrze i głęboko. Jehudę dręczyły jeszcze wątpliwości, a może był zazdrosny, ale ustąpiła męka, której przez cały ten czas doznawał.

Następnego dnia Rachela usiadła z ojcem w patio, pod wielką fontanną. Spoglądali na siebie z uśmiechem, to ukradkiem, to patrząc sobie prosto w oczy, wreszcie Rachela odpowiedziała na pytanie, które nie zostało postawione.

— Wszystko dobrze — powiedziała. — Nie jestem nieszczęśliwa. Jestem szczęśliwa. Jestem bardzo szczęśliwa.

Jehuda, na ogół wysławiający się swobodnie, nie wiedział, co powiedzieć. Spadł z niego wielki ciężar, to pewne, nie wiedział jednak, czy się cieszy.

W La Galianie Rachela wracała coraz bardziej do obyczajów muzułmańskich. Teraz przypomniała sobie swoje żydostwo. Na drzwiach zamku Ibn Esrów umieszczone były, jak w każdym domu żydowskim, małe rurki, w których mieściły się zwoje pergaminu z opowiedzeniem się za jednym i jedynym Bogiem Izraela i zapewnieniem bezgranicznego oddania. Rachela postanowiła umieścić takie „mezuzy” również i w La Galianie.

Nadeszła noc, a wraz z nią pożegnanie, radosna, a równocześnie gorzka ceremonia, która oddzielała sabbat od innych dni tygodnia, odcinała to, co święte, od tego, co powszednie. Na stole płonęła świeca, obok napelnionego winem pucharu leżały w kosztownej skrzynce zioła. Jehuda pobłogosławił wino, wypił nieco, pobłogosławił skrzynkę, wciągnął po raz ostatni woń sabbatu idącą od ziół, pobłogosławił światło, zgasił świecę w winie.

Powiedzieli sobie dobranoc z różnorodnymi uczuciami, gdyż znowu miał upłynąć tydzień, zanim się zobaczą. Jeszcze przed zaśnięciem Rachela nie czuła nic prócz oczekiwania ranka, w którym powróci do La Galiany.

Kanonik don Rodrigue, mający czułe serce dla bliźnich, starał się wypełniać chrześcijański obowiązek posłuszeństwa i przy tej okazji jego dobroć popadała nieraz w sprzeczność z nakazami tego posłuszeństwa. Ojciec Święty obwieścił wyprawę krzyżową, Hiszpania miała obowiązek wziąć w niej udział; kiedy jednak kanonik myślał o tym, że oto znowu wybuchła wielka wojna i ludzie będą się znowu dręczyć i rozdzierać na sztuki, cieszył się, że przynajmniej jego półwyspowi zostanie to oszczędzone. Była to grzeszna radość i w nocy, kiedy myślał o tym, że liczni dobrzy chrześcijanie w obronie Ziemi Świętej dręczą się i giną, podczas gdy on i jego Hiszpania żyją w dosycie, opadał go chwilami wstyd tak palący, że opuszczał łóżko i spał na gołej ziemi.

Smutek jego z powodu nieszczęścia ogólnego zwiększała jeszcze troska o don Alfonsa, którego był spowiednikiem. Kanonik kochał Alfonsa jak młodszego brata. Promienny rycerz i król sprawił mu wielką boleść. Odkąd Rodrigue rozpoczął swą kronikę, cieszył się na to, że ją zakończy opisem panowania swego ukochanego ucznia, który się u niego spowiadał. Znalazł nawet słowa, określające istotę Alfonsa Ósmego: vultu vivax, memoria tenax, intel-lectu capax — żywe oblicze, dobra pamięć, tęgi rozum. A teraz ten jego Alfonso zagubił się straszliwie i niebezpiecznie, zaplątał się w najcięższy grzech, w grzech główny, w trzeci spośród grzechów śmiertelnych.

Rodrigue miał obowiązek nakłonić go do czynnej skruchy; tylko ona mogła go uratować od śmierci duchowej. Rodrigue był jednak dobrym znawcą ludzi, widział, że grzesznik jest oszołomiony mocnym zapachem swego grzechu i że wszelka przestroga byłaby daremna. Musiał więc poprzestać na modleniu się za Alfonsa. Chwilami, kiedy się kajał, miał wrażenie, że odpokutowuje część winy Alfonsa. Oczywiście człowiekowi nie wolno było w swym zuchwalstwie brać na siebie cudzych win, jak to czynił Zbawiciel — kanonik był tego świadom. Mimo to odrobina kacerstwa wślizgiwała się zbawiennie w jego kajania.

Choć te kajania na ogół nie potrafiły dać kanonikowi nic poza poczuciem spełnionego obowiązku, były mu w godzinach łaski pomocne do osiągnięcia słodkiej, świętej lekkości. Opadało z niego wtedy wszystko, co cielesne i doczesne, przechodził w stan surowej błogości, w którym nie było nic prócz ducha i Boga.

Zrezygnował już z nadziei pomożenia królowi w jego wewnętrznej udręce. I oto w jednej z takich godzin zapamiętania rozwiały się wszystkie jego wątpliwości. Czuł, że został

wysłuchany. Uczucie to urosło do rozmiarów pewności. Bóg podsunie mu we właściwej godzinie właściwe słowa.

Nie poruszyło go zbyt, kiedy w owych dniach otuchy ofuknął go arcybiskup Martin oświadczając:

— Czy długo jeszcze będziesz przyglądać się beczynnemu, jak Alfonso, którego jesteś spowiednikiem, nurza się w błocie? — Zanim zdążył odpowiedzieć, arcybiskup ciągnął dalej: — Pomyśl

o Pinchasie, wnuku Aarona, przypomnij sobie, jak się miotał na człowieka, który cudzołożył z Madianitką.

Kanonik spojrział nań w zamyśleniu, odpowiedział cicho, z lekkim uśmiechem:

— Trudno mi wyobrazić sobie, żeby Bogu było miłe, gdybym naszemu panu, królowi, i donii Racheli wbijał dzidę w ciało.

— Wiesz, że mówiłem w przenośni — grzmiał arcybiskup. — Ale jedno muszę ci powiedzieć: większa gorliwość byłaby na miejscu.

— Ufam Bogu — powiedział kanonik. — We właściwym czasie pozwoli mi znaleźć właściwe słowa.

Arcybiskup zorientował się, że dalsze napieranie na kanonika byłoby pozbawione sensu. Od tygodni już rozważał, czy sam nie ma obowiązku pomówić z królem o jego potwornym przestępstwie. Musiał się przezwyciężyć, żeby zadanie to pozostawić pobożnemu, łagodnemu, niemal świętemu Rodrigowi; to, że kanonik odpowiedział na jego łagodne upomnienie nieobowiązującą paplaniną, gniewało go. Szukał pretekstu do okazania swego niezadowolenia sekretarzowi.

Pozostawali od dawna w sporze. Podczas gdy cały chrześcijański Zachód idąc za wzorem przeora Dionisiusa Exiguusa liczył swą erę od roku narodzin Chrystusa, książęta hiszpańscy rozpoczynali swoją o trzydzieści osiem lat wcześniej, od roku, w którym cesarz August uczynił z półwyspu jednolity twór państwowy. Ponieważ to różnorodne datowanie prowadziło do niemiłych incydentów w korespondencji z zagranicą, don Rodrigue próbował dostosowywać daty pism kancelarii arcybiskupiej do zagranicy. W dobrych godzinach arcybiskup tolerował to nadużycie swego żadnego nowinek sekretarza. Kiedy był w złym humorze, wkraczał. Dziś więc oświadczył surowo:

— Spostrzegam z ubolewaniem, drogi panie i bracie, że znowu zaczynasz datować nasze pisma od roku, przyjętego przez papieską kancelarię. Wielokrotnie dawałem wyraz swej woli, by zachowywać odrębność hiszpańskiego Kościoła. Jestem przeciwny rezygnowaniu z praw, które są starsze od papieskich. Ostatecznie i mój poprzednik został osadzony tu w Toledo przez apostoła Piotra.

Don Rodrigue wiedział, dlaczego jego przełożony z taką gwałtownością wznowił stary spór o liczenie czasu. Nie zapuszczając się w żadne debaty, odpowiedział pojednawczo:

— Ufaj, dostojny ojczy. Łaska boża pozwoli mi uratować duszę króla, pana naszego.

Alfonso stał przed zwojem zwanym mezuzą, który Rachelą umieściła przy drzwiach swej komnaty w La Galianie.

— Jakże to będzie? — zapytał nie bez odcienia łagodnego szyderstwa — czy zamierzasz dokonać tu w domu jeszcze wiele zmian?

— Ależ oczywiście — odparła radośnie. — Kiedy dom jest gotów, przychodzi śmierć — zacytowała arabskie przysłowie.

— No tak — powiedział Alfonso — amulet nie może zaszkodzić.

Rachela nie odpowiedziała. Nie brała mu za złe, że w znaku jej wiary nie widział nic poza amuletem. Cóż ten człowiek, zginający kolana przed trzema bogami, mógł wiedzieć o jednym,

niepodzielnym, niewidocznym Bogu Izraela? Był tylko rycerzem i żołnierzem, żadna cześć dla Najwyższego nie napelniała go trwogą — wiedziała o tym od dawna. Ale, rzecz dziwna, to go w jej oczach nie pomniejszało. Bohaterstwo jego, choć bezbożne i występne, trafiało do jej serca.

Alfonso uświadamiał sobie teraz sprawy, które dotychczas tylko mgliście przeczuwał. Może życie jego nie było tutaj, w La Galia-nie, rycerskie, może zdradzał swój królewski obowiązek; był gotów opłacić taką zdradą swe szczęście. Życie razem z Rachelą nadawało istnieniu sens. Cierpiał, kiedy musiał być bez niej choćby minutę. Czuł, że nigdy nie potrafi się jej wyrzec, wiedział o tym. Było to straszne, a równocześnie napelniało błogością.

Rachela była wypełniona szczęściem tak samo jak on. Nie mieszkała tu, spełniając jakieś „posłannictwo”. Mieszkała tutaj, bo tego chciała, bo to czyniło ją szczęśliwą. Alfonso, chrześcijanin, barbarzyńca, podobał jej się takim, jakim był. Był królem, podlegał jednemu prawu: swemu wewnętrznemu królewskiemu głosowi. Głos ten miał rację również i wtedy, kiedy kazał oślepić człowieka za to, że zasnął na warcie, lub zrównać z ziemią wrogie miasto i posypać je solą.

Z nim, dla niego była dumna ze spraw, z których się dawniej wyśmiewała. Opowiadał jej o dzikich gockich i normañskich królach, którzy byli jego przodkami, podziwiała ich wraz z nim. Chwalił jędrną siłę swej pośledniej łaciny, swego kastylskiego narzecza, więc starała się żarliwie opanować je. Cieszył się jak chłopak, kiedy używała słów i zwrotów kastylskiej gwary żołnierskiej. Jako podziękowanie narzucał płaszcz arabski, kiedy mu przy studni opowiadała swe bajki. Kiedy jednak poprosiła, żeby zgolił brodę, ponieważ chciałaby zobaczyć jego twarz bez zarostu, nagą, odmówił brutalnie.

— Robią to tylko joglares, kuglarze — powiedział.

Nie wzięła mu tego za złe, roześmiała się. Nie było między nimi obcości, byli jednością jak na samym początku.

Ale przyszedł piątek i zaczęła się przygotowywać do odwiedzenia ojca. Tym razem Alfonso nie próbował jej zatrzymać. Siedział jednak ze złą miną jak nadąsany dzieciak.

Rachela opuściła go równie niechętnie jak za pierwszym razem. Już jednak w drodze do zamku Ibn Esrów poczuła ogromną potrzebę zetknięcia się z ojcem; miała wrażenie, że musi u niego poszukać pomocy i nowych sił.

Dzięki niemu stawała się mocniejsza. W La Galianie była jedynie częścią Alfonsa, czuła, że góruje nad nią z powodu tego jej rozdwojenia. Będąc z ojcem wiedziała, że rozdwojenie jej jest cnotą i oczywiście zawodnym szczęściem.

Tym razem Alfonso nie pojechał do Toledo; nie chciał być znowu otoczony niemymi, potępiającymi twarzami swoich panów. Wolał znieść mękę czekania na Rachelę w La Galianie.

Teraz, kiedy jej nie było, przygniatała go obcość domu. Czuł się nieswojo w otoczeniu wspaniałych poduszek, barwnych zawijasów i ornamentów, szemrzących fontann.

Stał przed jednym z hebrajskich napisów. Dzięki doskonałej pamięci wiedział dokładnie, co te słowa, które mu Rachela przetłumaczyła, oznaczają. Żydowski Bóg zapewniał tu swój naród wybrany o swej wiecznej łasce i triumfie nad wszystkimi innymi narodami. Alfonso tęsknił gorąco za Rachelą, równocześnie jednak, stojąc przed irytującym, wyzywającym napisem, mówił sobie: Nie jest w porządku, że tak przez nią cierpię. Żydzi byli stworzeniami, które z przyzwolenia Boga diabeł specjalnie sobie upatrzył. Przypomniał sobie powiedzenie: „Jak zmija w kaftanie, jak ogień w rękawie”.

Również i Rachela była wbrew swej woli czarownicą, on zaś opętańcem.

Wyszedł na świeże powietrze, położył się pod drzewem. Zawołał ogrodnika Belarda, żeby z nim pogadać. Zapytał bez ogródek:

— Co ty sobie myślisz o moim życiu tutaj?



Na okrągłej, mięsistej twarzy ogrodnika pojawił się wyraz bezgranicznego, głupkowatego zdumienia.

— Co o tym myślę, panie — odpowiedział wreszcie — tego mi nie wypada ani powiedzieć, ani nawet pomyśleć.

— Gadajże — rozkazał niecierpliwie Alfonso.

— Jeżeli więc muszę powiedzieć — odrzekł Belardo — powiem: Tak straszliwie grzeszyć przystoi tylko straszliwie wielkiemu panu.

— Mów dalej — domagał się Alfonso.

— Szkoda także — ciągnął dalej ogrodnik Belardo — że my wszyscy, a może i ty, panie, tracimy wskutek tego radość naszego serca i urok naszego życia.

— Mów spokojnie dalej — zachęcał go król.

— W ciągu tych ostatnich miesięcy — gadał ogrodnik Belardo — muszę ciągle myśleć o moim zmarłym dziadku. Kiedy był w dobrym humorze, opowiadał o wielkiej, świętej wyprawie. Widzisz, panie, było to tak: Kiedy wówczas cesarz grecki Alexius prosił Ojca Świętego o pomoc dla Ziemi Świętej, napisał mu, jak straszliwej hańby doznawać tam musi chrześcijaństwo: jak wszędzie bezczeszczone są nos i uszy, ręce i nogi Zbawiciela; jak pogańscy mahometanie dopuszczają się występków wobec córek chrześcijańskich, żądając, by matki do tego przyśpiewywały; jak później postępują z matkami, przy czym córki z kolei muszą śpiewać sprośne romance. Pisał ponadto cesarz grecki, że niezależnie od świętości takiej wojny można by zabrać poganom wielkie ilości złota oraz że kobiety wschodnie są o wiele piękniejsze od zachodnich. Cały świat chrześcijański był tym listem poruszony i wzburzony, mój dziadek również. Przyszył sobie krzyż, kupił starą skórzaną kurtkę i skórzaną czapkę i za łaskawą zgodą twego nieżyjącego pana dziadka ruszył w daleką drogę. Trudno mi sobie wyobrazić, jak ten starzec tego dokonał; był wtedy oczywiście o wiele młodszy. Kiedy wreszcie przybył, inni dawno już wszystko zdobyli, i skarby, i kobiety, wielu również poległo. Nie doszło więc do walki i nic też nie przywiózł do domu. Mimo to wyprawa była czymś najlepszym w jego życiu, ponieważ modlił się przy kamieniu, na którym siedział sam Zbawiciel, pił ze źródła, z którego pił sam Zbawiciel, zanurzał swe ciało w świętej rzece Jordan. Kiedy dziadek mój był w dobrym humorze, opowiadał o tym i miał przy tym opowiadaniu zupełnie święte spojrzenie.

Belardo, zatopiony we wspomnieniach, zamilkł.

— No i? — zapytał Alfonso.

— Byłoby pięknie — powiedział Belardo z głupkowato marzycielskim wyrazem twarzy — gdyby również i któryś z nas przeżył taką świętą przygodę. Cóż się nam może w walce z obrzydliwymi mahometanami przydarzyć? Jeżeli dobrze pójdzie, zdobędziemy pieniądze i kobiety, jeżeli źle, pójdziemy do błogiego raj.

— Krótko mówiąc — zreasumował Alfonso — uważasz za występne, że się tu plawię w rozpuście.

— Niech Bóg mnie broni przed takimi okropnymi myślami o waszej wysokości — zawołał Belardo.

Gadanina chytrego ogrodnika, choć niemądra, zaprzętała umysł Alfonsa. Wszyscy czuli, że zaniedbuje swoje rycerskie i królewskie obowiązki, że się „wyleguje”, jak to wśród starożytnych czynili bohaterowie Herkules i Antoniusz, jak to czynił ze swoją Dalilą rycerz hebrajski Samson. Nie mógł wytrzymać wewnątrz pałacyku, spędzał cały czas w ogrodzie, sypiał nawet na powietrzu; nie był to dobry sen.

Kiedy jednak Rachela wróciła, wrócił dawny czar. Nie odpychała go swym arabskim sposobem bycia. Życie w La Galianie było dobre, nigdy nie spędzał dni lepszych i piękniejszych. Młodzieńczo uśmiechnięty dziwił się własnemu szczęściu. Była w nim jakaś radosna przekora.

Wylegiwał się chętnie, odpowiadało mu to, niechaj mu nikt nic nie mówi o winie i skrusze. Szczęście tak wielkie jak to, które promieniowało od Racheli, nie mogło pochodzić od szatana. To raczej Bóg okazywał mu wyjątkową łaskę jako królowi i ta błogość miłosna była nowym dowodem jego łaskawości. Był don Alfonsem, zwał się Alfonsus Rex, był ósmym tego imienia. Odpowiadał za to, co czynił. Żył z Rachelą, ponieważ było to boskie natchnienie oraz jego królewska wola.

Kiedy się następnego piątku udawała do swego ojca, powiedział:

— Nie chcę, byś się do mojej stolicy wkradała. Nie chcę, by dama, którą wybrał don Alfonso, ukrywała się.

Kazała się zawieźć do Toledo w otwartej lektyce. Alfonso zażądał przysłania orszaku do La Galiany i z wielką pompą ruszył konno do miasta i swego zamczyska.

Paź Alazar miał do króla prośbę. Giermek Sancho kpił z niego, ponieważ adorował donię Juanę, więc chciał go wyzwać.

Czołobitnie prosił króla o łaskę mianowania go ecuyerem, by był w stanie wyzwać tamtego.

Prośba chłopca była uzasadniona. Dłużej, niż to było w zwyczaju, pełnił nienagannie swą służbę, mógł więc oczekiwać, że król udzieli mu rangi, o którą prosił. Ale nie można było uczynić żyda giermkim.

— Masz, mój Alazarze — powiedział łaskawie król po namyśle — wszystkie zalety, potrzebne rycerzom. Jednak w naszym kraju znamy tylko rycerzy chrześcijańskich.

Chłopiec zarumienił się.

— Jestem tego świadom — odpowiedział. — Zanim poprosiłem waszą wysokość o tę łaskę, rozważyłem sprawę gruntownie w moim sumieniu, zbadalem wszystkie za i przeciw. Chcę zostać rycerzem chrześcijańskim.

Alfonso był zaskoczony, zbity z tropu. Tysiące, dziesiątki tysięcy żydów dawały się zabijać, nie odstępując od swej religii, a ten chłopiec, przez nikogo nie przymuszony ani nawet wezwany, chce porzucić swą wiarę.

— Czyś mówił ze swoim ojcem? — zapytał niechętnie.

— Nie — odparł Alazar bez wahania i dodał z przekorą: — Nikt mi nic nie doradzał i nikt nie może nic doradzać.

Alfonso wrócił do równowagi. To życie na dworze kastylskim, na jego dworze, pozwoliło temu młodzieńcowi dojrzeć światło.

I nagle zrodziła się w nim myśl, której nie miał odwagi sobie uświadomić, że również jego ukochana mogłaby zobaczyć światło. Czyż nie ma już zrozumienia dla tego, co w nim rycerskie, wojownicze, co dawniej było jej sercu całkowicie obce? Sama myśl, że mogłoby mu być dane zdobycie Racheli dla prawdziwej wiary, dawała jego związkowi nowy, jasny sens, odbierała jego namiętności jej grzeszność. Radość jego była tak niesamowita, że musiał się wysilić, żeby odpowiedzieć Alazarowi spokojnie:

— To, coś mi tu powiedział, mój chłopcze, wielce mnie raduje. Ale nie jestem uczony w sprawach boskich, nie wiem, co należy uczynić, zanim cię dopuszczą do sakramentu. Pomówię z don Rodrigiem.

Zachęcony w tak radosny sposób przez Boga, postanowił pomówić wreszcie z kapłanem o swoich własnych sprawach. Zanim zaczął mówić o prośbie Alazara, przyznał się kanonikowi z całą swobodą, jak bardzo jest związany z Rachelą.

— Nie mów mi, mój wielce dostojny ojciec — ciągnął dalej, zanim kanonik zdążył go upomnieć lub wystąpić z radą — że ta namiętność jest grzechem. Jeżeli nim jest, grzech to dobry, błogosławiony i nie żałuję go. Kocham tę ukochaną kobietę ponad wszystko, Bóg, który to

zrządził, nie weźmie mi tego za złe.

Kiedy don Alfonso zaczął mówić, don Rodrigue był pełen pobożnej wdzięczności, że Bóg poruszył serce grzesznika. Wkrótce jednak radość ta przeszła w przerażenie.

— Mówisz wiele — powiedział smutno, gdy Alfonso skończył. — Chcesz mnie uprzedzić i przeszkodzić mi w wypowiedzeniu właściwych, surowych słów. Ale w głębi duszy wiesz dobrze, co ci mam do powiedzenia, i to od dawna, i lepiej, niż mógłbym ci powiedzieć.

Na widok jego zatroskanej twarzy Alfonso zapytał półgłosem:

— Czy straciłem łaskę, mój ojcze? Czy jestem skazany na wieczne potępienie? — Pod wpływem zatroskanego milczenia kanonika nastrój Alfonsa uległ zmianie. — Dobrze — powiedział lekkomyślnie — w takim razie chcę zostać potępiony. — Potem dodał zaczepnie: — Gdzie są praojcowie moich praojców, królowie, którzy jeszcze nie przyjęli nauki Chrystusa? Wiem, gdzie. Niechaj Bóg pośle mnie do nich.

Mimo rozpaczy Rodrigue upominał dalej łagodnym głosem:

— Nie grzęźnij głębiej w grzechu przez takie nieprzystojne żarty! W głębi swego serca nie wierzysz ani odrobinę w tę pogańską gadaninę. Zastanówmy się lepiej w pokorze, co możemy uczynić dla twojej duszy.

Król z młodzieńczym uśmiechem na ustach prosił:

— Nie martw się .zbyt, mój drogi, wielce dostojny ojcze i przyjacielu. Bóg jest łaskaw i nie traktuje biednego grzesznika tak surowo. Wierzaj mi. Bóg dał mi znak. — Po tych słowach opowiedział historię Alazara.

Kanonik słuchał ze skupioną uwagą, smutek jego zelżał. Wiedział, jak zatwardziali byli w swej wyniosłej wiedzy i błędzeniu mieszkańcy castillo Ibn Esra, nigdy nie próbował zmiękczyć serca kogoś z rodu Ibn Esrów; wystarczyło, by ten Alfonso, w istocie rzeczy pomazaniec boży, wziął chłopca do swego zamku, i oto nawrócił go do łagodnego Zbawiciela! Taka zasługa przekreślała niejedno zuchwalstwo.

Widząc poruszenie don Rodriga, Alfonso otworzył mu z uprzejmą poufałością ostatnią komórkę swego dumnego serca.

— Król, tak samo jak kapłan — powiedział — obdarzony jest tajemną wiedzą, dla innych niedostępną. Wiem jedno: Bóg zesłał mi tę cudowną kobietę, bym ją obudził i wyzwolił jej duszę.

Choć pycha Alfonsa napełniała Rodriga smutkiem, nie mógł zaprzeczyć, że w słowach jego tkwi ziarno prawdy. Drogi Boga nie są naszymi drogami. Może naprawdę z namiętności, w którą się król uwikłał, nie wymknie nieszczęście, lecz błogosławieństwo.

Tak czy inaczej Rodrigue stał na razie przed ciężkim zadaniem. Uczciwy zamiar Alfonsa uratowania duszy Racheli nie uwolnił kanonika od obowiązku zabronienia mu cielesnej z nią bliskości. Wiedział jednak, że Alfonso nie zastosuje się do takiego zakazu.

— Dobry to zamiar, królu, synu mój — powiedział — że chcesz zdobyć donię Rachelę dla Kościoła, ale nie mogę cię za tak łatwą cenę zwolnić.

— Cóż mam uczynić jeszcze? — zapytał Alfonso z lekkim zniecierpliwieniem.

Rodrigue, w głębi ducha zły na siebie za swoją słabość, radził:

— Odetnij się na czas jakiś, na dwa, trzy tygodnie od świata. Udaj się gdzieś w zacisze, spójrz w siebie, czekaj, aż przemówi do ciebie głos Boga.

— Wiele to mnie nakładasz — powiedział Alfonso.

— Mniej, niż powinienem — odparł don Rodrigue. — Ciężko mi żądać od mego ukochanego syna wszystkiego.

Rabbi Tobia, mieszkający w domu don Efraima, spędzał większą część czasu samotnie w swej komnacie na modlitwie, kontemplacji i wgłębianiu się w Pismo Święte. Głosił, że każda

chwila, nie użyta na zatopienie się w Bogu i w jego Objawieniu, jest czcza i płonna.

Pod wpływem licznych trosk, które spadły na niego i jego gminę, rabbi stał się surowy i fanatyczny. Najsurowiej doświadczył go ten rok ostatni. Kiedy król Filip August przepędził żydów z Paryża, uciekł z członkami swej gminy do Bray-sur-Seine. Kiedy później margrabina Blanche odnowiła ów edykt, w myśl którego w Wielki Piątek reprezentant żydów musiał pozwolić, by go spo-liczkowano, co miało być pokutą za mękę Chrystusa, gmina nalegała, żeby rabbi Tobia oddalił się zawczasu, gdyż prawdopodobnie władze jego właśnie na to upokorzenie przewidziały.

Podczas jego nieobecności król przedsięwziął ową krótką, straszną ekspedycję karną przeciw żydom miasta Bray; żona rabiego Tobii została spalona na stosie, dzieci jego zamknięto w klasztorze. Tu, w Toledo, rabbi Tobia mówił zawsze tylko o cierpieniach ogółu, nigdy o swoich, tym, którzy o jego losie wiedzieli, zabronił mówić o tym. Dzięki temu żydzi Toledo dopiero stopniowo dowiedzieli się, co mu się przydarzyło.

W samotności swej komnaty rabbi Tobia myślał często o wydarzeniach w Bray i opadały go raz po raz wątpliwości, czy uczynił słusznie ustępując naleganiom gminy i opuszczając miasto. Gdyby pozostał, gotowy do wzięcia na siebie upokorzenia, byłoby mu dane razem z żoną i dziećmi oddać życie dla uświęcenia boskiego imienia.

Pokuta i kajanie się wydawały się rabbiemu Tobii od dawna wielką łaską bożą. Nie mógł wyobrazić sobie lepszego ukoronowania istnienia niż męczeństwo, poświęcenie siebie samego, „akedę”. Oświadczył, że umieszczanie na domu krzyża, gdy zbliżali się krzyżowcy, lub przyszywania go do szat, uważać należy za grzech śmiertelny. „Jeżeli bandyci, pouczał, żądają, żebyście im wydali męczycielkę, którego chcą zabić, lub kobietę, którą chcą zbezcześcić, winniście wszyscy skończyć ze sobą, zanim wyrażicie na to swą zgodę. Przeklęty niechaj będzie ten, kto dla uratowania życia zmienia wiarę, przeklęty na wieki także i wtedy, kiedy po tygodniu wraca na łono Izraela. Najwspanialsza korona, pouczał, to pokora, najwspanialsza ofiara to złamane serce, najwyższa cnota to poddanie się. Człowiek pobożny, choć ośmieszany i publicznie chłostany, dziękuje Wszechmocnemu za karę i przyrzeka w swym sercu poprawę. Nie buntuje się również przeciw tym, którzy mu czynią zło, przebacza swoim dręczycielom. Myśli bez przerwy o dniu swojej śmierci. Kiedy mu zabierają to, co dlań najdroższe, żonę i dziecko, pochyła się w pokorze przed sprawiedliwością Opatrzności. Kiedy nieprzyjaciele chcą go zmusić, by się wyrzekł swej wiary, ofiarowuje w radosnej pokorze swe życie. Nie szemrajcie w obliczu powodzenia i pychy pogan; drogi Boga są pełne łaski, nawet wtedy, kiedy cel ich przez dziesiątki i setki lat pozostaje w ukryciu”.

Taka pokora nie zawsze przychodziła rabbiemu Tobii łatwo, był bowiem człowiekiem gwałtownego serca. Liczni żydzi dawali wyraz swej nienawiści do prześladowców w dzikich wierszach pełnych zniewag i gniewu na „wagabundów i wilków stepowych”, na ich „ukrzyżowanych bożków”, na „mętną chrzcielną wodę”. Nie-ujarzmiona była ta skarga, krzycząca ta modlitwa o zemstę. „Boże sprawiedliwy, wyły owe wiersze, nie zapominaj o przelanej krwi. Nie ścierp, żeby była przykryta ziemią. Odbądź nad wrogami moimi sąd, zapowiadany przez proroków. Niechaj ręka twoja wrzuci moich nieprzyjaciół w dolinę Jozafata!” Pisarze ci miotali również oskarżenia przeciw Panu: „Kim jesteś, Boże, że nie dajesz o sobie znać? Dlaczego dopuszczasz, by Edom znowu dopuszczał się zuchwałych czynów i chełpił się nimi? Paganie wdarli się do Twojej świątyni, a Ty milczysz! Ezaw wyszydza Twoje dzieci, a Ty pozostajesz niemy! Ukaż się, powstań, niechaj zabrzmie Twój głos, najbardziej niemy pośród niemych!” Kiedy rabbi Tobia czytał takie strofy, nie umiał również zapanować nad wzburzeniem serca. Ale natychmiast tego żałował. „Czy glina może powiedzieć garncarzowi: co czynisz?” — łajał samego siebie i jego skrucha stawała się jeszcze bardziej fanatyczna.

Wierni widzieli w nim proroka. Kiedy siedział w swej komnacie, zagłębiony w Wielkiej Księdze, nawiedzały go chwilami przedziwne widzenia wraz z darem formowania swej historii w słowa. Widział wtedy pobożnych, jak siedzą w ogrodzie Edenu, oświetleni światłem bożym, widział zuchwalców, jak się smażą w piecach Gehinnom — piekła. Wypytywał ich i ci z piątego, najstraszliwszego kręgu odpowiadali: doznajemy tego, bośmy się w życiu doczesnym zaparli Adonai i modlili do Ukrzyżowanego. Opowiadali mu, że muszą się smażyć przez dwanaście miesięcy, zanim dusza ich zostanie zniszczona jak ich ciało; potem piekło wypluje ich popioły, a wiatr rozwieje je pod stopy sprawiedliwych. Widział siebie stojącego o północy w synagodze. Zebrani w niej byli zmarli ostatnich lat siedmiu; były wśród nich również cienie tych, którzy mieli umrzeć w ciągu najbliższych lat. Siedząc z zamkniętymi oczyma nad świętymi księgami, wędrował po ulicach miasta Paryża i miasta Toledo, widział ludzi, których znał, widział, że nie rzucają cienia, i wiedział: przeznaczony im jest bliski, straszliwy koniec. Nie bez zadowolenia dostrzegał, że wśród tych postaci bez cienia znajdował się również ów Jehuda Ibn Esra, meszummad, który córkę swą oddał na rozpustę pogańskiemu królowi.

W międzyczasie nadeszła nowa, zła wieść od żydów z Francji. Jak rabbi Tobia przewidywał, niektórzy z wielkich hrabiów i panów poszli za przykładem swego króla, plądrowali żydów i przepędzali ich później poza swoje granice. Usłyszawszy to i przeczytawszy rabbi Tobia zjawił się przed obliczem parnasa Efraima.

Choć pan nasz i nauczyciel Tobia wydawał się tamtemu obcy i dziwny, nie mógł nie ulec magii, idącej od tego szarego, bladego męża, płonącego wewnętrznym ogniem, kiedy go ten wbrew swym zwyczajom odwiedził. Czekał trwożliwie i zarazem pożądliwie na to, co mu rabbi Tobia powie.

Rabbi Tobia oświadczył z właściwym mu spokojem, że chce opuścić Toledo i wrócić do swoich żydów. Stan zagrożenia zaostreza się; Tobia nie sądzi, by można było pomóc zagrożonym pozostając w Toledo. Wygnańcy nie będą mogli pozostać długo na obszarach Francji, a ponieważ granica sefardyjska jest dla nich zamknięta, rabbi Tobia chce ich zaprowadzić do Niemiec, skąd przybyli ich ojcowie.

Efraima opadły różnorodne myśli i uczucia. Liczba wołających o pomoc stawała się coraz większa, byłoby dla aliamy błogosławieństwem, gdyby jej zaoszczędzono gości, którzy stawali się tym niebezpieczniejsi, im ich było więcej. Ale w Niemczech czekała uchodźców mglista przyszłość. Cesarz Fryderyk wpuści ich zapewne, nigdzie jednak żydzi nie doznawali okrutniejszych prześladowań niż w krajach niemieckich; poza tym cesarz wyruszył na Wschód i kto wie, czy imię jego wystarczy, by ich ochronić?

O tym wszystkim wiedział rabbi Tobia równie dobrze, jak i on. Ale szalona żarliwość Tobii raczej pragnęła mąk i doświadczeń dla jego braci, niż się ich lękała. Czy nie powinien więc odradzać?

Kiedy tak rozmyślał w milczeniu, Tobia ciągnął dalej:

— Powiem ci otwarcie, że jestem zadowolony, iż Jehuda Ibn Esra nie przynosi nam tej pomocy, którą przyrzekł. Przygnębiało mnie, że mamy otrzymać pomoc od meszummada, który cześć swej córki wydaje na pastwę służalca bożków. Nie chcę ani jego pieniędzy, ani jego pomocy. Napisane jest w księgach: „Nie będziesz ofiarował zapłaty wszetecznic... w domu Pana, Boga twego”.

Cichy, jednostajny ton, którym się rabbi Tobia posługiwał, za-

Ostrzał jeszcze bardziej nienawiść i pogardę, zawartą w jego słowach. Don Efraim odczuwał nie bez zadowolenia w doznaniach pobożnego męża potwierdzenie własnej niechęci do Jehudy, ale jako człowiek sprawiedliwy bronił Ibn Esry.

— Jeżeli — odpowiedział — ktoś spośród naszych braci w świe-cie zachodnim może

nam pomóc, to tym kimś jest don Jehuda, którego najlepsza wola jest niewątpliwa. Zaczekaj jeszcze krótką chwilę, panie mój i nauczycielu. Nie pozbawiaj prześladowanych braci przez swą niecierpliwość przytułku i schronienia w spokojnej Kastylii.

Rabbi Tobia żałował, że pozwolił zapanować nad sobą gniewowi. Przynależał mieć jeszcze nieco cierpliwości.

Don Jehuda był przygnębiony. Dręczyło go pytanie, co sobie żydzi Toledo myślą o nim i o Racheli. Czy nie odczuwają obrzydzenia?

Dręczyła go również troska o Alazara. Chłopiec nie mówił z nim wprawdzie o swym zamiarze przejścia na chrześcijaństwo, ale Jehuda był świadom tego, że syn na zawsze utracił prawdy żydowskiej nauki i arabskiej mądrości. Była to jego wina. Zamiast trzymać syna z dala od niebezpiecznego dworu tego rycerza i żołnierza, sam go tam wpędził.

Wina! Tak, dopuścił się wielkiej winy.

Zasłaniał się swym posłannictwem. Wmawiał w siebie, że poświęcił córkę ku czci Boga. Ale Bóg odrzucił jego ofiarę, stawało się to z każdym dniem jaśniejsze. Oczekiwał, że związek Racheli z Alfonsem ułatwi mu osiedlenie w Kastylii uchodźców z Francji; tymczasem jednak związek ten opóźniał ratunek, może całkowicie go unicestwiał. Król unikał go, nie widział go już od bardzo dawna, nie mógł nawet przedłożyć Alfonsowi sprawy, która mu leżała na sercu.

W takim nastroju znajdował się don Jehuda, kiedy go odwiedził parnas Efraim. Uważał za swój obowiązek poinformować go o zamiarze rabiego Tobii.

Don Jehuda był głęboko poruszony. Ten Efraim Bar Abba zawsze miał co do niego wątpliwości; teraz mógł mu triumfalnie rzucić w twarz, że również rabbi uważał jego obietnicę udzielenia prześladowanemu Izraelowi schronienia w Kastylii za czczą gadaninę. Zamiast czekać, rabbi woli zaprowadzić swoich żydów do niebezpiecznych Niemiec. Nawet przyszedł sam, żeby mu to powiedzieć. Nabożny mąż unikał zadżumionego zbliżenia.

— Wiem — powiedział z goryczą i pełen gorącego wstydu — że rabbi Tobia pogardza mną z głębi swego surowego, pobożnego, prostego serca.

— Kazałeś naszemu panu i nauczycielowi Tobii czekać bardzo długo — odparł don Efraim. — Rzecz więc zrozumiała, że chce szukać ratunku gdzie indziej. Wiem, obietnica twoja była szczerą, ale obawiam się, że w tej sprawie błogosławieństwo Pana nie było z tobą

Tak otwarcie sformułowany zarzut oburzył Jehudę. Gniew naprowadził go na taki pomysł:

— Dla osiągnięcia tego przywileju potrzebuję więcej czasu, niż oczekiwałem, i rozumiem twoją małoduszność. Ale nie zapominaj, jak szybko i niekorzystnie zmieniły się czasy. Kiedy uczyniłem propozycję, chodziło o tysiąc pięciuset, najwyżej o dwa tysiące prześladowanych. Teraz jest pięć, sześć tysięcy. Rozumiem twoje wątpliwości, nie można tylu żebraków wpuścić do kraju. — Przerwał na chwilę, spojrzął Efraimowi w twarz i ciągnął dalej: — Sądzę jednak, że i ja znalazłem rozwiązanie. Wygnańcy nie mogą być przy przekraczaniu granicy po prostu żebrakami. Musimy ich od początku wyposażyć w pieniądze. Sądzę, że cztery maravedi w złocie na głowę wystarczą.

Efraim patrzył osłupiały.

— Mówiłeś o sześciu tysiącach uchodźców — powiedział cienkim głosem. — Skąd weźmiesz pieniądze?

Jehuda odparł uprzejmie:

— Masz rację, sam nie mógłbym tego zrobić. Stawiam do dyspozycji połowę sumy, około dwunastu tysięcy maravedi w złocie. Do zdobycia reszty potrzebna mi jest twoja pomoc, panie mój

i nauczycielu Efraimie.

Efraim siedział mały, skulony, owinięty w ciepłe szaty. Zuchwałe fantazje i plany Jehudy napępiały go niechętnym podziwem, odczuwał satysfakcję, że dumny Jehuda prosi go o pomoc. Ale jak mógł mu pomóc? Dwanaście tysięcy maravedi! Po olbrzymich sumach ofiarowanych na pomoc dla prześladowanych aliamu nie mogła się już zdobyć na tę ogromną sumę. Rabbi Tobia zaprowadzi więc w swej skromności i obłudzie żydów swoich do Niemiec, co będzie równoznaczne z ich zagładą.

Ale to się stać nie może. Do tego don Efraim nie dopuści. Nie miałby ani jednej spokojnej godziny. Musi tamtemu pomóc! Musi wydusić z aliamy te pieniądze!

Może zresztą — w Efraimie odezwała się mała, grzeszna nadzieja — może plan Jehudy jednak się załame. Ten kuglarz, przestępca i prorok wmawia w siebie, że może osiągnąć u pogańskiego króla wszystko, ponieważ oddał mu na rozpustę swą córkę. Ale źle zna chrześcijan i ich królów, opętanych manią wielkości.

Rzeczowo, z ledwie dostrzegalnym szyderstwem, don Efraim sprecyzował:

— Jeżeli aliamu zagwarantuje żadaną resztę pieniędzy, to ręczysz, że uzyskasz przywilej na osiedlenie się sześciu tysięcy żydów z Francji. Czy dobrze cię zrozumiałem?

Jehuda potwierdził tonem równie rzeczowym:

— Dla sześciu tysięcy żydów-uchodźców ma być dostarczona suma, licząc po cztery maravedi w złocie na głowę. Jeżeli aliamu zaręczy za resztę, zobowiązuję się osiągnąć edykt, pozwalający uchodźcom na osiedlenie się w Kastylii.

Don Efraim pytał dalej twardo i bezwzględnie:

— W ciągu jakiego czasu, panie mój i nauczycielu Jehudo, zobowiązujesz się uzyskać edykt?

Jehuda obrzucił go dzikim spojrzeniem. Zuchwalec z tego Efraima Bar Abby. Zdarzyło się po raz pierwszy, że Jehudzie się nie powiodło, i już napotyka u innych na czelność. Ale po chwili powiedział sobie, że aliamu traktuje go słusznie jako złego dłużnika; obiecał i nie dotrzymał.

Jednak nie był jeszcze bankrutem. Może, jeżeli się porwie na ostatni olbrzymi wysiłek, Bóg przyjmie jego ofiarę i złamie złą wolę króla.

Podniósł się zdecydowanym ruchem, dał Efraimowi znak ręką, żeby siedział w dalszym ciągu, podszedł do biblioteki, wyciągnął z szafy zwój Pisma Świętego, rozwinął go, wyszukał odpowiednie miejsce, położył na nim rękę i powiedział półgłosem, ale dziko:

— Przysięgam tu w twojej obecności, panie mój i nauczycielu, Efraimie Bar Abbo: Zanim minie Święto Szałasów, uzyskam od króla Alfonsa, ósmego tego imienia, przywilej, zezwalający sześciu tysiącom żydów z Francji na osiedlenie się w tym kraju Sefardyjczyków.

Efraim, głęboko przybity, wstał. Jehuda domagał się z tą samą pasją:

— A teraz, panie świadku, przyjmij do wiadomości to, co przysięgłem, i odczytaj słowa Pisma, jak to jest obowiązkiem świadka!

Efraim pochylił się nad zwojem i wypowiedział pobladłymi wargami:

— .....co raz wyszło z ust twoich, zachowasz i uczynisz, jakoś obiecał Panu, Bogu twemu, a własną wolę i usta twymi wyrzekłeś.”

Jehuda powiedział:

— Amen, niechaj się tak stanie. Jeżeli tego, com obiecał, nie osiągnę, rzucisz na mnie wielką klątwę.

Efraim zakończył:

— Amen, niechaj tak będzie.

Alfonso spędzał czas w domu pokuty w Calatravie. Próbował czynić sobie wyrzuty z

powodu godnego potępienia trybu życia w La Galianie, próbował żałować. Ale nie żałował, przeciwnie, cieszył się z tego, co uczynił, i wiedział, że się od tego nie oderwie. Ciche dni klasztornej odлу&zia wzmocniły tylko jego młodzieńczy, radosny upór, który przeciwstawił trosce don Rodriga. Płonąca w nim tęsknota za Rachelą nie była ogniem piekielnym, lecz łaską Boga. Uratuje jej duszę — był tego pewien.

W takim nastroju wrócił do Toledo. W przedziwnym odruchu pokutniczym, jakby mógł przez to nadrobić to, czego zaniedbał podczas przebywania w klasztorze, postanowił sobie pozostać jeszcze przez ten dzień w Toledo i dopiero wieczorem dnia następnego wrócić do La Galiany.

Rzucił się w wir interesów, rad, że wymagają skupionej, niepodzielnej uwagi.

Don Pedro z Aragonii zgromadził liczne zastępy wojska, by w najbliższym czasie wtargnąć na obszar muzułmański do Walencji. Alfonsa powiadomił o tym arcybiskup. Don Martin dowiedział się z zadowoleniem, że kanonikowi udało się skłonić króla do cichej, klasztornej rozmowy z Bogiem; chyba teraz don Alfonso będzie musiał być dla upomnień duchowieństwa przystępniejszy. W mocnych słowach przedstawił mu więc, jaką to byłoby palącą hańbą dla całego chrześcijaństwa, gdyby w chwili, kiedy król aragoński przystępuje do wojny świętej, największy król półwyspu pozostał beczynny.

Potem, bezpośrednio i ku zdumieniu don Alfonsa, zaczął pisać hymn pochwalny ku czci kuglarza Juana Velazqueza. Zwykle Kościół znajdował jedynie słowa potępienia dla dwuznacznej sztuki owych śpiewaków ludowych. Ale Juan Velazquez zawojował serce arcybiskupa tak dalece, że don Martin pozwolił mu śpiewać

i grać w swym pałacu. Sądził, że również i Alfonsa będzie bawiło, kiedy Juan Velazquez w rubasznym narzeczcu kastylskim będzie mu śpiewać o czynach Rolanda i Cyda, nie mówiąc już o akrobatycznych sztuczkach tego kuglarza.

Don Alfonso polecił, by kuglarz zjawił się przed nim. Tak, don Martin miał rację: proste, mocne romance trafiły do jego serca.

Nie wolno mu dopuścić, by miecz jego rdzewiał w dalszym ciągu. Oświadczył staremu don Manriquemu, że wreszcie chce uderzyć. Ten odpowiedział, że niecierpliwość jego nie jest mniejsza od królewskiej. Ale wobec kosztów, które kazał sobie zestawić przez pana escrivano, opuściła go nadzieja powodzenia. Don Jehuda użył cyfr arabskich. Manrique, przyzwyczajony do rzymskich, z trudem je odczytywał; były poza tym potępione przez Kościół. Niestety sumy, którymi należało operować, były tak wysokie, że bez cyfr arabskich nie można było sobie poradzić.

— Powinieneś sam omówić ze swoim escrivario, panie — zawołał don Manrique — ile będzie kosztowała wojna przeciw kalifowi.

Przez cały czas Alfonso lękał się spotkania z ojcem Racheli, czując równocześnie lekko łaskoczącą chęć zobaczenia go. Kiedy teraz don Manrique wymienił imię Jehudy, zdecydował się go wezwać.

Wysyłając herolda do castillo Ibn Esra, posłał również wiadomość do La Galiany, do donii Racheli. Krótką, napisaną po arab-sku, po łacinie i po kastylsku: „Jutro, jutro, jutro”.

Otrzymawszy kólewskie wezwanie Jehuda odetchnął głęboko. Cokolwiek to spotkanie przyniesie, będzie lepsze niż oczekiwanie.

Stali naprzeciw siebie, każdy odkrywał w twarzy drugiego coś nowego. Jehuda szukał i znajdował w twarzy barbarzyńcy rysy, które mogły pociągać jego Rachelę, król zaś patrząc z zakłopotaniem na oblicze żyda widział w nim pewne podobieństwo do oblicza ukochanej.

— Wydaje mi się, mój escrivano — zaczął don Alfonso z nieco wymuszonym ożywieniem — że wpędziłeś nas w ładną kabałę. Chcę wreszcie rozpocząć moją wojnę.



Wyliczyłeś, że trzeba na nią dwustu tysięcy maravedi. Czy mogę je mieć?

Jehuda był przygotowany na to, że zanim zacznie mówić o swojej wielkiej sprawie, będzie musiał wysłuchać wiele głupiej gadaniny i odpowiedzieć na nią. Odpowiedział więc ze spokojem:

— Możesz je mieć, królu. Wtedy jednak chodziło o wyprawę przeciw Aragonii, nie przeciw kalifowi.

Może królowi, choć się przed sobą do tego nie przyznawał, to zastrzeżenie było na rękę. Mimo to nalegał:

— Jeżeli Aragonia ma dość odwagi, by podjąć wyprawę, dlaczegóż ja nie miałbym jej mieć?

Na to Jehuda:

— Twój dostojny kuzyn z Aragonii nie zawarł zawieszenia broni z emirem Walencji.

Alfonso odparł ponuro:

— Człowiek, który tak bardzo przyczynił się do tego, by mi to nieszczęsne zawieszenie broni narzucić, zrobiliby lepiej, gdyby mi tego nie przypominał.

Twarz Jehudy pozostała nieruchoma.

— Fakty — powiedział — pozostają bez względu na to, czy o nich mówimy, czy nie. Zresztą nie uważam za prawdopodobne, żeby don Pedro uderzył. Kuzyn mój, don Józef Ibn Esra, ma dosyć odwagi, by mówić swemu królowi również i niemiłe rzeczy. Przypomni mu, że kalif Bagdadu ma zamiar wrócić ze Wschodu do swej stolicy i że w razie, gdyby Aragonia uderzyła, przerzuci się na stronę Andaluzji. Aragonia sama nie może podjąć wyprawy, tak samo jak Kastylia.

Don Alfonso siedział z zaciśniętymi wargami, z czołem całym w zmarszczkach. Ciągłe ten sam pretekst, o który się wszystko rozbija. Wojna niemożliwa, dopóki się nie przejedna tego franta z Aragonii.

— Wiem, królu — rzekł Jehuda — że serce ciągnie cię do wyprawy. Niechże mi wasza wysokość wierzy, że wraz z kuzynem moim, don Józefem, głowię się nieustannie nad tym, w jaki sposób doprowadzić między wami, dostojnymi książętami, do prawdziwego pokoju.

Niezadowolenie króla wzmoгло się. Żaden Ibn Esra nie mógł doprowadzić do pojednania z Aragonią. Żyd wiedział to równie dobrze, jak on sam. Czy szydził z niego?

Jehuda zauważył, że król jest niezadowolony. Nie była to odpowiednia chwila, by prosić o wpuszczenie uchodźców. Ale miał za sobą przysięgę, rysowała mu się ponuro i groźnie wielka kłątwa. Termin był krótki. I kto mógł wiedzieć, kiedy zobaczy króla po raz drugi? Musi mówić!

Przemówił więc.

Alfonso słuchał gniewnie. Teraz lis pokazał swe oblicze.

— Czy nie zapewniałeś mnie — powiedział — że chcesz mi pomóc, bym mógł wreszcie rozpocząć moją świętą wojnę? A ty żadasz wpuszczenia do kraju swoich żydów? Mówię ci prosto w twoją chytrą twarz: chcesz zniweczyć moją wojnę. Robisz wszystko, żeby ją zniweczyć. Nie chcesz dopuścić, żebym się pogodził z aragońskim frantem. Szczujesz mnie przeciw Aragonii, a kuzyn twój szczuje ją na mnie. Skradacie się, łżecie, oszukujecie, jak prawdziwi bankierzy, handlarze i żydzi, którymi jesteście. — Król nie krzyczał, mówił cicho; czyniło to jego słowa jeszcze niebezpieczniejszymi.

Jednak nie powinienem był mówić, myślał sobie Jehuda. Ale musiałem. Niebo ma moją przysięgę, nie mogę się cofnąć.

— Obrażasz niesłusznie mnie i mego kuzyna, panie. Czynimy, co możemy. Oczywiście wiele nie możemy. — Ciągnął dalej i jeszcze śmielej: — Znam kogoś, kto może więcej osiągnąć. To żona twoja, królowa. Jest mądrzejsza od nas wszystkich. Udaj się do niej. Poproś ją, by się

postarała przejednać dostojnego don Pedra.

Król chodził tam i z powrotem.

— Jesteś bardzo zuchwały, panie escrivano — rzucił wreszcie; stłumiony głos z trudem ukrywał wściekłość.

Tymczasem Jehuda ciągnął dalej śmiertelnie śmiało, jak gdyby nic nie miał do stracenia:

— Ale nawet gdyby się udało twojej królowej doprowadzić do pojednania, potrzebowałaby na to miesięcy. Przebacz memu płaskiemu umysłowi kupieckiemu, jeżeli nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać tych miesięcy na ściągnięcie owych wychodźców do kraju. Mają ręce i głowy, których możemy dobrze użyć. Kraje twoje, królu, są jeszcze ciągle zrujnowane wskutek wielu wojen. Powinieneś zapewnić sobie przydatnych kolonistów. Proszę cię, królu, nie przekreślaj moich argumentów jednym pociągnięciem ręki, rozważ je, przemyśl.

Don Alfonso miał chęć zakończyć tę wstrętą rozmowę. Może żyd miał rację, zapewne miał rację; już chciał ustąpić. Ale po chwili pomyślał: żyda nie rozzuchwala waga jego słusznych argumentów, lecz coś zupełnie innego.

— Argumenty twoje są może i słuszne — powiedział rozdrażniony — istnieją jednak i słuszne kontrargumenty, które znasz.

Jehuda gotował się do odpowiedzi. Ale Alfonso uprzedził go.

— Nie chcę tego dłużej słuchać! — ryknął.

Ujrzał bladą, zmienioną twarz żyda, pomyślał o córce tego człowieka, o jej twarzy, i dodał:

— No, dobrze już, dobrze, przemyślę wszystko, nie tylko kontrargumenty, ale i twoje argumenty. — Zakończył z poprzednią wymuszoną wesołością: — Nie zapominaj o kabale, w którąś mnie wpakował.

Rozstali się. Król pełen łaskawości, Jehuda pełen udawanej pokory i udawanej otuchy, obaj pełni nieufności.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Przez cały czas Rachela łamała sobie głowę, co to ma znaczyć, że Alfonso pozostawia ją samą na przeciąg tygodnia i dłużej. Nawiedzały ją mgliste obawy. Przeczuwała grożącą interwencję jego Boga.

Potem przyszedł list, w którym wołał ku niej radośnie w trzech językach swego kraju: „Jutro, jutro, jutro”. A potem zjawił się.

Kiedy się ujrzeni, dni rozstania zatonęły bezpowrotnie. W ciągu tego nieskończonego tygodnia oddychali, ale nie żyli. Teraz żyli. Nie było dla nich życia poza Galianą. Wymyślili sobie specjalny język, będący mieszaniną łaciny i arabszczyzny, naszpikowany drobnymi, tajemnymi regułami, nie potrzebowali poza nim żadnego innego; rozumieli się może jeszcze lepiej, kiedy milczeli.

Mimo to wiele się w nich zmieniło. Stali się w stosunku do siebie bardziej świadomi. Alfonso dostrzegał chwilami w jej minach i słowach owo niebezpieczne coś, które ją związywało z jej przeklętym przez Boga narodem; pełen nabożnej, lekko tłumionej radości, myślał o swej decyzji wytrawienia tych cech z jej istoty. Ona ze swej strony nie ukrywała niezadowolenia, które wywoływała w niej jego ogromna miłość dla jego wielkich psów. Pewnego razu zdarzyło się, że się z niechęcią cofnęła przed psami, które ją obskoczyły z pocziwą dobroduszością. Powiedział na to radośnie, ale gniewnie:

— My, książęta hiszpańscy, kochamy nasze zwierzęta. Ojcowie moi, starzy królowie goccy, byli pewni, że w raju odnajdą również swoje psy. Inaczej nie byłby to raj. Wierzyli widocznie w mądrość twego ukochanego Muzy, że dusza bydła idzie na to samo miejsce, co dusza człowieka. — Spostrzegłszy, że żart jego nie spodobał się jej, kajał się gwałtownie: — Przebacz, ukochana! Nie lubisz moich psów, wywołują w tobie lęk, odeślę je. — Ponieważ się wzbraniała, stał się jeszcze gorliwszy, by ją przejednać. — Nie lubisz również mego Belarda. Odeślę i jego.

Z trudem dał się odwieść od swego postanowienia.

Chwilami serce jego mówiło mu, że musi teraz zabrać się do nawrócenia jej na prawdziwą wiarę. Ale w jej pobliżu uświadomił sobie, że jest to przedsięwzięcie bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażał. Przecież jeszcze nawet nie pojęła, kim był on sam. Musi jej dać przede wszystkim poczuć glorię rycerstwa.

Zamówił do Galiany owego kuglarza Juana Velazqueza. Słyszając brutalne, jednostajne dźwięki gitary Rachela myślała o delikatnych harfach, lutniach i fletach Arabów, o ich mismarach, szah-rudach i barbutach. Ale bystre, czułe ucho i zmysł artystyczny pozwoliły jej chłonąć to, co w prostych wierszach i pieśniach kuglarza było żywe. Nie zawsze rozumiała sens jego pośledniej łaciny, ale porywała ją bohatera, rycerska radość jego pieśni.

Juan Velazquez śpiewał o czynach i śmierci margrabiego Rolanda z Bretanii. Jak w dolinie Ronceval stoi z beznadziejnie małym zastępem naprzeciw morza pogan, jak przyjaciel jego Olivier radzi mu, by zadał w swój potężny róg Olifant i wezwał z powrotem wojska króla Karola, wielkiego cesarza. Jak Roland się wzbrania, jak rycerze jego dokonują czynów niewiarygodnie odważnych, jak jeden po drugim padają zabici. Jak Roland, sam ranny, idzie przez pole bitwy i zbiera zwłoki zabitych paladynów, by je dla ostatniego błogosławieństwa zanieść arcybiskupowi Turpin. Jak wreszcie Roland za późno dmie w swój cudowny róg i dalekie góry i doliny odpowiadają echem. Jak zostaje ranny po raz drugi, tym razem ciężko, jak budząc się z długiego omdlenia widzi, że na polu zasłanym trupami jest jedynym żyjącym. Czuje, jak go śmierć chwyta w swe kleszcze, jak od głowy spływa do serca. Czołga się z trudem pod jodłę,

kładzie się na zielonej murawie, ułożywszy głowę w stronę południa, ku Hiszpanii, ku wrogowi, podnosi prawą rękawicę w górę ku Bogu. Archanioł Gabriel odbiera mu rękawicę z ręki.

Rachela słuchała oczarowana, dziecinnie zdumiona. Potem, rozmyślając nad tym, co usłyszała, nie mogła sobie jednego wytłumaczyć: dlaczego bohaterski Roland nie zadał na czas w swój róg; przecież wtedy i on, i jego rycerze pokonaliby wroga. Król był tym chłodnym zastrzeżeniem niemile dotknięty. Ale Rachela poprosiła śpiewaka, by powtórzył strofy o śmierci Rolanda. Oczy jej lśpiły przejęciem i entuzjazmem, Alfonso był pewien, że dusza jej otworzyła się dla wielkości rycerstwa.

Że tak było, okazało się, kiedy mu przywlokła podarunek, o którym mu już wspominała: zbroję arabską. Była sporządzona z wspaniałej, niebieskawoczarnej stali, lekka i wytworna, miała liczne ruchome części. Jasne oczy Alfonsa promieniały. Pomogła mu włożyć zbroję. Była to sprawa męska, nie podobało mu się, że mu pomagała. Ale nie umiał odrzucić tej pomocy.

Uzbrajała go więc, żartując, a jednak pełna entuzjazmu. Stał czarnosiny, bohaterski, żelazna kolczuga dobrze przylegała do mocnej piersi, spod otworów przyłbicy oczy spoglądały radośnie. Zaklaskała w dłonie i zawołała w dziecinnym zachwycie:

— O mój najdroższy, jesteś cudem wśród wielkich cudów Boga!

Zaczęła go obchodzić tanecznym krokiem, nucąc wiersze arabskie: „O bohaterzy! Nioscie nagi miecz, wznosicie nagą dzidę. Pędzicie konno na wroga jak burza. Jakaż to radość wychwalać was w pieśniach”.

Słuchał z uśmiechem, głęboko uradowany. Nigdy jeszcze nie śpiewała mu wojowniczych wierszy. Teraz doszło do tego. Teraz czuła, czym jest wojownik. Teraz mógł mówić o tym wielkim i świętym, o tym, co go z nią złączy na wieki.

Zapytał ją wprost, czy nie chciałyby wysłuchać z nim razem mszy.

Spojrzała. Nie rozumiała. Może to jeden z jego przedziwnych żartów. Uśmiechnęła się niepewnie. Uśmiech jej rozgoryczył go. Ale opanował się i rzekł z dziecinną powagą:

— Widzisz, najukochańsza, jeżeli się dasz ochrzcić, oswobodzisz nie tylko swą duszę, ale i mnie uwolnisz od ciężkiego grzechu, i będziemy mogli bez grzechu i bez pokuty pozostać złączeni na zawsze.

Powiedział to z tak niewinnym wyrazem twarzy, że ją to rozczuliło.

Potem jednak uświadomiła sobie cały ponury sens jego słów i poczuła się do głębi dotknięta. Był z tego, co mu dawała, niezadowolony, w swej wojackiej głupocie i swym nienasyceniu chciał odebrać jej nieśmiertelne dziedzictwo. Czy, mu nie wystarczyło, że już mówiąc, kąpiąc się, śpiąc z niewiernym wywoływała gniew Boga? Jej żywa twarz okazywała wewnętrzną troskę i zmartwienie. Alfonso próbował niezgrabnie przekonać ją. Opór jej był cichy, lakoniczny, zdecydowany.

Wiedziała jednak, że uporczywy z niego bojownik, że łatwo nie popuści. Choć pewna swej wiary, szukała wzmocnienia u swoich, u ojca, u Muzy.

Oświadczyła ojcu, że Alfonso nalega na to, by przyjął chrzest. Jehuda pobladł straszliwie. Powiedziała półgłosem:

— Proszę cię, mój ojczy, nie dręcz mnie swym strachem. Uczyłeś mnie, że jestem Ibn Esra i słowa Wielkiej Księgi odnoszą się do mnie. Pojęłam to.

Z Muzą mówiła bez ogródek. Powiedziała mu, że czuje lęk przed czekającą ją zacieklą walką.

Muza trzymał ją za rękę i opowiadał jej o żydowskich kobietach proroka Mahometa. Z początku prorok chciał zdobyć żydów dla swego objawienia dobroci. Ponieważ wzdragali się, zaczął ich zwalczać mieczem i wielu pozabijał. Podczas jednej z wypraw przyszła do jego obozu dziewczyna żydowska imieniem Zainab, której ojciec i bracia zabici zostali przez wojowników

muzułmańskich. Zainab oświadczyła, że doszła do poznania, iż nie ma Boga poza Allachem, schlebiała prorokowi słowami i ruchami, udawała, że jest w nim zakochana. Spodobała mu się, przespał się z nią, umieścił ją w swym haremie, wywyższał ponad inne kobiety. Zainab zapytała go, co najchętniej jada. Odpowiedział: polędwicę z młodego jagnięcia. Usmażyła więc dla niego jagnię, które zjedli, ale natarła je sokiem z mocnej trucizny. Jeden z przyjaciół skosztował i umarł. Sam prorok wypluł już pierwszy kęs; i on jednak zachorował. Żydówka Zainab oświadczyła, że chciała dać prorokowi okazję do udowodnienia, że jest ulubieńcem Allacha. Takiemu trucizna nie mogła nic zrobić; jeśli nim nie był, zasługiwał na to, by umrzeć. Niektórzy mówią, że prorok przebaczył jej, inni, że ją kazał zabić.

Miasto Kaibar, zamieszkane niemal wyłącznie przez żydów, stawiało Mahometowi wyjątkowo zaciekły opór. Większość mężczyzn Kaibaru zginęła w walce; pozostałym, w liczbie sześciuset, prorok kazał po zdobyciu miasta ścinać głowy. Wśród pojmanych kobiet znajdowała się niejaka Safia. Mąż jej padł, ojcu ścięto głowę. Safia nie miała jeszcze lat siedemnastu i była tak piękna, że Mahomet wziął ją do swego harem, choć już zaznała mężczyzny. Kochał ją bardzo, zginał kolano, by łatwiej jej było dosięść wielbłąda, zasypywał ją skarbami, nie przestał jej kochać aż do śmierci. Przeżyła go o lat czterdzieści pięć.

Tak opowiadał Muza.

— A więc te kobiety wyparły się Boga Adonai? — zapytała Rachela.

— Gdyby nauka Mahometa wprawiła dziewczynę Zainab w zachwyt — odparł Muza — nie próbowałyby chyba otruć go. A co się tyczy Safii, przekazała swe bogactwa krewnym, którzy pozostali żydami.

Później Rachela zapytała:

— Często mówisz o proroku bez szacunku. Dlaczegoż pozostajesz przy islamie, wuju Muzo?

— Jestem wyznawcą trzech religii — odparł Muza. — Każda ma swoje dobre strony, każda głosi prawdy, w które rozsądek wzdraga się wierzyć. — Podszedł do pulpitu, zaczął kreślić koła i arabeski, powiedział poprzez ramię: — Dopóki jestem przekonany, że wiara mego ludu nie jest gorsza od wiary innego ludu, czułbym wstręt do siebie samego, gdybym opuścił wspólnotę, w której się urodziłem. — Mówił spokojnie, jednostajnym głosem, słowa jego zapadły w Rachelę głęboko.

Kiedy Muza został sam, chciał pracować dalej nad swoją „Historią muzułmanów”. Rozmyślał jednak nad tym, co powiedział Racheli, dziwił się, że użył słów tak mocnych, nie mógł skierować myśli na swe dzieło.

Zamiast tego napisał: „Czasy są tak pełne broni, rycerzy, żelaza i hałasu, że szczękają nawet słowa mędrca, miast być cichymi jak szum wieczornego wiatru w wierzchołkach drzew”.

Don Rodrigue mówił niechętnie o łasce, która mu przypadła w udziale, o swoich zachwyceniach, o owocach swej ascezy. Wolał, by go uważano za badacza i uczonego. Był szczery. Bo przy całej nabożności był opętany żądzą ostrego, sceptycznego myślenia. Zachwycały go wspaniałe igraszki rozumu, znajdował ogromną przyjemność w dyskusjach ze sobą samym i z innymi na temat argumentów zarówno za jakąś tezą, jak i przeciw niej. Wśród uczonych w Piśmie swego stulecia lubił najbardziej Abelarda. Nauka jego, że droga prowadząca od filozofii wielkich pogan do ewangelii jest krótsza od drogi, wywodzącej się ze Starego Testamentu, przykuwała go. Raz po raz zagłębiał się w śmiałym dziele Abelarda: „Sic et Non”, „Tak i Nie”, w którym przeciwstawione sobie były sprzeczne zdania Pisma Świętego; uporanie się z tymi sprzecznościami pozostawiał autor czytelnikowi.

Don Rodrigue wiedział, że wolno mu posunąć się do najodleglejszych granic tego niebezpiecznego obszaru. W duszy jego bowiem było miejsce, do którego nie docierała żadna

wątpliwość przemądrzałego rozsądku; tam znajdował ochronę przed wszystkimi atakami.

Ta cicha, niezniszczalna pewność w sprawach wiary pozwalała mu odwiedzać w dalszym ciągu castillo Ibn Esra i prowadzić przyjazne utarczki słowne z kacerzem Muzą.

Jeżeli chodzi o Muzę, to wiedział on, że może z kanonikiem mówić bez zastrzeżeń o sprawach ryzykownych, nie bał się więc dotykać przed nim takich wydarzeń, jak królewska miłośćka.

— Nasz przyjaciel Jehuda — mówił — miał nadzieję, że opanowanie Racheli i jej łagodne obyczaje okiełznają nieujarzmioną żołnierskość don Alfonsa. Tymczasem jest ona wyraźnie tą jego żołnierskością oczarowana. Obawiam się, że życie w La Galianie raczej nawróci naszą Rachelę do rycerskiego ducha, niż skłoni króla do głoszenia pokoju.

— Nie możesz żądać — odparł Rodrigue — żeby don Alfonso miał w czasie trwania wyprawy krzyżowej czułe ucho dla pieśni o pokoju.

Muza siedział wygodnie, nieco pochylony naprzód, w jakimś kącie i medytował:

— Wasze wyprawy krzyżowe! Nie mieści mi się w głowie, jak to się dzieje, że, nazywając swego Zbawiciela Księciem Pokoju, pobożnie i z wiarą wzywacie w jego imieniu do wojny.

— Czy to nie wy wydaliście na świat świętą wojnę, drogi mój czcigodny Muzo? — zapytał łagodnie kanonik. — Czy to nie Mahomet głosił naukę Dżihada? Nasze belłum sacrum jest jedynie obroną przed waszym Dżihadem.

— Ale prorok — oświadczył Muza w zamyśleniu — zaleca wojnę świętą tylko temu, kto jest pewny zwycięstwa.

Zauważył, że uwaga ta nie spodobała się gościowi, przeszedł więc uprzejmie na inny temat.

— Dziwnie okrężnymi drogami chadza los — powiedział — by oszczędzić naszemu półwypowi wojny. Obawialiśmy się wszyscy, że gwałtowna namiętność króla, pana naszego, doprowadzi do nieszczęścia. Tymczasem przynosi błogosławione skutki. Dopóki bowiem Rachelą będzie króla mocno trzymała, nie wyruszy on chyba przeciw kalifowi. Jak samowolna i dziecinna jest owa potęga, którą określam jako Kadar, a którą ty, mój wielce dostojny przyjacielu, nazywasz Opatrznością.

Sprowokowany w ten sposób kanonik osadził bluźniącego starca.

— Jeżeli zarzucasz boskości ślepotę i pozbawioną sensu nieobliczalność, to wytłumacz mi, proszę, dlaczego dążysz do mądrości? Cóż pomoże cała mądrość?

— Poznawanie dwuznaczności wydarzeń — powiedział ochoczo Muza — oraz ich wewnętrznych przeciwieństw z pewnością wielkiego pożytku nie przynosi. Ale mnie poznanie rozgrzewa serce. Przyznaj i ty, czcigodny przyjacielu, że i ciebie zachwyca.

Po takich rozmowach don Rodrigue wyrzucał sobie zapewne radość odczuwaną z obcowania z bezbożnikiem i postanawiał sobie zaniechać swych wizyt w castillo Ibn Esra albo je przynajmniej ograniczyć.

Samo niebo dało mu znak. Król bowiem, uświadomiwszy sobie, że nigdy nie uda mu się samemu skruszyć powłoki niewiary, otaczającej Rachelę, poprosił go o pomoc. Nie mogąc odrzucić pobożnego życzenia widział się zmuszonym kontynuować wizyty w castillo.

Znowu więc byli razem w okrągłej sali, jak dawniej, Muza, Rachelą, kanonik i młody don Beniamin. Rodrigue przyprowadził go, by jego zamiar nawrócenia Racheli nie był zbyt wyraźny.

Niełatwo przychodziło Beniaminowi zachować wobec Racheli bez troskę. W ciągu tych tygodni rozmyślał ciągle nad losem, który jej przypadł w udziale, nad jej ciężkim, niebezpiecznym szczęściem. Dopiero gdy się przeniosła do Galiany, zorientował się, co dla niego oznaczała; żądza, zmieszana z gorzką rezygnacją, zabarwiała teraz i przedziwnie pogłębiała jego

przyjaźń.

Liczył, że spotka Rachelę bardzo zmienioną, ale siedziała przed nim taka sama, jak dawniej. Był rozczarowany i uszczęśliwiony; tak systematyczny zazwyczaj młody uczonek nie umiał uporządkować swych myśli. Ukradkiem badał raz po raz jej twarz, słuchał jednym uchem tego, co mówili inni, milczał.

Don Rodrigue czekał na sposobność rozpoczęcia swego dzieła nawracania. Nie był gorliwcem, nienawidził wszelkiej niezręczności, czekał na właściwe słowo, do którego mógłby nawiązać. Chwila jego nadeszła, kiedy Muza znowu zaczął rozwodzić się nad swym ulubionym tematem, że każdy naród musi przeżyć okres swego rozkwitu i okres upadku.

— Jest to zgodne z prawdą — przytaknął kanonik — ale jak niewiele narodów chce uświadomić sobie, że czas ich minął. Mamy oto naród żydowski — pouczał. — Można ostatecznie zrozumieć, że po zjawieniu się Zbawiciela jeszcze w ciągu stulecia lub dwóch żydzi wmawiali w siebie, że recepty na zbawienie, zawarte w ich Wielkiej Księdze, są w dalszym ciągu ważne i państwo ich znowu powstanie. Teraz jednak już przeszło tysiąc lat żyją w nędzy i ciągle jeszcze nie chcą przyznać, że błogosławieństwa Izajasza spełnione zostały właśnie przez przyjście Zbawiciela. Chcą przechytrzyć czas i wbrew oczywistości trwają przy swoim błędzie.

Nie patrzył na Rachelę ani na Beniamina, nie wygłaszał kazania, dyskutował z Muzą jak filozof z filozofem. Ale Beniamin miarkował dobrze, dokąd zmierza, jak niewinnie, pobożnie i równocześnie okrutnie chciał obrzydzić Racheli jej żydostwo. Wyrwało go to z jego snów i stał się wymowny.

— Nie chcemy wcale przechytrzać czasu, dostojny ojczy — bronił wiary swojej i Racheli — przeciwnie, wiemy, że czas jest z nami, nie przeciw nam. Nie interpretujemy obietnic zwycięstwa, zawartych w naszej Księdze, w sposób płaski i dosłowny. Zwycięstwa, obiecane nam przez proroków, nie są zwycięstwami miecza i nie do takich zwycięstw tęsknimy. Nie jesteśmy zbyt wysokiego mniemania o rycerzach, żołdakach i maszynach oblężniczych. Sukcesy ich nie są trwałe. Dziedzictwem naszym jest Wielka Księga. Zajmowaliśmy się nią przez dwa tysiące lat, podtrzymywała nas w nieszczęściu i rozproszeniu tak samo, jak w okresach blasku, tylko my umiemy ją właściwie tłumaczyć. Obiecuje nam zwycięstwa ducha, których nie wyrwie nam żadna wyprawa krzyżowa, żaden Dżihad.

— Tak — odparł szydlerczo i melancholijnie don Rodrigue — eritis sicut dii, scientes bonum et malum; ciągle jeszcze wierzycie słowu rajskiego węża. A ponieważ, przyznaję to, jesteście przed innymi pobłogosławieni rozumem, uważacie się za wszechwiedzących. Ale właśnie to czyni was ślepych i przeszkadza rozumieć to, co namacalne. Mesjasz zjawił się od dawna, czas został dokonany, błogosławieństwa spełniły się. Wszyscy to widzą, tylko wy widzieć nie chcecie.

— Czas Mesjasza nadszedł? — zapytał don Beniamin z goryczą. — Nie widzę nic podobnego. Nie widzę, byście swoje miecze przekuli na lemiesz, a dzidy wasze na noże do obcinania winnej latorośli. Nie widzę, by Alfonso pał się na jednej łące z kalifem. Nasz Mesjasz przyniesie światu prawdziwy pokój. Co wy wiecie o pokoju? Pokój — szalom, nawet nie rozumiecie tego słowa! Nawet nie możecie go przetłumaczyć na swoje biedne języki.

— Występujesz bardzo wojowniczo za pokojem, mój drogi don Beniaminie — próbował uspokoić go Muza.

Ale Beniamin nie słuchał go. Rozpalony bliskością Racheli, wybuchnął:

— Czymże jest ten wasz żaloszny pax, wasza treuga Dei, wasza żaloszna Eirene. Szalom, oto doskonałość, oto szczęśliwość; wszystko, co nie jest szalomem, jest złe. Królowi naszemu Dawidowi nie było dane zbudowanie świątyni, bo był tylko zdobywcą i wielkim królem. Mógł ją zbudować dopiero Salomon, król pokoju, ponieważ za jego panowania każdy żył bezpiecznie w

cieniu swej winnicy i drzew figowych. Ołtarz, nad którym unosi się oręż, ulega zbezczeszczeniu, nie jest godzien Boga — oto nasza nauka. A wy czcicie waszego Mesjasza napadając na jego Jerozolimę, miasto pokoju, i burząc ją. Jesteśmy biedni i goli, ale wy z całym waszym blaskiem i z całą waszą wspaniałą bronią jesteście durniami. Nam obiecano tę ziemię, do nas należy. Ponieważ tak napisano, prowadźcie wojnę, podobnie jak muzułmanie. Byłoby to śmieszne, gdyby tak nie rozdzierało serca.

Gwałtowność młodzieńca wpłynęła na kanonika łagodząco.

— Mówisz o szczęśliwości, mój synu — powiedział — nazywasz ją szalom, twierdzisz, że jest waszym dziedzictwem. Nazywamy ją inaczej, ale czyż to nie obojętne, jakie jej damy miano? Nazywacie ją szalom, my określamy ją jako wiarę i łaskę. — Wstydlivy na ogół, musiał teraz wypowiedzieć to, co przechowywał w swej piersi. — Łaska, mój synu — mówił dalej — nie jest obietnicą dalekiej przyszłości, istnieje w świecie. Nie jestem tak wymowny jak ty, nie mogę jej wytłumaczyć. Nie można jej osiągnąć ani zapewnić wysiłkiem rozsądku. Jest najwyższym darem bożym. Nie możemy czynić nic więcej, tylko modlić się o nią. — Zakończył mocno, z głębi serca: — Wiem, że łaska istnieje. Jestem szczęśliwy w swej wierze. I modlę się do Boga, by również i innym użył tej łaski.

Cały Zachód prowadził tak niezliczone rozmowy o tym, która wiara jest najlepsza. O tę kwestię sporną, o pierwszeństwo chrześcijaństwa toczyła się wojna. Dyskusje pełne były namiętności.

Również i w cichej, okrągłej sali Muzy kanonik i don Beniamin często jeszcze debatowali na temat wiary. Ale Beniamin powściągał teraz swą gwałtowność; nie chciał swego wielce szacownego nauczyciela Rodriga raz jeszcze martwić gwałtownym atakiem. Było widoczne, że doña Rachela nie potrzebowała umocnienia w swej wierze. Podczas swego pierwszego wybuchu Beniamin stwierdził z radością, że słuchała go z wielkim zainteresowaniem. W dalszych dyskusjach zadawał się więc wskazywaniem na wewnętrzny rozsądek żydostwa, którego Bóg nie wymaga od swych wyznawców ofiary rozumu. Ze spokojem naukowca cytował zdania z pięknej księgi pisarza Jehudy Halewiego: „W obronie upokorzonej wiary”, lub powoływał się na argumenty z dzieł wielkiego Mojżesza Ben Maimona, który teraz rozkwitał w Kairze. Kanonik przeciwstawiał mu z równym spokojem argumenty z świętego Augustyna lub Abelarda. Rachela mówiła rzadko i rzadko stawiała pytania. Słuchała jednak uważnie i zdania Beniamina zapadały głęboko w jej duszę. Oboje znowu bardzo się do siebie zbliżyli.

Beniamin nie ukrywał przed sobą, że ją kocha. Ale nie zdradzał tego na zewnątrz, zachowywał się jak przyjaciel. I Rachela, i on czuli się w obliczu starców młodymi, byli dobrymi kolegami.

Znalazłszy się kiedyś sam na sam z don Rodrigiem, Muza zapytał, dlaczego właściwie chce zachwiać wiarą Racheli; przecież szanowany przez niego Abelard poucza, że trzeba być wobec cudzej wiary cierpliwym, dopóki wiara ta nie wykracza przeciw nakazom naturalnego rozsądku i obyczajności.

— Czy nie jestem wobec ciebie dostatecznie cierpliwy, czcigodny mój Muzo? — zapytał kanonik. — Nie mogę ci powiedzieć, jaki byłbym szczęśliwy, gdyby taka mens regalis jak twoja, umysł tak królewski, ukoronowany był przez łaskę. Ale nie jestem do tego stopnia zuchwały, by przypuszczać, że mogłoby mi być dane oświecić cię. Nie jestem gorliwcem, nie leży w mojej naturze napastowanie kogoś, o tym wiesz dobrze. Kiedy jednak patrzę w tę łagodną, piękną, niewinną twarz waszej Racheli, odczuwam chęć walki o jej duszę. Znając dobrą nowinę byłbym grzesznikiem, gdyby ją przed nią zamilczał.

Króla niecierpliwiło, że wysiłki jego i don Rodriga o zdobycie duszy Racheli pozostawały daremne.



Stał z Rachelą przed jedną z sentencji hebrajskich. Odczytywała mu zawarte w niej zdania i przetłumaczyła je kilka tygodni temu, ale miał dobrą pamięć i zachował je w niej tak, że mógł powtórzyć niemal słowo za słowem: „Zgotuję ci drogę z drogocennych kamieni oraz domy z kryształu. Żadna broń skierowana przeciw tobie niechaj cię nie dotknie, a język, wymierzony w ciebie, niechaj będzie przeklęty”. W głosie jego był szyderczy podziw, wąskie wargi wykrzywił zły uśmiech.

— Nie rozumiem dobrze, dlaczego właśnie te słowa tutaj umieściłaś? Chcesz się sztucznie oślepić? Gdzież są te wasze drogi z drogocennych kamieni? Przecież od lat przeszło tysiąca jesteście wynędzniali i bezsilni, życie z naszego miłosierdzia. Jak długo jeszcze chcecie waszą smutną nagość zdobić pstrymi, pustymi obietnicami? Żałuję, że jesteś tak zacięta.

Po raz pierwszy uderzył w nią tak prostacko. Mogła na tę zakłamaną i złośliwą paplaninę odpowiedzieć, ale nie chciała sprzeczkii. Powiedziała więc spokojnie:

— Wasz wielki doktor Abaelardus poucza, że chrześcijanom przystoi cierpliwość w stosunku do każdej rozsądnej religii.

— Ale wasza nie jest rozsądna — zagrzmiał złowrogo król. — W tym właśnie rzecz cała.

Rachelę bolało, że ten ukochany człowiek znieważał to, co miała najlepszego. Brzmiały jej w uszach słowa Beniamina, broniącego wiary żydowskiej właśnie przy pomocy dowodów jej mądrości. Skoro jednak mądry, wymowny Beniamin nie potrafił przekonać łagodnego don Rodriga, jak mogła ona wytłumaczyć gwałtownemu Alfonsowi właściwe znaczenie Wielkiej Księgi? W dodatku w jego ponurej łacinie. Patrzyła mu w twarz wielkimi, niebieskoszarymi oczyma. Tak, wierzył naprawdę w to, co powtarzał za innymi. Ci chrześcijanie wysyłali tysiące razy tysiące rycerzy i żołdaków do Ziemi Świętej i nie mogli jej zdobyć. Ciągłe jeszcze nie rozumieli, że kraj ten nie jest im przeznaczony. A teraz również i jej Alfonso wydrwiwa obietnice tych, do których kraj należał. Patrzyła na niego i nagle musiała się roześmiać z powodu ślepoty ludzkiej, a zwłaszcza ślepoty swego Alfonsa.

Już jej milczenie i uważny wzrok drażniły go. Teraz śmiech jej wywołał w nim gniew. Pod zmarszczonym czołem lśniły groźnie jego jasne oczy.

— Nie śmieć się! — ofuknął ją. — Milcz! Nie bluźnij przeciwko naszej świętej wojnie, ty, niewierna!

W milczeniu opuściła komnatę.

Po dwóch godzinach szukał jej wszędzie, w domu i w ogrodzie, a ona szukała jego. Kiedy się znaleźli, uśmiechał się z zakłopotaniem jak chłopak. I ona się uśmiechnęła. Ucałowali się.

Wśród pocałunków powiedziała:

— „Choćbyście czuli gniew ku drugiemu człowiekowi, nie powinniście go unikać. Odszukajcie go, pozdrówcie, pomówcie z nim łagodnie i bez ostrego żądła w stosunku do tego, co wam w nim niemiłe. To nowe żądło miłości. Lepszy z was będzie ten, kto przyjdzie pierwszy i pozdrowi”. Tak napisane jest w Koranie. Przyszliśmy oboje. Żadne z nas nie jest lepsze.

Jehuda widział od miesięcy, jak syn jego skłania się ku społeczności tamtych. Kiedy jednak Alazar dał się rzeczywiście ochrzcić, ogarnęło go przerażenie, jak gdyby stanął wobec czegoś nieoczekiwanego.

Teraz dopiero zobaczył pełne rozmiary swej winy. Nie kochał Alazara dostatecznie, nie tak, jak Rachelę. Alazar spędził całe dzieciństwo jako muzułmanin wśród muzułmanów, Jehuda sam wysłał go na pełen pokus dwór chrześcijańskiego króla, zanim chłopiec zdołał dobrze zrozumieć, czym jest żydostwo. Teraz syn jego stał się zdrajcą, sprzedał swą pozycję członka narodu wybranego za misę soczewicy rycerstwa, był zgubiony, wymazany, na zawsze wykreślony z księgi tych, którzy mieli zmartwychwstać na Sądzie Ostatecznym.

Jehuda oplakiwał go jak zmarłego. W ciągu siedmiu dni siedział na ziemi w porozdzieranych szatach.

Przyszedł don Efraim Bar Abba, by go pocieszyć. Parnas odczuwał zgrozą przed Jehudą i jego potwornym losem. Nie mógł go spotkać cios okropniejszy niż to odszczepieństwo jedyne go syna. Odszczepieńcy byli od dawien dawna najokrutniejszymi wrogami żydów, teraz ten młodociany syn Jehudy był takim od-szczepieńcem. Ale obowiązek nakazywał pocieszyć bolejącego. Don Efraim opanował więc niechęć i przerażenie, przybył, pochylił się nad Jehudą i wypowiedział formułę: „Bądź pochwalony, Adonai, Boże nasz i sprawiedliwy sędzio”. Przysłał ponadto dziesięciu najlepszych mężów aliamy, by odmawiali przepisane modlitwy.

Jehudę przynębiała nie tylko żałoba po synu, ale również zuchwała obietnica otworzenia dla uchodźców z Francji granic Kastylii. Termin, po którego upływie czekała go kara wielkiej klątwy, mijał. A do króla nie mógł się już dostać. Ukradłszy mu oboje dzieci, naprzód córkę, teraz syna, Alfonso będzie robił wszystko, by go undkać jeszcze bardziej.

Nadeszły dni noworoczne, ponuro uroczyste dni Rosz Haszany, przeznaczone na obrachunek sumienia. Rachelą spędziła święto u swojego ojca. Nie mówił o odszczepieństwie Alazara, widziała jednak, jak głęboko z tego powodu cierpiał. Ją samą wstrząs, wywołany chrztem brata, tylko zahartował w świętym zamiarze trwania przy swoim Bogu.

Jehuda zamówił do swego domu bieglego, by dał w barani róg, szofar; każdy żyd miał obowiązek podczas tego święta pokuty wysłuchać jego ostrzegawczego dźwięku. Jest to bowiem dzień, w którym Bóg wspomina o wszystkim, co stworzył, w którym sprawuje sąd i określa losy ludzkie. Wrzaskliwy, przeszywający dźwięk rogu napełniał Rachelę nabożną trwogą, w swej wierze w bajki widziała, jak imiona sprawiedliwych wpisane zostają niewidoczną ręką w księgę życia i pomyślności, imiona zaś złych wymazywane.-Decyzja jednak co do tych, którzy nie byli ani dobrzy, ani źli, czyli co do ogromnej większości, była odsunięta do święta Pojednania, by mogli jeszcze wykorzystać dziesięć dni na czynienie pokuty.

Po południu, jak tego wymagał obyczaj, udali się nad płynącą wodę. Wyszli za miasto nad rzekę Tag. Rzucali do rzeki okruszyny chleba oraz swoje grzechy, by rzeka zaniósła je do morza, i mówili słowa proroka: „Gdzie jest Bóg, taki jak ty, co przebacza grzechy i odpuszcza niewierność, który nie trwa wiecznie w swym gniewie, gdyż sprawia mu radość być miłosiernym. Lituje się nad nami, zmazuje naszą winę, zatapia nasze grzechy w głębinach morza”.

Zapadał już zmierzch, kiedy powrócili do domu. Sługa przyniósł światło. Ale Jehuda dał znak ręką, by je zabrał. Kiedy więc zaczął mówić, Rachelą nie widziała wyraźnie jego oblicza.

— Nagrobki dawnych Ibn Esrów — powiedział — dowodzą, że pochodzimy z plemienia króla Dawida. A teraz syn mój, brat twój Alazar, zdradził swoje królewskie dziedzictwo i zmarnował je. Ojciec twój nie jest w tym okropnym nieszczęściu bez winy. Ciężka to wina, kajam się i choć łaska boża jest głęboka jak morze, nie czuję, żeby mi była odpuszczona.

Ojciec mówił z Rachelą o winie po raz pierwszy; dusiło ją współczucie. Jehuda opowiadał dalej, że wziął na siebie pokutę nietatwą, i wtajemniczył ją w swój plan osiedlenia w Kastylii żydów z Francji.

Rachelą słuchała uważnie, ale nie odpowiedziała i nie pytała. Przemógłszy się mówił więc dalej.

— Przedłożyłem mój plan — oświadczył — królowi, panu naszemu, nie powiedział ani tak, ani nie. Złożyłem ślubowanie, a czas nagli.

Odkąd mieszkała w La Galanie, mówił z nią o Alfonsie po raz pierwszy. To, że nazwał go królem, naszym panem, uderzyło w Rachelę jak piorun. Wszystko, co ojciec mówił, spadało na nią jak lodowata woda, przerażało, wzburzało. Czuła wezwanie, broniła się przed nim.

Niesłusznie obarczał ją tym, co powinien był wziąć na własne barki.

Nie mówił dalej, nie nalegał. Kazał przynieść światło, niesamowity, niezwykle nastrój ulotnił się. Ujrawszy jej oblicze w łagodnym blasku świec i lamp olejnych uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczora i powiedział:

— Jesteś naprawdę księżniczką z domu Dawida, moje dziecko.

Zanim Rachela powróciła rankiem do La Galiany, oświadczyła ojcu:

— Pomówię z królem, panem naszym, o żydach z Francji.

Kiedy Rachela oświadczyła królowi, że spędzi święta Nowego Roku w castillo Ibn Esra, nie okazał swego głębokiego niezadowolenia. Pozostał w ciągu tych dni w La Galianie. Wydawało mu się nie do zniesienia być w Toledo tak blisko Racheli i tak bezgranicznie od niej daleko. Był rozgniewany na Rachelę, na Jehudę, na Boga Jehudy i jego święta.

Były cudowne, jasne, jesienne dni, ale nie dawały mu radości. Polował, nie bawiło go jednak polowanie ani psy. Nie bawiła go ani rzeka Tag, ani rozmowa z jego poddanym Belardem. Myślał o tym, co mu Rachela opowiadała o święcie Nowego Roku, o tym, jak się modli i skamle do swego Boga, by jej przebaczył popełnioną zbrodnię dzielenia żądz i miłości ze swym królem.

Wróciła i cały niedobry ciężar spadł z niego. Wkrótce jednak, choć wydawało się, że i ona szczerze się raduje z zobaczenia go znowu, nie mógł nie zauważyć, że Rachela wróciła odmieniona; na twarzy jej leżało dziwne, zamyślane ukojenie. Nie mógł się powstrzymać od złośliwego zapytania, czy stosownie do swego zamiaru wyrównała rachunek ze swym Bogiem. Wydawało się, że nie bierze mu szyderstwa za złe, może go nie zauważyła, patrzyła na niego w milczeniu, zatopiona w sobie samej. Milczenie jej poruszyło go bardziej niż jakikolwiek opór. On nie mógł się odważyć na spowiedź, żaden duchowny nie dałby mu rozgrzeszenia, natomiast ona pojednała się ze swym Bogiem. Zastanawiał się, co by jej powiedzieć niedobrego, bolesnego.

Nagle zaczęła mówić. Tak, powiedziała z dziwnie poważną lekkością, teraz rozpoczęły się wzniosłe dni, w których grzesznik, kiedy pokutuje naprawdę, może się uratować. Bowiemy w dniu Nowego Roku Bóg wpiisuje wprawdzie swój wyrok, ale dopiero w dziesięć dni później, w święto Pojednania, wyciska pieczęć; modlitwa, dobre uczynki i prawdziwa skrucha mają moc odwrócenia wyroku. Powziąwszy nagle decyzję, ciągnęła dalej:

— Gdybyś tylko chciał, mój Alfonso, mógłbyś mi dopomóc w znalezieniu w oczach Boga pełnej łaski. Znany ci jest nieszczęsny los mego ludu we Francji. Czy nie chciałbyś otworzyć granic dla moich braci?

Na Alfonsa napłynęła fala wściekłości. A więc to była pokuta, nałożona jej przez kapłanów. Miała go skłonić do tego, by w czasie trwania wojny świętej zalał swój kraj niewiernymi, miała go poróżnić z jego ludem i jego Bogiem, wtedy Bóg jej, Adonai, da się przejednać. Był to najgorszy, najbrudniejszy handel, do jakiego kiedykolwiek chciano go popchnąć. Miał zostać oszukany jak ostatni dureń, miał zapłacić za jej miłość i jej ciało swą duszą. Ale nie da się złapać tym oszustom, nie da na sobie nic wymusić, o nie!

Z zaciekłym wysiłkiem odtrącił dzikie, plebejskie słowa, które mu się cisnęły na usta. Zamiast tego rzucił jej w twarz umiarkowane słowa łacińskie; minę miał srogą, wykrzywioną, mówił głośno, władczo, jak gdyby się zwracał do zgromadzenia wrogich grandów.

— Nie życzę sobie omawiania w La Galianie spraw państwowych. Nie życzę sobie omawiania ich z tobą. — Odwrócił się brutalnie i odszedł.

Kiedy później chciał przyjść do niej w nocy, oświadczyła, że kobiety żydowskie mają zwyczaj owe noce, przeznaczone na pokutę, spędzać w łóżku same. Wtedy gniew jego przerwał wszystkie tamy. Co, miał się liczyć z tymi jej głupimi przesądami? A może był to nowy, sprytnie obmyślany kruczek dla wymuszenia na nim edyktu dla jej żydów? Czy wzbraniała mu się tylko

dlatego? Rzucając na nią dzikie spojrzenia powiedział niebezpiecznie cicho:

— Stawiasz mi warunki, co? Mam wpuścić do kraju twoich ży-dów-żebraków, a za to ty wpuścisz mnie dziś w nocy do siebie? Wypraszam to sobie. Jestem w tym domu i w tym państwie panem!

Spojrzała na niego szeroko otwartymi, szarymi oczyma, w których kryły się i skarga, i wyrzut, przerażona, a jednak bez bo-jaźni. Rzucił się na nią, cisnął ją na posłanie, chwycił brutalnymi rękami jak wroga. Broniła się, dysząc ciężko. Pokonał jej opór, rozerwał na strzępy szatę, wziął ją gwałtem, zły, ponury, nie odczuwając rozkoszy.

Jeszcze tej nocy opuściła Galianę i udała się do castillo Ibn Esra.

Alfonso słyszał, jak opuszczała dom razem z piastunką Saad. Droga na skałę, na której stało Toledo, była krótka, ale w nocy nie pozbawiona niebezpieczeństw. Wahał się, potem posłał zbrojnego, by jej towarzyszył. Ale ten nie zdołał jej dogonić. Niechże ma, jak chciała, pomyślał, żądny zemsty. To jej wina. Dobrze, że się tak stało. To zrządzenie niebios. Teraz mnie nic nie powstrzyma. Teraz ruszę na muzułmanów. To oni są winni, że od tak dawna noszą piętno hańby. Frant z Aragonii przeliczył się. Nie będę rozpierał się w łóżu rozpusty, kiedy uderzy na muzułmanów.

Gdy nadszedł ranek, postanowił był wspaniałomyślnym i jeszcze dzień pozostać w La Galiaaie. Może wróci. Mimo usprawiedliwionego gniewu chciał się z nią rozstać w przyjaźni. Okres taki cudowny nie powinien skończyć się tak głupio i wstrętne.

Snuł się po domu i po parku, pełen nieco nerwowej wesołości. Dalila chciała go wydać Filistynom, ale nie był głupim Samso-nem, nie dał sobie ukraść siły. Piękne życie tutaj okazało się złudzeniem, odbiciem pustyni, ale rozwiął je świeży wiatr i otoczyła go zdrowa rzeczywistość.

Stał przed mezuzą, którą kazała tu umieścić. Była to rurka z kosztownego metalu, przez oszklony otwór widać było groźne słowo „Szaddai”. Miał ochotę zerwać pogańskie narzędzie, ale bał się, że ściągnie na siebie gniew jej Boga, i zadowolił się rozbiciem szkła pięścią. Odłamki zraniły mu rękę, krwawiła mocno. Otarł rękę, krwawiła dalej, przyglądał jej się z gniewnym uśmiechem. Ci, co przypuszczali, że się tu będzie wylegiwał, otworzą szeroko oczy. Będzie teraz walczył. Będzie walił swym wspaniałym mieczem Fulmen Dei. W pobożnej, błogosławionej przez Boga, męskiej walce zwalczy wszystkie głupie myśli, wyrzuci ze swej krwi grzechy i wątpliwości, cały ten ciężki, wyczerpujący pogański koszmar.

Powiedział do Belarda ze sztuczną wesołością:

— Może już niedługo, mój pocziwczu, spełnią się twoje nadzieje. Wyciągnij skórzany kubrak swego dziadka i jego skórzaną czapkę. Dam ci sposobność przewietrzyć je.

Wydawało się, że ogrodnik Belardo jest bardziej przerażony niż ucieszony.

— Służę waszej wysokości wszystkim, co mam — powiedział — również i skórzanym kubrakiem mego dziadka. Ale przecież ktoś musi zostać tu i pracować łopata. Czy chcesz, by ogród twój niszczał, panie?

Ociąganie się ogrodnika dało Alfonsowi do myślenia.

— Przecież jutro jeszcze nie wyruszam — powiedział ze złą miną. Byli w pobliżu zrujnowanych cystern, zburzonej maszyny do mierzenia czasu rabbiego Chanana. Alfonso rozkazał zniecka: — Na razie zasypimy to. Inaczej ktoś gotów w to wpaść w nocy.

Rachela nie wróciła również i dnia następnego. Pojechał więc do Toledo. W zamku chyba już wiadano, że się posprzeczał z Rachelą, twarze były bowiem radośnie odprężone.

Rzucił się w wir pracy.

Było tak, jak żyd przewidział: kraj rozkwitał, skarb Kastylii był pełny. Może Jehuda miał również rację i w tym, że pieniędzy ciągle jeszcze nie było tyle, by móc wojować z kalifem. Ale

żyd myli się, jeżeli sądzi, że przy pomocy tego rodzaju pretekstów będzie w stanie powstrzymać go dłużej od spełnienia świętego obowiązku. Żydzi dostatecznie długo tuczili się tłuszczem kraju; wystarczy, by za przykładem kuzyna Filipa Augusta zabrał im znowu pieniądze, a będzie miał ich dosyć na wojnę z kalifem.

Powiedział do Manrique:

— Nie wytrzymam tego dłużej, żeby być tutaj eques ad fornacem, rycerzem siedzącym za piecem, kiedy całe chrześcijaństwo toczy wojnę. Obliczyłem, zastanowiłem się i sądzę, że się mogę odważyć.

Na to don Manrique:

— Twój escrivano, który jest dobrym rachmistrzem, ocenia sprawę inaczej.

— Nasz żyd — odparł wyniośle Alfonso — pominął w swym rachunku jedną pozycję: honor. Na honorze zna się tyle, ile ja na Talmudzie.

Manrique był zatroskany.

— Ostatecznie zrobiłeś go stróżem twojej gospodarki — odrzekł — a więc bronienie jej jest jego obowiązkiem. Nie daj się powodować gorliwością don Martina — prosił. — Pokusa wyprawy jest wielka, ale jeżeli nie mamy pieniędzy, żeby przez dwa lata przetrzymać, państwo może zginąć po takiej wyprawie.

Alfonso nie miał w głębi ducha zaufania do wyliczeń Ibn Esry. Jego zdaniem Jehuda starał się zapobiec świętej wojnie, ponieważ tylko podczas pokoju mógł ściągnąć do kraju swoich żydów. Ale do powzięcia tak zuchwałego planu upoważniła żyda jedynie nieszczęsna namiętność króla i dlatego wstyd było Alfonsowi mówić swym podejrzeniu z przyjacielem Manrique.

Zamiast tego gniewał się:

— Zwlekacie i zwlekacie, a ja jestem tym, który musi pozwolić, by go chrześcijaństwo szarpało za brodę.

— Pertraktuj z Aragonią, don Alfonso — radził sucho Manrique. — Rozmów się z don Pedrem. Zawrzyj uczciwe przymierze.

Król, niezadowolony, pożegnał swego przyjaciela i doradcę. Ciągłe ten stary łańcuch! Oczywiście Manrique miał rację, że wojna była możliwa jedynie po szczerej rozmowie z Aragonią. Ale tylko jeden człowiek mógł to doprowadzić do skutku — Leonor;

Pojedzie do Burgos.

Jak dawno nie był u niej? Wieczność. Pisywała krótkie, uprzejme listy, po długim upływie czasu odpowiadał krótko i uprzejmie. Mógł sobie doskonale wyobrazić, jak to będzie, kiedy się znowu zobaczą. Będzie udawał beztroskiego, ona odpowie mu uprzejmym, nieco smętnym uśmiechem. Nie będzie to radosne spotkanie.

Będzie się starał wytłumaczyć jej, co się stało. Ale gdzie są słowa na wytłumaczenie drugiemu, jakie to wspaniałe i potworne, kiedy spada na człowieka taka olbrzymia fala, zbija go z nóg, unosi i znowu zbija?

Wtedy, przed Rodrigiem, przyznał się dumnie i krnąbrnie do Racheli i swojej namiętności i duchowny przy całej swej nabożności zrozumiał go. Ale Leonor, spokojna, uprzejma, dama w każdym calu, zrozumieć go nie potrafi. Będzie się przy niej jękał, cokolwiek powie, będzie brzmiało żałośnie, jak usprawiedliwiania głupiego chłopaka. Będzie to najgorsze poniżenie w jego życiu.

Nie ma na świecie nikogo, przed kim królowi wolno byłoby tak się poniżać. Nie ma na świecie nic, co byłoby takiego poniżenia warte.

A jednak jest! Ten cud jest wart każdego poniżenia i wiecznego potępienia.

Nagle wróciło wszystko, wróciła La Galiana i jej niechrześcijańskie lśnienie. Czuje, jak Rachelę tuli się do niego, czuje jej skórę, nieskończenie kojąca, czuje jej krew, jej bijące serce. Palce jego toną w jej włosach, potrząsają nimi, Rachelę woła ze śmiechem: — Nie, nie, Alfonso, to boli! — Kto potrafi tak obco, śmiesznie i gwałtownie powiedzieć „Alfonso”, jak to mówi ona, że człowiek się uśmiecha i czuje pulsowanie własnej krwi? Widzi jej gołębnie oczy, widzi, jak gasną, jak nad nimi opadają powieki, wolno i ciężko, jak się znowu podnoszą.

Przypomniał sobie wiersze arabskie, które mu kiedyś dała do czytania. „Często słyszałem przelatujące rtać moją głową strzały i nie zadrzałem; kiedy jednak słyszę szelest jej sukni, drzę na całym ciele. Często słyszałem odgłos trąb nadciągającego wroga i serce moje i skóra pozostawały zimne, kiedy jednak słyszę jej głos, przejmuję mnie żar”. Wiersze złościły go; rycerzowi nie wolno poddawać się tak służalczo. Ale były prawdziwe. Tak, te słodkie, służalcze wiersze były prawdziwe, jak ewangelia. Ogarniał go żar na samo wyobrażenie sobie Racheli. Jak mógł myśleć o zrezygnowaniu z niej, z tej Racheli, z jego Racheli, z tego wspaniałego, zuchwałego sensu życia?

Musi odzyskać Rachelę, musi się z nią pojednać. Miał tylko jedną drogę. Westchnął ciężko. Ale istniała tylko ta jedna. Posłał po Jehudę.

Pełnego otuchy Jehudę zdjęło przerażenie, kiedy wśród nocy przybyła do niego wzburzona Rachelę. Powiedziała:

— Znieważył mnie, jak nigdy jeszcze nie znieważono żadnej kobiety.

Jehuda czuł potrzebę zapytania o szczegóły. Ale zaniechał tego. Obudził Mużę, poprosił go, by jej przyrządził mocny, uspokajający napój, powiedział:

— Wypocznij, córko moja, wyśpij się.

Zostawszy sam, rozważał gorączkowo, co też takiego mogło zająć. Z pewnością prosiła go, by przyjął żydów z Francji. Jehuda wiedział z doświadczenia, jak zuchwale i brutalnie ten król poniżał ludzi, kiedy był wzburzony. Rachelę nie zniosła tego, uciekła od niego. Jest mściwy, wyleje swą złość na niego i całe żydostwo. Ofiara Racheli i jego została poniesiona daremnie.

Starał się zapanować nad sobą, ale nie mógł zasnąć. Nie można dopuścić, żeby wszystko przepadło, musi się znaleźć coś, czego by się można ucześcić. Szukał, rozważał. Ten król chrześcijański był bez godności, choć ciągle mówił o honorze. Zwymyślawszy i opluwszy Jehudę dwukrotnie, widząc, że go potrzebuje, zwracał się do niego na nowo. Kochał Rachelę, nie może żyć bez niej, odezwie się i do niej, będzie zebrać, żeby wróciła.

Był ranek piątego Tiszri. Zą niespełna trzy tygodnie upływa termin jego ślubowania. Tej pierwszej bezisennej nocy Jehuda wiedział, że będzie miał jeszcze wiele bezsennych nocy, że będzie popadać w rozpacz i podnosić się z niej.

Taki był stan Jehudy Ibn Esra. A cóż się z tobą dzieje, Rachelo? Błada, milcząca snujesz się dokoła, na próżno czekając na wiadomość. Czujesz zatroskane łagodne spojrzenia ojca, ale nie dają ci ani ciepła, ani pociechy. Słuchasz paplaniny piastunki — ach, podarunek jej, „ręka Fatimy”, był bezsilny — i paplanina ta nie dociera do ciebie. Przywołujesz oblicze, postać i ruchy tego człowieka z owych dobrych, gorących godzin, kiedy łączyły się ze sobą dusze i ciała. Ale obraz zamazuje wspomnienie innego oblicza, dzikiego, pożądliwego, zdolnego do gwałtu. Czy tak wygląda rycerstwo, którym się entuzjazmuje? Mimo to tęsknisz za nim i wiesz, że wystarczy, by zawołał, a wrócisz, popędzisz do niego.

Dnie mijały. Don Alfonso był w Toledo, ale nie posyłał ani po Rachelę, ani po Jehudę. Zjawił się tylko don Manrique, by otrzymać wiadomości o sprawach państwowych.

Nadszedł najświętszy dzień żydów, Dzień Pojednania, Jom Kippur. Tego dnia dziwny, wielopostaciowy mąż, Jehuda, był innym człowiekiem. Odrzucił od siebie wszelką małą pychę, przyznawał przed sobą, że „posłannictwo” jego to tylko zamaskowana żądza władzy, był naprawdę złamaną, żalonną, grzeszną nicością w obliczu Boga; dumniejszy od innych, był teraz pełen pokory. Bił się w piersi i modlił się z gorącym wstydem: — Grzeszyłem moją głową, którą zuchwale i dumnie unosiłem. Grzeszyłem moimi oczyma, które patrzyły czelnie i wyniosłe. Grzeszyłem moim sercem, które nabrzmiewało pychą. Wyznaję, korzę się, żałuję. Przebacz mi, Boże, ukarż mnie.

Był teraz gotów przyjąć wszystko, co przyjść musi, nie tylko rozumem, ale całą swą istotą.

Kiedy w dwa dni później król wezwał go przed swe oblicze, na nic nie liczył i niczego się nie obawiał. — Niechaj będzie pozdrowione i dobro, i zło — mówił sobie w drodze na zamek i tak też myślał.

Alfonso był nadęty i zakłopotany. Mówił długo i szeroko o drobnych sprawach, o trudnościach, czynionych przez baronów de Arenas, o tym, że nie ma zamiaru dłużej czekać. Jehuda powinien postawić baronom o wiele krótszy termin, niż było w projekcie, a jeżeli panowie nie zechcą płacić, Alfonso weźmie sporną wieś siłą. Jehuda skłonił się i powiedział:

— Uczynię, jak wasza wysokość rozkaże.

Alfonso legł na polowym łożu, założył ręce pod kark i powiedział:

— A jakże tam z moją wojną? Ciągle jeszcze nie uzbierałeś dostatecznej ilości pieniędzy?

Jehuda odpowiedział rzeczowo:

— Pojednaj się z Aragończykiem, panie, a będziesz mógł uderzyć.

— Ciągle to samo — warknął Alfonso. Wstał i zapytał zniechęcony: — A jak to jest z żydami, których mi chcesz wpakować do kraju? Spróbuj być uczciwym, nie mów jak ich brat, lecz jako mój doradca. Czy wszyscy moi poddani nie będą mi robili zarzutów, że podczas wojny świętej ich król wpuszcza do kraju tysiące żydowskich żebraków?

Smętna rezygnacja Jehudy ustąpiła w mig miejsca dzikiej radości.

— Nikt tego nie powie, królu — odpowiedział. Był teraz dawnym Jehudą, czołobitnym, pewnym siebie starcem, pełnym wewnętrznej pychy. — Nie miałbym odwagi prosić cię o wpuszczenie żebraków. Przeciwnie, raczej zaproponowałbym ci pokornie, żebyś przy przekraczaniu granicy wymagał od każdego uchodźcy dowodu, że posiada pewien majątek, powiedzmy cztery maravedi w złocie. Nowi osiedleńcy nie będą żebrakami, lecz solidnymi ludźmi, doświadczonymi w rzemiośle i interesach, płacącymi wysokie podatki.

Alfonso, który pragnął gorąco być przekonany, zapytał:

— Myślisz, że będzie można przekonać o tym moich grandów i mój lud?

Jehuda odparł:

— Grandów może nie, lud twój na pewno. Twoi Kastyljczycy będą po tym przyplwywie żyli bardziej dostatnio.

Król roześmiał się.

— Jak zwykle przesadzasz — powiedział. Potem rozkazał jakby od niechcienia: — Każ więc opracować edykt.

Jehuda skłonił się głęboko i jedną ręką dotknął ziemi.

Zanim się wyprostował, król ciągnął dalej:

— Prześlij mi dokumenty do Galiany. I powiedz, proszę, swej córce: będę rad, jeżeli zechce być obecna przy podpisaniu edyktu.

Piątego dnia przed upływem wyznaczonego przez siebie terminu don Jehuda poinformował parnasa Efraima, że król, pan nasz, zgodził się na osiedlenie sześciu tysięcy żydów z Francji.

— Teraz mogę ci oszczędzić — powiedział żartobliwie i nie bez skromnej dumy — rzucania na mnie klątwy. Dwunastu tysięcy maravedi dla naszych żydów nie mogę ci oczywiście oszczędzić. —

I dodał wielkodusznie: — Twoja to zasługa, że przybędą do kraju. Bez otrzymania zgody na twoją pomoc nie byłbym tego przeprowadził.

Pobladałymi wargami wypowiedział don Efraim słowa błogosławieństwa, które przy otrzymaniu pomyślnej wiadomości wypowiedzieć należało.

— Bądź pochwalony, Adonai, Boże nasz, któryś jest dobry i czynisz dobro.

Teraz dopiero znalazł swój wyraz cały triumf Jehudy:

— Naphtule elochim niphtalti, zwyciężyłem w imię Boga — zawołał radośnie.

Chodził z promienną twarzą, lekkim krokiem, jak gdyby nie czuł pod sobą ziemi. Czy to ten sam człowiek, który zaledwie dwa tygodnie temu był zdruzgotany poczuciem swej nicości?

Pycha jego rosła pod niebo. Pierś jego pełna była drwin z tamtych, z tych durniów, chcących prowadzić świętą wojnę o kraj, który do nich nigdy nie będzie należał. Prawdziwą wojnę świętą, wojnę bożą, prowadzi on, Jehuda. Kiedy inni zabijają i pładrują, osiedla w pokoju sześć tysięcy uratowanych. Widział już, jak pracują przy pomocy swych sprytnych głów i zgrabnych rąk, jak zakładają warsztaty, winnice, jak wytwarzają i wymieniają pożyteczne przedmioty.

Święcił swój triumf razem ze swym przyjacielem Muzą. Z nim, który umiał ocenić smakołyki i dobre wina, ucztował wedle recepty braci Dunun, najsłynniejszych smakoszków muzulmańskiego świata. Cieszył się wobec Muzy ze swego szczęścia. Czy nie był ulubieńcem Boga? Bóg zsyłał nań czasami nieszczęście, ale tylko po to, by tym lepiej mógł się rozsmakowywać w swym szczęściu.

— Wiem, drogi przyjacielu — odparł z pełną serdeczności ironią Muza — że jesteś następcą króla Dawida i Bóg niesie cię na grzbiecie swej dłoni poprzez wszystkie przeszkody. I dlatego nie musisz zawsze powodować się swym rozsądkiem, i wolno ci działać i uderzać wedle upodobania twego nieposkromionego serca zupełnie tak samo, jak to czynią rycerze, którymi tak bezgranicznie pogardzasz. Rozum twój potrafi ich przejrzeć, ale w postępowaniu swoim działasz w myśl ich zasady: byle nie siedzieć spokojnie, zawsze coś robić, lepiej coś fałszywego niż nic.

Popijali cudowne wina, Jehuda ze swej strony dworował sobie przyjaźnie ze swego Muzy:

— Tak, każdy mędrzec musi być w każdej sytuacji życiowej zrównoważony i winien



dać się raczej zabić, niż samemu uderzyć. Mogę zaświadczyć, żeś się tego trzymał. I gdybym się o to nie zatroszczył, byłbyś dziś dwu- lub trzykrotnie zabity i nie mógłbyś pić tego wina znad brzegów Rodanu.

I pili dalej.

— Jestem rad — rzekł Muza — że przynajmniej na dzisiejszy wieczór zabroniłeś swemu Ibn Omarowi żądania od ciebie traktatu państwowego albo rozkazu, by wyruszyła flota handlowa. Szkoda, że godziny, kiedy w spokoju zażywać mogę twej przyjaźni, są tak rzadkie. Sławisz ustawicznie pokój, ale sam niewiele z niego korzystasz.

— Gdybym więcej korzystał — odparł Jehuda — nie mieliby go inni.

Muza przyglądał się przyjacielowi cichymi, śmiejącymi się, badawczymi oczyma.

— Biegasz szybko, mój Jehudo — powiedział — i bez przerwy. Obawiam się, że uciekniesz od swojej duszy i nie będzie cię mogła dogonić. Często w swej gonitwie dobiegasz do celu, nie zapominaj jednak, że chwilami i tobie brakło tchu. — Potem dodał:

— Tylko niewielu rozumie, że nie my kierujemy naszym życiem, lecz los. Uświadomiłem sobie od dawna, że nie jestem ręką, która rzuca kostką, lecz kostką. Obawiam się, że nigdy tego nie zrozumiesz. Ale właśnie dlatego kocham cię i jestem twoim przyjacielem.

Długo siedzieli razem, jedli, gawędzili, pili. Potem radowali się tancerkami, które Jehuda kazał sprowadzić.

Kiedy w następnych tygodniach Jehuda myślał o słowach swego Muzy, uśmiechał się z przyjazną wyższością. Wszystko układało się tak, jak chciał. Dwa olbrzymie transporty towarów, które na los szczęścia zamówił na Dalekim Wschodzie, przedostały się przez niebezpieczeństwa morza i wojny i znajdowały się w bezpiecznym porcie. Uciążliwy traktat z władzami sułtana Saladyna został podpisany wśród toczącej się wojny świętej; był on dla Jehudy i Kastylii korzystny. Z głębokim zdumieniem Jehuda patrzył na to, jak rzeczywistość Toledo ziszcza sen, który mu się marzył wówczas przy ruinach fontanny. Duma oświeślała go jak lśniąca matowo chmura.

Kazał sobie sporządzić herb i otrzymał zatwierdzenie go przez króla. Była to Menora, siedmioramienny świecznik świątyni Jehowy, dokoła biegł hebrajski napis, zawierający imię Jehudy i jego urząd. Kazał sobie wyryć pieczęć z tym swoim herbem, nosił ją na piersi, jak to było w zwyczaju u jego praojców, mężów, o których opowiadała Wielka Księga.

Dziesięcina saladyńska, płacona przez aliamę, była niezwykle wysoka, wysoka też była suma, jaka przypadła z tego Jehudzie. Nie chciał tych pieniędzy zatrzymać. Żydom paryskim udało się podczas ich przepędzania uratować zwój Tory pod nazwą Sefer Hillali, uchodzący za najstarszy z pozostałych odpisów Pięcioksięgu Mojżesza. Jehuda nabył księgę za trzy tysiące maravedi; nie było człowieka, który by w równie wytworny sposób ofiarował uchodźcom tak olbrzymią sumę.

Siedział z Muzą przed cennym, kruchym zwojem pergaminu, który z pokolenia na pokolenie przekazywał słowo boże i szlachetne, wzniosłe piarstwo żydowskiego narodu. Oglądali go pożądlivymi, pełnymi czci oczyma, dotykali ostrożnie cudownej księgi.

Jehuda myślał o tym, by zwój pergaminu przekazać aliamie. Ale już dawno raziło go, że synagogi Toledo takie były niepozorne. Wzniesie odpowiednie ramy dla swej cudownej księgi, świątynię, godną tego cennego rękopisu, godną Izraela, prastarej alia-my Toledo oraz jego samego, Jehudy Ibn Esry.

Muza wysunął zastrzeżenia.

— Czy nie wzmóżesz jeszcze gniewu arcybiskupa i baronów?

Jehuda odparł z lekceważącym uśmiechem.

— Zbuduję Bogu Izraela godny dom.

Muza ostrzegał przyjaźnie, może nieco poważniej niż zazwyczaj:

— Nie zdób zbyt wspaniale swego rumaka, przyjacielu mój, Jehudo. Bo przy końcu możesz pozostać przy uprzęży i czapraku, a koń ci ucieknie.

Jehuda poklepał go przyjaźnie po ramieniu i poszedł dalej swą zuchwałą drogą.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przebywająca w Burgos doña Leonor nie brała poważnie pogłosek o miłostce Alfonsa. Nawet wtedy, kiedy zostało ustalone, że Alfonso od wielu tygodni mieszka sam z żydówką w La Galianie, wmawiała w siebie, że to przygoda przelotna. W ciągu piętnastu lat ich małżeństwa Alfonso miewał od czasu do czasu miłostki, zawsze jednak szybko powracał do niej pełen młodzieńczego zakłopotania. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby się miał poważnie zakochać i w dodatku w tej żydówce. Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, prawie się o nią nie troszczył i musiała nalegać, by jej powiedział parę uprzejmych słów. Ta żydówka była poza tym przemądrzała, ubierała się obco i przesadnie, co musiało odpychać Alfonsa.

Nie, doña Leonor nie była zazdrosna. Rysowała się przed nią groźnie historia matki jej, Ellinor de Guyenne, która ojca, Henryka angielskiego, zadrezczała dziką zazdrością i od lat była przez niego więziona. Nie pójdzie za jej przykładem. Miłostka Alfonsa z żydówką minie jak poprzednie przygody.

Mijały tygodnie, miesiące. Alfonso trzymał się mocno tej swojej Racheli. Nagle Leonor nie była w stanie ani rozważać, ani rozumować. Sądziła zawsze, że piękne wierszowane powieści, które jej przysyła siostra de Troyes i które odczytywali przed nią rycerze i śpiewacy, to płody wyobraźni. Sama śniła nieraz, że jest jedną z owych pięknych, uduchowionych kobiet, Genowefą czy Izoldą, dla której tak wspaniali rycerze jak Lancelot czy Tristan oddawali honor i życie. A teraz okazuje się, że te dzikie, obłędne historie nie są fantazjami wierszokletów, lecz otaczającym ją życiem, potworną rzeczywistością jej męża, rycerza, najukochańszego jej Alfonsa!

Gniew ją zdejmował na tego Alfonsa, który w ten sposób odpłacał jej za miłość, pogodną równowagę damy, za urodzenie infanta. Równocześnie zrodziła się w niej bezgraniczna nienawiść ku tej dziewczynie, tej żydówce, tej nierządnicy, która w nikczemny sposób uwiodła i ukradła jej męża, związanego z nią od lat piętnastu chrześcijańskim małżeństwem i należącego do niej.

Nie wolno jej jednak było dać się unieść, jak to uczyniła matka. Musi być rozsądna, ma za przeciwnika najmądrzejszego w państwie człowieka, Ibn Esrę, którego sama w swym szaleństwie przywołała.

Była rozsądna. Opanowała gniew. Nie przyjmowała do wiadomości tego, co się działo, przeczyła nawet wobec najbardziej zaufanych. Zjawił się wielce zatroskany arcybiskup Burgos, bliski i uczciwy przyjaciel, zaczął mówić o nieszczęściu. Przybrała królewski wyraz twarzy, patrzyła nań obco, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi; pobożny pan musiał więc zamilknąć.

Nie, doña Leonor nie wiedziała nic o Galianie, nie przedsiębrała nic przeciw Alfonsowi ani przeciw jego ukochanej, przed nikim się nie żaliła.

Ale zmieniła swą politykę. Ku zdumieniu panów swego dworu oświadczyła nagle, że neutralność Kastylii jest nikczemna i głupia. Każdy widzi, że państwo ma teraz środki, by wziąć udział w świętej wojnie. Trzeba nareszcie rozpocząć wyprawę.

Wiedziała, że Alfonso obudzi się ze swego obłędu, kiedy ruszy w pole. Było to pewne jak amen w pacierzu.

Dopnie tego, żeby poszedł w pole. Doprowadzi do aliansu z Aragonią. Uśmiechnęła się złowrogo. Przynajmniej tę korzyść przynosi błazeńska namiętność Alfonsa, że można będzie przekabacić don Pedra. Będzie musiał uznać teraz, że Alfonsa nawiedzają gwałtowne, obłędne ataki, będzie musiał zapomnieć o owej nieszczęsnej obrazie i przebaczyć ją, jako odruch człowieka w danej chwili obłąkanego.

Posłała na ręce don Pedra poufne pismo, w którym jak wielka dama, a równocześnie czule, dawała mu do zrozumienia, że oczekuje z tęsknotą, by ją odwiedził. List kazała doręczyć przez don Luisa, sekretarza przyjaciela swego, arcybiskupa Burgos.

Przygoda miłosna Alfonsa wstrząsnęła młodym królem. Przy całej swej nienawiści widział w nim jeszcze ciągle zwierciadło rycerstwa, nieokiełznana namiętność zdawała się być tego nowym dowodem. Jak Lancelot i Tristan poświęcają wszystko dla swojej damy, tak ten Alfonso stawiał na kartę swe imię rycerza i króla dla kobiety, dla której zapłonął żarem. Fakt, że kobieta ta była żydówką, ukazywał przygodę w niezwykłym, ponurym świetle. Wiele szalonych opowiadań krążyło o rycerzach, którzy na Wschodzie zakochali się w muzułmańskich kobietach. Don Pedro odczuwał grozę przed królewskim kuzynem, który się zapierał swego chrześcijaństwa i zatracał swą duszę; równocześnie odczuwał podziw dla jego odwagi.

Miotany tak sprzecznymi uczuciami, odczytywał list donii Le-onor. Słyszał w głębi ducha jej głos, widział przed sobą tę uroczą damę, odczuwał litość dla szlachetnej kobiety, przykutej do rażonego szaleństwem, opętanego przez diabła Alfonsa. Była damą w nieszczęściu, miał obowiązek stanąć po jej stronie.

Poza tym i jego od początku krzyżowej wyprawy dręczyła beczynność. Zbroił się, by napaść na muzułmańską Walencję, wysyłał do emira Walencji posłów, którzy powołując się na dawne umowy żądali czelnie okupu; don Józef Ibn Esra miał wiele kłopotów, by jakoś znowu ułożyć stosunki z emirem. Minister musiał chwytac się coraz to nowych wybiegów, by jego nieposkrom-miony pan utrzymywał „haniebny” pokój.

Orędzie donii Leonor znalazło więc u don Pedra oddźwięk przychylny. Ale nie umiał się zmusić, by przybyć do Burgos i być pierwszym, który wyciąga rękę do pojednania. W Burgos zostało to przewidziane i pobożny, chytry sekretarz don Luis zaproponował wyjście. Czy królowi chrześcijańskiemu nie przystoi w tych ciężkich czasach pielgrzymka do Santiago de Compostela? Jeżeli don Pedro ruszy na tę pielgrzymkę przez Burgos, doña Leonor będzie szczęśliwa.

Don Pedro ruszył przez Burgos.

Doña Leonor stwierdziła z zadowoleniem, że młody pan podziwia ją z tym samym rycerskim rozmarzeniem co dawniej. Wypowiedział na temat jej doli kilka niezgrabnych słów. Nie chciała go rozumieć, ale nie ukrywała swej troski. Patrząc nań znacząco, oświadczyła, że gdyby przez alians z Kastylią umożliwił krajom hiszpańskim udział w wyprawie krzyżowej, wyświadczyłby przysługę nie tylko całemu chrześcijaństwu, a i jej, Leonor, osobiście; uwolniłby bowiem ze szponów złego ducha bardzo jej blisko stojącego księcia i pana, dopomógłby mu do stania się znowu szlachetnym. Siedział zmieszany, bawił się rękawiczką, nie wiedział, co powiedzieć. Rozumie, ciągnęła, że don Pedro ma zastrzeżenia co do zawarcia przymierza z człowiekiem, przez którego poczuł się obrażonym. Może jednak Alfonso da się skłonić do tego, by nieufność Pedra rozwiązać czynami.

Jak oczekiwała, don Pedro zapytał, jakież to mogłyby być czyny. Odpowiedź miała z góry uplanowaną. Alfonso, oświadczyła, mógłby na przykład uznać zwierzchnictwo lenne Aragonii nad baronem de Castro i dla okazania dobrej woli płacić rządzącemu baronowi Gutierre de Castro wysokie pokutne za zabitego brata. Może Alfonso dałby się nawet skłonić do zwrotu baronowi Gutierre zamku w Toledo.

Nie liczyła się z tym, że jest rzeczą niemożliwą, by Alfonso zrezygnował z wyprawy wskutek ociągania się ze spełnieniem takiej pokuty; z drugiej strony, gdyby znowu odebrał Jehudzie zamek, byłoby to przy bezgranicznej arogancji żyda zerwaniem z rodem Ibn Esrów.

Don Pedro nie wiedział, co począć. Takie ustępstwo naprawiłoby niewątpliwie niejedno zło. Czuł na sobie błagalne spojrzenie szlachetnej pani. Wryła mu się głęboko w pamięć jej uwaga, że dokona dla niej czynu rycerskiego, jeżeli oswobodzi Alfonsa ze szponów diablicy.

Powaga, łagodność i słodycz smutnej królowej poruszyły go do głębi. Ucałował jej rękę, oświadczył, że rozważy jej projekt; nie pragnąłby niczego piękniejszego, niż ruszyć w pole w obronie Chrystusa i jej, donii Leonor.

Po powrocie Racheli do La Galiany Alfonso kochał ją bardziej niż kiedykolwiek. Czasami patrząc na jej szlachetną twarz czuł wstyd, że ją tak prostacko potraktował. Była damą, damą jego serca, użył wobec niej gwałtu, zbezczeszczył ją. Były jednak chwile, w których przypomnienie, jak wbrew jej zacieklej obronie uczynił ją sobie powolną, sprawiało mu złowrogą rozkosz, odczuwał dziką tęsknotę za ponownym upokorzeniem jej; kiedy w objęciach jego głębiej się zapominała od niego, odczuwał to jako zwycięstwo.

Był jej przy tym wszystkim wdzięczny, że nie powracała do tej niedobrej godziny żadnym słowem, żadnym najdrobniejszym gestem. Zaraz po powrocie zapytała go lękliwie, jaką to ranę ma na rękę, blizny bowiem po odłamkach szkła mezuzy wolno się goiły. Odpowiedział wymijająco, było dlań ulgą, że nie pytała dalej. Nie pytała również, dlaczego cysterny rabiego Chanana zostały zasypane.

W istocie rzeczy nie zapominała owej godziny. Zdarzyło się jednak to, czego sobie życzyła i czego się bała: w jego obecności zniewaga nie była już zniewagą, nikczemność nikczemnością.

Usiłowania jej, by go zmienić, uczynić z rycerza człowieka, były daremne, jak daremne jest uderzenie fal o skały. Nie martwiło jej to, gdyż kochała rycerza. Jego bezmyślne bohaterstwo, jego szczupłe, kościste, jakby wyrzeźbione z drzewa męskie oblicze, mieszanina wytworności i brutalności — wszystko to ciągle ją podniecało.

Ze wszystkich tomów Wielkiej Księgi lubiła teraz najbardziej „Pieśń nad pieśniami”. Kazała umieścić poszczególne strony w niej zawarte na ścianie swej sypialni.

„Mocna jest jako śmierć miłość, twarda jako piekło rzewliwość: pochodnie jej pochodnie ognia i płomieniów. Wody mnogie nie mogły ugasić miłości, i rzeki nie zatopią jej”.

Przetłumaczyła te słowa Alfonsowi, słuchał z poważnym wyrazem twarzy. Musiała powtórzyć strofy, powiedzieć mu je po hebrajsku.

— To brzmi niezłe — powiedział — to jest dobre.

Odkąd darowała mu arabską zbroję, wiedział, że kocha wojownika Alfonsa. Ale w swej zazdrości o ojca i starego Muzę czuł, że rozum jej w dalszym ciągu nie chce uznać tego, co w nim było dobre i bohaterskie. Żarliwie, niemal namiętnie starał się jej to wytłumaczyć. Wojna była boskim nakazem, sława wojownika szczytem tego, co mężczyzna może osiągnąć. Dopiero podczas wojny okazywało się, co w poszczególnym człowieku, co w całym narodzie było dobre. Czy również i Żydzi nie mieli swego Samso-na, swego Gedeona, swego Dawida i Judy Machabeusza? Jak król miał rządzić bez wojny? Król potrzebował wiernej świty, która słusznie oczekiwała od niego zapłaty. Musiał więc zdobywać coraz to nowe kraje, by nagradzać jej wierność, a na kimże miał te kraje zdobywać, jeżeli nie na wrogu? Król ustanowiony jest przez Boga, by zdobywał łupy i powiększał swe państwo. On, Al-fonso, był umiarkowany, nie należał do żarłocznych, jak teść jego Henryk angielski lub cesarz rzymski Fryderyk, nie chciał zdobywać całego świata. Chciał tylko Hiszpanii, ale całej, zarówno chrześcijańskiej jak muzułmańskiej.

Wydawał się Racheli zuchwałym i niepokromionym. Ten potomek frankońskich i gockich barbarzyńców, przekonany, że jedynie jemu Bóg przeznaczył panowanie nad półwyspem, pociągał ją i był równocześnie niesłychanie groźny.

Opowiadał jej o wielkiej, szlachetnej sztuce wojowania. Nauczył się jej gruntownie i dokładnie. Choć nie był dotychczas ani Aleksandrem, ani Cezarem, urodził się na dowódcę. Miał we krwi wiedzę o tym, kiedy należy rzucić jazdę lekką, a kiedy ciężką, potrafił od pierwszego wejrzenia ocenić właściwości terenu, jak nikt inny umiał znaleźć właściwą kryjówkę, by z niej

śledzić przeciwnika. Jeżeli nie zawsze zwyciężał, działo się to jedynie dlatego, że brakowało mu jednej nudnej cnoty wodza: cierpliwości.

Kiedy jej opowiadał, w ilu brał udział krwawych potyczkach, ilu wrogów dzięki niemu gryźć musi ziemię, odpowiadała rzadko tak, jak oczekiwał. Pytała mniej więcej tak: „Ilu powiadasz? Trzy tysiące nieprzyjaciół i dwa tysiące swoich?” W pytaniu jej nie było wyrzutu, brzmiała w nim raczej obcość, nuta bolesnego zdumienia. Potem zamykała się znowu w sobie, zapadała w samotność, z której nie potrafił jej wyrwać. Najgorzej bywało, kiedy przyglądała mu się tylko w milczeniu. Było to milczenie wymowne, drażniło bardziej niż gwałtowne przeciwstawianie się.

Pewnego razu, kiedy tak milczała, powiedział nagle wrogim tonem:

— Czy wiesz, kto rozbił szkło twego amuletu, twojej mezuzy? Ja. Tą oto ręką. Ja również kazałem zasypać cysterny twego rabbięgo Chanana.

Nie odpowiedziała nic. Oddychał gwałtownie, wstał, przeszedł parę kroków, wrócił, usiadł przy niej, zaczął mówić o czymś innym. Przerwał, chciał ją przeprosić. Położyła mu delikatnie rękę na ustach.

Choć Alfonso nienawidził tego wszystkiego, co w niej było obce, wiedział, że jest nią opętany, i to na zawsze. „Et nunc et semper et in saecula saeculorum, amen”, mówił do siebie bluźnierczo. Zatracił swą duszę, był bowiem teraz świadom tego, że nigdy nie zdoła jej nawrócić. Był z tego zadowolony. Zaniechał wysiłków wyłamania się z kręgu, w który się sam wplątał, zamykał się z uporem w swym grzechu.

Kanonik don Rodrigue nie mówił już z nim o Galianie. Nie miałyby to sensu; powiedzieli sobie wszystko, co człowiek człowiekowi w podobnych sprawach powiedzieć może. Choć Alfonso traktował swój grzech jako przywilej królewski, przygnębiał go głuchy smutek człowieka, który był jego przyjacielem, i myślał o tym, jakby mu dać dowód swej miłości i wdzięczności.

Bez wiedzy arcybiskupa wydał edykt, znoszący w jego krajach hiszpańską rachubę czasu, wprowadzający na jej miejsce rachubę rzymską, stosowaną w pozostałych krajach Zachodu.

Don Rodrigue mimo pełnego wyrzutu smutku, wdzięczny jednak i zadowolony, oświadczył z uznaniem:

— Dobrześ to zrobił, don Alfonso.

Arcybiskup, nie mający odwagi przemówić do sumienia króla z powodu jego występnego trybu życia, gromił w słowach tym bardziej gwałtownych edykt w sprawie datowania pism i listów. Zarzucał Alfonsowi, że bez potrzeby, tylko po to, by oszczędzić kilku cudzoziemcom odrobiny wysiłku, zrezygnował z jednego z najważniejszych przywilejów hiszpańskiego Kościoła. Żaden z jego przodków nie byłby odrzucił lekką ręką tak szlachetnego dobra. Alfonso wiedział, że nie chodzi o edykt; to La Galiana wydobywała taką gorącość arcybiskupa. Skarcił więc ostro karcącego. Musiał odrzucić niejedno niesłuszne żądanie papieża, więc był rad, że w drobnej sprawie mógł pójść Ojcu Świętemu na rękę. Poza tym Rzym ma rację. Istotnie niechrześcijańska to pycha, że Hiszpanie obliczali czas według największego wydarzenia w ich historii. Nadanie im przez cesarza Augusta praw obywatelskich było bezspornie sprawą ważną, trzeba jednak przyznać, że narodzenie Chrystusa to dla świata, a więc i dla półwyspu, wydarzenie jeszcze większej wagi.

Radość Alfonsa z powodu satysfakcji, którą sprawił zatroskanemu Rodrigowi, nie trwała długo. Grzech, ukrywany w zanadrzu, bolał i drażnił. Pewnego dnia po mszy porannej zapytał zaskoczzonego kapelana swego królewskiego zamku:

— Powiedz mi, wielce dostojny bracie, czym jest właściwie grzech?

Ksiądz, człowiek młody, któremu niezwykle pytanie Alfonsa pochlebiło, odparł:

— Pozwól, królu, bym ci zacytował zdanie świętego Augustyna. Grzech, powiada on, to dopuszczanie się czynów, o których człowiek wie, że są zakazane, i od których może się powstrzymać.

— Dziękuję ci, dostojny bracie — odparł król. Myślał długo o słowach wielkiego Ojca Kościoła, potem wzruszył ramionami i powiedział sobie, że w końcu pozbędzie się swego grzechu, jeżeli jest on grzechem, przez wyprawę krzyżową.

Jakkolwiek nie miano odwagi publicznie znieważać króla, krążyło dookoła niego wiele niedobrej gadaniny. Ogrodnik Belardo opowiadał Alfonsowi, że zli ludzie nazywają naszą panią donią Rachelą-diablicą i mówią, że króla usidlała czarami.

Gadanina wzmocniła tylko wolę Alfonsa bronienia donii Racheli. Teraz dopiero przywiązywał wagę do tego, żeby krótką drogę z Galiany do zamku Ibn Esry odbywała w otwartej lektyce. Wielu śmiało jej się zuchwale w twarz, ten i ów wołał: „Ty diablico, ty czarownico!” Ale Rachela wcale nie wyglądała na wysłannicę piekła. Była teraz mniej chłopięca, zrodziła się w niej nowa, świadoma siebie i swego losu piękność, którą stwierdzał cały lud. Potępiający byli w mniejszości, większość nie dziwiła się temu, że król wybrał na swą przyjaciółkę tę wyjątkową piękność, uważała to za słuszną. „Ach, ty piękna!”, wołali do niej, zadawali się z nią, nie nazywali jej inaczej jak „la Ferosa”, piękna, śpiewali radosne, pełne uczucia i podziwu romance o niej i o królewskiej miłości.

Alfonso nie umiał sobie odmówić tego, by ją od czasu do czasu odprowadzić do miasta. Kiedy jechał obok jej lektyki, rozlegały się wołania:

— Niech żyje szlachetny Alfonso, niech żyje piękna!

Te okrzyki ludu uświadomiły Racheli, że była nałożnicą królewską. Nie wstydziła się tego.

Alfonso przyzwyczajał się coraz bardziej do życia Galiany. Był przekonany, że Bóg wzięł go pod swoją specjalną opiekę, i każde bezdroże, przez które każe mu przejść Opatrzność, doprowadzi go wreszcie do właściwego celu.

Już bez lęku załatwiał w Galianie sprawy państwowe. Większość jego grandów uważała wezwanie do Galiany za wyróżnienie. Zdarzało się, że ten lub ów stawał nieco zbity z tropu przed mezuzą. Alfonso tłumaczył wtedy z uśmiechem:

— To dobry amulet. Pomaga przeciw złemu spojrzeniu, dzięki niemu nikt mnie nie wywiedzie w pole.

Liczni jednak grandowie szukali wymówek i trzymali się od Galiany z daleka. Alfonso zapamiętał sobie ich nazwiska.

W rzeczowym, uprzejmym liście doña Leonor informowała króla, że odwiedził ją don Pedro; wydaje jej się, że na przekór wszystkim trudnościom alians z Aragonią, a więc wyprawa przeciw niewiernym, jest możliwy. Przybyłaby chętnie do Toledo, żeby się naradzić z Alfonsem, ale choroba infanta nie pozwala jej na opuszczenie Burgos. Prosiła go więc, by niezwłocznie do niej przyjechał.

Król zorientował się od razu, że teraz nie będzie już można dłużej odkładać spotkania z donią Leonor. Pocieszał się jednak tym, że wobec ważnych spraw państwowych zatargi osobiste traciły na znaczeniu i wskutek tego spotkanie z królową będzie mniej przykre.

Oświadczył Jehudzie, że za dwa dni ruszy konno do Burgos. Przebywał teraz często ze swym escrivano, obydwaj czuli się dziwnie ze sobą związani. Król potrzebował chytryści swego żyda. Tęsknił za tym, by rozpocząć swą świętą wojnę, nie chciał jednak postępować pospiesznie i chętnie dawał posłuch zastrzeżeniom żyda. Jehuda zaś znał króla lepiej niż Alfonso siebie samego. Wiedział, że Alfonso nie może oderwać się od Galiany i byłby podświadomie zadowolony, gdyby Jehuda zapobiegł sojuszowi z Aragonią i wyprawie. Osiągnąwszy od Alfonsa

zgodę na wypuszczenie żydów z Francji Jehuda był przeświadczony, że trzyma go mocno w rękę i cieszy się z tego, że ma moc tchnąć oddech i rozsądek w tego barbarzyńskiego księcia, jaką miał Bóg w stosunku do Adama.

Nie był zaskoczony, kiedy usłyszał o zamierzonej podróży Alfonsa. Kuzyn don Józef poinformował go o pertraktacjach królowej z Aragonią. Dama ta była mądra, ale czuł, że do niej dorósł, i przygotował kontrakcję.

Dał wobec Alfonsa wyraz obawie, że królowa, powodowana swymi życzeniami, nie docenia trudności sojuszu z Aragonią. Byłoby więc dobrze, gdyby król zabrał do Burgos szlachetnego Manrique oraz jego, Jehudę, żeby mogli swoimi skromnymi radami popierać usiłowania donii Leonor.

Alfonso był zbity z tropu. Pragnął widzieć w orszaku swoich panów. Jeżeli zjawi się w Burgos z radcami i wielką świtą, spotkanie z donią Leonor utraci całkowicie charakter rozmowy dwojga małżonków; byłby również rad skonfrontować jej poglądy z poglądami swoich panów, wchodzących w skład rady. Ale jak przyjmie to Leonor, jeżeli przywiezie ze sobą ojca swej ukochanej?

— Czy mamy pozostawić tu donię Rachelę zupełnie samą? — zapytał niezgrabnie.

Ta czuła pamięć ucieszyła Jehudę; król stał mu się teraz o wiele bliższy.

— Doña Rachel — odpowiedział z czolobitną poufałością — może spędzić ten czas w castillo Ibn Esra. Ma towarzystwo mądrego Muzy Ibn Dauda; poza tym zjawiać się tam będzie nieraz czcigodny don Rodrigue.

Doña Leonor przyjęła króla z tak niewymuszoną uprzejmością, jak gdyby pożegnała się z nim wczoraj. Objął ją i ucałował, jak tego wymagała kurtuzja. Powitał swe dzieci. Pogłaskał bladego małego infanta, w którego chorobę nie wierzył. Mówił czule i z ożywieniem z zamkniętą w sobie księżniczką Berengarią, która niezawodnie wiedziała o jego trybie życia w Galianie i potępiała go. Zachowywała się wyniośle i ceremonialnie. Wizyta don Pedra obudziła w niej nowe nadzieje, jakkolwiek wiedziała, że nie mając prawa do korony Kastylii, nie była dla Aragonii pożądaną królową.

Doña Leonor zaprosiła do Burgos również i don Pedra. Ale młody król nie umiał opanować swego rozgoryczenia wobec króla i zamiast zjawić się samemu, wysłał swego ministra, Józefa Ibn Esrę.

Obaj Ibn Esrowie spotkali się jeszcze przed radą koronną, która miała się odbyć u donii Leonor. Niechęć don Józefa do wyniosłego krewnego wzrosła jeszcze. Odczuł gniew i smutek, kiedy ten Jehuda poświęcił córkę, żeby się mocniej związać z królem. Sam w pobożności swej i łagodności wyjednał zgodę na wypuszczenie do Aragonii niewielkiej liczby żydów z Francji. Osiedlanie się masami, jak tego chciał Jehuda, uważał za nie wskazane z tych samych względów, co don Efraim. To zaś, że Jehuda wykorzystywał skłonność Alfonsa do swej córki, by kierować losami kraju i żydostwa, uważał za grę zuchwałą i bluźnierczą wobec Boga. W dalszym ciągu łączyły go jednak z Jehudą wspólne dążenia do trzymania półwyspu i jego żydów z dala od wojny. Dlatego ostrzegł kuzyna o intrygach donii Leonor, dlatego spotkał się z nim teraz.

— Pozwól, bym ci podziękował również i ustnie, don Józefie

— zaczął Jehuda — za twoje listy. Wyczytałem w nich, że znaleźliście sposób umożliwienia aliansu i jednolitego dowództwa.

— Tak — odparł sucho don Józef — wojna przeciw muzułmanom jest przerażająco bliska. Twoja doña Leonor użyła zdumiewająco wiele chytryści i energii, by mój młody pan zasmakował w jej mediacyjnych projektach. — Patrzył mu surowo w twarz i ciągnął znacząco dalej: — To na pewno nie sama wojna\* don Jehudo, popycha twoją królową do tak wielkodusznych propozycji. — Po chwili wtajemniczył go nie bez satysfakcji i w to, o czym go



nie informował w listach: Jako pokutę za zabicie brata chce doña Leonor oddać baronowi de Castro twój zamek.

Jehuda zbladł. Wizja, że mógłby być zmuszony do ponownego opuszczenia domu ojców, miażdżyła mu serce. Ale zaraz się pocieszył: urządził sobie w Toledo zamek, wprawdzie niewidzialny, ale piękniejszy, potężniejszy, niż jakakolwiek najwspanialsza budowla z kamienia. Odpowiedział ze spokojem:

— Z przyczyn, które znasz, don Józefie, niechętnie zrezygnuję z tego domu. Skoro jednak królowa moja przyrzekła go Aragonii, nie będę swym sprzeciwem rozbijał przymierza.

Don Józef był zaskoczony. Widocznie Jehuda jest pewien, że nie będzie musiał oddać zamku, inaczej nie mówiłby z takim spokojem.

Jehuda odnalazł już pełną ufność w swe siły, owo uczucie zuchwałej pewności, które go w ciągu wszystkich tych dni napępniało. Właśnie teraz, podczas wypowiedzania ostatnich słów, wpadł na pomysł przeciwstawienia się podstępowi donii Leonor lepszym podstępem. Jeszcze widział swój plan w mglistych zarysach, był jednak przekonany, że we właściwym czasie kontury jego zarysują się mocno i wyraźnie.

Od razu założył fundament. Oświadczył rzeczowo, po kupiecku:

— Mam nadzieję, że wasza formuła pojednania ostoi się przed ostrą próbą, której zarówno ty, jak i ja poddać ją musimy. Szczerze mówiąc widzę tu niejedną trudność.

Zaczął wymieniać liczne sprawy gospodarcze, co do których Aragonia i Kastylija od lat nie mogły dojść do porozumienia. Chodziło o sporne prawa podatkowe wobec pewnych miast, o sporne cła przewozowe i wywozowe, sporne przeliczenia cen rynkowych.

— Gdybym ci we wszystkich tych sprawach miał ustąpić, don Józefie — powiedział Jehuda chytrze i jowialnie — twoja Aragonia w przeciągu bardzo krótkiego czasu wzięłaby górę nad moją Kastylią.

Don Józef zrozumiał od razu, dokąd Jehuda zmierza. Sprawy gospodarcze były nieprzejrzyste; przy pewnym sprycie można było na ich podstawie rozbić alians. Nie bez wewnętrznego uznania dla sprytu Jehudy poszedł za jego przykładem i oświadczył z tą samą dowcipną kupiecką przebiegłością:

— Skoro król mój chce zapomnieć o obeldze, której wówczas od was doznał, moglibyście właściwie pójść mu w sprawach gospodarczych na rękę.

— A więc upierałbyś się przy wszystkich waszych żądaniach?

— zapytał Jehuda.

— Przecież musiałbym chyba — odparł don Józef i dodał ze sztucznie uroczystą miną: — Oczywiście tak zrobię.

Don Jehuda odrzekł z powagą i smutkiem:

— Król mój życzy sobie z pewnością, niemniej szczerze niż twój, rozpoczęcia wojny przeciw muzułmanom, jeżeli jednak jesteście tacy nieustępliwi, obawiam się, że nic nie będzie z aliansu.

— Byłoby mi przykro — oświadczył Józef — gdybyśmy się naprawdę nie mogli porozumieć.

Obaj panowie spoglądali na siebie bez uśmiechu.

Kuria, w której miały być prowadzone narady na temat aliansu z Aragonią, obradowała w wielkiej sali przyjęć. Była ona przystrojona chorągwiami Kastylii i Toledo, przy wejściu stały warty, dla don Alfonsa i don ii Leonor przygotowane były krzesła na podwyższeniu. Arcybiskup nie dał się skłonić do pozostania w Toledo. Z członków kurii brakowało tylko don Rodriga.

Królewska w swej ciężkiej, kosztownej szacie państwowej, a jednak skromna, siedziała na podwyższeniu doña Leonor. Rozglądała się dokoła jak dama, uprzejmie. Przepełniało ją

uczucie triumfu. Wszyscy, którzy tu zasiadali, byli niezłomnie zdecydowani ratować don Alfonsa z zadumionej Galiany, wyrwać go na świeże powietrze świętej wojny. Alfonso sam chciał tego. Jedynym wrogiem był żyd. To bezwstydne z jego strony, że narzucił Alfonsowi, żeby go wziął do swego orszaku; ale zabezpieczyła się, nie da sobie z nią rady.

Don Manrique składał sprawozdanie. Rokowania posunęły się daleko, wiedział o nich Ojciec Święty, legat jego, kardynał Grzegorz z Sant' Angelo znajdował się w drodze; miał położyć kres waśni królów.

— Kto poinformował papieża o pertraktacjach? — zapytał ponuro don Alfonso. — Don Pedro?

— Ja go poinformowałam — rzekła uprzejmie doña Leonor.

Don Manrique przedstawił projektowane klauzule paktu. Armie obu krajów miały być podporządkowane jednolitemu dowództwu. Rycerze kastylscy mieli być wcieleni do sztabu wojsk aragońskich, aragońscy do sztabu wojsk kastylskich. Don Pedro zobowiązywał się wysłuchać rady don Alfonsa z uwagą, jaka się należy starszemu rycerzowi od młodszego.

— Wysłuchać? — zapytał don Alfonso.

— Wysłuchać — potwierdził Manrique.

— Wyraźniejszego sformułowania nie zdołaliście przeprowadzić? — zapytał Alfonso.

— Nie — odrzekła doña Leonor.

Nikt się nie odzywał.

— Jakie dalsze klauzule przewiduje traktat? — zapytał król.

— Aragonia — oświadczył don Manrique — stawia trzy główne warunki. Przede wszystkim Kastylia ma zrezygnować ze zwierzchności lennej nad Aragonią.

Choć Alfonso znał ten warunek, nie mógł stłumić odruchu niezadowolenia.

— Po drugie — ciągnął Manrique — Aragonia domaga się, by pretensje jej wasala do odszkodowania zostały uwzględnione.

O tym żądaniu Alfonsowi nie mówiono. Podniósł się nieco, spoglądał to na Manrique, to na Leonor.

— Ja mam płacić baronowi de Castro pokutne? — zapytał groźnie półgłosem.

— O pokucie nie ma mowy — zapewniał Manrique. — Słowo pokuta zostało pominięte.

— Ten frant don Pedro potrafi wykorzystać moją przymusową sytuację — rzekł król z goryczą. — Chowa się za Castra, żeby mnie upokorzyć. A Rzym przysłała swojego kardynała, żeby był świadkiem mojej hańby.

— To żadna hańba — odezwała się uprzejmie doña Leonor — ponosić ofiary po to, żeby umożliwić sobie udział w świętej wojnie. Hańbą byłoby, gdybyśmy odesłali kardynała, nie załatwiwszy sprawy. Wtedy słusznie całe chrześcijaństwo powstałoby przeciw beczynnemu Alfonsowi.

Panowie siedzieli przerażeni. Proporce Kastylii i Toledo zwisały ospale ze swych drzewcy. Alfonso wpatrywał się w donię Leonor bladej, pełen bezbożnego gniewu. Rozmawiając z nim przedtem sam na sam nie powiedziała mu choćby słowa wyrzutu z powodu Galiany; czekała z zimną krwią i wyrachowaniem aż do tej rady koronnej, żeby mu tutaj, przed członkami rady, przed jego przyjaciółmi, pod jego chorągwiemi, rzucić w twarz, co o nim myśli. Tak, wyrafinowana i mściwa, była teraz w całej pełni dzieckiem swej szalonej matki.

Ale doña Leonor nie spuściła wielkich, zielonych oczu przed burzliwym spojrzeniem Alfonsa, nawet cichy, nieokreślony uśmiech nie ustąpił z jej spokojnej twarzy.

— Jakiej pokuty wymaga ode mnie de Castro? — zapytał ochrypłym głosem.

Zamiast Manrique odpowiedziała doña Leonor.

— Żądanie jest kłopotliwe, ale w gruncie rzeczy nie pozbawione przecież słuszności. Mamy mu dać pieniądze na wykup jeńców z Cuenki, mamy mu zwrócić jego castillo w Toledo.

Znowu zapadło głębokie milczenie, słychać tylko było gwałtowny oddech Alfonsa. Może się to nie godziło, ale wszyscy patrzyli niemal żarłocznie na Jehudę.

Zabrał teraz głos arcybiskup, który usiadł możliwie najdalej od żyda i nie przywitał się z nim. Głos jego odbijał się echem w ogromnej sali.

— Twój honor jest bardzo narażony na szwank, królu, ale święta wojna zmaże wiele poniżeń.

Doña Leonor zwróciła się uprzejmie do Jehudy.

— Jaka jest twoja rada, panie escrivano? — zapytała.

— Wydaje mi się — odpowiedział Jehuda — że zbuntowany baron zbyt wiele żąda od jego królewskiej wysokości. Nie jestem zanadto biegły w sprawach honoru, a wielce dostojny pan arcybiskup zapewnia, że wielki cel świętej wojny wart jest poniżenia. Co się mnie tyczy, z wielkim bólem utracę dom moich ojców, który odzyskałem za odpowiednią cenę dzięki łasce Boga i króla; dom ten jest dla mego serca wielką radością. Własne moje jednak życzenia i ambicje oraz godność moja muszą ustąpić na plan dalszy, skoro chodzi o wysoki cel króla, pana naszego. Jeżeli przez to, królu, ma być umożliwiony alians i wyprawa krzyżowa, chętnie oddaję w twoje ręce castillo Ibn Esra wraz ze wszystkim, co dobudowałem, i za połowę ceny, którą zapłaciłem twemu skarbowi. — Choć dobrze sobie tę mowę przygotował, nie mógł się ustrzec od nieznacznego seplenienia.

Nikt nie oczekiwał, że ten człowiek tak lekko zrezygnuje ze swej cennej posiadłości. Alfonso spojrział na swego escrivano ze zdumieniem, nawet doña Leonor z trudem zachowywała minę uprzejmej damy. Jaki podstęp ukrywał ten człowiek za tak wielkim ustępstwem?

Pierwszy przerwał atmosferę zmieszania młody Garceran de Lara.

— A więc — zawołał radośnie — możemy już pojutrze wyruszyć w pole.

— Czy nie wspominałeś jeszcze o trzecim warunku Aragonii, szlachetny don Manrique? — zapytał potulnie Jehuda.

— Owszem — odparł Manrique — ale to chyba punkt bez większego znaczenia.

Aragonia pragnie jeszcze koncesyj w dziedzinie pewnych ceł, praw rynkowych, zastawionych miast i innych drobiazgów.

Jehuda zauważył z wielką radością, jak głębokie wrażenie wywarła jego szybka rezygnacja z castillo. Siedzieli teraz dookoła ci jego wrogowie, którzy chcieli mieć swoją wojnę i zburzyć wszystko, co z bożym błogosławieństwem zbudował. Ale ci rycerze, ci głupcy, nie będą mieli swojej wojny, on zaś zatrzyma swój zamek. W międzyczasie opracował swój plan we wszystkich szczegółach, czuł się pewny. Szczęście było właściwością. Bóg użyczył mu jej. Czuł przewagę nad tamtymi, jak myśliwy drażniący się z psami.

— Masz wykaz żądanych koncesyj, don Manrique? — zapytał.

Manrique podał mu zapisany arkusz, Jehuda spojrział pobieżnie na pismo.

— Nie wydaje mi się — powiedział — żeby tych dziesiętnaście punktów miało taki niewinny charakter, jak na to wygląda. Mamy na przykład zrezygnować z wpływów w mieście Logroño. Logroño stało się głównym ośrodkiem naszego handlu winem, zwolniliśmy to miasto wraz z posiadłościami Rioja od podatków na przeciąg lat trzech, żeby ten handel winem skutecznie popierać.

— Jeżeli dobrze żyda rozumiem — odezwał się pogardliwie arcybiskup — to biada on nad tym, że w czasie świętej wojny wpływy skarbu koronnego będą może nieco szczuplejsze. Zapewne ma rację. Kto jednak chce zdobyć Ziemię Świętą, temu nie wolno bać się wędrówki przez pustynię i biadać nad utratą egipskich garnków z mięsem.

Jehuda nie odpowiedział. Zwrócił się do króla ze słowami:

— Gospodarka twoja, królu, prześcignęła w tych ostatnich latach gospodarkę Aragonii. Liczne przedsiębiorstwa, któreśmy w tym czasie pozakładali, zapowiadają rozkwit. Ale sprytny pakt, opracowany przez panów rady dostojnego don Pedro, oddaje eksploatację tych właśnie przedsiębiorstw w ręce Aragonii. Niebezpieczna jest, królu, ta proponowana transakcja handlowa. Jeżeli w tych dziewiętnastu punktach ustąpisz, Aragonia w ciągu niewielu lat zdecydowanie wyprzedzi Kastylię. Don Pedro ma bardzo zdolnego skarbnika. Na dłuższą metę nie sprostamy Aragonii, jeżeli przyjmiesz te warunki.

Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Don Martin grzmiał gniewnie:

— Mamy z powodu handlu winem zdradzić Chrystusa?

— Don Pedro nie jest chciwy na pieniądze — rzekła doña Leonor. — Skoro zgodzimy się na żądania, które są bliskie jego sercu, nie będzie się upierał przy drobnych korzyściach.

— Wybacz, królowo — odparł czołobitnie don Jehuda — nie chodzi o drobne korzyści, lecz o prymat na tym półwyspie. Oba kraje spierały się o to prawo nie dlatego, żeby mieć pretekst do sporu. Obawiam się, że z dnia na dzień nie uda się porozumieć z Aragonią.

Panowie spoglądali na siebie bezradnie. Sprawy sporne, o które chodziło, były nieprzejrzyste, może istotnie chciano pozbawić Kastylię znacznych przywilejów. Bardziej prawdopodobne było, że obydwaj ministrowie żydowscy spierają się, aby ukreślić łeb słusznej wojnie.

Alfonso był równie zaskoczony i zbity z tropu, jak wszyscy inni. Był rad, że miał podstawę do uniknięcia upokorzeń, które mu doña Leonor i frant Pedro chcieli narzucić. Uszczęśliwiała go również perspektywa pozostania jeszcze przez długi czas razem z Rachelą. Żyd ma zapewne również rację; gdyby przyznał frantowi Pedro te cła i inne głupie bagatelki, poświęciłby istotnie prymat nad Hiszpanią, dziedzictwo swego syna. W głębi ducha czuł jednak, tak samo jak inni, gniew, że Jehuda chce go oszukać zapobiegając wymarzonej wojnie.

W tej dziwnej mieszaninie radości i poazucia winy ofuknął ostro Jehudę:

— Czy dlatego mamy pertraktować przez dalsze miesiące, może przez lata, ponieważ ty i twój kuzyn nie możecie się pogodzić? — Po chwili dodał brutalnie: — Cóż proponujesz?

Jehuda, który przemyślał odpowiedź na to pytanie, odparł:

— Handel to trudna sprawa i nie łatwo znaleźć słuszne rozwiązanie. A gdybyśmy tak przywołali bezstronnego rozjemcę, zażywającego bezspornego poważania?

Nikt nie wiedział, do czego żyd zmierza. Arcybiskup zawołał nagle z entuzjazmem:

— Tak, zwróćmy się do Ojca Świętego! Przecież kardynał, legat papieski, znajduje się i tak w drodze.

— W takiej bardzo świeckiej sprawie — zauważył skromnie żyd — może powinien by rozstrzygać autorytet świecki. Książęta mogliby zwrócić się o rozjemstwo do dostojnego ojca królowej. Jest to kłopotliwe zadanie, ale trudno przypuścić, żeby król Anglii ze względu na świętą wojnę i Pokój Boży odmówił.

Wyglądało na to, że propozycja Jehudy ma ręce i nogi: król angielski był spokrewniony zarówno z domem aragońskim, jak z kastylskim, znał dokładnie stosunki, był głośny ze swego rozumu, gdy chodziło o spory państwowe, można oczekiwać od niego słusznego wyroku. Ponieważ jednak propozycja wyszła od Jehudy, wszyscy słuchali nieufnie.

Doña Leonor była przeświadczona, że to, co tutaj żyd zaproponował, miało tyle wspólnego z jego prawdziwymi, powikłanymi i złowrogimi zamiarami, co falista powierzchnia morza z jego wiecznie spokojnym dnem. Starła się szybko odkryć jego prawdziwy zamiar. Ojciec jej Henryk, który swój własny udział w wyprawie krzyżowej raz po raz odkładał, pojmował niewątpliwie, jakie korzyści ciągnie Hiszpania z neutralności. Przewidywał również

niewątpliwie, że królowie hiszpańscy przed rozpoczęciem swej wojny z muzułmanami poproszą go o pomoc wojskową, a nie należał do ludzi, którzy chętnie dają. Nie miał więc powodu do przyspieszania zgody między Kastylią i Aragonią, przeciwnie, będzie się raczej długo głowił, by wreszcie wydać opinię, która nikogo nie zadowoli. Bardzo to sobie chytrze ten żyd pomyślał. W błyskawicznym tempie zastanawiała się nad tym, jakby jego plan zniweczyć. Pojedzie do Saragossy, skłoni don Pedra, żeby się nie dał wodzić za nos swojemu żydowi. Odśloni ojcu w poufnym piśmie całe swoje nieszczęście, będzie go błagała, by przyspieszył swą decyzję. Jednak król angielski sam odczuwał i przeżywał niejedną taką zdrożną namiętność; kto jak kto, ale właśnie ojciec Henryk będzie miał zrozumienie dla rozpustnych radości i trosk Alfonsa. Leonor rozumiała z goryczą, że nie potrafi na chytrą Ibna Esry nic poradzić.

Również i Alfonso przejrzał Jehudę swym byстрыm rozumem. Było tak, jak to przewidywał od początku: żyd chciał odsunąć świętą wojnę już choćby ze względu na uchodźców, których sprowadził do kraju. Ale się przeliczył! Nie będę, myślał sobie Alfonso, spierać się z Pedrem o bagatelki. Nie zwrócę się do ojca Henryka, żeby mrugając do mnie porozumiewawczo szepnął pod nosem: zostawmy młodzieńcowi jego zabawy łoża i przyjemności. Nie dam się temu żydowi wpakować w kabałę. Nie zapłacę za miłość Racheli gnuśnymi pertraktacjami i odwlekaniem.

Tak czuł i myślał Alfonso podczas krótkiej ciszy, która nastąpiła po mowie żyda.

Potem, ku własnemu przerażeniu, usłyszał siebie mówiącego, co następuje:

— Co sądzisz, donio Leonor, co sądzicie wy, moi panowie? Wydaje mi się, że nasz *escrivano* znalazł dobre wyjście. Trudno dla tak zawikłanej transakcji znaleźć w całym chrześcijaństwie sędziego, który byłby lepszy od mądrego, dostojnego ojca naszej królowej. Myślę, don Jehudo, że zrobimy, jak proponujesz.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dla uzyskania pewności Jehuda wyłożył w poufnym piśmie swemu przyjacielowi w dziedzinie interesów, Aaronowi Lincolnowi, doradcy finansowemu króla Henryka angielskiego, o co w zatargu dwóch królów chodzi, i prosił go o pomoc.

Potem, wróciwszy do Toledo, przesłał, jak nakazywały dobre obyczaje, podarki królowej. Podarki bezwstydnie kosztowne: szlachetne perfumy, wielką toaletę z kości słoniowej, pełną grzebieni, szpilek do włosów i szminek, poza tym cudownie wykonaną skrzynię, wypełnioną broszkami, pierścieniami, agrafami i szlachetnymi kamieniami. Były tam jeszcze pantofelki z małymi lusterkami, w których ich właścicielka mogła się przeglądać. Doña Leonor była oburzona czelnością człowieka, który dla pocieszenia jej po porażce przysyła tak kosztowne przedmioty; miała ochotę odesłać podarki. Ale dotychczas zachowywała się jak dama, pozostanie więc damą. Ponadto podarki podobały jej się. Zatrzymała je i napisała pismo dziękczynne.

Tymczasem przybyli do Kastylii pierwsi uchodźcy żydowscy z Francji i, jak to przewidział don Efraim, przybycie ich dało arcybiskupowi i wrogim grandom pożądaną okazję do nowych przemówień podburzających: żyd, twierdzili, nie używa dziesięciny saladyńskiej na zbrojenia do świętej wojny, trwoni pieniądze na to, by osiedlać w kraju nowe chmary niewiernych i oszustów.

Oszczercze słowa nie znajdowały posłuchu. Przecież można było przekonać się namacalnie o sukcesach nowej administracji. Bogactwo kraju rosło i każdemu przynosiło korzyści. Było więcej pieniędzy niż przedtem, napływały nie znane dotychczas towary, powstawały nowe plantacje, warsztaty, sklepy. Wszystko, czego Jehuda dotknął, rozwijało się.

W owym czasie przybył do niego uczony z Nawarry, z miasta Tudeli, niejaki rabin Beniamin, człowiek wysoce szanowany. Ów Beniamin z Tudeli poświęcił swe życie wiedzy o świecie, geografii. Zakończył właśnie drugą wielką podróż badawczą, która z zachodniej części świata zaprowadziła go nad jego granice wschodnie, aż do Tybetu i Chin. Badał przede wszystkim stosunki panujące wśród żydów w ich rozproszeniu, poza tym zebrał przydatne wiadomości wszelkiego rodzaju i wszędzie zetknął się z czołowymi mężami, między innymi z sułtanem Saladynem i papieżem. Teraz pracował nad ujęciem rezultatów swej podróży w formę książki. Książka miała mieć tytuł: „Masseot Beniamin”, „Podróże Beniamina”. Liczni młodzi uczeni z akademii don Rodriga wyrazili gotowość przełożenia jej na łacinę i arabski.

Ów Beniamin z Tudeli odwiedził więc pana naszego i nauczyciela Jehudę Ibn Esrę. Nie chciał zaniedbać okazji poznania człowieka, który w latach jego nieobecności zmienił w sposób tak błogosławiony oblicze półwyspu. Jehuda okazał słynnemu badaczowi wiele szacunku. Pokazał mu bibliotekę z jej kosztownymi księgami i zwojami, znajdującą się w budowie synagogę, zaprowadził go do założonych przez siebie fabryk. Rabbi Beniamin patrzył i słuchał okiem i uchem znawcy.

Przy stole rabbi Beniamin mówił o swoich podróżach. Na zapytania don Jehudy opowiadał o wschodnich żydach. W cesarstwie greckim i Ziemi Świętej żydzi cierpieli wskutek wypraw krzyżowych, w Kairze i Bagdadzie żyli w pokoju i wielkim dobrobycie. Opowiadał o Resz-Galucie, księciu wschodniego żydostwa. Rezydował on w Bagdadzie, był uznany przez kalifa za przywódcę żydów. Był upoważniony do rządzenia swymi współwyznawcami „palką i batem”, sprawował zwierzchnictwo podatkowe i sądowe oraz pełnił władzy nad żydami Babilonu, Persji, Jemenu, Armenii i Kaukazu; władza jego rozciągała się aż do granic Tybetu i Indii. Osadzając obecnie panującego Resz-Galutę, pana naszego i nauczyciela Daniela Ben Chasdai na urządzie, kalif oświadczył gromkim głosem przed całym ludem: Jam jest następca

proroka Mahometa, mój wielki przyjaciel zaś to następca króla Dawida. Resz--Galuta zażywał wielkiego poważania również u muzułmanów. Kiedy opuszczał swą siedzibę, heroldowie wołali: miejsce dla pana naszego, syna Dawida. I cały lud padał na ziemię, jak przed samym kalifem.

Barwne opowiadanie zrobiło na Jehudzie wrażenie. Beniamin ciągnął dalej:

— Resz-Galuta mówił również i o tobie, don Jehudo. Wiadomo i na Wschodzie, żeś zrezygnował z wysokiego stanowiska w Sewilli, by pomagać swoim braciom w Toledo. — Zakończył następująco: — Podróżuję po świecie lat trzynaście i oto po powrocie znajduję w swoim pobliżu rzecz najbardziej w nim godną widzenia.

Te słowa rabiego Beniamina, który był niezależny i nie miał powodu do schlebiania, rozgrzały serce Jehudy; fakt, że wypowiedziane zostały w obecności przyjaciela, zwiększał jego radość.

Czuł się teraz, jak Oker Harim, jak człowiek, który może wstrząsać górami, nie obawiał się używać swej władzy bez skrupułów. Ponieważ król pozostał w Burgos dłużej, niż się spodziewano, wydał liczne niebezpieczne zarządzenia na własną rękę. Ku gniewowi wrogich mu prałatów i baronów porozdawał wielu uchodźcom z Francji intratne posady. Niejakiego Natana z Nemours, który już dawniej był w Kastylii, mianował wójtem Zurity.

Nadszedł Purim, dzień, w którym żydzi święcą uratowanie ich z najcięższego nieszczęścia przez królową Esterę. Nikczemnik Aman mianowicie, który cieszył się łaskami króla Aswerusa, chciał wyrząść wszystkim żydów w mieście Suza i w państwie perskim, ponieważ żyd Mardocheusz podrażnił jego próżność. Ale siostrzenica Mardocheusza, dziewczyna imieniem Edyssa, zwana Esterą, znalazła łaskę w oczach króla. Uczynił ją swoją królową. Nakłoniona przez stryja swego Mardocheusza, postanowiła zniweczyć plany Amana. Choć pod grozą kary śmierci nikomu nie wezwanemu nie wolno było stanąć przed obliczem władcy, dotarła do Aswerusa i zaczęła go prosić o zmiłowanie nad jej ludem. Król, poruszony jej urodą i mądrością, pochylił berło, ułaskawił ją i jej lud, wydał lotra Amana w ręce żydów. Ci powiesili go na tej samej szubienicy, na której on chciał powiesić Mardocheusza. Powiesili również jego dziesięciu synów i pozabijali wszystkich swoich wrogów w stu dwudziestu siedmiu krajach, które były podległe królowi Aswerusowi.

Istnieją w żydowskim kalendarzu' świątecznym dniu, przypominające wybitniejsze wydarzenia, żadnego jednak dnia prawowierni żydzi nie czczą z taką wybujałą radością, jak właśnie tę rocznicę. Uczują obficie, obdarowują się wzajemnie, wspomagają szczerze biedaków, urządzają widowiska, tańce i gry. Przede wszystkim jednak z triumfalnymi gestami wśród radosnego gwaru odczytują księgę, w której zapisane zostały wydarzenia, towarzyszące temu cudownemu uratowaniu, Księgę Estery.

Również i Jehuda, lubiący się w święta radować, zebrał w owych dniach w swym castillo licznych gości, żeby wraz z nimi słuchać barwnego opisu, zawartego w Księdze Estery, jeść z nimi i pić, przyglądać się grom, bawić się zarówno rozsądną, jak i niemądrą gadaniną.

Owe bajeczne wydarzenia, o których opowiada Księga Estery, wydarzyły się w 3400 lat po stworzeniu świata. Liczono teraz rok 4950. Z roku na rok, dziesiątki, setki tysięcy żydów krzepiły się tą historią. Ale we wszystkich tych czasach niewielu chyba tak się nią radowało, jak obecnie Jehuda. Próby i zwycięstwa Mar-docheusza i Estery były próbami i zwycięstwami jego i jego Racheli. Kto tak głęboko jak on mógł odczuwać odwagę i śmiertelną rozpacz Estery, kiedy stanęła przed obliczem króla? Kto tak jak on mógł współuczestniczyć w rozsadzającej serce radości Mardo-cheusza, kiedy go wróg Aman musiał prowadzić na koniu królewskim przez miasto wołając: „Oto człowiek, którego król chce uczyć”. Kiedy doszło do zakończenia, w którym król czyni Mar-docheusza strażnikiem swej pieczęci, Jehuda poczuł z triumfem pieczęć z herbem na swej piersi i spojrział z zadowoleniem na trzech uchodźców z Francji, których dla

uczczenia tego dnia zaprosił do swego domu.

Studenci Jesziwy, szkoły Biblii i Talmudu, wśród nich don Benjamin Bar Abba, parodiowali teraz stosownie do obowiązującego w tym domu obyczaju swoich nauczycieli i stawiali sobie wzajemnie przemyślnie pytania.

Młody Benjamin uważał, że Mardocheusz i Estera obciążyli się, mimo wszystkich swych zasług, dwoma grzechami. Przede wszystkim nie mieli litości.

— W święto Paschy — powiedział — ulewamy z kubka radości dziesięć kropel wina ku pamięci mąk naszych nieprzyjaciół. Tymczasem Mardocheusz i Estera ‘powiesili z niepohamowanym entuzjazmem Amana i jego synów, pozabijali z uczuciem niezmaconego triumfu wszystkich swoich przeciwników.

Reszta wystąpiła z gwałtownym sprzeciwem, Aman był tak przepastnie zły, że nawet człowiek najpobożniejszy musiał się radować ze starcia go w proch. Jest rzeczą niewątpliwą, że Mar-docheusz kiedyś uratował go od śmierci. Aman odplacił mu za to najczarniejszą niewdzięcznością. Złość jego była tak piekielna, że niewinne drzewa walczyły przed tronem Boga o zaszczyt użycia ich na szubienicę dla niego. Wybrane jednak zostało drzewo arki Noego, przeznaczone do tego celu już w dniu stworzenia.

Don Jehuda pytał siebie, czy może sam jest okrutnikiem. Był nim i był z tego dumny. Oddałby dwadzieścia dwa okręty swej floty za rozkosz zobaczenia arcybiskupa wiszącego na gałęzi. Oddałby swe udziały w przedsiębiorstwach w Prowansji i we Flandrii, gdyby mógł widzieć, jak barona de Castro, który go nazwał parszywym psem, biczują i ćwiartują. Mężczyzna musi tak odczuwać, chyba że jest mędrce, jak Muza, lub prorokiem. Jehuda nie był ani jednym, ani drugim i wcale tego nie chciał.

Z tego rodzaju rozmyślań i rozważań wyrwały go słowa don Beniamina. Mówił on teraz o drugim grzechu Mardocheusza, o jego pysze.

— Popatrzcie tylko — gorączkował się — z jakim blaskiem przemierza konno miasto Suzę, prowadzony przez Amana. I dlaczego, jeżeli taki był rozkaz królewski, nie ugiął przed Amanem kolan. Ustawy kraju są waszymi ustawami, uczą doktorzy. To nieposłuszeństwo, ta pycha Mardocheusza, spowodowała na żydów całe nieszczęście. Napisane to jest w Księdze wyraźnie. Mardocheusz znał ludzi, znał Amana, wiedział, jakie skutki pociągnie za sobą jego opór. Dlaczegoż więc nie przewyciężył swej pychy, nie ochronił swego ludu przed niebezpieczeństwem?

Ciężko było Jehudzie zachować obojętny wyraz twarzy. Wiedział, że sam uchodzi za pyszałka, nie uszło uwagi żadnego z jego gości, jak niezwykle los jego i Racheli podobny był do losu Mardocheusza i Estery. Kiedy don Benjamin rzucał gromy na pychę Mardocheusza, zrodziło się w Jehudzie gorzkie podejrzenie. Było mu dane przynieść żydom Toledo błogosławieństwo. Czy jednak mimo to ciągle jeszcze nie patrzyli na niego oczyma rabiego Tobii, z odrazą?

Mardocheuszowi nikt nie brał za złe, że swą wychowanicę posłał pogańskiemu królowi na zamek i do łoża. Ale Mardocheusz żył przed wieloma setkami lat w odległym mieście Suzie. Jehuda żył obecnie, Galiana znajdowała się w odległości niecałych dwóch mil.

Z niechęcią badał twarze swych gości, przede wszystkim twarz młodego don Beniamina. Nie cierpiał go. Spojrzenia jego były chłodne, krytyczne, pozbawione szacunku, jaki się człowiekowi pokroju Jehudy Ibn Esra należał.

Ale nie, jego goście nie mają ukrytych złych myśli. Z jakim ferworem przeciwstawiają się młodemu Benjaminowi, broniąc Mardocheusza bronią jego, Jehudę. Stwierdził z satysfakcją: nie brali mu za złe, że im przyniósł błogosławieństwo.

Istotnie bronili swego Mardocheusza ognistymi argumentami. Gdyby Mardocheusz był pełen pychy, czy ukrywałby, że był opiekunem i stryjem królowej? I czy człowiek powodujący



się pychą tkwiłby pokornie, jak żebrak, przed królewskim zamkiem? Wychował również Estere w pokorze. Zdobyła się na pójście do króla, które groziło śmiercią, bez fałszywej pewności siebie, lecz z najgłębszą pokorą. Księga podawała dosłowny tekst jej modlitwy: „Ty znasz potrzebę moją, że się brzydzę znakiem pychy i chwały mojej, która jest na głowie mojej w dni ukazywania się mego, i że mię mierzi jako szmata miesięcznej niewiasty, a nie noszę jej w dzień milczenia mego; iżem też nie jadała u stołu Amana, ani mi się podobała ucztą królewska, anim piła wina mokrych ofiar, i nigdy się nie weseliła służebnica twoja od tego czasu, jakom tu zawiedziona; aż do dnia dzisiejszego, jeno w tobie, Panie, Boże Abrahamów! Boże mocny nade wszystkich, wysłuchaj głosu tych, którzy żadnej innej nadziei nie mają, a wybaw nas z rąk złośliwych i wyrwij mię z bojaźni mojej!”

Nieufność Jehudy rozwiała się. Żydzi Toledo nie życzyli mu źle. Widzieli w nim męża jak Mardocheusz, męża, który był wielki wśród żydów i miły rzeszom jego braci, który chciał dla swego ludu wszystkiego, co najlepsze, i szukał ratunku dla całego pokolenia.

Muza zapytał go:

— Nie rośnie ci serce, drogi Jehudo? Nie wydajesz się sobie samemu Mardocheuszem? Jehuda odpowiedział na pół żartem, na pół serio:

— Rzekłeś!

Kładąc się do łóżka czuł się szczęśliwy i zmęczony. Ale we śnie umysł jego pracował dalej. Kiedy się następnego ranka obudził, zrodził się w tym dziwnym, wszechstronnym człowieku pod wpływem wrażeń i doznań ubiegłego dnia pomysł mający ścisły związek z jego interesami.

Aman wyciągnął los, by wyznaczyć dzień wytrzebienia żydów, a on wylosował dzień ich ratunku i wywyższenia. Żydzi nazywali święto Estery świętem losu — Purim. Ciągnąc losy prowokować szczęście, sprawdzać, komu Bóg łaskaw, a komu nie, wszystko to bawiło ludzi. A gdyby tak Jehuda wykorzystał tę skłonność! W imieniu króla rozpisze wielką loterię, postawi olbrzymi garnek szczęścia, z którego każdy będzie mógł ciągnąć los za niewielką opłatą. To prawda, że poszczególne losy przyniosą skarbowi królewskiemu niewielkie zyski, kiedy ich jednak będzie dużo, zyski mogą być olbrzymie.

Jeszcze tego samego dnia Jehuda zabrał się do obliczania, co taki wielki kastylski garnek szczęścia może przynieść.

Kiedy się na owej radzie koronnej okazało, że rokowania z Ara-gonią wymagać jeszcze będą miesięcy, królowi pilno było powrócić do Toledo. Wiedział jednak, że doña Leonor przejrzała jego nieuczciwą grę. Była wprawdzie równie spokojna i uprzejma jak zawsze, ale nie mógł zapomnieć i nigdy nie zapomni, jak mu powiedziała prosto w twarz: — Całe chrześcijaństwo będzie z ciebie szydzić. — Odczytywał na jej jasnej twarzy pogardę, nie chciał uciekać. Spędzał w Burgos tygodnie pełne męki, tęsknił gorąco za Rachelą i Galianą. Ale pozostawał.

Na początku trzeciego tygodnia powiedział sobie, że już wystarczająco spełnił swój obowiązek, i zaczął gotować się do wyjazdu.

Ale został w przykry sposób zatrzymany.

Informacja Leonor okazała się prawdziwa: mały infant czuł się niedobrze. Teraz nagle choroba przybrała na sile. Lekarze byli bezradni.

Zrozpaczony Alfonso upatrywał w tym nieszczęściu kary bożej. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś szydził złowrogo w rozmowie z Rod-rigiem, że Bóg jest, jak się zdaje, zadowolony z niego; wszystko, czego dotknie, pozwala mu doprowadzić do szczęśliwego końca. Rodrigue odpowiedział, że w takich wypadkach kara dla grzesznika jest w zaświatach tym straszliwsza; łaską jest, kiedy Bóg karze już w tym życiu. Jeżeli była to łaska, to łaska okrutna. Ale Alfonso

zasłużył na karę. Kłamał na radzie koronnej, pozwolił grać fałszywym, przebiegłym argumentom żydów, uchylał się tchórzliwie od swego najświętszego obowiązku, od wojny. Że Bóg zabierał mu dziedzica, było dowodem, jak straszliwie zgrzeszył.

Również i doña Leonor czyniła sobie pełne przesądów wyrzuty. Robiła ze słabości infanta chorobę, żeby Alfonsa znęcić do Burgos, oderwać od żydówki. Teraz mściwe niebo czyniło jej kłamstwo prawdą. Siedziała przy łóżku gorączkującego, z trudem chwyającego oddech dziecka bezradna i zrozpaczona.

Aż przybył z Toledo stary Muza Ibn Daud, żeby lekarzom w Burgos zaproponować swą pomoc.

Kiedy Jehuda dowiedział się o chorobie dziecka, ogarnęło go głębokie przerażenie. Jeżeli infant umrze, doña Leonor doprowadzi do zaręczyn księżniczki Berengarii z don Pedrem; wtedy żaden plan, nawet najbardziej wymyślny, nie potrafi dłużej wstrzymać aliansu i wojny. Don Jehuda z miejsca wezwał aliamę do odprawiania modłów za wyzdrowienie infanta; żydzi toledańscy modlili się szczerze, wiedząc, o co chodzi. Równocześnie Jehuda poprosił Muzę, żeby pojechał do Burgos. Stary lekarz opierał się oświadczając, że chce poczekać na wezwanie króla. Tymczasem Jehuda nalegał, żeby pojechał natychmiast.

Był tedy na miejscu. Mimo swej niechęci do starego Muzy król odetchnął i oświadczył donii Leonor, że oto przybył najlepszy lekarz półwyspu, Muza Ibn Daud, który z pewnością dziecko uratuje.

Jasna, spokojna twarz donii Leonor wykrzywiła się, wyraz jej zmienił się przerażająco, wybuchła z niej cała nienawiść.

— Czy nie dosyć sprawiliście nieszczęścia, ty i twoja żydówka? — rzuciła mu w twarz; piękny jej głos brzmiał teraz brzydko i ostro. — Chcecie również mego syna zgładzić ze świata? — Wróciła do francuszczyzny swego dzieciństwa. — Na rany Boga! — wypowiedziała ulubione zaklęcie swego ojca. — Prędzej uduszę tego człowieka własnymi rękami, nim dopuszczę go do mego dziecka.

Alfonso cofnął się. Była to inna Leonor aniżeli ta, którą znał przez lat piętnaście. Nawet podczas rady koronnej, kiedy go upokorzyła, powściągała swój ton i gest. Teraz po raz pierwszy wybuchła z niej owa namiętność, która ojca jej i matkę wpędziła w tak nieopanowane postęпки. To on był winien, Alfonso, to on uczynił z damy i królowej kobietę szaloną.

Infant Enrique zmarł wśród mąk.

Leonor siedziała głucha, skamieniała. Ale pośród bezbrzeżnego nieszczęścia zrodziła się w niej gorzka, miła jej świadomość, że właśnie ta strata doprowadzi ją do celu. Teraz, po śmierci infanta, Berengaria była znowu dziedziczką Kastylii, teraz zaręczyny jej z don Pedrem stawały się zobowiązaniem wobec całego chrześcijaństwa. Teraz żaden żyd ani żaden diabeł nie mógł już zapobiec wojnie. Teraz Alfonso musi ruszyć w pole, jego rozłąka z żydówką była przypieczętowana. Myśląc z gniewnym szyderstwem o korzyści, za którą zapłaciła tak olbrzymią cenę, widziała Alfonsa uzbrojonego na wyprawę; pochylał się ku niej z konia, pełen radosnej, rycerskiej otuchy. W ciągu tych wszystkich miesięcy odczuwała jedynie nieujarzmioną chęć ukarania go; teraz nagle pochwyciła ją dawna miłość.

Alfonso był złamany. Szary, blade, siedział z rozwianym włosom, wzrok miał nieruchomy, wygasły. Dręczyła go szalona skrucza. Udawał przed sobą, że może nawrócić Rachelę, a przecież wiedział od początku, że nie zdoła tego dokonać. Ta kobieta opanowała go jak choroba, wiedział o tym, ale wiedzieć nie chciał. Zamykał oczy, udawał ślepego. Teraz Bóg otworzył mu oczy na okropne światło.

Tej nocy, podczas której zmarły infant leżał na marach w kaplicy zamkowej, owiany kadzidłem, wśród pacierzy trzymających straż księży, doszło między Alfonsem i Leonor do

rozmowy. Zapytał ją wprost, ile będzie potrzeba czasu, by doprowadzić do zaręczyn Berengarii z don Pedrem. Odpowiedziała, że umowy będą mogły być podpisane chyba to ciągu niewielu tygodni.

— W takim razie ruszę w pole za dwa miesiące — oświadczył don Alfonso. — I dobrze, że się tak stanie — wybuchnął.

Siedziała opanowana, łagodna, smutna, dostojna. Myślała o tym, ile musiało na nich oboje spaść nieszczęść, żeby się wyrwał z błota. Brzmiały w niej słowa, które matka jej ze swego więzienia napisała do Ojca Świętego: „Z gniewu bożego królowa Anglii”. Wymieniała z Alfonsem słowa rozsądne, obojętne, ale w. uszach jej brzmiało: in ira Dei regina Castiliae.

Spokojnym, dźwięcznym głosem powiedziała, że dobrze uczyni, jeżeli przed wyruszeniem na wojnę wyswobodzi się od wszelkiej winy. Zrozumiał od razu. Paliło go wspomnienie owej chwili, kiedy mu w obecności innych rzuciła w twarz zniewagę, pamiętał, jak przed dwoma dniami nienawiść jej wybuchnęła w formie przekleństw i zaklęć. Ale teraz twarz jej i głos były spokojne, miał niemal wrażenie, że mu współczuje. Nie mówiła do niego kobieta pełna gniewu, karząca; były to słowa kobiety kochającej.

— Odeślę ją — przyrzekł gwałtownie.

Kiedy król szedł ku bramie Galiany, kiedy go powitał napis: alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo, kiedy jeszcze zobaczył mezuzę, której szkło potłukł, cieszył się przekornie na to, że powie Racheli: — Idę na wojnę, rozstajemy się, Bóg tak chce. — Powiedziawszy jej to wróci natychmiast do Toledo.

Potem jednak stanął przed nią, jej szaroniebieskie oczy błyszczały, twarz jaśniała, i całe jego zdecydowanie ulotniło się. Robił jeszcze wszystko, by nie stracić swej obietnicy z pamięci. Dotrzyma jej, pomówi z nią o rozłące. Ale nie teraz, nie dziś.

Objął ją, spożył z nią posiłek, gawędził, przeszli przez ogród. Ta kobieta była zupełnie inna, niż ją miał w pamięci, piękniejsza. Jak mógł wmówić w siebie, że ma w sobie coś z czarownicy?

Nadszedł zmrok. Zapomniana została śmierć infanta, święta wojna. Zapadła noc, błoga, błogosławiona.

Jedli razem śniadanie, jak to czynili dawniej. Teraz jednak on był małowówny. A przecież musiał mówić, nie wolno mu było zwlekać, każda minuta zwłoki była niemądra i grzeszna.

Paplała beztrosko o drobiazgach. O tym, że wuj Muza opowiadał jej długo i szeroko o gmachach w Burgos. Mówił jej, że się dobrze czuje w muzułmańskich miastach i domach, ale swoisty styl posiada również prosta, wyniosła jasność chrześcijańskich miast i zamków. I ich wielkość.

To, co Racheli opowiadała i jak mówiła, drażniło Alfonsa. Obudziło się w nim wspomnienie Burgos, choroby dziecka, szaleństwa donii Leonor. Musiał również wrócić pamięcią do pierwszej rozmowy z Rachelą, kiedy to obrzydziła mu jego zamek. Ogarnął go nastrój pierwszych chwil po powrocie, powiedział brutalnie i gniewnie:

— Muza odkrył wielką prawdę. Przepych muzułmański szybko wywołuje przesyt. I ja mam dosyć Galiany. Za parę tygodni ruszam w pole.

Spojrzała na niego, jak gdyby go nie rozumiała. Potem padła zemdlona. Stał nad nią ogłupiały. Był przygotowany na przeciwstawianie się jej biadaniom, na wytłumaczenie jej w szorstkich, mocnych słowach, że tak być musi. A teraz wydał się sobie chłystkiem, nie rycerzem. Widział umierających przyjaciół, odmawiał Ojcie Nasz i walczył dalej; wobec tej zemdlonej stał bezradny. Wziął ją w ramiona, głaskał, tulił delikatnie do siebie, zwilżał jej czoło.

Wieczność upłynęła, nim otworzyła oczy. Nie mogła się opamiętać. Wreszcie się

opamiętała.

— Wybacz, że jestem taka słaba — powiedziała. — Wiedziała, że nie będzie to trwało wiecznie, opowiadano mi, co zaszło w Burgos. Powiedziała mi to piastunka Saad, powinnam była wiedzieć, nie powinnam była przypominać ci tego. Wybacz, że mnie to zważyło z nóg. Ale jestem teraz przeczulona, bo przecież jestem w ciąży.

Patrzył na nią, otworzywszy usta. Potem wybuchnął ogromnym, błogim śmiechem.

— Przecież to wspaniale! — triumfował. — Jestem naprawdę dzieckiem szczęścia! — Biegał dokoła, uderzał nogą w podłogę, tańczył, brał ją w ramiona, przyciskał do siebie. — Dobrze, że nie mam na sobie zbroi — powiedział. — Gdyż poraniłbym twoje biedne piersi.

Myślał sobie: Zachowywałem się wobec tej najbardziej uroczej kobiety brutalnie i ordynarnie jak chłop. Przecież wiedziałem, że kłamię, już wtedy, kiedy do niej mówiłem. Ją opuścić, ją!

Powiedział coś podobnego. Trzymał ją w objęciach, gadał po kastylsku i po arabsku, jąkał się, oskarżał się gwałtownie, plótl trzy po trzy jak zakochany.

Myślał: Jestem naprawdę beniaminkiem Boga. Bawi się ze mną jak ojciec ze swym małym synkiem. Drażni mnie złośliwie, a potem gotuje tym większą radość. Zwalił mi wtedy na kark najgłupszą wojnę, a potem poraził starego stryja Raimundeza atakiem serca. Zabrał mi małego Enrique, a teraz daje mi syna z tą kobietą, gorąco, jedynie przeze mnie kochaną. Uważałem za karę to, co było łaską.

Musi się powściągnąć, żeby i tego nie powiedzieć Racheli. Król może mieć takie szczęśliwe, dumne myśli, ale nie wolno mu ich wypowiadać.

Pomyślał o przyrzeczeniu, które dał donii Leonor. Nie miało już znaczenia. W tych okolicznościach nie miało znaczenia. To, że Rachela urodzi mu teraz syna, oznaczało, iż Bóg przebaczył mu i był z nim w zgodzie. Myślał: Król posiada głos wewnętrzny i tylko tego głosu wolno mu słuchać. Bóg nie chce, żebym już teraz wyruszył w pole, czuję to wyraźnie. Ruszę w pole, ale muszę czekać, aż Bóg obwieści mi właściwą chwilę.

Myślał: Ją opuścić? Raczej tysiącrotnie umrzeć! Był bezgranicznie szczęśliwy. I ona była bezgranicznie szczęśliwa.

Życie w Galianie toczyło się jak dawniej.

Kardynał Grzegorz z Sant' Angelo, wysłannik specjalny, przywiózł królowi pismo odręczne Ojca Świętego. Papież przypominał swemu ukochanemu synowi, królowi Kastylii, postanowienie soboru laterańskiego, w myśl którego zabronione było książętom chrześcijańskim powierzać żydom władzę nad chrześcijanami, i wzywał go z ojcowską surowością do pozbawienia wreszcie osławionego Ibn Esry jego urzędu. Gdyby szatan, pisał papież, raz po raz nie różnił ze sobą dostojnych książąt przy pomocy intryg żydowskich ministrów, pogodziliby się od dawna.

Alfonso przeczuwał, że za pismem tym stoi albo doña Leonor, albo arcybiskup. Ale nie wywołało to w nim gniewu, był pogodny, miał poczucie przewagi. Jego głos wewnętrzny rozkazywał: „Nie przepędzaj jeszcze żyda. Może później”.

Odpowiedział kardynałowi czołobitnie, że z przykrością posługuje się od tak dawna doradcą niemiłym Ojcu Świętemu. Ale dopiero pomoc tego Ibn Esry umożliwiła zbrojenia na wyprawę krzyżową przeciw muzułmanom. Kiedy osiągnie zwycięstwa i sztuczki żydowskie nie będą mu już potrzebne, zastosuje się, jak przystoi wiernemu synowi, do woli Ojca Świętego.

Kardynał Grzegorz, wielki mówca, wygłosił kazanie w katedrze. Już przed setkami lat, znacznie wcześniej niż reszta chrześcijaństwa, mieszkańcy tego półwyspu podjęli wojnę z muzułmanami. Ale szatan posiał nienawiść między królami, dobywali mieczów przeciw sobie zamiast przeciw nikczemnemu wrogowi chrześcijaństwa. Teraz jednak Wszechmocny wstrząsnął

ich sercami, teraz Hiszpanie podejmą z nowym zapalem swą dawną walkę z niewiernymi. Bóg tak chce!

Kastyliczcy, po śmierci infanta przygotowani na to, że wojna wreszcie się zacznie, słuchali kazania kardynała z głębokim przejęciem. Wniosła wszechobecność Kościoła uświadamiała ich od dzieciństwa o przemijalności wszystkiego, co ziemskie; teraz wszystko ziemskie traciło całkowicie na wartości wobec błogości tego, co wieczne, co się rysowało tak realnie i tak blisko. Każdy bowiem, biorący udział w wyprawie, stawał się wolny od wszystkich grzechów; wróci czysty jak dziecko, albo, gdyby mu były przeznaczone niewola lub śmierć, znajdzie pewną nagrodę w niebie. Nawet ci, którzy korzystali z dosyту i wygody lat ostatnich, nie trapił się z powodu czekającej ich utraty tych dóbr, lecz starali się jakoś zasmakować w tym, co było nieuniknione, wyobrażając sobie rozkosze i radości raju.

Mężczyźni, zdolni do noszenia broni, usiłowali pozbyć się swej własności. Można było nabyć tanio niewielkie folwarki i warsztaty. Za to wzrosło w cenie wszystko, co pozostawało w związku z wyprawą; handlarze skórą i relikwiami mieli dobre czasy. Ogrodnik Belardo wyciągnął kubrak i czapkę dziadka, nacierał skórę oliwą i tłuszczem.

Arcybiskup don Martin ożywił się pod wpływem namacalnej bliskości wojny. Pod szatą duchowną nosił teraz, nie ukrywając się z tym, zbroję. Zapomniał o swoim gniewie na Alfonsa i Ga-lianę, słaWił Boga, który grzesznika tak potężną ręką sprowadził znowu na drogę rycerskiej cnoty.

Widząc, że jego don Rodrigue nie entuzjazmuje się wraz z innymi, przekonywał go po przyjacielsku. Kanonik wyznał, że radość jego z pobożnego przedsięwzięcia mąci, jak kropla krwi w kielichu wina, myśl o licznych zmarłych, których wojna zabierze półwypowi. Don Martin dowodził, że Bóg stworzył człowieka do waśni i walki.

— Dał mu wprawdzie — mówił — panowanie nad wszelkim zwierzęciem, ale uczynił tak, że panowanie to człowiek musiał sobie dopiero wywalczyć. A może sądzisz, że dziki byk dał się wprząc do pług bez walki? Niewątpliwie Boga raduje i dziś jeszcze rycerz, który zwalcza byka. Jeżeli o mnie chodzi, to przyznaję chętnie, że najmilsze mi są słowa, które wypowiedział Zbawiciel, a które przekazuje Mateusz: „Nie mniemajcie, żebym przyszedł pokój puszczać na ziemię, nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz”. — Powtórzył strofy w prastarym, dosłownym tekście. — Alla machairan! — zawołał radośnie; greckie słowa ewangelii brzmiały o wiele jaśniej i zaczepniej od zwykłych łacińskich: sed gladium.

Wojownicze słowa o mieczu boleśnie ugodziły don Rodriga; był zmartwiony, że nie nazbyt uczony arcybiskup pamiętał z pierwotnego tekstu te właśnie słowa. Kanonikowi byłoby łatwo przeciwstawić temu jednemu zdaniu, w którym ewangelia słaWiła wojnę, liczne inne, w których łagodnie i wspaniale wielbiła pokój. Ale Bóg opancerzył serce arcybiskupa żelazem — słyszał on tylko to, co chciał usłyszeć. Don Rodrigue milczał więc z zatroskaną miną.

Don Martin przekonywał go w dalszym ciągu:

— Kiedy nadchodzi wiosna, królowie ruszają na wojnę. Tak napisane jest w Drugiej Księdze Samuela. Tak też jest na pewno. Przeczytaj sobie, drogi bracie! Przeczytaj także, co piszą sędziowie i królowie o wojnach, toczonych w imię Pana! Porzuć swój jeremiaszowy wyraz twarzy, poczytaj, jak Bóg bierze udział w wojnie, jak wojna jednoczy pobożnych i unicestwia niewiernych. Ci bogobojni Hebrajczycy ruszyli w pole wydając okrzyki wojenne i mordowali swych wrogów. Mieli swój okrzyk wojenny: Hedad, sam mi o tym opowiadałeś. Hedad — to brzmi jasno i dobrze. Ale nasze: Deus vult, Bóg tak chce, brzmi również nieźle i można przy jego dźwiękach bić się porządnie. Zgódź się, bracie! Wyrwij się ze swego smutku, wznieś w górę serce. — Ponieważ kanonik trwał w swym nieszczęsnym milczeniu, dodał poufale: — Nie zapominaj również o innych błogosławieństwach wyprawy. O tym, że nareszcie wyrwie naszego

drogiego Alfonsa ze zgniłego pokoju i z kałuży.

Don Rodrigue nie był jednak tak pełen otuchy, jak arcybiskup. Miał pewne wątpliwości, czy śmierć dziecka naprawdę obudziła króla z jego grzesznego snu, obawiał się nieco, że Alfonso w dalszym ciągu będzie szukał drogi pośredniej między swym grzechem i swym obowiązkiem.

Przewyciężył się i ostro zaatakował tego, którego był spowiednikiem.

— Kiedy ruszasz na wojnę, synu mój i królu — upominał go — winieneś uświadomić sobie, że nie wystarczy walić mieczem. Grzechy twoje zostaną ci odpuszczone na wojnie tylko wtedy, jeżeli ich będziesz żałował uczciwym sercem i czynami. Przestań, synu Alfonso, kłamać dalej, jak okłamywałeś dotychczas siebie, mnie i innych. Wiesz o tym, że nie jest nam przeznaczone uratować duszę tej kobiety. Twoim rozkochanym wysiłkom nie udało się wtargnąć do jej duszy, również i memu słowu Pan odmówił siły. Nie wolno ci żyć z nią. Wyrwij grzech z piersi. Nie wyruszaj na wojnę z grzechem. Bóg zabił twego syna tak, jak zabił syna faraona, kiedy ten nie chciał się oderwać od grzechu. Pamiętaj o przestrodze. Rozłącz się z tą kobietą. Teraz. Natychmiast.

Alfonso nie przerywał kanonikowi. Czuł się lekki, uskrzydłony, niedobre słowa nie wywoływały w nim gniewu. Odpowiedział niemal pogodnie:

— Muszę ci coś powiedzieć, ojczy mój i przyjacielu, co może powinienem był już powiedzieć przedtem: Rachelą jest w ciąży. — Zaczekawszy, aż te słowa wnikną w tamtego, ciągnął dalej radośnie, poufale: — Tak, Bóg po raz drugi okazał mi swą łaskę. Jeżeli dotychczas nie dopuścił, bym uratował duszę Racheli, to był to znowu jeden z jego drobnych, łaskawych kawałów. Teraz zdobędę dla chrześcijaństwa nie tylko jedną duszę, teraz będę miał z Rachelą dziecko i chyba nie wątpisz, że matka pójdzie za nim, kiedy to dziecko ochrzczimy. Jestem bardzo szczęśliwy, ojczy mój i przyjacielu, don Rodrigue.

Kanonik był głęboko poruszony. Przewyciężył się oto i mówił twardo ze swym ukochanym synem, a tymczasem ten ujrzał światło. „Albowiem myśli moje nie są myślami waszymi ani drogi wasze drogami moimi” — mówił Pan. Alfonso zrozumiał to lepiej od niego.

Tymczasem król ciągnął dalej:

— Teraz nie będziesz już żądał, żebym się z nią rozstał. — Uśmiechał się, cała jego twarz promieniała. Prosił pokornie: — Niech wszystko zostanie tak, jak jest, zanim ruszę w pole. A może chcesz, żebym matkę mego dziecka odesłał od siebie? Bóg przebaczył mi niejedną winę. Kiedy będę w jego obronie walczył, wybaczy mi, że nie jestem wobec tej najukochańszej kobiety okrutny.

Rodrigue karmił później samego siebie, że ustąpił. Ale tak dobrze rozumiał don Alfonsa! Alfonso kochał Rachelę, a czyż Wer-giliusz, najpoboźniejszy wśród pogan, najbliższy chrześcijaństwu, nie opiewał magii miłości? Jak zaczarowuje zmysły i duszę, jak rabuje swobodę decyzji, jak wiąże człowieka nadludzką sztuką. A dolna Rachelą zasługiwała na miłość, była piękna, lud miał rację, była la Ferosa, piękność jej poruszała nawet jego, Rodriga, budziła w nim pobożne uczucia. Nie chciał bronić króla nawet przed sobą samym. Ale jeżeli Bóg postawił tę kobietę na jego drodze, to może po to, żeby go surowiej niż innych doświadczyć i promienniejszym wyswobodzić.

Myśląc o rozmowie ze swym spowiednikiem Alfonso odczuwał wstyd i skruchę. W tej samej godzinie, w której ojcowski kapłan i przyjaciel mówił mu o jego kłamstwach, okłamał go na nowo i jeszcze mocniej. Udał, że stoi tuż przed wyprawą, brał sobie stąd prawo do grzeszenia przez krótki okres czasu. A przecież wiedział, że nie stał bezpośrednio przed wyprawą, przecież sam przyczynia się do odkładania jej.

Te same bowiem kwestie sporne, które utrudniały alians, stanowiły teraz przeszkodę przy umowie w sprawie wiana ślubnego infantki Berengarii, a przez to uniemożliwiały zawarcie

alianšu. Don Józef był w Saragossie zasypywany coraz nowymi pytaniami i sprawami, tak samo jak w Anglii król Henryk; raz to nie było wyjaśnione, raz tamto. Alfonso wiedział doskonale, że Jehuda stwarza te trudności, udawał rozniewianego i zniecierpliwionego, ale życzył sobie, by Jehuda wysuwał zastrzeżenia, prowokował je. Przejrzeli siebie nawzajem, jeden znał życzenia drugiego, ale nie przyznawali się do tego, prowadzili skomplikowaną grę, mrugając do siebie porozumiewawczo, istniało między nimi nieme sprzysiężenie, król i jego escrivano stali się współtowarzyszami.

Don Alfonso był przy tym zazdrosny o żyda, gdyż Rachelą Ignęła do niego, Jehuda zaś zazdrosny o Alfonsa, ponieważ ona go kochała. Jehuda spoglądał w oblicze Racheli i cieszył się, że jest do niego podobna, Alfonso patrzył w rysy twarzy Racheli i odkrywał z gniewem podobieństwo do ojca. Obaj prowadzili swą dziwną grę w dalszym ciągu, było to dla nich coś w rodzaju ponurego żartu. Nawet w cztery oczy udawali, że dążą żarliwie do alianšu i zaręczyn, a przy tym obaj raz po raz niszczyli to, co żmudnie zbudowali.

Kiedy don Martin zorientował się, że król w dalszym ciągu spędza większą część swego czasu w La Galianie, że przy pomocy godnych pogardy sztuczek w dalszym ciągu odkłada świętą wojnę, wybuchnął otwartym oburzeniem. Piorunował na króla w kazaniach, że słuca rad oszustów żydowskich, że podporządkowuje chrześcijan sądom i opiniom obrzezanych, uciskając w ten sposób Kościół boży, popierając synagogę szatana. Wielki, cnotliwy pisarz starożytny powiedział: „Sicut titulis primi fuere, sic et vitiis — byli pierwsi zarówno rangą, jak i występkami”. Tak dzieje się teraz w smętnej Kastylii. Kazał o królu Salomonie, który dał się nierządnicom doprowadzić do bezbożnictwa.

W całym kraju duchowni szli w ślady arcybiskupa. Oświadczali oficjalnie, że żyd, istny wysłannik piekieł, zbudował z dziesięciny saladyńskiej pałac La Galiana i osadził w nim swą córkę, by opętała króla. Nazywali Rachelę złowrogim ptakiem szatana.

Kastyliczycy czuli się wywiedzeni w pole. Król ich oszukał, pozbawił ich błogosławieństwa świętej wojny. Studenci śpiewali pieśni szydzące z don Alfonsa, nazywali go equis ad far-nacem, rycerzem zza pieca, pytali, kiedy się da obrzezać. Kraj był przygnębiony i oburzony.

Mimo jednak świętego gniewu niektórzy byli radzi, że wojna została jeszcze na chwilę odłożona. Powtarzali stare przysłowie: „Jajko gotowane w pokoju jest lepsze od wołu pieczonego w czasie wojny”. Ale Kastylija była krajem bogobojnym, trwanie w pokoju było w oczach Boga zdrożne, więc również i ci, którzy się z tym w gruncie rzeczy godzili, okazywali swe zadowolenie jedynie wśród swoich czterech ścian. Na ulicy i w szynkach dawali jak i przedtem wyraz tęsknocie za świętą wojną i pragnęli, by Bóg oświecił zaślepionego don Alfonsa. Cały kraj brał udział w fałszywej grze między królem i jego żydem.

Proboszcz pewnej małej miejscowości przybył do don Rodriga z prośbą o radę. Jeden z członków gminy, powroźnik, dzielny, pobożny człowiek, zapytał go: W tym ostatnim roku Pan zrobił z mego interesu tłusty kasek i pobłogosławił go, odłożyłem prawie dwa maravedi w złocie; dlaczego teraz właśnie posyła mnie w pole przeciw niewiernym i niszczy mój dobry warsztat?

Kanonik przejrzał całe zakłamanie don Alfonsa, ale przy całym oburzeniu był rad, że pokój został zachowany; był więc również grzeszny jak powroźnik. Ta świadomość doprowadziła go do utraty spokoju; odpowiedział proboszczowi tak mądrze i lekkomyślnie, że lepiej nie potrafiłby tego zrobić jego przyjaciel Muza. Opowiedział mu historię o świętym Augustynie. Ktoś zapytał go kiedyś: „Czym się Bóg zajmował przed stworzeniem nieba i ziemi?” Augustyn odparł: „Stworzył piekło, by posyłać tam ludzi, którzy podobne pytania stawiają”.

Więść o brzemienności Racheli wzmogła oburzenie wrogich grandów i prałatów. Ale lud przyjął tę wiadomość dobrodusznie. Ludzie pogodzili się z tym, że na razie panuje spokój,

odpowiadało im to, że pokój będzie trwać na pewno aż do rozwiązania barra-gany, nałożnicy królewskiej, że nie będą się musieli na nowo przedstawiać. Mówili ze wzruszeniem i czułością o brzemiennej Racheli, przyjmowali z uśmiechem wyrozumienia ludzkie słabości don Alfonsa. Życzyli królowi, by piękna urodziła mu syna, widzieli w brzemienności Racheli dobry znak Boga, który chciał wynagrodzić namaszczonego władcę za zmarłego syna, zanim Alfonso ruszy na wojnę.

Piękna dobrze to zrobiła. Amulety, które kazała umieścić nad bramami Galiany, okazały się środkiem skutecznym. Niejeden starał się zaopatrzyć w taki amulet, w taką mezuzę.

Prałaci i baronowie byli tymi rozmiarami grzesznej głupoty oburzeni. Zaczęły się szerzyć pogłoski o niedobrych wróżbach. Opowiadano, że Rachela łowiąc z królem ryby w Tagu wyловиła topielca. Podobno słyszano to od ogrodnika Galiany.

Ale i te plotki nie wpłynęły na czułe nastawienie Kastyl-czyków do błogosławionego przez Boga związku miłosnego między szlachetnym Alfonsem i Fermosą. Na przekór wysiłkom arcybiskupa doña Rachela nie stała się „złowrogim ptakiem szatana”, pozostała „piękna”.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trudne zadanie Alfonsa, polegające na równoczesnym popieraniu aliansu i sabotowaniu go, zmuszało go do przebywania nader często w Toledo, wskutek czego doña Rachel często pozostawała sama. Przeczuwała jednak, że to z jej powodu Alfonso snuł ze swym escrivano zawikłane plany, samotność jej była więc całkowicie wolna od owej palącej tęsknoty, która dręczyła ją dawniej.

Często przychodziła do castillo Ibn Esra. Tam siadała chętnie w jakimś kącie pracowni Muzy, prosiła, by na nią nie zwracał uwagi, przyglądała się, jak pochłonięty swoimi myślami chodził tam i z powrotem, pisał przy swoim pulpicie lub też wertował swe księgi.

W ostatnich tygodniach kanonik unikał obecności donii Racheli; za to tym częściej zjawiał się młody don Benjamin. To, że kobieta, która mu była droga, dziewczyna z rodu Ibn Esrów, księżniczka z domu Dawida, nosiła w łonie dziecko królewskie, dawało mu wiele do myślenia i podniecało go. Bał się o nią, przewidywał, że dookoła niej i jej dziecka toczyć się zaczął walki, coś popychało go, by ją do tej walki zahartować.

Kiedy teraz mówił o wzniosłości wiary żydowskiej, nie zmuszał się już, jak wtedy w obecności kanonika, do rozważań naukowych; przeciwnie, nasycił własnym uczuciem zdania, którymi uczeni żydowscy i poeci próbowali dowieść, że światopogląd Izraela przewyższa mądrość pogan i posłannictwo Jezusa z Nazaretu. Kiedy bowiem poznanie wielkiego poganina syci jedynie rozum, nauka Izraela nie tylko zaspokaja potrzeby rozumu, ale i uczucia, kieruje na właściwe tory nie tylko myślenie człowieka, ale i jego postępowanie. Jeżeli założyciel chrześcijaństwa głosi, że cierpienie to najwyższa cnota i najświętsze przeznaczenie człowieka, to naród Izraela ucieleśnił i urzeczywistnił tę naukę bardziej niż którykolwiek inny. Izrael nosi szlachetną koronę cierpienia już od licznych stuleci, jest wzorem dla ludzkości. Don Benjamin opowiadał Racheli z zachwytem o człowieku, który niespełna pięćdziesiąt lat temu głosił tę naukę w szlachetnych zwrotach, o ostatnim proroku Izraela, o Jehu-dzie Halevim. Opowiadał jej szczegółowo o apologii żydostwa przez Halewiego, cytował jej urywki z jego pieśni Syjonu: „O Syjonie, królewska siedzibo! Gdybym miał skrzydła, poleciałbym do ciebie. Ze czcią i uczuciem szczęścia całowałbym twój pył, gdyż nawet on ma zapach balsamu. Jak mogę żyć, kiedy twoje lwy rozdzierane są przez psy? Ty pełna chwały siedzibo Pana, jak się niewolnicze pospólstwo rozpiera na twoim wspaniałym tronie!” Ten Jehuda Halevi ruszył do Ziemi Świętej jako złamany starzec, nie lękając się trudów; w obliczu Świętego Miasta zabił go muzułmański rycerz.

Kiedy don Benjamin zbyt się dawał ponieść swemu uczuciu, wpadał w zakłopotanie i próbował przy pomocy jakiegoś półżar-tu wrócić do dnia codziennego. Albo wyciągał swój szkicownik i prosił Rachelę, by mu pozwoliła rysować siebie. Mówił z uśmiechem: — Jaka jesteś pobożna i kacerska zarazem. — Zrobił trzy jej szkice. Prosiła, by je jej darował, w obawie, że ten, kto posiadałby jej podobiznę, mógłby ją mieć w swojej mocy.

Pewnego razu, czując się jej wyjątkowo bliskim, objawił jej ostatnie, tajemne doznanie.

— Tęsknimy za Ziemią Świętą — powiedział — modlimy się o przybycie Mesjasza, ale — mówił teraz tak cicho, że ledwo go rozumiała — naprawdę wcale nie chcemy, żeby Mesjasz przyszedł. Przeszkadzałby naszemu bezpośredniemu związkowi z Bogiem, zabrałby nam część Boga. Inni mają państwo, kraj i Boga, czczą to wszystko, wszystko jest u nich zmieszane razem, Bóg to tylko część tego, co czczą. My, żydzi, mamy tylko Boga, ale za to czystego i całego. Nie jesteśmy ubodzy duchem, nie potrzebujemy pośredników między Bogiem i nami, ani Chrystusa, ani Mahometa, mamy odwagę oglądać Boga bez pośredników i czcić go. Spodziewać się Syjonu to rzecz lepsza i czyniąca życie bogatszym, niż go mieć. Ze Mesjasz kiedyś przyjdzie, jest dla nas

bodźcem do tego, by trzymać dłoń ziemię w pogotowiu; to sen, nie rzeczywistość, i lepiej, że tak jest. Nie chcemy zgnuśnieć i rozleniwzić się w posiadaniu dobrego, chcemy dążyć do czegoś, pragniemy walki o dobro.

Przy całym szacunku dla wiedzy i ducha don Beniamina Racheli nie podobało się to, co mówił przed chwilą o Mesjaszu. Tak daleko nie wolno było iść w kacerstwie. Buntowała się przeciw temu, nie wierzyła, że Mesjasz nie istnieje, że nie przyjdzie ani prędko, ani w ogóle.

Wiedziała to lepiej.

Liczne były przepowiednie na temat czasu przyjścia Mesjasza. Mówiono, że cierpienia żydów trwać będą lat tysiąc, że przez tysiąc lat będą wygnani i rozproszeni. Owe tysiąc lat dawno minęło. Znowu ciągnęli wrogowie na Jerozolimę, nadszedł czas, w którym, jak przyrzekł prorok Izajasz, młoda kobieta urodzi syna, Immanuela, Mesjasza. W owych dziesięcioleciach przyglądano się brzemennym kobietom żydowskim z wyjątkową czcią, gdyż wedle słów doktorów każda mogła być wybrana do zrodzenia Immanuela.

Przedziwny los Racheli budził w niej wiarę, że nosi w sobie Mesjasza. Miał pochodzić z domu Dawida, a czyż ona, Ibn Esra, nie była księżniczką z tego domu? Czy również wielkie, niebezpieczne szczęście, polegające na tym, że król chrześcijański wybrał ją na swą towarzyszkę, nie wskazuje na niezwykle przeznaczenie? Dotykała swego ciała, słuchała, co się dzieje w jego wnętrzu, uśmiechała się głęboko. Coraz bardziej umacniała się w niej wiara, że nosi w sobie księcia pokoju, Mesjasza. Ale nikomu o tym nie mówiła.

Piastunka Saad opiekowała się nią, mówiła jej, co wolno jeść, a czego nie wolno, kiedy powinna wypoczywać, kiedy zażywać ruchu. Rachela, uśmiechając się przyjaźnie, nie słuchała jej prawie. Zauważyła, że służalczy Belardo przygląda jej się złym wzrokiem, ale nie bała się tego wzroku. Czuła się bezpieczna w spokoju swego szczęścia. Myślała o swej przyjaciółce Layli z Sewilli, która powiedziała: biedactwo — i śmiała się głośno.

Rozczytywała się w psalmach. Jedna z pieśni trafiała do jej serca bardziej- niż inne; nie rozumiała wszystkich tych wielkich, tajemniczych słów, ale wydobywała dla siebie i rymowała sobie ich sens. „I będzie pożałował król śliczności twojej; albowiem on jest Pan, Bóg twój, i będą się mu kłaniać. I córki Tyru z upominkami obliczu twemu będą się modlić, wszyscy bogaci z ludzi. Wszystkie chwala tej córki królewskiej wewnątrz, w bramach złotych, ubrana różnaitościami... Miasto ojców twoich narodziło synów: postanowisz je książęty nade wszystką ziemią. Będą wspominać imię twoje na wszystką ziemię. Będą wspominać imię twoje na wszystkie rodzaje - i rodzaje: dlatego narodem będą wyznawać wiecznie, i na wieki wieków”.

Rachela była dumna jak jej ojciec.

Na widok Racheli Alfonsa ogarniała bolesna niemal czułość. Twarz jej stała się znowu chudsza, wydawała mu się dziecinna, a jednak bardziej świadoma, ruchy miała niezwykle miękkie, szerokie szaty ukrywały okrągłość jej ciała. Było widoczne, że się niczego nie obawia; chwilami wydawało mu się, że promienieje od niej dzikie szczęście.

Bolał nad tym, że sprawy państwowe raz po raz odrywały go od niej. Kiedyś powiedział jej:

— To, że cię tyle pozostawiam samą, nie dzieje się dlatego, żebym cię za mało kochał.

Wprost przeciwnie.

W drodze na zamek myślał o tym, co właściwie przez to „przeciwnie” chciał powiedzieć. Nagle uświadomił sobie zupełnie jasno, że chcąc dłużej trwać w swym grzechu, tajemnie raz po raz niweczy święte dzieło, którym się wobec świata gorliwie na pozór zajmuje. Bardzo wyraźnie zobaczył niedobry spisek, który uknuł wraz z Jehudą. Papież miał rację. Zawarł przymierze z szatanem, by przeszkodzić świętej wojnie. Czuł, jak jego dusza niszczeje.

Znał lekarstwo. Nawróci Rachelę na prawdziwą wiarę. Jeżeli trzeba będzie, przemocą.

Teraz, natychmiast, przed porodem. Niechaj będzie chrześcijanką, kiedy mu urodzi dziecko. On tego chce.

Wróciwszy jednak do Galiany zobaczył, jak wątpa jest ta brzemienna kobieta, której tylko pewność jej szczęścia dawała siłę, i nie umiał się zdobyć na rozmowę, która by ją mogła urazić.

Nie załatwiwszy spraw wrócił do swego szczęśliwego trybu życia.

Jak dawniej nie robili całymi dniami nic i byli stale zajęci. Rachela znowu opowiadała mu bajki, zdumiewał się, jak jej łatwo płyną słowa, jak poszczególne opowiadania wiążą się ze sobą, jak fantazjuje i w fantazje swe wierzy, jak potrafi dokonać tego, że i on w nie wierzy.

Tak, Rachela była wymowna. Umiała znaleźć słowa dla wszystkiego, co ją poruszało.

Nie dla wszystkiego. Nie umiała powiedzieć Alfonsowi, jak bardzo go kocha, nikt tego nie umiał poza starymi pieśniami Wielkiej Księgi. Deklamowała mu dźwięczne, radosne, zmysłowe strofy Pieśni nad Pieśniami. Próbowwała tłumaczyć mu je na arabski, na jego poślednią łacinę i na tajemną mowę ich obojga. W ten sposób mogła mu powiedzieć, jak bardzo go kocha. Deklamowała mu mgliste wiersze owego psalmu, które w przesadnych słowach opiewały piękność królewskiej oblubienicy oraz blask i chwałę króla. Był wysoce zdumiony, że owi starzy królowie hebrajscy byli jeszcze dumniejsi od rycerskich królów chrześcijaństwa.

Potem, pewnego ranka, nagłym zrywem przewycięzył się i wystąpił z prośbą, żeby wreszcie zwała ostatnią przegrodę, jaka ich dzieli, i przyjęła prawdziwą wiarę tak, żeby jako chrześcijanka urodziła mu syna chrześcijanina. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma, bardziej zdumiona niż żaląca się czy oburzona. Powiedziała cicho, ale zdecydowanie:

— Nie uczynię tego, Alfonso, nie mów mi o tym więcej.

Następnego dnia pokazała Alfonsowi trzy swoje potreciki zrobione przez don Beniamina. Długo, wnikliwie przyglądał się rysunkom. Rachela opowiedziała mu, że musiała okazać niemało odwagi, żeby się dać don Beniaminowi rysować; robienie podobizn jest sprzeczne zarówno z przykazaniami Mojżesza, jak i Mahometa. Alfonso był niezadowolony z tego, że Rachela zadaje się z tym don Beniaminem, uważał, że Beniamin umacnia ją w jej zaciętości.

— Jeżeli rysowanie jest mu wzbronione, niechże je zostawi w spokoju — powiedział niechętnie. — Nie znoszę kacerzy. Poddani moi winni się trzymać zasad swej religii.

Rachela była zdumiona. Czy nie wymagał od niej najgorszego kacerstwa? Czy nie chciał, żeby się zaparła swej wiary? Zauważył jej zdumienie.

— Muszą być ludzie — tłumaczył jej — którzy wydają ustawy i reguły. Są to królowie i kapłani. Gmin nie jest od tego, by nad ustawami mędrkować; ma ich słuchać.

Kiedy jednak chciała zabrać rysunki, poprosił:

— Zostaw mi je jeszcze.

Zostawszy sam oglądał je długo, potrząsając głową. Była to jego Rachela, a mimo to był to ktoś inny. Odkrył w niej rysy, których nigdy dotąd nie widział, a przecież znał ją lepiej niż ktokolwiek inny. Ale była niewyczerpana w swej piękności i różnorodna w swej istocie, jak chmury na niebie i fale rzeki Tag.

Do Toledo przybyli mużułmańscy muzykanci. Powstały wątpliwości, czy wpuścić ich do kraju teraz, w czasie wyprawy krzyżowej, ale Alfonso oświadczył lekkomyślnie, że ostatni to raz przed wielką wojną będzie można nacieszyć się sztuką mużułmańskich śpiewaków. Zjawili się więc. Ci, którzy przywiązywali wagę do wykształcenia i subtelnych obyczajów, słuchali ich chętnie w swych domach.

Alfonso kazał przybyć muzykantom do La Galiany. Zespół składał się z dwóch mężczyzn i dwóch młodych dziewcząt. Mężczyźni, jak większość muzykantów, byli ślepi, ponieważ kobiety nie chciały wśród nudów haremu rezygnować z muzyki, a przed mężczyznami nie wolno

im się było pokazywać. Grajkowie mieli ze sobą flet, gitarę, lutnię i coś w rodzaju fortepianu, zwanego kanunem. Śpiewali i grali, były to melodie rozwlekłe, jednostajne, a jednak podniecające. Naprzód odśpiewali pieśni bohaterskie, wśród nich starą pieśń o Cydzie Compeadorze; skomponował ją zamieszkały w muzułmańskiej Andaluzji żyd Aben-Alfanche na chwałę wrogiego rycerza. Potem śpiewali nowe pieśni, obiegające obecnie Grenadę, Kordobę i Sewillę. Śpiewali o pięknie tych miast, o ich ogrodach, wodotryskach, dziewczętach i rycerzach. Piastunka Saad nie umiała zapanować nad sobą, rozpląkała się. Również i Rachela poczuła tęsknotę za Sewillą, ale była to tęsknota łagodna, nie mąciła szczęścia w La Galianie, wzmagala je.

Na zakończenie ślepi śpiewacy śpiewali jeszcze romance i ballady, opowiadające o wydarzeniach dnia wczorajszego i jutrzejszego. Miały koloryt bajki, były pozbawione dokładnych konturów czasu, mogły się rozgrywać równie dobrze przed pięciuset laty, jak teraz. Śpiewali również romancę, opowiadającą o niewiernym królu, chrześcijaninie, który się zakochał w niewiernej, w żydówce; przeżył z nią na swym zamku liczne dni, miesiące i lata. Czy Allach zrzędzi, żeby ta historia szczęśliwie się skończyła? Ślepcy śpiewali z uczuciem, jedna z dziewcząt trącała struny lutni, druga uderzała w kanun. Rachela słuchała, uśmiechała się, była pewna, że Allach doprowadzi do szczęśliwego końca. Alfonso odczuwał lekkie zmieszanie, ale przepędził je śmiechem.

Sześć tysięcy uchodźców żydowskich z Francji osiedliło się już i oswoiło z życiem i obyczajami kraju. Nienawistne przemówienia prałatów i baronów zagłuszał radosny zgiełk ogólnego dobrobytu.

Ten dobrobyt ogólny przyniósł również bajeczny sukces „garnkowi szczęścia” Jehudy, loterii, której pomysł poddała mu Księża Estery. Kupowało się los za kilka sueldów, a można było wygrać dziesięć maravedi w złocie. Wszyscy grali. Grandowie, mieszczenie, pańszczyźniani chłopci. Cieszyli się i uważali za osobistą zasługę, kiedy wygrywali; kiedy przegrywali, żyli przynajmniej tygodniami w szczęśliwym napięciu i mieli nadzieję, że im się powiedzie następnym razem.

Kwitły również interesy Jehudy z zagranicą. Nie mógł pragnąć, by szły lepiej, imię jego było znane od Londynu aż po Bagdad.

Wydawał się więc Jehuda światu i sobie Oker Harimem, człowiekiem, który może przynieść góry; czasami jednak opadał go w nocy strach: jak długo trwać będzie moje szczęście? Nie zapominał o swej bezgranicznej rozpacz, która go zdjęła, kiedy otrzymał wiadomość o śmierci infanta. Był wówczas przekonany, że Alfonso natychmiast ruszy w pole i szczęście jego i Racheli zostanie rozbite. Potem dane mu było przeżyć, jak brzemienność Racheli jeszcze mocniej związała z nią króla, i wstydził się, że zwątpił w swe szczęście. Ale wspomnienie owych godzin rozpacz nie opuszczało go i zwłaszcza w nocy wybujała fantazja rodziła wizje budzące w nim strach. Kiedyś, na przekór wszystkim sztuczkom i wybiegom, dojdzie do wojny; będzie ona długa i zaciekła, winę za pierwszą porażkę będą przypisywać jemu, Jehudzie, i aliamie Toledo. Wielkie cierpienia nawiedzą żydów kastylskich, w niego zaś i w jego córkę ugodzi cała wściekłość Edomu.

Również i bliższa przyszłość była niepewna. Co się stanie, kiedy Rachela wyda na świat dziecko? Jehuda miewał chwilami zuchwałę, obłędne sny, dotyczące blasku, który otoczy jego wnuka. Barragana, nałożnica, uxor inferioris conditionis, zażywała licznych praw w społeczności chrześcijańskiej, dziecko, które wydawała na świat, pod względem prawnym było niemal równe dzieciom z prawego łoża. Królowie hiszpańscy zrobili niejednego swego bękarta wielkim panem. Sen, że jego wnuk mógłby być księciem Kastylii, tańczył często dookoła Jehudy.

Jego trzeźwy rozum jednak szybko rozdzierał senne widziadła i ukazywał mu

niebezpieczeństwo, które i jemu, i Racheli urodzenie tego wnuka przynieść musi. Don Alfonso będzie uważał za rzecz zrozumiałą, że dziecko jego winno być ochrzczone; byłoby obłędem spodziewać się, że król Kastylii pozwoli swemu dziecku wyrastać w „niewierze”. A jednak Jehuda musiałby się tego obłędu domagać.

Bóg, Adonai, wystawiał go na pośmiewisko, nie zapomniał bowiem, że tak długo pozostawał muzułmaninem. Bóg doświadczył go, Jehuda zawiódł i stracił swego syna Alazara. Teraz miał być doświadczony powtórnie.

Nie tylko ciasny, surowy rabbi Tobia, ale i najswobodniejszy z żyjących dziś myślicieli żydowskich, pan nasz i nauczyciel, Mojżesz Ben Maimon, wymagał, by żyd nawet w najskrajniejszym nieszczęściu pozostawał twardy; nie wolno mu oddawać dziecka na zatracenie w chrześcijaństwie. Po raz dziesiąty odczytał Jehuda „Posłanie o odszczepieństwie”. Kto pod grozą śmierci opowiada się za prorokiem Mahometem, pouczał Ben Maimon, nie jest jeszcze zgubiony. Zgubiony jest jednak ten, kto swą głowę podstawia pod święconą wodę. Opowiedzenie się bowiem za trójjedy-nością jest równoznaczne z służeniem pogaństwu, sprzeczne z drugim przykazaniem. Ben Maimon przytaczał wersety Pisma: „Jeśliby który dał z nasienia swego bałwanowi Molochowi, śmiercią niech umrze. A jeśli lud ziemi, nie dbając i jakoby lekce poważając rozkazanie moje, wypuścił człowieka, który z nasienia swego dał Molochowi, aniby go chciał zabić, stawię twarz swą przeciw onemu człowiekowi i przeciw powinowactwu jego, i wytnę i jego samego, i wszystkich, którzy mu przyzwolili, aby cudzołożył z Molochem, spośródka ludu jego”.

Jehuda zwierzył się przyjacielowi swemu Muzie. Muza rozumiał, że Jehuda pod żadnym pozorem nie chce dopuścić do chrztu swego wnuka.

— Ale jak chcesz przeszkodzić królowi Toledo i Kastylii — zapytał — żeby uczynił z dziecka chrześcijanina?

Jehuda odpowiedział bez zapału, że mógłby uciec z Rachelą, zanim dziecko przyjdzie na świat. Muza nie dał się na to nabrać. Jehuda zaklinał go namiętnie:

— Musisz mnie zrozumieć. Ty sam, przy całej jasności twoich sądów, nie odstępujesz od swego islamu. Wiesz, że byłem słaby; nie powstrzymałem mego syna i jestem winien jego duchowego upadku. Nie umiałbym znieść tego, by król pokropił mi wnuka wodą swych bogów.

Tłumiąc śmiech Muza odpowiedział:

— Mówisz „wnuk” i w ten sposób dajesz do zrozumienia, że ciągle myślisz tylko o chłopcu. A może narodzi się dziewczynka. A gdybyś musiał patrzeć na to, jak Alfonso wychowuje twą córkę w wierze chrześcijańskiej, czy uważałbyś to również za grzech, wykrzywiający twą duszę?

Jehuda odparł gniewnie:

— Nie zostawię mu dziecka. Pod żadnym pozorem go nie zostawię.

W rzeczywistości wydawało mu się mniejszym grzechem, gdyby miał zrezygnować z poświęcenia siebie samego dla ratowania dziewczyny.

Na razie, żeby zagłuszyć swą troskę, prowadził z królem grę coraz śmielszą. Pełen złowrogiego zachwyty badał, jak daleko sięga jego władza nad Alfonsem.

Budowa synagogi, którą ofiarował dla aliamy, była ukończona. Jehuda chciał ją poświęcić z wielkim przepychem. Don Efraim sprzeciwiał się uważając, że tego rodzaju uroczystość musiałaby w tych czasach podzielać jak wyzwanie. Jehuda nalegał.

— Nie obawiaj się, panie mój i nauczycielu, Efraimie, zrobię tak, żeby nasi wrogowie, ci zuchwalcy, nie powiedzieli słowa.

Już następnego dnia zabrał się do spełniania swej obietnicy.

Poprosił króla, by uczcił swą obecnością nowy dom modlitwy.

Don Alfonso był tym bezwstydem zdumiony. Ociąganie się jego w sprawie świętej wojny było potępiane na całym półwyspie; gdyby teraz odwiedził w dodatku przybytek żydowskiego Boga, prałaci potraktowaliby to niewątpliwie jako prowokację. Zastanawiał się, czy ma zbyć prośbę gniewną odmową, czy wyniosłym żartem. Jehuda stał przed nim w pokornej, a równocześnie zuchwale poufnej postawie.

— Przodkowie twoi wielokrotnie zaszczycali świątynie żydów swoimi odwiedzinami — oświadczył.

— Nie wtedy jednak, kiedy chrześcijaństwo prowadziło świętą wojnę — odparł don Alfonso. A ponieważ Jehuda milczał, ciągnął dalej: — Wywoła to niewątpliwie dużo złej krwi.

— Niektórzy z twoich poddanych — odparł Jehuda — i tak ganią i potępiają wszystko, co wasza wysokość raczy czynić.

Król przyszedł.

Mistrz Meir Abdeli, uczeń wielkich architektów muzułmańskich i greckich, zbudował świątynię w szlachetnym stylu, arkady i balkony łączyły w rozsądny sposób poszczególne jej części, organicznie łączyło się tu doświadczenie mistrzów bizantyjskich i arabskich. Wszystko skupiało się na skrzynce, dla której obramowania i strzeżenia świątynia została zbudowana, na świętym przedmiocie, w którym przechowywano zwoje Tory. Skrzynka była sporządzona z lśniącego matowo srebra. Kiedy się ją otwierało, ukazywała się ciężka zasłona z brokatu; po odsunięciu jej wzrok natrafiał na ozdobne święte zwoje, na zwoje Tory. Skrzynka mieściła niewiele, ale znajdował się w niej między innymi ów prastary rękopis Piątej Księgi, najstarszy, jaki istniał na świecie, zwany Sefer Hil-lali. Delikatny zwój pergaminu stał owinięty haftowanym płaszczem z najszlachetniejszego materiału; był ozdobiony wysadzaną klejnotami złotą płytą, na drzewcu, do którego pergamin był przymocowany, widniała złota korona.

Ściany synagogi były pokryte fryzami, arabeskami i ornamentami. Raz po raz pojawiała się szyszka pinii, symbol wiecznej płodności i nieśmiertelności oraz widniała tarcza z trzema wieżami. Czy był to herb Kastylii, czy pieczęć Jehudy? Olbrzymia ilość hebrajskich sentencji pokrywała ściany. Były to powiedzenia sławiące Boga, Izraela, Kastylię, króla i Jehudę Ibn Esrę; młodzi uczeni wybrali je z wielką umiejętnością. Rymowana proza przeplatała się z wersetami z Biblii tak dalece, że chwilami trudno było określić, czy sentencja sławiła króla, czy jego ministra.

O faraonie, który wywyższył Józefa, głosiły słowa Pisma: „Bez twego rozkazanania nie podniesie żaden ręki albo nogi we wszystkiej ziemi egipskiej”.

Na obejrzenie tej budowli, wzniesionej przez Jehudę na chwałę bożą, przybył więc don Alfonso, król Toledo i Kastylii.

Przy bramie powitali go czołobitnie parnas Efraim oraz najbardziej szanowani ludzie aliamy. Potem zaprowadzili go do środka. Mężowie żydowscy stali wyprostowani, z przykrytymi głowami, wypowiadali błogosławieństwo, przepisane na widok księcia tej ziemi przez ich prawo. „Bądź pochwalony Adonai, Boże nasz, który ze swej glorii oddajesz ciało i krew”.

Wzruszony, dumny, słuchał Jehuda tych słów. Poruszony, przerażony słuchał ich don Alfonso. Nie rozumiał słów, ale dźwięki wydawały mu się znajome. Słyszał podobne z ust swej najukochańszej.

Wedle nauki muzułmańskiej istota wyrastająca w łonie matki przyjmuje w sto trzydzieści dni po poczęciu własne kształty. Kiedy czas ten nadszedł, Rachela zapytała Mużę, czy stworzenie w jej łonie jest teraz istotnie prawdziwym człowiekiem. Muza odrzekł:

— „Jest tak albo podobnie”, zwykł był odpowiadać na tego rodzaju pytania nauczyciel mój Hippokrates.

Kiedy zbliżało się rozwiązanie, zaczęły mnożyć się rady i przygotowania tych, którzy się nią zajmowali. Piastunka Saad domagała się, żeby w ciągu całego ostatniego miesiąca sypialnia

Racheli była chroniona przez dymy przed niejakiemi dżinami, złymi duchami; czuła się dotknięta, kiedy Muza wzbronił tego. Jehuda kazał przynieść do pokoju Racheli zwój Tory i umieścić na ścianach pewne amulety, między innymi „listy nad kołyską” czarownicy i uwodzicielki Lilith, pierwszej żony Adama, które miały chronić przed wtargnięciem do domu jej wrogię orszaku. Don Alfonso widział to niechętnie i ze swej strony, za radą Belarda, kazał sprowadzić różne obrazy świętych i relikwie. Pokonując lekkie zakłopotanie prosił również kapelana zamkowego, by objął swymi modłami donię Rachelę. Jehuda zaś kazał dziesięciu mężom odprawiać codziennie modły na intencję szczęśliwego rozwiązania swej córki.

Nie przekroczył progów Galiany, odkąd mieszkała tam Rachela. Odmówił sobie tego i teraz, w decydującej godzinie, choć bardzo go nęciło, żeby być w pobliżu Racheli. Wysłał jednak Muzę i Alfonso był rad, że Rachela pozostaje pod opieką starego lekarza.

Bóle trwały długo, między Muzą i piastunką Saad doszło do różnicy zdań co do tego, jakie stosować środki. Wreszcie dziecko ujrzało szczęśliwie światło dzienne. Piastunka zawładnęła nim od razu, krzyknęła mu do prawego ucha wezwanie do modlitwy, do lewego słowa: „Allah jest Allahem, a Mahomet jest prorokiem”; triumfowała teraz, że dziecko należy do Islamu.

W ciągu tych godzin Jehuda czekał w castillo, niepewny, czego się ma spodziewać, czego obawiać, czy chciałby, żeby dziecko było chłopcem, czy dziewczynką. Zrodziły się w nim nowe wątpliwości, czy długie trwanie w fałszywej wierze nie zatrulo mu duszy, czy będzie miał siły uczynić to, co jest słuszne, czy stał się prawdziwym żydem, czy w skrytości ducha nie pozostał meszummadem.

Mojżesz Ben Maimon zawarł główne zasady żydostwa w trzynastu artykułach wiary. Jehuda dociekał dokładnie, czy naprawdę wierzy w te zdania. W wersji, którą rozporządzał, każdy artykuł wiary rozpoczynał się od słów: „Wierzę niepodzielną wiarą”. Jehuda wymawiał wolno zdania: „Wierzę niepodzielną wiarą, że słuszne jest ubóstwiać stwórcę, niechaj imię jego będzie pochwalone, tylko jego, niesłuszne jest ubóstwiać cokolwiek innego. Wierzę niepodzielną wiarą, że objawienie Mojżesza, nauczyciela naszego, pokój niechaj z nim będzie, jest czystą prawdą, że jest ojcem proroków, zarówno tych, którzy byli przed nim, jak i tych po nim”. Tak, wierzył w to, wiedział, że żadna nauka Chrystusa czy Mahometa nie mogła zatrzeć objawienia pana naszego Mojżesza. Z gorliwością wymawiał ostatnie słowa modlitwy: „Ufam w pomoc twoją, Adonai. Ufam w nią, ufam”. Modlił się, wyznawał, był gotów za tę wiarę i za tę swą wiedzę ponieść śmierć.

Całe jednak oddanie i skupienie nie mogły przeszkodzić temu, żeby myśli jego nie wędrowały do Galiany. Czekał, ważył, bał się, miał nadzieję.

Nareszcie przybył goniec i jeszcze przed powitaniem wykrzyknął wieść szczęśliwą:  
— Chłopiec przyszedł na świat, błogosławieństwo przyszło na świat.

Radość Jehudy była bezmierna. Bóg okazał mu łaskę, Bóg zesłał mu nagrodę za Alazara. Chłopiec przyszedł na świat, nowy Ibn Esra, potomek króla Dawida, wnuk Jehudy Ibn Esry.

Ale już tejże chwili strach przysłonił mu radość. Potomek króla Dawida, to prawda, ale również potomek książąt burgundzkich i kastylskich hrabiów. Don Alfonso miał to samo prawo co i on, don Alfonso mógł dla przeprowadzenia tego prawa użyć całej mocy chrześcijaństwa, kiedy on, Jehuda, stał sam. „Wierzę niepodzielną wiarą, chcę niepodzielną wolą”, powtarzał sobie. I postanowił: „Nie uda się to niewiernemu królowi. Dopnę tego przy pomocy Boga i mego tęgiego rozumu”.

Tymczasem w La Galianie doña Rachela czule oglądała swego syna i dotykała go. Pieściła go, nazywała Immanuelem, imieniem Mesjasza.

Alfonso padł, jak wymagały kurtuazja i jego serce, przed Rachelą na kolana i ucałował

rękę nieskończenie osłabionej położnicy.

Zobaczyła to z przerażeniem piastunka Saad. Rachela była nieczysta, położnica była nieczysta bardzo długo, a oto ten mężczyzna, ten dureń, ten władca niewiernych, dotykał jej, wywoływał przeciw niej wszystkie złe duchy; nie tylko przeciw niej, lecz przeciw sobie samemu i dziecku. Prędko położyła dziecko do kołyski, obcięła mu parę włosów, by je oddać na ofiarę, postawiła przy kołysce cukier, żeby dziecko było słodkie i dobre, złoto, żeby było bogate, chleb, żeby długo żyło.

Alfonso był szczęśliwy. Bóg udzielił mu z góry zapłaty za wyprawę, na miejsce utraconego syna obdarzył go innym. Postanowił ochrzcić dziecko na trzeci dzień. Niechaj mu będzie na imię Sancho, upragniony, tak jak ojcu Alfonsa. Chciał powiedzieć o tym Racheli, ale była bardzo osłabiona, lepiej odłożyć to do jutra, może do pojutrze.

Musiał podzielić się swą radością z innymi. Ruszył konno do Toledo. Zwołał panów swej rady, kazał zjawić się tym baronom, których uważał za przyjaciół. Promieniał. Sypał dokoła łaskami.

Wezwał również na zamek don Jehudę, kiedy inni zaczęli się rozchodzić, zatrzymał go. Powiedział od niechcenia:

— Nazwę chłopca Sancho, po moim ojcu. Chrzest ma się odbyć we czwartek. Wiem, że nie lubisz mojej Galiany, ale może się przewyciężysz i zrobisz mi tę przyjemność, żeby tego dnia być tam moim gościem.

Teraz, kiedy nadszedł moment decydujący, Jehuda był zupełnie spokojny. Wolałby widzieć Rachelę przed tą rozmową z królem. Kochała tego człowieka, będzie jej ciężko powiedzieć temu gwałtownikowi nie, i jeszcze raz nie. Wiedział jednak, że jest silna w swej wierze, poza tym była jego córką, więc potrafi to uczynić. Powiedział nie bez czołobitości;

— Myślę, królu, że zrobiłbyś lepiej odsuwając decyzję. Myślę, że córka moja będzie sobie życzyła, żeby syn jej wyrastał wedle praw Izraela i był wychowany w myśl zwyczajów i rytuałów Ibn Esrów.

Królowi nie przyszło nawet na myśl, że Rachela, a nawet ten stary, mogli chociażby pomyśleć o czymś podobnym. Nie wierzył i teraz, że żyd mówi serio. To głupkowaty, bardzo niestosowny żart. Podszedł do Jehudy, zaczął się bawić płytką, wiszącą na jego piersi.

— Ładnie by to wyglądało, co? — powiedział. — Ja się biję z muzułmanami, a syn mój biega tutaj jako obrzezany!

Roześmiał się. Jehuda powiedział spokojnie:

— Proszę cię pokornie, królu, nie śmieję się. Mówiłeś z donią Rachelą?

Alfonso wzruszył butnie ramionami. Żart szedł za daleko. Ale nie chciał sobie dać zepsuć dnia. Śmiał się dalej na całe gardło. Jehuda powiedział:

— Po raz drugi proszę cię w pokorze, żebyś się nie śmiał. Jeżeli się będziesz śmiał, możesz nas wyśmiać z kraju.

Alfonso zaczął tracić cierpliwość.

— Oszalałeś! — powiedział krótko.

Jehuda ciągnął łagodnie dalej:

— Wiesz o tym, że nie byłem w La Galianie i nie rozmawiałem z Rachelą; zapewne też nie będę z nią w najbliższych dniach rozmawiał. Ale powiadam ci: Jak pewne jest, że słońce zajdzie dziś wieczorem, tak nie ulega wątpliwości, że Rachela opuści Galianę i kraj, zanim odda głowę swego syna pod wodę twojej wiary. — Zakończył ciągle jeszcze spokojnie, ale już wściekły: — Wielu z nas pozabijało swe dzieci, zanim pozwoliło pokropić ich głowy wodą niewiernych. — Sepłenił teraz.

Alfonso chciał odpowiedzieć czymś wyniosłym, pogardliwym. Ale ciche, szalone słowa



brzmiały jeszcze echem w komnacie, stał wobec woli Jehudy równie mocnej, jak jego własna. Alfonso uświadomił sobie, że Jehuda ma rację. Utraci Rachelę, jeżeli da syna ochrzcić. Stał przed wyborem: utracić syna albo Rachelę.

Pełen bezsilnego gniewu, rzucił Jehudzie szyderczo:

— A twój Alazar?

Jehuda, bardzo blady, odparł:

— Dziecko nie może pójść drogą giermka twego Alazara.

Król milczał. Myślał sobie: Żmija w kaftanie, ogień w rękawie.

Bał się, że za chwilę zabije żyda. Gwałtownie wyszedł z sali.

Jehuda czekał długo. Alfonso nie wrócił. Wreszcie Jehuda opuścił zamek.

Nie mając już wewnętrznego pretekstu do dalszego odkładania krzyżowej wyprawy król postanowił pojechać do Burgos, zawrzeć alians, oczywiście przedtem ochrzciwszy dziecko. Wahał się tylko, kiedy ma ruszyć, za tydzień, za dwa, czy najdalej za trzy.

Wtedy doszła doń wieść, która brutalnie przerwała wahanie: król Henryk angielski zmarł w swym zamczysku Chinon, nie był jeszcze taki stary, miał lat sześćdziesiąt pięć.

Alfonso widział teraz przed sobą ojca swej donii Leonor, człowieka średniego wzrostu, przysadzistego, dosyć tęgiego, o byczym karku, szerokich ramionach, krzywych nogach jeźdźca. Stał przed nim tryskający siłą, trzymał w gołej ręce sokoła, który wpijał mu się w skórę. Ten Henryk chwycił swoimi nerwowymi, potężnymi łapami wszystko, czego pożądał — kraje i kobiety. Śmiejąc się powiedział do Alfonsa: „Na oczy Boga, mój synu, dla księcia, który ma głowę i pięść, cały świat jest bardzo mały”. Ten król Anglii, książę Normandii, książę Akwitanii, hrabia Anjou, hrabia Poitou, władca Tours, pan Berry, miał głowę i pięść, najpotężniejszą w całej zachodniej Europie. Alfonso opłakiwał go szczerze, kiedy zdejmował rękawicę i robił znak krzyża.

Wkładając jednak z powrotem rękawicę przemyślał swym bystrym rozumem skutki, jakie śmierć tego człowieka pociągnie dla niego i jego kraju. Tylko dzięki mądrej pomocy tego zmarłego dało się dotychczas uniknąć aliansu i wyprawy. Syn i następca Henryka, Ryszard, nie był mężem stanu, był rycerzem i żołnierzem, żadnym bić się z każdym wrogiem. Nie będzie, jak Henryk, pod różnymi pretekstami trzymać się z dala od wyprawy krzyżowej, ruszy natychmiast z wojskiem do Ziemi Świętej, będzie nalegał, żeby również i książęta hiszpańscy, jego krewni, wreszcie przystąpili do zwalczania muzułmanów. Wojna była faktem dokonany.

Alfonso był z tego zadowolony. Przeciągnął się, uśmiechnął, zaśmiał się.

— Ave bellum, bądź pozdrowiona, wojno! — powiedział w pustej sali do samego siebie głośno i radośnie.

Podyktował list do donii Leonor. Wyrażał jej swój ból z powodu śmierci ojca. Informował ją, że przybędzie niebawem do Burgos, zakończył zuchwale i niewinnie, że teraz, kiedy już żaden zakaz króla Henryka nie stoi na przeszkodzie, można by niezwłocznie podpisać i przypieczętować umowę małżeńską Berengarii oraz sojusz z don Pedrem.

Przed wyjazdem miał jednak do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Choć był pewien, że pozostaje pod opieką Boga, chciał jednak poczynić kroki na wypadek, gdyby zginął. Wyposaży donię Rachelę w bogate dobra, swemu drogiemu małemu bękartowi nada należne tytuły i godności.

Wezwał do zamku Jehudę.

— Widzisz, mój przyjacielu — powitał go z radosnym szyderstwem. — Teraz koniec z twoimi kruczkami i wybiegami. Teraz mam moją wojnę.

Jehuda powiedział:

— Aliama Toledo ubłaga u nieba wszystkie błogosławieństwa dla waszej wysokości. I

wystawi ci siłę zbrojną, której nie będziesz się musiał przed chrześcijaństwem wstydzić.

— Najpóźniej za trzy dni ruszę konno do Burgos — obwieścił Alfonso. — Będę tam miał niewiele czasu, a zupełnie nie będę miał czasu podczas drogi powrotnej. Chciałbym już wydać zarządzenia na wypadek, gdyby mimo waszych modłów i naszych żołnierzy Pan kazał mi zginąć chrześcijańską śmiercią. Przygotuj dokumenty, żebym je tylko musiał podpisać.

— Słucham, królu — rzekł Jehuda.

— Chcę — obwieścił król — zapisać donii Racheli dobra, które jej zagwarantują dochód roczny najmniej w wysokości trzech tysięcy maravedi w złocie. A naszemu małemu Sancho chcę zapisać tytuł i prawa do zwolnionego hrabstwa i miasta Olmedo.

Jehuda zaciął wargi, starał się spokojnie oddychać. Gest Alfonsa był śmiały i królewski. Jehuda widział, jak wnuczek wyrasta jako hrabia Olmedo, widział, jak król przekazuje mu inne godności i władztwa, może nawet tytuł infanta Kastylii. Absurdalnie i wspaniale, niemal tanecznie stanęła przed Jehudą wizja, jak to wnuk jego, książę z domu Ibn Esrów, zastaje królem Kastylii.

Wizja pierzchła. Od chwili wiadomości o śmierci Henryka wiedział, że teraz czeka go najcięższa walka. Rzekł:

— Wspaniałomyślność twoja jest zaiste królewska. Ale prawo zabrania, żeby władzę lenniczą hrabstwem sprawował niechrześcijanin.

Alfonso odparł bagatelizująco:

— Myślałeś, że będę czekał z chrztem mego syna aż do powrotu z wojny? O nie! Jutro każę Sancha ochrzcić.

Jehuda myślał o zaleceniu rabiego Tobii: „Nim poświęcicie choćby jednego, musicie wszyscy wziąć śmierć na siebie”. Pomyślał o słowach Pisma: „Jeśliby który dał z nasienia swego bałwanowi Molochowi, śmiercią niech umrze”. Powiedział:

— Mówiłeś, królu, z donią Rachelą?

— Powiem jej to dzisiaj — odparł Alfonso. — Jeżeli jednak wolisz, powiesz jej sam.

Jehuda modlił się bez słów; ufam w twoją pomoc, Adonai, ufam w twoją pomoc.

Powiedział:

— Jesteś potomkiem książąt burgundzkich i gockich królów, don Alfonso, ale doña Rachela pochodzi z domu Ibn Esrów i z rodu króla Dawida.

Alfonso stuknął obcasem o podłogę.

— Przestań z tą małpią paplaniną — ofuknął go. — Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę mieć żyda za syna.

— I Chrystus był żydem, panie — odpowiedział Jehuda spokojnie, ale z zaciekłością.

Alfonso przełknął ślinę. Dysputy z Jehudą w sprawie wiary nie miały sensu. Sam powie Racheli, że dziecko zostanie jutro ochrzczone. Ale jest jeszcze osłabiona, dotknie ją to bardzo i może jej zaszkodzić, kiedy syn jej zostanie ochrzczone.

— Każ sporządzić dokumenty stosownie do mego rozkazu — zarządził. — I jednego bądź pewny: zanim wyruszę w pole, syn mój zostanie ochrzczone. Uczynisz dobrze, używając swego rozumu na przygotowanie donii Racheli.

Jehuda odetchnął. Na razie król udaje się do Burgos. Zyskiwało się nieco czasu, całe tygodnie. Będzie to okres męki. Wiedział teraz, że król naprawdę nie ruszy na wojnę nie ochrzcziwszy syna, że traktuje sprawę straszliwie serio. Ale wygrało się na czasie, Bóg, który mu dotychczas okazał tyle łaski, i tym razem wskaże mu wyjście.

Alfonso, jak gdyby odgadując jego myśli, powiedział:

— Żeby ci tylko nie wpadło do głowy spłatać mi jakiegoś złego figla podczas mego pobytu w Burgos. Nie chcę drażnić Racheli w okresie, kiedy się czuje osłabiona. Ale i ty nie

częstuj jej przemówieniami, groźbami i obietnicami. Do mego powrotu syn mój niechaj zostanie tym, czym jest: jeszcze nie chrześcijaninem, ale z pewnością nie żydem.

— Niechaj będzie, jak rzekłeś, panie — powiedział Jehuda.

Stali naprzeciw siebie, mierzyli się wrogimi spojrzeniami.

— Nie ufam ci, mój Jehudo — powiedział mu Alfonso prosto w twarz. — Musisz mi przysiąc.

— Jestem gotów, królu — rzekł Jehuda.

— Ale musi to być przysięga mocna — ciągnął dalej król — inaczej nie będziesz się nią czuł związany.

Wpadł mu do głowy ponury pomysł. Istniało stare zakłęcie żydowskie, na które w czasach, kiedy był chłopcem, żydzi musieli przysięgać, głupio i mgliście sformułowane, w myśl którego na wypadek złamania słowa przywoływali przeciw sobie wszystkie złe moce. Na prośby żydów i nalegania don Manrique zniósł później tę formułę. Nie pamiętał dosłownie tekstu, wiedział tylko, że była to przysięga odpychająca, budząca lęk a równocześnie bezmyślna.

— Istnieje taka twarda przysięga — powiedział do don Jehudy. — Musieliście ją dawniej składać często, może byłem za łagodny, żem ją wam darował. Tobie jej nie daruję.

Jehuda pobladał. Słyszał o ciężkiej walce, jaką wtedy prowadzić musiała aliama, żeby się od upokarzającej ceremonii oswobodzić; zapłaciła za to dużo pieniędzy. Paliła go gorycz, że ma teraz zostać tak poniżony.

— Pozwól mi nie składać tej przysięgi, królu — prosił.

Opór Jehudy przekonał króla, że znalazł właściwy środek, by związać chytrego żyda.

— Znowu chcesz się wymigiwać i wykręcać! — krzyknął. — Przysięgniesz albo dziś jeszcze ochrzczę dziecko.

Stara formuła została dostarczona. Nie było rzeczą łatwą znaleźć właściwego człowieka, który by mógł odebrać od Jehudy tę przysięgę. Musiał być biegły w hebrajszczyźnie i dawać gwarancję, że się nie wygada. Alfonso zwrócił się do owego kapelana, którego wtedy zapytał, czym jest grzech.

Jehuda Ibn Esra musiał przysiąc, że do powrotu króla, pana swego, pozostawi dziecko córki swojej Racheli w tym stanie, co dotychczas, ani jako wierne, ani jako niewierne, ani jako chrześcijańskie, ani jako żydowskie. Jehuda musiał przysiąc na Boga, który palcem swoim pisał swoje ustawy na płytach z kamienia, który niegdyś zburzył Sodomę i Gomorę, który zatopił faraona wraz z jego ludźmi, koniem i wozem. Stosownie do formuły kapłan rozkazał mu: „Błagaj teraz Boga, żeby, gdybyś złamał przysięgę, zesłał na ciebie wszystkie plagi, którymi nawiedzony został Egipt, oraz wszystkie przekleństwa, którymi Bóg obrzuca lekceważących jego imię i jego przykazania”. Jehuda musiał położyć rękę na Piśmie, na dwudziestym ósmym rozdziale Piątej Księgi Mojżesza, a kapłan chrześcijański odczytywał mu przekleństwa. Wypowiadał zdanie za zdaniem po hebrajsku i Jehuda musiał je powtarzać, potem z rozkoszą, żarliwie zdanie za zdaniem odczytywał po łacinie król Alfonso.

Jehuda przywoływał te wszystkie przekleństwa na swoją głowę. Potem król i kapłan powiedzieli: amen.

## CZĘŚĆ TRZECIA

*I zamyślili grandowie śmierć zadać żydówce.*

*Tedy udali się tam, gdzie przebywała,*

*i zabili ją na wzniesieniu pałacowym,*

*jako też wszystkich, którzy z nią byli.*

ALFONSO EL SABIO, CRONICA GENERAL OKOŁO 1270

*Oto już postanowiono*

*Kres położyć sprawkom onym,*

*Przynoszącym srom królowi.*

*I udali się, gdzie była Nalożnica,*

*i znaleźli Na wzniesieniu ją wspaniałym.*

*i zadali śmierć żydówce,*

*Jak i tym, co byli przy niej.*

Z ROMANCY SEPULVEDY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z północy w stronę Pirenejów, przez rozległe połacie Francji ciągnęła z wielkim orszakiem stara królowa Ellinor. Jeszcze tego samego dnia, w którym po Anglii rozeszła się wiadomość o śmierci króla Henryka, jej męża, z dawną gwałtownością opuściła bramy wieży w Salisbury, swego więzienia; nikt nie miał odwagi zabronić jej tego. Ujęła w swe ręce władzę dla ukochanego syna Ryszarda, który był teraz królem. Ten nieposkromiony żołnierz pozostawił chętnie kierownictwo sprawami państwowymi mądrej, energicznej matce i wkrótce po koronacji wyruszył na czele floty wojennej na Wschód. Ona zaś przemierzała swe rozległe państwo — Anglię i olbrzymie posiadłości we Francji, podporządkowywała sobie opornych baronów, ściągając z niechętnych hrabiów, prałatów i miast wielkie sumy pieniężne, odbywała sądy, porządkowała zręczną ręką zawikłane interesy.

Opuściwszy hrabstwa i księstwa północy, które jej przypadły przez małżeństwo z Henrykiem, ruszyła do swych krajów dziedzicznych, do Poitou, Guyenne i Gaskonii. Słuchała znajomych dźwięków języka swej młodości, prowansalskiego, dźwięcznej mowy langue d'oc, oddychała łagodnym powietrzem ojczyzny. Na północy wiernopoddańcze powitania, które jej urządzało, zaprawione były strachem; tutaj starą księżną witali ludzie na ulicach z nieudawaną radością. Była dla nich kimś więcej niż słynną królową północy i pierwszą damą chrześcijaństwa. Była Ellinor de Guyenne, prawowitą panią tego kraju, prawą dziedziczką.

Miała teraz lat prawie sześćdziesiąt dziewięć, ostatnich lat piętnaście spędziła w więzieniu. Ale siedziała okazale na koniu, była starannie ubrana, dobrze uszmkowana, miała dobrze uczesane i pomalowane włosy. Może trzymanie się prosto wymagało wysiłku, cała droga w ośnieżone jeszcze góry, przez przełęcz, była przedsięwzięciem męczącym i ryzykownym, ale stara kobieta nie cofnęła się ani przed wysiłkiem, ani przed niebezpieczeństwem. Czowała, że piętnaście lat więzienia nie sparaliżowało jej, świadomość, że tak jeszcze niedawno siedziała gniewna i bezsilna w wieży Salisbury, a teraz znowu mocnymi, zgrabnymi rękami kieruje rumakiem i swymi krajami, zwiększała jej siłę. Jej jasne, nieco twarde oczy patrzyły pogodnie na znane ziemie. Parła naprzód, zarządzała długie marsze dzienne, nie chciała zamienić konia na lektykę lub fotel, nawet kiedy już zapadał wieczór i wszyscy czuli się zmęczeni.

Znajdowała się w drodze do Kastylji, do Burgos, żeby odwiedzić donię Leonor, swoją córkę, być obecną przy zaślubinach wnuczki swej, Berengarii, przeprowadzić zaręczyny drugiej wnuczki.

Im głębiej docierała na południe, tym większy stawał się jej orszak. Kiedy zapuścili się w Pireneje, składał się z około pięciuset rycerzy oraz dwustu pań i panien. Stanowili go preux chevaliers et dames choisies, dumni rycerze i wybrane damy, prałaci i baronowie ze wszystkich jej krajów, warta przyboczna, składająca się z wypróbowanych żołdaków, którym towarzyszyły dobrze wytresowane, złe psy. Następował tabor, składający się z tysiąca wozów, które wiozły rzeczy, naczynia i prowiant oraz podarki dla ludności. Parobkowie i wartownicy prowadzili konie i psy myśliwskie królowej i jej wielkich panów, specjalny oddział niósł jej ulubione sokoły. Barwny orszak przesunął się wolno wśród ośnieżonych jeszcze tu i ówdzie gór.

Na granicy kastylskiej starą królową powitali Alfonso i Leonor, don Pedro aragoński oraz infantka Berengaria. Przed bramy Burgos wyszli na spotkanie dwóch królów najwybitniejsi prałaci i dworacy. Królowa wjeżdżała do Burgos uroczyście, wszędzie powiewały chorągwie, z okien i balkonów zwisały gobeliny i chusty, wszystkie dzwony miasta, bogatego w kościoły, dzwoniły, drogi były pokryte gałęziami i kwiatami, które pod kopytami koni i butami maszerujących wydawały piękne wonie.

Szalona, błyszcząca Ellinor była przez wiele dziesiątków lat najbardziej podziwianą i lżoną kobietą Europy, teraz, kiedy ją widziano wkraczającą w dawną okazałość, odżyły niezliczone opowiadania o jej przygodach na wojnie, w sztuce rządzenia państwem i miłości. Jak była ostrogą i sercem drugiej wyprawy krzyżowej, jadąc konno na czele krzyżowców, wojownicza i wspaniała, podobna do Pentezylei, przywódczyni Amazonek. Jak w okrytym chwałą mieście Antiochii król Rajmund, młodzieńczy jej wuj, został ogarnięty bezbrzeżnie namiętą miłością. Jak ten Rajmund i mąż jej, król Francji Ludwik Siódmy, walczyli ze sobą, aż wreszcie mąż uprowadził ją od tamtego przemocą z powrotem za morze. Jak nie poddała się tej przemocy i skłoniła papieża, by dał jej rozwód z królem Francji. Jak również zjawił się na horyzoncie hrabia Anjou, późniejszy król Henryk angielski, jak o nią zabiegał. Jak oboje razem scementowali potężne państwo. Jak ściągала na swój dwór uczonych doktorów, mistrzów siedmiu nauk i sztuk oraz licznych trubadurów, truwerów i opowiadaczy bajek. Jak tego lub owego z owych poetów obdarzała swą łaską, na przykład Bernarda de Ventadour, choć był tylko synem palacza. Jak Henryk ze swej strony zdradzał swoją królową, zwłaszcza z jedną, i jak Ellinor tę piękną kochankę Rosamundę uśmierciła. Jak potem zamknął Ellinor, jak się synowie za nią ujęli i zwalczali ojca. Wiele z tych pieśni, frankońskich, prowansalskich, katalońskich odżyło na nowo; sławiły one jej dwór, na którym uprawiane były najszlachetniejsza sztuka pisarska i najwytworniejsze obyczaje. Poeta Filip de Thaur śpiewał: „Słodka młoda królowa ściąga ku sobie wszystkie myśli, podobna syrenie, która wabi odchodzących od zmysłów rybaków”. A oto słowa Benoit de Sainte--Maure: „O, ty, wysoko urodzona, wspaniała, dumna i mężna, która nie masz sobie równej, wielkiego króla dostojna i szczodra małżonko”. A oto, co o niej pisał nawet twardy Niemiec:

*Gdyby świat był moim — hen  
Od fal morza aż po Ren,  
Ja oddałbym go z chęcią,  
Byle królowa Anglii była  
Przychylna mym objęciom.*

Te pieśni, relacje i romance wielbicieli, zmieszane z dzikimi, pełnymi przekleństw wierszami wrogów, uczyniły z Ellinor de Guyenne postać nierzeczywistą, niesłychanie odległą, pochodzącą z innego stulecia. Nawet teraz, kiedy na jawie wjeżdżała do Bur-gos, otoczona rycerzami, damami, żołdakami, końmi, psami, sokołami i skarbami, wielu kastylskim i aragońskim panom wydawało się, że jedzie konno w jakiejś złotej chmurze. Jak mizerna i pusta wydawała im się terażniejszość, kiedy ją przymierzali do przeszłości tej wielkiej kobiety. Na jej widok stawało przed nimi z całą jasnością to, co słyszeli o drugiej wyprawie krzyżowej, która w istocie była wyprawą królowej Ellinor.

Rycerze i królowie nie zdawali się w owym czasie po kramar-sku na przewagę, za walką nie kryła się ani żądza pieniędzy, ani chytre wyrachowanie, walczone wedle ścisłych, szlachetnych zasad dla samej rozkoszy walki, bitwa była turniejem, szlachetną grą na życie i śmierć. Jeśli wasal był zobowiązany walczyć dla swego pana przez dni czterdzieści, a oblegany zamek nie został zdobyty w ciągu tych dni czterdziestu, rycerz się wycofywał, nawet kiedy był pewien, że zdobędzie go dnia czterdziestego pierwszego. Nie było wówczas najemnych żołdaków spośród pospólstwa, walczących jedynie o zwycięstwo bez przestrzegania wytwornych form. W owych czasach okazywano kurtuazję również wrogowi, nawet jeżeli był wyznawcą innego Boga. Oblegający kalif posłał obleganej królowej Urraca swego lekarza przybocznego, żeby jej pomógł w chorobie. Walczono tylko od poniedziałku do czwartku; w piątek, sobotę i niedzielę było zawieszenie broni, by każdy, muzułmanin, żyd czy chrześcijanin, mógł niezakłócenie święcić swój dzień wypoczynku.

Aragońscy i kastylscy panowie sądzili, że rozpocznie się podobnie wielka era. Druga wyprawa krzyżowa prowadzona była w duchu wielkiej damy Ellinor; teraz święta wojna prowadzona będzie tutaj, na półwyspie, w ich duchu, a oni, hiszpańscy wielmoże, będą mieli sposobność działać jak prawi dziedzice rycerzy Artusa i Charlemagne'a.

Młody król don Pedro czuł się tak, jakby miał skrzydła u ramion. Cóż to za łaska božia, że mógł wnuczkę tej okrytej glorią księżnej pojąć za żonę. Ruszy na wojnę pełen błogości, jak rycerz chrześcijański, wolny od gniewu na Alfonsa i chęci zemścić się na nim.

Również i giermek Alazar uległ czarowi głośniejszej królowej. W Toledo wydawało mu się nieraz, że czuje za plecami gniewne spojrzenia, kiedy król zabrał go do Burgas, obawiał się, że doña Leonor da mu odczuć jego podejrzane pokrewieństwo. Tymczasem była w najwyższej mierze łagodna i uprzejma, król traktował go jak młodszego brata, a w obecności wielkiej Ellinor znikły ostatnie wątpliwości. Szlachetne damy uważały, że jest godzien być giermkiem króla Alfonsa, został przyjęty do chrześcijańskiego, rycerskiego świata.

Całe miasto Burgos święciło przybycie starej królowej. Zjawiły się tysiące, żeby wziąć udział w uroczystości lub też ciągnąć korzyści ze skupienia tylu ludzi. Szynkarze otwierali lotne oberże, handlarze oferowali kosztowne wina i korzenie. Łukowato sklepione podcienia, tak zwane fenestrae, w których kupcy prezentowali swe towary, lśniły strojami i biżuterią, sprowadzoną z krajów flamandzkich, lewantyńskich i muzułmańskich. Handlarze koni i złotnicy robili wielkie interesy, pełno było bankierów, którzy kupowali lub brali w zastaw mienie rycerzy ciągnących na wojnę. Poza tym roiło się od cyrkowców, prostytutek, kieszonkowych złodziei. Wszystko to hałasowało, handlowało, uprawiało miłostki, kochało się, biegało po kościołach i szynkach, było pobożne, zuchwałe, dobrotliwe, brutalne, lśniło radosnymi barwami, śmierdziało, płodziło dzieci, śpiewało hymny i pieśni pijackie, radowało się życiem, przeklinało kalifa i sułtana, sławiło okrytą glorią królową.

Również i przy dworze szambelani mieli wielkie kłopoty z rozmieszczeniem i wyżywieniem gości, którzy przybyli ze wszystkich zakątków Kastylii i Aragonii, by uczestniczyć w ceremonii zaślubin don Pedra i infantki oraz powitać godnie starą królową. Wielu z tych prałatów, baronów, wysokich radców zabrało ze sobą służbę, strzelców, koniuszych. Poza tym, jak przy każdym takim święcie, zjawili się awanturnicy rycerze, biedni młodzi szlachcice, którzy liczyli na to, że biorąc udział w turniejach zdobędą pieniądze i sławę. Nie brakło również trubadurów, opowiadaczy bajek; wiedzieli, że są i przez donię Leonor, i przez donię Ellinor mile widziani.

Stara królowa nie wypoczywała długo po trudach podróży, już na drugi dzień wydała w wielkiej sali zamkowej przyjęcie. Siedziała w świetle licznych świec na estradzie na wysokim krześle, wyprostowana, jak dama. Trochę utyla, chwilami trudno jej było oddychać, musiała powstrzymywać kaszel, spod szminki, która się w ciągu wielu godzin zdążyła zetrzeć, ukazywało się stare oblicze. Ale bardzo niebieskie oczy patrzyły mocno i jasno, była niezmordowana w prowadzeniu dobrze Drzemysłanej, uprzejmej konwersacji.

Stary hrabia aragoński Ramon Barbastro, który swego czasu uczestniczył w świętej wojnie królowej Ellinor, mówił z tęsknotą o owych cudownych latach, narzekał na smutną pustkę nowych czasów. Wojna straciła swe szlachectwo, przygotowywano ją w radach, prowadzono bardziej piórem niż mieczem. O bitwie nie rozstrzygała dzielność rycerzy, lecz liczba wojsk najemnych.

Również i w czasach, kiedy i ona, i szlachetny don Ramon byli młodzi, odrzekła Ellinor, wojna nie zawsze była tylko blaskiem i wspaiałą zabawą.

— Kiedy się dobrze zastanowię — mówiła — to muszę stwierdzić, że wielkie, krzepiące serca bitwy i uroczystości należały do wyjątków, regułą zaś były drobne cierpienia i

marsze przez nie kończące się, nieznanne, niebezpieczne tereny, pozbawione dróg, poza tym okaleczone nogi, przegrzana krew, potworne pragnienie, bezsenne noce z jadowitymi muchami, pchłami i wszami. I to najgorsze: acedia, przerażająca nuda, nie mające końca pływanie po morzu, trwające tygodniami marsze w nieznanne, dręczące czekanie na oddziały, które miały nadejść jutro, pojutrze, a nie zjawiały się i po tygodniu. — Widząc rozczarowanie swoich słuchaczy, zabarwiła z uśmiechem i zręcznie ponury obraz:

— Oczywiście — powiedziała — nagroda była później tym sowitsza: dzika rozkosz bitwy, uroczystości w zdobytym mieście.

Opowiadała o zabawach na Wschodzie, podczas których mieszały się ze sobą przepych chrześcijański i muzułmański, pieśni trubadurów przeplatały sztuki tancerek arabskich. Mówiła kwieciście, ale jeszcze wymowniejsze były jej oczy. Stary hrabia myślał z uśmiechem o obu mężach, którzy wtedy w Antiochii walczyli o jej względy, o królu chrześcijańskim Rajmundzie i księciu Saladynie, bratanku i wysłanniku sułtana.

— Uroczystościom tym nadawała powabu okoliczność — zakończyła stara królowa, pełna tęsknych wspomnień — że poświęciliśmy je między bitwami. Wczoraj uniknęło się błogiej śmierci, może jutro trzeba będzie błogo umierać.

Arcybiskup don Martin rozkoszował się całym sercem widokiem i słowami królowej Ellinor. W ciągu miesięcy długiego czekania chodził ponury, pełen bezsilnego gniewu, teraz, kiedy ta Debora zerwała ostatnie przeszkody na drodze do dobrej wojny, rozkwitał pobożnie i radośnie. Chodził, jakby miał skrzydła u ramion, zbroja, którą teraz stale ukazywał spod szaty duchownej, nie ciążyła mu. Zdobywszy się na kurtuazję, powiedział z nieokrzesaną, wrzaskliwą uprzejmością:

— Ziemia Święta widziała wspaniałe czyny, dostojna pani, kiedyś ty tam przybyła, by rozdeptać pogan; znowu czekają ją dobre czasy z chwilą, kiedy twój promienny syn do niej podąży. Już sława twego Ryszarda łącznie z twoją napełnia muzułmanów przerażeniem. Mam wiarygodną wiadomość od jednego z przyjaciół, biskupa Tyru. Kiedy dzieci są nieposłuszne, matki arabskie grożą im już: „Bądź cicho, skrzacie, bo przyjdzie król Ryszard, Melek Rik, i zabierze cię”.

Ellinor nie ukrywała swej radości z pochwały dla jej ukochanego Ryszarda.

— Tak, to wielki żołnierz — przytaknęła — prawdziwy miles christianus. Ale łatwo mu na Wschodzie nie będzie — mówiła dalej ze szczerością, na którą tylko ona mogła sobie pozwolić. — Nie mam tutaj na myśli wroga, sułtana, myślę o sprzymierzeńcu mego Ryszarda, o naszym kochanym krewnym, najbardziej chrześcijańskim królu Francji. Niewiele ma on wspólnego z blaskiem i radością; nasz poczciwy Filip August chciałby, żeby go wojna drogo nie kosztowała, szczerze mówiąc jest trochę sknerą. Teraz chciałby pozbawić wojsko krzyżowe dam i trubadurów. Ale nie wywalczy tego u mego syna. Lubi on barwność i gwar, ma to po ojcu, może trochę po matce. Jakże też można prowadzić wyprawę krzyżową bez dam i trubadurów. W jednym górujecie nad nami na półwyspie — zwróciła się do Alfonsa i Pedra. — Nie musicie tak jak my przed dotarciem do wroga odbywać długiej, nudnej podróży morskiej, nie musicie prowadzić setek wykretnych pertraktacyj z przewrotnymi Grekami i inną chrześcijańską hołotą. Wróg i łupy leżą przed wami blisko. To Kordoba, Sewilla, Grenada.

Przed oczyma wszystkich wyrósł obraz cudownych miast, wspaniałych łupów. W uszach arcybiskupa don Martina brzmiały na przemian triumfalne nazwy miast Kordoby, Sewilli i Grenady oraz słowa ewangelii: „Nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz”. Alla machairan!

Dona Leonor była z głębi serca wdzięczna niebu za przybycie Ellinor. Podziwiała mądrość państwową ojca, jego geniusz wojenny, może mu również nieco zazdrościła bezwzględności, z jaką oddawał się swym namiętnościom. Matkę jednak kochała niezależnie od



całego podziwu, wizja tej żywej, żądnej coraz nowych czynów kobiety, zamkniętej w więziennych murach, dręczyła ją często i gorzko. Kiedy później przyszedł ten dziki obłęd Alfonsa, tęskniła gorąco za tym, by podzielić się z Ellinor swą boleścią, jak córka z matką, królowa z królową, żelżona z żelżoną, by się u niej poradzić. Alfonso wrócił do niej, pełen, jak się zdawało, entuzjazmu dla wyprawy i chyba zapomniał o żydówce, to prawda. Chociaż jednak pragnęła uczciwie przebaczyć mu zdradę i złamanie słowa, doświadczenie, doznania, rozczarowania wryły się zbyt głęboko, by mogła ufać nowemu jego z nią związaniu; toteż była szczęśliwa, że mogła teraz z matką pomówić o swoich nadziejach i obawach.

Kiedy Ellinor zsiadła z konia, Leonor ucałowała jej rękę, kiedy stare wargi matki dotknęły jej młodych, poczuła fizycznie głęboką z nią wspólnotę. Nagle stanęło przed nią ostro i twardo to, co od dawna było zatopione: ludzie, wydarzenia, które jako dziecko widziała i przeżyła w Domfront, na bogatym dworze matki w Poitiers, albo też w klasztorze Fontevrault, gdzie ją pogodnie i światowo wychowywano. Była tam jej ochmistrzyni, madame Agnes de Frensac. Leonor nalegała, żeby jej opowiadała o kochankach jej ojca, i wreszcie madame Agnes uległa. Wtedy Leonor, będąca wówczas dzieckiem, zażądała, by ją zabrano, gdyż okazała swej księżniczce za mało szacunku. Widziała z niezwykłą wyrazistością drewniany posąg świętego Jerzego na zamku Domfront. Kiedy padało na niego słońce, wyglądał wyjątkowo groźnie i Leonor często się go bała. Ale kochała go jeszcze bardziej; to dobrze wiedzieć, że się jest chronionym przez tak potężnego świętego, zwłaszcza że ojciec jej bywał tu tak rzadko. Uczyniła tego świętego Jerzego żywą postacią, uratowała go z kraju swej młodości, stał obok niej i zwał się Alfonso. Żydzi, szatan, inne złe moce chcieli go jej ukraść. Ale nie dała go sobie zabrać. Jeszcze nie była pewna, jeszcze wrogowie działali, ale tutaj miała go przy swym boku; miała również obok siebie matkę, przy pomocy której przepędzi żydówkę.

Musiało jednak potrwać czas jakiś, nim mogła pomówić z matką. Sprawy związane z przybyciem i urządzeniem, zagadnienia dworu i reprezentacji pochłonęły całe pierwsze dwa dni. Nareszcie trzeciego dnia, pośród wielkiego zgromadzenia, królowa oświadczyła nagle, że chciałyby mieć na chwilę córkę dla siebie, i bez ceregieli odprawiła wszystkich.

Kiedy zostały same, kazała Leonor usiąść naprzeciw, w pełnym świetle słonecznym, i zaczęła się jej przyglądać. Twarde jej, bardzo niebieskie oczy zatonęły ze spokojem w zielonych, badawczych oczach córki. W jaskrawym świetle słonecznym rysy twarzy matki wydawały się Leonor starsze i ostrzejsze niż dotychczas, ale również bardziej książęce, jak przystało na prawdziwą matkę rodu. W głębi ducha pochylała się przed nią, pełna miłości, i czci, zdecydowana ślepo jej słuchać.

Po chwili stara powiedziała do młodej z uznaniem:

— Dobrze wyglądasz.

Potem przeszła od razu do spraw państwowych i rodzinnych. Przybyła tu nie tylko po to, żeby zobaczyć swą córkę, lecz przede wszystkim również i po to, by zaręczyć drugą ze swych kastyl-skich wnuczek.

— Nie będziesz się uskarżała na mój wybór — powiedziała. — Dziedzic owego Filipa Augusta to miły chłopak, na szczęście niepodobny do ojca. Mogę ci powiedzieć, że wytargowanie od tego króla Francji umowy małżeńskiej nie należało do przyjemności. Uważa się za wielkiego władcę, marzy o tym, by się stać drugim Charlemagne, ale brak mu wielkości, zna się tylko na kruczkach adwokackich, a tą drogą nie cementuje się państwa. Tak czy inaczej sprawił mi wiele kłopotów, jest sprytny i wykrętny jak żyd. W końcu musiałam dać hrabstwo Evreux i hrabstwo Vexin, piękną część mojej Normandii oraz trzydzieści tysięcy dukatów. Wszystko to, moje dziecko, idzie z mojej kieszeni; nic płacić nie potrzebujesz, a masz tylko korzyść. Będziesz teściową przyszłego króla Francji, brat twój Ryszard panuje w krajach,

leżących między twoją Hiszpanią i Francją twojej córki. Przyjdzie czas, kiedy, jeżeli zechcesz, będziesz mogła kierować dobrym kawałkiem świata.

Doña Leonor słuchała z zapartym oddechem, jak matka w krótkich słowach rysuje przed nią plany, sięgające tak szeroko i daleko. Było dla Leonor jasne, że matka, odstępując hrabstwa nor-mandzkie, przede wszystkim chciała zabezpieczyć własne państwo przed atakiem niebezpiecznego Filipa Augusta w czasie, kiedy jej ukochany syn Ryszard brał udział w wyprawie wojennej. Niezależnie jednak od tego, co się kryło za tą umową małżeńską, Leonor — matka miała rację — ciągnęła korzyści, gdyż małżeństwo to otwierało nęcącą drogę do władzy.

Uważała się za wielką regentkę, górującą znacznie nad swym Alfonsem, ponieważ pracowała gorliwie nad połączeniem Kastylii i Aragonii. Ale marzenia jej nie wybiegały poza Pireneje. W porównaniu z wielką grą państwową matki dążenia jej były skromne i ubogie. Matka zdobywała kraje od zachodu świata do wschodu. Irlandię, Szkocję, Nawarrę, Sycylię i Królestwo Jerozolimy. Szachownicą jej był świat.

— Przyjrzałam się twoim córkom, moja droga — powiedziała Ellinor. — Zdaje mi się, że są obie udane, tylko starsza nosi zdaje się jakieś paskudne imię, czy nie nazywa się Urraca? Nie zdecydowałam się jeszcze, którą wybierzemy. W najbliższych dniach przedstawiś mi je z wielką ceremonią. Trzeba chyba będzie zaprosić biskupa de Beauvais, jako zastępcę Filipa Augusta, ale to czysta formalność.

Słowa matki poruszyły Leonor. Mimo to z napięciem czekała, co matka powie o Alfonsie i żydówce. Nareszcie powiedziała:

— W mojej wieży słyszałam niejedno o twoich przejściach z Alfonsem. Nie były to dane dokładne, jedno przeczyło drugiemu, ale potrafiłam stworzyć sobie jaki taki obraz; wiesz przecież, że mam w tych sprawach doświadczenie. — Ujęła rękę Leonor i chyba po raz pierwszy wyraziła słowami, co czuła. — Tobie jako córce mogę to powiedzieć — zwierzyła się — jestem oczywiście rada, że mój Henryk ma piękny nagrobek. — Zacytowała z lubością napis na nagrobku:

*Jam to był Henryk, król Anglii wspaniały,  
Rozliczne ziemie władzę mą uznały.  
Ty, co to czytasz, pomyśl jeno trochę,  
Jako się wielkość marnym staje prochem.  
Nie dość mi było ziemi aż po grób.  
Dziś mam jej tutaj dwakroć siedem stóp.*

Leży mu się tam dobrze, mimo to życzę mu, żeby mu ziemia była lekka. Żał mi go. Usiłowałam wielokrotnie pozbawić go życia; raz byłam od tego o włos. Miał rację, kiedy mnie zamknął, na jego miejscu postąpiłabym tak samo. Kochałam go bardzo. Był to jedyny człowiek, którego kochałam. Z wyjątkiem jednego, dwóch. Był najmądrzejszym mężem chrześcijaństwa. Miał dosyć rozsądku, by od czasu do czasu pobłażać swej namiętności. Bo jakże inaczej można żyć — powiedziała wyrozumiale i mądrze. — Z drugiej strony rację ma oczywiście moja przeorysza Konstancja. Miłość doczesna to zlizywanie miodu z cierni.

Doña Leonor zapytała nagle:

— Matko, co mam począć z żydówką?

Stara królowa podniosła głowę. Powiedziała z uśmiechem, nawet żartobliwie:

— Mała moja córko, zaczekaj, aż chwila na usunięcie jej z drogi dojrzeje. Wiele musiałam przecierpieć, ponieważ nie umiałam czekać. On zapewne i tak zapomni o niej na wojnie.

Doña Leonor odrzekła:

— Ma z nią dziecko, syna.

Mówiła cicho, bezradnie.

Stara królowa zastanawiała się głośno:

— Na twoim miejscu dziecku nie uczyniłabym nic złego. Lgną do swych bękartów bardziej niż do matek. Nawet mój Ryszard, któremu naprawdę nie zależy na jego kobietach, lubi swych bękartów. Henryk musiał ich mieć masę. Znam dwóch: niejakiego Williama i niejakiego Geoffreya. Ten Geoffrey jest ambitny i zezuje w stronę tronu. Muszę go trzymać na smyczy, dopóki Ryszard jest poza krajem. Ale to człowiek miły i dzielny. Zrobiłam go biskupem Yorku.

Leonor powiedziała:

— Cierpiałam bardzo, mam nadzieję, że będziesz miała rację i wojna spłucze ją całkowicie z jego krwi. Ale kto to może wiedzieć na pewno? Przysiągł mi na swą duszę, że ją porzuci, i ledwie opuścił Burgos, poleciał do niej.

Na to Ellinor:

— Żaden wróg nie zrobił mi tyle krzywdy, co ojciec twój Henryk, a mimo to kochał mnie i ja go kochałam. Ojciec twój kochał również swoich synów, a oni go nienawidzili, ponieważ był większy od nich. Rozpieszczał ich, a oni zadali mu więcej cierpień niż on mnie, na pewno więcej niż Alfonso tobie. Przebaczał im raz po raz, a oni wyśmiewali się z niego i raz po raz przeciw niemu powstawali. Kiedy jeszcze żyliśmy razem, kazał w Manchesterze trzy ściany naszej sypialni pokryć freskami. Kiedy teraz byłam w Manchesterze, czwarta ściana była również pokryta freskami. Widać na niej wielkiego starego orła w otoczeniu czterech młodych. Dwoje młodych orląt rani go swymi dziobami, trzecie rozrywa mu szponami pierś, czwarte siedzi mu na karku i dziobie go w oczy.

Zakaszła. W obecności Leonor nie powstrzymywała kaszlu, który ją w ostatnich latach trapił. Zamknęła oczy, stała się nagle starą kobietą. Z zamkniętymi oczyma, dziwnie równomiernym głosem, jak gdyby odmawiała pacierz, medytowała:

— Z Ludwikiem miałam tylko córki, co uważałam za nieszczęście. Z Henrykiem miałam synów, ale nie wiem, czy to było szczęście. Synowie przysparzają trosk, i ci udani, i ci nieudani. Żadna matka nie chciałaby, żeby byli łagodni, ja przynajmniej nie chciałabym mieć za syna świętego. Kiedy jednak są bohaterami, biją się ze wszystkimi dokoła, inni biją ich, no i człowiek ich traci. Pierwsi moi dwaj chłopcy zginęli, a trzeci, brat twój Ryszard, sprawia memu sercu wiele zgrzyzot. Jest kochanym synem, ale zachowuje się jak szaleniec. Nie ma nocy, której nie spędzałabym bezsennie wskutek troski o niego. — Opanowała się i powiedziała: — Podejdź bliżej, zupełnie blisko. — Półgłosem, z jakąś dziką poufałością rozkazała jej: — W żadnym razie nie wolno ci nic zrobić, dopóki Alfonsó uwikłany jest w swoją wojnę. Kiedy ruszy w pole, jedź do Toledo, obejmij regencję. Muzułmanie to zaciekli wrogowie, twój Alfonso nie będzie odnosił samych zwycięstw. Każde nieszczęście kryje w sobie szczęście, każda klęska daje nowe możliwości. Generał oskarża ministra, biskup generała, chrześcijanin żyda, każdy jest dla drugiego zdrajcą, dla wielu twój żydowski escrivano będzie winowajcą i zdrajcą. Będziesz go oczywiście broniła. Będziesz szukała pokrycia przed Alfonsem i przed światem. Będziesz się starała ujarzmić gniew ludu. Ale kto to potrafi? W takich dniach nie da się zapobiec temu, żeby tu i ówdzie przemoc nie zwyciężyła prawa i wielu zginie podejrzanych oraz tych, którzy blisko tych podejrzanych stoją.

Doña Leonor wchłaniała każde z cichych, mocnych słów.

— Czekać — powiedziała — czekać — i nie było jasne, czy się skarżyła, czy też dawała sobie rozkaz.

— Tak, czekać — rozkazała ostro matka. — Jedź do Toledo — rozkazała dalej. — To dobre miasto, wie, jak się obchodzić z wrogami. Już starzy królowie Toledo umieli wybrać właściwą noc na ścięcie głów. Una noche toledana, noc tolekańska, mówią też u nas. Zaczekaj i

dobrze się przygotuj.

Zakaszła znowu, mówienie zmęczyło ją. Uśmiechnęła się, zmieniła ton, zimna namiętność staruchy zamieniła się w kurtuazję damy. Dotychczas mówiła po prowansalsku, teraz przeszła na łacinę.

— Może — powiedziała beztrąsko — powinnaś raz popatrzeć na miłośćkę twego Alfonsa z innej strony. Ma ona mianowicie w sobie coś dobrego. Ten twój Alfonsus, Rex Castiliae, jest wielkim rycerzem, prawdziwym miles christianus, ale w miłości, wydaje mi się — nie bierz mi tego za złe — jest trochę senny. Może to szczęście dla ciebie, że się jeszcze obudził w swoich latach męskich. Ku swojej radości zauważyłam, że umiesz krzesać iskry. Myślę, że to, co przeżyłaś, nie tak prędko stanie się popiołem.

Don Alfonso czuł się dobrze w stolicy swoich ojców, w starym, surowym, kanciastym zamku. Zapomniał, że kiedykolwiek istniał między nim i donią Leonor spór, żyli tutaj w całkowitej harmonii. Stał się dawnym Alfonsem, miłym, wielkodusznym, młodzieńczym.

La Galiana leżała poza nimi, pogrążona w przeszłości i mgle. Nie pojmował teraz, jak mógł w tym gnuśnym, dostatnim pokoju wytrzymać. Myślał jedynie o błogosławionej wojnie, którą będzie teraz prowadził. Jak na polowaniu lub w upalny dzień czuł potrzebę kąpieli, tak tęsknił teraz za tą wojną. Był zrodzony dla wojny, wojna była jego sprawą. Sława szwagra, króla Ryszarda, Meleka Rika, była dlań bodźcem. Już po drobnych wyprawach zaczęła kiełkować sława Alfonsa; teraz w wielkiej wojnie z tych młodych, delikatnych kiełków jego sławy wyrośnie potężne drzewo.

Opowiadał arcybiskupowi z entuzjazmem o planach swojej wojny. Stali się znowu zaufanymi przyjaciółmi: czy naprawdę istniały kiedyś między nim i don Martinem spory? Wezwał biegłych w sztuce wojennej baronów Vivara i Gomaza; entuzjazm jego wzmógł ich pomysłowość. Stale krążyli gońcy między nim i Ñuño Perezem, wielkim mistrzem Calatravy, jego najświetniejszym generałem.

Rozpacz tylko, że nie mógł poświęcać całych dni przygotowaniom do wojny, że musiał słuchać przez długie godziny nudnej gadaniny o gospodarce, warsztatach, mieszczanach, chłopach, cłach, zastawach, prawach miejskich, pożyczkach. Obydwaj Ibn Esrowie mieli bowiem rację: liczne interesy Kastylii z Aragonią były niewiarygodnie powikłane. W sprawie wiana ślubnego infantki Berengarii osiągnięto oczywiście szybko porozumienie i ślub mógł się odbyć; natomiast pertraktacje, które musiały poprzedzić zawarcie aliansu, stwarzały coraz to nowe trudności.

W tych okolicznościach Alfonso był z wizyty donii Ellinor bardzo zadowolony. Miał nadzieję, że doświadczona, znająca się na sprawach państwowych, ruchliwa księżna usunie trudności w ciągu najkrótszego czasu.

Obecność jej sprawiała mu również nieco przykrości. Złościł go jej orszak, ta banda błaznów-dworaków. Damom jeszcze by ostatecznie darował ich krygowanie się, ale niezrozumieli i głęboko wstrętli byli mu ci rycerze, którzy w modnych, wyrafinowanych strojach wybierali się na wyprawę krzyżową. Wygalali poza tym twarze, jak gdyby byli linoskoczkami lub kuglarzami.

Wybaczał jednak Ellinor wszystko, co go w niej drażniło, za przezorność, z jaką usuwała przeszkody na drodze do zrealizowania aliansu. Oceniała pańskim okiem i decydowała zarówno o całości, jak o szczegółach. Miała rację żądając, by i dziś jeszcze uważano ją za głowę rodziny.

Alfonso nie był zbyt zaskoczony, kiedy bez żadnych ceregieli zapytała:

— No cóż, mój synu, opowiedz mi, proszę, jaka właściwie jesi ta kobieta, ta twoja żydówka, ta piękna?

Oczywiście król Kastylii miał prawo wyprosić sobie taką ciekawość nawet ze strony donii

Ellinor. Ale miała do swego pytania prawo. Poza tym Galiana należała do przeszłości, mógł opowiedzieć o Racheli szczerze, spokojnie i rzeczowo.

Kiedy się do tego zabrał, zauważył ze zdumieniem, że właściwie o sposobie bycia Racheli nic nie wie; to, co wiedział, było niedokładne, luźne, ułamkowe, nie dawało dostatecznego obrazu. Tak zwykle dumny ze swej pamięci, przypominał sobie ukochaną zupełnie niewyraźnie.

— Jest w istocie bardzo piękna — rzekł wreszcie. — To nie pochlebstwo, że ją wszyscy nazywają „piękna”. Jest czarująca i czarowała mnie przez czas jakiś — przyznał szczerze. — Ale to się skończyło — ciągnął dalej. — Abest, znikło, minęło. Znikło z mojej krwi — zakończył zdecydowanie, bezapelacyjnie.

Ellinor odparła uprzejmie:

— Miałam nadzieję, że będziesz umiał opisać mi ją dokładnie. Historie miłosne zawsze mnie interesowały. Ale widzę, że się ani na trubadura, ani na opowiadacza bajek nie nadajesz. Może jednak mógłbyś mi odpowiedzieć wyraźniej na jedno: Czy jesteś zadowolony ze swego synka? Czy to miły mały bękartik?

Alfonso oświadczył dumnie:

— Tak, za to muszę być wdzięczny i jej, i niebu. Urodziła mi udanego syna, ładnego, mocnego, dużego, choć sama jest raczej delikatna i drobna. Mądry wydaje się być ten synek; od pierwszego dnia miał wyjątkowo żywe, rozumne oczy.

— Nic dziwnego — rzekła Ellinor — przecież matka jego jest żydówką. Ale, ale, jakże się ten bękart nazywa?

— Sancho — rzekł don Alfonso — chcę mu dać hrabstwo Olmedo. — Zapomniał zupełnie o tym, że synek nie był jeszcze ochrzczony. — Czy uważasz za słuszne, pani moja i matko — zapytał — żebym mu dał to hrabstwo?

— Hrabstwo ma dużo ziemi — dowiadywała się Ellinor — czy też tylko piękny zamek i paruset chłopów?

— O ile wiem — odparł Alfonso — nie jest to hrabstwo zbyt bogate.

Ellinor ciągnęła dalej:

— Teraz człowiek czuje się silniejszy mając dobra ziemskie, przynoszące zyski, niż zamki o licznych wieżach. Zamieniłam wiele moich zamków na posiadłości ziemskie. Kiedy twój bękart dorośnie, zamki będą warte jeszcze mniej, posiadłości ziemskie jeszcze więcej.

— Nic więc nie masz przeciw temu, o pani — starał się upewnić Alfonso — żebym uczynił synka hrabią Olmedo?

— Jeżeli twój Sancho jest miłym bękartem — rzekła zdecydowanie królowa Ellinor — należy mu się, żebyś go dobrze zaopatrzył.

W dwa dni później obie księżniczki, z których jedna miała być przyszłą królową Francji, zostały zaprezentowane starej królowej przy zachowaniu dworskiego ceremoniału.

Zgromadzenie było wielkie i wspaniałe. Obecni byli grandowie i prałaci Kastylii i Aragonii, poza tym baronowie królowej Ellinor oraz wysłannik specjalny Filipa Augusta francuskiego, biskup de Beauvais.

Tygodniami biegle ręce zajmowały się sukniami infantek, szyły, przymierzały. Wystąpiły więc obie przed szlachetnym, wytrawnym zgromadzeniem pięknie przystrojone. Były to miłe dziewczęta, o łagodnych, białoróżowych, pulchnych buziach, udane, dobrze wychowane. Zachowywały się ze swobodą, właściwą damom, jak tego wymagała kurtuazja i czego się z wielkim trudem nauczyły. W głębi duszy były i onieśmiałe, i przeświadczone o swej ważności. Nic dziwnego, nie tylko ich własny los, ale również los wielu chrześcijan w niektórych krajach zależał od wyniku tej próby.

Berengaria, infantka Kastylii, królowa Aragonii, siedząca na estradzie na

uprzywilejowanym miejscu, spoglądała na siostry protekcjonalnie. A więc jedna będzie królową Francji. No i cóż to wielkiego? Ona sama, Berengaria, zjednoczy kiedyś Kastylię ze swą Aragonią, może uda się jej dołączyć prowincję León, może Nawarrę, może jej don Pedro, jeżeli go do tego rozpali, zdobędzie ponadto część muzułmańskiej Andaluzji. Obszar Francji natomiast jest zacieśniony, dookoła jego granic rozsiadł się wielki stryj Ryszard, który ma oprócz swojej Anglii o wiele większą część obszarów frankońskich, niż ten biedny król Francji. Nie, siostra jej nie będzie się mogła wobec niej puszyć.

Don Alfonso radował się swymi pięknymi córkami. Był wdzięczny królowej Ellinor, że skierowała na właściwe drogi to spokrewnienie się z Francją; dobrze, że w okresie wielkiej wojny jedność władców chrześcijańskich zostaje wzmocniona. Patrzył na nieładną, ale śmiałą i mądrą twarz swej Berengarii, dojrzał na tej twarzy z pewnym rozbawieniem, ale i z pewną złością, nieposkromioną pychę. Zamykała się teraz przed nim jeszcze bardziej niż dawniej. Brała mu za złe, że się „zależał”, czuła się już wyraźnie królową Aragonii, widziała w swoim ojcu człowieka, który karygodnie źle zarządza dziedzictwem.

Doña Leonor miała na sobie czerwoną suknię z ciężkiego adamaszku z srebrnym trenem, na którym wyszyte były lwy. Wiedziała, że jej w tym stroju nie do twarzy, ale dziś zależało jej na tym, żeby córki ją zaćmiewały. Dumna była z tych córek, z których dwie będą teraz zasiadały na europejskich tronach. Świat staje się mały bez krajów, którymi władać będą ona, matka jej, brat i córki.

Stara Ellinor przyglądała się swoim dwóm wnuczkom ostrymi, jasnymi oczyma, które nie dawały sobie niczego wmówić. W skrytości ducha wymyśliła nowy projekt. Ta z nich, która nie zostanie oddana Francji, osiadzie na tronie portugalskim; Portugalia była dla Anglii ze względu na dobre porty krajem o wielkiej wadze. Rozważała więc: która nadaje się bardziej do Paryża, która do Lizbony. Badała obie dziewczyny z bezwzględną dokładnością, kazała im zbliżać się, by obserwować ich chód, trochę śpiewać, wypytywała je po łacinie i po prowansalsku.

— Miłe dziewczyny — powiedziała wreszcie do donii Leonor tak głośno, że każdy mógł usłyszeć — rozkoszne księżniczki. Mają w sobie coś z ojców kastylskich, coś więcej z moich ojców z Poitou, a zadziwiająco mało z Plantagenetów.

Potem raz jeszcze zwróciła się do infantek i zapytała starszą:

— Jak ci na imię, księżniczko?

— Urraca, pani babciu i królowo — odpowiedziała.

A druga rzekła:

— A ja, pani królowo, jestem doña Blanca.

Ellinor, Alfonso i Leonor pozostali później sam na sam z biskupem de Beauvais, wysłannikiem specjalnym króla Francji.

— Która bardziej ci się podobała, przewielebny? — zapytała Ellinor biskupa.

Prałat odpowiedział uprzejmie i ostrożnie:

— Każda zasługuje na to, żeby być królową.

— I ja tak uważam — powiedziała Ellinor. — Ale jedno należy rozważyć. Francja miałaby trudności z wymawianiem imienia Urraca. Zmniejsza to popularność tej infantki, Myślę, że damy twemu księciu naszą donię Blanę.

Tak też zdecydowano.

Prawie nie było dnia, w którym na dworze w Burgos nie wydawano by przyjęcia na cześć donii Ellinor i nowożeńców. Stara królowa ubierała się lepiej i zgrabniej się prezentowała od wielu dam, które swych lat ostatnich nie spędziły w więzieniu i mogły gruntownie zajmować się materiałami, sukniami, biżuterią i szminkami oraz na te tematy dyskutować. W tańcu poruszała się świadomie i wiotko jak młódka. Umiała ze znanstwem rozkoszować się potrawami i winami.

Jeździła dobrze konno, dobrze polowała. Również, kiedy z trybuny przyglądała się turniejom, zdradzała znajomość rzeczy. A sąd jej był bezsporny, kiedy chodziło o ocenę przez damy trubadurów i opowiadaczy bajek.

Choć tyle sił zużywała na łowy, tańce, uroczystości i słuchanie pieśni, energia, z jaką krzątała się dokoła spraw dotyczących aliansu, nie malała. Postępowała metodycznie. Przede wszystkim don Alfonso i don Pedro musieli zobowiązać się uroczyście podpisami i pieczęciami, że się zastosują do jej decyzji rozjemczej; kazała sobie wystawić taką deklarację przez donię Leonor i dla ostrożności przez donię Berengarię. Potem wezwała najdostojniejszych radców obu królów: rozmówiwszy się poprzednio z każdym z nich stawiała im krótkie, rozsądne pytania, konfrontowała ministrów, których wypowiedzi i zdania były ze sobą sprzeczne, badała wszystko, co do rzeczy należało.

Zwołała radę koronną wszystkich ministrów Aragonii i Kastylii. Brakowało tylko Jehudy i don Rodriga. Sprawy państwowe zatrzymywały ich w Toledo.

— Ogłaszam teraz moje arbitrium — oświadczyła Ellinor. Wzięła owo stare, czcigodne pismo, stwierdzające zwierzchność lenną Kastylii nad Aragonią, rozwinęła kruchy, pożółkły pergamin, z którego zwisały dwie wielkie pieczęcie i który wszyscy od razu poznali. — Naprzód — obwieściła — ogłaszam to tutaj za nieważne. Non valet, deletur. — Po tych słowach mocnymi rękami rozerwała pergamin na dwa strzępy. — Deletum est — stwierdziła.

Kiedy Jehuda zaproponował swego czasu na sędziego rozjemczego króla Henryka, Alfonso odwołał się do jego wyroku z nieczystym sumieniem. Natomiast Ellinor wydawała mu się zręcznym sędzią, zesłanym przez Boga. Teraz jednak widząc, jak cenny pergamin, dający mu władzę nad frantem, ten słynny dokument, z powodu którego musiało umrzeć tylu rycerzy, paść tyle koni, zostaje zniszczony, miał wrażenie, że ręce tej starej kobiety rozdierają mu żywe ciało.

Ellinor przeszła teraz do owych dziewiętnastu spornych spraw gospodarczych, o których Jehuda oświadczył wtedy, że załatwienie ich określi, któremu z obu krajów przypadnie na półwyspie prymat. Rozgraniczyła z precyzyjną dokładnością prawa i obowiązki Kastylii i Aragonii. Kastylija i Aragonia słuchały, częściowo z zadowoleniem, częściowo z niechęcią.

Przy końcu stara władczyni ogłosiła swój wyrok co do żądań Gutierrez de Castro. Don Alfonso ma mu zapłacić pokutne — nie unikała tego twardego słowa — w wysokości dwóch tysięcy maravedí w złocie. Było to pokutne bardzo wysokie, słuchacze z trudem ukrywali swe poruszenie. — Z drugiej strony — ciągnęła Ellinor, jakby od niechcenia — ów zamek w Toledo, do którego de Castro rości sobie prawo, pozostaje własnością don Alfonsa, względnie człowieka, który go nabył drogą ważnego kontraktu kupna. Zostaje zamkiem Ibn Esry.

Doña Leonor nie mogła zapobiec temu, że twarz jej z oburzenia pobladła. Natomiast Alfonso, który nawet marzyć się nie ważył o takiej decyzji, odetchnął z ulgą; odebranie żydowi zamku właśnie teraz byłoby mu bardzo nie na rękę.

— Myślę, żeśmy skończyli — powiedziała Ellinor. — Kazałam wygotować poszczególne pisma, proszę odnośnych panów, żeby je swym królom przedłożyli do podpisu. To jednak, co jest w nich zawarte, staje się mocą mojego podpisu pod wyrokiem rozjemczym już od dzisiaj ustawą.

Później — doskonale zauważyła gniewne zaskoczenie donii Leonor — oświadczyła jej:

— Jeszcze nie zmądrzałaś, moja mała córko. Namiętność ciągle jeszcze zaćmiewa ci rozum. Spróbujże zrozumieć, że byłoby szczytem głupoty, gdybyśmy ty i ja wypowiedziały żydowi wojnę. A może chciałabyś przebłągać barona de Castro? Pilnuj lepiej tego, żeby i w przyszłości miał on chrapkę na zuchwale wyciągniętą szyję żyda.

Zaczekała, aż słowa jej zapadną w donię Leonor.

— Przyjm jako zasadę, córo Kastylii — pouczała ją później — żeby temu, który żąda,

nigdy nie dawać wszystkiego. Nauczyłam się tego od matki mego Henryka, nieboszczki cesarzowej Matyldy.

Wbijała mi w głowę: Kto chce, żeby mu jego sokół dobrze służył, ten nie może mu dawać pożywienia, lecz powinien drażnić nim i nęcić swego sokoła. Drażnij i nęć Castra zamkiem, donio Leonor.

Po chwili powiedziała:

— Nie gniewaj się, jeżeli cię czasem ostro traktuję lub łaję. Wiem dokładnie, coś zrobiła, ile musiałaś usunąć z drogi przeszkód, nim to małżeństwo i ten alians doszły do skutku. Masz zdolności do polityki. Widzę cię chyba po raz ostatni i chciałabym twoją pasję do polityki jeszcze bardziej podsycić. Rozkoszowanie się władzą jest chyba najtrwalszą z namiętności. — Zamknęła oczy i zwierzała się: — To potężna zabawa pędzić ludzi to tu, to tam, budować miasta, łączyć kraje i znów je rozrywać. Budowanie jest radością, niszczenie jest nią również. Prawdziwe zwycięstwo daje radość, ale nie chciałabym również źle wspominać swych klęsk. Nie mów tego nikomu, ale nawet ekskomunika bawiła mnie. Kiedy przychodzi klątwa z księgą, dzwoniem i świecą, kiedy ołtarze mrocznieją, obrazy zostają zasłonięte, a dzwony przestają bić, rodzi się w człowieku porywająca chęć, by znowu zapalić świece, by znowu dzwoniły dzwony, chęć nieujarzmiona, zaostrażająca dowcip. Człowiek rozważa wtedy wszystkie drogi i środki, czy iść razem z istniejącym papieżem i starać się chytrze go ułagodzić, czy osadzić na jego miejscu innego, który temu zgasi świece i zabroni dzwonić w dzwony?

Doña Leonor wchłaniała z oddaniem te słowa, wypowiedane szeptem. Była matce wdzięczna za zaufanie. Nie zawiedzie jej nadziei.

Ellinor otworzyła oczy i spojrzała córce prosto w twarz.

— Wielkie serce — powiedziała — musi mieć wiele pustych miejsc. Zagnieżdżają się w nich łatwo nuda, melancholia, wielki wróg — acedia. Trzeba wielkiego ładunku namiętności, żeby te puste miejsca wypełnić. Pogoń za władzą, za coraz większą władzą, to wielki, dobry, trwały ogień. Wierzaj mi, córko, polityka potrafi rozpalić krew jak najpiękniejsza noc miłosna.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Na dworze w Burgos znalazł się również klerk Godefroi de Leigni, by jako zastępca księżny Marii de Troyes uczestniczyć w uroczystościach ślubnych infantki Berengarii. Godefroi był bliskim przyjacielem zmarłego niedawno Chrétien de Troyes, najbardziej sławnego spośród opowiadaczy bajek; gdziekolwiek się zjawiał, nie mógł się opędzić prośbom rycerzy i dam, by zarecytował coś z wierszy zmarłego przyjaciela.

Wielki pisarz Chrétien de Troyes napisał wiele pięknych, dziwacznych, wieloznacznych rymowanych powieści. Opowiadał o barwnych, bajecznych, a jednak pełnych sensu losach Wilhelma angielskiego, o ponurym, wspaniałym szale miłosnym Tristana i Izoldy, o przedziwnych przygodach rycerza Yvaina, o tajemniczych zamkach, o podróżach i rozmyślaniach wiernego, pełnego przeczuc młodzieńca Parsifala. Ale panie i panowie chętniej aniżeli tych historii słuchali opowieści o rycerzu Lancelocie na wózku. Daremnie Godefroi wskazywał na to, że Chrétien nie uważał tego utworu za zbyt udany i nawet go nie dokończył, „Lancelot na wózku” był najpopularniejszym jego dziełem, damy i rycerze chcieli ciągle słuchać tylko tego.

Opowiadanie „Lancelot na wózku” wyglądało tak: Lancelot, najlepszy rycerz chrześcijaństwa, kocha damę Genièvre. Ponieważ znalazła się w opresji, wyrusza, żeby ją oswobodzić. Koń pada pod nim, Lancelot traci wiarę, że będzie mógł ścigać uwodziciela damy. Przejeżdża jakiś mizerny wózek, właściciel jego, wstrętny karzeł, zaprasza Lancelota wśród niezliczonych uprzejmych, śmiesznych ukłonów, by wsiadł do pojazdu; tymczasem nie ma dla rycerza większej hańby, niż żeby go ktoś na takim wózku zobaczył. Lancelot -waha się przez dwa mgnienia oka, potem wsiada na wózek i rusza nim w dalszą drogę, wyszydany przez mieszczan. Oswobadza swą damę, ona jednak nie dopuszcza go przed swe oblicze, lecz daje mu polecenie, by przy najbliższym turnieju ukrył swą siłę i zręczność i dał się pokonać. Lancelot czyni to i naraża się jeszcze na niejedną hańbę, ponieważ taki jest rozkaz jego damy. Jednak ona pozostaje niełaskawa i w końcu zdradza mu przyczynę tego: Lancelot nie wie, co to prawdziwa miłość — zanim wsiadł na wózek, wahał się przez dwa mgnienia oka.

Ponieważ królowa Ellinor i doña Leonor rzadko opuszczały występy trubadurów i opowiadaczy bajek, kurtuazja wymagała, żeby od czasu do czasu zjawił się również don Alfonso. Pewnego razu usłyszał więc recytację klerka Godefroi.

Na ogół wierszowane powieści nudziły Alfonsa. Przygody tych nie istniejących rycerzy wydawały mu się głupie, ich miłosne gruchania i jęki przesadne. Ale ta historia zrobiła na nim wrażenie wbrew jego woli. Zachowanie Lancelota, mimo że był to przy-głupek, obchodziło go, drażniło, zmuszało do myślenia, do dyskusji.

Leżąc późną nocą w łóżku rozmyślał nad tym. Oczy miał zamknięte, był zbyt zmęczony, by czuwać, zbyt przytomny, by zasnąć, widział rycerza Lancelota i jego wózek. Nagle nie było już Lancelota na wózku, siedział tutaj, na jego łóżku, na łóżku Alfonsa.

— Czego tu szukasz? — zapytał Alfonso zaczepnie. — Chcesz może twierdzić, iż należymy do siebie? — Lancelot skinął gwałtownie głową. — Wypraszam to sobie — ofuknął go Alfonso. — Nie jestem ci ani bratem, ani swatem. — Lancelot nic nie odpowiedział, ale patrzył ciągle na Alfonsa i Alfonso wiedział, co niemowa mówi: „Oczywiście, jesteś moim bratem i swatem, eques ad farnacem, rycerzu z za pieca”. Alfonso chciał odpowiedzieć gwałtownie, przytoczyć wszystkie naglące przyczyny wojskowe i polityczne, dla których tak długo pozostawał z dala od krzyżowej wyprawy. Nagle zobaczył z bolesną jasnością: wszystko to było pozorem i fałszem. — Istniała jedna prawdziwa przyczyna, dla-czemu nie walczył — chciał

zostać przy Racheli. Był bratem i swatem Lancelota, ściągnął na siebie hańbę, „zależał się”.

Odczuwał palący wstyd.

Ze słodkim przerażeniem zauważył, jak się ten żar zmienił w inny, w bardzo bliską, przekłęta i pożądaną duszność. Czuł teraz fizycznie ciężki zapach .ogrodów Galiany, puls walił mu w skroniach, krew mu żywiej krążyła, słodko, tkliwie przesączała się w niego ukochana trucizna: Rachel.

Próbował oderwać się od tego. Oddychał gwałtownie, jak dziecko walił gołą nogą w kołdrę. Ten Lancelot nie będzie już długo podrywał sobie z niego. Wojna przysła, skoro ruszy w pole, Rachel pozostanie za nim raz na zawsze. Absit, absit, postanowił. Trzeba, z nią skończyć. Kiedy tylko wróci do Toledo, zaraz każe ochrzcić synka, a potem ruszy nad swą południową granicę, do Calatravy i Alarcos, i będzie koniec z Rachelą. „Wtedy nie będę miał z tobą nic wspólnego, ty żalosny niewolniku kobiet — oświadczył gwałtownie Lancelotowi — iw ogóle śmieszny jesteś z tą swoją pełzającą miłością”. Ale Lancelot już znikł.

Trubadurzy i opowiadacze bajek nie cieszyli się zbyt wielkimi łaskami don Alfonsa. Jeden spośród nich spodobał mu się — baron z Limousin, Bertran de Bom.

Ten Bertran, mimo iż się nazywał wicehrabia de Hautefort, nie był właściwie wielkim panem, miał pod sobą tylko kilkuset ludzi. Ale był sławny ze swych dzikich wierszy, porywający, od najmłodszej młodości oczarowywał ludzi i wprawiał ich w zamęt. Opowiadano, że swego czasu, jako chłopaczek jeszcze, cieszył się względami kwitnącej królowej Ellinor. Później, jako pan dwóch zamków, uczestniczył słowem i mieczem w każdej zwadzie, nie zastanawiając się długo, po czyjej stronie jest słuszność, i zawsze potrafił dla swojej sprawy zyskiwać wielu ludzi. Był kłótniwy i porywczy. Pokłócił się z bratem o rozdział schedy i choć żądania brata były umiarkowane, zwalczał go wierszami i bronią. Do sporu wtrącił się król Henryk jako zwierzchnik lenny i dopomógł bratu do odzyskania praw. W odpowiedzi na to Bertran wierszami swymi poszczuł młodego króla Henryka na ojca; pewnego razu młody król zginął od belki przed jednym z zamków Bertrana. Bertran zachęcał w dalszym ciągu baronów Limousin do prowadzenia wojny z ich królem, starym Henrykiem, oraz do wojowania między sobą. Ręka jego była przeciw wszystkim, ręce wszystkich były przeciw niemu. Wreszcie młody Ryszard spalił zamki Bertrana i uwięził go. Wkrótce jednak pogodzili się, teraz Bertran wybierał się do Sycylii, by się przyłączyć do wojsk krzyżowych Ryszarda.

Wieść o Bertranie de Born przedarła się poprzez Pireneje. Znano w Hiszpanii wszystkie jego polityczne pieśni. Gdziekolwiek nadciągała zwada czy wojna, śpiewano jego dzikie strofy. Dewiza jego: „Czci nie oddaję pokojowi. Prawa mój miecz niech ustanowi”, była znana jak Ojciec Nasz.

Bertran miał obecnie lat około sześćdziesięciu, ale był rycerski i dworny jak nikt chyba inny. Od razu spodobał się Alfonsowi i choć królowi ciężko było zrozumieć jego prowansalską gwarę, czuł, że te dzikie buntownicze pieśni zrobione są z zupełnie innego materiału niż kulawe wiersze śpiewaków hiszpańskich; były wytworne i niebezpieczne jak ostre szpady z Kordoby.

Don Alfonso wyróżniał Bertrana, posyłał mu szczodre podarki, rozpieszczał go, zabierał go na łowy, prowadził z nim poufne rozmowy.

Bertran posiadał dar rysowania i oświetlania ludzi i zdarzeń, tak że się wszystko widziało przed sobą jak żywe.

Opowiadał na przykład o starym królu Henryku. Odmalowywał słowami zmarłego władcę, szare, przekrwione oczy, wystające kości policzkowe, potężny podbródek i niewielką bródkę, dzikie, pożądliwe usta. Ten Henryk był bohaterem, ale nie stuprocentowym. Brakowało mu prawdziwie szerokiego gestu, wielkoduszności, był skąpcem. Bertran stał ostatnio przed królem jako uwięziony, nie miał przy sobie broni, miał tylko słowo, ale tym swoim słowem

pokonał zwycięzcę, doprowadził do tego, że król przywrócił' mu wolność i odbudował spalony zamek. Ale i tutaj skąpił. Tak, nie był prawdziwym królem, choć się po królewsku zachowywał. Nie zdobywał dla samej radości zdobywania, lecz po to, żeby mieć i trzymać. Raz po raz można było poznać po drobnych pociągnięciach i gestach, że był chciwcem, kramarzem. Zdradzały go jego palce, chciwe palce, których nie umiał utrzymać w spokoju; zaciskał je i prostował — były zaprzeczeniem jego godności — albo też skrobał coś nimi lub rysował. Obiecywał wiele, dotrzymywał tylko część. Bertran nazwał go „Tak i Nie”. Nazwa ta przylgnęła do króla. Kiedy don Bertran opowiadał, don Alfonso widział ojca swej żony wyraźniej niż wtedy, kiedy go oglądał na własne oczy.

— Mój młody król Henryk był inny — opowiadał dalej Bertran. — Nazywałem go „Rasa” i był rasą. Żył całą pełnią, trwonił, co miał, skarby Chinon, rycerzy i żołnierzy najemnych, siebie samego. Był wspaniały, był rasą i dlatego trzeba staremu królowi poczytać za specjalną nikczemność, że go trzymał tak krótko. Po co uczynił go królem, jeżeli mu wzbraniał żyć jak król? Tak, szczułem go przeciw ojcu, a kiedy się z nim pojednał, szczułem w dalszym ciągu. Mówią, że umarł od tego. Nigdy nie wierzyłem, że człowiek może tak piekielnie cierpieć jak ja po śmierci mego młodego króla. Może naprawdę zmarł z powodu moich wierszy. Mimo to nie żałuję. — Ciągnął dalej cicho, dziko, mówił teraz raczej do siebie: — Kochałem wiele kobiet i wiele straciłem, byłem smutny z powodu utraty tej czy innej. Ale naprawdę opłakiwałem tylko młodego króla, bo tylko jego kochałem. — Zaczął, na pół śpiewając, mówić wiersze, które napisał bezpośrednio po śmierci młodego króla, ów tren, o którym powiadają powszechnie, że nikt od czasu, kiedy Dawid opłakiwał Jonatana, piękniej nie opiewał bohatera.

*Gdyby tak zebrać cierpienia, niedole,*

*Wszystkie udręki i ból świata cały,*

*I łzy przelane na naszym padole —*

*Gdyby je zebrać, marne by się zdały*

*Przy śmierci pana angielskiej krainy.*

Don Alfonso patrzył na mówiącego Bertrana. Nad cienkim, mocnym, zakrzywionym, iście sępiim nosem, lśniły mocno szerokie, gwałtowne, szare oczy. Człowiek ten wydobywał ze swej piersi wiersze wyrażające boleść z taką głębią i siłą, że Alfonso miał wrażenie, iż powstały teraz; król czuł się wzruszony, że Bertran tak przed nim otwiera swe serce. Odczuwał potrzebę odpowiedzi na jego zaufanie. Bertran, ten prawdziwy rycerz, posiada dar wyrażania tego, oo w piersi ludzkiej kłębi się mętnie, niewyraźnie, co się wypowiedzieć nie daje. Jeżeli kto, to tylko on będzie miał zrozumienie dla ciemnych trosk, które gnębią Alfonsa.

— Powiadasz — zapytał wbrew swym zwyczajom nieśmiało — żeś nigdy naprawdę nie kochał żadnej kobiety?

Bertran spojrział na niego.

— Tak bym tego ściśle nie ujmował — odrzekł z uśmiechem — ale w słowach twoich jest odrobina prawdy.

— Przecież napisałeś ku czci kobiet wspaniałe wiersze — powiedział Alfonso.

— Tak, pisałem — odparł Bertran. — Mężczyzna musi opowiadać kobiecie ładne historie, wymaga tego kurtuazja, a czasami nawet serce. Obiecywałem kobietom gwiazdy z nieba. Ale przysięgi nocy miłosnej są ważne tylko do rana. Łamać je to grzech, który może być odpuszczony, przyznał to nawet mój spowiednik. Ostatecznie to kobieta uwiodła nas swym jabłkiem.

Alfonso roześmiał się, ale pytał dalej:

— I zawsze potrafiłeś poradzić sobie z miłością? Z miłością każdej kobiety?

Stary rycerz zauważył napięcie króla, wiedział, że Alfonso myśli o swej miłostce z

żydówką, odczuwał niemal ojcowską skłonność do młodego króla, który w naiwnie, dziecinnie zamaskowanej formie domagał się od niego pociechy.

— Tak, potrafiłem — odrzekł. I spojrzawszy na Alfonsa wesoło i przyjaźnie, zrobił wyniosły, lekceważący ruch ręką i ciągnął dalej: — Kobiety mogą być bliskie naszej krwi, ale są dalekie naszej duszy. Powiadam ci, Alfonso: życie rycerza to rwąca rzeka. Płynie i płynie, ściera wszystko, co nie jest trwałe, co nie weszło w duszę. Owe kobiety moich wierszy są od dawna starte; to puste wspomnienia, które się rozplynęły we mgle. Inaczej wygląda sprawa dobrej bitwy. Czuje się ją, jej wspomnienie rozgrzewa człowieka i wzmacnia. Bitwy, w których walczyłem, utrzymały młodość mego ducha. — Roześmiał się drwiąco, z pewnością siebie. — I chyba ciała. Zaraz zobaczysz, co mam na myśli — powiedział wesoło i tajemniczo. Przywołał giermka Papiola, który był niewiele młodszy od niego, ale tak jak on trzymał się sprężysto. Patrząc na króla gwałtownymi, głęboko osadzonymi oczyma, rozkazał: — Jazda, Papiolu, mój chłopcze! Zaśpiewaj nam pieśń o tym, co stare i co młode.

Papiol zaśpiewał przy wtórze małej harfy zuchwałą, skoczną piosenkę:

*Joves es om que lo seu be engatge,  
Młodym jest ten, co dobra odda w zastaw I na turnieje wnet wyruszy śmieie,  
Młodym jest ten, co w biedzie groszem szasta,  
Co go nie mogą zgnębić wierzyciele,  
Co wszystko strwonić rad w igrach i sporze,  
Co w miłowaniu nie szczędzi się zgoła.  
Ten stary, kto ciężarem być nie może,  
Ten, kto gromadzi słoninę i zboże,  
Ten, który, syty, odchodzi od stola,  
A gdy deszcz pada, w płaszczy się przyobleka,  
Dnia wypoczynku bezustannie czeka I gry zaniecha, zanim wygrać zdola.*

Dziki, szaleńczy tryb życia odbił się na Bertranie; choć ciągle jeszcze zachowywał postawę i szeroki gest, choć prawie zawsze pobrzękiwał zbroją, trudno mu było ukryć, że w zbroi tej tkwi chwiejące się nieco ciało. Niejeden może uśmiechnąłby się patrząc na podstarzałego rycerza i jego podstarzałego giermka, słuchając, jak recytują wiersze. Alfonso nie uśmiechał się. Słyszał i wyczuwał skrzydlaty rozmach wierszy, wyzwanie, rzucone chwili obecnej, pulsujące życie.

— Dziękuję ci, Bertranie — powiedział zachwycony. — Oto jest rycerstwo, oto sztuka! Zachwyt młodego króla dobrze zrobił staremu Bertranowi. Gdyby ktoś wzrokiem lub spojrzeniem zakwestionował jego rzeź-kość, byłby go wyzwał. Ale ten Alfonso był przyjacielem, bratem, jemu wyznał.

— Niestety nawet najodważniejsze wiersze nie są ochroną przed rozkładem ciała. Powiem ci, królu, jedno: wojna, na którą teraz pójde, będzie moją ostatnią. Niczego sobie nie wmawiam, wiem: jeszcze rok, dwa, potem głupie ciało odmówi posłuszeństwa, a słaby rycerz to pośmiewisko dla dzieci. Mówiłem już z przeorem Dalon — jeżeli wrócę cało z tej wojny, pójde do klasztoru.

Król był dumny, że Bertran ukazał mu swe wnętrze. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł i zdecydował: Ten dobry rycerz i poeta nie powinien dokonywać swych ostatnich czynów jako wojak króla Ryszarda. Niechaj szwagier mój nie zabiera mi także i tego. Niechaj Bertran pozostanie przy moim boku i opiewa moją wojnę.

Kanonik don Rodrigue przybył do Burgos. Był smętnie poruszony. Don Alfonso wzbraniał się wyraźnie ochrzcić swego synka, uczynić go członkiem chrześcijańskiej wspólnoty, wziął na swe sumienie śmiertelny grzech i zanim opuścił Toledo, unikał rozmowy. Rodrigue był

z tego w gruncie rzeczy zadowolony, odczuwał bowiem haniebną lęk przed tą rozmową, wykręcał się od swego obowiązku. Teraz dopiero, po upływie tygodni, nabrał rozpędu, żeby odszukać króla.

Ale i tutaj w Burgos musiał doświadczyć na sobie, że Alfonso unikał rozmowy w cztery oczy. I znowu się z tym pogodził.

Aby się oderwać od swoich trosk, swej skruchy i wstydu, brał udział w życiu dworskim w Burgos. Przyglądał się z zainteresowaniem, jak bardzo wysubtelniały dworskie maniery północy. Damy i panowie studiowali teraz zasady kurtuazji, debatowali nad wymyślnymi prawami wzniosłej miłości, odnosili się ze znawstwem do sztuki poetyckiej.

Wkrótce zorientował się, że wdzięczna krzątanka dworska była tylko pustą, zakłamaną grą. W istocie rzeczy damy i panów zajmowało, wypełniało w całości jedno: nadchodząca wojna. Czekali na nią z zawrotną, nieprzytomną niecierpliwością.

Don Rodrigue patrzył na to ze smutkiem. Brał sobie ten smutek za złe. Wojna, za którą tęsknili, była święta, ich entuzjizm pobożny. Uczestniczenie w niej było obowiązkiem, potępienie jej grzechem. Nie mógł jednak podzielać pobożnego zachwyty. Żył w nim wspaniałe pochwały pokoju, zawarte u Izajasza i w ewangelii, oraz fanatyczne mowy pokojowe ucznia jego, don Beniamina. Myślał ze smutkiem i przerażeniem o wojnie i nędzy, którą będzie musiała przynieść półwyspowi. Czuł się potwornie samotny wśród tego głośniego, radosnego gwaru, łaknący krwi entuzjizm tych wypielęgowanych, wykształconych ludzi odpychał go, przypominał uwagi przyjaciela Muzy o Jezer Hara, złym popędzie.

Spośród wszystkich innych największy wstręt czuł do człowieka, któremu dana była umiejętność opiewania tej dzikiej i potężnej radości, do owego Bertrana de Boru. Na pierwsze wejście był to niepokazny, podstarzały pan, jak wielu innych. Ale don Rodrigue znał jego poezję, poglądy i czyny; kiedy się człowiek przyglądał bliżej, można było również wyczytać z twarzy tego rycerza o dzikich oczach pod gęstymi brwiami, kim był w istocie: wcieleniem wojny. Rycerz był może nieco śmieszny, kiedy usiłując zachować sprężystość kroczył, jechał konno, puszył się; groza jednak idąca od tego człowieka zabijała w kanoniku chęć do drwin. Nie było tu powodu do śmiechu. Był to zły bóg Mars w całej swej potworności. Tak musieli wyglądać jeźdźcy, których ujrzał ewangelista Jan, kiedy mu zostały objawione sprawy ostateczne.

Rodrigue nie umiał przy tym wyzwolić się od czaru burzliwych wierszy tego Bertrana. Jako znawca musiał mu przyznać, że jego wojenne wiersze były wspaniałe, porywające, przy całej swej dzikości pełne wdzięku. Ze smutkiem i gniewem stwierdził, jak wielką sztuką obdarował Bóg tego nieujarzmionego człowieka. Gniew jego rósł, kiedy się musiał przyglądać, jak ukochany Alfonso jego, Rodriga, unika, nie puszczać równocześnie od siebie tego wstrętnego, nieopanowanego rycerza. Zazdrosny Rodrigue odczuwał boleśnie wewnętrzne pokrewieństwo obu mężów. Nadzieja, że król wróci na właściwą drogę, stawała się coraz niklejsza.

Jedną radość pozostawała kanonikowi wśród jego trosk: obcowanie z klerykiem Godefroi. Don Rodrigue kochał i podziwiał opowiadania Chrétiena de Troyes; wydawało mu się, że Godefroi odzwierciedla ową dziwną pobożność wewnętrzną, którą Chrétien potrafił przesycić swe opowiadania. Toteż często, chcąc kanonikowi zrobić przyjemność, Godefroi wybierał przy odczytywaniu utworów Chrétiena ciche, oderwane rozdziały, dające wgląd w niepowtarzalny, dziwny, odwrócony od wszystkiego, co ziemskie i gminne, rodzaj twórczości Chrétiena. Odczytał kiedyś przed licznymi słuchaczami przygodę rycerza Yvaina z pauvres pucelles, z biednymi pannami.

Oto dostaje się rycerz Yvain do domostwa pauvres pucelles, zobaczył młode panny. Szyją i tkają nici ze złota i jedwabiu, przeznaczone na suknie. Same jednak wyglądają niezwykle

zaniedbane, mają na sobie suknie całe w dziurach, koszule pełne brudu i potu. Skóra na ich szyjach jest szorstka, twarze ich są blade od głodu i niedostatku. Yvain patrzy na nie, one patrzą na niego, pełne wstydu pochylają twarze ku ziemi i płaczą, i skarżą się:

*Szyjemy brokaty, zdobimy jedwabie,  
Aleśmy dziś same i brudne, i nagie.  
Bo nasza zapłata jałmużną jest smutną,  
Za mało jej nawet na mięso, na płótno.  
Dzielimy się przeto po równu, jak trzeba,  
Swym Chlebem powszednim, lecz mało jest chleba.  
Za mało, nie starcza przy głodzie i trudach.  
Dwadzieścia sous której zarobić się uda,  
Ta czuje się damą, księżniczką bogatą.  
Dwadzieścia sous przecie jest nędzną zapłatą.  
Ten, co nam te grosze nikczemne wygarnie,  
W bogactwa urasta za nasze męczarnie  
I ciągle nas szczuje, pogania, przeklina,  
I nocą spokoju nie daje — jest przy nas.  
Gdy któraś osłabnie, gdy zmorzy ją bieda,  
On kopie ją, smaga i spocząć jej nie da.  
Radości nie znamy, a nędzy — tak wiele,  
My, biedne dziewczęta, my, pauvres pucelles.*

Don Rodrigue odczuwał zadowolenie, że poeta Chrétien de Troyes przy blasku i glorii rycerzy i dam nie zapomniał o ponurym życiu i nędzy tych, którzy się trudzili na uboczu. Natomiast inni słuchacze, preux chevaliers i dames choisies, noszący szaty uszyte przez owe pauvres pucelles, byli zdziwieni i niezadowoleni. Jakiż błazeński pomysł miał ten opowiadacz bajek. Jak ktoś, kto tak słodko i szlachetnie opiewał bohaterskie przygody miłosne, mógł w ten sposób kalać swe usta? Jak mógł znaleźć rymy dla tych żalonych krawcowych? Jedni szyli suknie, inni nosili je; jedni kuli miecze, inni walili nimi, jedni budowali zamki, inni mieszkali w nich. Tak już było, tak zrządził Bóg w swej mądrości. Jeżeli te smutne istoty, te pauvres pucelles buntowały się przeciw temu, to pan ich winien połamać im kości.

Znowu Bertran de Born dał wyraz uczuciom całego otoczenia. Język północy, którym się ten Chrétien w swych wierszach posługiwał, wydawał mu się i tak nieokrzesanym bełkotem, raziła go jego czułośćkowość, to, co przed chwilą słyszał, było dla niego czystym szaleństwem. Już podczas recytacji wybuchnął kilkakrotnie śmiechem, a kiedy Godefroi skończył, powiedział:

— Wy, panowie z północy, macie dziwnie wiele zrozumienia dla pospólstwa i jego smrodu. Chcesz wiedzieć, drogi mistrzu Godefroi, co my tutaj na południu o tym myślimy?

Panowie i panie, ciesząc się na męską odpowiedź, której Bertran z pewnością udzieli skamlaniu zmarłego Chrétiena, prosili:

— Nie każ nam czekać, szlachetny Bertranie, pozwól usłyszeć.

Wobec ich gwałtownych nalegań Bertran rozkazał swemu giermkowi:

— Zaśpiewaj nam pieśń o Vilainie, mój chłopcze.

Ten wystąpił z śmiałą, młodzieńczą miną, uderzył w struny malej harfy, zaśpiewał pieśń o Vilainie, plugawym mieszczechu i chłopie. Śpiewał:

*Mieszczanie, chłopci i handlarze  
Są tymi, których czciq nie darzą  
I znieść ich wprost nie mogą.  
Po świńsku swoje sprawki plotą,*

*Zręczną parają się robotą  
I wszędzie znajdują drogę.  
Wpierw łotr majątek zgarnie cicho,  
Potem go wielką nadmą pychą  
Zdobycze te nieprawe.  
Odbierz mu sakwy, pal go lichy,  
Koszulę ściągnij nawet.  
I niech garbuje deszcz gagatka.  
Kto gęby łotrom tym nie zatka,  
Ten nikczemności wspiera sprawę.  
Więc gdy ośmielą się łajdaki —  
Chłop, handlarz czy mieszczanin jaki —  
Świecić ci w oczy swym bogactwem,  
Doprawdy, rozpraw się z tym bractwem,  
Połam im wszystkie gnaty!  
Takiej potrzeba im zapłaty!  
Robactwo strąć do lochów na dno!  
Do grot najgłębszych iść gadzinie,  
A tam — niech bezpowrotnie zginie!  
Niechaj zamilkną wrzaski wraże!  
Niechaj pod ziemię się zapadną  
Mieszczanie, chłopci i lichwiarze!*

Rozległy się burzliwe oklaski. Ta cała hołota naprawdę staje się zuchwała. Panowie, którzy mieli ruszyć na świętą wojnę, myśleli o handlarzach i bankierach, którzy dm płacili za ich majątki marne ceny; musieli je akceptować, gdyż nie potrafili wydusić ze swych chłopów dostatecznych sum. Ten, kto tej hołocie bez ogródek, mocno mówił prawdę, przemawiał im do serc. Don Rodrigue był świadkiem, jak zbrodniczo pyszałkowate wiersze Bertrana jeszcze podsycały niedobry ogień preux chevaliers. To, co ten człowiek odśpiewał w swej bezbożnej pysze, napełniło łagodnego kanonika piekącą troską. Jednak pośród swego świętego smutku uczony Rodrigue myślał o tym, jak oto znowu mowa dostosowuje się do złych popędów tego, który się nią posługuje, jak powoli z poczciwego Vilaina, mieszkańca wsi i miasta, potrafiła zrobić łotra i szubrawca.

Twarz don Alfonsa promieniała błogim podnieceniem. Dumne, dźwięczne wiersze przemówiły do jego serca. W wierszach tych brzmiał gniew prawdziwego rycerza na handlarską i bankierską hołotę, brzmiała wściekłość, którą sam często odczuwał, kiedy musiał targować się z Jehudą i tracić swój cenny królewski czas. Ten Bertran był mu bratem.

— Słuchaj, szlachetny Bertranie — powiedział — czy nie chcesz wojować przy moim boku? Daję ci rękawicę, obiecuję ci pokazać część mego łupu.

Bertran roześmiał się wesoło.

— Zapłata za tych parę wierszy, które dla ciebie stworzyłem

— odpowiedział — pokazała mi twoją wielkoduszność, królu. Chciałbym ułożyć dla ciebie jakiś piękny sirventes.

— A więc ruszysz ze mną, Bertranie? — zapytał król.

— Jestem lennikiem króla Ryszarda, przyrzekłem mu — odparł Bertran. — Ale zapytam damy Ellinor.

Zapytał.

— Znowu przechodzisz do innego pana? — powiedziała Ellinor. Stara królowa i stary

rycerz spojrzeli na siebie pogodnie. Ellinor powiedziała: — Więc zostań u Alfonsa. Załatwię to z moim Ryszardem.

Ellinor nie chciała opuszczać Burgos, zanim w gruntownym planie wojennym nie zostaną dokładnie rozgraniczone prawa i obowiązki obu królów.

Kilkakrotnie Alfonso i Pedro zwracali się do niej, by im oddała parę chorągwi swych wypróbowanych żołnierzy najemnych. Ale Ellinor nie chciała o tym słyszeć.

— Macie, moi chłopcy, dosyć — broniła się. — Sądzicie, że trzymałabym drogie wojska najemne, gdybym ich pilnie nie potrzebowała przeciw moim buntowniczym baronom. Czasami nie mogę zasnąć, bo nie wiem, z czego ich mam opłacić.

— Ale przecież mówią w całym świecie chrześcijańskim, że „w Chinon są pieniądze” — wtrącił Alfonso.

— To głupie powiedzenie — osadziła go Ellinor — puścili w świat żydzi mego Henryka nieboszczyka, żeby podnieść jego kredyt. Jeżeli o mnie chodzi, to nie znalazłam w Chinon żadnych pieniędzy. Miałam trudności z wyrównaniem rachunku za pogrzebanie mego Henryka. Nie, moi drodzy, kilku żołnierzy musicie już starej kobiecie zostawić, żeby chronili jej skórę.

Plan wojenny opierał się na założeniu, że przy pewnych okolicznościach można będzie utrzymać kalifa Jakuba Almansura z dala od wojny. Potężni dowódcy szczepów na jego granicy wschodniej buntowali się; mówiono również, że nie jest dobrze z jego zdrowiem. Można było przypuszczać, że użyje każdego byle jakiego pretekstu, żeby swoich emirów w Andaluzji pozostawić samych sobie. Jedną tylko istniała trudność: kalif, tak samo jak sułtan Saladyn, w żadnych okolicznościach nie akceptował łamania umowy, a tu istniało to uciążliwe zawieszenie broni Alfonsa z Sewillą. Kastylija musiała więc pozostać przez pierwszy okres neutralna. Natomiast Aragonia, nie związana żadną umową, miała już w najbliższym czasie wdrzeć się pod jakimkolwiek pozorem do muzułmańskiej Walencji i bardzo szybko zwrócić się do Kastylii o pomoc zbrojną. Gdyby wojna przerzuciła się później do Kordoby i Sewilli, można by prawdopodobnie przekonać kalifa, że nie chodzi tu o tak bardzo złośliwe złamanie zawieszenia broni.

Alfonso narzekał, że sława pierwszego ataku przypadnie młodemu don Pedro, ale ustąpił przed słusznymi motywami starej królowej i zobowiązał się pod żadnym pozorem nie tykać Kordoby i Sewilli, dopóki Aragonia nie zażąda pomocy zbrojnej. Don Pedro ze swej strony przyrzekł zażądać tej pomocy zbrojnej najdalej w ciągu pół roku i podporządkować później swe pokaźne siły zbrojne dowództwu naczelnemu don Alfonsa.

Ellinor nie zadowolala się tak prędko. Bała się, że zazdrość lub źle pojęty obowiązek rycerski mogłyby skłonić Alfonsa lub Pedra do przejścia nad umową do porządku. Pakt taki był ostatecznie tylko atramentem na bydlęcej skórze, krew, płynąca przez serce ludzkie, była mocniejsza. Wezwała tedy przed swe oblicze obu królów i ich żony i na podstawie szczegółowo sporządzonego planu wojennego wyjaśniła im w krótkich, serdecznych słowach, co Alfonso i Pedro mają czynić, a czego zaniechać. Potem przeszła z tonu uroczystego na poufały i szelmowsko grożąc palcem powiedziała:

— Wiem już, że nie najlepiej sobie wzajem życycie. Ale na takie kaprysy nie możecie sobie w tej wielkiej i ważnej wojnie pozwolić. Kiedy się skończy, gniewajcie się znowu, ile serce zapragnie. Na razie gniewajcie muzułmanów.

Zakończyła znowu bardzo po królewsku:

— Zaklinam was, wyrwijcie z waszych serc z korzeniami wszelki gniew, tak jak byk wyrzywa z korzeniami trawę.

Alfonso stał z twarzą zakłopotaną i gniewną; Pedro wyglądał również na zbitego z tropu.



Nagle odezwała się wśród ciszy twardym, jeszcze dzieciennym głosem Berengaria:

— Rozumiemy cię, pani babko i królowo. Albo obaj książęta, mój pan ojciec i mój pan małżonek, będą ze sobą zgodni zupełnie, z całego serca, albo zostaną pobici przez pogan. Tertium non datur — trzeciej możliwości nie ma.

— Zrozumiałas, w czym rzecz, mała wnuczko — powiedziała Ellinor. — A teraz — zwróciła się do królów — ucałujcie się w obecności nas, trzech kobiet, i przysięgnijcie na ewangelię, że dotrzymacie tego, coście podpisali i przypieczętowali.

Zanim zgromadzenie się rozeszło i każdy ruszył własną drogą, obchodzono na zamku w Burgos pożegnanie.

Tego dnia Bertran de Born spełnił prośbę, o której dotychczas nie chciał słyszeć. Sam zaśpiewał swą pieśń ku czci króla, pieśń o śmierci podczas bitwy, słynną pieśń: „Be'm platz lo gais temps-de Pascor”.

Śpiewał:

*Lubię najśłodszą porę wiosen,  
Gdy liść i kwiat się rodzi ziołom,  
I dźwięcznym się raduję głosem  
Ptactwa, co nuci pieśń wesolą.  
Lecz bardziej cieszyć się jam gotów  
Na widok bitew i namiotów,  
Kiedy na polach naokoło,  
Ku niedalekim rwąc się bojom,  
Konie z rycerstwem zbrojnym stoją.  
Lub gdy wojaków mknie gromada,  
Gdy ludzie drżą, pierzchają stada,  
I, nim zamilknie gwar popłochu,  
Nadciągą szumnych hufców pochód.*

Stara królowa Ellinor, z którą Bertran pozostawał kiedyś w bliskich stosunkach, słuchała z radosnym wzruszeniem, jak stary człowiek śpiewa dzikie, gniewne, radosne strofy. Już wtedy, kiedy, jako pacholę, zabrał się do niej z całą gwałtownością, była niemal równie rozbawiona, jak wzruszona. Kochany Bertran pozostał taki sam, był dalej mieszaniną odwagi, zuchwalstwa i daru poetyckiego. Zaprzeczał przez całe życie jakiegokolwiek klęsce i teraz jeszcze był wyraźnie zdecydowany walczyć, śpiewać, nie popuszczać, tak samo zresztą jak i ona, nim go śmierć poklepie po ramieniu.

Bertran śpiewał:

*To rozkosz znana memu oku,  
Gdy się potężny zamek wali,  
Mur pęka, pali się ostrokół,  
I w tym niemałą miwam radość,  
Kiedy na łące gdzieś, w oddali,  
Widzę, jak jeźdźcy dzielni jadą.  
Krew ciecze, wciąż się kruszą kopie,  
Lanc ostrza, mieczy, szabli,  
Rumaki w dzikim mkną galopie,  
Ich jeźdźcy w boju padli.  
Oto kres życia męski,  
Od innych śmierć tę wolę.  
Lepiej bym w krwawym boju poległ,*

***Niż poznał gorycz klęski.***

Czerwona twarz arcybiskupa don Martina zaczerwieniła się jeszcze bardziej, oddychał mocno, poruszał wargami, powtarzał cicho słowa wierszy. Młody Alazar patrzył na śpiewaka z zachwytem, oczyma wyrывał każde słowo z warg Bertrana. Alazar marzył tylko dotychczas o wspaniałościach wojny. Teraz widział, słyszał, czuł ją każdym fibrem. Ten rycerz Bertrán wypowiadał to, co tkwiło w piersi Alazara, odkąd przebywał w Kastylii. Z ust tego człowieka pobrzękiwała wojna. To, o czym rycerz Bertrán śpiewał, było treścią życia Alazara.

Bertrán śpiewał:

***W jedzeniu, picciu, we śnie — w niczym***

***Tyle nie znalazłbym słodczy,***

***Co w krzyku brzmiącym w dali:***

***Marsz! Do ataku! Naprzód! Hura!***

***I wielki pan, i mały ciura***

***Na ziem się martwy wali.***

***Rży koń bez jeźdźca, bez rynsztunku,***

***Ranni wołają w krąg: Ratunku!***

***Na polu, w rwących się szeregach,***

***Krzyk dziki ze wszech stron nadbiega,***

***Wołanie klęski i głos chwały.***

***Trawy od krwi poczerwieniały,***

***Poległych stos bez drgnienia leży,***

***A w piersiach martwych już rycerzy,***

***W wystygłych ciałach jeszcze sterczy***

***Niejedno ostrze lanc morderczych.***

Zebrani słuchali z uniesieniem. Marsz! Do ataku! Naprzód! Hura! Cały stary zamek rozbrzmiewał krwawym entuzjazmem rycerza Bertrana, radością zabijania.

Bardziej niż kto inny oceniał i rozsmakowywał się kanonik don Rodrigue w skrzydlatej sile dźwięcznych prowansalskich wierszy. Zamiast entuzjazmu wzbudzały w nim trwogę. Patrzył z przerażeniem na twarz króla, którego kochał jak syna. Tak, Alfonso był „vultu vivax”, Rodrigue znalazł właściwe słowa: twarz przerażająco wiernie odzwierciedlała duszę. Teraz zaś odzwierciedlała rozkoszowanie się biciem, waleniem, burzeniem. Oto Jezer Hara, zły popęd, o którym ciągle mówił Muza.

Don Rodrigue zamknął oczy. Nie mógł patrzeć dłużej na twarze tych rycerzy i dam. Przerażony uświadomił sobie: wołałby, żeby jego Alfonso jeszcze miesiące, lata, pozostawał w grzesznym związku z żydówką, niż w tej pobożnej, pełnej entuzjazmu dla przelewu krwi wspólnocie z wojownikami Boga.

Kanonik zamierzał wrócić do Toledo w orszaku króla. Postanowił sobie podczas tej podróży spełnić swój obowiązek — ostrzec króla. Teraz zrezygnował z tego.

Jeszcze tej samej nocy pośpiesznie ruszył konno do Toledo jeszcze bardziej zgnębiony, pełen poczucia winy, infectis rebus, nie załatwiwszy sprawy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Od chwili otrzymania wiadomości o śmierci króla Henryka don Jehuda Ibn Esra wiedział, że teraz, w ciągu najbliższych tygodni, może nawet dni, wybuchnie wielka wojna przeciw muzułmanom, dla której zapobieżenia poświęcił Sewillę i swe stare życie. Teraz olbrzymie koło toczyło się niepowstrzymanie. Kalif zaprowadzi swe wojska do Andaluzji, klęski Alfonsa są nieuchronne, obywatele Toledo nie będą przypisywali winy za nie królowi, lecz jemu, Jehudzie, i żydom. To, czemu musiał przyglądać się jako dziecko w Sewilli, powtórzy się tutaj. Cała wściekłość Edomu uderzy w sześć tysięcy uchodźców z Francji, których ściągnął do kraju. Jak triumfował, kiedy udało mu się dzięki chytrności zdobyć dla nich przywilej! Wydało mu się, że jest Okerem Hazimem, człowiekiem, który może przenosić góry. A tymczasem jego osiedleńcy doznają tu gorszych nieszczęść, niż kiedykolwiek znosić musieliby w Niemczech. Widział skierowane na siebie pobożne, obłąkane, pełne pogardy oczy rabiego Tobii.

Meldunki z Anglii zwiększały jego lęk. Z okazji koronacji Ryszarda również i delegacja żydowska pod przewodnictwem Aarona z Lincoln i Barucha z York miała wręczyć królowi w katedrze Westminsteru podarunki i prosić go o potwierdzenie starych przywilejów. Żydom wstęp do kościoła był jednak wzbroniony i rozeszła się wieść, że król życie ich i dobytek oddaje na pastwę poczciwego ludu londyńskiego. Tłum pod przewodem krzyżowców splądrował domy żydów, znęcał się nad nimi, zawlókł wielu z nich do kościoła, by ich ochrzcić, a tych, którzy stawiali opór, pozabijał. Podobne wypadki rozegrały się w Norwich, Lynn, Stamford, Lincoln i York. Aaronowi z Lincoln udało się uciec cało z Londynu, ale na nic mu się to nie przydało, gdyż zginął podczas zamieszek w Lincoln. Baruch z York dał się ochrzcić. Następnego dnia król Ryszard zapytał go, czy i w sercu jest teraz chrześcijaninem. Baruch odparł, że chciał tylko ratować życie i w sercu pozostał żydem.

— Co pocniemy z tym człowiekiem? — zapytał Ryszard arcybiskupa Canterbury.

— Jeżeli nie chce służyć Bogu — odparł gniewnie prałat — niechaj w imię boże pozostaje w służbie diabła.

Tak więc powrócił Baruch do Yorku jako żyd, gdzie go wraz z rodziną zamordowano.

Jeżeli, rozważał Jehuda, podobne rzeczy mogły się wydarzyć w rozsądnej Anglii, to co stanie się tu, w Kastylii, kiedy lud po klęsce zostanie podburzony?

Don Efraim zjawił się u Jehudy. Oświadczył mu, że hrabia de Alcalá zwrócił się do niego o pożyczkę na swoje dobra, ale daremnie.

— Jest zadłużony — wywodził Efraim — rzuca pieniędzmi, wojna zrujnuje go prawdopodobnie doszczętnie, dobra przypadną tanio wierzycielom. Mimo to nie zgodziłem się na udzielenie hrabiemu Alcali pożyczki, żyd bowiem, ciągnący korzyści z kłopotów krzyżowca, stwarza dla siebie i całego żydostwa wrogów. Przypuszczam, że hrabia zwróci się teraz do ciebie.

— Dziękuję ci za wiadomość i radę — powiedział Jehuda nieobowiązująco.

Efraim miał jeszcze drugą, ważniejszą informację. Aliama postanowiła wystawić królowi korpus pomocniczy w sile trzech tysięcy ludzi.

Jehuda czuł się okrutnie upokorzony. A więc jest już tak zgubiony i bez wpływów, że aliama w tym strasznym nieszczęściu podejmuje decyzje nie pytając go o zdanie.

— Myślisz, że się w ten sposób możecie uratować? — sztychł. — Pomyśl o tym, co zaszło w Anglii.

— Ubolewamy nad tym, rozważyliśmy wszystko — odparł don Efraim. — Właśnie dlatego chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby królowi Alfonso — Boże, ochraniaj go — dopomóc do zwycięstwa. Zresztą zawsze planowaliśmy wystawienie korpusu pomocniczego i

ty sam przyrzekłeś to królowi.

— Będąc na waszym miejscu — odparł Jehuda — byłbym dał pieniądze na werbowanie najemników. Może także, na dowód dobrej woli, moglibyście spośród własnych szeregów wystawić ze dwustu, trzystu ludzi. Ale całą masę silnych, dobrze we władaniu bronią wyćwiczonych mężów aliamy lepiej byłoby zatrzymać.

Obawiam się, że będziecie ich potrzebowali — zakończył z goryczą.

— Rozumiem, że tak myślisz — odparł Efraim ze spokojem. — Ale twoja sytuacja, don Jehudo, jest inna niż nasza i nawet tak mądryemu człowiekowi, jakim jesteś, trudno ocenić naszą sytuację bezstronnie.

Widząc, jak słowa jego boleśnie dotknęły tamtego, ciągnął dalej nie bez ciepła:

— Nie jestem twoim wrogiem, don Jehudo. Nie zapominam, ileś dla nas w szlachetności swego serca uczynił. Jeżeli przyjdą teraz dni, w których potrzebna ci będzie nasza pomoc, wierzaj mi, że jesteśmy gotowi.

Jehuda odparł sucho i gniewnie:

— Dziękuję wam.

Kiedy Efraim go opuścił, zaczął chodzić po domu. Przyglądał się badawczo dziełom sztuki, książkom, zapisanym zwojom, wyciągał to jeden, to drugi, obmacywał prarękopis biografii Avicen-ny. Potem poszedł do sali swych pisarzy. Brał listy, odczytywał je. W czolobitnych słowach oferowano mu umowy, interesy, zapytywano o radę; było widoczne, że jak i dawniej uważany jest za najpotężniejszego człowieka półwyspu. Spojrzał na wykazy swych repositarii, by wyliczyć, jak wielki jest jego majątek. Zbrojenia, liczne sprzedaże i dzierżawy, dochody z świeżo wypuszczonych pieniędzy powiększyły jego bogactwo. Liczył, kontrolował, obliczał od nowa. Posiadał około trzystu pięćdziesięciu tysięcy maravedi w złocie. Wypowiedział przed samym sobą tę olbrzymią sumę powoli, po arabsku, niemal z niedowierzaniem. Z wielkiej skrzyni z klejnotami wyciągnął naszyjnik familiara, obmacał go. Potrząsnął z uśmiechem głową. Stoi oto, tonąc w skarbach, zaszczytach, potędze, ale wszystko jest tylko powłoką grobu.

Gwałtownym ruchem odepchnął ponurą marę. Nie, don Efraim nie napędzi mu lęku.

Dał pożyczkę na dobra hrabiego de Alcalá. Ale słowa parnasa zapadły w niego głęboko. Było istotnie tak, jak don Efraim z całą trzeźwością stwierdzał: jemu, Jehudzie Ibn Esra, groziło większe niebezpieczeństwo niż komukolwiek innemu. Jeżeli będzie rozsądny, odjedzie możliwie jak najprędzej na wschodnie tereny muzułmańskie, którymi władza przychylny żydom sułtan Saladyn, uratuje siebie, Rachelę i wnuka, zabierając ich ze sobą.

Rachela będzie się opierać, zechce zostać u Alfonsa. I jeżeli uda mu się przekonać ją, wtedy Alfonso każe go ścigać. Czy uchodźcy do tego stopnia wpadający w oko mogliby się przebić na wschód przez cały wrogi świat chrześcijański? Czy wolno mu poza tym choćby próbować ratowania siebie i innych? Czy wolno mu pozostawiać bezbronnych osiedleńców z Francji w niebezpieczeństwie? Oczywiście nie może im pomóc, przeciwnie, pozostawanie jego tutaj tylko ich naraża — i jego, i całe żydostwo. Ale tego nie zechcą przyznać. Gdyby się oddalił, będą obrzucać obelgami jego imię. Będą szydzieli, że człowiek, który miał dokonać wielkiego posłannictwa, dobroczyńca Izraela, Jehuda Ibn Esra, uciekł, kiedy trzeba było opowiedzieć się za swoim słowem i swoim dziełem. W przyszłości będzie uważany za tchórza i zdrajcę.

Przypomniał sobie zdanie Mojżesza Ben Majmona: „Każdy żyd ma w sobie coś z proroka, popieranie tego proroczego pierwiastka jest obowiązkiem”. Zapadły w niego głęboko schlebające mu słowa Efraima, że wiele w szlachetności serca dla żydów uczynił. Nie, nie zadusi w swym sercu tego, co prorocze, nie będzie usiłował uciec od swego posłannictwa. Zostanie w Toledo.

Próbował zbadać gruntownie, co to takiego zatrzymuje go wbrew rozsądkowi na

niebezpiecznym miejscu. Strach przed niebezpieczeństwami ucieczki? Miłość do Racheli, która by rozstania z Alfonsem nie przeżyła? Duma i pycha, nie chcąc splamić nazwiska Ibn Esra? Wierność wobec posłannictwa? Wszystko to tkwiło w nim, nie umiał poszczególnych przyczyn rozwikłać.

Wśród wątpliwości i trosk dojrzewała w nim decyzja. Nie mógł pomóc sobie samemu ani Racheli. Mógł jednak pomóc wnukowi.

Rachela spędzała większość czasu w La Galianie.

Wiedziała, że w najbliższych tygodniach musi wybuchnąć wielka, okropna wojna, ale się nie bała. Odkąd Bóg obdarzył ją Immanuelem, czuła się w pełni bezpieczna i chroniona w rękę Ado-nai, albo, jak to nazywał stryj Muza, pod płaszczem losu.

Tęskniła za Alfonsem, ale nie tą gorączkową tęsknotą, wpadającą z radości w rozpacz, co dawniej. Ufała głęboko, była pewna, że z tego swego rycerskiego świata zawsze do niej powróci. Nie tylko dlatego, że dawali sobie wzajemnie niewymierną rozkosz, ale i dlatego, że kochał matkę swego syna; jego Sancho stał się i dla niego Immanuelem, Rachela i Alfonso coraz bardziej zespalali się ze sobą.

Często przez długie minuty patrzyła nieruchomo, w błogim oddaniu na delikatną, owalną twarz synka, jej Immanuela, Mesjasza. Rysował jej się jedynie, mglisty obraz Mesjasza, widziała niewyraźną wizję czegoś wysokiego, jasnego, nie miała pojęcia, w jaki sposób jej mały synek ma przynieść światu zbawienie; wiedziała jednak, że je przyniesie. Świadomość tę zachowywała dalej w swej piersi — mówienie o tym wydawało się jej występne.

Nie mówiła o tym z don Beniaminem, jakkolwiek przyjaźń ich pogłębiła się. Była to przyjaźń bez wielu słów. Czytywał jej książki, chodzili po cichych drogach ogrodu. Sabat spędzała Rachela jak i przedtem u swego ojca w castillo.

Kiedyś, gdy taki sabat się skończył — zapach korzeni i świec, gaszonych w winie, unosił się jeszcze w powietrzu, Jehuda zapytał córkę:

— Jakże się powodzi twojemu synowi, mojemu wnukowi?

Nigdy nie widział wnuka, nie przestąpił progu Galiany. Rachela wiedziała, jak bardzo tęskni za widokiem dziecka, ale bała się zabrać Immanuela z Galiany. Choć należał do niej, dotknęłaby zbyttno Alfonsa, gdyby zabrała syna choćby na godzinę bez jego zgody.

Cicho, ostrożnie, ale nie bez błogiej dumy, wywołanej nadzieją, że ojciec zapyta ją o to, o czym tajemnie wiedziała, odparła: Im-manuel jest zdrow i rozwija się wspaniale w łasce Boga. Jehuda odparł z trudem, napinając wszystkie siły:

— Tak, syn twój, a mój wnuk, w najbliższym czasie bardzo będzie potrzebował łaski bożej.

Kiedy Rachela spojrzała ze zdumieniem, wyjaśnił jej:

— Gdyby był tylko synem Alfonsa, nie byłby zagrożony, nie groziłoby mu również nic, gdyby był tylko twoim synem. Niebezpieczeństwo płynie dla niego stąd, że jest synem twoim i Alfonsa. Jako syn Alfonsa przeznaczony jest dla spraw wielkich; o tym wiedzą wszyscy i wszyscy się z tym zgadzają. Nie wszyscy jednak widzą chętnie, że właśnie twemu synowi przeznaczona jest wielkość. W castillo w Burgos zebrało się teraz liczne grono, które to widzi niechętnie. Możnym tym nie możemy przeciwstawić nic prócz ufności w Boga.

Rachela nie bardzo mogła się zorientować ze słów ojca, o co mu chodzi. Miał zapewne na myśli zamiar Alfonsa ochrzczenia syna, przypuszczał, że Alfonso nie będzie się liczył z jej życzeniami już choćby dlatego, żeby ochronić dziecko przed atakami przeciwników. Tak, przez chwilę życzyła sobie tego. Ale zaraz uświadomiła sobie całą grzeszność tego życzenia. To nie do pomyślenia, żeby Immanuel miał zostać zbezczeszczony święconą wodą. Ale ojciec nie zna jej Alfonsa. Alfonso kochał ją, zespał się z nią, nigdy nie potrafił zadać takiego ciosu jej duszy.

Powiedziała niemal błagalnie:

— Alfonso raz tylko mówił mi o tym, że chciałby ochrzcić naszego Immanuela.

Później już nigdy. Jestem pewna, że z tego zrezygnował.

Jehuda, nie chcąc jej odbierać tej wiary, pominął to, co powiedziała, milczeniem i rzekł:

— Don Alfonso przygotował papiery, mianujące twego syna hrabią Olmedo. Trudno mi wyobrazić sobie, żeby pewna dama, która urodziła królowi tylko córki, pogodziła się z tym. Don Alfonso to człowiek śmiały, bez podejrzliwości i ostrożności. Nie jest skłonny o podejrzenie wielkiej i pozostającej w bliskich z nim stosunkach damy o zdolność do zbrodni. Obawiam się, że się myli.

Rachela zbladła. Przypomniała sobie liczne opowiadania o złych, zazdrosnych kobietach, które kochanice mężów dręczyły i mordowały. Czy nawet matka rodu Sara, wybitna, pobożna kobieta z nienawiści i zazdrości nie wygnała nałożnicy Hagar z małym synkiem na puszczy, żeby skonali tam z pragnienia? Rachela milczała przez długą chwilę. Potem zapytała:

— Co radzisz, mój ojczy?

Jehuda odparł:

— Moglibyśmy próbować uciec, ty, ja i dziecko. Ale byłoby to niebezpieczne.

Jesteśmy ludźmi, zwracającymi uwagę, trudno byłoby nam ukryć się, a lud jest wzburzony, myśli o wojnie, widzi wroga w każdym obcym.

Rachela zapytała pobludłymi wargami:

— Mam uciec od Alfonsa?

— Ależ skądże — uspokajał Jehuda. — Czy nie powiedziałem, że byłoby to niebezpieczne? Lepiej samemu ukryć dziecko w bezpiecznym miejscu.

Rachela, której gesty zdradzały protest, odparła:

— Mam ukrywać dziecko przed Alfonsem?

Na to Jehuda ostrożnie, uspokajająco:

— Twój Alfonso nie wie nic o tym, ale nie jest w stanie chłopca ochronić. Dziecko jest bezpieczne tylko w jego obecności, a przecież Alfonso rusza na wojnę i nie może go zabrać ze sobą. Tu, w Kastylii, nikt dziecka ochronić nie może. Uratujesz naszemu Immanuelowi życie, jeżeli rozstaniesz się z nim na czas trwania wojny. — Ponieważ milczała, ciągnął dalej: — Mogłem zabrać dziecko, nie pytając ciebie, i potem wytłumaczyć ci, dlaczego tak być musiało; wiem, że byś mnie zrozumiała i przebaczyła mi. Ale pochodzisz z rodu Ibn Esra. Nie chcę mieć przed tobą tajemnic, nie chcę zdejmować z ciebie odpowiedzialności. Proszę, zastanów się dobrze nad wszystkim i powiedz mi potem: niechaj się stanie tak albo inaczej.

Rachela, straszliwie zgnębiona, powiedziała:

— Chcesz zabrać dziecko z Kastylii? — Powtórzyła: — Chcesz zabrać Immanuela z Kastylii?

Jehuda zobaczył jej rozpacz, litość ścisnęła mu pierś, powiedział czule, nie mogąc opanować lekkiego seplenienia:

— Nie bój się, córko moja Rachelo. Zaufaj mi. Powierzę dziecko zręcznemu, pewnemu człowiekowi, najpewniejszemu spośród znanych mi i najwierniejszemu. Nikt nie będzie wiedział, gdzie się dziecko znajduje, prócz tego zaufanego. Nikt w Toledo nie będzie mógł powiedzieć królowi, gdzie się dziecko znajduje. Jeżeli będzie ci groził, jeżeli zechce wymusić odpowiedź, odrzeknij:

— Nie wiem. I powiesz prawdę. — Rachela siedziała bezradna, zgaszona. Ciągnął dalej: W ten sposób dziecko nie będzie narażone. I ty również, Rachelo. Tylko ja będę zagrożony. Chcę ratować tego chłopca, twego syna, mego wnuka. Kiedy wojna przeminie, kiedy kraj się uspokoi i Alfonso stanie się znowu spokojny, sprowadzimy Immanuela z powrotem. —

Po długim milczeniu powiedział: — Nie chcę, córko moja, żebyś w tej sprawie cokolwiek czyniła. Nie masz wiedzieć, jak się to stanie. Proszę ci tylko, nie mów: nie. Wszystko inne niechaj spadnie na moją głowę.

Na krótką chwilę Rachelę wyobraziła sobie, co to znaczy, że ojciec gotów jest ściągnąć na siebie gniew Alfonsa. Wiedziała, jak Alfonso był w swym gniewie okrutny: mógłby w porywie wściekłości zabić ojca. Dla uratowania Immanuela ojciec wszystko to brał na siebie. Przy tym z jakichś tajemniczych przyczyn odmawiał sobie choćby spojrzenia na chłopca. Był dzielny. Pozwalał zawsze wysokiemu rozumowi, który mu dał Bóg, zwyciężać swoje uczucia. Ona tego nie mogła. Nie mogła. Nie mogła zawierzyć nawet swemu uczuciu. Czy jeszcze pół godziny temu nie była pewna swego szczęścia, ponieważ chronił ją płaszcz losu? Teraz bała się o dziecko i o Alfonsa. Jeżeli się teraz zawaha oddać Immanuela, czy nie naraża życia dziecka? A jeżeli go odda, czy nie utraci miłości ukochanego? Miała wrażenie, że słyszy, jak przyjaciółka Layla tutaj, teraz właśnie, mówi głośno: biedactwo.

Próbowała poskładać razem okruchy swej dotychczasowej pewności siebie. Rozstanie z Immanuelem będzie trwało krótko. Alfonso musi ją zrozumieć, przecież tak się z nią zespolił. Po chwili, która się jej wydała wiecznością, powiedziała:

— Niechaj się stanie tak, jak uważasz za słuszne, mój ojcie.

Powiedziawszy to, zemdląca. Cucąc ją, ojciec myślał: Podobnie padała zemdlona, kiedym ją namawiał, żeby poszła do króla. Odczuwał dla niej bezgraniczną litość, i zazdrościł jej. Jemu nie było dane chronić się w takie omdlenia, on musiał swe nieszczęście wykosztować do końca świadomie.

Alfonso znajdował się w drodze z Burgos do Toledo. W eskorcie jego byli arcybiskup don Martin, rycerz Bertran de Born, giermek Alazar.

Kraj, przez który jechali, gotował się do zbrojnej wyprawy.

Po wszystkich drogach ciągnęli młodzi mężczyźni do zamków swych panów lennych, wszędzie spotykali małe grupy zbrojnych zmierzające na południe. Alfonso i jego orszak przyglądali się oczami znawców, wielcy panowie wymieniali ze swoimi przyszlými żołnierzami rześkie okrzyki i żarty.

Król był radosny jak żredek. Cieszył się na wojnę oraz na to, że zobaczy synka, kochanego bękartę Sancho, hrabiątko Olmedo. Darzył chłopca radosną, mocną ojcowską miłością, chciał dać ją

odczuć malutkiemu Sancho. Sam wyrósł bez ojca; mając lat trzy został królem i nikt nie miał odwagi strofować poważnie chłopca, który był królem. Dziecko jego nie powinno być maminsynkiem, powinno czuć ojcowską rękę. Skoro wróci, położy ją na synu. Zaraz, już pierwszego dnia po przybyciu, każe go ochrzcić. Rachelę zrozumie go. I ją doprowadzi do łaski, jeżeli trzeba będzie, surowością; będzie mu za to wdzięczna.

Wjechał do Toledo, oporządził się z drogi, przebrał, ruszył konno do Racheli. Alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo — witały go napisy na bramie posiadłości. U wejścia do domu stała Rachelę. Szaleńczo, dumnie, czule porwał, ją w swe ramiona. Była jednym porywem szczęścia, szalała z radości, że ma go znowu przy sobie. Weszli do domu, obejmował mocno ramieniem jej plecy.

Puścił ją, postawił przed sobą, oglądał od głowy do stóp, roześmiany, szczęśliwy.

Potem powiedział:

— A teraz do małego Sancho.

Rachelę odparła:

— Nie ma go.

Cofnął się o krok, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, patrzył na nią niemal ogłupiały ze

zdumienia. Zapytał:

— Gdzież on jest? — Zrodziło się w nim niedobre podejrzenie. Czyżby dziecko było w castillo?

Zebrała wszystkie zapasy odwagi, odpowiedziała dzielnie i zgodnie z prawdą:

— Nie wiem.

Oczy jego rozbłysły gniewem, który znała.

— Nie wiesz, gdzie jest moje dziecko? — zapytał cicho, dziko.

Rachela odparła:

— W bezpiecznym miejscu. W bezpiecznym. Oto wszystko, co wiem. Ojciec mój umieścił go w bezpiecznym miejscu.

Alfonso złapał ją za ramię z taką siłą, że nie mogła stłumić krótkiego okrzyku. Chwycił ją za plecy, potrząsnął nią. Zbliżywszy swą twarz do jej twarzy wrzeszczał:

— Mego syna, mego Sancho pozostawiłaś swemu ojcu? Ten pies złamał swoją świętą przysięgę, a tyś to zniosła? Jeszcze mu pomogłaś, co?

Rachela odrzekła z wysiłkiem:

— Nie pomogłam, nie oddałam dziecka memu ojcu. Wiem jednak i mówię ci: ojciec mój ma rację.

W mózgu Alfonsa klębiły się obelgi i wymysły z orędzi papieskich przeciw żydom, z pełnych nienawiści kazań kapłanów: wytwór piekiel, drapieżny ptak szatana. Zaciśnięła rękę w pięść, żeby uderzyć.

Ale nagle zobaczył ją.

Odchyliła piersi i głowę, podniosła rękę, w obronie, nie ze strachu. Twarz miała bladą, szaroniebieskie oczy zdawały się jeszcze większe niż zazwyczaj. Były w nich zdumienie, przerażenie, wstrząs, rozczarowanie, gniew, smutek, miłość. Wszystko, czego wargi jej nie mówiły, może powiedzieć nie mogły, wyrażały wzrok jej i ruchy z taką siłą, że Alfonso, który pojmował świat i ludzi oczyma, poczuł to wbrew swej woli i zrozumiał.

Opuścił rękę. Parsknął niechętnie, pogardliwie.

— A więc ukradliście mi dziecko, wy żydzi! — powiedział. — Powiniennem być liczyć się z tym. — Roześmiał się. Był to śmiech urywany, przykry, wdzierał się w mózg Racheli jak nóż.

Odwrócił się, opuścił dom, ruszył konno do Toledo. Wezwał na zamek Jehudę.

— Złamałeś swoją przysięgę — ustalił rzeczowo.

Jehuda odparł:

— Nie uczyniłem tego, panie. Niełatwo mi było dotrzymać niedobrej przysięgi, ale dotrzymałem jej. Nie zrobiłem wnuka mego żydem — niechaj Bóg przebaczy mi to przestępstwo.

Alfonso wybuchnął:

— Ukradłeś mi syna, ty psie! Trzymasz go jako zakładnika. Chcesz mnie zmusić, bym zrezygnował z mojej wyprawy, bym oszczędził twoich muzułmanów. Psie! Zdrajco! Rażę cię powiesić!

Jehuda odparł cicho:

— Nikt nie trzyma twego syna jako zakładnika, panie. Dziecko jest chronione przed wojną, przed chrześcijanami i muzułmanami, oto wszystko. Tu, w Toledo, podczas twej nieobecności dziecku zagraża niebezpieczeństwo. Przemyśl to w spokoju, królu, a uznasz to sam. Teraz chłopiec znajduje się w pewnych rękach. Rachela nie wie, gdzie przebywa. Ciężkie to dla niej. Ja również nie wiem dokładnie; ciężkie to i dla mnie. — Dodał z dawną pychą i wiernopoddającym zuchwalstwem: — Rozumiem, że odczuwasz chęć powieszenia mnie. Ale



wtedy uczyniłbyś niemymi usta, które mogłyby ci kiedyś powiedzieć, co się dzieje z twoim synem. — Zakończył z czolobitną poufałością. — Kiedy wojna się skończy i niebezpieczeństwo minie, sprowadzę dziecko z powrotem. Możesz być tego pewny, panie. Nigdy mego wnuka nie widziałem, chciałbym go ujrzeć przed śmiercią. I dla Racheli utrata syna byłaby ciężkim ciosem.

Alfonso dusił się w poczuciu własnej bezsilności. Był nierozzerwalnie złączony z żydami. Żyd trzymał go na smyczy.

Nie mówiąc ani słowa, gniewnymi, władczyimi ruchami kazał mu się oddalić.

Uspokoiwszy się, powiedział sobie, że Jehuda nie ukradł mu syna z czystej złości. Racheli nie kłamała; nie wie niewątpliwie, gdzie dziecko zostało ukryte, i z pewnością nie oddała go Jehudzie z lekkim sercem.

Nie mógł przepędzić obrazu wymownie milczącej Racheli, jej smutnego, żalącego się, kochającego gestu. Pełen dziecinnego gniewu usiłował to uczynić. Przywoływał z pamięci gesty i słowa Racheli, które mu się kiedyś nie podobały. Jak czuła się nieswojo, kiedy ją podniósł ku sobie na konia i pogalopował z nią. Również nie okazywała nigdy zainteresowania dla jego psów, sokołów. „Kto nie kocha zwierząt i kogo one nie kochają, jest przeklęty”, mówiono słusznie.

Nie miała ani oka, ani serca dla jego cnót królewskich, jego królewskich zdolności, budziły w niej nieufność. Nienawidziła wojny. Należała do owych słabych, tchórzliwych, którzy są dla walecznych przeszkodą na ich przepisanej przez Boga drodze. W istocie swej była żydówką do szpiku kości. Odmawiała swemu synowi chrztu, łaski, zbawienia duszy.

Szukał ucieczki w działaniu. Lustrował żołnierzy, toczył narady z baronami, dowódcami. Jadł, pił z arcybiskupem, z Bertranem.

Przyszedł wieczór, po nim nadeszła noc. Tęsknił za Rachelą. Nie za jej objęciami, o nie, za rozmową z nią. Chciał rzucić w jej czystą, niewinną zakłamaną twarz, co o niej myśli, kim ona jest. Ale, choć go bardzo ciągnęło, pozostał w swym dziecinnym uporze na zamku.

Tak samo minął i dzień następny.

Kiedy jednak zapadła druga noc, ruszył konno do Galiany. Oddał konia parobkom, nie kazał się meldować, przeszedł przez ogród. Pochwalił siebie za to, że kazał zasypać cysterny rabiego Chanana. Stwierdził z zadowoleniem, że mezuzie brakuje szkła.

Stanął przed Rachelą. Promieniała. Przygotował sobie złe słowa, które jej chciał powiedzieć, po łacinie, częściowo po arabsku, żeby go na pewno zrozumiała. Nie powiedział ich, był mrukliwy, lakoniczny.

Potem, w łóżku, rzucił się na nią z gniewną rozkoszą. Zmieszały się w nim nienawiść, miłość, żądza. Chciał, żeby to czuła. Chyba czuła i był z tego rad.

W Toledo zjawiała się muzułmańska delegacja, by przekazać królowi Kastylii orędzie kalifa. Wieść głosiła, że jej członkowie mieli przypomnieć królowi o jego traktacie z Sewillą. A więc przypuszczenia Burgos były słuszne: kalif chciał trzymać się z dala od wojny, jeżeli tylko don Alfonso otwarcie nie naruszy zawieszenia broni.

Don Manrique de Lara i prawie wszyscy inni doradcy króla cieszyli się z całego serca, że Kastylia i Aragonia nie będą musiały mierzyć się z całą potęgą kalifa. Dla kanonika Rodrigue przybycie wysłanników było w jego smutku jasnym promieniem. Jeżeli tylko don Alfonso będzie się trzymał na wodzy i będzie traktował wysłanników z pewnym taktem, wojna ograniczy się do bitew i utarczek z emiratami Kordoby i Sewilli, nie zatopi całego półwyspu w krwi i nędzy.

Dla króla przybycie wysłanników nie było rzeczą pożądaną. Znajdował się w stanie krańcowego zniecierpliwienia i rozdrażnienia. Chciał Toledo i pokój mieć za sobą. Chciał nareszcie, nareszcie, rozpocząć swoją wojnę. A tu zjawiają się ci obrzezani, żeby znowu gadać i pertraktować. Poszedł w Burgos na dostatecznie wielkie koncesje, nie miał zamiaru dawać temu

Jakubowi Almansurowi upokarzających zapewnień. Myślał o tym, żeby wysłanników potraktować brutalnie albo też wcale ich nie przyjąć.

Arcybiskup i Bertrán utwierdzali go w tym oporze. Tymczasem don Manrique rozważał z kanonikiem promienne perspek-

tywy, które otwierało przybycie delegacji, i wyjaśniał królowi w energicznych słowach, że dobro państwa i całego świata chrześcijańskiego wymaga, by poszedł na grę kalifa i na jego ostrzeżenie odpowiedział poważnymi zapewnieniami. Jeżeli będzie się ociągał, jeżeli sprowokuje Jakuba Almansura i dotknie go, zamiast go ułagodzić, kalif ściągnie wojska całego zachodniego islamu do Andaluzji, zniweczy z góry plan wojenny i złamie traktat, który w Burgos uroczyście zaprzysiągł. Alfonso odpowiadał krnąbrnie, opierał się długo i dopiero pod wpływem nieprzerwanych nalegań don Manrique ustalił gniewnie godzinę, w której przyjmie delegację.

Panów muzułmańskich prowadził książę Abul-Asbag, krewny kalifa; delegacja prezentowała się wspaniale. Alfonso, rozparty niedbale w swym fotelu, ustawionym na podwyższeniu, słuchał uroczystej paplaniny. Widział ponurą twarz arcybiskupa, szyderczą Bertrana, zatroskaną don Rodriga. Wzrok jego szukał raz po raz żyda, który ulokował się skromnie w jednym z dalszych rzędów. To Jehuda winien jest temu, że Alfonso, pierwszy rycerz chrześcijaństwa, stój dziś żałośnie za Ryszardem angielskim. Tamtym, Melek Rikiem, kobiety muzułmańskie straszły swe dzieci. Do niego, do Alfonsa, prawdopodobnie wskutek pewnych kruczków Jehudy, muzułmanie wysyłali posła z ostrzeżeniem. Radcy jego doprowadzili swym żalonym powoływaniem się na rozsądek do tego, że słucha paplaniny obrzezańca. Niechaj jednak ani żyd, ani jego starzy, ostrożni panowie nie będą go tacy pewni. Nie potrafią zagłuszyć jego głosu wewnętrznego. Tylko jego będzie słuchał.

Wystąpił książę Abul-Asbag, przewodniczący delegacji, skłonił się głęboko, zaczął swe orędzie. Książę był wytwornym starszym panem, dobrze mu było w niebieskim płaszczu posła, słowa arabskie płynęły z jego ust spokojnie i dźwięcznie.

Władca zachodnich wiernych, wywodził, słyszał ze smutkiem o potężnych zbrojeniach króla Kastylii. Kalif przyjmuje, że zbrojenia te nie są skierowane przeciw emirowi Sewilli, jego wasalowi, który jest przecież chroniony przez zawieszenie broni. Niestety w ostatnich czasach rozprzestrzeniła się w krajach chrześcijańskich przestępcza, przemądrzała nauka, że traktat, który narusza interesy chrześcijańskich kapłanów, nie jest dla chrześcijan wiążący. Chrześcijańscy książęta Wschodu dopuszczali się w myśl tej nauki zuchwałych postępów, sułtan Saladyn był przez to zmuszony do ogłoszenia świętej wojny. Allah otoczył władcę wiernych na Wschodzie glorią i znowu oddał w jego ręce miasto Jerozolimę, natomiast książęta chrześcijańscy musieli odpokutować za złamanie przysięgi utratą swych krajów i swego życia.

Alfonso, w niedbalej postawie, ale mimo to bardzo królewski, słuchał poważnego, surowego przemówienia. Jego chuda, jakby z drzewa wycięta twarz pozostawała tak spokojna, że można było mieć wątpliwości, czy rozumie po arabsku. Może odrobinę tylko drżały duże, wąskie usta, okolone rudawym, krótkim zarostem, może głębokie zmarszczki na czole stały się jeszcze głębsze. Ale jasne oczy odwracały się raz po raz od przemawiającego wysłannika i zgromadzenia, szukały don Rodriga i Jehudy.

Gadaj sobie, ty obrzezańcze, myślał, wygadaj się. Szczekaj, psie, szczekaj, wiem, że nie kąsasz. Ani ty, ani twój pan; wiem, że zostaniecie w swojej bezpiecznej Afryce, za morzem. Mam cierpliwość, przyrzekłem to sobie, nie dam się rozdrażnić, nie odpowiem na twoje zuchwalstwa policzkiem, na który zasługują. Kiedy jednak powrócisz, napadnę na Kordobę i Sewillę i wtedy okaże się, że wyście szczekali, a ja mam kość.

Wysłannik mówił dalej. Władca zachodnich wiernych, ciągnął, chciałby zwrócić uwagę

królowi Kastylii, który jest znany jako człowiek rozsądny, że jako kalif potrafiłby wiele przebaczyć, ale w żadnym wypadku nie darowałby złamania umowy. Król Kastylii nie osiągnął dobrych rezultatów, kiedy miał do czynienia tylko z wojskiem Sewilli; gdyby po raz drugi napadł na Sewillę, miałby przeciw sobie całą siłę zbrojną kalifa. Gdyby rozżarzyć ogień, Kastylia musiałaby przelać wiele łez, by ugasić płomienie.

Don Alfonso, który od początku słuchał uważnie, widział doskonale wszystko, co się działo w sali. Widział też doskonale, że tamci dwaj, Rodrigue i Jehuda, patrzą na niego z coraz większą troską, zaklinają go niemal spojrzem. Zobaczył również odznakę służbową Jehudy, ową tabliczkę z trzema wieżami, umieszczoną na piersi. Dziwiąc się, że rozumie każde słowo wyszukanej arabszczyzny obrzezańca, myślał o złotych monetach, które Jehuda kazał wybić dla sprawienia mu radości i które twarz jego zanosły w głąb państwa kalifa. Związał się z żydem od pierwszego spotkania, czasami ku radości, czasami ku bólowi. Ale teraz miał tego związania dosyć, teraz musi się to skończyć. Widział oczy Jehudy, natarczywe, przestrzegające, przypominały oczy Racheli. Myślał jednak: To ci nic nie pomoże, nie będziesz mnie dłużej trzymał na smyczy. Nie pozwolę, żeby mi ten twój książę Abul--Asbag wyrwał włosy z brody. Zerwę smycz.

Kiedy książę skończył, zapanowało głębokie milczenie. W milczeniu to padł głos Bertrana de Born.

— Czy ten tutaj przemawiał zuchwale? — zapytał Bertran po łacinie.

Sekretarz kastylski zbliżył się czołobitnie do tronu, by rozpocząć tłumaczenie mowy. Ale Alfonso zrobił przeczący ruch ręką i powiedział:

— Nie trzeba tłumaczyć. Zrozumiałem każde słowo i odpowiem temu panu tak, że i on każde słowo zrozumie. — I po arabsku, powoli — z gniewną radością myślał o tym, że don Rodrigue będzie się dziwić, jak dobrze poduczył się w La Galianie po arabsku

— odpowiedział: — Powiedz panu twemu, kalifowi, co następuje: Wedle opinii moich uczonych traktat mój z Sewillą nie jest ważny już od chwili, kiedy sułtan zhańbił grób naszego Zbawiciela i zmusił Ojca Świętego do ogłoszenia świętej wojny. Mimo to dotrzymałem zawieszenia broni. Teraz jednak zuchwale słowa twego pana rozmiękczyły pieczęcie umowy.

Podniósł się. Stał młody, odważny, bardzo książęcy.

— Powiedz kalifowi — powiedział beztrosko — żeby na swoich okrętach, ze swoimi żołnierzami przybył do Andaluzji. Na tym półwyspie nie będzie walczył przeciw dzikim hordom, jak na swej granicy wschodniej przeciw rebeliantom. Mężowie, którzy staną tu przeciw niemu, to wyszkoleni wojownicy wszechpotężnego Boga. Deus vult! — zawołał. Arcybiskup i pozostali zawtórowali mu potężnie.

Teraz z jasnych, szarych oczu Alfonsa szło owo burzliwe lśnienie, którego wielu się bało, a które doña Leonor tak kochała.

— A teraz wynoś się! — ryknął na księcia Abul-Asbaga. — Prawo wysłannika chroni cię jeszcze przez dwa dni. Uważaj, żebyś się do tego czasu znalazł poza granicami. Bądź rad, że nie każę wyrwać języka, który wypowiadał tak zuchwale słowa.

Wysłannik zbłądł, ale się szybko opanował. Poprosił w godnych słowach, żeby król raczył mu wręczyć swą decyzją na piśmie. Inaczej władca wiernych mógłby przypuszczać, że Allah pomieszał jego wysłannikowi rozum. Alfonso śmiejąc się młodzieńczo odrzekł:

— Tę przysługę ci wyświadczę.

Kiedy zebrani się rozeszli, zatrzymał Jehudę i rozkazał mu:

— Napiszesz ten list, i to w twojej najlepszej arabszczyźnie. Żebyś niczego nie łagodził! Wykryłbym to. Może zauważyłeś, że władam teraz arabskim dobrze. Obok mojej

pieczęci przybij i swoją.

Don Rodrigue leżał na swym twardym łożu. Zmęczenie i smutek wysysały mu wszystkie siły z kości. To on był winien temu, że Alfonso jak niegrzeczne dziecko zburzył wszystko, co w Burgos z trudem zostało zbudowane. Jeżeli teraz kalif wedrze się do Hiszpanii z olbrzymią masą wojska, będzie to jego wina. Nie wolno mu było dopuścić, żeby tylko Manrique wzywał króla do rozsądku, powinien był na czas zebrać wszystkie siły i sam z nim mówić.

To, co mu stało na przeszkodzie, było słabością i niezdecydowaniem. Odkąd miłość z Rachelą się zaczęła, arcybiskup zarzucał mu raz po raz, że brakuje mu owego dzikiego oburzenia, owej sacra indignatio, która tak często pobrzmiewa w słowach proroków i Ojców Kościoła. Don Martín karmił go słusznie. Serce Rodriga dało się unieść rycerskiemu, młodzieńczemu, królewskiemu wdziękowi Alfonsa; był wyrozumiały tam, gdzie nie wolno było ani rozumieć, ani przebaczać. W ostatnich tygodniach obciążył się winą jeszcze cięższą. W skrytości ducha był rad, że król znowu rozpoczął grzeszne życie w La Galanie, licząc na to, że dzięki temu początek wojny jednak się odwlecze.

Z gorącą żarliwością starał się znaleźć ratunek w owej ekstazie, która dawniej była jego ucieczką. Pościł, kajał się. Zabronił sobie chodzić do castillo Ibn Esra, zrezygnował z rozmów z światłym przyjacielem Muzą. Nie uzyskał jednak przebaczenia. Łaska była dlań zamknięta, brama do ostatniego refugium zatrzasnęła się.

I teraz dopuścił ze słabości, że państwo toczyło się ku bezsensownej wojnie. Tylko bowiem z tchórzostwa zaniedbał wezwania króla, by dał kalifowi rozsądną odpowiedź. Podczas rozmowy musiałby mówić również o trwającym w dalszym ciągu stosunku miłosnym z Rachelą; był za tchórzliwy, żeby się na to zdobyć.

Nigdy w życiu poczucie winy tak nie zżerało duszy kanonika. Brzmiały mu w uszach słowa Abelarda: „Były to dni, w których zaznałem, co znaczy cierpieć, wstydzić się, tracić otuchę”.

Podniósł się rozbity. Próbował oderwać się od swych myśli. Wyciągnął kronikę, żeby nad nią pracować dalej. Był to wielki stos pergaminu. Przeczytał jedną kartkę, drugą. To, co naszkicował tutaj z rozkochaną gorliwością, pozostawało nagie i puste; trudno było w wydarzeniach, które z takim trudem gromadził, znaleźć sens. Jakże z gruntu fałszywy był obraz Alfonsa. Jakaż to czelność szukać palca bożego w wielkich wydarzeniach, starać się ukazać go, kiedy się samemu nie widzi tego, co się znajduje najbliżej.

Wyciągnął książkę, którą mu właśnie przysłano z Francji i która narobiła tam wiele hałasu. Tytuł jej brzmiał: „L'arbre des batailles”, „Drzewo bitew”, autorem był Honoré Bonet, przeor klasztoru Sellonet. Książka zajmowała się sensem wojny, jej prawami i zwyczajami.

Rodrigue czytał. Tak, ten przeor z Sellonet był uczciwym człowiekiem, miał dobre intencje i mocną wiarę. Na podstawie Pisma świętego rozważał i ustalał zdecydowanie, czy wolno walczyć w dzień świąteczny, w jakich wypadkach należy wroga zabijać, w jakich zadowalać się wzięciem go do niewoli, jak wysoki winien być okup, którego chrześcijaninowi wolno żądać od drugiego dobrego chrześcijanina.

Przeor Bonet nie uchylał się od żadnego problemu. Dzielnie parał się najtrudniejszymi kwestiami, rozstrzygał je skromnie, płasko i trzeźwo.

Oto odpowiedź na pytania tych, którzy mieli wątpliwości, czy wojna wedle praw bożych nie jest z góry wzbroniona: „Wielu prostych ludzi — wywodził — uważa wojnę za godną potępienia, ponieważ w czasie jej trwania trzeba z konieczności popełniać wiele zła, a Bóg czynić zło zabronił. Powiadam wam, że to nonsens. Wojna nie jest złem, jest dobra i słuszna, stara się to, co jest niesprawiedliwe, uczynić sprawiedliwym, z niepokoju wrócić do pokoju, dokładnie jak przepisuje Pismo święte. Jeżeli podczas wojny dzieje się wiele zła, nie płynie to z

istoty wojny, lecz z fałszywego prowadzenia jej przez poszczególne jednostki, kiedy na przykład wojownik gwałci kobietę lub podpala kościół. Nie leży to w istocie wojny, tylko w fałszywym prowadzeniu jej. Podobnie wygląda sprawa ze sprawiedliwością. W myśl jej istoty sędzia winien wydawać sprawiedliwe wyroki zgodnie ze swym objawieniem. Czyż jednak dlatego, że jakiś sędzia wydaje wyroki niesprawiedliwe, wolno nam powiedzieć: Sprawiedliwość jako taka jest złem? Na pewno nie. Zło nie płynie z istoty sprawiedliwości, lecz z fałszywego posługiwania się nią, ze złej interpretacji, zły jest sędzia”.

Kanonik westchnął. Ten przeor upraszcza sobie sprawę. Uczony Rodrigue wiedział, że nie wszyscy tak szybko załatwili się z tym problemem. Na przykład wczesna sekta chrześcijańska montanis-tów uznała służbę wojskową za sprzeczną z chrześcijaństwem. Kanonik otworzył montanistę Tertuliana. „Chrześcijanin nie zostaje żołnierzem — pisał Tertulian — a jeżeli nim jest, uczyni najlepiej, porzucając żołnierską służbę”. Liczne istniały tego przykłady. Młody Maksymilian, który miał zostać wciągnięty do list werbunkowych, oświadczył prokonsulowi: „Nie mogę służyć, nie mogę czynić zła, jestem chrześcijaninem”. Dzielnym, w wielu bitwach wypróbowany żołnierz Typasius nie chciał po nawróceniu się służyć dalej. Powiedział do swego setnika: „Jestem chrześcijaninem, nie mogę walczyć dalej pod twoimi rozkazami”. A tutaj, w tej Hiszpanii, setnik Marcellus w obliczu chorągwi swego legionu rzucił na ziemię miecz i oświadczył: „Nie będę służyć dłużej cesarzowi. Od dziś służyć Jezusowi Chrystusowi, królowi wieczności”. Kościół uznał Maksymiliana i Marcellusa za świętych.

Później, za panowania cesarza Konstantyna, sobór w Arles ekskomunikował tych, którzy wzbraniali się pełnić służbę wojskową.

Subtelny, pociągający, niebezpieczny Abelard zestawiał w „Tak i Nie” to, co Pismo święte mówi za wojną i co przeciw niej, pozostawiając czytelnikowi wyciągnięcie wniosków. Ale kto miał tyle rozumu, żeby się w tym zorientować? Jak można było iść za naukami Kazania na Górze, jak można było nie przeciwstawić się złu, a mimo to prowadzić wojnę? Jak można było kochać nieprzyjaciela i zabijać go? Jak się dawało połączyć wezwanie do wyprawy krzyżowej z nauką Zbawiciela: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”.

Myśli Rodriga rozplynęły się, stronicie książek, które przerzucał, stawały się coraz większe, litery płatały się, przybierały kształt twarzy Alfonsa. Tak, miał rację, Alfonso jest „vultu vivax”. Rodrigue widział, jak, kiedy książkę muzułmański zaczął mówić, pod władczą maską Alfonsa zapłonął dziki ogień, jak iskry przebiły maskę, jak przebił się cały płomień, jak wreszcie cała twarz zdziczała w żądzy gwałtu, dręczenia, bicia, niszczenia. Na wspomnienie tej twarzy kanonika ogarniało przerażenie.

Z tego przerażenia zrodziło się wytłumaczenie. We wszystkich decydujących godzinach człowiek ten przejawiał niepokonowaną gwałtowność. Nikt nie umiał na to nic poradzić. Bóg obarczył Rodriga zadaniem, którego nie można rozwiązać, polecając mu opiekować się tym królem.

Nie wolno mu jednak było pokrywać winy i słabości szminką sofizmatów. I teraz nie wolno mu powiedzieć, że wszystko stracone. Miał polecenie ostrzec Alfonsa, musiał pozostawić Bogu, czy misja jego zostanie uwieńczona sukcesem, czy nie.

Trzeba odszukać Alfonsa jeszcze dzisiaj, zaraz, nie ulega bowiem wątpliwości, że król, sprowokowany w ten sposób kalifa, wyruszy natychmiast na południe. Poszedł do zamku. Zastał Alfonsa ożywionego, przystępnego. Po załatwieniu się w tak królewski sposób z muzułmańskim księciem Alfonso czuł się lekki i swobodny. Usłuchał swego wewnętrznego głosu, czekanie skończyło się, miał swoją wojnę; był pełen książęcej otuchy.

Nieco mu przeszkadzały zatroskane miny jego radców; przypominały oblicza wychowawców, kiedy niezadowoleni z króle-wiątka Alfonsa nie mieli odwagi skarcić go. A

przyjaciel jego, Rodrigue, najwidoczniej nie godził się również z odpowiedzią, jakiej udzielił kalifowi.

Może to jednak dobrze, że Rodrigue przyszedł właśnie teraz. Rozmowa jest nieunikniona. Również i o tym, co zaszło w La Galianie. Alfonso powinien był już dawno pomówić z ojcowskim przyjacielem; nie było lepszej godziny dla wytłumaczenia mu wszystkiego i usprawiedliwienia się od tej, kiedy był pełen tak błogiej otuchy.

Zdecydowawszy się szybko, zaczął opowiadać bez wstępów i Upiększeń, co zaszło między nim, Rachelą i jej ojcem, że mianowicie żyd porwał dziecko, zanim można je było ochrzcić.

— Ściągnąłem na siebie winę, przyjacielu mój i ojczy — powiedział — przyznaję jednak szczerze, że ciężar jej nie uciska mnie zbyt. Jutro ruszam na wyprawę krzyżową, wrócę z niej niedługo czysty i bez grzechu. Wtedy nie tylko ochrzczę synka, ale i Rachelę zaprowadzę na drogę łaski. Wiem, że będę po zwycięstwie silny.

Rodrigue obawiał się, że dziecko jest jeszcze w La Galianie, w pobliżu ojca, który wciąż jeszcze odmawia mu łaski chrztu; odetchnął z ulgą, że tak nie było. Poza tym król wyraźnie nie uświadamiał sobie rozmiarów swojej winy. Rodrigue pomyślał o głębokich, niebezpiecznych słowach Abelarda: „Non est pecca-tum nisi contra conscientiam”. „Grzeszny jest tylko ten, kto ma świadomość grzechu”. Znowu, wbrew swej woli, wczuwał się w położenie króla i rozumiał go.

O ile słowa Alfonsa łagodziły gniew kanonika z powodu tego, co się działo w La Galianie, o tyle w jeszcze większym stopniu gniewała go lekkomyślność, z jaką Alfonso mówił o przyszłej wojnie. Ten król, obdarzony przez Boga bystrym rozumem, udawał ślepego, zachowywał się tak, jak gdyby był pewien szybkiego, niezawodnego zwycięstwa, nie chciał uznać, jak olbrzymie ściągnął na kraj niebezpieczeństwo. Kanonik przemówił do niego, co nie było w jego zwyczajach, ostro i surowo:

— Oszukujesz samego siebie, królu Alfonsie. Ta wojna nie zmaże żadnego twego grzechu. Nie jest to wojna święta. Od początku splamiłeś ją występny gniewem i pychą.

Alfonso patrzył na słabowite ciało kapłana, na jego białe, delikatne ręce, które nigdy nie wyciągały miecza, nie napinały łuku. Opancerzony władczy zaufaniem do siebie był wzburzeniem kanonika bardziej zdumiony niż rozgniewany.

— Wojna i rycerstwo to nie twoje sprawy, mój ojczy — odrzekł uprzejmie i udzielił mu protekcyjnie pouczenia: — Widzisz, nie mogłem obrzezańcowi darować tego, że mnie we własnym moim zamku targał za brodę. Mój głos wewnętrzny kazał mi przywołać go do porządku.

— Głos wewnętrzny! — odparł cicho, ale gwałtownie kanonik; czelna pewność siebie króla obudziła w nim wreszcie ową dziką niechęć, której brak zarzucał mu tak często don Martin. — Głos wewnętrzny! Ilekroć popuszczasz cugli swej występnej pysze, powołujesz się na swój głos wewnętrzny. Otwórz oczy, spójrz, coś uczynił. Kalif dał ci do zrozumienia, że chce pozostać poza zasięgiem wojny. Wyciągnął do ciebie rękę, a tyś na nią napluł. Przywołałeś do kraju armie Afryki, mające tylu żołnierzy, co morze piasku, powodowany tylko pychą i zarozumiałością. Sprowadziłeś na kraj czterech jeźdźców Apokalipsy. Postępowałeś, jakby wyprawa krzyżowa była tylko rycerską zabawą i turniejem. Ledwieś zawarł traktat z Aragonią, już go złamałeś. Pchnąłeś całą Hiszpanię na skraj przepaści. — Chudy kapłan stał wyprostowany, groźny, oczy jego patrzyły na Alfonsa dziko i oskarżycielsko.

Święty gniew kapłana wywołał u Alfonsa zakłopotanie. Ale już po chwili schronił się pod skrzydła swej pewności siebie. Jego jasne spojrzenie nie unikało gniewnego wzroku tamtego. Uśmiechnął się, wybuchnął głośnym, przykrym śmiechem.

— A gdzie ufność w Boga, księżu? Od setek lat niewierni mają przewagę, a mimo to Bóg zwracał nam coraz więcej naszych ziem. Zachowujesz się tak, jak gdybyśmy byli stadem owiec. Mam swoje mocne twierdze na południu, swoich rycerzy z zakonu Calatrava. Mam około czterdziestu tysięcy rycerzy, nie licząc Aragonii. Chcesz mi zabronić okazania takiej samej odwagi, jaką mieli moi ojcowie. Mam się kryć za kłamstwami i wybiegami zamiast ufać swemu potężnemu mieczowi?

Stał zuchwały, dziki, rycerski, kanonik ujrzał za jego twarzą oblicze Bertrana, który śpiewa swoje szaleńcze pieśni.

— Nie bluźnij! — zawołał. — Nie jesteś rycerzem wyruszającym na awanturyczną przygodę, jesteś królem Kastylii. Twoje twierdze! Jesteś pewien, że się ostoją przed machinami wojennymi kalifa? Twoich czterdzieści tysięcy rycerzy! Oświadczam ci, że większość ich zostanie wyrżnięta przez muzułmańskie hordy. Cały twój kraj stanie się terenem zniszczenia, pożarów i rzezi — poniesiesz klęskę. A winien jesteś ty sam. Będziesz musiał dziękować Bogu, jeżeli ci pozostawi Toledo.

Prorocza gwałtowność kapłana napełniła Alfonsa grozą. Milczał. A Rodrigue ciągnął dalej:

— Twój potężny miecz! Nie zapominaj, że to Bóg użycza królom ich miecza. Postępujesz tak, jak gdybyś był panem nadwojną i pokojem. Nie zapominaj, że wojna ta została obwołana i dozwolona jedynie jako wojna boża. W tej wojnie nie jesteś lepszy od swego ostatniego giermka: jesteś sługą Boga.

Alfonso otrząsnął się z niemiłego uczucia. Odpowiedział po dworsku, chłodno, lekceważąco:

— Nie zapominaj, księżu, że Bóg dał mi w lenno Kastylię i Toledo. Jest moim lennym panem. Nie jestem jego sługą, lecz wasalem.

Król nie mógł wytrzymać dłużej w Toledo. Zatroskane twarze jego panów i gniewnie pobożna gadanina don Rodriga psuły mu radość z powodu rycerskiej postawy, jaką zajął wobec kalifa. Postanowił ruszyć na południe już następnego dnia. Jego rycerze w twierdzach Calatrava i Alarcos będą mieli dla niego więcej zrozumienia.

Ostatnią noc przed odjazdem spędził w La Galianie. Był w najpogodniejszym humorze, bardzo łaskawy, niczego Racheli nie wyrzucał. Puszył się przed nią odpowiedzią, jaką dał kalifowi. Przeciągnął się.

— Długo świętowałem — powiedział — ale nie zardzewiałem. Teraz nareszcie zobaczysz, kim jest twój Alfonso. Będzie to wyprawa krótka, pełna chwały, tak czuję. Nie jedź do Toledo, moja Rachelo. Przyrzeknij mi, że zostaniesz w La Galianie. Nie będziesz musiała czekać tu na mnie długo.

Rachela na pół leżała, na pół siedziała na swych poduszkach, z głową opartą o rękę. Patrzyła na niego, słuchała go, Alfonso chodził tam i z powrotem, opowiadał jej o czynach, których zamierzał dokonać.

— Prawdopodobnie — powiedział — poproszę cię jeszcze przed powrotem, byś przybyła do mnie do Sewilli. Będziesz musiała oprowadzić mnie po swoim rodzinnym mieście i wybrać sobie z łupów, co ci się najbardziej spodoba.

Opuściła ramię, którym podpierała głowę, uniosła się nieco, zmrożona jego słowami. Z bezmyślnym okrucieństwem ukazywał jej obraz rodzinnego miasta, na które zamierzał napaść, po którego ruinach chciał ją później oprowadzać.

— Zwycięstwo moje przekona i ciebie — ciągnął radośnie dalej — czyj Bóg jest prawdziwym Bogiem. Proszę, nie odpowiadaj, nie spieraj się dzisiaj ze mną. To dzień uroczysty, dziś należymy do siebie, musisz uczestniczyć w mej radości.

Zwróciła teraz ku niemu swe wielkie, niebieskoszare oczy. Zarówno twarz jej jak i ruchy mówiły o zdumieniu, oporze, obcości.

Zatrzymał się, poczuł, że zrodziło się coś, co ich dzieli. W milczeniu Racheli słyszał oskarżenie kanonika. Z przechwalającego się dowódcy zmienił się w wodza, który wspaniałomyślnie przebacza.

— Nie myśl tylko — mówił pogodnie — że twój Alfonso będzie wobec zwyciężonych twardy. Moi nowi poddani będą mieli łagodnego pana. Nie zabroni im modlić się do ich Allacha i Mahometa. — Wpadł mu do głowy dalszy wspaniałomyślny pomysł. — A z wziętych do niewoli rycerzy muzułmańskich tysiąc zwolnię bez okupu. Wybierze ich Alazar, sprawi mu to przyjemność. Pozwolę im walczyć honorowo w wielkim turnieju, który urządzę dla uczczenia zwycięstwa.

Rachela nie umiała się oprzeć jego burzliwemu, skrzącemu się zapałowi. Był taki — bezmyślnie odważny, myślący jedynie o zwycięstwie, nie o niebezpieczeństwie, bardzo młody — rycerz z krwi i kości, wojownik, król. Kochała go. Była mu wdzięczna, że dzielił z nią ostatnią noc przed wyprawą.

Wszystko było jak dawniej. Jedli w bardzo radosnym nastroju kolację. Alfonso, na ogół w picciu umiarkowany, wypił tym razem nieco więcej niż zazwyczaj. Śpiewał, co zwykł był czynić, kiedy był sam. Śpiewał wojenne pieśni. Ową pieśń Bertrana: „To rozkosz znana memu oku, gdy się potężny zamek wali”. Powiedział:

— Szkoda, że nie chciałaś widzieć mego przyjaciela Bertrana. To dobry rycerz, najlepszy, jakiego znam.

Po jedzeniu udała się do siebie, jak to od dawna bywało. Ciągle jeszcze nie chciała rozbierać się na jego oczach. Potem przyszedł do niej i było, jak na samym początku: wzajemne przenikanie, spełnienie, błogość.

Później, zmęczeni, szczęśliwi, gawędzili. Powtarzał raczej błagalnie niż władczo:

— Zostań tu w La Galianie podczas mojej nieobecności. Odwiedzaj ojca, kiedy tylko zechcesz, ale nie przeprowadzaj się do jego castillo. Mieszkaj tutaj. Tu jest twój dom, nasz dom. Ho-die et cras et in saecula saeculorum — dodał bluźnierczo.

Rachela, uśmiechnięta, już na pół przez sen, powtórzyła:

— Tu jest mój dom, nasz dom, in saecula saeculorum.

Myślała jeszcze: Kiedy zasnę, pójdzie sobie. Szkoda, że tego chciałam. Ale jutro będę z nim jadła śniadanie. A potem ruszy na swoją wojnę. Schyli się jeszcze ku mnie ze swego konia, na zakręcie obejrzy się jeszcze za mną. — Leżała z otwartymi oczyma, o niczym już nie myślała, zasnęła.

Po jej zaśnięciu Alfonso leżał jeszcze przez chwilę. Potem wstał, przeciągnął się, ziewnął. Narzucił szlafrok. Z uśmiechem na ustach spojrzął na kobietę, leżącą obok z zamkniętymi oczyma. Przyglądał się jej jak czemuś obcemu, jak drzewu lub zwierzęciu. Potrząsnął ze zdziwieniem głową. Czy przed kilkoma minutami nie płynęło od tej kobiety szczęście, jakiego mu nie potrafiła dać żadna inna na świecie? A teraz czuł coś w rodzaju przykrego zakłopotania, że jest z nią w pokoju, obserwuje ją nagą i śpiącą. Duchem był już w Calatravie, wśród swoich rycerzy.

Zanim się z nią położył do łóżka, myślał o tym, żeby wcześniej rano pojechać konno do Toledo, przywdziać zbroję, tę prawdziwą, którą nosił w polu, wrócić do La Galiany, pożegnać się z Rachelą, w pełnym rynsztunku, ze swym potężnym mieczem Flumen Dei u boku. Zrezygnował z tego.

Następnego ranka czekała, żeby się z nią pożegnał. Była pełna błogiej otuchy, że wszystko będzie dobrze. Wyobrażała sobie przebieg ranka. Zje z nią śniadanie w stroju



domowym, potem włoży zbroję. Potem odjedzie na koniu, a ona przeżyje błogą, rozdzierającą serce chwilę, o której śpiewają pieśni. Ruszający w pole ukochany pochyli się z konia, ucałuje ją, będzie ją żegnać ruchem ręki.

Czekała. Z początku szczęśliwa, potem nieco zatrwożona, wreszcie pełna lęku.

W końcu zapytała o don Alfonsa.

— Pan nasz, król, odjechał konno przed kilkoma godzinami — odparł ogrodnik Belardo.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kalif Jakub Almansur nie był młody, zapadał na zdrowiu, ostatnie lata chętnie byłby spędził w spokoju. Uważał, iż ma obowiązek udzielić królowi Kastylii upomnienia w związku z traktatem. Poinformowany o naturze króla, z góry nie miał wiele nadziei, że orędzie jego przyniesie owoce. Ale tak głupiej i czelnej zarazem odpowiedzi nie oczekiwał. Zuchwalstwo nieobrzezanego wydawało się głęboko wierzącemu napomnieniem Allacha, by przed śmiercią wyciągnął jeszcze raz miecz z pochwy, ujarzmił niewiernych, rozprzestrzenił dalej władztwo islamu.

Naprzód kazał zrobić dziesięć tysięcy odpisów listu Alfonsa i opublikować je w całym swym ogromnym państwie. Niechaj Mohadowie, Arabowie, Kabyłowie, wszystkie podległe mu szczepy wiedzą, jak haniebnie król zniewazył władcę wiernych. Oficjalni heroldowie odczytywali list na rynkach, dodając na zakończenie słowa Koranu: „Tak mówi Allah, wszechpotężny: zwrócę się przeciw nim, zetrę ich w proch przy pomocy mych wojsk, zniszczę ich, jak tego jeszcze nie widziano. Wrzucę ich do najgłębszej otchłani i unicestwię”.

Wściekłość rozgorzała w zachodnim islamie. Nawet odporne szczepy w Trypolisie zaprzestały waśni z kalifem, by mu pomagać w tej świętej wojnie. Z chwilą kiedy stało się rzeczą pewną, że kalif przyjdzie z pomocą, zapanował w Andaluzji wielki entuzjizm. W dodatku kalif powierzył naczelne dowództwo nad całą armią- Andaluzyjczykowi, sławnemu generałowi Abdullahowi Ben Senanidowi.

W dziewiętnastym tygodniu roku pięćset dziewięćdziesiątego pierwszego od czasu ucieczki proroka Jakub Almansur ruszył ze swego dworu w Fezie, żeby się udać do armii, którą zgromadził na południowym wybrzeżu cieśniny morskiej. W świątynie jego znajdowali się następcą tronu Cyd Mohammed oraz dwaj inni jego synowie, jego wielki wezyr z czterema tajnymi radcami, dwaj przybocznicy lekarze i kronikarz Ibn Jachia.

Dwudziestego dnia miesiąca Redzed kalif nakazał przeprawę przez morze. Pierwsi przepawali się przez cieśninę Arabowie, za którymi ruszyli Sebetowie, Masamudowie, Kabyłowie; za nimi pociągnęli łucznicy, Mohadowie. Orszak zamykały pułki przyboczne kalifa. Z łaski Allacha przeprawa została ukończona w ciągu trzech dni, olbrzymie zastępy wojska rozłożyły się szeroko w okolicy Alcharyd, od Kadyksu do Tarify.

Stanąwszy na ziemi andaluzyjskiej kalif wyprawił wielkie widowisko. Od niepamiętnych czasów w zachodniej części cieśniny morskiej, przed Kadyksem, wystrzelała z wody olbrzymia budowla na słupach. Koroną jej był potężny złoty posąg, którego lśnienie nad morzem widoczne było z odległości wielu mil. Posąg przedstawiał człowieka, wyciągającego prawe ramię w stronę cieśniny morskiej; człowiek ten trzymał w ręku klucz. Rzymianie i Gotowie nazywali budowlę „słupami Herkulesa”, muzułmanie „posągiem bożka z Kadyksu”. Przez całe tysiąclecia wszyscy bali się tego groźnego, lśniącego posągu i czcili go równocześnie. Teraz kalif dał rozkaz zburzenia go. Z trwogą, z zapartym oddechem patrzyły dziesiątki tysięcy na pierwsze uderzenia zadawane posągowi. Złoty, groźny posąg nie bronił się, padł. Tłum, pełen poczucia olbrzymiego triumfu, wrzeszczał: — Wielki jest Allah i prorok jego Mahomet!

Kalif ruszył do Sewilli. Żeby uczcić to miasto, któremu niewierny król mimo zawieszenia broni tak haniebnie zagrażał, Jakub Almansur ufundował dla głównej świątyni muzułmańskiej wieżę. Cieszący się wielką sławą architekt Dżabir był autorem planów. Wieża miała symbolizować zwycięstwo islamu nad niewiernymi. Kalif kazał ustawić w niej wszystkie posągi i płaskorzeźby z czasów rzymskich i gockich. Poza tym miały być zużytkowane złota pokrywa owego posągu bożka z Kadyksu oraz złoto i srebro sprzętów kościelnych, które kalif w tej wojnie

zdobędzie.

Jakub Almansur położył osobiście fundamenty pod minaret. Podobnie jak nieprzebrane tysiące szalały z entuzjazmu przy obalaniu złotego bożka, tak szalały i teraz przy wykopywaniu ziemi pod wieżę, która ku chwale Allacha miała sięgać ku niebu w niebywalej wysokości i krasie.

Przebywając w Calatravie Alfonso czuł się szczęśliwy. Panował tu ogromny entuzjazm, wywołany tym, że temu bezwstydnemu kalifowi powiedział słowa prawdy, i niepohamowana radość z powodu bliskiej wojny. Duchowna istota zakonu została całkowicie przysłonięta wojowniczą. Rycerze czcili Bertrana de Born jako swego wielkiego brata i kamrata. „Marsz! Do ataku! Naprzód! Hura!” śniło im się nocami.

Stary, radosny stosunek koleżeński, łączący Alfonsa i arcybiskupa, odżył na nowo. Dzielnego kapłana bardzo to trapiło, że nie mógł Alfonsowi powiedzieć szczerze, po chrześcijańsku, po rycersku, co myśli o jego przygodzie miłosnej z żydówką. Teraz oświadczył mu z dawną szczerością:

— Twój teść w Anglii umarł w samą porę. Bo jedno ci powiem, drogi synu i przyjacielu: dłużej nie byłbym się przyglądał temu bezceństwu w La Galanie. Nawet gdybym miał umrzeć z rozpaczy, musiałbym zażądać od Ojca Świętego, żeby rzucił na ciebie ekskomunikę. Już przygotowałem list w tej sprawie. Ale to teraz leży za nami tak daleko jak pogańska przeszłość naszych ojców. Widać prawie, jak wojna wypędza ci z piersi ostatnie zapory. — Roześmiał się gromko; Alfonso zawtórował głośno, młodzieńczo, dobrodusznie.

Zwiadowcy przynieśli wieści o liczebności wojsk muzułmańskich. Obliczali, że liczba ich sięga pięciuset tysięcy. Mówiło się wiele o straszliwej nowej broni, którą kalif zabrał ze sobą, o olbrzymich wieżach oblężniczych, o działach, które mogły rozsadzić potężne skały, o niszczącym ogniu greckim. Rycerze nie tracili otuchy. Wierzyli w swoje twierdze nie do zdobycia, w swego świętego Jerzego, w swego króla.

Alfonso wpadł na śmiały pomysł. Wszyscy uważali za rzecz zrozumiałą samą przez się, że w obliczu przewagi muzułmanów trzeba będzie poprzestać na obronie. Myśl wydawała się obłąkańcza, ale właśnie dlatego mogła mieć powodzenie. Czyż na południu od Alarcos nie istniał teren, którego korzyści i trudności znał lepiej niż ktokolwiek inny? Dlaczego nie miałby wygrać drugiej bitwy pod Alarcos?

Pomówił o swym planie z Bertranem i arcybiskupem. Don Martin, na ogół szybki w słowach, patrzył na niego z otwartymi ustami. Potem wpadł w entuzjazm.

— Stary Izrael — powiedział — był małą garstką w porównaniu z olbrzymią chmurą Kananejczyków, Madianitów, Filistynów, a mimo to pobił ich i wytrzebił. Pan Bóg wskazał mu zapewne tereny równie korzystne, jak twoje pod Alarcos.

Bertran oświadczył wesoło, z miną znawcy:

— Bitwa ta będzie cię kosztowała, królu, wielu zabitych, ale niewiernych również.

Kiedy Alfonso wtajemniczył w swój plan młodych panów, byli z początku zdziwieni, nawet zmieszani, później zachwyceni. Starszych dowódców Alfonso o swoim planie nie poinformował.

Doña Leonor pozostała w Burgos dłużej, niż zamierzała. Łatwiej stąd było nakłaniać grandów północnej Kastylii i radców Aragonii, by dali Alfonsowi potrzebne posiłki. Palila się do tego, by rozpoczął swą wyprawę. Odkąd uświadomiła sobie, jak głęboko wżarła się w niego zmysłowa gorączka w stosunku do żydówki, nieufność jej nigdy nie była uśpiona całkowicie. Tak, dopiero wojna uleczy Alfonsa z piekielnej choroby.

Potem otrzymała wiadomość — sam ją o tym radośnie poinformował — jak śmiało odesłał muzułmańskiego księcia do jego kalifa. Z początku odczuła radość: nareszcie jest wojna.

Ale zaraz potem zorientowała się w całym niebezpieczeństwie, które musi wyrósć z zuchwalstwa Alfonsa. Klęska, pomyślała, znowu będzie klęska. Może nie taka sama, ale zawsze klęska. Obok gniewu i troski dawało jej to ponurą satysfakcję. Klęska wzmagała siły, podsycała energię, otwierała dziesiątki nowych możliwości, myśl o niej wywoływała przedziwne łaskotanie.

Ruszyła do Toledo w myśl rozkazu matki, która kazała jej udać się tam niezwłocznie. Zbrodnicza lekkomyślność, z jaką Alfonso sprowokował muzułmańskiego wysłannika, zwiększyła jeszcze jej miłość. I ciągle do tej jej gorącej tęsknoty za Alfonsem dołączało się owo ciche, mgliste, radosne poczucie: teraz przyjdzie klęska. Teraz skończy się z tamtą. Actum est de ea — skończone z nią.

Nie zastawszy króla w Toledo znalazła powód, by ruszyć za nim na południe. Don Pedro, który zgodnie z planem wdarł się na teren Walencji i nie chciał wstrzymać swego marszu na jej stolicę, ościagał się z dostarczeniem Alfonsowi wojsk pomocniczych przed traktatowo ustalonym terminem. Leonor wymogła teraz na nim wiążącą obietnicę: najdalej w ciągu sześciu tygodni wyśle dziesięć tysięcy ludzi, ośmiuset natychmiast na dowód dobrej woli. Żeby przynieść Alfonsowi tę szczęśliwą nowinę, ruszyła sama do Calatravy.

Wyjechał naprzeciw, żeby ją przywitać. Na jego widok nie ukrywała radości. Był tutaj wśród swoich rycerzy, w surowej atmosferze twierdzy Calatrava, tym właśnie Alfonsem, jakiego sobie życzyła.

Rozpromieniona opowiedziała, jak skłoniła opierającego się don Pedra do posłania posiłków już w ciągu niewielu tygodni. Alfonso podziękował jej serdecznie, przemilczając, że wiadomość ta nie jest mu miła. Zamiar jego stawienia kalifowi czoła w otwartym boju okrzepł jeszcze. Kiedy teraz stało się wiadome, że można oczekiwać posiłków aragońskich już w najbliższej przyszłości, doradcy jego i oficerowie będą się tym gwałtowniej przeciwstawiać jego planowi.

Sędziwy mistrz zakonu Nuño Perez i don Manrique de Lara stanęli przed obliczem donii Leonor. Plan Alfonsa, mimo całej jego powściągliwości, stał się głośny i przyczyniał co przeczniejszemu spośród królewskich przyjaciół niemało trosk. Obaj starzy panowie tłumaczyli donii Leonor, ile niebezpieczeństw kryje w sobie owo przedsięwzięcie i jak ważną rzeczą jest zaczekać na posiłki z Aragonii. Prosili królową, by raczyła odwieść don Alfonsa od jego zamiarów.

Doña Leonor przeraziła się. Nie znała się na strategii, nie chciała o tym nic wiedzieć. Istniała między nią i Alfonsem milcząca umowa, że bierze udział w sprawach państwowych, natomiast nie miesza się do spraw związanych z prowadzeniem wojny. Rozumiała jednak, że tym razem chodzi o istnienie państwa. Przypomniała sobie, jak Alfonso wbrew ostrzeżeniom swoich doradców zaatakował ongiś Sewillę; przeczuwała, wiedziała, że traktuje swój szaleńczo śmiały projekt poważnie. Rozum mówił jej, że powinna rozmówić się z Alfonsem. Ale nie chciała stać mu się niemiłą właśnie teraz, nie chciała dawać mu rad, które mu były nienawistne, poza tym łechtało ją w głębi duszy słowo klęska. Uprzejmie, ale całkowicie po królewsku odpowiedziała zatroskanym panom, że nie zna się na problemach strategicznych, że w ciągu tych wszystkich lat nigdy o nich z Alfonsem nie mówiła, że jest pełna podziwu dla jego geniuszu wojskowego; nie wypadałoby królowej Kastylii obciążać odwagę królewską i pobożną otuchę męża małodusznymi zastrzeżeniami.

Pozostała w twierdzy dwa dni i dwie noce. Przygotowano jej pośpiesznie wspaniałą kwaterę, nie wypadało bowiem, żeby spała w jednym domu z Alfonsem; w myśl obyczaju krzyżowcy nie obcowali z kobietami. Niewielu jednak rycerzy traktowało ten obyczaj poważnie. Leonor oczekiwała, że Alfonso zostanie u niej po kolacji. Ale oddalił się, życząc serdecznie dobrej nocy i całując ją w czoło. Tak samo zachował się następnego wieczora.

Kiedy ruszyła z powrotem, odprowadził ją spory kawałek drogi.

Rozstawszy się z nim odpowiadała tylko półsłówkami na pytania orszaku. Po niedługim czasie, choć dobrze jeździła konno, zażądała lektyki.

Siedziała w lektyce z zamkniętymi oczyma. Alfonso był pełen swojej wojny, poza tym nie należał do ludzi, umiejących kochać szybko, wykorzystując sposobność. Nie musiała się więc czuć znieważona i z pewnością wspomnienie żydówki nie powstrzymało go od niej.

W Toledo zajmowała się wiele tamtą, żydówką. Tamta była bliżej, musiało się o niej myśleć. Siedziała tam na dole odważnie i głupio, była w mocy Leonor tak samo jak miasto i wszystko dookoła. Wystarczyło, by Leonor tylko kiwnęła palcem. Nie myślała o tym wtedy, czuła to tylko, ale teraz w lektyce, w drodze do Toledo, myślała. Teraz również, w lektyce, wbrew woli starała się tamtą przywołać z pamięci. Jej twarz, postać, ruchy. Wyobrażała sobie, jak też Rachelą wygląda nago. Porównywała się z nią. Tak, trzyma się dobrze, przyznała to nawet dama Elli-nor, której sąd był ostry i złośliwy. To, że tamta w dziesięć, dwadzieścia lat po niej wylazła z łona swej matki, z pewnością nie było przyczyną, która odciągnęła Alfonsa od niej i pchnęła go ku tamtej. Były to czary, gorączka, zła choroba. Kiedy Alfonso znowu stanie się zupełnie sobą, po swojej wielkiej bitwie, bez względu na to, czy przyniesie ona zwycięstwo, czy klęskę, zapomni o tamtej. Byłaby głupia, gdyby się dała tym starym panom przekonać i zdecydowała się na odradzanie Alfonsowi jego bitwy.

Nie była głupia. Była mądra, młoda, piękna i pewna swego.

Nadeszły meldunki, że wojska muzułmańskie prą trzema kolumnami na północny zachód. Alfonso nie mógł czekać dłużej, musiał wtajemniczyć w swój plan członków swej rady i dowódców wojskowych.

Zwołał radę wojenną. Przedstawił plan z entuzjazmem. Chce stawić czoło muzułmanom na płaskowzgórzu Arroyos. Tam, między głębokimi wyrwami po wyschniętych potokach, stoczył bitwę, która mu przyniosła pierwszy triumf i twierdzę Alarcos. Nikt w Hiszpanii nie zna tego terenu tak dobrze, jak on. Śmiało, z przekonaniem mówił o tym, jak zmusi kalifa do zajęcia głębszej części łagodnie opadającej równiny, jak wielkie masy wrogiego wojska właśnie dlatego, że są tak liczne, zepchnie do lasu. Nie wątpi w zwycięstwo. A wtedy cała Andaluzja południowa stanie przed nim otworem, jak również Kordoba, Sewilla i Grenada. Wojna skończy się, zanim się rozpoczęła.

Młodszy panowie odnieśli się do projektu z entuzjazmem.

Ale stary don Manrique ostrzegł czolobitnie i natarczywie. To więcej niż ryzykowne wydawać bitwę w otwartym polu wojsku, mającemu tak olbrzymią przewagę. Jeżeli się nie osiągnie zwycięstwa decydującego, Toledo zostanie stracone. Doświadczony w sprawach wojennych baron Vivar podtrzymywał don Manrique.

— Wasza królewska mość — wywodził — z trudem i sztuką uczynił twierdze Calatrava i Alarcos najsilniejszymi twierdzami półwyspu. Pod ochroną ich murów możemy ze spokojem czekać na przybycie naszych sprzymierzeńców. Wojska muzułmańskie trudno wskutek ich olbrzymiej ilości zaopatrzyć w żywność; oblężenie bardzo tę ilość zmniejszy. Kiedy później zjawią się wojska aragońskie, armia nasza nie będzie już w stosunku do nieprzyjacielskiej w tak rozpaczliwej mniejszości. Wtedy, panie, jeżeli ci Bóg rozkaże, wydaj bitwę w otwartym polu.

Zmarszczki na czole Alfonsa stały się jeszcze głębsze. Rozum przyznawał, że argumenty don Manrique i Vivara mają ręce i nogi. Ale beczynne tkwienie za murami twierdzy i czekanie, by ten młodszy, ten frant, nadciągał z pomocą, było nie do zniesienia. Nie da wykraść sobie części zwycięstwa.

— Wiem — powiedział — że dobry dowódca woli unikać bitwy, kiedy nieprzyjaciel ma kilkakrotną przewagę. Nie mogę jednak przyglądać się beczynnemu, jak wróg zajmuje coraz

większe połacie kraju. Krew mi się gotuje. Prawdziwa wojna to nie gra w szachy, to turniej. Decydującym nie jest przemądrzały rozum, decyduje mocne, pobożne serce. Prawdziwy wódz czuje pole bitwy nosem. Moim polem bitwy jest dolina Arroyos.

Rycerze odpowiedzieli burzliwą owacją.

Teraz jednak odezwał się z przestrogą sam stary mistrz Ñuño Perez:

— Jeżeli armia niewiernych jest tak olbrzymia, jak twierdzą zwiadowcy, żadne kastylskie wojska nie potrafią się jej oprzeć bez wojsk pomocniczych. Czekać na Aragonię, panie.

Alfonso miał dosyć tych pouczeń starych dowódców; byli tchórzliwsi od don Rodriga.

— Nie będę czekać, don Ñuño — oświadczył. — Zrozumcież mnie. Nie pozwolę, żeby moje Alarcos, to Alarcos, które włączyłem do swego państwa, zostało oblężone przez obrzezańców. Uporam się z nimi i bez Aragonii.

Ale don Manrique nie ustępował.

— Poślij przynajmniej do don Pedra kuriera — nalegał. — Gdyby się twoją umowę z Aragonią interpretowało małodusznie, poleci ci czekać.

— Nie jestem jednak małoduszny — odparł gwałtownie don Alfonso — i nie jest nim również król Aragonii. To rycerz chrześcijański. Nie potrzebuję go prosić o zezwolenie. — Ciągnął dalej spokojniejszym tonem: — Szanuję wasze zastrzeżenia, ale nie mogę zajmować się nimi. Niech sobie kalif ma przewagę trzykrotną, pięciokrotną, my mamy za sobą prawo i wszechmocnego Boga. Będziemy się bili w dolnie Arroyos.

Z chwilą kiedy król zdecydował, również i wąpiący zaczęli wiernie i gorliwie popierać przedsięwzięcie. Na wybranym przez Alfonsa terenie rozbito obóz. Na łagodnym zbocz górkim rozciągały się namioty, chronione z tyłu przez coraz bardziej strome szczyty, flanki kryły góry Arroyos, od których cała okolica nosiła nazwę, oraz głębokie wyrwy i łożyska rwących strumieni, które były teraz wyschnięte i zarośnięte białymi i czerwonymi oleandrami.

Tymczasem armia muzułmańska nadciągała w miarowym szyku regularnymi, krótkimi marszami. Kiedy znalazła się w odległości dwóch dni marszu, każdy mógł wyliczyć, że bitwa decydująca będzie miała miejsce 19 lipca, wedle rachuby muzułmańskiej 9 Sziwana.

9 Sziwan przypadł jednak na sabat.

Stwarzało to dla żydowskich żołnierzy wielki kłopot. Trzytysięczny ich zastęp stanął do dyspozycji króla nie bez udręki sumienia. Wiedzieli, że służba wojskowa będzie ich zmuszała do spożywania zabronionych potraw, do dokonywania w sabat zabronionych czynności. W sławnej przeszłości żołnierze żydowscy woleli ginąć z rąk Greków i Rzymian, niż walczyć w sabat. Wprawdzie na podstawie jakiegoś zarządzenia synhedrionu, sięgającego stuleci, doktorzy aliamy zwolnili ochotników żydowskich od obowiązku trzymania się przepisów, odnoszących się do spożywania potraw w sabat, aktem „mutar lach — niechaj będzie ci odpuszczone”, ale dispensa ta odnosiła się tylko do wypadków ostatecznej konieczności. Czy wypadek taki teraz zachodził?

Czy król musiał się bić właśnie w sabat?

Wysłali do Alfonsa delegację, prowadzoną przez don Simeona Bar Abbę, krewnego Efraima. Jeżeli ci żołnierze żydowscy, wywoźnił przed królem, przekroczą święte zakazy, nie znajdując się w konieczności ostatecznej, sprowokują gniew Boga i ściągną na siebie i na swych chrześcijańskich kolegów niebezpieczeństwo i klęskę. Zapytali jego majestat z należnym szacunkiem, czy nie można wybrać na bitwę innego dnia.

Alfonso poklepał don Simeona po ramieniu i powiedział:

— Znam was jako dzielnych żołnierzy i chętnie zrobiłbym to dla was. Ale, widzicie, dłużej niż o dzień nie mogę odłożyć bitwy. Musiałbym więc walczyć w niedzielę. To znów byłoby nie po myśli waszych kolegów chrześcijańskich, a są o wiele liczniejsi. Pozostańmy więc przy sabacie; będziemy się wszyscy modlili, żeby wasz Bóg przebaczył wam ten grzech.

Król, poruszony pobożnością żydów, naradzał się z don Martinem, co ma sam uczynić, by sobie i swym wojskom zapewnić łaskę Wszechmocnego. Arcybiskup czytał również owo „Drzewo bitew”, napisane przez przeora Boneta. Autor zalecał post w dniu bitwy, powołując się na to, że wielki rycerz i król, Saul, każdemu bojownikowi, który by przed zapadnięciem nocy coś pił lub jadł, groził karą śmierci. Arcybiskup zaproponował więc, żeby żołnierze chrześcijańscy w dniu bitwy pościli; król, nasz pan, może ich poprzedniego wieczoru obficie nakarmić, żeby nie opadli z sił. Alfonso wydał takie zarządzenie.

Don Martin rozesłał po całym kraju aż do Toledo kurierów z poleceniem, by rankiem w dniu bitwy w Toledo i we wszystkich miejscowościach między Alarcos i Toledo bito w dzwony.

Wieczorem 18 lipca król obejrzał ze wzgórza, z którego zamierzał następnego dnia kierować bitwą, zarówno obóz własny, jak i nieprzyjacielski. Wojska kalifa rozłożyły się tam, gdzie opadała równina. Namioty ich ciągnęły się w nieskończoność. Alfonso i panowie z jego świty widzieli, że tam, gdzie las zasłania dalszy widok, obóz nieprzyjacielski zatacza łuk daleko na zachód. Król, przysłaniając oczy ręką, patrzył w milczeniu na obóz nieprzyjacielski, zatopiony w wieczornym mroku.

Świta królewska ruszyła konno z powrotem, wszędzie witały ją radosne, pełne szacunku okrzyki. Żołnierze dawali wyraz swej radości z powodu czekającego ich obfitego posiłku.

Panowie usiedli przy stole w namiocie wojennym króla. Namiot lśnił wspaniale czystością i złotem, proporcami i sztandarami; wewnątrz było bogato przybrane dywanami i zasłonami ku czci wojny, najszlachetniejszego zajęcia rycerza i króla. Panował podniosły nastrój, jedzono i pito z rozkoszą, Bertran śpiewał swoje najdziksze pieśni.

Kompania rozeszła się jednak szybko, by snem wzmocnić siły potrzebne na dzień nadchodzący.

Królowi towarzyszyły we śnie miłe obrazy i myśli. Tłumaczył Racheli szczegóły swego wojennego planu. Dowodził, że można w ten sposób ustawić wojska, nad którymi wróg ma znaczną przewagę, żeby zwycięstwo było pewne. Wyjaśniał jej, jak sobie wyobraża dalszy przebieg wyprawy. Po rozbiciu armii kalifa przedrze się ku morzu. Potem zawrze pokój. Wyspę i Grenadę pozostawi kalifowi, ale Kordobę i Sewillę obrzezany będzie mu musiał wydać. Uczyni z Sewilli hrabstwo, hrabią Sewilli mianuje kochanego małego bękarta Sancho.

Do uszu jego dochodziły ciche wołania wartowników, obchodzących obóz. Jego głos wewnętrzny mówił mu: Jutrzejszy 19 lipca będzie wielkim dniem. Starał się zorientować, który to rok, ale hiszpańska rachuba czasu pomieszała mu się z chrześcijańską; nie mogąc ustalić roku złościł się, że wbrew swemu kochanemu przyjacielowi don Martinowi opowiedział się za rachubą proponowaną przez Rodriga. W ten gniew wmieszały się dzwony i triumfalne pienia Te Deum ku czci jego zwycięstwa. Zasnął błogo wśród tych zwycięskich dźwięków.

Obudził się wśród bicia dzwonów. Bowiem jeszcze przed wschodem słońca w myśl rozkazu arcybiskupa zaczęto bić we wszystkie dzwony na przestrzeni od Alarcos do Toledo.

Zaraz po wschodzie słońca odprawiona została msza dla żołnierzy. Bardzo wielu przyjęło komunię świętą. Potem pokazane zostały uroczyscie relikwie, mające towarzyszyć podczas bitwy poszczególnym oddziałom. Najcenniejszą, najmocniejszą relikwię mieli rycerze z Calatravy: cruz de los Angeles, krzyż w tajemniczy sposób dostarczony Alfonsowi Trzeciemu przez dwóch zamorskich pielgrzymów. Każdy oddział — zarówno rycerze, jak i żołdacy — klękał przed swą relikwią i całował ją.

Również i z obozu muzułmanów dochodziło echo modlitw. Kapłani i oficerowie wzywali wojowników słowami Koranu: „O wierni, w górę serca! Bądźcie radosnego ducha! Nie bójcie się nikogo poza Allahem! Pomoże wam. Wzmocni wasze nogi, byście na nich mocno stali. Da wam zwycięstwo.” Żołnierze muzułmańscy padali na ziemię. Były ich setki tysięcy, twarze mieli

zwrócone ku Mekce, wypowiadali głośno modlitwę siódmą pierwszego rozdziału Koranu: „W imię wszechlitościwego Allacha. Pochwalony niechaj będzie Allach, pan światów. Pochwalony wszechlitościwy, czyniący dobrodziejstwa, najwyższy sędzia w dniu sądu. Ty jeden jesteś naszym Bogiem, ciebie jednego błagamy o pomoc. Wskaż nam słuszną drogę. Drogę tych, dla których jesteś łaskaw, a nie tych, na których jesteś zagniewany, którzy błędzą”.

Bitwa rozpoczęła się.

Rycerze Calatravy otrzymali rozkaz rozpoczęcia natarcia i przełamania nieprzyjacielskiego centrum. Było ich osiem tysięcy. W wzorowym szyku siedzieli na wyborowych koniach, zbroja ich

łśniła z daleka. Śpiewali głośno modlitwę wojenną, sześćdziesiąty psalm Dawida: „Któż mię doprowadzi do miasta obronnego? Kto mię doprowadzi aż do Idumei? W Bogu czynimy siłę: a on wniwecz obróci trapiące nas”.

Uderzyli w centrum wroga.

Kronikarz Ibn Jachia pisze: „Przekłęci ruszyli z taką furją, że konie ich pędziły prosto na ostrza lanc muzułmańskich. Odrzuceni, cofali się nieco, potem uderzali od nowa. Znowu ich odrzucano. Za trzecim razem ruszyli do straszliwszego, obłądnego ataku. »Trzymajcie się, przyjaciele! — zawołał generał Abn Hafas, dowodzący grupą środkową. — W górę serca, wierni! Allach na swym wysokim tronie jest z nami«. Ale przekłęci atakowali z tak szaleńczą brawurą, że szeregi dzielnych muzułmanów załamały się. Sam generał Abn Hafas walczył jak lew, zginął z orężem w ręku, zdobywając męczeńską koronę. Przekłęci dokonali wśród wojsk centrum straszliwej rzezi; wszyscy walczący tam muzułmańscy żołnierze przeznaczeni zostali przez Allacha do męczeńskiej korony i w dniu 9 Sziwanu weszli do dziesięciu tysięcy rajskich rozkoszy”.

Alfonso śledził ze swego wzgórza przebieg bitwy. Widział, jak rycerze Calatravy ruszyli do boju i zostali odrzuceni, jak zaatakowali po raz drugi i znowu musieli się cofnąć, jak później przełamali szeregi wroga. Teraz niepowstrzymanie parli naprzód, wkrótce dotrą do czerwonego namiotu wojennego kalifa i wyślą gońców z wieścią o zwycięstwie. Wtedy on ruszy naprzód i zetrze wroga w proch.

Król patrzył, otoczony swą świtą; czekali, napawali się widokiem. Tam u ich stóp, w dolnie Arroyos spełniał się sen śpiewaka Bertrana de Born. Byli tam nacierający, zabici i zabijający, był ów okrzyk: „Do ataku! Naprzód! ”, zmieszany z okrzykiem: „Allach, Mahomet! ”, dochodziło rzenie koni, pozbawionych jeźdźców, śmiertelnie rannych. Serce Alazara nabrzmiało rozkoszą. Wchłaniał w siebie tę wspaniałą mieszaninę śmierci, sławy, zwycięstwa i męczeństwa, żałował tylko, że pył i kurz zasłaniały mu pole walki. Widział jednak dookoła siebie dzikie, płonące, radosne twarze króla i jego rycerzy, miał twarz równie radosną, jak oni, ocierał łzawiące oczy, kichał pyłem, śmiał się.

Nagle zaszło coś niespodziewanego. Pył i kurz stanowiły

zasłonę tak gęstą, że trudno było zorientować się, co się dzieje. Jedno nie ulegało wątpliwości: bitwa znajdowała się u swego szczytu, a więc daleko poza plecami rycerzy Calatravy. Jeźdźcy w turbanach pojawili się w pobliżu obozu, zaatakowali oddziały żydowskie, przeznaczone dla jego obrony. Żydzi walczyli, trzymali się dzielnie, słychać było wyraźnie ich przeraźliwy, prastary, hebrajski okrzyk wojenny: „Hedad, hedad! ”. Nie odstępowali, stawiali opór. Ale było ich tylko trzy tysiące, wróg znajdował się w wyraźniej przewadze. Alfonso pomyślał przez chwilę o przepowiedni don Simeona, że walczenie w sabat przyniesie nieszczęście.

Jakże jednak na Boga mogło dojść do tego, że rycerze muzułmańscy przedarli się tak daleko? I w takiej ilości? Gdzież byli rycerze Calatravy?



Król przeczuł, co się stało, ale wzbraniał się uwierzyć w to. Pięćset razy po tysiąc, meldowali zwiadowcy, liczy wojsko kalifa; Alfonso śmiał się wtedy. Teraz jednak masa ta napływała, nie było temu końca, z pyłu i kurzawy wychylali się coraz to nowi wojownicy w turbanach, pieszo i na koniach, Alfonso nie śmiał się teraz.

Stało się tak: upojeni zwycięstwem rycerze Calatravy zapędzili się bardzo daleko. Nie zwracali uwagi na upał i pył, w którym trudno było oddychać. W zgiełku walki, unoszącym się nad polem bitwy, słyszeli tylko własne wrzaski oraz wrzaski tych, których zabijali. Na pół obłąkani w swej żądzy walki, waląc na oślep, parli coraz dalej w mgłę, zasłaniającą słońce.

Dowódca muzułmanów, Abdullah Ben Senanid, znający się na zagadnieniach wojny, doświadczony w bitwach, przewidział to. Pozwolił rycerzom posuwać się naprzód, stawiał im tylko nieznaczny opór. Po obu flankach posuwały się na jego rozkaz mahometańskie pułki; równocześnie kazał ustawić owe niesamowite, dalekosiężne działa. Żołnierze mahometańscy, głośni jako świetni strzelcy, nie zauważeni przez napierających rycerzy Calatravy, otoczyli ich z tyłu, odcinając ich od głównych sił i od obozu. Teraz wydarzyło się pod Alarcos to, co zaszło wtedy podczas bitwy pod Al Hattin. Strzelcy mahometańscy zaczęli ostrzeliwać konie chrześcijańskich rycerzy; kiedy koń padał, rycerz stawał się w swej ciężkiej zbroi bezbronny. Równocześnie działa kalifa miotały swe potężne pociski w gęste szeregi chrześcijan.

„Rozpoczęła się — mówi kronikarz Ibn Jachia — straszliwa rzeź. Wszyscy niewierni byli zakuci w stal, konie również miały na sobie zbroję, ale nic to temu kwiatowi wojska nie pomogło. Przed bitwą wzywali swoich trzech Bogów i przysięgali na swe krzyże, że dopóki jeden z nich pozostanie przy życiu, nie rozpoczną odwrotu. Teraz, ku błogosławieństwu wiernych, Allah zrzucił, że ich ślubowanie dosłownie się spełniło”.

Równocześnie, żeby zniszczyć całkowicie wojska nieprzyjacielskie, dowódca muzułmański, wykorzystując swą ogromną przewagę, rzucił do ataku na obóz chrześcijan swą własną wyborową kawalerię andaluzyjską.

Ten to atak na obóz zauważył Alfonso. — Teraz kolej na nas — oświadczył z gniewną radością. Ruszyli w dół, w kierunku obozu. Ale było ich za mało. Coraz większe masy muzułmanów zmusiły ich do odwrotu, nim zdążyli dotrzeć do obozu. Trzymali jednak mocno swe szeregi, nie dopuścili do tego, żeby ich muzułmanie okrążyli. Również dzięki wypadom udawało im się raz po raz zyskać na terenie, zapewnić sobie nieco oddechu.

Don Alfonso znajdował się w wirze walki. Nie myślał już o całokształcie bitwy, skupił się cały na walce, toczącej się w bezpośredniej bliskości. Oddychał z trudem wskutek upału i kurzu, lśniąca matowo mgła sprawiała, że mu wszystko migotało przed oczyma. Słyszał brzmienie rogów, warkot bębnow, dzikie okrzyki muzułmanów, „Do ataku! Naprzód!” swoich oraz niewyraźny zgiełk, który zewsząd dochodził. Był pełen głuchej wściekłości, która jednak dawała pewną rozkosz. Z lubością machał swym wspaniałym mieczem, swym Fulmen Dei. Rozkoszował się, kiedy padał nieprzyjaciel, odczuwał również coś zbliżonego do zadowolenia, kiedy walił się na ziemię przyjaciel.

Powoli zostali odepchnięci do połowy swego własnego wzgórza. Król nakazał nowy atak. Runęli jak lawina — było ich jeszcze około ośmiuset — na nieprzyjacielską piechotę. Jeden z muzułmanów wymierzył swój kołczan w Alfonsa. Zanim zdążył wypuścić strzałę, Alazar odrąbał mu głowę.

— To mu się nie udało, królu — zawołał śmiejąc się w potwornym zgiełku.

W tejże samej jednak chwili zwałił się z konia, trafiony strzałą; noga pozostała w strzemieniu, koń włókł go przez jakiś czas po ziemi. Inni przedarli się dalej, pędząc przed sobą ze zbocza góry nieprzyjacielską piechotę. Król i jego świta mogli nieco odetchnąć.

Alfonso zsiadł z konia, ciągle jeszcze ogarnięty szaleństwem, niemal pozbawiony woli i

przytomności. Zajął się Alazarem. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego, podniósł przyłbicę, zdjął chłopcu hełm z głowy nie wiedząc, dlaczego i czy chłopiec poznaje go jeszcze. Alazar oddychał ciężko, blada, ciemna zazwyczaj twarz była zaczerwieniona. W brudzie, krwi, skrzęcając się z bólu, wyglądał bardzo młodo. Alfonso pochylił się nad nim, trudno mu było rozpoznać go, wreszcie powiedział ochrypniętym głosem:

— Alazarze, chłopcze mój wierny!

Alazar podniósł z trudem rękę, Alfonso nie rozumiał, po co; później okazało się, że chłopiec chciał mu zwrócić rękawicę i był zgnębiony, że Alfonso go nie zrozumiał. Alazar poruszał wargami. Alfonso miał wrażenie, że słyszy słowa: „Powiedz memu ojcu”. Przypomniawszy sobie dopiero o wiele później, że mu się tak zdawało, nie potrafiłby określić, w jakim języku chłopiec to wypowiedział.

Kiedy tak stał, pochyłony nad Alazarem, przypomniał sobie mgliście w zgiełku bitwy Rachelę; równocześnie pomyślał o Manrique i Nuño Perezie, którzy mu radzili pozostać w murach twierdzy, oraz o gniewnym don Rodrigue. Nie miał jednak czasu na pozostawanie przy tych myślach. Nie było również czasu na dalsze zajmowanie się chłopcem, zrobił więc tylko nad nim znak krzyża.

Znowu poprzez pył i kurzawę napierały olbrzymie masy. Alfonso patrzył na nadciągające szeregi z głuchą, ponurą wściekłością. Czy to się nigdy nie skończy? Pięćset razy po tysiąc, powiedzieli zwiadowcy i nie skłamali.

— Dotychczas mieliśmy do czynienia ze strażami przednimi, dopiero teraz nadciąga prawdziwe wojsko — pokpiwał złośliwie.

— Doskonale — dorzucił Bertrán — tym więcej matek i żon będzie ich oplakiwać.

Wszyscy nalegali: — Cofnijmy się, cofnijmy się powoli!

Bertrán zawtórował jedną ze swych pieśni: „Nikt z nas nie jest synem człeka, który w łożu zmarł wygodnie. I my sami nie pragniemy śmierci innej, jeno takiej, która w polu razi ogniem”. Powoli, z twarzami zwróconymi ku wrogowi, na koniach, poruszających się w tanecznym rytmie, cofali się w kierunku wzgórza.

Panowała wrzawa wojenna, szerzył się zamęt. Kiedy jednak dotarli do podnóża ostatniej, najbardziej stromej części wzgórza, mieli znowu swobodną przestrzeń i nikt nie mógł ich zająć z tyłu. Oddychali głęboko, rozglądali się, szukali, liczyli. Było ich teraz około dwustu.

— Gdzie jest don Martin? — zapytał Alfonso.

— Ranny — odrzekł Garceran. — I, jak się zdaje, ciężko. Chcą go wciągnąć na górę, położyć w lesie dębowym, przenieść przez górę Arroyos. — Potem dodał błagalnie: — Powinieneś cofnąć się, królu, dopóki nie wykryli drogi, prowadzącej przez pasmo Arroyos.

Po tamtej stronie wzgórza prowadziła do dębowego lasu tajemna dróżka, przez którą można było przedostać się przez północną część pasma Arroyos.

— Uczynię to po ich następnym ataku — zdecydował Alfonso, widząc, że nieprzyjaciel znowu gotuje się do uderzenia, i to z bardzo bliskiej odległości. Po chwili zapytał: — A co z tobą, Bertra-nie, jesteś ranny?

— Ach, to tylko kilka palców — odparł Bertran, starając się, by głos jego brzmiał beztrósko. — Zapewne będę ci mógł oddać tylko kawałek rękawicy — zażartował. Potem znowu rozgorzała walka.

Tutaj, u podnóża ostatniego wzniesienia, bitwa zmieniła się w zaciekle walki wręcz. Każdy walił na oślep, bezmyślnie, łączność między poszczególnymi wojownikami została utracona. „Alfonso zaś, ten przeklęty — notuje kronikarz Ibn Jachia — uniósł swe oczy i ujrzał białą chorągiew władcy wiernych — niechaj go Allah ochrania — tuż przed sobą. Zobaczył na niej wypisane złotymi literami słowa: »Allah jest Allahem a Mahomet jego prorokiem«. Serce

przekłętego zadrżało w wielkim lęku i uciekł. Zaczęli również uciekać wszyscy z jego orszaku, a muzułmanie ścigali ich. Sam przekłęty umknął przez wzgórze, ale muzułmanie pozabijali nieskończoną ilość jego ludzi; dopóty nie wyciągnęli dzid z bioder uciekających, nie włożyli swych mieczów do pochew, dopóki nie ugasili pragnienia swej broni w krwi niewiernych, dopóki ich nie zmusili do opróżnienia kielicha śmierci aż do dna”.

Ze wzgórza Alfonso spojrzął przez ułamek sekundy na pole bitwy. Unosił się nad nim pył, sam był pokryty pyłem tak samo jak jego ludzie, pył pokrywał hełmy i zbroje. Był tak gęsty, że tłumiał nieco odgłos wrzawy bitewnej, wrzaski mężczyzn, tupot i rżenie koni, dźwięki trąb. Również i król Kastylji tylko mgliście mógł w tej szarej pajęczynie z gorąca, kurzawy i pyłu orientować się, co się dokoła dzieje. Jedno wiedział na pewno: tu, w tym pyłe i wrzasku, zdycha jego sława, zdycha Kastylja. Nim jednak zdołał to naprawdę poczuć, porwała go fala jego ludzi.

Tymczasem muzułmanie plądrowali obóz kastylski. Zawładnęli bronią, skarbami, narzędziami wojennymi, wszelkiego rodzaju zapasami, zdobyli kilkaset myśliwskich sokołów oraz wiele sprzętu kościelnego, ponadto w ręce ich wpadły szaty odświętne, które rycerze Calatravy mieli włożyć na siebie po zwycięstwie. „Liczby chrześcijan pozabijanych przez wiernych — notuje kronikarz — nie jestem w stanie podać. Nikt nie potrafił tego obliczyć. Zabitych chrześcijan było tylu, że liczbę ich zna tylko Allah, który i ich stworzył”.

Od czasu bitwy pod Zallaka, od lat stu dwunastu, muzułmanie nie osiągnęli na półwyspie takiego zwycięstwa. Przerażenie chrześcijan było tak ogromne, że udzieliło się również obrońcom Alar-cos. Po upływie kilku dni oddali tę najmocniejszą twierdzę Kastylji w ręce wroga. Dla dalszego siania postrachu zwycięzcy zrównali z ziemią przy pomocy machin wojennych mury i domy miasta i twierdzy Alarcos i posypali ruiny piaskiem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Na kilka dni przed bitwą pod Alarcos przybyło do Toledo owych pierwszych ośmiuset zbrojnych Aragończyków, których jako wojska pomocnicze obiecał przysłać don Pedro. Dowódca ich zameldował się u królowej. Był nim Gutierre de Castro.

Tak, de Castro żądał, żeby jego pierwszego wysłano do Toledo. Uzasadniał swe żądanie tym, że ród de Castrów brał wybitny udział w zdobyciu Toledo, o czym dziś jeszcze świadczy castillo w tym mieście; de Castro chciałby uczestniczyć w zdobywaniu Kordoby i Sewilli. Ociągający się don Pedro nie mógł odrzucić tej natarczywej prośby swego potężnego wasala. Zjawił się więc w Toledo na czele swoich dobrze się prezentujących ośmiuset ludzi i stanął przed donią Leonor, by jej złożyć swą czołobitność.

Była głęboko i błogo zdziwiona. Z przesadnym niemal szacunkiem myślała o mądrej matce, która nie oddała mu zamku, by go rozdrażnić i zwabić. Przywitała go z promienną uprzejmością:

— Cieszę się, że spośród naszych aragońskich przyjaciół ty pierwszy, don Gutierre, zjawiłeś się w Toledo.

Don Gutierre stał przed nią w zbroi, rozstawiwszy w myśl starego zwyczaju nogi, opierając się obiema rękami o miecz. Barczysty wielmoża chęłpił się tym, że jest potomkiem owych książąt gockich, którzy po zalaniu całego półwyspu przez muzułmanów zachowali w górach Asturii i Kantabrii swą niezależność. Na niezwykle szerokich barkach tkwiła okrągła czaszka, podobnie jak liczni mieszkańcy owych gór, miał nos przełamany u nasady oraz głęboko osadzone oczy. Stał w tej pozycji, patrząc prosto w twarz siedzącej królowej, rozważając, co jej słowa mają oznaczać.

— Mam nadzieję — ciągnęła doña Leonor — że decyzja, powzięta przez królów w twoim zatargu z Kastylią, zadowolili cię.

Podniosła ku niemu wzrok, badali się oczyma nieprzystojnie długo. Wreszcie, ważąc każde słowo, don Gutierre powiedział swym nieco skrzeczącym głosem:

— Brat mój Fernan de Castro był wielkim rycerzem i bohaterem, kochałem go z całej duszy. Żadna skrucha nie zastąpi mi go, a już najmniej zastąpią go pieniądze, które mi zapłacono. Kiedy wzięłem krzyż, przysięgłem wyrwać z serca wszelką nienawiść. Chcę tego dotrzymać i w myśl polecenia mego władcy aragońskiego być posłusznym królowi Kastylii. Mówię ci jednak szczerze, pani królowo, że łatwo mi to nie przychodzi. Trapi mnie to, że wśród pierwszych sług don Alfonsa widzę człowieka, który nie jest wart mojej śliny, któremu chciałbym plunąć w twarz, który się rozpiera w zamku moich ojców.

Doña Leonor, nie spuszczać z niego swych zielonych oczu, odpowiedziała łagodnie, jak gdyby usprawiedliwiająć się:

— Królowie zastanawiali się głęboko, zanim się zdecydowali pozostawić castillo temu człowiekowi. — Po chwili dodała: — Szlachetny don Gutierre, dziś nie można prowadzić wojen tak, jak za czasów naszych ojców. Wojna wymaga wiele pieniędzy, wielkiego sprytu dla zdobycia ich, czasami niedobrego sprytu, a człowiek, o którym mówisz, sprytem takim rozporządza. Wierzaj mi, drogi, szlachetny don Gutierre, że rozumiem twe uczucia, współczuję ci, jeżeli cię to dręczy, że ten człowiek siedzi w twoim castillo. — Patrzyła na niego uważnie, wyczekująco. Teraz pokażę sokołowi trochę żarcia, pomyślała i wolno zakończyła: — Kiedy wojna rozgorzeje na dobre, człowiek ten razem ze swoim sprytem nie będzie już chyba potrzebny.

Zapytał, jakie ma dla niego polecenia.

— Na razie będzie dobrze — oświadczyła — jeżeli razem ze swoimi ludźmi zostaniesz tu, w Toledo. Zawiadomię króla o twoim przybyciu, zapytam go o instrukcje. Jeżeli o mnie

chodzi, to chciałabym, byście pozostali tutaj. Miasto jest ogołocone z wojska. Świadomość, że są tu dzielni wojacy, którym mogę zaufać, byłaby dla mnie uspokojeniem. — Don Gutierre skłonił się głębiej niż zazwyczaj. — Dziękuję ci za twoje łaskawe słowa, o pani — powiedział.

Pożegnał się pełen szacunku i otuchy. Ta doña Leonor jest naprawdę wielką królową. Triumfalnie jechał konno przez wąskie, strome uliczki Toledo. Był teraz w tym mieście, z którego go kiedyś wygnano, szanowanym gościem i bohaterem. W czasie tego upalnego letniego tygodnia przejeżdżał często z wzrokiem pełnym nienawiści i nadziei obok castillo de Castro. Nadszedł dzień, w którym od wczesnego ranka zaczęły bić w Toledo wszystkie dzwony, dzień wielkiej bitwy. Nadeszła noc, która przyniosła ponure, mgliste pogłoski, że bitwa została przegrana. Nadszedł następny ranek i razem z nim zjawili się z południa przerażeni uchodźcy. Było ich coraz więcej. Wdzierali się z dzielnic Toledo, leżących poza murami, do przepelnionego miasta, rozprzestrzeniaли potworne wieści. Że mistrz zakonu Calatrava zabity, że arcybiskup ciężko ranny, że zginęło osiem tysięcy rycerzy zakonu Calatrava, że padły dziesiątki tysięcy innych rycerzy i niezliczone masy piechurów.

Doña Leonor zachowywała spokój. Pogłoski były obłędem. To się stać nie mogło, bitwa nie mogła się tak skończyć. Tak sobie klęski nie wyobrażała.

Don Rodrigue, jedyny z radców korony, który pozostał w Toledo, przybył do niej z wyrazem bólesci i wściekłości na chudej twarzy. Usiłowała zachowywać się ze spokojem.

— Donoszą mi — powiedziała — że pan nasz, król, poniósł przy swoim wypadzie z twierdzy ciężkie straty. Masz dokładniejsze wiadomości, dostojny ojczy?

— Obudź się, królowo! — zawołał gniewnie Rodrigue. — Don Alfonso przegrał wielką bitwę. Wyprawa została przegrana, zanim się zdążyła rozpocząć. Kwiat kastylskiego rycerstwa zginął. Wielki mistrz zakonu Calatrava nie żyje, arcybiskup Toledo jest ciężko ranny, ogromna większość baronów i rycerzy leży pozabijana w dolinie Arroyos. To, co królowie tego półwyspu zdobyli w ciągu stulecia morzem potu i krwi, zostało w ciągu jednego dnia stracone wskutek rycerskiego kaprysu.

Królowa pobladła. Nagle zrozumiała: tak było. Ale nie chciała tego kanonikowi okazać, stała się całkowicie władczynią.

— Zapominasz się, don Rodrigue — skarciła go. — Ale rozumiem twoją troskę i nie chcę spierać się z tobą. Powiedz mi lepiej, co mam czynić, co mogę uczynić?

Rodrigue odrzekł:

— Fachowcy wojskowi przypuszczają, że don Alfonso utrzyma jeszcze Calatravę przez krótki okres. Ty, pani królowo, przygotuj tymczasem Toledo do oblężenia. Jesteś mądra, masz w sprawach administracyjnych doświadczenie. Staraj się o zachowanie w mieście spokoju. Pełno w nim uchodźców i ludzi zropaczonych. Chcieliby bić, zabijać. Zagrożają chrześcijańskim Arabom i żydom.

W głębi ducha doña Leonor czekała na te słowa, może nawet tęskniła za nimi. Odrzekła:

— Zrobię wszystko, co będę mogła, żeby utrzymać Toledo w spokoju.

Don Efraim, parnas aliamy, przeżywał ciężkie utrapienia. Zwycięstwo pod Alarcos otworzyło kalifowi drogi do półwyspu. Toledo było wydane na pastwę muzułmanów, którzy przepędzili żydów z Kordoby i Sewilli. Od czasu królów gackich nigdy podobne nieszczęście nie spadło na sefardyjskich żydów.

A co przyniesie najbliższa przyszłość? Trwożne pogłoski krążyły po Toledo. Nigdy, głosiła fama, wspaniałe wojska chrześcijańskie nie mogłyby zostać pobite, gdyby nie upór i zdrada. Żyd, przyjaciel emira Sewilli, paktował z muzułmanami, zdradził plany wojenne chrześcijan, liczebność poszczególnych grup wojennych oraz rozmieszczenie pozycji. Król nie wyrwał się z sidła żydówki, która była wysłanniczką diabła, i oto teraz dosięgła go kara boska.

Jego i kraj.

W dzielnicy żydowskiej Juderia ludzie tłoczyli się jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Żydzi, żyjący poza nią, szukali ochrony pośród jej mocnych murów. Nad aliamą wisiał potężny strach.

Don Efraim poprosił królową o łaskawe posłuchanie. Mężczyźni, zdolni do noszenia broni, zostali wezwani do obrony murów miasta. Don Efraim prosił, żeby aliamie wolno było owych tysiąc pięćset zbrojnych, którymi jeszcze rozporządzała, zatrzymać dla obrony dzielnicy żydowskiej. Wywodził, że wielka liczba żołnierzy żydowskich, którzy padli w bitwie pod Alarcos, dowodzi gotowości żydów Toledo poświęcenia życia dla króla. Teraz jednak aliamą jest zagrożona przez tych, którzy dali się podjudzić przez pozbawione sensu pogłoski, i potrzebuje gwałtownie zarówno swoich ludzi, jak i swej broni.

Pod wysokim czołem donn Leonor odbywała się gonitwa myśli. Niepowtarzalny, utęskniony dzień nadszedł; należało być teraz ostrożną; nie demaskować się, poprzestać na aluzjach.

— Lud Toledo — oświadczyła — widzi w nieszczęsnym wyniku bitwy karę bożą i szuka winnego. Nikt nie podejrzewa ludzi alia-my, którzy są znani jako wierni przyjaciele króla. Nic jednak nie jest wiadome o obcych, o owych uchodźcach z Francji, których pan nasz, król, w nadmiernej swej dobroci wpuścił do kraju, niedobrym wzrokiem patrzą ludzie na człowieka, który udzielił niedobrej rady wpuszczenia ich, na escrivano don Jehudę Ibn Esrę. Poza tym jest don Jehuda przy wszystkich swoich zasługach dumny, można powiedzieć, wyniosłym panem i przepych, w jakim żyje w czasie toczącej się wojny świętej, wywołuje gniew wielu szarych obywateli. Człowiek tak mądry, jak przewodniczący aliamy, musi to rozumieć.

Parnas był niezadowolony, że królowa wyrzekła się człowieka, którego sama wezwała i który sprowadził na kraj błogosławieństwo.

— Radzisz nam, królowo — zapytał ostrożnie — żebyśmy się oderwali od don Jehudy Ibn Esry?

— Skądże znowu, don Efraimie — odpowiedziała szybko doña Leonor. — Staram się tylko ustalić, przeciw jakim to żydom skierowana jest niechęć ludu.

— Wybacz mi moją natarczywość, królowo — upierał się don Efraim — ale nie chciałbym rozumieć cię źle w tej ważnej sprawie, o pani. Czy uważasz, że powinniśmy z Jehudą zerwać?

Królowa odpowiedziała lodowato, nieobowiązująco:

— Wydaje mi się, że grożące wam niebezpieczeństwo jest niewielkie; gdyby nie don Jehuda, nie istniałby nawet jego cień. — Po kłopotliwym milczeniu zakończyła z lekkim zniecierpliwieniem: — Tak czy inaczej, don Efraimie, używaj twoich ludzi, zdolnych do noszenia broni, albo do obrony Juderii, albo też do obrony Toledo: pozostawiam to twemu uznaniu.

Efraim skłonił się głęboko i odszedł. Udał się do Jehudy.

— Przykro mi, don Jehudo — rozpoczął — że cię jeszcze zastaję w castillo Ibn Esra. Nie ma chyba miejsca, które dawałoby ci teraz mniejszą ochronę.

Chcą mnie mieć za murami, pomyślał Jehuda z goryczą, chcą się mnie pozbyć. Odpowiedział z szyderczą uprzejmością:

— Odkąd mi po raz pierwszy udzieliłeś łaskawego upomnienia, myślałem często o tym, czy nie powinienem opuścić kraju, wraz z córką i przyjacielem mym Muzą. Ale przecież król, pan nasz, kazałby mnie ścigać. Nie sądzisz, don Efraimie? Nie wyobrażam sobie, jak potrafiłbym przedrzeć się na ziemię sultana przez olbrzymie połacie chrześcijańskie. Musicie mi wybaczyć moją obecność w Toledo, ty i aliamą.

Efraim powiedział:

— Juderia ma mocne mury i tysiąc pięćset młodych, zdolnych do noszenia broni ludzi dla jej obrony. Wydaje mi się, że to dziś odpowiednie dla ciebie miejsce, don Jehudo.

Jehuda nie ukrywał, że słowa Efraima zaskoczyły go; zorientował się od razu w wielkoduszności propozycji.

— Przebac mi moje niemądre szyderstwo — powiedział z niespotykanym u niego ciepłem. — Niewielu spotkałem w życiu przyjaciół, nie oczekiwałem tylu ludzkich uczuć.

Tak zazwyczaj opanowany, chodził teraz w podnieceniu tam i z powrotem. Wreszcie zatrzymał się przed Efraimem i zaczął mówić do niego po hebrajsku:

— Panie mój i nauczycielu, don Efraimie, czy pomyślałeś, ile Jud aria straci ze swego bezpieczeństwa, jeżeli udzieli mi schronienia?

Efraim odrzekł:

— Jesteśmy dalecy od tego, żeby przed człowiekiem, który nam uczynił tyle dobrego, zamykać w dniach ciężkiej próby nasze bramy.

Jehuda, miotany różnorodnymi uczuciami, zapytał:

— Czy zaproszenie to odnosi się również do donii Racheli?

Efraim odrzekł po chwili wahania:

— Tak, obejmuje również twoją córkę. — Nalegał: — Chodzi o twoje życie, don Jehudo. Jesteś mądry i wiesz to równie dobrze, jak i ja. Może za ratowanie cię będziemy musieli zapłacić krwią; powiedziałeś to i nie przeczę. Jesteśmy jednak przeświadczeni, że ofiara będzie Bogu miła. Opowiedziałeś się po naszej stronie dobrowolnie i wtedy, kiedy trzeba było wiele postawić na kartę. Proszę cię, pozbądź się w tej godzinie pychy. Daj nam sposobność wywdzięczyc ci s. ę.

Jehuda odrzekł:

— Ofiarni z was ludzie, spróbuję przyjąć wasze zaproszenie.

Nie przeczę bowiem, że serce moje jest pełne lęku. Ale jakiś głos wewnętrzny powstrzymuje mnie. Mógłbym udawać przed sobą i tobą, że nie chcę was narażać na niebezpieczeństwo, ale to nie jest powodem. Wierzaj mi również, że tego powodem nie jest moja pycha. To sprawa głębsza. Popatrz, jeszcze przy samym końcu ten król zmusił mnie do położenia pieczęci obok jego własnej pod owym zuchwałym pismem do kalifa. Uświadomiłem to sobie na nowo; los mój jest związany z losem tego króla Edomu. Prowadzałem wysoką grę, ale w dniu składania rachunku nie chcę uciekać.

— Zastanów się raz jeszcze — zaklinał go Efraim. — Nie będzie to ucieczka przed Adonai, jeżeli połączysz się z ludem, za którym się ofiarnie opowiedziałeś. Jest późno, don Jehudo. Może jutro nie będzie czasu na opuszczenie tego domu. Chodź ze mną. Weź swoją córkę i przybywaj.

Na to Jehuda:

— Odważny z ciebie człowiek i pełen dobroci, don Efraimie. Dziękuję ci, oby Bóg dodał ci jeszcze sił. Ale nie potrafię się w tej chwili zdecydować. Wiem, że godziny mijają. Ale mogę iść tylko za głosem swego serca i teraz nie jestem w stanie pójść z tobą.

Efraim, pogrążony w ciężkim smutku, powiedział:

— Przyślę do ciebie później wysłannika; mam nadzieję, że się namyślisz i wraz ze swą córką do nas przybędziesz. Oby Wszechmocny skłonił twe serce do właściwej decyzji.

Przewyciężając się, Jehuda odrzekł:

— Zanim odejdiesz, panie mój i nauczycielu, pozwól mi poprosić cię jeszcze o coś. Wnuk mój jest poza niebezpieczeństwem, nie wiem jednak, jak długo ten stan rzeczy potrwa. Nie wiem nawet dokładnie, gdzie się dziecko dziś znajduje. Wie o tym jedynie mój Ibn Omar, którego znasz. Będiesz go mógł odszukać, kiedy nastaną spokojniejsze czasy. Ibn Omar to

człowiek rozumny, zna moje zamiary i moją wolę, będzie z tobą mówił. Król Edomu chce swego synka, mego wnuka uczynić hrabią Olmedo. Bacz na to, żeby chłopiec pozostawał przed nim w ukryciu, pilnuj również tego, żeby nie został meszummadem. Niechaj chłopiec nie wie, kogo ma za ojca. Ochraniaj go przed Edomem i wiarą Edomu.

— Uczynię to, don Jehudo — obiecał mu Efraim. — A kiedy nadejdzie właściwa pora, powiem mu, że pochodzi z rodu Ibn Esra. — Zwrócił się ku wyjściu. — Niechaj Bóg będzie z tobą, Jehudo — powiedział. — Jestem dla ciebie przyjaźnie usposobiony. Gdyby kiedyś miało dojść między nami do sprzeczki, pamiętaj o tej godzinie, o której i ja będę pamiętać. A gdybyśmy się nie mieli zobaczyć, wiedz o tym, że liczne tysiące twego ludu błogosławią twe imię. Pokój z tobą, Jehudo.

— Iz tobą, Efraimie — rzekł Jehuda.

Po odejściu Efraima Jehuda siedział długo z poczuciem pustki. Nie żałował, że odrzucił propozycję Efraima. Należał do ludzi odważnych. Widział śmierć wielu ludzi i wiedział dokładnie, na czym ona polega. Wiedział, że arabskie twierdzenie, w myśl którego śmierć unicestwia wszystko, było czymś więcej niż pustym dźwiękiem, i nie wstydził się dygotać na myśl o czarnej pustce, w którą miał się zapaść.

To, że Efraim nie uważał jego odpowiedzi za ostateczną, odczuwał jako ulgę. Nawiedzały go coraz to nowe wątpliwości. Gzy razem ze sobą samym nie wtrącał córki w przepaść zagłady? Zanim dokona ostatecznego wyboru, musi ją zapytać o zdanie. Podporządkuje się jej decyzji.

W suchych słowach powiedział jej o śmierci, która teraz tutaj w Toledo wyciąga po nich swoje macki, o propozycji Efraima udzielenia im bezpiecznego schronienia w Juderii.

Rachela wiedziała o klęsce Alfonsa, ale dopiero teraz zorientowała się ze słów ojca w całym jej straszliwym rozmiarze. Odczuwała potworny strach o siebie i ojca i jeszcze większą od tego strachu litość dla Alfonsa. Czy ten człowiek, ten król, będący wcieleniem promienności i zwycięstwa, potrafi przetrzymać tę klęskę? Myśląc szyderczo, a równocześnie tkliwie: Teraz nieszczęsny biedak nie pokaże mi mojej Sewilli, widziała przed sobą jego twarz pełną zaciekłości, furii i zżerającej go boleści. Równocześnie radowała się: Wróci niedługo, bardzo niedługo do La Galiany. Obiecał mi to. Nie będzie miał na sobie ani pancerza, ani zbroi, słowa moje zapadną w jego pierś.

Kiedy Jehuda skończył mówić, odparła bez wahania:

— Nie wolno mi pójść do Juderii, mój ojczu. Don Alfonso polecił mi czekać na niego w La Galianie.

To, że myślała jedynie o życzeniu Alfonsa, ugodziło go w samo serce. Powiedział:

— Jeżeli taka jest twoja wola, moja córko, i ja nie pójdę do Juderii.

Nie powiedział tego z właściwym sobie zdecydowaniem, przeciwnie, patrzył badawczo w jej spokojną twarz. Miał jeszcze odrobinę nadziei, że Rachela sprzeciwi się i powie: „Nie, mój ojczu, nie chcę, żebyś zginął. Chcę, żebyś żył. Będę ci posłuszna, poddam się każdej twojej decyzji”. Nie powiedziała jednak nic. Pomyślał z goryczą: Sam oddałem ją w ręce tego człowieka, sam ją pchnąłem w jego ramiona. Nie wolno mi teraz biadać nad tym, że woli, bym zginął, niż żeby miała działać wbrew życzeniu tego człowieka.

Nagle poprosiła go pod wpływem jakiegoś olśnienia:

— Przybądźże do mnie, mój ojczu. Do mnie, do La Galiany.

Z jej wyrazistej twarzy wyczytał, co się dzieje w jej wnętrzu. Zrozumiała, w jakim niebezpieczeństwie oboje się znaleźli, ale mimo to wierzyła, że w La Galianie będzie bezpiecznie, inaczej bowiem Alfonso nie poleciłby jej, żeby tam została. Jehuda wiedział, że to marzenie i obłąd, że jedno z nich stanowi niebezpieczeństwo dla drugiego, że żadne z nich nie jest w stanie pomóc drugiemu. Ale wyobrażanie sobie, że w chwili najgroźniejszej będą razem,



dodawało otuchy, więc nie chciał tego jej szaleńczego marzenia rozwiewać. Wyraził swą zgodę, żeby jeszcze dzisiejszej nocy udać się z nią do La Galiany.

Wezwał Muzę, by im towarzyszył. Muza uważał za rzecz zrozumiałą i to, że Rachela pozostaje w La Galianie, i to, że Jehuda chce być tam razem z nią. Był jednak zdania, że dla niego zmiana miejsca pobytu jest w takiej sytuacji pozbawiona sensu.

— Zostaw mnie tutaj przy naszych książkach — powiedział. — Byłoby karygodne pozostawić je bez dozoru. Może — ożywił się teraz — byłoby wskazane jakieś dwa, trzy spośród najkosztowniejszych rękopisów przenieść do Juderii. Jak to dobrze, że Se-fer Hillali już się tam znajduje.

Po wczesnej kolacji Jehuda i Muza pozostali jeszcze razem, gawędzili, popijali. Otaczała ich woń wielu wspólnie spędzonych lat. Mówili o swoich troskach i kłopotach rzeczowo, jak ludzie wielce doświadczeni. Mówili ze spokojną, szyderczą czcią o śmierci.

Muza stał przy swoim pulpicie, kreśląc koła i arabeski, mówił:

— To nie gwiazdy Alfonsa wpędziły jego i nas w tę kłopotliwą sytuację. Powodem jest jego natura, jego duch rycerski. Rycerstwo i dzuma to najstraszliwsze bicze, jakimi Bóg smaga i poskramia swe stworzenia.

Jehuda nie mógł nie opowiedzieć przyjacielowi, z jak, im ciepłem Efraim słał jego zasługi:

— A więc żydzi jednak zrozumieli — mówił dalej pokornie, ale nie bez dumy — że pomagałem im nie w pogoni za sławą, bogactwami i blaskiem.

Muza potwierdził skinieniem głowy i powiedział:

— Wiem, że często działałeś nie tylko dla zdobycia rozgłosu, lecz powodowany wielkodusznością serca. — Po chwili dodał mentorskim, ale przyjaznym tonem: — Hipokrates powiada, że podobnie jak choroby, działania ludzkie rzadko kiedy wypływają z jednej przyczyny; każde poszczególne działanie ma różnorakie korzenie.

Jehuda odparł z uśmiechem:

— Nie można powiedzieć, żebyś był w pochwałach rozrzutny, przyjacielu mój Muzo.

Rozmowa nie kleiła się. Im bliższa stawała się chwila, w której Jehuda miał odejść, tym trudniej było obu przyjaciółom, zwykle tak wymownym, znaleźć właściwe wyrazy. Kiedy Jehuda się podniósł, uścisnęli sobie dłonie w głuchym milczeniu.

Po chwili Muza niespodziewanie, niezgrabnie objął Jehudę. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się nic podobnego. Kiedy Jehuda odszedł, Muza stał jeszcze długo z opuszczonymi ramionami, z wzrokiem utkwionym- w ziemię.

Kiedy następnego ranka Jehuda obudził się w La Galianie, nie wiedział przez mgnienie oka, gdzie się znajduje. Potem uświadomił sobie, gdzie jest i co temu domowi grozi. Ale nie odczuwał teraz strachu. Ogarnął go wielki spokój, czuł to poddanie się losowi, które mu tak często zachwalał Muza.

Zamknął oczy i jeszcze chwilę leżał spokojnie. Z patio dochodziły głosy ptaków, kilka łagodnych promieni słonecznych, które się przedzierały przez okiennice, błędziło po jego twarzy. Leżał, zażywał spokoju. Dotychczas myślał zawsze, że musi liczyć i planować dla siebie i dla innych, teraz nareszcie po raz pierwszy poczuł odpoczywając, czym jest spokój. Spokojem tym delectował się całą swą istotą.

Wstał, wykąpał się, potem powoli ubrał się. Na palcach przeszedł przez dom d ogród. Zobaczył na ścianach liczne napisy w językach hebrajskim i arabskim. Stwierdził, że ktoś rozbił szkło mezuzy, zasypał cysterny rabiego Chanana. Na chwilę ogarnęła go dzika, gniewna zazdrość. Od razu jednak potrząsnął głową nad samym sobą i niezadowolnienie przeszło w świadomą radość z tego, że w ciągu nielicznych dni, które pozostały, Rachela należy do niego, a

nie do tamtego.

Siedział na brzegu niewielkiego stawu w pozycji na pół leżącej, jak wtedy ma stopniach fontanny. Rozkoszował się tym, że nie musi już myśleć o przyszłości, podejmować decyzji. Rozwahał, co zaszło, i we wspomnieniu wszystko, i radosne, i smutne, było dobre. Myślał o pobożnych, opętanych, pełnych pogardy oczach Tobii; myśl ta nie gniewała go i nie zawstydziała.

Myślał również o swym synu Alazarze. Dotychczas silna jego wola nie dopuszczała do tego, żeby wspomnienie o nim dotarło do jego świadomości. Z nieruchomą twarzą przyjął wiadomość o tym, że giermek królewski Alazar został w bitwie pod Alarcos zabity, nie pytał o szczegóły, gdyż dla niego chłopiec umarł już od dawna. Teraz, siedząc na brzegu stawu w La Galiande, myślał o synu ze smutkiem i bez gniewu.

Zjawił się służący, żeby go poprosić do Racheli. Jedli śniadanie gawędząc o miłych, obojętnych sprawach. Ani słowem nie wspomnieli o zagrażającym im niebezpieczeństwie. Rozgardiasz panujący w mieście Toledo nie dotarł do La Galiany. Otaczał ich spokój. Dom i ogród były utrzymane we wzorowym porządku, rozmaitość potraw nęciła wzrok, bezszelestni służący czekali na rozkazy.

Po kilku godzinach mieli wrażenie, że są tu razem od tygodni. Chodzili po ogrodzie, zażywali chłodu panującego w domu, szukali się nawzajem, pozostawali sami.

Mieli żyć jeszcze trzy dni, ale tego nie wiedzieli. Widzieli, jak zegar słoneczny liczy godziny, jak cicho posuwają się rzekome wskazówki. Gdzieś w głębi ducha Jehuda wiedział, że liczone są tutaj ostatnie godziny. Ale nie chciał tą świadomością mącić ich spokoju.

Rachela dobrze i wielokrotnie przemyślała ową rozmowę z ojcem i wiedziała, że jest zagrożona. Ale nie wierzyła w to. Alfonso powiedział: „Czekaj na mnie”. Alfonso zjawi się. To niemożliwe, żeby śmierć, niszczycielka wszystkiego, pochwyliła ją, zanim Alfonso się zjawi. Poszła pod górę na miejsce, z którego można było widzieć drogę prowadzącą z Toledo. Czekwała żarliwie i z otuchą.

Na drugi dzień przybył do Galiany, narażając swe życie, don Beniamin, jako wysłannik Efraima. Płomiennymi słowami zaklinał Jehudę i Rachelę, by się schronili pod bezpieczne skrzydła Juderii. Jehudę dręczyło i uszczęśliwiała, że są jeszcze raz kuszeni. Ale Rachela powiedziała łagodnie i zdecydowanie:

— Don Alfonso kazał mi pozostać tutaj. Pozostanę. Ty, przyjacielu mój don Beniaminie, zrozumiesz mnie.

Choć słowa te były dla Beniamina udręką, rozumiał Rachelę. Duma jej była złączona z tym rycerzem, z królem Edomu, z człowiekiem wojny. Klęska, którą haniebnie przegrane bohaterstwo sprowadziło na półwysep, nie zamąciła jej jego blasku. Kochała go w dalszym ciągu, wierzyła w niego. Ponieważ rzucił jej władczo parę przyjaznych słów, zrezygnowała z ratunku w Juderii. Więcej jeszcze: nie mógł sobie donii Racheli, tej Racheli, która stała przed nim taka łagodna i wyniosła zarazem, wyobrazić wśród ludzi Juderii. Zazdrość, złość, niechętny podziw, zniewagi i ciekawość sączyłyby się tam na nią i plamiłyby ją. Nie można jej sobie było wśród tego plugastwa wyobrazić.

Powiedział:

— Nie będę dalej namawiać ani ciebie, donio Rachelo, ani ciebie, don Jehudo. Pozwólcie jednak pozostać mi tutaj do zapadnięcia nocy. Potem wrócę bez was.

Został i okazał się nienatarchywym, delikatnym gościem. Czuł, kiedy Rachela chciała być z ojcem sama, zjawiał się we właściwej chwili. Przebywali we trójkę razem, to znowu Jehuda siedział z Rachelą w jej pokoju, albo też Beniamin przechadzał się z nią, po wysypanych żwirem ścieżkach ogrodu.

Rachela mówiła niewiele, ale małowówność jej była dla Beniamina wymowniejsza od

słów. Próbował ją rysować. Zrezygnował. Współzawodniczenie z Bogiem, który tę istotę stworzył, było zuchwalstwem. Nawet mistrz nad mistrze nie potrafiłby oddać wewnętrznej harmonii, łączącej w jedną całość postać jej, twarz, ruchy. Potwierdziły się w niej słowa Platona: „Piękność nie stoi wyżej od innych ideałów, ale błyszczy poprzez oko, będące naszym najjaśniejszym zmysłem, jaśniej, niż wszystkie inne pra-wzory, przez swą cielesność”. Była uosobieniem, żywym przykładem wszystkiego, co człowieka uszczęśliwia i wywyższa. Każdy, kogo obrzuca przelotnym chociażby spojrzeniem, musi stać się lepszy. Ten brutalny i rycerski król był jedynym człowiekiem, który nie stał się przez nią lepszy, i dlatego jedynym, którego Benjamin tego dnia nienawidził. Odczuwał z bólem, że Rachela ma ciągle jeszcze nadzieję na uczłowieczenie tego podczłowieka; ta jej dziecinna, niezłomna wiara sprawiała, że kochał ją jeszcze bardziej.

Późnym popołudniem Jehuda siedział z Beniaminem nad brzegiem stawu. Było bardzo gorąco, ale tutaj upał wydawał się mniej dręczący. Chłodzili nogi w wodzie, rozkoszowali się jej chłodem. Działo się to w przededniu śmierci Jehudy.

Jehuda poprosił:

— Powiedz mi, mój młody, uczony w Piśmie i innych mądrościach don Beniaminie, co nauczyciele twoi myślą o dalszym życiu po śmierci i co ty o tym myślisz?

Don Benjamin spoglądał na tańczące nad stawem komary, zobaczył liść, który wpadł do wody i unosił się na jej powierzchni. Przygotowawszy sobie odpowiedź, powiedział:

— Pan nasz i nauczyciel Mojżesz Ben Majmon uczy nas: udział w nieśmiertelności ma tylko „świadoma część” człowieka. Tylko „rozum nabyty” przeżyć może ciało, tylko owa mała, najszlachetniejsza część duszy ludzkiej, która uczciwie i z powodzeniem trudziła się nad dotarciem do prawdy. Tak uczy Mojżesz Ben Majmon. — Milczał przez chwilę, potem dodał: — Ale w Talmudzie czytamy: „Dla pokoju można poświęcić nawet prawdę”.

Zapadł wieczór. Benjamin przeciągnął chwilę pożegnania. Ale błąd, nikły księżyc stawał się coraz jaśniejszy — trzeba było iść.

Jehuda i Rachela odprowadzili go do bramy.

— Pokój z wami — powiedział.

Na zakręcie lekko wznoszącej się ku górze drogi odwrócił się. W zamglonym świetle migotał napis: Alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo. Jehudy i Racheli już nie było.

Coraz gwałtowniejsza stawała się żądza ludu Toledo pomszczenia na winnych klęski pod Alarcos. Tylko nieliczni nie ulegli tej dzikiej, świętej furii, której pełne było powietrze. Żydzi, ukazujący się poza murami Juderii, padali pastwą prześladowań, wielu z nich zabito. Ucierpiało również poważnie kilku chrześcijan arabskich. Nasuwała się konieczność przedsięwzięcia surowych zarządzeń ochronnych.

Królowa wezwała don Guitierra de Castro.

Słodko i podstępnie oświadczyła mu, że ma wątpliwości, czy można w dalszym ciągu powierzać pieczę nad bezpieczeństwem wielu zagrożonych oficerom kastylskim. Gdyż z powodu utraty braci i synów nie są skłonni do bronienia ludzi, których lud, nawiasem mówiąc niesłusznie, uważa za winnych nieszczęścia. Dlatego dla ustrzeżenia miasta od niepokoju nadawałby się chyba bardziej Aragończyk.

— Wyświadcz mi tę przysługę, don Gutierre! — zażądała. Nie spuszczała z jego twarzy spojrzenia swych zielonych oczu, targała rękawiczkę. — Wiem — ciągnęła dalej — że zadanie to niełatwe i może nie będzie możliwe spośród licznych tysięcy obronić każdego. Mogę sobie wyobrazić sytuację, w których lepiej będzie poświęcić jednostkę w interesie wielu tysięcy.

De Castro namyślał się. Potem, swoim zwyczajem powoli, odpowiedział:

— Wydaje mi się, że cię rozumiem, o pani. Zrobię wszystko, co w mej mocy, żeby

okazać się godnym twego zaufania. — Skłonił się głęboko i czołobitnie, wziął rękawiczkę z czułością niemal.

Ledwie de Castro opuścił królową, zameldowano jej kanonika. Owa dzika niechęć, która raz już pchnęła do niej don Rodriga, nie ustąpiła. Stwierdził z gniewem i bólem, jak jest bezbronny wobec dzikiego szaleństwa, które rozgorzało w mieście. Musi raz jeszcze upomnieć donię Leonor.

Wezwał ją w gwałtownych słowach do ochrony niewinnych. Odpowiedziała z uprzejmym, książęcym wyrzutem:

— Czy sądzisz naprawdę, mój bardzo czcigodny ojciec i przyjacielu, iż Bóg osadził na tronie Kastylii osobę tak nieodpowiednią, iż zachodzi potrzeba zwracania się do niej z takimi upomnieniami? Co można było zrobić, to zrobione zostało. Nie zażądałam od aliamy dla murów miejskich ani jednego człowieka, żydzi mogą więc dla swej własnej obrony użyć mocnego zastępu wojsk ochronnych. Poza tym z ostrożności opiekę nad zagrożonymi powierzyłam Aragończykom, żeby przypadkiem któryś z rycerzy kas-tylskich nie potraktował podlegaczy łagodnie i ze spokojem. Ozy uczyniłam słusznie, don Rodrigue?

Kanonik wiedział, że gniew mieszkańców Toledo skierowany jest przede wszystkim przeciw Jehudzie, i byłby o niego chętnie zapytał. Najchętniej poszedłby do castillo, i to nie tylko z przyjaźni dla Jehudy; czuł coraz gorętszą potrzebę pomówienia z światłym Muzą o potwornych wypadkach, które się dokoła rozgrywały. Ale czy jako pokutę za ową miękkość, która mu w owym okresie była zakazana, nie przyrzekł sobie, że będzie unikać zamku? Czy troska o Jehudę nie była może pretekstem, żeby tam pójść? Kto jak kto, ale Jehuda miał chyba dosyć siły, żeby się samemu ochronić. Poza tym nie można sobie było wyobrazić, żeby ktoś z Kastyljczyków chciał pokusić się o życie lub mienie członka rady królewskiej. Miał wrażenie, że byłby podwójnie śmieszny, gdyby królowej, która przyglądała mu się nieco szyderczo, okazał swój strach o osobę escrivano. Podziękował więc donii Leonor za jej względy i oddalił się.

Wypełniając polecenie gorliwie i skrupulatnie don Gutierre de Castro poinformował się naprzód dokładnie, jak wygląda sytuacja Arabów chrześcijańskich. Zajmowali oddzielne mieszkania dokoła swoich trzech kościołów, byli ludźmi małymi, przeciętnymi. Rozprawianie się z nimi nie mogło nęcić tłumu, toteż zostawiono ich w spokoju. Ale mury ich i bramy były słabe, więc umieścił w obrębie dzielnicy dwa oddziały. Potem zbadał siłę murów i bram Juderii. Były mocne, włamanie się przez nie wymagałoby ze strony bezładnych mas niemałego wysiłku. Mimo to de Castro zapytał parnasa, czy ma mu udzielić zbrojnej pomocy; don Efraim odmówił uprzejmie.

Dzielnice żydowskie, znajdujące się poza bramą, ewakuowano; pozostali w nich tylko starcy i dzieci. W licznych stojących pustką domach zakwaterowali się uchodźcy chrześcijańscy. Domy, z których można było coś zabrać, zostały splądrowane. W synagodze wszystko porozbijano na miazgę. Na alwemorze, na estradzie, z której w sabat odczytywano Pismo Święte, jakiś dowcipniś umieścił kukłę, będącą karykaturą starego żyda. Zobaczywszy ją de Castro uśmieł się serdecznie.

O ile tutaj niewiele było dla niego do roboty, o tyle przyjęte zlecenie wydawało mu się bardziej ryzykowne, kiedy stanął przed castillo.

Stawał tam często. Wielu tam stawało. Ponieważ do Juderii nie można się było dostać, a rozprawianie się z kilkoma żalosnymi podejrzanymi, znajdującymi się poza murami, nie było warte wysiłku, mieszkańcy Toledo czuli coraz większy pociąg do tego, by swój święty gniew kastylski wyładować na bogatym zamku i legendarnych skarbach. Trzeba ten zuchwale lśniący zamek obrócić w gruzy. Trzeba oszusta i zdrajcę, który rozsiadł się w nim jak czarny pająk, schwytać i rozdeptać wraz z jego córką, tą czarownicą, która opętała króla. Będzie to czyn, który

się spodoba Bogu, stanie się w tych smutnych czasach właściwym pokarmem dla serc i umysłów. Mijając zamek de Castrów spotykał zawsze kupę gawiedzi, spoglądającej chętnie w stronę murów.

Przez głowę de Castra przewalały się wolno i niezgrabnie różne myśli. Czyżby żyd z zuchwalstwa przebywał jeszcze w tym domu? Był tchórzem, ale równocześnie pyszałkiem, któremu godności przewróciły w głowie, jest więc rzeczą bardzo możliwą, że jeszcze tutaj przebywa. Dom należał do niego, de Castra, był to castillo de Castro, ojcowie jego zdobyli go przed stu laty na muzułmanach. Doña Leonor również oświadczyła, że to jego domostwo. Kiedy wojna naprawdę rozgorzeje, powiedziała, wyrzuci się żyda. Bardziej już rozgorzeć nie mogła. Bitwa została przegrana z winy nikczemnych postępków tego żyda. To, że się zuchwale rozpiera w castillo, było nie do zniesienia. Tysiącom pozostałych żydów groziło niebezpieczeństwo z powodu tego łotra i arcyzdrajcy. Nie żałuje ich, ale przyjął zlecenie, żeby ich ratować, i doña Leonor rozkazała mu wyraźnie raczej poświęcić jednostkę, niż narażać tysiące.

Kiedy de Castro mijał dom, przystawał, jak i inni, i czekał. Czekali wszyscy, było w tym czekaniu coś groźnego. Nikt nie chciał pierwszy wyciągnąć ręki po domostwo potężnego escrivano.

De Castro zjawiał się pod domem coraz częściej. Dom ciągnął go ku sobie. Widział ciągle to samo: tłum stał przed domem gniewny, mrukliwy i czekał.

Pewnego razu już z daleka usłyszał przeraźliwe wrzaski. Przyśpieszył kroku. I oto zobaczył wielki tłum, walący w olbrzymią bramę. Ludzie uderzali w żelazo potężnymi sztabami, słyhać było te uderzenia poprzez gwar i wrzawę. Nie zjawiał się jednak żaden wartownik. Wreszcie ktoś z tłumu wskoczył na ramiona sąsiada i zaczął drapać się po murze. Wśród entuzjastycznych okrzyków znalazł się szybko na samej górze, zniknął za murem. Po chwili brama uchyliła się nieco, a w niej pojawiła się roześmiana, triumfująca twarz tego, który się wdrapał po murze. Żartobliwym, uprzejmym gestem zapraszał pozostałych, by weszli.

De Castro stał i rozważał. Miał obok siebie kilku swoich ludzi, mógł bez wielkiego trudu obronić bramę i wytrwać przy niej do nadejścia posiłków. Ale czy nie otrzymał polecenia, by ratować wielu za cenę jednego? Stał beczynnym, coraz więcej ludzi wdzierało się do środka przez uchylone wrota bramy.

Wreszcie poszedł w ich ślady. Stanąwszy w pierwszym dziedzińcu krzykacze umilkli. Nikt z mieszkańców zamku nie pokazał się, żaden służący, nikt z pisarzy. Zakłopotany tłum posuwał się wzdłuż murów, otworzył z ociąganiem się drugą bramę, prowadzącą do wnętrza. Stali wśród milczącego przepychu zdumieni, zmieszani, głupawo uśmiechnięci. Posuwali się dalej. Potrącili przez nieuwagę jedną wazę, potem drugą. Rozpękła się. Ktoś spośród tłumu wziął z niszy kielich z kunsztownego szkła, grzmotnął nim o podłogę; kielich nie rozpękł się na grubym suknie, pokrywającym podłogę. Człowiek z tłumu ogarnięty gniewem rozerwał sukno. Kielich rozprysł się teraz z hałasem na kamiennej posadzce.

Zjawił się przerażony służący, muzułmanin. Chciał coś powiedzieć, załagodzić, zaapelować do rozumu, może pragnął również zakomunikować, że pan domu jest nieobecny. Nie słyszano go w ogólnym zgiewku, nie chciano go słuchać. Wymierzono mu kilka policzków, zaczęto go potrącać, z początku nieśmiało, potem coraz gwałtowniej. Leżał teraz zalany krwią, ledwo dysząc. Tłum radował się, szalał. Darł, rozbijał, łamał wszystko, co się rozedrzyć i połamać dało.

De Castro przyglądał się z pewnym zakłopotaniem. To jego dom. Wojna rozgorzała, doña Leonor oświadczyła mu, że to jego domostwo. Zdaje się, że żyda, który się w nim rozpanoszył, nie ma; może wlaźł do jakiegoś kąta — to się jeszcze pokaże. Nareszcie ten dom należy znowu do niego. Dom to bardzo bogaty, występny, pogański. Do czego ten żyd się posunął w swym

zuchwalstwie! Co zrobił z jego pocziwego, rycerskiego, chrześcijańskiego castillo!

Powoli, olbrzymimi krokami, pobrząkując ostrogami de Castro minął salę, wszedł na małą estradę, stanął przy otaczającej ją balustradzie. Barczysty, rosły, stał, jak tego wymagał obyczaj, z rozstawionymi nogami, opierając grube ręce o miecz. Głęboko osadzonymi oczyma spoglądał na ludzi, uwalniających dom jego od plugastwa, którym go żyd splamił.

Tymczasem coraz większa ilość ludzi wdzierała się do zamku; tłum rozwalił całą bramę. Szeroki, cichy dom z obszernymi salami i małymi pokojami, z dziedzińcami i izbami stał się nagle pełen wrzeszczących, wściekłych ludzi. Niektórzy pakowali do kieszeni to, co im się wydawało cenne. Większości jednak wcale na tym nie zależało, znajdowała rozkosz w rozbijaniu i niszczeniu. Tłum szukał żyda, ale go nie było; stchórzył i uciekł. Znaleziono tylko kilku żalonych służących, których można było okładać kijami. Ale pozostał przynajmniej dobytek żyda, owe kosztowne, przeklęte skarby, dla których splądrował i zdradził kraj. Wściekłość tłumu zwróciła się przeciw tym przedmiotom. Rwano wszystko na sztuki, rozbijano, niszczone z pasją i triumfem.

Szaleństwo udzieliło się de Castrowi. I on poczuł w sobie żądzę niszczenia, rozbijania! Wszystko to przesubtelnione, obfite, żydowskie, zniewieściałe, pogańskie, musi przestać istnieć. Waląc mieczem w łamliwe, delikatne drobiazgi wołał: Precz z tym! Walił również swym mieczem w napisy na ścianach, dopóki nie zaczęły odpadać ozdobne kamienie.

Zbliżył się do niego cichy, szczupły pan w kapłańskiej szacie, dotknął jego ramienia. Był to don Rodrigue.

Na ogół don Rodrigue wołał nakładać drogi, niż zbliżać się do castillo — bał się pokusy. Ale dziś, słysząc dzikie wrzaski, znalazł się przed zamkiem pod wpływem strachu. Widział, jak szeroko otworzyła się brama, jak wpadli przez nią ludzie, wydając wściekle okrzyki. Ruszył za nimi. Tłum usuwał się przed kapłanem i oto Rodrigue wpadł niemal w ramiona tego po zęby uzbrojonego człowieka, który, choć był rycerzem, brał udział w złej sprawie.

Człowiek ten patrzył na kapłana z dziką niechęcią. Kapłan rzekł:

— Jestem Rodrigue, członek rady koronnej.

De Castro uśmiechnął się szeroko, wyzywająco:

— A ja, przewielebny panie, jestem don Gutierre de Castro, głowa rodu, od którego nazwiska dom ten otrzymał swe miano.

Rodrigue przypomniał sobie zarządzenia ochronne królowej. Powstało w nim mgliste podejrzenie.

— Dopuszczasz, żeby ci tutaj plądrowali i niszczyli? — zapytał.

— Czy dobrzy Kastyljczycy mają się cackać — odpowiedział de Castro pytaniem — kiedy szukają zdrajców? Wobec wybicia kwiatu rycerstwa chrześcijańskiego kilka żydowskich dywanów i parę zwojów pergaminu jest chyba bagatelą.

Rodrigue zapytał:

— Czyś to ty otrzymał zlecenie ochraniać zagrożonych?

Gutierre spojrział spokojnie w twarz kapłana.

— Tak — odparł — i będę mógł ze spokojnym sumieniem zwrócić królowej rękawiczkę. Spełniłem co do joty jej polecenia. Pozwoliłem ludowi, żeby się wyszalał w swym gniewie na jednostkach obarczonych winą, pomogłem wielkiej masie tych, których się obwinia niesłusznie.

Rodrigue, zaskoczony, nie wierząc własnym uszom, zapytał:

— Takie otrzymałeś polecenie?

— Taki jest rozkaz królowej — rzekł Gutierre.

Rodrigue zdjęty przerażeniem zapytał:

— Cóż się dzieje z don Jehudą? Czy przytrafiło mu się coś złego?

De Castro wzruszył pogardliwie ramionami:

— Tutaj w każdym razie nie — odparł. — Ten pies pewnie się gdzieś ukrył.

Rodrigue odetchnął. Było tak, jak przypuszczał: don Jehuda schronił się w bezpiecznym miejscu.

Odzyskawszy równowagę, oświadczył:

— Jesteś krzyżowcem. Wzywam cię w imieniu Kościoła, żebyś położył kres temu bezeceństwu.

De Castro spojrział dokoła i stwierdził, że niewiele jest tu jeszcze do zniszczenia.

— Łagodność przystoi kapłanowi — powiedział z dobrotliwym szyderstwem i dał swoim ludziom rozkaz przepędzenia z domu nieproszonych gości. Tak się też stało.

Don Gutierre pożegnał uprzejmie kanonika, raz jeszcze spojrzął na dokonane dzieło i odszedł pełen radosnej nadziei, że to siedlisko pogańskiego przepychu zmieni z powrotem w castillo de Castro.

Rodrigue pozostał w splądrowanym domu. Słyszał, jak go opuścili ostatni z tych, którzy do niego wtargnęli, jak z głuchym hukiem zatrasnęła się wielka brama. Nagła cisza była niemal dręcząca: siadł wśród gruzów i szczerb, pełen ciężkiego, bolesnego zmęczenia. Tkwił tak długo. Wreszcie wstał, powłókł się przez komnaty, które znał tak dobrze. Ze wszystkich stron spoglądały nań rysy, dziury, gruzy. Chodził dalej po opustoszałym domu. Zbierał z ziemi szczerby, kawałki mebli, strzępy materiałów, potrząsał głową. Natrafił na zabrudzoną, podartą książkę. Wziął ją, próbował wygładzić kartki, poskładać porozdzierane strony. Rzucił machinalnie okiem na tytuł: „Etyka” Arystotelesa.

Dotarł do okrągłej sali Muzy. Pełno tu było do niedawna poduszek, o które przyjaciel tak często opierał się, gawędząc z nim. Co się z Muzą stało? Tu stał pulpit, sponad którego tak chętnie wypowiadał przez ramię swoje mądre, łagodne, szydercze zdania. Pulpit był porąbany; nie mały to musiał być wysiłek rąbać siekierą mocne, szlachetne drzewo. Liczne kolorowe litery, składające się na cytaty umieszczone na ścianach, były poobtłukiwane i leżały na podłodze. Kanonik spojrział odruchowo na zdanie: „Człowiek nie jest lepszy od zwierzęcia”. Zauważył, że w słowie „hebehemah”, oznaczającym „zwierzę”, wybite zostały litery „b” i „m”; dziwnym obiegiem okoliczności oszczędzona została trzykrotnie się powtarzająca litera „h”.

Rodrigue skulił się znowu na posadzce, zamknął oczy. Z zewnątrz dochodził miarowy plusk fontanny.

Czy się mylił, czy też w ogrodzie rozległ się odgłos ostrożnych kroków? Słuch go nie omylił. Nagle zjawiała się przed nim kochana, brzydka, mądra twarz, tak dobrze mu znana. Muza powiedział spokojnym, bezdźwięcznym, nieco ironicznym głosem:

— Dobrze, że po tylu głośnych gościach. pozostałeś tylko ty, cichy mój, wielce dostojny przyjacielu.

Rodrigue był tak poruszony, że nie mógł wymówić słowa. Ujął rękę tamtego i pogłaskał ją.

— Przyszedłem za późno — powiedział wreszcie. — Jednak i tak nie byłbym chyba w stanie zdusić rebelii. Ale ty żyjesz!

Muza nie przypuszczał nigdy, że głos tamtego może brzmieć tak ciepło. Rodrigue trzymał ciągle jeszcze rękę przyjaciela, spoglądali na siebie, uśmiechali się, śmiali się.

Po chwili kanonik zapytał o Jehudę. Kiedy Muza poinformował go, że Jehuda przebywa u swej córki w La Galianie, Rodrigue odetchnął.

— W domu króla jest chyba bezpieczny — powiedział. — Mimo to na wszelki wypadek pójdę jeszcze dziś do donii Leonor i zażądam dla Galiany mocnej ochrony. A teraz,

przyjacielu mój, Muzo — oświadczył władcym tonem, którym się na ogół nie posługiwał — pójdiesz do mnie i nim miasto się uspokoi, będziesz mieszkać w moim domu.

— Powinienem być już przedtem przyjść do ciebie — odparł Muza — ale mówiłem sobie: w takich czasach stary kacerz, w dodatku muzułmanin, nie jest wygodnym gościem.

— Wybacz, mój mądry przyjacielu — odparł Rodrigue — ale pierwsze to niemądre oświadczenie, jakie zdarzyło mi się od ciebie usłyszeć. Chodźmy!

Muza poprosił o chwałę zwłoki.

— Muszę jeszcze — powiedział — zabrać moją kronikę i kilka książek.

Z chytrą, triumfującą miną wtajemniczył tamtego, że oba cenne rękopisy — Avicenny i rękopis ateński „Republiki” Platona — kazał przenieść do Juderii. Potem zszedł na dół do piwnicy i promieniejący, radośnie uśmiechnięty wrócił po chwili z rękopisem swej kroniki pod pachą.

Ci, którzy szaleli w castillo, ociągali się z rozejściem. Byli rozczarowani, że nie udało się przy okazji płądrowania zamku skończyć ze zdrajcą i czarownicą. Ruszyli przed Juderię, żądając wydania Jehudy i Racheli, ale ludzie, do których można było mieć zaufanie, oświadczyli, że ani Jehudy, ani Racheli nie ma w Juderii.

Wściekłość, wywołana tym, że się wymknęli, rosła. Dopóki oddychali, rozprzestrzeniali truciznę i zło, było więc po prostu obowiązkiem każdego dobrego chrześcijanina i Kastylijczyka usunąć ich ze świata. Tym dwojgu, ojcu i córce, Bóg już zapowiedział swą karę. Czy syn, którego żydówka panu naszemu, królowi, urodziła — wiadano o tym od ogrodnika Galiany, niejakiego Belarda — czy syn ten nie zginął w zagadkowy sposób? Zapewne Bóg zabrał go, kładąc w ten sposób grzech śmiertelny. Czy żydówka nie wyłowiła już przed miesiącami w rzece Tag głowy topielca?

Ktoś z tłumu powiedział, że podobno ów ogrodnik Belardo twierdzi, iż czarownica w dalszym ciągu mieszka w La Galianie jak gdyby nigdy nic nie zaszło; w dodatku ściągnęła do siebie ojca. Większość nie chciała wierzyć w możliwość tak szatańskiego zuchwalstwa. A może by zobaczyć, zaproponował ktoś. Zaskoczony tłum, dla którego słowa te były pokusą, wahał się; castillo było domem żyda, La Galiana to dom króla. Kilku oświadczyło, że można jednak pójść pod Galianę; potem pokaże się, co dalej. Projekt spodobał się.

Znaleźli się już tacy, którzy ruszyli drogą, prowadzącą w dół ku mostowi. Szli powoli, liczba ich zwiększała się, wkrótce były ich setki, tysiące.

Zmęczeni upałem znaleźli się na głównym placu, zwanym Zoco-dover. Na zapytania, czego chcą, chętnie odpowiadali, pytający śmiali się z aprobatą. Przy wielkiej bramie miejskiej wartownicy zapytali:

— Dokąd zmierzacie?

Odpowiedzieli:

— Chcemy zobaczyć, gdzie są ci, o których wiecie.

Wartownicy śmiali się również. Przed wieżami wielkiego miasta pytanie: „dokąd zmierzacie?” postawili żołnierze. Po otrzymaniu odpowiedzi i oni zaczęli się śmiać.

Tak tedy w strasliwym upale ciągnęły na dół tysiące. Przyłączało się do nich coraz więcej chętnych. Tłum urósł teraz do dwóch tysięcy głów.

Więść o pochodzie w stronę Galiany dotarła do de Castro. Ruszył więc konno w otoczeniu niewielkiej świty, dogonił tłum, pozwolił mu minąć się, znowu go dogonił, znowu go przepuścił. Wolno, niezbyt wyraźnie przewalały się w nim myśli. Rozwahał: Muszę bronić własności króla. Jeżeli jednak na drodze staje kara boża, nie wolno chrześcijańskiemu rycerzowi przeciwstawić się jej. Będę działał w myśl otrzymanego zlecenia. Nie będę chronił zdrajcy i czarownicy, nie będę narażał setek tysięcy żydów Toledo. Ale ochronię własność króla, jest to



moim obowiązkiem.

Po odejściu Beniamina Jehuda i Rachela w dalszym ciągu żyli odświętnie i radośnie. Ubierali się starannie, długo siadywali przy posiłkach, chodzili po zachodzie słońca po ogrodzie, prowadzili spokojne rozmowy.

Wiadomość o tym, że nadciągają niewierni — oby Allah wtrącił ich do piekieł — przyniosła piastunka Saad. Na jej puciołowatej twarzy malowało się przerażenie.

— Co robić? — wołała.

— Zachować spokój — oświadczył Jehuda — poddać się zrządzeniu losu.

Poszli w głąb domu, do niewielkiego pokoju Racheli, z estradą należną damie. Jehuda zawiesił na szyi łańcuch z tabliczką, będący oznaką jego urzędu. Pokój był mroczny, od obitej wilgotnym filcem ściany szedł chłód. Usiedli tutaj w oczekiwaniu nadciągających.

Tłuszcza dotarła do białych murów, otaczających posiadłość. W uchylonej bramie ukazał się wartownik; na kaftanie miał wyhaftowany herb królewski w postaci trzech wież. Tłum wahał się, nie wiedział, co robić. Wszyscy spoglądali na de Castra. Ten wystąpił na czoło zamaszystym, pewnym krokiem i powiedział:

— Chcemy zajrzeć. Nic więcej. Nie chcemy niszczyć królewskiego dobytku. Mam przy sobie straż, żeby nikt nie naruszył królewskiej własności i nie postawił stopy na grzędach ogrodu.

Wartownicy zachowywali się niezdecydowanie. Tymczasem kilku z tłumu przelazło przez wysoki mur. Bez uciekania się do przemocy odsunięto tych, którzy mieli pilnować bramy. De Castro przeszedł przez nią pierwszy, za nim minął ją jego zbrojny orszak, potem wdarł się tłum.

Ludzie posuwali się powoli w stronę zamku po wysypanych żwirem drózkach, podziwiając ogrody. Nagle pojawił się Belardo. Miał na sobie skórzany kaftan, skórzaną czapkę, trzymał w ręku halabardę dziadka.

— Dostojny pan pragnąłby pomówić z donią Rachelą? — zapytał unizienie. — Pani nasza znajduje się u siebie na estradzie — paplał dalej. — Czy dostojny pan jest zameldowany? Mam zameldować?

— Zaprowadź nas do niej — powiedział de Castro.

Ruszył do wnętrza domu w ślad za Belardem, w otoczeniu swoich żołnierzy oraz kilku ludzi spośród tłumu. Dotarli do pokoi Racheli. Nagle znikł żar ogrodu, pozostały gdzieś bardzo daleko oślepiająca biel murów, pył szosy, po której szli, ociekając potem i hałasując. Otoczyła ich cisza chłodnej, mrocznej, obcej komnaty. Zatrzymali się w pobliżu wejścia, onieśmieleni, nieco zmieszani.

Estrada, na której siedzieli Jehuda i Rachela, oddzielona była niską poręczą od pozostałej części komnaty. Kiedy weszli, Jehuda podniósł się wolno. Stał lekko oparłszy rękę o poręcz, spoglądał na intruzów spokojnie, niemal szyderczo — tak się przynajmniej baronowi de Castro wydawało. Rachela nie wstała. Siedziała na kanapie z czołem do połowy osłoniętym welonem, również spoglądając ze spokojem na de Castra i jego ludzi. Z patio dochodziło ciche szemranie fontanny, od ulicy płynął przytłumiony odległością gwar tłumu. Stojący poza murami powtarzali ciągle to samo — trudno ich było zrozumieć. De Castro rozumiał, wiedział, że krzyczą:

— Bóg tak chce! Matad, matad! Zabić ich!

Jehuda widział brutalne twarze żołnierzy i ich dowódcy, twarz chytrego, tchórzliwego, uprzejmego, głupiego ogrodnika Belardo oraz żądzę zabijania na tej twarzy. Przeczynał, co oznaczają wrzaski dochodzące z zewnątrz, wiedział, że niewiele minut pozostaje mu do życia. Dławił go strach. Próbował przepędzić go myśleniem. Do każdego przyjść musi niszczyciel wszystkiego, sam chciał tego, żeby teraz przyszedł i do niego. Zamknął rachunki już kilka dni temu. Powodował się często pychą i dokonał wiele dobrego tylko dlatego, że chciał górować nad

innymi. Wolno mu to było, gdyż istotnie nad nimi górował. Spoglądał na napisy dokoła, które sławiły pokój. Przez wiele lat zapewniał półwypowi pokój i rozkwit. Nawet śmierć jego stanie się dla niejednego błogosławieństwem. Ci biedni mordercy będą wkrótce żalowali tego, co uczynili. Nie będą mieli odwagi wystąpić przeciw pozostałym, umrze, żeby ocalić uchodźców z Francji. Znowu lodowaty strach zdusił rozmyślania. Ale twarz pozostawała tą samą, spokojną, nieco szyderczą maską.

Twarcz Racheli również pozostawała spokojna. Alfonso polecił jej zostać w La Galianie. Alfonso był tu panem, cóż ten obcy człowiek mógł jej zrobić? Nakazała sobie nie odczuwać strachu, być godną Alfonsa, chciał, żeby kobieta, którą kochał, nie ulegała strachowi. I przyrzekł jej, że przybędzie. Pozostawała nieruchoma. Ale ciało jej czuło zbliżającą się śmierć, strach ścisnął jej serce.

Grupa intruzów ciągle jeszcze stała wzdłuż ścian nie wiedząc, co robić. W ciągu pół minuty, wydającej się wiecznością, nikt nie otworzył ust.

Nagle Belardo wybełkotał:

— Dostojny pan nie chciał się zameldować, o pani.

Teraz odezwał się de Castro:

— Nie wstajesz, żydówko, kiedy rycerz do ciebie przychodzi? — powiedział brutalnym, skrzeczącym głosem. Rachela nie odpowiedziała. Nagle ogarnęły go wątpliwości. — A może jesteś chrześcijanką? — zapytał. W takim razie nie byłoby mu wolno wedrzeć się tutaj.

Ale Belardo uspokoił go oświadczając:

— Pani nasza, dona Rachela, nie jest chrześcijanką.

De Castro zaczerwienił się. Był wściekły, że się dał zwieść jej sztucznej wytworności. Rachela zauważyła wzrastającą w nim wściekłość i nagle wydało jej się, że naprzeciw niej. stoi wściekający się Alfonso. Tak, to była twarz Alfonsa, wykrzywiona bezgraniczną furią. Ale natychmiast rozplynęła się i Rachela zobaczyła tego Alfonsa, który walczył z bykiem, promiennego, wspaniałego. Nie może w decydującej chwili zrobić wstydu swemu Alfonsowi. Kiedy mu będą opowiadać, jak ten okrutny człowiek napadł na nią, niechaj będą również zmuszeni dodać: Ale^ Rachela nie bała się.

Wstała powoli ruchem dziecinnym, a równocześnie bardzo kobiecym.

Podniosła się przed śmiercią, nie przed dzikim rycerzem.

Stoisz oto, donio Rachelo Ibn Esra, piękna, la Ferosa, drapieżny ptaku szatana, nałożnico Alfonsa, władcy Kastylji, potomku rodu Dawida, matko Immanuela. Twarcz twoja, mająca kształt serca, jest bardziej świadoma, niż dawniej; jeżeli nawet zabarwiła się strachem, nie widać tego pod matowym brązem twojej skóry. Twoje niebieskoszare oczy, jeszcze większe niż zazwyczaj, spoglądają w dal, może w straszliwą pustkę, może w coś bardzo jasnego, wzniosłego, pożądanego.

De Castro starał się uporządkować swe myśli. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał. Oto dom króla, a ta stojąca przed nim kobieta, choć żydówka, to przecież królewska nałożnica i urodziła mu bękartą.

Wreszcie odezwał się Jehuda. Zapytał spokojnie po łacinie:

— Kim jesteś? Czego chcesz?

De Castro spojrział na żyda, który mu ukradł dom i rozgościł się w nim, który był winien śmierci jego brata, który nosił na piersi amulet z herbem Kastylji. I ten człowiek miał odwagę przemówić do niego uprzejmie, wyniośle i po łacinie, jak rycerz do rycerza. Wypiąwszy pierś odpowiedział w narzeczu na pół aragońskim, na pół kastylskim:

— Żydzie, jestem de Castro, teraz wiesz wszystko.

Jehuda spojrział nań z cichym szyderstwem, jak to bywało w czasach, kiedy go rozpierała

największa pycha, i powiedział uprzejmie:

— Takim sobie ciebie wyobrażałem.

Potem odwrócił twarz od de Castra i od razu o nim zapomniał. Patrzył na swą córkę, napawał się jej widokiem, myślał o swym wnuku, małym Immanuelu. Utracił Alazara, tę swoją ukochaną córkę utraci za kilka minut, za parę chwil sam umrze. Ale chłopiec Ibn Esra żyje i wróg nie będzie w stanie dosięgnąć go.

Rachela również myślała o swym synu. Nie potrafiła przekształcić Alfonsa, ale to, co w nim jest dobre, żyje dalej. Stała przed nią milcząca, mglista wizja Mesjasza, który zwycięża byka i przynosi światu pokój. Odpowiadając na utkwione w sobie spojrzenie ojca rzekła:

— Miałeś rację, mój ojczu, żeś uratował Immanuela. Nasz Immanuel będzie żyć. Całą moją duszę przepelnia wdzięczność dla ciebie.

Jehudę ogarnęła fala tkliwości, zadowolenia i dumy. Ale od razu się załamała. Znowu strach chwycił go w swe pęta. Znalazł jeszcze tyle siły, żeby się zwrócić ku wschodowi. Potem pochylił głowę, nie bronił się już dłużej, czekał na przyjęcie uderzenia, tęsknił za nim.

De Castro nie zrozumiał słów Racheli, wypowiedzianych po he-brajsku, ale czuł, że tych dwoje nie boi się go, szydzi z niego. Wściekłość zerwała ostatnie wątpliwości.

— Czy nikt nie chce skończyć z tą hołotą? — wrzasnął. — Czy przyszliście tutaj, żeby prowadzić dyskusję? — Wyciągnął miecz, ale zaraz go cofnął wołając pogardliwie: — Nie chcę plamić swego miecza krwią psa. — Potem spokojnie rozplątał pochwą miecza czaszkę Jehudy.

Rachela wiedziała przez cały czas, że zginie, tak samo jak ojciec. Wiedział to jej rozum, wiedziało ciało, bujna fantazja malowała jej setki obrazów własnej śmierci. W głębi duszy jednak nie wierzyła w tę swoją śmierć. Nie wierzyła nawet wtedy, kiedy stanął przed nimi de Castro. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że żaden Alfonso nie zjawi się na ratunek, że umrze w najbliższych minutach. Ogarnęło ją potworne przerażenie. Wszystko w niej zastygło. Składała się jedynie ze strachu. Strach ten rozwarł jej usta, ale żaden krzyk nie wydobył się ze zduszonej piersi.

Wszystko, co się wydarzyło w komnacie z estradą, odbyło się bez hałasu. Ponura świta de Castra cofnęła się jeszcze pod ścianę, kiedy on skierował swe kroki w stronę żyda. W chwili, gdy Je-huda bezgłośnie umierał, słychać było oddechy stojących pod ścianą, plusk fontanny oraz dalekie wrzaski tych, którzy stali pod białym murem.

Nagle zaczęła krzyczeć na całe gardło piastunka Saad. Wtedy ogrodnik Belardo uniósł broń i w jakiejś obłądnej ekstazie wymierzył Racheli cios świętą halabardą swego dziadka. Teraz pozostali wysunęli się naprzód, zaczęli walić w Rachelę, w piastunkę, w Jehudę. Walili jeszcze wtedy, kiedy tamci dawno się już nie ruszali, sapiąc, złorzecząc tratowali ich nogami.

— Dosyć! — rozkazał nagle de Castro.

Opuścili komnatę nie rzuciwszy na nią okiem. Stropieni, słaniając się nieco i uśmiechając głupawo, opuścili dom. Jeden z żołnierzy de Castra nie bez trudu zerwał wiszącą nad drzwiami mezuzę i wsunął ją do kieszeni; nie wiedział jeszcze, czy ma rozdeptać amulet, czy też zachować go dla własnej ochrony. Nikt nie miał poza tym odwagi tknięcia czegoś w królewskim domu.

Tamci za murami czekali w upale i żarze. De Castro obwieścił im teraz:

— Stało się. Zginęli. Czarownica i zdrajca zginęli.

Wysłuchali tego pewnie z zadowoleniem. Ale nie okazywali go, nie wrzeszczeli, nie triumfowali. Raczej byli zmieszani.

— Tak — pomrukiwali — a więc koniec z Fermosą.

Wdrapywali się po skwarnej, zapyłonej drodze, wiodącej do

Toledo, bez odrobiny zadowolenia i furii. Wartownicy przy bramie pytali:

— No cóż, znaleźliście ich?

— Tak — odpowiadali — znaleźliśmy. Nie żyją.

— To dobrze — odpowiadali wartownicy.

Ale i ich radość trwała krótko, i ich wściekłość ulotniła się; do końca dnia chodzili zamyśleni, raczej smutni.

Nikt nie myślał już o tym, by wyrządzić żydom coś złego. Pokpiwano sobie dobrotliwie z tych w Juderii:

— Po co się tak zamurujecie? Boicie się nas? Przecież wszyscy wiedzą, jak dzielnie wasi walczyli pod Alarcos. W tych ciężkich czasach winniśmy się trzymać razem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Don Alfonso trzymał twierdzę Calatrava nieoczekiwanie długo. Był ranny w plecy, niegroźnie, ale boleśnie, gorączkował. Mimo to biegał i dosiadał konia. W rynsztunku wdrapywał się po stromych stopniach na wały i zbiegał z nich, pilnował każdego szczegółu obrony. Oficerowie błagali go, żeby się wreszcie przedarł do swej stolicy, ponieważ muzułmanie już parli wielką masą na północ i drogi prowadzące do Toledo były odcięte. Ale Alfonso oddał twierdzę dopiero po wyczerpaniu wszystkich środków obrony, postanawiając z przeważającą częścią załogi przedrzeć się do Toledo.

Było to przedsięwzięcie wymagające ostrożności i odwagi. Spośród bliskich przyjaciół miał przy sobie tylko Estebana Illana; arcybiskupa don Martina i Bertrana de Born, którzy byli ranni, przetransportowano do Toledo. Alfonso nie dawał poznać po sobie, jak straszliwie cierpi z powodu poniesionej klęski; zachował bystre spojrzenie, pomysłowość, szybkość decyzji. W nocy jednak, sam na sam z Estebanem, szalał:

— Widziałeś, jak wszystko spustoszyli? Czuję się teraz, jakby to mnie samego zniszczono i spalono. To część mojej istoty, jak ramię lub noga.

Wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy teraz wróci do Toledo. Myślał o spokojnej, wyniosłej twarzy donii Leonor; ile niechęci i pogardy będzie pod jej jasnym czołem, kiedy po tak dumnym ruszeniu w pole stanie przed nią żaloszny, okryty hańbą. Myślał z bezsilną wściekłością o spokojnej, szyderczo czołobitnej twarzy Jehudy, o wyrazistym obliczu Racheli. Czy nie przyrzekł darować jej Sewilli? Gdzie jest Sewilla? Nie zapyta go o to; będzie stała przed nim tkliwa, pokorna, bez słowa wyrzutu, ale dokoła niej lśnić będą matowo i szyderczo jej napisy o pokoju.

Ogarnęła go nagle bezmyślna furia. Don Martin miał rację, Rachela była czarownicą, to ona zdziałała, że nie ochrzcił syna, to ona przekształciła jego głos wewnętrzny w kłamstwo. Ale nie będzie rzucała na niego dłużej swych czarów. Żeby się wiła i skręcała, żeby przybierała najboleśniejszy wyraz twarzy, Alfonso zmusi don Jehudę do sprowadzenia syna, ochrzci chłopca. Jeżeli później Rachela nie zechce pozostać w Galianie — proszę bardzo! Alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo na drogę.

Kiedy tak Alfonso rozprawiał się w myślach z Rachelą, don Rodrigue wyruszał w drogę, żeby mu przekazać ponurą wiadomość.

Po śmierci Jehudy i Racheli ogarnął go dziwny bezwład. Załamało się wszystko, co go łączyło ze światem; państwo ginęło, drodzy sercu przyjaciele zostali bestialsko zamordowani, a winien był on sam, ponieważ tak długo pozwolił królowi kroczyć po złej drodze] Przygniatało go poczucie własnej ułomności i nicości.

W głębi ducha nie szczędził obelg Alfonsowi, którego lekkomyślność ściągnęła nieszczęście na cały kraj oraz na każdego, kto się znalazł w bliskim mu kręgu. Nie chciał go widzieć, nie chciał mieć z nim nic do czynienia. Ale ciągle jeszcze kochał tego nieszczęśnika, obowiązek i litość pchały go do tego, żeby osobiście zakomunikować mu potworną wiadomość. Może nadmiar nieszczęścia pouczy tego człowieka, czym jest skrucha. Tak czy inaczej Rodrigue nie chciał go w tej godzinie rozpaczliwie pozostawić samego.

Stanął przed nim wychudzony, trawiony gorączką Alfonso. Na zapytanie o stan rany odpowiedział opryskliwie. Stał przed nim rozdrażniony, ponury, szyderczy, rzucił mu teraz prowokacyjne słowa:

— Miałeś rację, mądry mój ojciec i przyjacielu. Armia moja jest rozbita, państwo leży w gruzach. Dokładnie, jak przepowiedziałeś, ściągnąłem na kraj czterech jeźdźców Apokalipsy.

Zjawileś się po to, żeby to usłyszeć. A więc przyznaję ci rację. Jesteś zadowolony?

Rodrigue odczuł wbrew woli gorącą litość dla tego człowieka, który stał przed nim chory, obdarty, złamany na ciele i duchu. Nie wolno mu było osłabnąć, musiał potrząsnąć duszą tego Alfonsa, tego poważniejszego z Bogiem, zbuntowanego wasala, który ciągle jeszcze nie wiedział, czym jest wina i skrucha. Powiedział:

— W Toledo wydarzyło się nieszczęście. Lud twój winą za klęskę obciążył niewinnych i nie było nikogo, kto by ich potrafił ochronić. — Ponieważ król patrzył na niego tak, jak gdyby słów jego nie rozumiał, rzucił mu prosto w twarz: — Zamordowali donię Rachelę i Jehudę.

Wiadomość ta doprowadziła do tego, czego nie dokonały ani klęska, ani zdrada: z piersi Alfonsa wydarł się straszliwy okrzyk, po czym król padł jak długi na ziemię. Ogromna fala przyjaźni splukała wszystkie zastrzeżenia Rodriga, kanonik poczuł, że kocha Alfonsa tak samo, jak dawniej. Przerażony zajął się nim i wezwał lekarza.

Po długiej chwili Alfonso obudził się z omdlenia, spojrzał dookoła, opamiętał się i powiedział:

— To nic, to ta głupia rana.

Tego dnia nic jeszcze nie miał w ustach. Przełknął szybko trochę zupy, którą mu przyniesiono, wezwał do pośpiechu lekarza, który mu zmienił bandaż. Potem odesłał wszystkich zatrzymując jedynie Rodriga.

— Wybacz, ojciec mój i przyjacielu — powiedział. — Powinienem się wstydzić, że się tak uniosłem. — I ciągnął gniewnie dalej: — Odkąd zniszczyłem państwo, nie powinienem przejmować się jednym mężczyzną i jedną kobietą więcej. I tak odesłałbym tę parę — powiedział gniewnie. I od razu zaprzeczył sobie samemu: — Nie, nigdy nie odesłałbym Racheli, nigdy! I nie wstydzę się tego. — Wzdychał, szalał, zgrzytał zębami. — To boli potwornie, nie po chrześcijańsku. Powiadam ci, Rodrigue, mój przyjacielu: ja ją kochałem. Nie możesz tego pojąć, nie wiesz, co to takiego, nikt tego nie wie. I ja nie wiedziałem, dopóki nie stanęła na mej drodze. Kochałem ją bardziej niż Leonor, niż moje dzieci, mój kraj, bardziej niż Chrystusa, bardziej niż wszystko. Zapomnij o tym, księżo, zapomnij natychmiast, ale muszę to raz wyrzucić z siebie, wypowiedzieć, zwierzyć ci: kochałem ją bardziej niż moją nieśmiertelną duszę.

Zacisnął zęby, żeby powstrzymać szaleńcze słowa, które przepełniały jego pierś. Wyczerpany do ostatnich granic, usiadł. Rodrigue stwierdził z przerażeniem, jak się zmieniło jego oblicze. Alfonso uśmiechnął się do niego lękliwie, kości policzkowe wystąpiły mu wyraźnie, wargi tworzyły dwie cienkie linie, oczy wydawały się mniejsze i lśniły chorobliwie.

Po długiej chwili Alfonso uczynił wysiłek, by wygładzić swą twarz. Potem poprosił Rodriga, żeby opowiedział, co mu jest wiadome. Nie było tego wiele. Tłum, który na próżno szukał don Jehudy w castillo Ibn Esra, wtargnął do Galiany. Kto zabił Rachelę, nie wiadomo. Jehudę zamordował de Castro własnoręcznie.

— De Castro? — wybełkotał Alfonso.

— Tak, de Castro — odparł kanonik. — Otrzymał polecenie ochraniać zagrożonych, gdyż lud się wzburzył i wielu groziło niebezpieczeństwo. Otrzymał polecenie raczej poświęcić jednostki, niż narazić ogół.

— Od kogo otrzymał to polecenie? — zapytał Alfonso ochryłym głosem.

Don Rodrigue odrzekł powoli, wyraźnie:

— Od donii Leonor.

Alfonso zawył jak ranny zwierz.

— Psy i sępy opadają mnie, jak gdybym był już ścierwem — powiedział.

Don Rodrigue dodał rzeczowo, bezstronnie, z ledwie dostrzegalną ironią:

— Należało przedsięwziąć jakieś kroki. Poginęli chrześcijańscy Arabowie, a także i

żydzi zamieszkali w osiedlu przed murami, mówią, że liczba ofiar doszła do stu.

— Nie broń jej — wrzasnął Alfonso dzikim głosem. — Nie broń Leonor! Nie broń nikogo, siebie również. I ty jesteś winien, wszyscy jesteście winni. Może nie tak jak ja, ale jesteście winni. Ukarzę was, poskromię. Myślicie, że z powodu poniesionej klęski stałem się bezsilny? Jeszcze jestem królem. Zarządę śledztwo, będę sądził, będę straszliwie karał! — Nagle urwał, jęknął, załamał się, dał Rodrigowi gwałtowny znak, żeby go pozostawił samego.

Nie upłynęła godzina, a dał rozkaz do wymarszu. Również na tym ostatnim etapie drogi powrotnej wydawał zarządzenia ściśle, świadczące o przytomności umysłu. Kiedy wszystkie jego oddziały znalazły się w obrębie miasta, wjechał konno do Toledo.

Ruszył w górę, na swój zamek. Zbiegła się służba, widok jego wywołał przerażenie. Służący zasypali go pytaniami, czy się nie chce przebrać, wykąpać, czy mogą zawołać lekarza. Odprowadził ich ostro z kwitkiem, dał surowy rozkaz niewpuszczania nikogo, nawet królowej.

Siedział na łóżku, jeszcze w zbroi, spocony, brudny, cierpiący, w niewygodnej pozycji. Rozmyślał. Nie mógł pojąć całego tego splotu wydarzeń. Jak to się stało, że Jehuda, ten chytry lis, wietrzący niebezpieczeństwo na setki mil, przybył do Galiany? Dlaczego nie ukryli się za mocnymi murami Juderii, kiedy się z taką pasją opowiadali za swoim żydostwem?

A więc nie żyli, zostali zamordowani, to było pewne. Zamordowali ich Leonor i de Castro, Leonor swym językiem, de Castro swą pięścią. Nawet się z Rachelą nie pożegnał; odjechał w gniewie, obcy, ślepy, uciekł od niej. A teraz mu ją Leonor zabiła i w dodatku skradła mu syna, jego Sancho, gdyż teraz nigdy nie dowie się, co się z dzieckiem stało.

Ogarnął go ogłuszający gniew. Leonor nienawidziła go od chwili, w której Bóg zesłał mu Rachelę. Pchnęła go do wojny, żeby mieć swobodną rękę i zabić Rachelę. Wszyscy ostrzegali go przed bitwą, lecz ona, tak zazwyczaj szczodra w ostrzeżeniach, wstrzymała się od przestróg, świadomie pozwoliła mu rzucić się w klęskę tylko po to, żeby tamtą zamordować. To Leonor jest czarownicą, nie Rachelą. Jest godną córką swej matki, wnuczką owej prababki, którą szatan porwał z kościoła do piekła.

Cieszył się swym gniewem, cieszył się, że rana go boli. Tak jak stał, w zakurzonej zbroi, nieumyty, z niezmiennym opatrunkiem, przebiegł przez korytarze do komnat Leonor. Odepchnąwszy przerażone damy dworu wpadł do komnaty Leonor.

Siedziała na estradzie, schludna, wypielęgnowana, jak zawsze wyglądająca na damę. Wstała, zrobiła w jego stronę parę kroków nie za szybkich i nie za wolnych, uśmiechała się. Podniósł rękę, żeby ją powstrzymać, i nim zdążyła go przywitać, powiedział cicho i dziko:

— Oto jestem. Nie wyglądam zbyt uroczko. Nie pachnę przyjemnie. Śmierdzę wojną, pracą, klęską. Nie ma we mnie nic, co byłoby zgodne z przepisami kurtuazji. Ale wydaje mi się, że i ty, donio Leonor, droga moja królowo, nie stosowałaś się do przepisów kurtuazji. — Nagle wrzasnął bezmyślnie, zdjęty furją: — Zniszczyłaś moje życie, przeklęta! Nie urodziłaś mi syna, ten, któregoś urodziła, był chory i napiętnowany już w twoim łonie. Kiedy kobieta, którą kochałem, urodziła mi syna, zabiłaś ją. Ojciec jej, mój najmądrzejszy, najwierniejszy doradca, błagał mnie, żebym zaczekał z wojną na właściwą chwilę. Ale tyś mnie w nią wepchnęła swymi szyderstwami. A potem, tak zwykle wymowna, milczałaś, nie wystąpiłaś przeciw memu głupiemu planowi, pozwoliłaś mi rzucić się w przegraną bitwę, żeby móc zabić najukochańszą, którą mi zesłał Bóg. Zniszczyłaś mnie i moją Kastylię. Stoisz tutaj biała, miła, królewska, ale dusza twoja jest brudna i obmierzła. Jesteś, jak matka twoja, zżarta złością, ty niszczycielko!

Doña Leonor spodziewała się gwałtownej fali gniewu, nie była jednak przygotowana na to, że gniew ten będzie do tego stopnia pozbawiony umiaru i rozsądku. Był w stanie tymi swymi brudnymi rękami, nie przyodzianymi w rękawice, dusić ją i udusić. Ale krew w niej wrzała, że tak potworne miota groźby, że wymyśla tak nieskończenie ordynarnie. Był niebezpieczny i takim

mieć go chciała.

Cofnęła się lekkim krokiem, weszła na estradę, usiadła, przyglądała mu się wielkimi, zielonymi, badawczymi oczyma.

— Czy wolno mi przypomnieć ci — powiedziała spokojnie — że w Burgos matka i ja przedłożyliśmy ci pakt z zięciem twoim don Pedro? W traktacie tym zobowiązałeś się nie rozpoczynać wojny, nim nadejdą aragońskie wojska. Zrobiliśmy wszystko, żeby cię powstrzymać od twego przedwczesnego bohaterstwa. Nikt cię nie pchał poza tobą samym. Mam ci powiedzieć, co było przyczyną klęski? Chciałeś błyszczeć przede mną, przed swoimi przyjaciółmi, a zwłaszcza przed swoją żydówką. Dlatego sprowokowałeś kalifa wbrew naszej umowie, wbrew sensowi i rozumowi. Dlatego rzuciłeś nasz kraj i całą chrześcijańską Hiszpanię w przepaść.

Don Alfonso stał przed nią pod estradą. Patrzył na jej bladą twarz, na jej wysokie, jasne czoło, na gęste, jasne włosy i nienawidził jej obłądnie z powodu złych, logicznych myśli, które się pod tym czołem kłębiły.

— Teraz rozumiem — zazgrzytał cicho i gorzko — dlaczego Henryk trzymał matkę twoją pod kluczem i nie wypuścił jej mimo rozkazów papieża. Nie sądz, żeś słabszy od niego. Nie mogę cię zamordować, ponieważ jesteś kobietą. Ale nie pozostawię bezkarnie zamordowania mi mojej najukochańszej. Będę sądził, będę pytał i pytał, wyprowadzę na światło dzienne twoje chytre, podstępne instrukcje i tkwiące za nimi mordercze myśli; niechaj wtedy całe chrześcijaństwo wskazuje na ciebie jako na morderczynię. Nie dam również ujść płazem twoim krwawym sługom, de Castrowi i innym. Zobaczysz, moja droga, jak się do nich zabiorę. Pojadą na Zocodover na taczkach. A ty, moja królowo, będziesz się przyglądać z trybuny, u mego boku, jak ci twoi dwornicy, twoi Lanceloci, wiszą na haku.

Leonor przyglądała mu się bez przerwy. Pocił się, wyglądał okropnie. Krótką, jasną brodę miał oblepioną błotem i pyłem, nie było w nim nic młodzieńczego, promiennego, nikt nie ważyłby się porównać go ze świętym Jerzym stojącym u wejścia do katedry. Ale to dobrze, że wybuchła z niego ta gwałtowność, która w nim tkwiła; nikt, nawet jej matka, nie będzie mogła teraz zarzucać temu człowiekowi, że jest senny.

Powiedziała:

— Rzucasz słowa bez sensu, don Alfonso, ponieważ nałożnica twoja nie żyje. Nie uczyniłam krzywdy kobiecie z La Galiany. Żaden sędzia nie uzna mnie winną, nawet wtedy, kiedy zbada w najdrobniejszych szczegółach wszystko, czego dokonałam i nie dokonałam.

Nagle obrzydły jej dostojeństwo i wyniosłość. Zeszła z estrady, podeszła do niego zupełnie blisko, czuła teraz jego zapach. Powiedziała mu prosto w twarz:

— Ale tobie mówię ten jedyny raz: Jednak to uczyniłam. Pozwoliłam sobie na tę „noche Toledana”. Zobaczyłam myśli, kłębiące się w głowie de Castra, nie powstrzymałam go, przeciwnie, zaczęłam przed nim wymachiwać zamkiem. I Bóg pomógł mi. Bóg chciał, żeby zginęli. Dlaczego nałożnica twoja nie schroniła się wraz ze swym ojcem za murami Juderii, u tamtych? Bóg poraził ją ślepotą. Mówię ci w twoje wściekle, żadne mordu oczy: serce moje było pełne radosnego triumfu, kiedy zginęła.

Wydając dzikie jęki Alfonso odwrócił od niej wzrok, zrobił krok w tył. W twarzy jego było teraz więcej męki niż wściekłości.

Leonor wykosztowała swój triumf do końca. Czuła dla Alfonsa litość. Poszła w ślad za nim, była teraz znowu zupełnie blisko niego.

— Nie kłóćmy się dłużej, don Alfonso — prosiła i głos jej brzmiał teraz niezwykle łagodnie. — Jesteś ranny, wyczerpany. Pozwól mi opiekować się tobą; przyślę ci mego mistrza Reinero, jest lepszy od wszystkich twoich lekarzy. I pozwól powiedzieć sobie jeszcze jedno:



Zrobiłam to ze względu na siebie, ale także i na ciebie. Kocham cię, Alfonso, wiesz o tym. Przez całe te lata byłam ci wierniejsza niż mury tego zamku, nawet wtedy, kiedy ustąpiłam tamtej z drogi. Nie mogłam patrzeć dłużej, jak król Kastylii, ojciec moich dzieci, zapada się w błoto. Możesz mnie zdemaskować przed całym światem. Możesz mnie zabić. Ale tak było.

Alfonso wiedział: tak było. Rozkazał sobie jednak nie wierzyć w to. Mógł pojąć Leonor, ale tylko rozumem. Wszystko w nim burzyło się przeciw niej. Nie chciał jej miłości, miłość morderczynie przejmowała go odrazą.

Odwrócił się, wypadł z komnaty.

Był po tej wymianie zdań śmiertelnie znużony, rana bolała go bardziej niż zazwyczaj. Pozwolił, żeby go wykąpano, zmieniono opatrunek, położono do łóżka. Spał długo, gęboko, bez snów.

Potm ruszył konno do Galiany.

Zjeżdżał nad Tag po wąskich, stromych ulicach, bez eskorty. Ludzie poznawali go, usuwali się z drogi. Przerażeni chudością jego kamiennego oblicza, obniżali głowy, pochylali je głęboko; wielu padało na kolana. Nic nie widział, nie słyszał, jechał wolno dalej, patrząc przed siebie. Na pokłony odpowiadał automatycznie. Zbliżył się do białego muru. Było bardzo upalnie, nad Galianą rozciągała się ciężka, słoneczna mgła, panowała cisza, wszystko wyglądało jak zaczarowane.

Zbliżył się ogrodnik Belardo. Nieśmiało ucałował królewską rękę.

— Jestem bardzo nieszczęśliwy, panie mój i królu — powiedział. — Nie potrafiłem ochronić naszej pani. Ale było ich wielu, ponad dwa tysiące, a ten, który ich prowadził, był wielkim rycerzem. Miałem tylko świętą halabardę mego dziadka, niewiele mogłem nią przy takiej przewadze działać. Wrzeszczeli: Bóg tak chce!, a potem stało się. Ale poza tym nie wyrządzili żadnych szkód. Wszystko w domu i w ogrodzie jest w najlepszym porządku.

Alfonso powiedział:

— Pogrzebaliście ją tutaj, w La Galianie, prawda? Zaprowadź mnie tam!

Miejsce było prawie niewidoczne. Znajdowało się w pobliżu cystern rabiego Chanana; kawałek rozkopanej murawy.

— Nie wiedzieliśmy, co marny zrobić — tłumaczył się Belar-do. — Ponieważ pani nasza nie była chrześcijanką, nie miałem odwagi postawić krzyża.

Król dał znak ręką, żeby go pozostawił samego.

Niegrabnie siedział na ziemi, usidlany w pajęczynę z gorącą, wyziewów i oślepiającego blasku. Murawa była niedbale wygładzona, wszystko miało wygląd zaniedbany, Alfonso nie pogrzebałby tak nawet psa.

Starał się przypomnieć sobie, jak przechadzał się tutaj z Rachelą, jak siadywała naga na brzegu stawu, starał się przywołać z pamięci jej twarz w kształcie serca, jej chód, głos, ciało. Ale odnajdywał jedynie poszczególne rysy; Rachelą pozostawała dalekim, niewyraźnym lśnieniem. Jeżeli gdzie, to właśnie tutaj powinna go otaczać jej dusza, ale nie umiał jej przywołać; zapewne duchy zjawiają się niewołane. A może rację miał Bertran twierdząc, że kobiety zespolone są tylko z krwią mężczyzny, nie z jego duszą.

Leżało tu pod nim, zżerane przez robactwo, rozsypujące się w proch to, co dlań było bezbrzeżnym szczęściem, najdzikszą namiętnością. Wizja ta nie potrafiła przełamać jego dziwnego, otępienia. Czego szukał nad tą żalosną, paskudną mogiłą? Nie był tym dwojgu, którzy leżeli tu w dole, nic winieni. To oni jemu są winni. Winni mu są jego syna. Nigdy nie dowie się teraz, co wyrosło z jego Sancha. Miał wrażenie, że dziecko leży tu w dole razem z tamtymi, że leży tam niszcząc, rozsypując się, jego przyszłość. Nie powinien był tutaj przychodzić. Czuł niesmak w ustach, wargi mu się wykrzywiły.

Powlókł się w cień najbliższego drzewa. Wyciągnął się na trawie. Leżał z zamkniętymi oczyma, słońce okrywało jego twarz plamami. I znowu zobaczył tylko osłonę, sama postać pozostawała mglista. Zobaczył ją w szacie podobnej do koszuli, oczekującą go w swej sypialni. Zobaczył ją w zielonej sukni, którą miała na sobie w czasie ich pierwszego spotkania w Burgos, kiedy to podrwiwała sobie ze starego zamku jego ojców. Tak, czarodziejstwem i czarną magią zmusiła go wtedy, choć jej wcale nie było, do zbudowania jej tej Galiany. Dziś jeszcze ciągnie go tutaj, podczas gdy sprawy wojenne i państwowe nań czekają.

Miał jednak do spełnienia polecenie, które mógł załatwić tylko tutaj: musiał przekazać Jehudzie słowa chłopca. Twarz mu się pomarszczyła od zastanawiania się, co też mówił umierający Ala-zar. Słyszał zupełnie wyraźnie: „Powiedz memu ojcu...” Ale co mu miał powiedzieć, to mu w żaden sposób nie przychodziło do głowy.

Osłabł. Otaczała go mgła, wszystko się rozplýwało, było nieuchwytnie. I oto nagle zjawiła się Rachela. Wyszła z oparów, była ze swą bladą, ciemną twarzą i głębokimi oczyma niewiarygodnie cielesna. Tak patrzyła na niego w swym wymownym milczeniu, kiedy nie chciała mu się oddać, kiedy rzucił się na nią, taki był jej wzrok, kiedy zaczął na nią krzyczeć, że mu ukradła dziecko. Milczenie jej było głośniejsze od każdego oskarżenia.

Leżał z zamkniętymi oczyma. Wiedział, że to espejismo, wizja, gorączkowa mara, wiedział, że Rachela nie żyje. Kiedy tak spoglądała na niego bez przerwy, rozumiał: w głębi duszy zawsze pojmował jej niemą wymowę, zaciął się tylko, zamknął w sobie, nie chcąc jej przestrogi i prawdy zrozumieć.

Teraz otworzył swój umysł i serce dla tej prawdy. Teraz rozumiał, co mu Rachela zawsze chciała na próżno uświadomić: czym jest odpowiedzialność, co to znaczy wina. Miał w ręku olbrzymią władzę i nadużył jej, bawił się nią nikczemnie i bezmyślnie jak dzieciak. Z wina swego uczynił ocet.

Obraz Racheli zamazał się. „Nie odchodź, nie odchodź” — błagał, ale nie było nic, czego by się mógł uchwycić. Obraz rozwiął się.

Był wyczerpany i nagle poczuł wielki głód. Podniósł się z trudem, poszedł do domu. Kazał sobie przynieść jedzenie. Jadł i pił przy stole, przy którym często spożywał śniadanie. Machinalnie, łapczywie, jak wilk. Myślał tylko o tym, żeby się nasycić.

Wrócił do sił. Wstał. Zapytał o piastunkę Saad, chciał, żeby mu pokazała pozostałe po Racheli drobiazgi. Po wykrętach powiedziano mu wreszcie, że Saad nie żyje. Przelknął ślinę. Chciał wiedzieć więcej.

— Okropnie krzyczała — opowiadał Belardo. — Ale pani nasza, doña Rachela, nie bała się. Stała jak prawdziwa wielka dama.

Alfonso przeszedł przez dom. Stał przed owym napisem, którego staroarabskich liter nie mógł odczytać i który mu przetłumaczyła. „Uncja pokoju jest więcej warta niż tona zwycięstwa”. Poszedł dalej, otwierał szafy, komody. Dotykał sukien Racheli. Tę jasną miała na sobie, kiedy z nim grała w szachy, a tę przejrzystą szatę, niemal rozplýwającą się pod jego palcami, nosiła wtedy, kiedy dokoła niej harcowały psy. Ze skrzyni dochodził zapach sukien, zapach Racheli. Zatrzasnął pokrywę, nie był Lancelotem.

Znalazł listy do siebie, nigdy nie wysłane. „Narażasz życie dla niemądrych spraw, ponieważ rycerz musi tak czynić; jest to bezsensowne i porywające i dlatego cię kocham”. Znalazł rysunki zrobione przez Beniamina. Przypatrywał się im uważnie, odkrył w nich rysy, których u żywej Racheli nie zauważył. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że ten Benjamin widział tylko część Racheli; Rachelę prawdziwą widział tylko on, Alfonso, i to dopiero teraz, kiedy jej nie było na ziemi.

Ale na świecie była. Żyła w nim dalej świadomość, którą mu przed chwilą udzieliło owo

nieme oblicze. Prestrogi Rodriga mówiły mu tylko, co to jest wina i skrucha, ale on nie czuł tego Również i jego głos wewnętrzny nie dał mu tego odczuć. Dopiero niema postać wryła mu w serce, na czym polega odpowiedzialność, wina i skrucha.

Zapanował nad sobą. Zaczął się modlić. Błuzniercza to była modlitwa. Modlił się do zmarłej, żeby mu się zjawiała w godzinach decyzji i milczeniem swym mówiła mu, co ma przedsięwziąć, a czego zaniechać.

Gutierre de Castro stał przed królem z rozkraczonymi nogami, z ręką na rękojeści miecza, w należytej postawie.

— Czego chcesz, panie? — zapytał nieco piskliwym głosem.

Alfonso patrzył w szeroką, szorstką twarz de Castra. De Castro nie odwracał oczu; było pewne, że strachu nie odczuwa. Króla całkowicie opuściła furia, nie wiedział, dlaczego z taką gniewną rozkoszą tęsknił za tym, żeby tego zobaczyć na stryczku. Powiedział:

— Miałeś polecenie chronić lud mego miasta Toledo. Dlaczegoś tego nie uczynił?

De Castro odpowiedział zimno i zuchwale:

— Ludzie byli rozdrażnieni twoją klęską, don Alfonso, skorzy do zwady, żądni mordu. Chcieli pozabijać winnych, a wielu za winnych uważali. Ale zginęło niewiele, niespełna stu. Mogłem spokojnie zwrócić królowej rękawicę, zasłużywszy na jej zadowolenie i podziękowanie.

Don Alfonso odparł:

— Ruszyłeś do La Galiany na czele garstki gawiedzi, zabiłeś mego escrivano i matkę mego syna. — Mówił twardo, zwięźle, bardzo spokojnie.

Na to de Castro:

— Lud twój żądał ukarania zdrajcy. Kościół domagał się ukarania go. Zadaniem moim była obrona niewinnych. Ten był winien. — Król czekał na to, że de Castro powoła się teraz na owo śliskie, krwawe zlecenie królowej i zepchnie z siebie odpowiedzialność. De Castro nie uczynił tego. Przeciwnie, ciągnął dalej: — Mówię ci szczerze, że byłbym go zgładził, gdyby nawet nie był zdrajcą. Jestem Gutierre de Castro, dawno przyrzekłem sobie i rycerstwu Hiszpanii poskromić tego obrzezanego psa, który splamił mój zamek.

Na to król:

— Zatarg między tobą i koroną Kastylii został załatwiony, pokutne za twego brata zapłacone. Umowa została podpisana i przypieczętowana, pretensje twoje zaspokojone.

De Castro odparł:

— Nie chcę się z tobą spierać, królu Kastylii. Jeżeli sądzisz, że masz słuszny powód do skargi przeciw mnie, zaskarż mnie przed moim panem lennym, królem Aragonii, niechaj nie będąc wyższym ode mnie powoła sąd składający się z równych mi ludzi. Pozwól jednak, by rycerz jedno powiedział rycerzowi. Przez ciebie zginął mój brat, który był wielkim bohaterem na wojnie i w turniejach. Wiesz o tym, zapłaciłeś mi pokutne, zadowolilem się nim, bo toczy się święta wojna. Zdarzyło się teraz, że zabiłem człowieka, który mi wyrządził zniewagę i nie był niczym więcej, tylko twoim bankierem i starym żydem. Myślę, że nie wyjdiesz na tym źle, jeśli zamkniesz rachunek.

Król nie przystał na to. Zażądał:

— Powiedz, jak się to odbyło?

De Castro odparł:

— Nie chciałem plamić mego miecza nikczemną krwią, zabiłem tego człowieka pochwą.

Z trudem, czyniąc po każdym słowie przerwę, Alfonso zapytał:

— A jak ona zginęła?

— Nie mogę ci na to odpowiedzieć — odparł de Castro. — Kiedy ją zabijali, wzrok

mój był skierowany na żyda. — Mówił obojętnie, słowa jego wyrażały prawdę. Szorstko, szczerze, niemal dobrodusznie, ciągnął dalej: — Toczy się wojna święta, stłumiłem gniew mego serca, przybyłem tutaj, żeby za ciebie walczyć. Zaprześcimy sporu, królu Kastylii. Mamy przed sobą moc twardej pracy. Rycerz nie powinien tracić ani słowa więcej w związku z tym plugastwem, które zostało wymiecione. Zatrósz się o twoje miasto i jego wały.

Alfonso stwierdzał ze zdumieniem, że czelność tego człowieka nie gniewa go. Nie napomknął ani słowem o dwuznacznym poleceniu donii Leonar, nie zrzucił na nią winy, sam przyjmował całą odpowiedzialność za to, co się stało.

No, proszę, a jednak ten de Castro jest rycerzem — pomyślał sobie don Alfonso.

Kanonik don Rodrigue, dawniej taki ruchliwy i zawsze czynny, załatwiał swe sprawy urzędowe z niechęcią, rzadko zdobywał się na to, by coś przeczytać lub napisać, siadywał po kątach smętnej i samotny.

Muza nie mógł mu poświęcać wiele czasu. Toledo było pełne chorych i rannych, spokojne, poważne zachowanie Muzy budziło ufność, mimo niechęci do muzułmanów wielu zwracało się do głośnego lekarza.

Rodrigue zazdrościł przyjacielowi jego ciągłej ruchliwości, która odsunęła od niego dręczące myśli. Sam zapadał coraz częściej w smętne medytacje na temat daremności wszelkiego działania, wewnątrz jego było jak gdyby sparaliżowane.

Z Włoch przysłano mu publikację, będącą wyrazem jego własnej rozpaczy. Autorem jej był młody prałat Lotario de Conti, tytuł brzmiał: „De conditione humana — o strukturze człowieka”. Zwłaszcza jedno miejsce wbiło mu się w pamięć: „Jakże jesteś nicością, człowieku. Jak wstrętne jest twoje ciało. Spójrz na roś-liny i drzewa. Okrywają je kwiaty, liście, owoce, a ty, nędzny, pokryty jesteś wszami, robactwem. Rośliny i drzewa wydzielają oliwę, wino, balsam; ty wydzielasz urynę, ślinę, ekskrementy. Rośliny i drzewa wydają miłe wonie, ty smrodliwe zapachy”. Zdania te nie opuszczały don Rodriga, prześladowały go we śnie.

Prawie już nie tęsknił za owym cichym zachwyceniem, które było mu dawniej ostatnią ucieczką. Owa żarliwa, całkowita wiara nagle nie wydawała mu się teraz łaską, lecz tanim oszołomieniem, żalostną ucieczką od rzeczywistości.

Doznawał uczucia ulgi, kiedy czasami zjawiał się don Benjamin. Pośród osobistego i ogólnego nieszczęścia młody człowiek prowadził z zaciętym spokojem dzieło akademii. Kanonik podziwiał siłę woli Beniamina, odwiedziny jego przepędzały zzerającą go melancholię.

Pewnego razu poprosił ucznia:

— Jeżeli cię to zbyt głęboko nie poruszy, powiedz mi, co się działo i o czym była mowa podczas ostatniej twojej wizyty w La Galianie.

Benjamin milczał. Tak długo, że Rodrigue sądził, iż się już nie odezwie. Po jakimś jednak czasie znalazł gorące słowa dla wielbienia Racheli, która owego ostatniego dnia taka była piękna. Nie wahał się opowiedzieć, że wzgardziła ochroną Juderii jedynie dlatego, że król polecił jej czekać na niego w La Galianie. W słowach jego brzmiał gniew z powodu jej żarliwej wiary w swego rycerza i ukochanego.

Opowiadanie Beniamina wstrząsnęło kanonikiem. „Nie wiesz, co to miłość”, powiedział doń król, ale sam tego nie wiedział. Alfonso „kochał” Rachelę, ale był to huragan, szaleństwo, pozostał zamknięty w sobie, nie czuł razem z nią. I oto ten nieszczęsny człowiek, ten rycerz w każdym calu, rzucił słowo, o którym, ledwie je wypowiedział, zapewne zapomniał, i tym przelotnym słowem wpędził Rachelę w ramiona śmierci. Wszystko, co w swej lekkomyślnej odwadze przedsięwziął, kończyło się nieszczęściem.

W kilka dni później Benjamin z zakłopotaną miną przyniósł kanonikowi rysunek. Widział króla z bliska, zauważył, jak bardzo Alfonso się zmienił; żeby to utrwalić, narysował króla i teraz

zakłopotany, pełen napięcia przyniósł rysunek kanonikowi.

Ten długo mu się przyglądał. Patrzył na głowę człowieka, która, choć człowiek ten wiele doświadczył i przecierpiał, była głową rycerza, człowieka bez skrupułów, twardego i okrutnego. Myślał o obrazie króla, który sam naszkicował w swej kronice słowami, o głowie króla, wytłoczonej na złotych monetach Je-hudy. Odłożywszy rysunek, zaczął chodzić tam i z powrotem. Wziął go znów do ręki i przyglądał mu się. Potem, dziwnie poruszony, oświadczył:

— A więc to jest król Kastylji, Alfonso.

Beniamin, zakłopotany reakcją, wywołaną przez jego rysunek, powiedział:

— Nie wiem, czy Alfonso jest taki. — Po chwili dodał: — Myślę, że byłoby na świecie lepiej, gdyby nim kierowali mędrcy zamiast wojowników.

Kanonik poprosił go, żeby pozostawił rysunek. Długo jeszcze rozmyślał nad nim po odejściu Beniamina.

Przyjaźń jego z Beniaminem zacieśniała się coraz bardziej. Zbliżył się do niego tak dalece, że zdradził się przed nim ze swoją małodusznością.

— Choć latami jesteś młody — powiedział — przekonałeś się dostatecznie, jak to głupota i dzika furia zawsze na nowo splukują to, co nagromadziła świadomość i praca stuleci. Mimo to nie przestajesz dociekać, badać, dręczyć się. Czy wydaje ci się to jeszcze warte zachodu? I komu twój trud przynosi pożytek?

Twarz Beniamina zabłysła ową szelmowską wesołością, która dawniej czyniła ją taką młodą i uroczą.

— Chcesz mnie wybadać, mój wielce dostojny ojciec — odrzekł — ale znasz z góry moją odpowiedź. Nie ulega wątpliwości, że ciemnota to stan zwyczajny, światło zaś stanowi wyjątek. Ale właśnie w tej olbrzymiej masie ciemnoty odrobina światła sprawia podwójną przyjemność. Nie przedstawiam sobą wiele, ale byłbym niczym, gdybym tej radości nie umiał odczuwać. Wierzę, że światło pozostanie i że jego zasięg będzie się rozszerzać. Obowiązkiem moim jest przyczynić się do tego według moich skromnych możliwości.

Otucha Beniamina zawstydziła kanonika. Wyciągnął swą kronikę, zmusił się do skupienia, próbował pracować. Ale od razu poczuł, jak bezpłodne są jego wysiłki. Chciał ukazać moc Opatrzności, przedstawiał dzielnie to, co naiwne i pozbawione sensu tak, jakby w tym tkwił sens. Ale myślał tylko o wydarzeniach i mówił o nich, wytłumaczyć ich nie umiał.

Jakże zazdrościł Muzie. Jemu łatwo pracować nad kroniką. Znalazł wytyczną dla oceny zjawisk — jego teoria o powstawaniu i przemijaniu ludów, o ich młodości i starzeniu się znajduje potwierdzenie u Allacha i jego proroka. Mógł przeczytać w swym Koranie: „Kiedy naród ma swój czas i kiedy ten czas nadejdzie, nikt nie może przesunąć lub odłożyć nawet godziny”.

Kanonikowi nie udało, się znaleźć w wydarzeniach elementów szczęścia i ładu. Zdawało mu się, że prawdziwa wiara zabrania szukania tego. Czyż Paweł z Koryntu nie napisał: „Głupota boska jest mądrzejsza od ludzi — Quos stultum est Dei, sapientius est hominibus”? A czy Tertulian nie nauczał, że największe w historii wydarzenie, umieranie syna Bożego, jest wiarygodne, ponieważ jest niedorzeczne? Jeżeli jednak drogi Boga nie były drogami ludzkimi, jeżeli, oglądane ludzkimi oczyma i mierzone ludzkim rozumem, wydawały się bezsensowne, to czy nie było grzeszne samo usiłowanie przedstawienia ludzkimi słowami, jak rządzi Opatrzność?

Od setek lat chrześcijaństwo walczyło o Ziemię Świętą, niezliczone tysiące rycerzy zginęło w tych krzyżowych wyprawach i nie zdobyto właściwie nic. To, co zostało osiągnięte przez tyle krwawych zgonów, można było osiągnąć w ciągu tygodnia drogą pertraktacji. W obliczu takiego wydarzenia zawodził rozum ludzki i owo zdanie Pawła, że głupota Boga jest mądrzejsza od ludzi, nabierało całego swego szyderczego sensu.

Pochylony nad swą kroniką Rodrigue szepnął ze złością:

— Wszystko jest płonne. W tym, co się dzieje, nie ma sensu. Opatrzność nie istnieje. Przeląkł się własnych słów. Rozkazał samemu sobie: Absit, absit! Precz z tym!

Jeżeli jednak wątpliwość co do istnienia Opatrzności była kacerstwem, to nie było nim poczucie daremności własnych wysiłków. Stał przy pulpicie, kreślił, smarował całymi dniami, a także i nocami, chciał ukazać palec boży w wydarzeniach, których sens pozostawał niezbadany. W zuchwalstwie swym posunął się tak daleko, że chciał ożywić na nowo wielkich zmarłych półwyspu: świętego Ildefonsa i świętego Juliana, królów gockich i kalifów muzułmańskich, hrabiów Asturii i Kastylii, cesarza Alfonsa i Cyda Compeadora. Wyobrażał sobie, że jest drugim prorokiem Ezechielem, wybranym dla zaklęcia tych zmarłych, żeby zmartwychwstali: „I dam na was żyły i uczynię, że porośnie na nowo mięso, a powlokę was skórą i dam wam ducha, i żyć będziecie”. Ale kości, które zaklinał, nie zrosły się. Ludzie jego kroniki nie żyli; to, czego dokonywali, było tańcem pomalowanych szkieletów.

„Przeklęty, który czyni, że ślepy błądzi w drodze” — ostrzegało Pismo. To właśnie czynił. Kronika jego jeszcze głębiej pchała ślepych w ciemność.

Wstał pojękując. Przyniósł nieco polan, ułożył dokoła ogniska, rozpałił ogień. Zebrał nieskończoną ilość kartek swej kroniki i swych notatek. W milczeniu, zacisnąwszy wargi, wrzucił wszystko do ognia. Przyglądał się, jak się spalała kartka za kartką, grzebał w zwęglonych pergaminach i papierach dopóty, dopóki się nie zamieniły w popiół i nikt nie był już ich w stanie odczytać.

Bertrán de Bora, któremu odniesiona rana uniemożliwiła dalszy udział w wojnie, chciał opuścić Toledo i wrócić do swej ojczyzny. Pragnął ostatnie lata życia spędzić w klasztorze Dalon jako mnich.

Ale jego mocno posiekana skóra puchła, puchło również ramię. Nie mógł nawet myśleć o tym, żeby się w tym stanie przedrzeć przez szeregi muzułmanów, którzy zawładnęli drogami prowadzącymi na północ.

Rana piekła straszliwie. Król prosił, żeby Bertrán zasięgnął porady u Muzy. Muza oświadczył, że jedynym ratunkiem jest odcięcie ręki. Bertrán bronił się przed tym. Żartował:

— W walce nie byliście w stanie pozbawić mnie ręki, muzułmanie. Teraz chcecie to zrobić przy pomocy podstępny i uczoności.

— Zachowaj więc swą rękę, panie Bertrán — odparł Muza ze spokojem. — Ale po tygodniu nie zostanie po tobie nic prócz twoich wierszy.

Klnąc, pokpiwając Bertrán poddał się.

Leżał na łóżku, mocno do niego przywiązany. Na małym stole widać było rękawiczkę, którą mu dał Alfonso na znak, żeby wypełnił polecenie, obok stał stary giermek i śpiewak Papiol. Muza i mistrz Reiner napoiwszy Bertrana uśmierającym bólem trunkiem, zabrali się do dzieła żelazem i ogniem. Podczas gdy biedzili się nad rannym, Bertran dyktował swemu Papiolowi wiersz do Alfonsa: „Sirventes o rękawicy”.

Stary Muza przeżył wiele, ale chyba nigdy nie był świadkiem widowiska tak okrutnie wspaniałego. Oto leżał tu stary rycerz, przywiązany do łoża, w pokoju śmierdzącym przypiekaniem mięsem, i popadając w omdlenie, budząc się z niego, jęcząc z bólu, tłumiąc krzyki, znowu mdlejąc i znowu wracając do przytomności, dyktował swe wesołe, gniewne wiersze. Niektóre nie udawały się, inne były wspaniałe.

— Powtórz, Papiol, ty durniu! — rozkazał Bertran. I dodał: — Zrozumiałeś, co mam na myśli? Zapamiętasz sobie? Masz gitarę?

Stary Papiol, widząc, jak pan jego chciwie czeka na oddźwięk swych wierszy, starał się okazać swe radosne, burzliwe uznanie. Pełen zachwyty powtarzał strofy, śmiał się nerwowo, aż nagle ten jego nieprzerwany śmiech przeszedł w ryki i łkania.

Następnego dnia Alfonso odwiedził Bertrana. Zapytał, jak się czuje. Bertran chciał machnąć ręką, ale ręki nie było.

— No tak — powiedział. — Lekarz sądzi, że za jakieś dwa tygodnie będę mógł ruszyć stąd konno. Pozostawiam cię więc, królu, samego, i idę do mego klasztoru w Dalon. Dzielnym mój Papiol nie jest już w stanie znieść wojennych trudów. Nalega, żebyśmy się schronili do Boga.

Alfonso był zachwycony wierszami „Sirventes o rękawicy”, obiecał dla klasztoru w Dalon wysoką dotację.

— Jedną przysługę musisz mi wyświadczyć — poprosił. — Zaśpiewaj mi sam ten sirventes.

Bertran zaśpiewał:

*Zwracam ci rękawicę śmiało,  
Gdym już powinność spełnił swoją,  
A chociaż szczęście nie sprzyjało,  
Ani mnie troski niepokoją,  
Ani wstyd twarzy mi nie spłoni.  
Choć rękę utraciłem w boju,  
Nic to, i nie żal mi mej dłoni.  
Równych ci królów nie zna ziemia,  
Porzuć więc próżne twe strapienia,  
Boć, o Alfonso, tak się zdarza,  
Że siła wraża Krzywdę czyni.  
Innego dnia znów się poszczęści.  
Ja nie mam dłoni,  
Ty zaś — części Twojej krainy.  
Lecz ją odzyskasz i uchronisz.  
A i mnie ręki mojej nie żal.  
Cóż — taki bywa los żołnierza.  
Nie zleknię go się, nie przerażę.  
Dłoń, w rękawicę tę odziana,  
Z męstwem zaciekłym, bez wahania  
Zsyłała śmierć na głowy wraże.  
Dziś wrócić do klasztoru muszę,  
Bo resztę dni mych i mą duszę  
Poświęcić pragnę służbie bożej.  
Bez ręki na nic zdam się w świecie,  
Lecz Chrystusowym Hufcom przecie  
Niejedną jeszcze pieśń ułożę.  
Niechaj nad światem głos się szerzy,  
Niechaj do mężnych mknie rycerzy:  
Do boju ruszać, w imię Boga!  
Naprzód! Do boju!  
Hej! Na wroga!*

Alfonso słuchał uważnie. Czuł rozmach wierszy, wsączały mu się w krew. Nie potrafiły jednak zagłuszyć głosu rozsądku, który mu mówił o próżności i śmieszności starego rycerza.

Wszędzie dokoła Toledo krążyły wojska muzułmańskie, zatarasowały wszystkie arterie komunikacyjne. Ale przezorny kalif nie śpieszył się z otoczeniem miasta wszystkimi swoimi wojskami. Za to ruszył daleko na północ i podbił wielką część Kastylii. Zdobył Talaverę,

Maquedę, Escalonę, Santa Cruz, Trujillo, zawładnął Madrytem. Kastylijczycy trzymali się dzielnie. Najgwałtowniej bronili się książęta duchowni; padli w walkach biskupi Avili, Segovii, Siguenzy. Ale olbrzymia przewaga muzułmanów łamała wszelki opór, zaciekłość obrony potęgowała tylko ich furię. Niszczili kraj, pustoszyli winnice, pola, zabierali bydło. Podbili większą część królestwa Leon. Wdarli się nad brzegi rzeki Duero. Zburzyli starą, okrytą chwałą stolicę Salamanca. Zawładnęli również licznymi obszarami Portugalii. Zdobyli święty, bardzo sławny klasztor Alcobaza. Splądrowali go, pozabijali większość mnichów. Wszędzie w chrześcijańskiej Hiszpanii srożyły się głód, zarazy, nędza. Od czasu odbicia go kraj nie znajdował się w takich opałach jak teraz, po pozbawionej sensu bitwie pod Alarcos.

Królowie chrześcijańscy przypisywali całą winę królowi Alfonso. Królestwa Leon i Nawarra pertraktowały z muzułmanami. Król Nawarry poszedł tak daleko, że zaproponował kalifowi sojusz przeciw pozostałym książętom chrześcijańskim. Następca tronu miał poślubić córkę Jakuba Almansura, uznać kalifa za pana lennego i jako wasal zarządzać wszystkimi obszarami, które kalif pozabierał innym chrześcijańskim krajom.

Zabezpieczywszy sobie północ kalif zabrał się do otoczenia pierścieniem Toledo. Ze szczytu swego zamku Alfonso spoglądał na zbliżające się powoli ogromne ilości łamaczy murów i wież oblężniczych.

De Castro zażądał urlopu, by bronić własnego kraju, hrabstwa Albarracin.

Alfonso nie sprzeciwiał się.

— A jakże będzie z podzięką dla mnie, królu? — zapytał de Castro.

— Z podzięką? Za co? — odparł Alfonso.

Doña Leonor pozostawała przez cały ten czas w Toledo. Sądziła, że wściekłość Alfonsa wyładowała się w owym straszliwym wybuchu, że umysł jego wypełniony jest teraz sprawami wojennymi i pamięć o żydówce prędko zwierteje. Unikał wprawdzie jakiegokolwiek rozmowy o charakterze osobistym i poprzestawał na chłodnej uprzejmości, ale Leonor była pewna, że zdobędzie go z powrotem, jeżeli tylko potrafi czekać dostatecznie długo. Teraz jednak, kiedy nieprzyjaciel coraz ciasniej otaczał Toledo, nie mogła dłużej czekać. Obecność jej tutaj była zawadą, w Burgos potrzebowano jej.

W skrytości ducha miała nadzieję, że Alfonso poprosi ją, by została.

Odwiedziła go. Napięła całą swą mocną wolę, by wyglądać młodo i pięknie. Wiedziała, że dalsze jej życie zależy od tego spotkania.

Stosownie do wymagań kurtuazji Alfonso podprowadził ją na miejsce, usiadł obok niej, patrzył uprzejmie i uważnie na jej białą, piękną twarz. Badała go swymi spokojnymi, zielonymi oczyma. Nie było w nim cienia owego młodzieńczego nieopanowania, które ją porwało. Spoglądała na nią poorana zmarszczkami, surowa twarz człowieka, który doznał wielu mąk i nie wahał się zadrećcać innych. Ale i tego Alfonsa pożądała całą swą istotą.

Tu, w Toledo, rozpoczęła, nie może mu już być na nic przydatna. Chyba będzie najlepiej, jeżeli, dopóki to możliwe, wróci do Burgos, żeby tam opiekować się córkami i czekać na dalszy bieg wojny. Tam mogłaby również rokować z chwiejnymi królami Leonu i Nawarry.

Alfonso wiele się nauczył. Patrzył na nią, widział ją na wskroś, jak gdyby była terenem, na którym ma rozegrać bitwę. Mógł jej powiedzieć własnymi słowami, co myślała i na co liczyła. Sądziła niezawodnie, że słusznie usunęła tamtą z drogi, z korzyścią dla niego i państwa; musi to zrozumieć i podziękować jej za to. Jest młoda, piękna, weźmie ją z powrotem do swego łóżka, Bóg będzie łaskawy, Leonor urodzi mu jeszcze dziedzica. Z pewnością tak myślała i czekała, że wezwie ją, by pozostała. Ale fałszywie to sobie obliczyła. Choćby nawet było pewne jak amen w pacierzu, że mu urodzi syna, nie dotknie już morderczyni Racheli.

Siedziała wyprostowana, a jednak swobodna i beztraska. Czekiała.



— Cieszy mnie twoja decyzja, donio Leonor — odrzekł i na jego wąskich wargach pojawił się uprzejmy uśmiech. — Wyświadczysz mnie i całemu chrześcijaństwu wielką przysługę, jeżeli pojedziesz do Burgos i użyjesz swej wypróbowanej mądrości, by rokować z tchórzliwymi królami-odszczepieńcami. Jestem również rad, że córki nasze będą pod twoją opieką. Chętnie postawię do twojej dyspozycji silną eskortę.

Leonor słuchała, rozważała. Wydawało się, że namiętność do żydówki minęła. Jeżeli mimo to tak chłodno i nie bez szyderstwa rozmawia, to chyba dlatego, że uważa za swój rycerski obowiązek stać po stronie nieżyjącej. Leonor czuła się dostatecznie mocna, by walczyć o niego ze zmarłą.

Powiedziała:

— Słyszałam, że nie próbowałaś zatrzymać de Castra.

Oczy Alfonsa pojaśniały niebezpiecznie. Ta kobieta ma czelność podejmowania owej nikczemnej rozmowy! Ale się opanował.

— Dobrze słyszałaś — odparł. — Nawet nie myślałem o przekonywaniu człowieka, który ucieka, kiedy mi się źle wiedzie.

Leonor odpowiedziała również obojętnym głosem:

— Wydaje mi się, don Alfonso, że zbyt surowo osądzasz tego rycerza. Jego hrabstwo jest istotnie zagrożone przez emira Walencji. Obiecałam mu nagrodę, a tyś kazał mu długo czekać. Miał rację, czując się zawiedzionym z powodu nieotrzymania podziękii.

Alfonso pobałdł gwałtownie, kości policzkowe wystąpiły na wychudzonej twarzy ostrzej niż zazwyczaj. Udało mu się jednak zachować uprzejmą maskę.

— Z pomocą bożą — oświadczył — utrzymam Toledo również i bez de Castra.

— Przecież wiesz, że nie o to chodzi — odparła Leonor. — Musimy zapobiec temu, żeby tak, jak to czynią nasi kuzyni z Leon i Nawarry, nie zwąchał się z muzułmanami. Albo żeby wyraźnie nie przeszedł na ich stronę, jak to uczynił Cyd Compeador, kiedy przodek twój, Alfonso, wynagrodził go zbyt skąpo. Urażamy go nie po raz pierwszy, a jest czuły. Nie wydaje mi się, żeby wpędzenie go w ramiona muzułmanów było dla nas korzystne. Czy nie chcesz, don Alfonso, przepisać na niego castillo?

Znowu, teraz ze złowrogim triumfem, poczuł Alfonso, co się w jej duszy dzieje. Rachela nie żyje, ona, Leonor, jest przy życiu, stoi przed nim chłodna, książęca, a jednak uwodzicielska, chce, by się wyparł zmarłej i wtedy niechaj wszystko będzie po dawnemu. Ale córka wielkiej damy Ellinor pomyliła się. Rachela żyła.

— Nie będziesz chyba, donio Leonor — powiedział — poważnie żądała, żebym jeszcze wynagradzał zdrajcę, który mnie opuszcza w niebezpieczeństwie. Kupuję sobie żołdaków, lecz nie rycerzy. Nie wydaje mi się również wskazane w tych ciężkich czasach psuć krew żydom Toledo; uczyniłbym to, gdybym uczcił mordercę najlepszego z nich. Moja tak w sprawach państwowych rozsądna Leonor z pewnością to zrozumie.

W jego jasnym głosie była tylko odrobina szyderstwa. Odrobina ta wystarczyła całkowicie, by wyprowadzić donię Leonor z równowagi.

— Przyrzekłam castillo temu człowiekowi — powiedziała ostro. — Chcesz ze mnie uczynić kłamczynię? Chcesz dla schlebiana swoim żydom skompromitować swoją królową?

Alfonso triumfował w głębi duszy: Słyszysz, Rachelo, jak ona szaleje? Ale nie położę mojej pieczęci pod tym, co uczyniła. Nie pochwalę jej morderstwa. Nie dam zamku twemu mordercy. Powiedział:

— Będąc na twoim miejscu, wołałabym o owej obietnicy nie mówić, Leonor.

Dopiero teraz Leonor musiała przyznać przed sobą samą, że przez usunięcie Racheli niczego nie osiągnęła. Podobnie jak matka, która przez zabicie owej kobiety, kochanki Henryka,

zniszczyła tylko swe własne życie, została przez zmarłą żydówkę zwyciężona na zawsze. Złodowaciała ze strachu, że całe swe dalsze życie będzie teraz musiała spędzić bezpłodnie i samotnie. Otworzyła się przed nią szara pustka, o której mówiła matka, zżerająca serce acedia, długi, pusty czas.

Wzdragała się przed przyjęciem tej okrutnej pewności. Patrzyła na tego człowieka, kochała go, nie miała przecież oprócz niego nikogo. Musi go dla siebie utrzymać. Powiedziała błagalnie, z rozpaczliwą pokorą:

— Poniżam się, jak nigdy jeszcze nie poniżała się kobieta mego rodu. Pozwól mi pozostać w Toledo, Alfonso! Nie będziemy już mówili o de Castrze, ale pozwól mi pozostać przy tobie! Pozostańmy w tym nieszczęściu razem.

Alfonso odpowiedział, każde słowo spadało z jego warg jasno i chłodno:

— To nie ma celu, Leonor. Mówię ci, jak jest: zabijając ją wyjałowiłaś moje serce.

W uszach Leonor zabrzmiał ponury wiersz łaciński, napisany przez pewną grecką poetkę: „Księżyc zaszedł, zaszła również konstelacja siedmiu gwiazd, już północ, godzina mija, a ja śpię sama”.

Wzięła się w karby, wyprostowała się jak świeca i rzekła:

— Mówiąc mi to zmieniasz mnie w kamień. Mimo to postąpiłam słusznie; zrobiłam to dla ciebie i uczyniłabym to raz jeszcze.

Następnego dnia pojechała do Burgos.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Muza usłyszał, że kanonik spalił kronikę, wystąpił wobec przyjaciela z łagodnymi wyrzutami. Tłumaczył mu, że historia świata, naszkicowana przez niego, to pamięć ludzkości. Wielcy starożytni czcili boginię dziejopisarstwa, żydzi, chrześcijanie, muzułmanie uważają słusznie, że Bóg znajduje w dziele kronikarza upodobanie.

— Dzieło moje nie spodobałoby się Bogu — odparł gniewnie kanonik. — Pozbawiony jestem daru dostrzegania w wydarzeniach palca bożego. Nie rozumiałem wypadków, wszystko, co napisałem, było niesłuszne. Nie wolno mi było kontynuować swego dzieła, nie miałem go prawa pozostawić. Sam ślepy, nie miałem prawa prowadzić na manowce ślepców. Tobie łatwo, mój Muzo — ciągnął smętnie i gorzko. — Masz swoje wytyczne, jeszcze sobie nie uświadomił, że są fałszywe, więc możesz spokojnie pisać dalej.

Muza próbował go pocieszyć:

— I ty znajdziesz nowe zasady, mój bardzo dostojny i szanowny przyjacielu, które ci się na przeciąg kilku lat wydadzą słuszne.

Stary uczoney przebywał teraz całymi dniami w drodze. W oblężonym mieście panoszyły się głód i zaraza, coraz więcej chorych domagało się, żeby ich leczył.

On sam zdawał sobie oczywiście sprawę z granic swej sztuki lekarskiej. Muzułmańska sztuka lekarska, wywodził przed kanonikiem, od dawna nie osiągnęła nic nowego. Odkąd nietolerancyjny Alghazali uznał całą wiedzę nie pochodzącą od Koranu za kacerstwo, również i nauki medyczne staczały się u muzułmanów po linii pochyłej i przodownictwo w medycynie przeszło ostatecznie w ręce żydów.

— Sułtan ma rację — oświadczył — że wybrał sobie na lekarza przybocznego żyda, Mojżesza Ben Majmona. Nikt z nas muzułmanów nie może się z nim równać. No cóż, kultura nasza ma swój okres rozkwitu za sobą. Zresztą — zakończył — wszelka sztuka lekarska ma nałożone przez naturą granice i nawet najlepszy mistrz wiele zdziałać nie może. Jest tak, jak uczył Hipokrates: medycyna przynosi często pociechę, czasami łagodzi, rzadko uzdrawia.

W każdym razie arcybiskupowi don Martinowi nie mógł pomóc żaden lekarz — rana jego była śmiertelna. Wszyscy, nie wyłączając jego samego, wiedzieli o tym. Ale pośród tylu zgonów trzymał się zaciekle przy życiu. Próbował pracować dalej. Żądał, żeby don Rodrigue odwiedzał go codziennie i informował o bieżących sprawach.

Tak gwałtowne domaganie się towarzystwa don Rodriga miało jednak swe głębsze powody. W okresie, który mu jeszcze pozostawał, pragnął dla pokuty za swoje grzechy jak najczęściej złościć się gwałtownie z powodu swego zbyt łagodnego sekretarza. Leżał, wachał cytrynę, stękał i prowokował tamtego. Dawał wyraz swemu zadowoleniu z powodu zasłużonej śmierci żyda Ibn Esry i jego córki. Jak tego oczekiwał, kanonik karmił go za tę niechrześcijańską radość; a nawiązując do tego mógł zarzucać don Rodrigowi, że jego zbyt wielka litościwość nie jest w świętej wojnie na miejscu.

Innym razem znowu wypowiedział owo dzikie zdanie z pieśni wojennej Mojżesza: Dominus est vir pugnator — Pan jest prawdziwym wojakiem, i poprosił z uprzejmym uporem:

— Podaj mi, drogi mój i uczoney bracie, tekst hebrajski. — Rodrigue nie umiał tego tekstu na pamięć, więc arcybiskup skarcił go łagodnie: — Takie wiersze, mój miłosierny przyjacielu, są oczywiście dalekie od ciebie. Ale czy słowa te nie są cudowne takie po łacinie? — Powtórzył kilkakrotnie: Dominus est vir pugnator, smakując je, w oczekiwaniu jakiejś uwagi kanonika. Ale ten nie miał serca przeciwstawić bliskiemu śmierci, kłótliwemu przyjacielowi słów pisma, mówiących o pokoju.

Największą troską don Martina było, kogo też król uczyni jego następcą. Arcybiskup Toledo, prymas Hiszpanii, był obok króla najpotężniejszym w Kastylii człowiekiem; dochody miał większe od królewskich, wpływy niewymierne. Don Martin zdręczał więc króla, żeby wybrał odpowiedniego człowieka.

— Słuchaj słów umierającego, mój synu — zaklinał go. — Drogi nasz don Rodrigue jest mądry i pobożny, prawie święty, i w twoich sprawach z Bogiem nie możesz znaleźć lepszego doradcy. Ale dli spraw świeckich, dla spraw, związanych z wojną, nie jest człowiekiem właściwym i jako arcybiskup Toledo nie dałby ci na twoje wojsko pieniędzy albo za mało. Nie sadzaj mi, drogi mój synu i królu, na fotel świętego Ildefonsa żadnego niedołęgi, lecz osadź na nim prawdziwego rycerza chrześcijańskiego, jakim ja byłem przy całej mej niedoskonałości i przy wszystkich moich błędach.

Jeszcze tego samego dnia don Martin poczuł skruchę, że zadał kanonikowi cios w plecy. Posłał po niego. Przyznał się. Biadał: — Ach, dlaczego Bóg uczynił mnie zamiast wojakiem kapłanem. — Don Rodrigue miał niemały kłopot z pocieszeniem go.

Gniewna, niespodziewana radość przypadła jeszcze umierającemu w udziale. Okrężnymi drogami, wymykając się grasującym wszędzie oddziałom muzułmanów, przybył z kilkutygodniowym opóźnieniem goniec z pismem papieskim. Ojciec Święty nakazywał królowi surowo, żeby pozbył się wreszcie swego żydowskiego *escrivano*, przynoszącego nieszczęście Ibn Esry. Jak może don Alfonso doprowadzić wojnę do pomyślnego końca, jeżeli jego najważniejszym doradcą jest niewierny?

— Widzisz, drogi bracie — radował się don Martin przed kanonikiem. — Nasi pobożni i dzielni Kastyliczycy poskramiając żyda działali w myśl życzeń namiestnika bożego. Czy więc radowanie się tym było dowodem, że mam złe serce?

Radosne poruszenie pochłonęło resztę sił arcybiskupa. Rozpoczął długą i twardą walkę ze śmiercią. Duchem przebywał na polu walki, próbował wrzeszczeć: — Marsz! Do ataku! — Rzęził, awanturował się, cierpiał.

Muza uważał, że najbardziej ludzkie byłoby danie mu mocnego napoju oszołamiającego.

— Skracanie życia nie jest rzeczą ludzką — powściągnął go kanonik.

Arcybiskup musiał jeszcze cierpieć przez dwie godziny, nim skończył.

W okolicy Trypolisu wybuchły nowe zamieszki i kalif, chcąc na swej wschodniej granicy afrykańskiej przywrócić porządek, musiał ściągnąć wojska z Hiszpanii. Zrezygnował ze swych zdobyczy na północy półwyspu. Wycofał się w czasie zwycięskiego pochodu.

Alfonso odetchnął z ulgą. Z dnia na dzień stał się znowu królem i rycerzem, którym był dawniej. Dał w obliczu arcybiskupa wyraz swej triumfującej radości. Teraz zmaże hańbę klęski pod Alarcos. Zbierze wszystkie wojska, którymi jeszcze rozporządza. Odrzuci wroga, wtargnie głęboko na południe, zdobędzie Kordobę i mimo wszystko Sewillę!

Kanonik przeraził się. To, co tu musiał usłyszeć, wydawało mu się zbrodniczym obłędem. Widząc, jak król załamał się pod wpływem wiadomości o zamordowaniu Racheli, żywił mimo swej rozpaczki isierkę nadziei, że Alfonso po tak twardych ciosach wyrwie ze swej piersi swe dzikie rycerstwo. Sprawa wybawienia króla stała się dla kanonika jego własną. Gdyby Alfonso odmienił się pod wpływem kary, całe to zło i nieszczęście miałyby przecież jakiś sens. A teraz, przy pierwszej próbie, Alfonso zawiódł.

Rodrigue nie chciał pogodzić się bez walki z tym rozczarowaniem. Zapytał króla, czy całe muzułmańskie południe nie jest nienaruszone, czy nie znajduje się w stanie rozkwitu? Czy wojska kalifa w dalszym ciągu nie mają ogromnej przewagi liczebnej nad wojskami chrześcijan? Jeżeli Kastylija, znajdując się w pełni sił, została tak ciężko pobita, to jakże teraz, tak okropnie osłabiona, mogła z powodzeniem atakować?

— Nie staczaj drugiej bitwy pod Alarcos! — przestrzegwał. — Dziękuj Bogu w pokorze za swoje ocalenie. Wszystko wskazuje, że kalif gotów jest do rokowań. Zawrzyj pokój na każdych warunkach, które byłyby do przyjęcia.

W głębi ducha Alfonso wiedział od początku, że to jedyna słuszna droga. Kiedy jednak Rodrigue wypowiedział słowo: Alarcos, stara duma króla stanęła dęba. Ma opuścić skrzydła przy tym pomyślnym wietrze, zesłanym mu niespodziewanie przez Boga! Ma zagłuszyć swój głos wewnętrzny, który woła: Atakuj, atakuj!

Odpowiedział od niechcenia, z dawnym zuchwalstwem i protekcyjną uprzejmością:

— Teraz, mój ojczy i przyjacielu, przemawia przez ciebie kapłan i święty, przed którego radą ostrzegł mnie don Martin. Przypominasz mi Alarcos. Ale tym razem sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Kalif cofa się, a w myśl starej, dobrej zasady wodzowskiej należy uderzać, kiedy wróg znajduje się w odwrocie. To prawda, że muzułmanie ciągle jeszcze są w liczebnej przewadze, że trzeba mieć odwagę, aby ich zaatakować. Czy chcesz mi wzbronić, żebym był odważny?

Vultu vivax. Z bólem i oburzeniem zobaczył Rodrigue poprzez twarz Alfonsa oblicze niepokromionego Bertrana.

— Czy jesteś ślepy? — krzyknął. — Czy mało miałeś znaków nieba, czy były za mało wyraźne? Chcesz łaskawość Stwórcy po raz drugi wystawić na próbę?

Alfonso odparł z tą samą, uśmiechniętą pewnością siebie:

— Musisz królowi Kastylii wybaczyć, że inaczej tłumaczy znaki nieba, aniżeli ty. Przypnę, że staczanie bitwy pod Alarcos było zuchwalstwem. Zasłużyłem na razy i Bóg udzielił mi ich. Zawiesił nade mną gorzką klęskę, wysłał przeciw mnie jeźdźców Apokalipsy, była to sprawiedliwa kara, przyjmuje ją. Ale potem zabił mi Rachelę. Chcesz może twierdzić, że i ta śmierć należy do kary za Alarcos i moje zuchwalstwo? Nie, Bóg ukarał mnie okrutnie właśnie dlatego, że bliższy jestem jego sercu, niż inni. Teraz to wyrównał, teraz kalif musiał się cofnąć i dlatego zwyciężę.

Rodriga ogarnął wielki gniew. Ten rycerz w każdym calu zamykał oczy, by trwać w swej ślepoty. Ale Rodrigue otworzył mu je. Musi być teraz twardy; będąc twardym będzie litościwy. Myśląc o tym, jaki wpływ opowiadanie Beniamina wywarło na nim samym, powiedział z surowym triumfem:

— Śmierć Racheli należy do twojej kary. To, czemu tak dumnie przecyzysz, jest najściślejszą prawdą. Rachelę musiała umrzeć z powodu twojej rycerskiej lekkomyślności. — Opowiedział królowi, co mu zakomunikował Beniamin; Rachelę i jej ojciec dlatego tylko zrezygnowali z ochrony Juderii, ponieważ Alfonso kazał Rachelę czekać na siebie w Galianie.

Wspomnienia i świadomość opadły Alfonsa w gwałtownym przypływie. Gniewny kapłan miał rację: była to jego wina. „Dlaczego nie poszli do Juderii? ”, zapytała go szyderczo Leonor, zapytywał samego siebie. Nie pamiętał, że dał Rachelę owo polecenie, zupełnie o tym zapomniał. Teraz stanęło przed nim ostro i wyraźnie. Wypowiedział owo polecenie dwukrotnie, mimochodem, lekkim tonem. Owej ostatniej nocy gadał wiele, przechwalał się. Wzięła tę gadaninę i te przechwałki serio, jego polecenie zapadło w nią głęboko. To było powodem jej śmierci. Nawet się z nią nie pożegnał, odjechał pełen zuchwałego bohaterstwa, zapomniał o niej, rzucił się w tę głupią bitwę. Przez to zginęli jego rycerze zakonu Calatrava, padł jej brat, utracona została połowa państwa, przez to zginęła ona sama wraz z ojcem.

A teraz gotował się do nowej, głupiej bitwy! Patrzył bezmyślnie w przestrzeń. Ale widział. Widział ową twarz, która mu się ukazała przy zaniedbanej mogile w La Galianie, niemą, wymowną twarz Rachelę. Z tego zapomnienia się w sobie wyrwał go głos Rodriga.

— Nie upieraj się dłużej przy swym zuchwalstwie, don Alfonso — powiedział Rodrigue.

— Nie wyobrażaj sobie, że jesteś sercu Boga bliższy, niż inni. Nie ze względu na ciebie Bóg skłonił kalifa do odwrotu. Jesteś tylko narzędziem, którym się posługuje. Nie uważaj się za pępek świata, don Alfonso. Nie jesteś Kastylią. Jesteś jednym z wielu tysięcy jej mieszkańców. Naucz się pokory.

Alfonso spoglądał przed siebie nieobecny wzrokiem, ale słyszał. Powiedział:

— Dobrze twe słowa rozważę, przyjacielu Rodrigue. Chcę uczynić tak, jak mówisz.

Kazał oświadczyć kalifowi, że pragnąłby przystąpić do pertraktacji pokojowych. Ale kalif był zwycięzcą, stawiał przed rozpoczęciem rokowań liczne warunki. Żądał między innymi, żeby Alfonso wysłał delegatów do Sewilli; niechaj cały świat wie, że Alfonso, który złamał zawieszenie broni z Sewillą i wywołał wojnę, przychodzi jako zwyciężony do napadniętego, żeby go prosić o pokój. Alfonso opierał się długo i gwałtownie. Kalif nalegał. Wreszcie Alfonso podporządkował się jego żądaniu.

Kto jednak miał ruszyć do Sewilli, jako prowadzący rokowania? Kto posiadał rozsądek, bystrość, umiejętność dostosowania się i chytrość, kto rozporządzał potrzebną w tej delikatnej i upokarzającej misji postawą i wewnętrznym dostojeństwem? Manrique za stary, kapłana Rodrigue nie wypadało posyłać do niewiernych.

Rodrigue zaproponował powierzyć tę misję don Efraimowi Bar Abbie, przewodniczącemu aliamy.

Alfonso sam to już rozważał, Efraim okazał się w trudnych sprawach mądrym negocjantem. Również jako żyd mógł łatwiej niż któryś z grandów czy rycerzy znieść upokorzenia, na które wysłannik Kastylii będzie w Sewilli narażony. Ale Alfonso myślał o Efraimie z niechęcią. W ciągu całego tego czasu unikał spotkania z nim, choć niejedna sprawa wymagała omówienia. Z trzech tysięcy ludzi, których mu wystawiła aliamy, większość zginęła. Czy żydzi nie będą mu tego pamiętali? Czy mu darują śmierć ich Ibn Esry?

Kiedy teraz Rodrigue zaproponował Efraima, król podzielił się z nim tymi zastrzeżeniami. Powoli wprowadził się w stan gniewu i dał upust swej najtajniejszej niechęci.

— Wszyscy ci żydzi — powiedział gniewnie — są ze sobą związani. Jehuda był z pewnością sprzysiężony z Efraimem. Na pewno wiedzą, gdzie się znajduje mój syn, najukochańszy Sancho. Jeżeli mi go nie wydadzą po dobremu, zmuszę ich do tego. Ostatecznie jestem królem i żydzi są moją własnością. Mogę robić z nimi, co chcę, sam Jehuda oświadczył mi to. Nie zniosę, żeby się mścili na moim dziecku.

Rodrigue, wstrząśnięty tym wybuchem, nie nalegał dłużej na mianowanie don Efraima.

Tymczasem Alfonso odczuwał wzrastającą pokusę zobaczenia Efraima i pomówienia z nim. Nie wiedział tylko, czy ma żądać od niego wydania syna, czy też prosić go, żeby został jego wysłannikiem. Wezwał go do siebie.

— Zapewne wiadomo ci, don Efraimie — zaczął — że kalif pragnie rokować o pokój. — Ponieważ Efraim tylko skłonił się w milczeniu, od razu go sprowokował: — Zapewne wiesz więcej od mnie i znasz już jego warunki.

Don Efraim stał przed nim chudy, stary, zgarbiony. Było coś niepokojącego w tym, że don Alfonso nie wezwał go do siebie od czasu klęski pod Alarcos i zamordowania Jehudy. Bardzo możliwe, że król zechce wyładować swe poczucie winy przez nowe gwałty na żydach. Efraim musiał być ostrożny.

— Kiedy wróg rozpoczął odwrót spod Toledo — odparł — odprawiliśmy modły dziękczynne i prosiliśmy Boga, by zesłał na twoją głowę dalsze błogosławieństwa.

Don Alfonso drażnił go w dalszym ciągu:

— Czy nie uważasz za niesłuszne, że niebo znowu okazuje mi tak wielką łaskę? Z pewnością mnie przypisujecie winę za śmierć waszych mężów i zamordowanie waszego Ibn

Esry.

— Cierpeliśmy i modliliśmy się — odparł don Efraim.

Alfonso zapytał bez ogródek:

— Cóż ci wiadomo o warunkach pokoju?

Efraim odrzekł:

— Szczegóły są nam równie nie znane, jak tobie. Przypuszczamy, że kalif zechce zatrzymać cały obszar na południe od Guadiany. Z pewnością zażąda dla swego skarbcza sutej daniny rocznej, a dla emira Sewilli wysokiego odszkodowania wojennego. Będzie się też chyba domagał długiego terminu ważności nowego traktatu pokojowego.

Alfonso, bardzo ponury, powiedział:

— Czy zamiast przyjąć warunki tego rodzaju nie powinienem wojować dalej? A może uważacie takie warunki za godziwe? — zapytał gniewnie.

Efraim ociągał się z odpowiedzią. Jeżeli teraz opowie się za traktatem i pokojem, może się wydarzyć, że król wyładuje swą bezsilną furię na aliamie i na nim samym. Odczuwał pokusę dania odpowiedzi wymijającej, nic nie mówiącej, jedynie czołobitnej. Ale Alfonso uzna to za aprobatę, przecież czeka tylko na zachętę do kontynuowania swej bezsensownej wojny. I Bóg nie powtórzy cudu, Toledo zginie, a wraz z Toledo zginie również i aliama. Nieżyjący Jehuda miał często przy podobnych wątpliwościach i trudnościach odwagę przemawiania temu chrześcijańskiemu królowi do rozumu i wzywania go do pokoju. W ciągu stulecia żydowscy doradcy apelowali do rozumu kastylskich królów.

— Jeżeli chcesz usłyszeć zdanie starego człowieka, panie — powiedział wreszcie swym bezdźwięcznym głosem — to radzę ci: zawrzyj pokój. Przegrałeś tę wojnę. Jeżeli będziesz ją prowadził dalej, muzułmanie dotrą prędzej do Pirenejów, niż ty do morza południowego. Dopóki kalif zadowala się granicą na południe od Toledo, zawrzyj pokój niezależnie od warunków, jakie stawia.

Alfonso chodził tam i z powrotem z owym niebezpiecznym lśnieniem w oczach, z czołem, pooranym zmarszczkami. To, co żyd tutaj powiedział, było bezczelne. Każę go zatrzymać i zamknąć, dopóki czelność z niego nie wyparuje i Efraim nie wyda mu jego Sancha. Zbierze wszystkich, pieszych i konnych, napadnie zniemacka na muzułmanów, przełamie ich linie. Wiedział, że są to plany bezsensowne, musiał rokować o pokój, i to za pośrednictwem tego Efraima. Ale nie, nie, właśnie że nie! Pokaże temu Rodrigue i temu żydowi, że don Alfonso jeszcze żyje. Ale był Alfonsem pobitym; żyd miał rację, nie jest ani durniem, ani zbrodniarzem, pośle wysłannika do Sewilli, żeby błagać o pokój. Biegał tam i z powrotem, minutę, dwie, zmieniał swą decyzję trzykrotnie.

Don Efraim stał w milczeniu w czołobitnej postawie, z nieustraszoną twarzą, jednak w głębi ducha trwożliwie napięty. Śledził wzrokiem króla, widział, jak mózg jego pracuje.

Nagle Alfonso stanął bardzo blisko niego i powiedział wyzywająco, złowrogo:

— Słuchaj no, jeżeli tak gorąco występujesz za pokojem, czy pojechałbyś jako mój negocjator do Sewilli?

Efraim oczekiwał od tego nieobliczalnego człowieka wiele zarówno dobrego jak złego, ale tej propozycji się nie spodziewał. Nie umiał ukryć, że go to zaskoczyło, wbrew dworskemu obyczajowi cofnął się nieco i podniósł, jak gdyby broniąc się, swą starczą rękę. Zanim zdążył przemówić, Alfonso zaklął go nieoczekiwane łaskawie:

— Proszę cię, nie mów od razu: nie. Usiądź i zastanów się.

Siedzieli naprzeciw siebie. Efraim pocierał palcami jednej ręki kiść drugiej. Przez całe życie unikał tego, żeby wpadać w oko. Ile się natrudził, by odwieść Jehudę od błyskotliwych urzędów, a teraz ma sam objąć misję, na którą skierowane będą oczy wszystkich. I cokolwiek

osiągnie, to głupie, niewdzięczne Toledo będzie krzychało: zdrada! Jeżeli zyska uznanie króla, będzie miał przeciw sobie tysiące zazdrośników. Z drugiej strony może teraz krajowi i żydostwu wyrządzić przysługę, jak rzadko kto przed nim, jeżeli przyniesie trwałą pokój. Ten rachmistrz, zazwyczaj taki chłodny, był poruszony, zbity z tropu. Cała jego istota wzdrygała się przed tą misją. Słowo „nie” pociągało go potężnie, ale myślał o Jehudzie i uznał wypowiedzenie słowa „tak” za swój obowiązek.

— Kalif nie lubi żydów — wystąpił wreszcie z zastrzeżeniem.

— Chrześcijan także niezbyt kocha — odparł Alfonso.

Efraim powiedział:

— Rokowania będą uciążliwe, jestem stary i chorowity.

Król przewyciężył się i odrzekł:

— Odmawiasz mi nie z powodu swego wieku i nie z powodu złego stanu zdrowia.

Obawiasz się, że jestem zbyt uparty i zbyt dumny. Nie jestem taki. Zrozumiałem, że człowiek, który został tak pobity jak ja, nie może długo błyszczeć i awanturować się. Nie będę ci przeszkadzał. Dam ci szerokie pełnomocnictwa. Jestem gotów wypłacić emirатовi Sewilli wysokie odszkodowanie wojenne oraz roczną daninę kalifowi. Trybut — zakończył gniewnie.

Efraim odparł ostrożnie, nieobowiązująco:

— Sądzę, że twój negocjator mógłby w tych kwestiach osiągnąć porozumienie.

Powiedz mi jednak, panie, co myślisz o owym drugim, najważniejszym punkcie: o czasie trwania rozejmu? Nie przypuszczam, żeby kalif zadowolił się pokojem krótszym niż lat dwanaście. Podpisałbyś taki traktat? I byłbyś skłonny go dotrzymać?

Alfonso chciał znowu wybuchnąć. Żyd zachowywał się tak, jak gdyby był jego spowiednikiem. Znowu jednak rozsądek króla powściągnął gniew. Kiedy wtedy pozwolił do traktatu z Sewillą wstawić słowa *in octo annos*, na lat osiem, były one dla niego od początku atramentem i pergaminem. Ale te trzy słowa ściągnęły na kraj kalifa, pozabijały jego rycerzy zakonu Calatrava. Don Efraim miał rację przypominając mu, że jeżeli teraz zawrze pokój na lat dwanaście, będzie musiał przez lat dwanaście zachowywać się spokojnie.

— Widzę — powiedział cicho i z goryczą — że długo zastanawiałeś się nad interesami kalifa.

Efraim obawiał się gorszego wybuchu. Odpowiedział z ulgą:

— Tak czyni chyba każdy, komu sprawy publiczne leżą na sercu.

Alfonso, zatopiony w myślach, milczał. Efraim namawiał go:

— Długi pokój będzie pożyteczniejszy dla ciebie niż dla muzułmanów. Gdybyś nawet najgoręcej tego pragnął, nie możesz tak prędko prowadzić żadnej wielkiej wojny. Potrzebujesz czasu, cała tak strasznie spustoszona Hiszpania chrześcijańska potrzebuje czasu, żeby przyjść do siebie.

Alfonso odpowiedział:

— Dwanaście lat. Wiele wymagasz, starcze.

Efraim, urażony, odpowiedział niemal szorstko:

— Proszę ci, panie, nie wysyłaj mnie do Sewilli.

Alfonso odparł:

— Daję ci tych dwanaście lat.

Wstał, znowu zaczął biegać tam i z powrotem.

— Chcę, żebyś pojechał do Sewilli możliwie najprędzej. Daj mi znać, jakich potrzebujesz pełnomocnictw, dobiore ci eskortę.

— Skoro rozkazujeś — rzekł Efraim — wezmę udział w delegacji, ale tylko jako jej doradca finansowy lub sekretarz. Bądź łaskaw postawić na czele delegacji jednego ze swych



grandów. Jeżeli tego nie uczynisz, muzulmanie będą niezadowoleni od samego początku.

Alfonso odparł:

— Niechaj w skład delegacji wejdzie dwóch albo i trzech moich baronów. Ale pełnomocnictwo będziesz miał tylko ty.

Efraim skłonił się głęboko.

— Z bożą pomocą spróbuję — powiedział — przynieść ci niezły pokój. — Po tych słowach zaczął sposobić się do wyjścia.

Ale don Alfonso nie puścił go jeszcze. Ociągając się powiedział:

— Jest jeszcze jedna sprawa, don Efraimie, w której chciałbym prosić cię o radę. Spadek po moim zmarłym przyjacielu i escrivano don Jehudzie musi być bardzo znaczny. Nie wydaje mi się, żeby miał krewnych, którzy mogliby rościć sobie do niego słuszne pretensje. A może wiesz, czy jest ktoś taki?

Don Efraim, znowu bardzo czujny, odparł:

— W Saragossie wchodziłby w rachubę don Józef Ibn Esra, kuzyn Jehudy. Wedle naszych ustaw i zwyczajów ma on prawo do dziesiątej części dziedzictwa. Radziłbym ci, panie, pozostawić mu tę część. Wyświadczy ci cenne usługi przy uciążliwym ściąganiu zaległych należności, które Jehuda miał na całym świecie.

Alfonso odparł:

— Niechaj się stanie, jak proponujesz. Myślałem również o tym, żeby część dziedzictwa postawić do dyspozycji aliamy Toledo.

— Jesteś bardzo wielkoduszny, panie — powiedział Efraim. — Czy uświadamiasz sobie, że chodzi o bardzo wysokie sumy? Don Jehuda był obok arcybiskupa Toledo najbogatszym człowiekiem w kraju.

Król odparł nie bez zakłopotania:

— Pozostałym majątkiem niechaj zarządzają z mego polecenia urzędnicy mego skarbu koronnego, dopóki się nie odnajdzie główny spadkobierca, syn donii Racheli. Nawiasem mówiąc — zakończył właściwie bez związku — wygotowane zostały dokumenty, które na tego syna donii Racheli przelewają wszystkie prawa i tytuły hrabstwa Olmedo. Kazał je jeszcze wygotować don Jehuda.

Efraim odpowiedział sucho:

— To twoje dobre prawo, panie, ściągać z dziedzictwa don Jehudy dla twego skarbu koronnego wszystko, co tylko zechcesz, i nikt ci z tego powodu nie może czynić wyrzutów.

Alfonso odparł głosem nieco ochryplym:

— Zmarły mój przyjaciel Jehuda często z tobą przebywał i zapewne wiesz wiele. Nie chcę nalegać na ciebie, starcze, pytać, co i ile wiesz. Ale myśl, że syn mój snuje się między wami i nie znam go, przygnębia mnie. Musisz to zrozumieć. Chcesz mi pomóc?

Mówił błagalnie, czule, schlebiało to Efraimowi, ale i niepokoiło go. Zmarły wróg-przyjaciel obarczył go niebezpiecznym zadaniem. Odrzekł:

— Nikt nie wie i nikt już nie potrafi stwierdzić, czy don Jehuda Ibn Esra miał ze zniknięciem swego wnuka coś wspólnego. Jeżeli tak było, to z pewnością do sprawy tak drażliwej wciągnął jednego tylko współnika, zaufanego, umiającego milczeć.

Alfonso poczuł się poniżony i upokorzony. Ale wbrew swej woli nie porzucił tematu i powiedział:

— Wierzę ci i nie wierzę. Obawiam się, że jeżeli coś wiecie, nie powiecie nikomu. Boli minie, wyznając ci to szczerze, że syn mój ma wyrosnąć wśród was i waszych obyczajów. Powinienem nienawidzić was za to i czasami też nienawidziłem.

Efraim powiedział:

— Raz jeszcze pytam, panie, czy chcesz naprawdę, żeby człowiek, o którym tak myślisz, reprezentował w Sewilli twoje sprawy i sprawy twojego kraju?

Na to król:

— Nieraz czułem niechęć również i do don Jehudy, choć wiedziałem, że jest moim przyjacielem. Jesteś stary, doświadczony, znasz ludzi, rozumiesz, jak to jest. Chcę, żebyś dla mnie udał się do Sewilli. Wiem, że nikogo lepszego nie mam do wysłania.

Efraim odczuwał litość, co mu sprawiało pewną satysfakcję. Powiedział:

— Może przyjdzie taki czas, kiedy zgłosi się ten lub ów i oświadczy, że jest zaginionym. Radzę ci, panie, nie zajmuj się tym. Zapewne kryć się za tym będzie oszustwo. Zbadanie, czy tak jest, pozostaw nam, przy swych licznych troskach nie obciążaj się jeszcze i tą. Bądź skromniejszy, don Alfonso. Masz udane córki, szlachetne infantki, które kiedyś staną się wielkimi królowymi. Wnukowie twoi będą zasiadać na tronach Hiszpanii i z bożą pomocą złączą w jedno kraje półwyspu. — Zakończył mgliście, ale dla króla zarozumiałe: — Don Jehuda nie żyje, nie żyją jego syn i córka. Z pokolenia jego pozostał tylko ten wnuk. A don Jehuda powrócił z islamu do żydostwa swych ojców i to jest jego dziedzictwo.

Don Alfonso czuł, co to oznacza, że wojnę, z którą się nie potrafił uporać, kazał zlikwidować za pośrednictwem Efraima, żyda, kupca. Zrezygnował ze swego nieskazitelnego rycerstwa, pożegnał się z Bertranem, skończył ze swoją przeszłością i młodością. Nie żałował tego, ale niemal fizycznie odczuwał rezygnację i pustkę.

Na drodze, którą sobie teraz wytyczył, nie było kuszących bocznych ścieżek, nie prowadziła w stronę lśniącego dal, biegła trzeźwo, prosto do poczciwego, solidnego celu. Wkroczywszy na nią, chciał dojść po niej aż do końca. Sam nałożył sobie łańcuchy, żeby gorzkiego pokoju, którego brzemień wziął na siebie, nie narażać na szwank przez miłe, heroiczne awantury.

Pewnej nocy nie mógł zasnąć. Rozwahał, odrzucał, ważył od nowa, postanawiał, odrzucał.

Wreszcie postanowił.

Uśmiechając się lekko, zakomunikował kanonikowi, że chciałby wreszcie obsadzić na nowo opróżnione biskupstwa Awili, Segowii i Siguenzy, jemu zaś, Rodrigowi, powierzyć biskupstwo Siguenzy.

Niemile zdziwiony Rodrigue zapytał:

— Pragniesz pozbyć się uciążliwego mentora?

Alfonso uśmiechnął się mocniej, w rysach jego twarzy pojawiły się młodzieńczy wdzięk i szelmostwo.

— Tym razem niesłusznie mi nie ufasz, czcigodny ojczu. Nie chcę cię mieć z dala od siebie, przeciwnie, pragnąłbym związać się z tobą mocniej. Jeżeli jednak jestem dobrze poinformowany, ustawy kościelne nie pozwalają, żeby kanonik bez przekroczenia stopnia pośredniego wzniósł się do godności arcybiskupa Toledo.

Myśli Rodriga zaczęły wirować burzliwie w przeciwnych kierunkach. Alfonso chce go zrobić prymasem Hiszpanii! Był dobry w radzie, ale o takim wywyższeniu w skromności swej nigdy nie marzył i bardzo go dziwiło, że wówczas don Martin obawiał się tego. Odtąd więc nie tylko miałby doradzać i wyrażać swe zdanie, lecz zarządzać największymi dochodami kraju, rozstrzygać wiążąco o wojnie i pokoju. Wizja ta oszałamiała go. To, co na niego spadło, było błogosławieństwem, łaską i najcięższym brzemieniem.

Na widok poruszonego oblicza kanonika Alfonso rzekł na pół żartem, na pół serio:

— Na przeciąg paru miesięcy będziesz oczywiście musiał udać się do Siguenzy i nie będę cię mógł oglądać. Ojciec Święty jest człowiekiem twardym; nie tak prędko uda mi się

skłonić go, żeby ci dał pallium. Ale nie będę szczędził wydatków i w końcu dopnę swego. Chce, żebyś był drugim człowiekiem w państwie — ciągnął z chłopięcym uporem. — Zniosłeś hiszpańską rachubę czasu, ale mimo to chcę cię mieć jako biskupa Hiszpanii.

Wiadomość o nowym zwrocie przygnębiła Muzę. Rodrigue uda się do Siguenzy. Jakże Muza, muzułmanin, mający licznych wrogów, będzie mógł żyć w Toledo bez ochrony kanonika? Szaro, bezradośnie, niepewnie, jak to już nieraz bywało, rysował mu się ostatni etap życia.

Jednak jako człowiek mądry i znający się na ludziach nie zapominał w swej własnej niedoli o błogosławieństwie, które przyniesie kanonikowi nagła zmiana, i znalazł dla niego ciepłe słowa.

— Liczne sprawy, związane z twoim urzędem — powiedział — oderwą cię niebawem od acedii, od owych świętych rozmyślań tych ostatnich miesięcy. Będziesz podejmował decyzje i dokonywał czynów przesądających o losach wielu. Praca ta — ciągnął poruszony — doda ci, mam nadzieję, bodźca do podjęcia na nowo kroniki. Tak, mój wielce dostojny przyjacielu — zakończył pogodnie — kto tworzy historię, tego niewątpliwie nawiedza pokusa przedstawienia jej.

Istotnie, pokusa taka zrodziła się w głowie Rodriga, kiedy tylko król zaproponował mu biskupstwo. Alfonso obciążył się naprzód rozważnym mentorem Efraimem, teraz uzależnia się z własnego popędu od niego, człowieka nie rycerskiego, miłującego pokój. Tylko Alfonso wewnętrznie zmieniony mógł sobie narzucić dwa takie bicze. Ze świadomości tej zrodziły się w Rodrigu nowa, słaba otucha oraz błogie poczucie i nadzieja, że na przekór jego ponuremu mędrkowaniu w straszliwych wydarzeniach lat ostatnich mógł tkwić sens. Bronił się jednak przed tym, żeby takim rozważaniom ulegać, nie pozwalał im na przetworzenie się w wyraźne myśli, nie chciał przeżyć powtórnego rozczarowania.

Gorączkowo odpowiedział Muzie:

— Jestem jak najdalszy od myśli podjęcia na nowo mojej kroniki. Wiesz przecież, że zniszczyłem cały mój materiał.

— Twoja akademia może ci w przeciągu krótkiego czasu dostarczyć nowego materiału — odpowiedział Muza z całym spokojem. — Również i mój materiał może się przydać. Chętnie ci go uporządkuję. Nie będzie oczywiście rzeczą łatwą — ciągnął dalej z przygaszonym wyrazem twarzy — pozostawać z tobą w kontakcie. Kto wie, w jakim zakątku będę musiał ukryć się, kiedy nie będę już miał twojej ochrony.

Rodrigue nie zrozumiał go w pierwszej chwili. Potem zaperzył się:

— Coś ty sobie właściwie myślał? Rzecz zrozumiała, że pojedziesz ze mną do Siguenzy.

Muza rozpromienił się. Ale muzułmańska uprzejmość nakazywała wyrazić zastrzeżenia.

— Czy w twoim pałacu w Siguenzy — zapytał — nie będę robił wrażenia kogoś bardzo obcego? Ci, którzy żyją w zasięgu twojej tiary, będą się dziwili, żeś wziął za domownika obrzezanego.

— Niech się dziwią! — odpowiedział Rodrigue krótko i gniewnie.

Muza, ciągle jeszcze z szerokim uśmiechem na swej bardzo brzydkiej twarzy, ciągnął dalej:

— Muszę ci również zwrócić uwagę, że będziesz miał teraz ze mną niemały kłopot. Od tej chwili bowiem nie dam ci spokoju dopóty, dopóki znowu nie zabierzesz się do swojej kroniki.

Już teraz, jeszcze w Toledo, zaostrzał apetyt przyjaciela i wciągał go ustawicznie w obszerne debaty historyczno-filozoficzne. Stojąc przy swoim pulpicie, kreśląc coś, powiedział przez ramię:

— To nie przypadek, że my, muzułmanie, musieliśmy znowu oddać Toledo, mając je

właściwie w rękę. Nasz czas, wielki czas naszej potęgi, niestety minął, a wewnętrzne spory, które zwycięskiego kalifa odwołały niemal ze zwycięskiego pola bitwy, będą się powtarzać. Jest to tak pewne, jak reguły matematyczne. Mocarstwo muzułmańskie, mimo iż robi wrażenie tak potężnego, jest stare. Rozsypuje się.

Jak się tego Muza spodziewał, Rodrigue dał się złapać na przynętę.

— Masz odwagę powiedzieć, że czas wasz przeminął — odpowiedział. — Ale wyście przecież zwyciężyli! Wojsko nasze zostało rozbite, granica wasza przebiega tuż koło Toledo, nasz dumny Al-fonso uiszcza wam trybut. — Zapalił się. — Panowanie muzułmańskie u schyłku! Wielki czas muzułmanów minął! Trzykrotnie w ciągu tego stulecia rzucaliśmy przeciw wam masy wojska, jakich świat nie widział. Pięćset tysięcy rycerzy chrześcijańskich oraz tysiące tysięcy żołnierzy chrześcijańskich narodów poległy w tych krzyżowych wyprawach, nie mówiąc o tych, którzy zmarli w ojczyźnie od nędzy i zarazy. Mimo to święte miasto znajduje się w waszym posiadaniu tak samo jak przed stu laty. A ty narzekasz, że państwo się rozpada.

Muza odparł uprzejmie:

— Udajesz mniej mądrego, najdostojniejszy przyjacielu, niż jesteś. Wtłaczasz historię niewielu dziesięcioleci, względnie jednego stulecia w jedną ramę, udajesz, że jest to coś zamkniętego w sobie. My jednak, ty i ja, nie chcemy przecież opisywać jedynie dnia dzisiejszego i drobiny dnia wczorajszego. Dążymy do tego, żeby utrwalić sens wydarzeń, chcemy poznać kierunek wydarzeń i wskazywać przyszłość jak prawdziwi zwiadowcy Boga. I oto okazuje się niestety, że wasze wyprawy krzyżowe wcale nie przyniosły tak ujemnych rezultatów. To prawda, że to, coście w ostatnim stuleciu zdobyli, nie było, jeśli chodzi o obszar, warte takich ofiar. Ale za to zdobyliście, wiesz o tym równie dobrze jak ja, wgląd w sprawy gospodarcze oraz bezcenne doświadczenia polityczne i naukowe. Dobrodusznie i dumnie oprowadzaliśmy was po naszych fabrykach, pokazywaliśmy wam, jak wychowujemy naszą młodzież, jak zarządzamy naszymi miastami, jakie mamy prawodawstwo. Byliście gorliwymi uczniami, naśladowaliście nas w tym, cośmy czynili dobrego. Zrozumieliście, że w obecnym stuleciu mniej potrzebni są rycerze, że więcej trzeba ludzi nauki, fachowców, budowniczych, rusznikarzy, inżynierów, wykwalifikowanych rzemieślników oraz wyszkolonych rolników. Jesteście młodzi, znajdujecie się w pełni rozwoju, wkrótce dogonicie nas i przegonicie. Straciliście pięćset tysięcy rycerzy, ale do zwyciężonych nie należycie.

Podniósł nikły głos. Patrzył na przyjaciela spokojnymi, świadomymi, nieco szyderczymi oczyma. Rodrigue milczał. Nie bez zadowolenia uznał się za pokonanego.

Rozmowy tego rodzaju prowadzili obydwaj jeszcze niejednokrotnie. Ku zdumieniu Muzy Rodrigue twierdził w tych sporach, że niewierni odnieśli triumf, natomiast Muza powątpiewał o ostatecznym zwycięstwie muzułmanów.

Im dłużej jednak Rodrigue rozmyślał nad argumentami przyjaciela, tym bardziej go przekonywały, tym więcej dodawały mu otuchy. Czuł się odmłodzony i odnowiony. Nie dręczyło go już owo zdanie Pawła z listu do Koryntian, wygrywające głupotę Boga przeciw rozsądkowi mędrców. Zamiast tych słów radował się zdaniem apostoła: „To, co stare, minęło, popatrz, jakie wszystko stało się nowe”. Zamiast ślepej wiary, rozplywającej się w błogim zachwyceniu, wypełniała go teraz coraz bardziej krzepnąca świadomość, doznawał coraz mocniejszego uczucia, że mimo wszystko przebieg wydarzeń światowych ma jakiś sens, który można wykryć. Nie umiał jeszcze sformułować tego uczucia w konsekwentnych zdaniach. Nie dążył też do precyzji. Wystarczyło mu wiedzieć o sensie wydarzeń światowych tyle, ile o istocie czasu wiedział święty Augustyn: „Kiedy mnie nie pytasz, wiem, kiedy pytasz, nie wiem”.

Tymczasem słowa Muzy zapadały w Rodriga coraz głębiej i coraz gorętsze stawało się jego pragnienie zostania zwiadowcą Boga, śledzenia pełnych sensu dróg wydarzeń.

Mimo to ociągał się z ponownym zabranieniem się do kroniki. Powstrzymywała go nowa wątpliwość.

— Obawiam się — oświadczył przyjacielowi — że to, co mnie do tego dzieła pociąga, płynie nie tyle z chęci służenia Bogu, ile z ambicji pisarskiej.

Na twarzy Muzy pojawił się chytry wyraz. Wyciągnął ciężką księgę „Życie świętego Augustyna”, przeczytał Rodrigowi, co Possidius, jeden z uczniów świętego, napisał o jego ostatnich chwilach. Augustyn był wówczas arcybiskupem miasta Hippony, obleganego przez Wandalów; z pałacu widział, jak płonie jego kraj — Kartagina. Miał lat siedemdziesiąt sześć, był bardzo słaby, wiedział, że wkrótce umrze. Otaczał wielką troską oblężone miasto i zalaną przez wroga prowincję. Równocześnie jednak raz jeszcze odczytywał liczne swe książki, poprawiał i zmieniał, żeby z każdego jego dzieła mógł pozostać w bibliotece Hippony bezbłędny egzemplarz. Próbował jeszcze również ukończyć książkę, wymierzoną w pisma kacerza Juliana. Augustyn, najświętszy spośród wszystkich biskupów — komunikował Possidius — zmarł piątego dnia miesiąca września. Będąc już na łożu śmiertelnym zajęty był odpieraniem ataków Wandalów, a równocześnie pracował nad swą wielką polemiką z kacerzem Julianem.

Muza spojrzawszy sponad księzek i chytrze powiedział:

— Chcesz, wielce dostojny mój przyjacielu, być świętszym od świętego Augustyna? Posłuchaj swego serca, zbadaj, czy wątpliwości twoje nie są tylko pobożną pychą.

Wieczorem tego dnia Rodrigue przygotował sobie gruby stos białego, kosztownego papieru i powoli, z lubością jął pisać:

... Rozpoczyna się historia Hiszpanii. Incipit chronicon rerum Hispanarum.

Muza zauważył z uśmiechem:

— Żadna zbrodnia nie tkwi w człowieku głębiej niż pisarstwo.

Pokój, który don Efraim przywiózł do domu, okazał się lepszy, niż przypuszczano. Nie mógł jednak, a może nie chciał osiągnąć tego, żeby zawieszenie broni ustalone zostało na mniej niż na lat dwanaście.

Wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania don Efraima don Alfonso powiedział:

— Wiem, że powinienem ci być wdzięczny. Tak też jest. Chcę zwołać moich grandów, żeby byli świadkami, kiedy mi będziesz zwracać rękawicę na dowód, żeś moje polecenie wypełnił.

Don Efraim zaczął się bojaźliwie bronić.

— Nie sądzę, żeby mi się taki zaszczyt należał. Poza tym przysporzyłoby to aliamie wielu zazdrośników i niewielu przyjaciół.

Alfonso, mrużąc oczy, zapytał, czy zdaniem Efraima na odbudowę gospodarki trzeba będzie pełnych lat dwunastu.

Efraim odczuł niechęć. Ostrzegał tego człowieka zawczasu i bardzo energicznie, że musi być wewnętrznie przygotowany do długiego pokoju. Uzależnił przyjęcie niedobrego zlecenia od tej gotowości i oto, ledwie Alfonso zawarł traktat, już rozmyśla nad tym, żeby go złamać.

Odpowiedział sucho:

— Stan, w którym się twoje państwo znajduje, jest tego rodzaju, panie, że przypuszczalnie będziesz musiał zachowywać pokój dłużej niż przez lat dwanaście. Nie dożyję twojej nowej wyprawy, a ty, rozpoczynając ją, nie będziesz już młody.

Wobec niezadowolonego milczenia Alfonsa upominał go:

— Pogódź się z tym, królu. Don Jehuda dobrze się dla ciebie natrudził. Ponawiały stosunki, które przetrwały dotąd mimo klęski, ukazał całemu światu liczne możliwości twojej Kastylji, stworzył ci kredyt. Jeżeli jednak chcesz z tego ciągnąć korzyści, musisz trzymać się jego planu zasadniczego — budował przecież dla dzieła pokoju. Nie myśl w najbliższych latach o

twoich rycerzach i baronach, którzy czynią jedynie kraj ubogim, myśl o twoich obywatelach i chłopach, o twoich miastach. Im daj przywileje, fueros, wzmocnij ich wobec grandów.

Don Alfonso słuchał niechętnie, ale z zainteresowaniem. Światem jego było rycerstwo. Prawda królewska była inna, niż prawda żydów i bankierów, filozofią jego były pieśni Bertrana. Ale ten Efraim ma chyba rację i jeżeli Alfonso chce za dwanaście lat wszcząć zwycięską wojnę, musi teraz cackać się z tymi, którzy są na dole. Musi dać w swej radzie miejsce mieszczanom i chłopom, karać rycerza, kiedy chłosta chłopa lub z bronią w ręku rabuje mieszcuchowi worki z pieprzem. Będzie to pusty, nudny świat, Kastylia, której jest władcą, stanie się smutnym krajem.

Don Efraim mówił teraz o fatalnym stanie gospodarczym. Górnictwo wyglądało opłakanie, manufaktury, które don Jehuda doprowadził do takiego rozkwitu, były zniszczone, zrujnowane, trzody zostały uprowadzone, hodowla owiec, stanowiąca przed wojną jedno z głównych źródeł dochodu, znajdowała się w całkowitym zaniedbaniu. Maravedi kastylijski był zdewaluowany, za jednego maravedi aragońskiego trzeba było płacić sześć kastylijskich. Jeżeli rolnictwo i przemysł nie mają całkowicie upaść, trzeba im pomóc przez zastosowanie ulg podatkowych i przyznanie wielu praw. Wchodził w każdy szczegół. Wysuwał propozycje, które cła i opłaty należy obniżyć, które znieść całkowicie. Wymieniał coraz to nowe cyfry.

Kiedy Jehuda mówił o podobnych sprawach, udawało mu się czasami przykuć na chwilę uwagę don Alfonsa, ale króla szybko ogarniała do tych suchych, niegodnych władcy interesów wyraźna niechęć i zdarzało się, że takie rozmowy brutalnie urywał. Teraz jednak, choć Efraim mówił bez rozmachu i blasku Jehudy, Alfonso słuchał z coraz większym zainteresowaniem o cyfrach, opłatały go, znajdował zadowolenie w dokładności i precyzji, z jaką żyd liczył. Nie chciał tego przyznać, ale był zadowolony. Zamykanie oczu przed nową, wstrętną przyszłością na nic się nie zda, trzeba się z tym pogodzić. Wielu jego poprzedników musiało to czynić, byli wśród nich wielcy i potężni, jak na przykład król Henryk; jeżeli o niego chodzi, to musiał drogo za swoją ślepotę zapłacić.

— Szczęście to, panie — wywodził Efraim — żeś pozwolił wówczas Jehudzie na osiedlenie w twoim państwie sześciu tysięcy uchodźców z Francji. Ci uzdolnieni ludzie mogą zastąpić licznych fachowców, którzy padli albo zginęli bez wieści. Musisz przyznać Jehudzie, niechaj imię jego będzie błogosławione, że...

Król przerwał mu.

— Prosiłem cię kiedyś, żebyś zarządzał moim skarbem królewskim. Odmówiłeś. Zapewne miałeś rację. Niewiele było do zarządzania, poza tym doradcy moi nie mieli ze mną łatwego życia. Teraz może w skarbcu jest jeszcze mniej, ale tymczasem zmyślałem, możeś to zauważył. Proszę cię raz jeszcze, żebyś został moim alfakimem albo lepiej alfakimem mayor.

Efraim oczekiwał tej oferty i bał się jej. Bronił się przeciw temu całą duszą. Lękał się zawsze stanowisk oficjalnych. Był stary, przez te dni, które mu pozostawały, miał ochotę siedzieć w domu przy piecu, marzył o tym, żeby go niewielu oglądało i doglądało, żeby mógł w spokoju wyzionąć ducha. Odżyła w nim niechęć i nienawiść przeciw Alfonsowi. Człowiek ten wpędził większość tych, których wystawiła aliam, w objęcia śmierci z bezmyślnej, rycerskiej żądzy przygód. Zabrał wiernemu słudze Ibn Esrze córkę i syna, nie uratował go w nieszczęściu. A teraz chce jego, Efraima, zaprząć do swego wozu i pchnąć go stromą, dręczącą drogą, która przed nim leżała.

Powiedział:

— Odbarzasz mnie wysokimi łaskami. Ale rokowania w Sewilli były wyczerpujące. Sprawy aliamy czekają na mnie. Zwolnij mnie od tego, panie.

Alf anso, uśmiechając się młodzieńczo, odparł:

— Chciałbym mieć jako alfakima żyda.

Słowa te wypowiedziane zostały niezgrabnie, głupawo, ale brzmiała w nich uprzejmość dawnego Alfonsa. Nagle Efraim ujrzał wewnątrz tego człowieka. Zrozumiał, że Alfonso chce dać zadośćuczynienie swemu nieżyjącemu *escrivano* i przewyciężając się kroczyć jego drogą. Ten Alfonso szukał nie bez lęku przewodnika. Przejęcie urzędu, kontynuowanie tego, co rozpoczął Jehuda, to zadanie skracające życie. Ale Efraim przypomniał sobie błyszczące, natarczywe, szydercze oczy Jehudy, usłyszał jego miękki, pięknie brzmiący głos, w pamięci stanęło mu ich pierwsze spotkanie. Musi się znaleźć ktoś, kto ujmie wyciągniętą, szorstką, brudną rękę tego chrześcijańskiego króla i będzie go popychać z trudem po wąskiej, surowej drodze pokoju.

Efraim, dygocąc, choć był mocno opatulony, wyglądał istotnie bardzo staro i robił wrażenie złamanego. Z trudem wykrztusił:

— Ponieważ rozkazujeś, królu, będę próbował doprowadzić interesy twego kraju do porządku.

— Dziękuję ci — odparł Alfonso. I mówił dalej, ociągając się: — Jeszcze jedną sprawę chciałbym z tobą omówić, don Efraimie Bar Abbo. Nie zawsze okazywałem memu nieżyjącemu *escrivano* tyle wdzięczności, ile powinienem był i jak to okazywał mój dziadek swemu Ibn Esrze. Martwi mnie, że zmarli nawet nie zostali w godny sposób pogrzebani, lecz ubogo i pośpiesznie. Często myślałem o tym, żeby urządzić im pogrzeb, odpowiadający ich stanowi. Doszedłem do wniosku, który wydaje mi się słuszny, że to wy winniście pogrzebać wedle waszego rytuału i waszych obyczajów zarówno nieżyjącego *escrivano*, jak i jego córkę Rachelę, która mi była bardzo bliska. Tych dwoje należy do was, należało aż do ostatniej chwili i będę ci wdzięczny, jeżeli urządzisz im taki pogrzeb, jakiego sobie sami życzyli

Don Efraim powiedział:

— Uprzedziłeś moją prośbę, panie. Zajmę się wszystkim. Wyświadczyć mi jednak tę łaskę i zaczekaj jeszcze przez czas jakiś z pogrzebem, żeby te rzesze, które zechcą uczcić Jehudę Ibn Esrę, dowiedziały się o tym.

Wkrótce po zawarciu pokoju doña Berengaria urodziła chłopca. Tego przyszłego króla Aragonii i Kastylii ochrzczono imieniem Fernán. Chrzest odbył się z największym przepychem; pięciu władców chrześcijańskich półwyspu zebrało się w Saragossie, żeby wziąć udział w uroczystości.

Podczas bankietu Alfonso i Leonor siedzieli obok siebie na podwyższonych krzesłach. Doña Leonor była jak zawsze piękna, kobieca, wyniosła; w myśl wymagań kurtuazji wymieniła ze swym mężem wiele uprzejmych słów.

Alfonso mógł się tego dnia czuć królem nad królami; był świadom swej godności i zaszczytu. Rok temu kraj jego znajdował się w ręku wroga, on sam był zamknięty w swej stolicy. Jakże wściekle wstydził się wtedy, myśląc o Ryszardzie angielskim. Ten ostał się naprawdę jako *miles christianus*, postrach muzułmanów, Melek Rik. Zdobył twierdzę Akko, uchodzącą za nie do zdobycia, w otwartej bitwie pobił wojska sultana Saladyna. Jakże inaczej wyglądają sprawy dzisiaj. Olbrzymie straty krzyżowców okazały się właściwie daremne, zawarte zostało żałosne zawieszenie broni, święte miasto pozostawało w dalszym ciągu w rękach niewiernych, sam Ryszard, pokłócony z sojusznikami, siedział bezbronny w austriackim więzieniu. Tymczasem on, Alfonso, tronował tutaj, był jak i dawniej najpotężniejszym władcą półwyspu. A wnuk jego, którego przed chwilą pokropiono święconą wodą, mocny mały Fernan, połączy niewątpliwie Aragonię z Kastylią i kto wie, może będzie mógł nazywać się cesarzem jak przodek jego, Alfonso Siódmy.

Mimo tego blasku i rozkwitu wznosiła się jednak w duszy Alfonsa pustka. Patrzył na donię Leonor i widział jej pustkę. Patrzył na córkę swą Berengarię i widział w jej oczach, wielkich, zielonych oczach matki, dziką pychę, głód coraz większej władzy i coraz większego uznania. Był

pewien, że uważa swego męża za człowieka słabego, ponieważ po jego klęsce nie ujął w swe ręce panowania nad półwyspom. Był pewien, że Berengaria żyje teraz wyłącznie swym synem, że jemu, przyszłemu emperadorowi Fernanowi, poświęca swe myśli, że dla ojca dziecka nie odczuwa nic poza pogardliwą obojętnością. Ojciec ten był zawadą dla jej syna i jej ambicji, z wygody zaniebawił swój królewski obowiązek, raz już omal nie stracił kraju, który należał do niej i do jej syna, i może przegra go ostatecznie, nim jej mały Fernan nałoży Jobie na skronie koronę cesarską.

Giermkowie, podający królowi jadło, wino i serwety, stali i czekali bezradni. Nie widział ich. Nagle uświadomił sobie bardzo dokładnie, jak jest straszliwie samotny wśród tysięcy po pięć tysięcy swych Kastyljczyków i ich hołdów. Osamotniony patrzył nieruchomo w pusty świat.

Don Rodrigue zauważył z troską, jak Alfonso pod obojętnie uprzejmą maską królewską, nieruchomą i wyniosłą, zmagają się z myślami. Był pełen gorącego współczucia, ale też i pełen ciekawości i pasji kronikarza, przyglądał się królowi z rzeczową gorliwością. Don Alfonso był istotnie memoria tenax, intellectu capax, vultu vivax. Dobrze przechowywał w swej pamięci wydarzenia, rozumiał je swym bystrym rozumem, zatrzymywał je w sobie, odzwierciedlały się w jego wyrazie twarzy. Tak, w twarzy Alfonsa wyryte były jego doświadczenia, jego dzikie żądze, jego ciężkie, burzliwe zwycięstwa, jego gorzkie klęski, jego przewyciężanie się i poznawanie. Czoło przeorywały głębokie bruzdy, policzki były pełne fałd. Twarz jego stała się kroniką jego życia. Dziś już poprzez oblicze człowieka czterdziestoletniego spoglądała twarz starca, którym się kiedyś stanie.

Na północy państwa, w pobliżu granicy Nawarry, na obszarze, należącym do baronów de Haro, mieszkał pustelnik, poddający się najsurowszym ćwiczeniom duchowym. Mieszkał w pieczarze, wysoko, na stromych zboczach Sierra de Neila. To, że mógł tam żyć, było istnym cudem. Był bowiem ślepy. Pozostawał wyraźnie pod opieką Opatrzności. Ona to ratowała jego nogi przed przepaściami, chroniła go przed dzikimi zwierzętami. Opowiadano, że wilki przysiadły przed nim i lizały mu ręce.

Przychodzili do niego na górę pokutnicy, przynosili mu dary, aż nadto wystarczające na jego skromne potrzeby. Prosił go, by kładł na nich dłonie, od rąk jego bowiem płynęła łaska. Potrafił również poznać z dotknięcia twarzy, czy ma przed sobą grzesznika i jak daleko sięga przebaczenie Boga.

Sława pustelnika i jego bogobojnych właściwości rozeszła się po całym kraju.

Pustelnikiem był ów Diego, którego Alfonso przed swoją pierwszą zwycięską bitwą pod Alarcos kazał oślepić, ponieważ zasnął podczas pełnienia warty.

Baronowie de Haro, których Diego był sługą, należeli do uciążliwych wasali, nieprzychylnych królowi. Twierdzili, że miasto Toledo jest wskutek potwornych wydarzeń lat ostatnich pełne grzechów, domagali się od Diega, żeby się tam udał; odwiedziny świętego z pewnością obudzą sumienia. W istocie rzeczy baronowie de Haro liczyli się z tym, że obecność Diega w stolicy będzie królowi niemiła i niewygodna.

Liczni mieszkańcy Toledo płynęli szeroką falą, żeby ujrzeć człowieka, będącego w stanie łaski, coraz głośniejsze stawało się życzenie, żeby i król skorzystał z obecności cudotwórcy. Kiedy swego czasu Alfonso, rozpromieniony, jechał konno przez ulice u boku

Fermosy, ludność Toledo brała udział w tej jego rozgrzewającej serce, niedozwolonej rozkoszy, delektowała się nią sama; ludzie witali go entuzjastycznymi okrzykami, dzień, w którym go spotykali, był dla nich świętem. Kiedy teraz widzieli Alfonsa, odczuwali pełną respektu litość, lęk i grozę przed ujarzmionym. Życzyli mu całkowitego rozgrzeszenia, sądzili, że święty może mu w tym dopomóc.



Rodrigue widział w nastroju, który wokół Diega stwarzano, tylko zabobon i zdrożność; wyczuł również złe zamiary baronów de Haro i radził królowi nie interesować się osobą Diega.

Dla Alfonsa człowiek ten był zawadą. Palił go spóźniony wstyd, kiedy myślał o tym, z jakim zadowoleniem opowiadał Racheli o owym oślepieniu i o swoim przysłowiu na temat zaniedbania obowiązków. Przypomniawszy sobie, jak wtedy ożywiona twarz Racheli stężała; teraz dopiero wiedział, dlaczego.

Ale zauważył, z jakim strachem ludzie na niego spoglądają, i rozumiał ich, rozumiał ich pragnienie, żeby się zetknął ze świętym. Rosła również ciekawość, co się z tego Diega zrobiło? Czy istotnie, nie wiedząc o tym i nie chcąc tego, uczynił tego człowieka świętym?

Kiedy ślepiec stanął przed nim, przypomniał sobie Diega z dawnych czasów. Był to chłop barczysty, zuchwały, pewny siebie, trochę podobny do barona de Castro. Czy ten tutaj to naprawdę Diego, którego kazał oślepić? Alfonso stracił kontenans, ubolewał teraz, że wezwał tego człowieka, nie wiedział, co powiedzieć. Tamten milczał również.

Wreszcie Alfonso, na pół wbrew swej woli, zażartował brutalnie:

— Przynajmniej dobre było przysłowie, które wtedy w związku z tobą wymyśliłem.

Tamten odrzekł:

— Kim ty jesteś?

Niemile zdumienie Alfonsa wzrosło. Czyżby nie powiedzieli temu człowiekowi, do kogo go prowadzą? A może nie chciał tego wiedzieć?

— Stoisz przed królem — rzekł.

Ślepiec, ani zdziwiony, ani poruszony, odparł:

— Nie poznałem twego głosu. Nie płynie od ciebie nic, po czym mógłbym cię poznać.

Alfonso zapytał:

— Czy wtedy, Diego, wyrządziłem ci krzywdę?

Ślepiec odpowiedział ze spokojem:

— To Bóg kazał ci uczynić to, coś uczynił. Ale również i sen, który mnie wtedy opadł, był zesłany przez Boga. Alarcos było miejscem twardej próby zarówno dla ciebie, jak i dla mnie. To owo zwycięstwo pod Alarcos skłoniło cię do stoczenia drugiej zuchwałej bitwy. Mnie cierpienie przyniosło błogosławieństwo. Odnalazłem spokój. — Na pozór bez związku dodał: — Słyszałem, że Alarcos już nie istnieje.

Alfonso sądził z początku, że ten człowiek chce sobie pod osłoną swej świętości zakpić z niego. Ale słowa spływały z warg ślepca dziwnie równomiernie, miało się wrażenie, że wypowiada je ktoś trzeci, obserwujący obu z wielkiej odległości; nie były przeznaczone na to, żeby go dotknąć.

— Modliłem się, królu, żeby nieszczęście i tobie przyniosło zbawienie — powiedział Diego. Po chwili zażądał, wyciągając ręce: — Pozwól mi zobaczyć cię.

Alfonso zrozumiał, czego ślepiec chce, podszedł bliżej, ślepiec dotknął jego twarzy. Król poczuł z niechęcią kościste ręce na swym czole; ugniatały również jego policzki. Wszystko było mu w tym człowieku wstrętne: wygląd, sposób mówienia, zapach. To, czemu się poddawał, było próbą nie lada. Czy ten człowiek nie był jednak jarmarcznym kuglarzem?

Diego rzekł:

— Nie martw się. Bóg dał ci siłę czekania w pokorze. Quien no cae, se no levanta — kto nie pada, nie wstaje. Może będziesz musiał czekać długo, ale masz siłę.

Alfonso odprowadził go do drzwi i pozostawił tym, którzy go przywiedli.

Nadszedł dzień, w którym wykopano zwłoki Jehudy Ibn Esry i jego córki, żeby je przenieść na cmentarz Juderii. Była wczesna jesień, ciepła, nawiedzana raz po raz przez burze; skałę, na której rozłożyło się miasto Toledo, osnuwała ciężka, czarnozielona szarzyzna mgły.

Owinęto Jehudę i Rachelę w białe całuny. Położono zwłoki do pustych trumien, jak tego wymagał obyczaj; posypano tłustą, czarną ziemią, pochodzącą ze Syjonu. Głowa Jehudy, który walczył ku chwale i pożytkowi swego ludu, leżała teraz na ziemi syjońskiej; głowa Racheli, która marzyła o Mesjaszu, spoczywała na tej samej ziemi.

Wszystkie hiszpańskie gminy wyznaniowe powysyłały delegacje, przybyło również wielu z Prowansji i Francji, zjawili się nawet ludzie z Niemiec.

Ośmiu najbardziej szanowanych mężów aliamy wzięło trumny na plecy i zaniosło je po wysypanych żwirem ścieżkach Galiany, otoczonych grzędami i drzewami, do bramy głównej. W miejscu, na którym widniał napis: alafia, czekał nieprzebrany tłum — każdy ubiegał się o zaszczyt zanieśienia trumien do mogiły.

Trumny, spoczywające na coraz to innych plecach, przesunęły się wzdłuż skwarnej szosy ku Aleantara, znalazły się koło mostu nad Tagiem.

Przez krótką chwilę niósł jedną z trumien, drugą, trumnę donii Racheli, młody don Benjamin. Choć była lekka, młodzieniec z trudem poruszał nogami. Rozpacz, głucha i gęsta, odbierała mu siły, dusiła go.

Próbował przełamać ten bezwład myślami.

Myślał o tym, jak to sześć tysięcy uchodźców francuskich, których Jehuda, nie bacząc na wściekły opór, ściągnął do kraju, stało się z uciążliwych, nieproszonych gości bardzo pożądanymi współobywatelami. Wszystko przybrało inny, lepszy obrót, niż przypuszczał. Z niedowierzaniem przyglądał się temu, jak stryj jego Efraim wysłany został do Sewilli, jak doprowadził do zawarcia pokoju, jak starał się go zachować przy pomocy różnych zarządzeń i kroków. Dzieło Jehudy ostało się, posuwało się naprzód. Król nie tylko godził się z nim, ale je popierał. Ile jednak trzeba było zgonów i nędzy, zanim ten rycerz doszedł do rozumu. Czy długo przy nim wytrwa?

Nie wolno mu z niechęci do króla niesprawiedliwie osądzać sprawy. Król zmienił się, osiągnęła to Rachel. Stało się, jak w bajce, którą tak kochała. Czarodziej tchnął w glinianego kolosa życie, ale sam przez to zginął.

Don Benjamin kroczył powoli z lekkim ciężarem Racheli na plecach, wpleciony w krąg swych myśli, nierównym krokiem, mieszając szyki innym, niosącym trumny. Tych sześć tysięcy będzie więc mogło żyć sensownie. Było to niewiele w porównaniu z bezsensownymi zgonami nieprzebranych tysięcy, poległych w wojnach tego stulecia. Wszystko, co zostało osiągnięte, przedstawiało wartość niewielką: i ta odrobina pokoju Efraima, i ta odrobina rozsądku króla. Było to pośród wielkiej nocy jedynie drobne dobre światełko. Ale to nowe, drobne światełko istniało, świeciło i jeżeli opadnie go strach, światełko przepędzi go.

Wraz z innymi, niosącymi trumny, przekazał je nowym czekającym na ich przyjęcie. Bez ciężaru, bez konieczności dotrzymywania kroku innym, włókł się z jeszcze większym trudem. Ale wyteżał siły, wyprostował się, rozmyślał dalej. Myślał z goryczą i uporem: dana nam jest praca, lecz nie sądzone jej ukończenie.

Orszak żałobny dotarł do granicy miasta, do mostu przerzuconego nad Tagiem. Szeroko otworzyły się potężne bramy, żeby wpuścić nieżyjących.

Don Alfonso zarządził, by jego escrivano, któremu Toledo tak okrutnie podziękowało, okazane zostały najwyższe honory. Ludność Toledo chętnie tego usłuchała. We wszystkich domach wyłożono czarne chusty. Na barwnych zazwyczaj ulicach stała gęsta, ciemna ciżba; gwar uliczny przycichł, czynił tylko wrażenie ciężkiego szumu. Wszędzie wzdłuż drogi stali prezentując broń żołnierze królewscy, chorągwie i herby Kastylii pochylały się w obliczu konduktu. Ludzie obnażali głowy, wielu klękało, kobiety i dziewczęta płakały głośno nad losem Fermosy.

Zmarli ciągnęli po stromych ulicach do środka miasta. Nie wybrano drogi najkrótszej, niesiono trumny drogą okrężną przez rynek, Zocodover, by możliwie największa ilość ludzi mogła uczcić je z honorami.

W oknie, wysoko na zamku, skąd można było widzieć cały kondukt żałobny, stał Alfonso, samotny.

Myślał sobie: nawet nie jestem smutny. Stałem się spokojny. Wyzwoliłem się od gwałtownych pożądań. Stałem się lepszym królem. Powinienem być zadowolony. Ale nie jestem. Chyba dożyję jeszcze mojej wielkiej wyprawy krzyżowej i będę ją mógł prowadzić na czele zjednoczonej Hiszpanii. Ale nawet w chwili, w której będę trzymać zwycięstwo w ręku, nie będę doznawał żadnych gorętszych uczuć poza tym: „Teraz doszedłem do celu, teraz spełniłem swój obowiązek”. Może będzie to ulga, ale nie szczęście. To, co mi zostało przeznaczone w dziedzinie szczęścia, leży poza mną. Istniało, trzymałem je w swych ramionach, tuliło się do mnie miękko i oszałamiająco słodko. Byłem jednak lekkomyślny i odszedłem od niego. Teraz to, co mi było przeznaczone jako szczęście, niosą ludzie tam na dole.

Mam czekać na moją wyprawę dwanaście lat. Nigdy nie umiałem czekać, życie moje pędziło jak rumak. Teraz wlecze się jak ślimak. Dłużą się lata i dni. Wytrzymuję to, nawet nie wpadam w gniew. To, że tak potrafię czekać, jest najgorsze.

Również i wyprawę będę prowadził z namysłem. Nie pozostanie śladu dawnej, błogosławionej buńczuczności. Będą krzyczeli: „Naprzód! Do ataku!”, a ja nie będę krzyczał z nimi.

Starał się myśleć o tym, dla którego będzie prowadził wyprawę, o małym Fernanie, ale obraz wnuka był obojętny i niewyraźny. Wszystko, co teraz Alfonsa otaczało, było dziwnie mętne, mgliste, nierzeczywiste.

Myślał sobie: Mam lat czterdzieści, ale moje życie jest za mną. Jedyną moją rzeczywistością jest moja przeszłość. Moje dziś leży w mgle i pyle, jak pole bitwy podczas toczącej się walki. Nawet jeżeli kiedyś zwyciężę, nie będzie nic prócz dusznej mgły. Tak, gdybym mógł odnieść zwycięstwo dla mego Sancho, dla mego ukochanego bękart! Ale kto wie, gdzie wtedy będzie mój Sancho. Prawdopodobnie wśród tych, dla których pokój znaczy nawet więcej niż zwycięstwo.

Tymczasem kondukt żałobny dotarł do swego celu.

Żydzi Toledo mieli trzy cmentarze, dwa poza murami, jeden w Juderii. Na tym trzecim, niewielkim i bardzo starym, członkowie najdostojniejszych rodów, wśród nich rodu Ibn Esrów, mieli swoje nagrobki. Wśród tych zmarłych Ibn Esrów leżeli tacy, którzy ród swój wywodzili od potomka króla Dawida; przybył on na półwysep wraz z Adoniramem, poborcą podatkowym króla Salomona, i było to na nagrobkach Ibn Esrów wyryte. Leżeli również między zmarłymi Ibn Esrami i tacy, którzy za czasów Rzymian byli kupcami. Bankierzy, poborcy podatkowi, tacy, którzy pod panowaniem królów gockich żyli w Toledo prześladowani i szczuci, oraz tacy, którzy pod panowaniem wezyrów muzułmańskich byli wielkimi lekarzami i poetami. Leżał tu również ów Ibn Esra, który kiedyś zbudował castillo noszące jego imię, oraz ów, który cesarzowi Alfonso utrzymał Calatravę — stryj Jehudy.

Na ten cmentarz przyniesiono zwłoki.

Wedle słów kronikarza liczba żałobników była tak wielka i tak byli stłoczeni, że można było przebiec po ich plecach.

Niedaleko zmarłych Ibn Esrów wykopano dwa nowe groby. Złożono do nich Jehudę i córkę jego Rachelę, złączono ich z przodkami.

Potem żałobnicy umyli ręce i zaczęli szeptać pacierze.

Don Józef Ibn Esra, jako najbliższy krewny, odmówił modlitwę żałobną, rozpoczynającą

się od słów: „Pochwalone i święte niechaj będzie dostojne imię”, a kończącą się słowami: „Pokój panuje w jego wysokościach. Niechaj da pokój nam i całemu Izraelowi. Amen”.

Przez dni trzydzieści odmawiano we wszystkich gminach półwyspu, Prowansji i Francji tę modlitwę ku czci don Jehudy Ibn Esry, pana naszego i nauczyciela, oraz donii Racheli.

Gdziekolwiek zaś na rynkach czy w szynkach Kastylii zebrali się Ludzie, kuglarze i pieśniarze śpiewali ballady o królu don Alfonso i jego gorącej, tragicznie zakończonej miłości do żydówki Fermosy. Pieśni docierały do ludu. W dzień powszedni i w święto, przy pracy i przy posiłkach, przez sen śpiewano je i nucono w Kastylii.

Sam Alfonso nigdy już nie przekroczył progu Huerta del Rey.

Powoli ogrody Galiany dziczały, Galiana niszczała. Rozsypał się biały mur otaczający rozległą posiadłość. Najdłużej trzymała się główna brama, przez którą wdarł się de Castro ze swoimi ludźmi, żeby zabić Rachelę i jej ojca.

Sam jeszcze stałem pod tą bramą i widziałem zamazany napis arabski, którym La Galiana witała gościa: Alafia, pozdrowienie, błogosławieństwo.

## POSŁOWIE AUTORA

Przez dziesiątki lat zajmowałem się historią owej Edyssy, która pod mianem Estery wyniesiona na tron perski przez króla Aswerusa uratowała naród żydowski od niechybnej zguby.

Mała opowieść zwana „Księgą Estery”, opisująca dzieje owej Edyssy, jest jedną z najbardziej fascynujących i popularnych zarazem ksiąg Biblii. Jej autor włada kunsztem wielkich narratorów hebrajskich i arabskich, stopniuje napięcie zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne, wydobywa z fabuły coraz to nowe niespodzianki. Dodać należy, że pisał on w czasach, gdy jego naród zrzucał jarzmo ucisku, toteż autor uczestniczył w jego cierpieniach i radościach, a gorący patriotyzm pisarza jeszcze dzisiaj udziela się czytelnikowi.

Mnie w każdym razie „Księga Estery” głęboko wzruszyła. Wzruszała ona wielu ludzi, a na przestrzeni przeszło dwóch tysięcy lat od jej powstania niejednen usiłował powtórzyć tę opowieść, posługując się jako tłem współczesnymi wydarzeniami. Kilkakrotnie, gdy wyjątkowo boleśnie odczuwałem ucisk, jakiemu podlegały obydwie narody, do których wspólnoty się zaliczam, rodziła się we mnie potrzeba opowiedzenia na nowo historii królowej Estery, tak jak ją widzi mój świat. Szczególne napięcie wywołuje w tej małej opowieści pewien przebiegły chwyt artystyczny starego poety żydowskiego, chwyt nigdy jeszcze przed nim nie stosowany. Dla swojej fantazji stwarza on pozory prawdopodobieństwa, a opowiadaniu nadaje ton ściśle rzeczowej relacji. Udaje w ten sposób człowieka, któremu polecono opisać sucho, w historyczny sposób, wydarzenia na dworze perskim. Nadaje swej opowieści charakter kroniki dworskiej, a obiektywnym tonem zasłania żydowsko-nacjonalistyczną tendencję utworu. Autor unika twierdzenia, jakoby Żydzi byli narodem wybranym przez Boga. Jest to jedyna księga Biblii nie wspominająca o Bogu. Rezygnuje również z oceny istoty czynów swych bohaterów, nie wychwala królowej Estery ani jej opiekuna Mardocheusza, nie rzuca również obelg na wroga Żydów, Aman. Liczy na to, że fabuła i wydarzenia, które wymyślił, wystarczą, by czytelnika natchnąć oburzeniem na wroga Żydów, a miłością dla cierpiącego i triumfującego Mardocheusza i jego Estery. Udaje się to poecie w zupełności i jakkolwiek skrupulatnie ukrywa własną radość — czytelnik cieszy się z całego serca,; w końcu na szubienicy, przygotowanej dla Mardocheusza, zawis Aman.

Jeśli czytelnik skończywszy czytać opowieść zacznie o niej rozmyślać, nasunie mu się niejedna wątpliwość. Jakże mogła młoda kobieta którą władca świata posadził obok siebie na tronie, tak długo ukrywać swoje imię i pochodzenie? Cóż to za wielki wezyr, który z nienawiści do jednego wroga chce od razu Wyniszczyć cały jego naród' Cóż to za król, który bez zastanowienia skazuje dzisiaj na zgubę cały naród, a jutro bez skrupułów każe wymordować niezliczonych wrogów tego narodu? W obliczu takich pytań rzeczowość autora okazuje się maską, a cała powieść fikcją.

Wydało mi się pociągające wmieszanie się do baśni starego poety, nadanie jej cech sensu i prawdopodobieństwa. Chciałem akcję umiejscowić w takich ramach, które ludzi i fakty uczyniłyby wiarygodnymi, umożliwiając równocześnie rzut oka w przeszłość, tak by wypadki, rozgrywające się wokół Estery, mogły w nowy sposób oświetlić również dzisiejsze wydarzenia.

Tymczasem okazało się, że stary wątek ma kolosalną wadę: nie posiada bohaterki, Estera jest w rękach swego opiekuna jedynie bierną lalką, poruszaną z zewnątrz. Kółeczkiem w trybach akcji, niczym więcej. Ta luka właśnie w zasadniczym wątku opowieści spowodowała, że wielcy pisarze, którzy potraktowali akcję zbyt dosłownie, nie osiągnęli tego, co zamierzali. Racine schronił się w bezpiecznym porcie pobożności, Grillparzer odłożył na wpół wykończone dzieło. Byłem na tyle pewny siebie, by uważać, że potrafiłbym obdarzyć moją Esterę życiem, którego

nie miała królowa Estera z baśni. Ale wówczas musiałbym bardzo odbiec od pierwotnego wątku biblijnego, opromienionego nimbem dwóch tysiącleci, dlatego też zadowolilem się pełnym miłości szkicem przyszłej książki. Rzecz zrozumiała, że w ciągu wielu lat, które strawiłem na studiowaniu dziejów Estery, zaczęły tłoczyć się koło mnie inne żydowskie kobiety, które wzięły czynny udział w dziejach swego narodu. Jedną z nich jest właśnie Rachela, la Fermosa, przyjaciółka króla Alfonsa, o której czytaliście w niniejszej książce. Po raz pierwszy zetknąłem się z jej historią w dramacie Grillparzera. Lubiłem i bardzo lubię tę sztukę, subtelny polot jej wierszy i znajomość duszy ludzkiej autora, który świadomie rezygnuje ze związków historycznych, ale za to ostrzej zarysowuje swe postacie. Dziwną wydaje się ostra krytyka, której Grillparzerowi nie oszczędził przyjaciół jego i wydawca, Henryk Laube. (Wielu odstręcza chyba sam materiał, będący sensacyjną mieszaniną erotyki i historii, i tak la przykład Marcin Luter potępia gwałtownie i gniewnie „Księgę Estery”). Niezależnie od tego Henryk Laube twierdzi, że „Żydówka” Grillparzera nie udała się, ponieważ autor zbyt wiernie trzymał się pierwowzoru, to jest dramatu Lopego de Vega „La Judia de Toledo”, który według Laubego jest sztuką bardzo powierzchowną, czysto zewnętrzną.

Czytałem dramat Lopego de Vega. Jest on rzeczywiście bardzo teatralny, rzucony ma papier na pewno w ciągu kilku dni i wysoce nieprzemyślany. Ponieważ materiał, który poeta znalazł w starej kronice, nie mógł wystarczyć na wypełnienie trzech aktów, Lope de Vega wykorzystał go jedynie do dwóch ostatnich aktów, zaś w pierwszym posłużył się kilkoma rozdziałami tej samej kroniki, które historię „Żydówki” poprzedzają, lecz z nią bezpośrednio nie mają nic wspólnego. Ponieważ jednak Lope de Vega jest zapalonym miłośnikiem teatru i zręcznym dramatopisarzem, radość, jaką czerpie z efektów teatralnych, przenosi się na czytelnika oraz widza, a jego beztroska w żadnej mierze nie osłabia siły oddziaływania sztuki. „Judia de Toledo” jest sztuką wybitnie mocną, żywą, tętniącą patriotyzmem i rozumem doskonale, co w niej pociągało Grillparzera.

Tak, temat pociągał mnie, podobnie jak pociągał Lopego de Vega i Grillparzera. Zapoznałem się ze źródłem, z którego czerpał Lope de Vega. Jest to owa kronika, której fragmentów użyłem jako motto przed każdą z części mojej powieści. Kronikę napisał inny Alfons kastylski, dziesiąty tego imienia. Był to prawnuk naszego Alfonsa, urodzony w siedem lat po jego śmierci. Opowiada on z widocznym przejęciem o miłości swego pradziada do „Żydówki”. Ta historia miłosna od początku poprzez wieki fascynowała Hiszpanów. Pisano o niej do połowy zeszłego stulecia coraz nowe ballady, romance, wierszowane epepeje i sztuki. Nawet w literaturze arabskiej owa historia odgrywa pewną rolę, a romantycy różnych epok i narodowości powtarzali ją, każdy na swój sposób.

Tymczasem, o ile mogłem się zorientować, żadna z wielu wersji nie interesowała się historią kraju, w którym rozgrywają się wypadki. A przecież dzieje kochanków są ściśle związane z losami ich kraju, im dokładniej bowiem obserwator zapoznaje się ze stosunkami panującymi w ówczesnej Hiszpanii, tym głębszego sensu nabiera historia Estery-Racheli i króla. Stare hiszpańskie kroniki i ballady, w których ukazały się pierwsze wzmianki o Alfonsie i Żydówce, wierzą naiwnie i bezwarunkowo, że wojna to rzecz święta. Pomogły mi one zrozumieć ową rycerską cywilizację, która przy całej swej przerafinowanej kurtuazji tkwiła jeszcze głęboko w barbarzyństwie, dały mi możliwość zapoznania się z obrazem wewnętrznym ówczesnych baronów kastylskich, z ich fantastyczną dzielnością, pogardą śmierci oraz bezgraniczną dumą, która bez skrupułów burzy kwitnące miasta i kraje, stworzone przez innych. Wydaje mi się, że historię króla i Racheli może zrozumieć całkowicie tylko ten, kto odczuwa porywającą siłę tych awanturniczych przygód. Nie miałem zamiaru tłumaczyć tego bohaterstwa, chciałem ożywić jego blask i urok nie ukrywając całej jego szkodliwości, chciałem pokazać, z jaką magiczną siłą

wojaczka pociąga nawet tych, którzy zdają sobie sprawę z ciemnych stron bohaterstwa. Rachela czuje, jak złowrogie skutki musi mieć zapamiętała odwaga Alfonsa, a mimo to kocha go. To, co ją, świadomą, pociąga w tym nieszczęsnym mężczyźnie, ma być obrazem każdej pokusy promieniującej z przygody wojennej i awanturnictwa, zaślepiającej czasami nawet ludzi najbardziej świadomych.

Pragnąłem przeciwstawić wojownikowi człowieka pokoju, któremu kroniki i ballady nie oddają wprawdzie hołdów, a który mimo to istnieje. Żyje jak cień na marginesie kronik, jest wyraźniejszy w dokumentach, przywilejach i ustawach, a najbardziej wyrazisty w księgach uczonych i filozofów. Są tam mieszczanie i chłopi, mieszkańcy rozwijających się miast, którzy starają się dzikim wybrykom rycerzy i baronów przeciwstawić porządek i prawo. Są Żydzi, którzy walczą o pokój już choćby dlatego, że w razie wojny pierwsi zostaną starci między walczącymi stronami. Ale przede wszystkim widzimy tam myślicieli duchownych i świeckich, takich jak Rodrigue, Muza, Beniamin, którzy słowem i czynem bronią się przeciw wojnie. Ludzie, którzy uzbrojonej dzielności rycerzy przeciwstawić mogą tylko cichą odwagę swego ducha. Czy to jeszcze mało?

Zwykło się mówić, że nasza cywilizacja opiera się na dwóch filarach: na humanistycznym ideale wychowania Greków i Rzymian oraz na żydowsko-chrześcijańskim moralnym kodeksie Biblii. Wydaje mi się, że w cywilizacji naszej żyje jeszcze jedno dziedzictwo: szacunek dla bohaterstwa, dla rycerstwa. Otoczony nimbem szacunku obraz chrześcijańskiego rycerza, tak jak go namalowało średniowiecze — jeszcze nie zbladł. Jeszcze ciągle najwyższą glorią otacza się bohaterów i wojowników. Wielki poeta Cervantes ukazał z delikatną precyzją śmieszności rycerstwa. Świat się śmiał, ale nie dał się przekonać. W każdym rycerzu tkwił od początku kawał Donkiszota, ale świat nie chciał i nie chce tego wiedzieć, wciąż jeszcze nie chce dojrzeć błazna, który tkwi w rycerzu, pragnie widzieć tylko jego blask, spogląda ciągle jeszcze ku rycerzowi i obsypuje go honorami.

Ponieważ porywające rycerstwo średniowiecza ciągle jeszcze jest złowrogo żywe, - uważam, że historia Alfonsa i Racheli dotyczy i nas. Teoretycy owego stulecia zastanawiali się, czy wolno napaść na nieprzyjaciela, jeśli się go podejrzewa o podobne zamiary. Rozważali problem, czy okupywanie pokoju wielkimi ofiarami nie jest hańbiące. Chciałem wskrzesić ludzi, którym takie myśli nie dawały spokoju. Powiedziałem sobie, że kto na nowo opowie dzieje tych ludzi, napisze nie tylko ich historię, lecz doda światła i sensu problemom naszych dni.